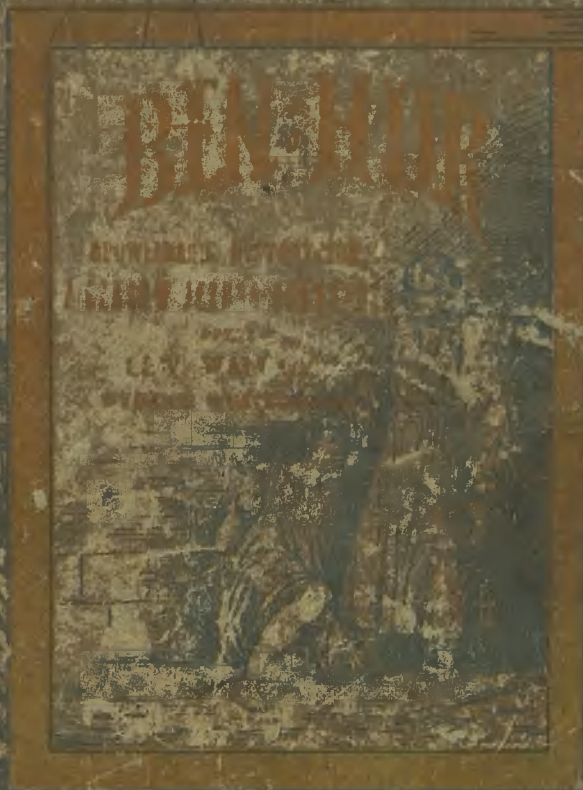
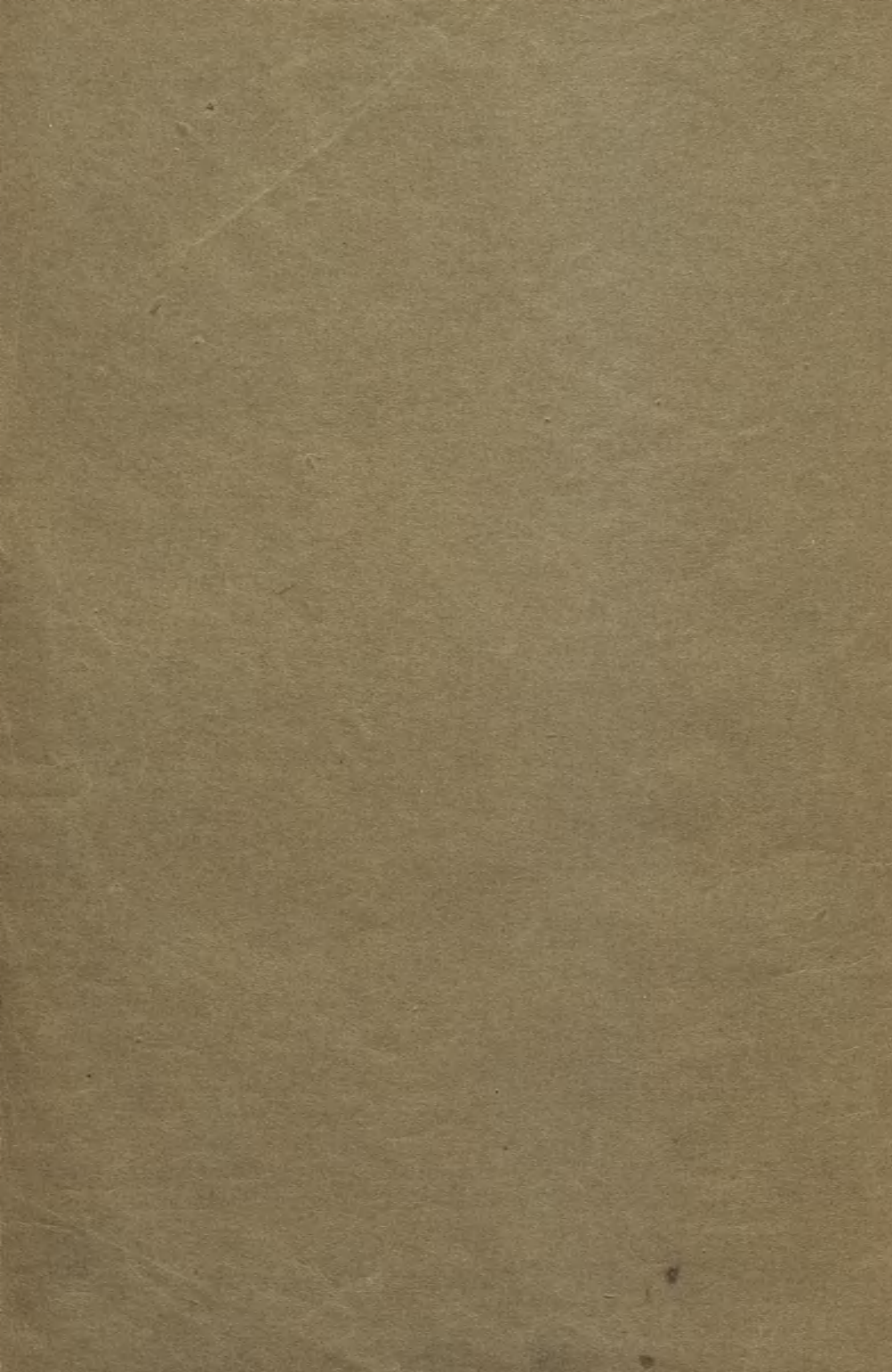




MIKOŁAJ
NAKLADEM K. MIARKI
SPÓŁKI WID. I DRUK. POL.

Hydrogry Eli
Haua.



BEN-HUR

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Z CZASÓW JEZUSA CHRYSTUSA

PRZEZ

LEW. WALLACE.

WYDANIE DRUGIE ILUSTROWANE.



MIKOŁÓW, WOJ. ŚLĄSKIE.

.....
NAKŁADEM I DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI.

SL 1e .
LP II 15 d 2

revised sketch

555958

K-8416066

30.8. 500.-





ROZDZIAŁ I.

Spośród Geomorf

Dżebel-Zubleh, jest to pasmo gór około pięćdziesięciu mil długie, z którego, patrząc na wschód, widzi się Arabię. Głębokie parowy, napełniające się w deszczowej porze strumieniami pędzącymi do Jordanu lub do morza Martwego, ogólnego zbiornika wód w tych stronach, utrudniają przebycie tych gór. Jednym z tych parowów, podążał w kierunku wschodnio-północnym podróżny ku płaskim jak stół równinom.

Człowiek ten mógł mieć lat czterdzieścipięć. Broda bujna, niegdyś czarna, dziś siwizną przypruszoną, spadała mu na piersi; twarz ciemną, koloru brunatnego osłaniał zawój, zwany kefia, tak szczelnie, że z pod niego zaledwie barwę oblicza i duże czarne oczy, często w niebo się wznoszące, dostrzedz było można. Fałdzyste ubranie, popolicie na wschodzie używane, nie dozwalało widzieć całej postaci, tem bardziej, że siedział na roslym wielbłądzie, a nad jeźdźcem i zwierzęciem wznosił się niewielki namiot w rodzaju parasola, przytwierdzony do siodła.

Kiedy wielbłąd wychylił się z parowu, słońce już weszło na niebie i oświeciło pustynię. Ulegając wrodzonemu instyktowi, wyciągnął szyję i przyspieszył kroku, zmierzając ku wschodniemu horyzontowi.

I dalej, dalej pędzi szlachetne zwierzę, naprzód zawsze i naprzód, jednostajnym biegiem i zawsze ku wschodowi. Podróżny siedzi spokojnie i nieruchomie, nie zwracając na nic uwagi. Cztery już godziny szło zwierzę z wiatrem w zawody i bez wytchnienia.

Nikt zaiste nie puszcza się w pustynię dla przyjemności; ci, których zadania życia lub interes tu pędzi, wiedzą, że ścieżki te, choć prowadzą od źródła do źródła i od pastwiska do pastwiska, zasłane są kośćmi trupów. Cóż więc dziwnego, że nawet serce najodważniejszego szejka, gdy wjedzie w królestwo piasków, szybszem uderza tętnem. I nasz podróżny nie wygląda na człowieka jadącego bez celu; nikt go nie ściga, bo ani razu nie spojrzał poza siebie; nie zdradza również obawy ni grozy, nie czuje, zda się, nawet samotności. Nagle,



o godzinie dziesiątej, zwierzę zatrzymało się w biegu, wydając ryk pełen żalu i skargi. Jeździec zbudził się jakby ze snu, rozsunał firanki buraa hu,*) popatrzył na słońce, zdawał się rozpatrywać okolice, a zadowolony, zawołał: „nareszcie, nareszcie!“ Poczem złożył ręce na piersiach, wznosił głowę i modlił się w milczeniu. Spełniwszy tę pobożną powinność, wyrzekł miłe dla wielbłąda słowo: ikh! ikh! które jest rozkazem, aby ukląkł. Zwolna, mrucząc z zadowolenia, usłuchał wierny towarzysz, a jeździec zsunął nogę po gładkiej szyi wielbłąda i stanął na piasku.

Człowiek ten był propocjonalnej budowy, niezbyt wysoki, ale silny; rozluźniwszy sznurek przytwierdzający ke fiją na głowie, odsłonił twarz, barwy, jak już się rzekło, prawie murzyńskiej. Czoło miał szerokie, nos orli, zewnętrzne kąty oczu podniesione; włosy bujne, o metalicznym odbłyску, spadały w licznych spletach na ramiona. Poznać

* Namiecik nad jeźdźcem.

w nim było Egipcyanina. Podróżny nasz miał na sobie „kamis“ czyli białą, bawełnianą koszulę z wąskimi rękawami, zdobną haftem koło szyi i na piersiach, a sięgającą do kostek. Strój ten uzupełniał płaszcz brązowy, zwany „abba.“ Na nogach miał sandały przytrzymane rzemykami z miękkiej skóry. Lecz rzecz niezwykle dziwna, że podróżny, chociaż sam był tylko w pustyni, nie miał przy sobie żadnej broni, ani nawet laski, którą poganiamy się wielbił. Świadczyło to o jego odwadze lub też o jego ufności w jakąś nadzwyczajną opiekę...



Stapiwszy na ziemię, zapragnął rozruszać długą podróżą ścierpięte członki i przeszedł się kilka razy w tę i w ową stronę, nie odalając się od miejsca, w którym spoczął jego wierny podróży towarzysz. Od czasu do czasu zatrzymywał się a przecierając oczy rękoma, badał pustynię aż do ostatnich jej krańców; po każdym takim przeglądzie twarz jego zaciemniał wyraz zawodu, lekki, ale tłómaczący, że kogoś oczekiwał. Jakiż cel, jaki powód mógł zawieść tego człowieka w tak odległe ustronie?

Chociaż nie mógł ukryć wrażenia doznanego z zawodu, nie stracił jednak nadziei, że oczekiwany gość przybędzie; wyjął bowiem

z pudła przypiętego do siodła gąbkę i małe naczynie z wodą do obmycia pyska, oczu i nozdrzy wielbłądowi. Po tem zaopatrzeniu wiernego towarzysza, wyjął z tego samego schowku płótno w białe i czerwone pasy, wiązkę cienkich drążków i grubą laskę. Gdy tą laską wykonał kilka poruszeń, pokazało się, że była ona dobrze obmyślonym sprzętem, gdyż składała się z kilku mniejszych części, dających się rozsunąć na długi kij, przenoszący miarę człowieka. Tę wysoką podpórę wbił podróżny w ziemię, a naokoło niej umieścił mniejsze drążki, na których rozciągnął płótno, i znalazł się jak w domku, może mniejszym niż dom emira lub szejka, ale zresztą równym tantemu pod względem wygody.

Zarządziwszy tak wszystkiem, oddalił się na małą odległość i raz jeszcze bacznie popatrzył po okolicy, lecz nie spostrzegł nic prócz szakala kłusującego po równinie i orła szybującego ku zatoce Akabe.

Podróżny uległ widocznie uczuciu samotności, bo zwrócił się do wielbłąda i rzekł niskim głosem w języku nieznanym pustyni: „Dom nasz daleko, lecz Bóg jest z nami. Ufajmy i czekajmy.“

Jakby uspokojony własnymi słowy, wyjął nieco fasoli z kieszeni u siodła, a włożywszy je do woreczka, zawiesił tenże u pyska wielbłądowi, który cheiwie jadł ulubiony sobie przysmak. Wędrownik przypatrywał się chwilę z zadowoleniem zwierzęciu i znów puścił oko na zwiady w przestrzeń piaszczystą, bezgraniczną, rozpaloną padającymi pionowo promieniami słońca.

— Przyjdą — rzekł wreszcie sam do siebie. — Ten, który mnie tutaj przywiódł, i ich przywiedzie. Trzeba, abym był gotów na ich przyjęcie. — To mówiąc, wyjął przywiezione z sobą zapasy do wieczery. Składały się one z soku palmowego, w oplecionem przechowanego naczyniu, i wina z bukłaku, baraniny suszonej i wędzonej, chleba i sera. Nie brakło też owoców, jak granatowych jabłek syryjskich, zwanych „shumi“ i wybornych daktylów. To wszystko zaniósł podróżny do namiotu, złożył jedzenie na kobiercu i nakrył je trzema kawałkami jedwabnego płótna, któremi lepsze towarzystwo na wschodzie, stosownie do przyjętego zwyczaju, przykrywa sobie kolana podczas jedzenia. Z liczby nakryć domyślić się było można liczby biesiadników.

Ukończywszy przygotowania, wyrzał nasz podróżny znowu, zba-
dał horyzont i — o radości! ujrzał na wschodzie ciemny jakiś punkt.
Widok tego punktu czy cieniu wywarł na nim dziwne wrażenie, sta-
nął jakby skamieniały z szeroko rozwartemi oczyma, dreszcz wstrzą-
snął jego członkami. Tymczasem spostrzeżony punkt rósł ciągle, nie-
bawem miał wielkość ludzkiej ręki, dalej przybrał dokładniejsze
kształty, a w końcu ukazał się całkiem wyraźnie drugi taki sam
wielbłąd, jak poprzedni, duży i biały, z honda'hem czyli podróżną
lektyką, jakich używają w Hindostanie.

Egiptyanin złożył ręce na piersiach i spojrzał ku niebu.

— Wielki jest Bóg! — zawołał, a oczy zaszczyły mu łzami.

Przybyły zbliżył się i stanął. I on także w tej chwili zdał się
budzić ze snu. Obejmował wzrokiem wielbłąda, namiot i stojącego
u wejścia człowieka, zatopionego w modlitwie. Widok ten wzruszył go
widocznie — skrzyżował również na piersi ręce, pochylił głowę i mo-
dlił się w milczeniu. Po chwili zsiadł z wielbłąda, stanął na piasku
i zbliżył się ku Egipcjaninowi, który również szedł mu naprzeciw.
Przez chwilę patrzyli na siebie, uścisnęli się, t. j. każdy położył
prawą rękę na ramieniu drugiego, a lewą otoczył go w pasie, głowę
zaś kładli sobie wzajemnie raz na lewem, drugi raz na prawem ramieniu.

— Pokój tobie, sługo prawdziwego Boga — rzekł nowoprzybyły.

— I tobie pokój, bracie w prawdziwej wierze! pokój tobie i powi-
tanie — odpowiedział Egipcjanin gorąco. — Nowoprzybyły był to czło-
wiek wysoki i chudy, twarz jego szczupłą, cery miedzianej, oczy zapadłe,
błyszczące; białe włosy i broda spływały mu na piersi. Broni, również,
jak pierwszy, nie miał żadnej, a ubranie nosił, jakiego używają mie-
szkańcy Hindostanu: Na głowie, ponad fezem, zwinięty w szerokie
zwoje szal tworzył turban, suknie miał stylem podobne do szat Egip-
cjanina, tylko „aba“ była krótsza, bo z pod niej wychodziły szerokie
spodnie u kostki ściągnięte. Na nogach, zamiast sandałów, nosił pan-
tofle z czerwonej skóry, w palcach zakończone spiczasto. Prócz pan-
toffi reszta jego ubrania była z białego płótna. Postawa cała pełna
wspaniałości i powagi! gdy podniósł twarz z piersi Egipcjanina, w o-
czach jego błyszczały łzy.

— Bóg jest wielki! — zawołał po przywitaniu.

— Błogosławieni ci, którzy Mu służą — dodał Egipcyanin. — Patrz, oto i trzeci przybywa.

Obaj zwrócili wzrok ku północy, skąd już całkiem wyraźnie widać było wielbłąda równie białego jak poprzedni i płynącego niby okręt. — Stali w milezeniu aż nowy podróżny przybył, zsiadł i zbliżył się do nich.

— Pokój tobie, mój bracie — rzekł ściskając Indyjczyka.

Mieszkaniec Hindostanu odrzekł: Niechaj się spełnia wola Pana.

Ostatni z podróżnych nie był wcale podobny do swych towarzyszów; budowa jego wątlesza, cera biała i rozwiane włosy tworzyły jakby aureolę około jego pięknej, wolnej od nakrycia głowy. W gorącym spojrzeniu ciemno-niebieskich oczu błyszczały rozum i odwaga. Również jak tamci bez broni, z pod zwojów fenickiego purpurowego płaszcza, z wielkim udrapowanego wdziękiem, wysuwała się tunika z krótkimi rękawami, wycięta u szyi, zebrana sznurem w pasie, a sięgająca zaledwie kolan. Ręce, nogi i szyję miał obnażone, a chociaż zdawał się liczyć nad lat pięćdziesiąt, nie prócz powagi w obcowaniu nie znamionowało tego wieku, bo dusza i ciało uragały wpływowi czasu. Nie potrzeba mówić, z którego przybywał kraju, bo każdy odgadł w nim napewno Greka.

Gdy ręce nowoprzybyłego opadły z ramion Egipcyanina, tenże rzekł głosem wzruszonym: Pierwszy stanąłem na miejscu przeznaczonym, czuję się więc wybranym na służbę mych braci: oto i namiot rozpięty, chleb do łamania gotowy, pozwólcie, niech czynię mą powinność.

To mówiąc, zaprowadził obu do namiotu, a zdjawszy sandały z ich nóg, umył je, poczem zwilżył ręce swych gości i obtarł je ręcznikiem.

Gdy tak dopełnił pierwszych praw gościnności, obmył sam siebie i rzekł:

— Pomnijmy, bracia, że pełnimy służbę, do której potrzeba sił; wzmocnijmy więc ciało pożywieniem, a duszę opowiadaniem skąd i po co przybywamy.

— To powiedziawszy, zaprowadził biesiadników na ucztę i posadził tak, że wzajemnie do siebie byli zwrócenie. Równocześnie pochyliły

się ich głowy, ręce skrzyżowały na piersiach i głośno odmówili następującą prostą modlitwę:

„Ojeze wszystkich — Boże! — co tylko mamy, od Ciebie pochodzi; przyjm nasze dzięki i pobłogosław nam, pozwalając i dalej sprawować wolę Twoją.“

Wymówiwszy ostatnie słowa, spojrzeli ze zdumieniem po sobie, bo oto każdy mówił językiem nigdy pierwszej niesłyszany, a mimo to rozumiał co był powiedział. Więc dusze ich zadrgały wielkiem wzruszeniem, a po cudzie tym poznali, iż Bóg jest pośród nich.



Stósownie do ówczesnej rachuby, powyższe spotkanie miało miejsce w roku 747 po założeniu Rzymu, w miesiącu Grudniu, a więc w zimie i to wyjątkowo ostrej na owych błogosławionych wybrzeżach Śródziemnego morza. Nasi podróżni gawędzili, jedząc i pijąc, a Egipcyanin, jako gospodarz, przemówił, jak następuje:

— Dla podróżnego niema nic słodsze go na obczyźnie, jak usłyszeć własne imię z ust przyjaciela. Przed nami wiele dni wspólnego życia, czas nam się poznać, a jeśli taka wola wasza, niech zacznie ten, który ostatni z nami się połączył.

Zwolna, ostrożnie, jakby licząc się z wyrazami, uczynił Grek za-dosć wezwaniu, i rzekł:

— To co mam powiedzieć, tak jest nadzwyczajnem, iż nie wiem od czego zacząć i jak się wyrazić. Nie rozumiem często sam siebie; silnie jednak wierzę, iż to co czynię, jest wolą Pana, a służba Jego ciągłym zachwyceniem. Kiedy rozważam otrzymane posłannictwo, czuję niewysławioną radość i szczyć się niem.

Wzruszenie nie dozwalało mu mówić dalej, a towarzysze odczuwając jego słowa, spuścili oczy.

— Daleko stąd, na zachód — mówił Grek dalej — leży kraina, której pamięć nigdy nie zaginie, bo jej zawdzięcza ludzkość swe najczystsze zachwyty. Nie myślę tu mówić o sztukach pięknych, filozofii, wymowie, poezyi i wojnie. O moi bracia, sława mej ojczyzny będzie po wsze czasy świecić mądrością zawartą w księgach, a głoszącą całemu światu wolę Tego, którego szukać idziemi. Kraina, o której mówię, to Grecya, a jam jest Gaspar, syn Kleantesa, Ateńczyka. Naród mój, ciągnął dalej, oddany był nauce, i ja nie odrodziłem się od mych przodków. Dwaj nasi najslawniejsi filozofowie uczą o duszy ludzkiej i jej nieśmiertelności, wierzą w istność Boga i Jego najdoskonalszą sprawiedliwość. Liczne szkoły filozoficzne wiodły spór o te dwie zasady, i ja obrałem je za przedmiot mych studyów, jako jedynie godne zastanowienia i badania. Przeczuwałem, że istnieje związek między Bogiem a duszą, ale rychło spostrzegłem że umysł ludzki może ten związek tylko do pewnego stopnia wyjaśnić, dalej wiedza jego napotyka na nieprzezwyciężone zapory, których bez pomocy nadzwyczajnej nie usunie. Tej pomocy wzywałem i szukałem, ale nikt nie odpowiedział na me wołanie; opuściłem więc szkoły i miasto.

Na te słowa wynędniała twarz Indyjczyka rozjaśnił poważny uśmiech zadowolenia.

— W północnej stronie mej ojczyzny, w Tessalii, mówił Grek — jest góra sławna jako przybytek bogów; tam rządzi Zeus, którego Grecy czczą ponad wszystkie bogi; góra ta zowie się Olympem. Tam udałem się a znalazłszy jaskinię na spadzistości góry, w miejscu, gdzie się chyli ku południo-wschodowi, tam zamieszkałem. Oddając się rozmyślaniom, błagałem każdym westchnieniem o objawienie. Ufność moja była wielką, wierząc w Boga niewidzialnego ale wszzech-

mocnego, wierzyłem w możliwości Jego odpowiedzi, gdy go o nią całą duszą błagać będę.

— Ach, i otrzymałeś odpowiedź, nieprawdaż? — zawołał Indyjczyk, wznosząc w górę ręce.

— Słuchajcie mnie, bracia — mówił Grek dalej, z trudnością opanowując wzruszenie. — Drzwi mojej pustelni wychodziły na morze, na zatokę Cermaik. Pewnego dnia ujrzałem człowieka spadającego z pomostu okrętu, który właśnie podniósł kotwicę i rozwiniawszy żagle, odbijał od lądu; mimo wypatku dopłynął człowiek ów do brzegu i znalazł u mnie schronienie i opiekę. Był to Izraelczyk, uczony w historii i prawach swego narodu; on mnie pouczył, że Bóg, którego wzywałem i czciłem, istnieje rzeczywiście i że przed wieki był prawodawcą i królem Izraela. Cóż to było, jeśli nie objawienie, o którym marzyłem? Wiara moja nie była próżną; Bóg usłyszał wołanie moje i wysłuchał je.

— Jak wysłuchuje tych, którzy Go wzywają z wiarą — rzekł Indyjczyk.

— Czemuż, niestety — dodał Egipcyanin — tak mało jest takich którzy rozumieją objawienie!

— To jeszcze nie wszystko — ciągnął Grek. — Człowiek ten, tak cudownie mi zesłany, powiedział mi jeszcze, że jak dotąd objawienie było tylko dla ludu Izraela, tak i nadal jego własnością pozostanie; prorocy, którzy w pierwszych wiekach po objawieniu mówili z Panem, zostawili obietnicę, że On przyjdzie znowu, a to drugie Jego przyjście oczekiwane jest obecnie, każdej chwili, w Jerozolimie. Ten, który ma przyjść, będzie Królem Izraelskim. Jakto, nicze nie uczyni Pan dla reszty świata? zapytałem. Nie, odparł dumnie, my jesteśmy Jego wybranym ludem. Odpowiedź ta nie zniweczyła wcale moich nadziei; nie mogłem przypuścić, aby Bóg miał ograniczyć Swą miłość i miłosierdzie na jeden tylko naród, jakby na jedną rodzinę. Postanowiłem koniecznie zbadać tę tajemnicę; a nareszcie udało mi się przełamać pychę Izraelity, który mi wyznał, że jego ojcowie byli tylko wybranymi sługami, przeznaczonymi do przechowania wiary w prawdziwego Boga, aby kiedyś świat poznał żywą prawdę i był zbawion. Gdy Judejczyk mnie opuścił, zostałem sam; dusza moja przejęła się

pokorną modlitwą i błagałem, aby mi było danem oglądać Króla, gdy przyjdzie i oddać mu cześć. Raz w nocy, siedząc u drzwi mej jaskini, rozmyślałem i usiłowałem zbliżyć się do tajemnic mego istnienia, a przyświecała mi wiara w jednego
na ciemnej morza por-
rzałem gwiazdę;
zwiększała się,

Boga. Nagle,
wierzehni u-
zwolna
i wznosiła,
zbliżając



się ku mnie; nareszcie stanęła nad moją głową, tuż u drzwi moich, tak, że jej światło padało mi wprost na oblicze. Padłem na ziemię i usnąłem, a we śnie słyszałem głos mówiący:

— Gasparze! Wiara twoja zwyciężyła! Bądź błogosławiony! Z dwoma innymi, którzy przyjdą z dalekich krańców ziemi, zobaczycie Tego, który jest obiecany, abyście o Nim świadczyli, gdy będzie potrzeba cudów na potwierdzenie Jego prawdziwości. Wstań, idź, a ufając Duchowi, który cię prowadzić będzie, spotkasz ich.

Wstałem rano a Duch towarzyszył mi wśród blasku światła jaśniejszego nad słońce. Wziąłem moje pustelnicze zapasy, ubrałem się jak dawniej, z tajemnego miejsca wyjąłem skarb, który z sobą niegdyś przyniosłem. Właśnie przejeżdżał okręt, zawałałem nań, zabrał mnie i zawiózł do Antyochii, gdzie kupiłem wielbłąda i przybory do podróży.

Przez ogrody i sady, zdobiące brzegi Orontesu, przybyłem do Emessy, Damaszk, Bostry i Filadelfii, a stamtąd tu dotąd. Oto, bracia, moja historia, niechże teraz posłucham waszej.

Egipcyanin i Indyjczyk spojrzeli po sobie; pierwszy wznosił ręce, drugi skłonił głowę i rzekł:

— Brat nasz dobrze mówił, oby moje słowa równą były napełnione mądrością.

Tu zamilkł, a po chwili namysłu rzekł:

— Znać mnie będziecie, bracia, pod imieniem Melchiora. Mówię do was językiem jeśli nie najstarszym na świecie, to najdawniej używanym pisemnie — myślę o indyjskim sanskrycie. Urodziłem się w Hindostanie Braminem. Religia ta pozostawiła w duszy mojej dziwną próżnię. Szukałem przeto spokoju i ukojenia w samotności; szedłem wzdłuż Gangesu aż do źródła wód tegoż wśród gór Himalajskich. Tu więc, gdzie pierwotna jeszcze przyroda łączy mędrca samotnością, a wygnańca obietnicą bezpieczeństwa, postanowiłem przebywać tylko z Bogiem i wśród modlitwy i postu oczekiwać śmierci.

Tu znów brakło Melchiorowi głosu, a chude ręce splotły się jak do modlitwy.

Po chwili mówił dalej.

— Pewnej nocy, chodząc w samotności, zawałałem z utęsknieniem: Kiedyż przyjdzie Bóg i wybawi mnie? Czyż jest odkupienie? —

Nagle światło oświeciło ciemności, a wnet zmieniając się w gwiazdę, zbliżyło się ku mnie i zatrzymało się nad moją głową. Olśniony niezwykłą jasnością, padłem na ziemię i usłyszałem głos mówiący łagodnie: Miłość twoja zwyciężyła. Bądź błogosławiony, synu Indyi! Odkupienie się zbliża. Z dwoma innymi, którzy przyjdą z dalekich stron świata, ujrzycie Odkupiciela i będziecie świadczyć o Jego przyjściu. Wstań rano i idź na spotkanie towarzyszków, a całą wiarę złoż w Duchu, który ciebie i ich wieść będzie.

— Od tego czasu światło pozostało ze mną; wiedziałem, że było ono znakiem obecności Ducha. Rano ruszyłem tą samą drogą, którą tu przyszedłem, w otworze góry znalazłem kamień wielkiej wartości; który sprzedawłem w Hurdwar. Przez Lahor, Kabul i Yezd przybyłem do Ispahanu, gdzie kupiłem wielbłąda. Stamtąd wiodła mnie gwiazda do Bagdadu, gdzie, nie zastawszy żadnej karawany, postanowiłem podróżować sam bez trwogi, bo Duch był i jest ze mną! O jakże wielką jest łaska, której doznaliśmy, jakże wspaniała, o bracia, chwała nasza! Zobaczymy Odkupiciela, będziemy mówić do Niego i oddamy Mu cześć! — Skończyłem, bracia!

Greki, pełen życia i ognia, głośno wypowiadał zadowolenie swoje; Egipcjanin zaś zaczął swą opowieść z charakterystyczną powagą:

— Pozdrawiam was, bracia moi. Cierpiełście wiele, dzieliłem waszą boleść, cieszę się wspólnie zwycięstwem. Posłuchajcie teraz mojej historii.

Napiwszy się wody z obok stojącego bukłaka, tak począł mówić:

— Urodziłem się w Aleksandryi, z rodu książąt i kapłanów, wychowanie odebrałem stósowne do mego rodu. Wezas bardzo uczułem niezadowolenie z nauki religii, tyczącej duszy po śmierci. Wierzyłem, że dusza ludzka do wyższych celów jest przeznaczona i tonąc w rozmyślaniach, ujrzałem jasno, że śmierć jest tylko punktem rozstania, po którym źli idą na potępienie, wierni zaś wierze i sprawiedliwości wznoszą się do wyższego życia, pełnego radości wiekuistej: życia z Bogiem i w Bogu. Opuściłem świat, poszedłem tam, gdzie nie było ludzi, ale był Bóg. Udałem się w głąb Afryki. Na wysokiej górze, u której stóp wije się szeroka rzeka, tam zamieszkałem. Dłużej niż rok góra ta była mi domem, owoc palm żywił ciało, modlitwa duszę. Pewnej nocy przechadzałem się wśród palm w pobliżu jeziora, wołając

w myśli: ludzkość ginie, kiedyż przyjdiesz, o Boże? miałbym nie wiedzieć odkupienia? Zwierciadło wody świeciło gwiazdami, jedna z nich zdawała się poruszać i zniżać nad powierzchnią wody, od której nabrała nowego blasku, olśniewającego wzrok, i zwolna posunęła się ku mnie; zatrzymała się wreszcie nad moją głową tak blisko, że zdawało mi się, iż ją ręką dosięgnę. Padłem na ziemię i ukryłem twarz w dłoniach, a głos nadziemski dał się słyszeć: Dobre twoje uczynki zwyciężyły. Z dwoma innymi z dalekiego świata zobaczycie Zbawiciela i świadczyć o Nim będziecie. Wstań i idź na ich spotkanie, a gdy wszyscy przybędziecie do świętego miasta Jeruzalem, pytajcie ludzi, gdzie jest Ten, który się narodził król żydowski? Albowiem wi-



dzieliśmy Jego gwiazdę na Wschodzie, idziemy, aby Mu oddać cześć. A złóż ufność w Duchu, który cię prowadzić będzie.

— Na potwierdzenie tych słów światło rozproszyło ciemności i zostało ze mną, rządziło mną i prowadziło. Gwiazda wiodła mnie wzdłuż rzeki do Memfis, gdzie zaopatrzyłem się we wszystko co potrzebne na pustyni. Kupiłem wielbłąda i przybyłem bez odpoczynku przez Suez i Kufileh, przez kraje Moabu i Ammonu aż do tego miejsca. Bóg z nami, bracia!

Wewnętrznej ulegając sile, wszyscy trzej wstali i podali sobie ręce.

— Czyż może być wyraźniejsze i wznioślejsze powołanie? — mówił Baltazar. — Gdy znajdziemy Pana, bracia, wraz z nami wszelkie pokolenia cześć mu oddadzą!

Po tych słowach zapanowało milczenie przerywane westchnieniami i uświęcone łzami. Była to radość nieopisana, radość dusz u brzegów zdroju życia, dusz spoczywających w Odkupicielu i upojonych obecnością Boga!

W końcu ręce ich opadły, wszyscy wyszli za namiotu, pustynia była spokojną jak niebo, słońce zachodziło, wielbłądy spały.

Za chwilę zwinięto namiot, resztki zapasów schowano do pudła, poczem podróżni wsiedli na wielbłądy, a Egipcyanin przewodniczył im. Jechali zwolna wśród chłodnej nocy, wielbłądy równym szły tempem. Podróżni jechali w głębokiej pogrążeni zadumie.

Księżyc wznosił się powoli, a trzy wysokie białe postacie cicho postępowały w świetle jego. Nagle w powietrzu nad nimi, nie wyżej jak wierzchołki najbliższego pagórka, zajaśniał płomień; serca podróżnych zabiły przyspieszonym tętnem, święty dreszcz przeniknął ich i wszyscy jakby jednym zawołali głosem: „Gwiazda! Gwiazda! Bóg z nami!“

ROZDZIAŁ II.

W otworze zachodniego muru Jerozolimskiego tkwiły dębowe oddrzwia zwane bramą Betleemską lub Jopejską. Plac, znajdujący się przed tą bramą, jest jedną z najznacześniejszych części miasta. Za dni Salomona wielki tu był handel, brali w nim udział kupcy z Egiptu i bogaci handlarze z Tyru i Sydonu. Od owej chwili trzy tysiące lat minęło, a i dziś jeszcze odbywa się targ na tem miejscu. W ową epokę i na taki targ wiodę czytelnika.

Była trzecia godzina dnia — Żydzi liczyli godziny poczynawszy od wschodu słońca; pierwszą godziną była pierwsza po wschodzie słońca — i wiele ludzi już się rozeszło; jednakże natłok niewiele się zmniejszył. Między nowo przybyłymi szczególniejszą budziła uwagę grupa składająca się z mężczyzny, kobiety i osła.

Mężczyzna stał przy osle, trzymając ramię, na którym go prowadził; oparł się na kiju, który mu służył do popędzania osła i podpierania się. Ubiór jego taki jak wszystkich innych Żydów, tylko

wydaje się nowym. Sądząc z rysów twarzy, liczył około pięćdziesięciu lat życia, broda jego siwizną przypruszoną; rozgląda się niepewnie i ciekawie, co dowodzi, że jest tu obcym. Osiół zajada wiązkę zielonej trawy, jakiej pełno na targu, i zadowolony nie zważa na to, co się dookoła niego dzieje, ani też na kobietę siedzącą na jego grzbiecie w miękko wysłanem siodle. Postać niewiasty okrywa z wierzchu suknią z wełnianej materyi, a biała zasłona osłania głowę i szyję. Od czasu do czasu uchylała nieco zasłony, aby spojrzeć dookoła. Wreszcie zaczął ktoś nieznajomego męża:



— Czy nie jesteś Józefem z Nazaretu?

Mówiący stał tuż obok zapytanego.

— Tak mnie nazywają — odparł Józef,

zwracając się ku pytającemu z powagą — A ty . . . ach! pokój tobie! wszakżeś mój przyjaciel Rabbi Samuel.

— Wzajemnie pozdrawiam cię — rzekł Rabbi a patrząc na kobietę, dodał po chwili: pokój tobie, twemu domowi i wszystkim przyjacielom twoim.

Przy ostatnich słowach położył rękę na piersi, pochylił głowę ku kobiecie, która odsunawszy zasłony, ukazała oblicze prawie jeszcze dziecięce.

Znajomi podali sobie ręce, jakby je mieli do ust podnieść, w ostatniej chwili jednak cofnęły uścisk, każdy pocałował swoją rękę, kładąc potem dłoń na czole.

— Na waszych szatach tak mało pyłu — rzekł Rabbi — zapewne noc przepędziliście tu w mieście ojców naszych.

— Nie — odparł Józef — wczoraj zdążyliśmy przed nocą tylko do Betanii, tam nocowaliśmy, a o brzasku puściliśmy się dalej.

— A zatem macie jeszcze podróż przed sobą — czy może do Joppy?

— Nie tak daleko, tylko do Betleem.

Zachowanie się Rabbiego, dotąd szczere i przyjacielskie, zmieniło się teraz, oblicze nabrało groźnego, posępnego wyrazu, a z gardła ozwał się chrapliwy głos.

— Tak, tak — widzę — urodziłeś się w Betleem i wiesz tam córkę, aby być wpisanym w księgi stósownie do rozkazu cesarza. Dzieci Jakóba są w niewoli, jak niegdyś w Egipcie, ale nie masz ani Mojżesza, ani Jouzego. Gdzież nasza potęga!

Józef odpowiedział, nie zmieniając ani głosu ani postawy:

— Niewiasta ta, nie jest moją córką.

Rabbi nie zważając na to tłumaczenie, mówił dalej: — Cóż robią Zeloci w Galilei?

— Jestem cieślą, a Nazaret mieścina — odparł Józef rozważnie, — ulica przy której stoi ławka moja, nie prowadzi do żadnego większego miasta. Obrabianie drzewa i piłowanie desek zabiera mi tyle czasu, że nie mogę brać udziału w sporach stronnictw.

— Przecież Żydem jesteś — rzekł Rabbi poważnie — jesteś Żydem, i to z pokolenia Dawida; nie sędzę, abyś chętnie płacił inną daninę, jak tę, którą dawny zwyczaj nakazał składać Jehowie.

Józef milczał, a jego przyjaciel mówił dalej: Nie żalę się bynajmniej na podwyższenie podatku . . . denar, to nic. Ale czemu jest ten podatek, jeśli nie obrażą naszej narodowości, jeśli nie uległością wobec tyrana. Powiedz mi, jest-że to prawda, że Juda mieni się Messyaszem? Musisz to wiedzieć, bo żyjesz wśród jego uczniów.

— Słyszałem od jego zwolenników to samo — odpowiedział Józef.

W tej chwili uchyliła się zasłona i twarz niewiasty zabłysła przed okiem Rabbiego, piękność jej rozjaśniało wejrzenie pełne uroku i zajęcia, a rumieniec oblał czoło i twarz, poczem znów zasłona ukryła wszystko. Rabbi zapomniał o czem mówił i cichszym głosem rzekł: Córka twoja jest skromną.

— Nie jest moją córką — powtórzył Józef.

Ciekawość Rabbiego rosła, co widząc Nazarejczyk, dodał spiesźnie: Jest córką Joachima i Anny z Betleem, o których pewnie słyszałeś, gdyż używali dobrej sławy.

— Tak — potwierdził Rabbi z uszanowaniem — znałem ich, ród wiedli od Dawida, znałem ich dobrze.

— Nie żyją już — mówił dalej Józef — umarli w Nazarecie i zostawili dom. Oto ich córka, która nie mogąc inaczej dojść do swej własności, musiała podług naszego prawa, zaślubić najbliższego krewnego. Jest więc moją żoną.

— Teraz rozumiem, jako urodzeni w Betleem, udajecie się tam stosownie do rzymskiego edyktu, aby swe imiona podać do spisu ludności.

Mówiąc te słowa, załamał Rabbi ręce ze zgrozą, a spojrzawszy ku niebu, wołał: — Bóg Izraela żyje! w prawicy jego zemsta! — To rzekłszy, odwrócił się i spiesźnie odszedł.

A także Józef z małżonką swoją, ponieważ sieł ich już się był posilił, ruszył drogą w stronę Betleem. Słońce silnie przypiekało, to też Marya zdjęła zasłonę, ukazując głowę bez nakrycia. Korzystajmy z tej chwili i przypatrzmy się jej bliżej.

Nie miała więcej lat piętnastu. Twarz owalna, cery bladawej, nos kształtny, wargi nieco rozwarłe i pełne, nadawały ustom wyrazu słodyczy, czułości i ufności; oczy duże, niebieskie, ręce długie; śliczne, złote włosy spadały w cudnej z całością harmonii na jej ramiona. Z całej jej postaci bił blask niezwyklej czystości. Często zwracała wzrok ku niebu, a drżące jej usta wymawiały słowa modlitwy. Józef zwracał się od czasu do czasu ku niej a widok jej napełniał go niebiańską radością.

Tak przebyli wielką równinę i dotarli do wzgórza Mar Elias, a przeszedłszy przez



dolinę, poryzybyli do Betleem. Natłok ludu był tu wielki, a Józef widząc takie przepełnienie, zaczął się lękać, ażali znajdzie pomieszczenie dla Maryi. Nie zatrzymując się dłużej i na nikogo nie zwracając uwagi, szedł dalej i stanął dopiero u drzwi gospody miasta przy rozstajnych drogach.

Aby dobrze zrozumieć, co się Nazareńczykowi wydarzyło w gospodzie, trzeba wiedzieć, że gospody na Wschodzie niczem nie były podobne do gospód ludów zachodnich. Nazywano je khanami z perskiego, a były to po prostu miejsca ogrodzone, ale bez domów ni szafłasów, często bez bramy lub jakichkolwiek drzwi. Obierając miejsce na taką gospodę, myślano tylko o cieniu, ochronie osób, dobytku ich i wodzie. Takiemi były gospody, w których odpoczywał Jakób, gdy szedł po żonę do Padan-Aram, a podobne do nich można dziś jeszcze widzieć na oazach pustyni. Niektóre z nich, szczególnie przy gościńcach wiodących do wielkich miast, jak między Jerozolimą a Aleksandryą, były urządzone po książęcemu, były to zwykłe fundacye królewskie. Tego rodzaju khany były wtedy domem i własnością szejka, który wywierał stąd wpływ na całe swoje pokolenie. Ostatecznem przeznaczeniem takiej budowy było mniej pomieszczenie i ugoszczenie podróżnych, jak raczej były one targowicami, twierdzami, punktami zbornymi dla kupców i rzemieślników, — czasem tylko schronieniem dla spóźnionych lub zbłąkanych podróżnych; zresztą wśród tych murów, jak rok długi, załatwiano rozmaite sprawy sądowe i targowe, jakby na rynkach miejskich.

W zwykłych gospodach nie było ani gospodarza, ani gospodyni, służącego lub kucharki; stróż u bramy przedstawiał cały zarząd i wszelką władzę. Nikt tu nie rozkazywał ani nikt nie podawał rachunków; wynikiem tego systemu było, że każdy przybywający przywoził żywność dla siebie i zwierząt, lub nabywał je od kupców będących właśnie w gospodzie. Tak samo było z łóżkiem i pościeleniem; właściciel i zarządca dawał tylko wodę, odpoczynek, opiekę i schronienie, a dawał je dobrowolnie i bezinteresownie.

W miejscowości takiej jak Betleem, gdzie był jeden tylko szejik, nie mogło być więcej gospód; a Nazareńczyk, chociaż tu urodzony, nie mógł rachować na gościnność w mieście, tem bardziej, że od dawna



Marja i Józef w podróży do Betleem.

tu nie mieszkał. Co więcej, spis dla którego tu przybył, mógł trwać tygodnie a nawet miesiące, gdyż rzymskie prowincjonalne władze odznaczały się taką powolnością, że weszła w przysłowie. Wobec tego wszystkiego nie podobna było zamieszkać u znajomych lub krewnych, a Józef, w miarę jak zbliżał się do gospody, coraz popędzał osła, choć było pod górę, bo droga była nabitą ludźmi, którzy z wielkim hałasem prowadzili bydło, konie, wielbłądy itd. Widząc natłok obcych, Józef zaniepokoił się, ażali znajdzie gdziekolwiek pomieszczenie, bo rzeczywiście tłum oblegał drzwi gospody, a podwórze jej, jakkolwiek obszerne zdawało się być przepełnione. Tuż u bramy siedział na dużym pniu cedrowym stróż gospody, włócznia jego o mur oparta, a pies leżał u stóp jego.

— Pokój Jehowy z Tobą — rzekł Józef, dotarłszy w końcu do stróża.

— Czego mnie życzysz, i ja tobie życzę, a co posiedziesz, niech się mnoży tobie i dzieciom twoim — odparł stróż poważnie, nie ruszając się wcale.

— Urodziłem się w Betleem — rzekł Józef rozważnie — czyliż nie znajdę miejsca dla —

— Niema.

— Słyszeliście może o mnie, jestem Józef z Nazaretu. Tu jest dom ojców moich, bo jestem z pokolenia Dawidowego.

Słowa te podtrzymywały nadzieję Nazareńczyka; jeśli one go zawiadą, każde inne nie zdadzą się na nic, nawet ofiara kilku syklów. Być synem Judy, to cenna rzecz — ale nierównie cenniejszą w opinii pokoleń było, być z domu Dawidowego, — nie było nic zaszczytniejszego.

Z uszanowaniem powstał stróż z miejsca swego i rzekł: Rabbi, nie mogę ci powiedzieć, kiedy te drzwi po raz pierwszy się otwarły na powitanie podróżnego, dawniej to pewno niż tysiąc lat, a od tego czasu nigdy nie zamknęły się przed dobrym człowiekiem, jeśli tylko było miejsce, na któremby spoczął. Gdyśmy tak potępowali z obcymi, jakże innaczej mielibyśmy czynić z swoimi? A jednak musi być słuszna, kiedy stróż domu tego mówi potomkowi Dawida: „niema miejsca!“ Dlatego pozdrawiam cię na nowo, a jeśli chcesz się sam przekonać, chodź za mną, a pokażę ci, że niema miejsca w gospodzie:

ani w izbach, ani w podwórzu. ani na dachu. Mogę cię zapytać. Rabbi, kiedy przybyłeś?

— Dopiero przed chwilą.

Stróż uśmiechnął się, mówiąc:

— Obcy, który mieszka pośród was, niechaj będzie jako jeden z was i macie go miłować jako siebie. — Czy nie tak mówi prawo, Rabbi?

Józef milczał.

— Jeśli takie jest prawo, ażaliż mogę powiedzieć takiemu, który pierwiej przybył: Idź swoją drogą, bo oto przybył inny, który zajmie miejsce twoje? — Józef słuchał mowy jego spokojnie.

— Gdybym nawet tak powiedział, czyliż miejsce to przynależałoby tobie? Patrz, jako ich wielu czeka od dziewiątej.

— Któż są ci wszyscy ludzie? — zapytał Józef, wskazując na tłum — i co ich tu sprowadza?

— To, co zapewne i ciebie, Rabbi, edykt cesarski. — Tu stróż rzucił pytające spojrzenie na Nazarejczyka, potem mówił dalej — ta przyczyna ściągnęła większą część tych, którzy są w gospodzie. Prócz tego przybyła wczoraj karawana jadąca z Damaszku do Arabii i Dolnego Egiptu. To, co tu widzisz najbliżej, należy do tej karawany, tak ludzie jak i wielbłądy.

Józef jeszcze nie ustąpił.

— Podwórze takie obszerne — rzekł.

— Tak, ale całe założone tłumokami, pakunkami jedwabiu, kora i innymi towarami.

Tu twarz podróżnego zaszła smutkiem, oczy spuścił na dół i rzekł wzruszony: Nie dbam o siebie, ale mam żonę z sobą, noc ciemna, zimniejsza na tej wysokości niżli w Nazaret, nie może ona przepędzić nocy pod gołym niebem. Czy nie znalazłoby się dla niej jakie miejsce w mieście?

— Ci ludzie — odrzekł stróż, wyciągnawszy rękę w kierunku tłumy stojącego przed bramą — byli wszyscy w mieście i mówią, że wszystko jest zajęte.

Znów Józef patrzył w ziemię, mówiąc na wpół do siebie: „ona taka młoda! jeśli jej uścieleę posłanie na wzgórzu, zimno ją zabije.“

Potem znów przemówił do stróża:

— Może znaliście jej rodziców Joachima i Annę z Betleem, równie z rodu Dawidowego?

— W młodości mojej znałem ich, byli to sprawiedliwi ludzie.

Mówiąc to, spuścił stróż oczy w zamyśleniu, nagle podniósł głowę i rzekł:

— Nie mogę zrobić miejsca dla ciebie, Rabbi, ale bez dobrej rady nie puszcze cię. Ileż was osób jest?

Józef zamyślił się, a potem odpowiedział: — Tylko żona i ja.



— Dobrze, nie przepędzicie nocy na dworze. Sprowadź żonę, a spiesz się, bo gdy słońce zajdzie za górę, rychło noc nadejdzie.

— Błogosławię cię błogosławieństwem podróżnego bez dachu, błogosławieństwo gościa nie ominie cię również.

Mówiąc to Nazarejczyk, spiesznie wrócił do Maryi, którą był w czasie rozmowy ze stróżem gospody zostawił w pewnym oddaleniu a wróciwszy z nią, rzekł:

— Oto ta, o której mówiłem.

Marya miała twarz odsłoniętą.

— Niebieskie oczy i złote włosy — zauważył po cichu stróż, patrząc na Maryę. — Takim był młody Dawid, gdy śpiewał Saulowi.

Biorąc rzemienne lejce z rąk Józefa, rzekł do Maryi: — Pokoj Tobie, córko Dawida, — a do Józefa — Rabbi, pójdź za mną.

Szli wążkiem przejściem, które wiodło przez podwórze gospody, a potem zwrócili się za przewodem stróża ku wapiennym wzgórzom, wznoszącym się za gospodą po zachodniej stronie.

— Prowadzisz nas do jaskini — zauważył Józef.

— Jaskinia, do której idziemy — rzekł, zwracając się do Maryi stróż — była schronieniem twojego dziada Dawida; uprowadzał on tu dotąd przed niebezpieczeństwem trzody swoje z pól poniżej nas będących, tam, gdzie oto źródło w dolinie; później, gdy był królem, szukał w tej starej chacie zdrowia i odpoczynku; lubił też sprowadzać tu wielkie trzody, a żłoby ich są tu jeszcze, jako były za dni jego. Lepiej odpocząć pod dachem, gdzie on sypiał, niż w podwórzu lub przy drodze. Ale oto i chata przed jaskinią.

Chata była niska i ciasna, właściwie była wejściem do skały z którą była złączona, i nie miała żadnego okna. Prócz wrót na wielkich zawiasach i ścian żółtą polepionych gliną, nie było nic więcej.

Podczas, gdy drewniane rygle odsuwano, Marya zsiadła z osła, a stróż, otworzywszy wrota, zawołał: chodźcie!

Podróżni weszli, rozglądając się wokoło, i wnet spostrzegli, że chatka służyła tylko do zakrycia otworu jaskini czy groty, prawdopodobnie naturalnej, długiej około czterdziestu stóp, dziewięć do dziesięciu wysokiej, a dwanaście do piętnastu szerokiej. Światło padało przez drzwi i dostatecznie oświecało wnętrze, tak że można było widzieć nierówną, pełną wyboi podłogę, na której leżały resztki siana, słomy i innych domowych zapasów, zajmujących cały środek komory. Przy ścianach były niskie, kamienne, cementem lepiące żłoby dla owiec, bez żadnych zagrożeń ani klatek. Jakkolwiek śmieci i słoma pokrywały wszelkie zagłębienia podłogi, a pajęczyny wiszące tu i owdzie, wyglądały jak kawałki brudnego płótna, miejsce to nie było gorszem od wnętrza gospody.

— Wejdźcie — rzekł przewodnik — a cokolwiek tu znajdziecie, jest przeznaczonem dla takich, jak wy podróżnych, bierzcie więc. — Potem rzekł do Maryi:

— Możeszże tu spocząć?

— Miejsce to świętem jest — odpowiedziała.

— Żegnam was. Pokój z wami!

Gdy poszedł, podróżni zajęli się uporządkowaniem jaskini.

O oznaczonej godzinie przed wieczorem ustał hałas i ruch w gospodzie, a zapanowała uroczysta cisza; w tym bowiem czasie każdy Izraelita, z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, zwracał się ku Jerozolimie, modląc się. Była to święta dziewiąta godzina dnia, w której składano ofiarę w świątyni na górze Moria. Skoro ręce modlących opadły, ruch rozpoczął się na czas krótki na nowo: jedni zasiedli do wieczerzy, drudzi zabierali się do spoczynku. Chwilę później światła pogasły, zapanowała cisza, i wszyscy poukładali się do snu.

.

Nagle, około północy, ktoś na dachu zawołał: Wstawajcie, bracia, wstawajcie i patrzcie, jako niebiosą goreją.

Na głos ten ludzie półsenni, siadali na posłaniu, patrzeli nie rozumiejąc, a spojrzawszy na niebo, budzili się od razu, lecz jeszcze niczego pojąć nie mogli. Ruch z dachu przeszedł na podwórze, wkrótce cała ludność z gospody, podwórza, podziemia i oparkanienia patrzyła z podziwieniem na niebo.

I widzieli promień światła, zaczynający się na skłonie nieba poniżej najbliższej gwiazdy, skąd ukośnie padał na ziemię; u szczytu promienia świeciła modra gwiazda, rzucająca świetlaną smugę niby snop promieni. Z boków jasność spływała łagodnie, łącząc się z ciemnościami nocy, gdy rdzeń jej gorzał jako słońce. Zjawisko zdawało się tkwić na najbliższej górze i tworzyło blade uwieńczenie szczytu wapiennych wzgórz. Było tak jasno, że ludzie widzieli wzajemnie swoje twarze i wyryte na nich zdziwienie.

Promień świecił ciągle, zdziwienie zmieniać się zaczęło w bojaźń i lęk; bojaźliwsi drżeli, odważniejsi rozmawiali szeptem.

— Widziałeś kiedy coś podobnego? — pytał jeden.

— Zdaje mi się, że światło wisi nad górą; nie mogę powiedzieć co to jest, nigdy czegoś podobnego nie widziałem — brzmiała odpowiedź.

— Byłaby to spadająca gwiazda? — zapytał inny niepewnym głosem.

— Skoro gwiazda spadnie, światło gaśnie.

— Już wiem — zawołał jeden — pasterze ujrzeni lwa i zaświecili ogień, aby go zdala zatrzymać od trzody.

Najbliższy sąsiad mówiącego odetchnął swobodniej i rzekł twierdząco: Tak, to nie innego, gdyż się dziś tyle trzód rozbiegło w dolinie.

— Nie, nie! Gdyby wszystkie drzewa z całej judzkiej doliny na jeden stos złożono i zapalono, jeszczeby płomień nie był tak jasny.

Widząc, że nic się dalej nie dzieje groźnego, uspokoili się ludzie i wnet nastąpiła cisza.

Bracia — przerwał ją wreszcie żyd o sędziwym obliczu — powiadam wam, jasność ta, to drabina, którą ojciec nasz Jakób widział we śnie. Niech będzie błogosławiony Bóg ojców naszych.



ROZDZIAŁ III.

O dwie mniejwięcej mile na południe-wschód od Betleem leży dolina oddzielona od miasta pasmem wzgórz. Rosną na niej drzewa karłowate: dęby, sosny i morwy. Ponieważ dolina ta zasłonięta jest od wiatrów północnych, służy ona, czy to latem czy też zimą, za doskonałe pastwisko dla trzód, które tudotąd pasterze zganiają. Niedaleko od miasta znajdowało się wielkie schronisko dla owiec, dokąd mogli się pasterze wraz z swemi trzodami schronić. Było to miejsce otoczone murem wysokości człowieka i ubezpieczone dokoła gęstymi krzami cierniowymi, aby śnać dziki zwierz, jak lew lub pantera, nie wpadł do owczarni i nie uczynił szkody. Dnia poprzedniego, w którym zaszły co dopiero opowiedziane wypadki, przybyła pewna



liczba pasterzy z swemi trzodami do tej doliny i od wczesnego już ranka brzmiały zarośla nawoływaniem, hukiem siekier, beczaniem kóz i owiec, rykiem bydła i szczekaniem psów. O zachodzie słońca spędzono trzody do zagrody, a gdy wieczór zapadł, pasterze zapalili wielki ogień niedaleko bramy, posilili się skromną wieczerzą i siedli, aby odpocząć i pogwarzyć, zostawiając zawsze jednego z pośród siebie na straży.

Widok tych ludzi dziwne robił wrażenie — nie nakrywają nigdy głów, to też twarde włosy sterczą wypalonemi od słońca kępkami, brody kędzierzawe, splecione w warkocze zastaniają szyję i piersi, dodając postaciom wyrazu dzikości. Za odzienie służą im skóry kozie lub baranie na zewnątrz włosem obrócone, grubym pasem w biodrach ujęte a zostawiające ręce i nogi obnażone aż do kolan. Stroju dopełniały małe woreczki zwieszane z prawego ramienia, a zawierające zapasy żywności i kamienie do tradycyjnej procy, w którą każdy był uzbrojony. Obok każdego leżał kij pasterski, symbol powołania i broń przeciw napaści. Rozmawiali o swych trzodach i przygodach dnia tego, aż sen skleił ich powieki.

Noc była jasna, mroźna, gwiazdzista, bez żadnego wiatru. Atmosfera zdawała się być tak czystą, jak nigdy, czuć było jakiś święty powiew, jakby przecucie, że niebo zbliży się ku ziemi, aby jej szepnąć wieść dobrą.

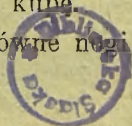
Przy wejściu do zagrody chodził miarowym krokiem będący na straży pasterz; czasem, usłyszawszy jakiś głos wśród śpiącej trzody lub krzyk szakala od strony gór, przystawał i nasłuchiwał. — Północ się zbliżała. — Poszedł więc ku ognisku, aby zbudzić następującego po nim pasterza, gdy nagle oblała go niezwykła jasność, łagodna, niby księżycowa; ujrzał całą dolinę, pastwiska, trzodę, wszystko jak za jasnego dnia. Dreszcz wstrząsnął nim całym. Spojrzał w górę, nie widział gwiazdy, światło jakby z otwartego w niebie okna padało na ziemię; wielce przerażony zaczął wołać:

— Wstawajcie! Wstawajcie!

Psy zaczęły skomlić ze strachu.

Trzody zbiły się w jedną kupa.

Pasterze zerwali się na równe nogi i chwycili za broń.



— Cóż się dzieje? — pytali.

— Patrzcie! — zawołał stróż — Niebo w płomieniach!

Nagle jasność nabrała jeszcze siły, pasterze zakrywając oczy, padli na twarze; wtem usłyszeli głos pełen niepojętego uroku:

— Nie bójcie się.

Słuchali.

— Nie bójcie się, bo oto oznajmiam wam wielką radość, która napelni wszystkie narody ziemi.

Głos pełen słodyczy, spokoju, czysty, poruszył ich do głębi i napenił ufnością. Uklękli z czcią i ujrzeli wpośród jasności postać ludzką, w szacie nadzwyczajnej białości, ponad jej ramionami wznosiły się końce skrzydeł; nad głową postaci świeciła gwiazda, ręce wzniosła nad pasterzami, błogosławiąc im, a twarz jej była dziwnie spokojna i cudownie piękna.

Nieraz słyszeli pasterze Judei i w swej prostocie rozmawiali o aniołach, żadna też wątpliwość nie powstała w ich sercach, a w uniesieniu myśleli: „Chwała Boża jest pośród nas; Bóg posłał do nas Anioła, jako kiedyś posyłał do proroków Swoich.“

Anioł mówił dalej: Dziś narodził się wam Zbawiciel w mieście Dawidowem, który jest Chrystus Pan.

I znów nastąpiła cisza, a słowa jego wyrwały się w sercach pasterzy.

— A ten wam znak — mówił anioł dalej — znajdziecie niemowlątko owinięte w pieluszki, położone w żłobie.

Święty posłaniec nie mówił już więcej; został jednak jeszcze chwilę; a gdy pasterze stali oniemieni, pojawiły się niezliczone zastępy aniołów, chwalejących Boga i mówiących:

„Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.“

Ten hymn pełen uroczystych tonów brzmiał długo i powtarzał się wiele, wiele razy.

Nareszcie anioł wznosił w niebo oczy, zwolna poruszył skrzydłami, roztaczając je poważnie, a były one wewnątrz białe jak śnieg i mieniające niby muszle morskie. Rozpostarłszy skrzydła, uniósł się anioł lekko bez trudu i zniknął wraz z światłem. Długo jeszcze po Jego odejściu słychać było z górnych sfer hymn, w miarę od-

dalenia eichnący: „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.“

Gdy pasterze wrócili do przytomności, patrzeli na siebie ze zdziwieniem, nareszcie jeden z nich rzekł: — To był Gabryel, posłaniec Pana do ludzi.



Wszyscy milczeli.

— Chrystus Pan się narodził; alboż nie tak mówił?

Wtedy drugi odzyskał mowę i odpowiedział: — Tak mówił.

— Wszak mówił także, że to się stało w mieście Dawidowem, a to jest Betleem; wszakże mamy znaleźć dziecko owinięte w pieluszki.

— I położone w żłobie.

Ten, który mówił pierwszy, patrzył zamyślony w ogień, nareszcie rzekł jakby nagle opanowany postanowieniem: — Jedno jest tylko miejsce w Betleem, gdzie są żłoby, jedno tylko, a to w jaskini w pobliżu za gospodą. Bracia, chodźmy i obaczmy to, co się stało. Kapłani, doktorowie i uczeni w Piśmie od dawna oczekują Chrystusa i oto narodził się, a Pan dał znak nam, po którym poznamy Go. Chodźmy oddać Mu pokłon.

— Jakże zostawimy trzodę?

— Pan strzedz jej będzie. Spieszmy się!

Wszyscy wstali i opuścili zagrodę.

Minęli góry i miasto i stanęli u bramy gospody, a u bramy zastali stróża.

— Czegóż chcecie? — zapytał.

— Widzieliśmy dzisiaj wielkie rzeczy i usłyszeliśmy wielką nowinę.

— Widzieć... i myśmy widzieli, ale nie nie słyszeli. I cóż słyszeliście?

— Chcemy iść do jaskini, aby się o wszystkim przekonać; a po tem ci opowiemy. Chodź z nami i obacz oczami własnymi.

— Daremna droga!

— Bynajmniej, narodził się Mesyasz!

— Mesyasz? Skąd to wiecie?

— Chodź i patrz.

Stróż rozśmiał się pogardliwie.

— Mesyasz? — powtórzył — po czem chcecie Go poznać.

— Urodził się dzisiaj nocy i leży w żłobie. Tak nam oznajmiono. A jest tylko jedno miejsce w Betleem, gdzie są żłoby.

— W jaskini?

— Tak jest... chodź z nami.



Oddanie pokłonu przez pasterze.

Przeszli podwórze gospody, nie zatrzymywani już przez nikogo, mimo że niektórzy w gospodzie się znajdujący bynajmniej nie spali i rozmawiali o światłości, którą w nocy widzieli.

Drzwi do jaskini stały otworem. Wewnątrz błyszczał przy-
emionem światłem kaganiec. Przybyli weszli śmiało do wnętrza.

— Pokój wam! — rzekł stróż, zwracając się do Józefa. — Oto przyszedli ludzie, którzy szukają Dzieciątka, które narodziło się tej nocy, owinięte jest w pieluszki i leży w żłobie.

Promień radości przebiegł po obliczu Józefa. Zwróciwszy się ku wnętrzu jaskini, wskazał ręką i rzekł:

— Oto tam!

I zaprowadził ich do żłobu, w którym leżało Dzieciątko. Przy świetle kagańca ujrzeli niemowlę i oglądali je w niemem podziwieniu. Dziecię nie ruszało się i było podobne każdemu innemu nowonarodzonemu dziecięciu.

— To jest Chrystus — rzekł jeden z pasterzy.

— Chrystus — powtórzyli wszyscy, padając na kolana i oddając Mu cześć. Jeden z nich powtarzał z uniesieniem: — Oto Pan, pełne są niebiosy i ziemia chwały Jego.

Prości ci ludzie całowali brzeg sukni Matki i z radością odeszli. Wracając przez gospodę, opowiadali wszystkim co ich spotkało, a idąc przez miasto i całą drogę z powrotem do trzód, śpiewali hymn Aniołów: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“ Wieść o narodzeniu Chrystusa Pana rozeszła się po całej okolicy, a światło, które widziano, potwierdzało opowieść. Następnego dnia nawiedzały ciekawe tłumy jaskinię, wielu wierzyło, ale większość naigrawała się i szydziła.

ROZDZIAŁ IV.

Drogą od Shechem, jedenastego dnia po narodzeniu dzieciątka po południu, zbliżali się mędrcy do Jerozolimy; przeszedłszy strumień Cedron, spotykali mnóstwo ludzi, którzy stawali i ciekawie im się przypatrywali.

Geograficzne położenie Judei było bardzo korzystne, gdyż leżała na głównej drodze wiodącej przez pustynię. I kupecy, przebywający tamtędy, musieli zatrzymywać się w Jerozolimie, gdzie zniewoleni byli opłacać cło od przywiezionych towarów. Ruch w Jerozolimie był zatem znaczny; podobnie jak w Rzymie schodziły się tutaj wszelkie narodowości świata. Mimo to trzej mędrcy wzbudzali podziwienie u wszystkich.



Dziecko należące do gromadki kobiet, siedzącej przy drodze naprzeciw „grobow królewskich,” widząc jadących, złożyło ręczki, wołając: Patrzenie, patrzenie! jakież to piękne dzwonki! jakie wielkie wielbłądy!

Dzwonki były srebrne, a wielbłądy, jak wiemy, niezwyklej wielkości i białości, ruszały się z nadzwyczajną powagą; zaopatrzenie u siodeł świadczyło o długiej podróży a zarazeni o bogactwie ich właścicieli. Jednak ani dzwonki, ani wielbłądy, ani ubranie, ani zachowanie się podróżnych nie było tak dziwne, jak pytanie, które jadący na czele zadawał przechodniom.

Nasi podróżni zatrzymali się naprzeciw „grobow,” wprost owej gromadki niewiast.

— Dobrze niewiasty — rzekł Baltazar, gładząc brodę i wychylając się z pod namiotu — czy niedaleko już do Jerozolimy?

— Niedaleko — rzekła kobieta, za którą schroniło się dziecko. — Gdyby drzewa na owej grocie były niższe, mógłbyś widzieć stąd wieże miasta.

Baltazar spojrział na Greka i Indyjczyka, a potem zapytał:
— Gdzież mamy szukać Tego, który się narodził, Króla żydowskiego?

Kobiety popatrzyły po sobie, nie dając odpowiedzi.

— Ażaliż nie słyszałyście o Nim?

— Nie.

— A zatem opowiadajcie wszystkim, żeśmy widzieli Jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać Mu cześć.

To rzekłszy, pojechali dalej, pytając innych również daremnie. Koło grotty Jeremiasza spotkali liczne jadące towarzystwo, które tak się zdziwiło pytaniem i powierzchownością podróżnych, że zawróciło z drogi i pojechało wraz z nimi do miasta.

Trzej podróżni tak byli zajęci swoim posłannictwem, że nie zwracali uwagi na wspaniały widok, który się im ukazał, gdy zbliżali się ku miastu. Liczny tłum ciekawych towarzyszył podróżnym. Stanęli nareszcie przed bramą Damasceńską.

— Pokój tobie! — rzekł Egipcyanin czystym głosem.

Straż nie dała żadnej odpowiedzi.

— Przybywamy z dalekich stron, szukając Tego, który się narodził, Króla żydowskiego. Czy możesz nam powiedzieć, gdzie Go znaleźć możemy?

Żołnierz podniósł przyłbicy i zawołał głośno w stronę strażnicy. W tej chwili wyszedł starszy oficer (setnik). — Rozstąpcie się — zawołał na tłum; a gdy nie dość szybko usłuchano jego rozkazu, wysunął się naprzód, robiąc sobie miejsce dzirytem na prawo i lewo.

— Czego chcecie? — zapytał Baltazara.

— Gdzież jest Ten, który się narodził Król żydowski? — odrzekł Baltazar.

— Herod? — spytał Rzymianin zdziwiony.

— Herodowi Cezar dał królestwo, zatem nie Heród.

— Innego króla żydowskiego няма.

— Na wschodzie widzieliśmy gwiazdę Tego, którego szukamy, aby Mu oddać cześć.

Pomieszanie Rzymianina wzrosło.

— Idźcie dalej — odrzekł nareszcie — idźcie dalej... nie jestem Żydem... pytajcie o to Doktorów w świątyni, albo kapłana Hanny

(Annasza), a jeszcze lepiej, samego Heroda. Jeśli jest jaki inny król żydowski, on będzie wiedział, gdzie jest.

To mówiąc, przepuścił cudzoziemców, którzy minęli bramę i wjechali w wąską uliczkę. Baltazar zaś rzekł do towarzyszy: Osiągnęliśmy cel naszego przybycia, przed północą całe miasto będzie wiedziało o naszym posłannictwie. A teraz ruszajmy do gospody.

Tego samego dnia o zachodzie słońca kilka kobiet prało bieleznę na stopniach schodów wiodących do stawu Siloam. Każda z nich klęczała, mając przed sobą duże gliniane wiadro. Siedząca na najniższym stopniu dziewczyna podawała wyżej stojącym wodę. Kiedy tak były zajęte pracą, nadeszły dwie inne kobiety, aby nabrać wody w wiadra, które z sobą przyniosły.

— Pokój wam — rzekła jedna z nowo przybyłych. Pracujące odpowiedziały również pozdrowieniem.

— Noc nadchodzi, czas skończyć — rzekła jedna z nich.

— Jeszcześmy roboty nie skończyły — odrzekła inna.

— Ale czas iść na spoczynek i...

— posłuchać ploteczek — przerwała druga.

— Co słyszeć nowego.

— Jakto, czy nie wiecie?

— Nie, zgoła nie.

— Mówią, że się narodził Chrystus — rzekła przybyła i szybko opowiedziała co słyszała.

Ciekawym był widok rozjaśnionych twarzy praczek, które pousiadały na wiadrach obróconych dnem do góry i słuchały, od czasu do czasu przerywając opowiadającej wykrzyknikami.

— Chrystus, co mówisz?!

— Tak mówią.

— Kto?

— Wszyscy o tem opowiadają.

— Możnaż temu wierzyć?

— Dziś popołudniu przybyło trzech podróżnych przez Cedron drogą od Shechem — opowiadała mówiąca, chcąc pokonać wszelkie wątpliwości. — Każdy z nich jechał na wielbłądzie białym jak mleko, bez żadnej odmiany, i większym niż kiedykolwiek widziano w Jerozolimie.

Zdziwienie słuchaczek rosło, otworiły oczy i usta z wielkiego zdziwienia. — Muszą być bogaci — mówiła dalej opowiadająca — bo siedzieli pod jedwabnymi namiotami, przytwierdzonymi do złocistych siodeł. Wszystko zresztą, uzdy, frendzle, lśniło się od złota, a srebrne dzwonki wydawały śliczną muzykę. Jeden z nich, jadący na przodzie, zatrzymywał się i wszędzie po drodze



pytał dzieci, kobiet, przechodniów: „Gdzie jest Ten, który się narodził, Król żydowski?“ — Oczywiście nikt mu na to nie odpowiedział, nikt nie rozumiał czego chcieli, więc jechali dalej, a lud zdziwiony tłumaczył sobie pytania ich w najróżnorodniejszy sposób. „Szukamy, bo widzieliśmy gwiazdę Jego na Wschodzie i przychodzimy oddać Mu cześć“ — nikt tego zrozumieć nie zdołał. — O toż samo pytali Rzymianina w bramie, a on, nie mędrszy od prostego ludu po drodze, odesłał ich do Heroda.

— Gdzie są teraz?

— W gospodzie; tłumy ludu cisną się ustawicznie, aby ich widzieć

— Któż oni są?

— Nikt tego nie wie. Mówią, że są to Persowie, mędrcy, którzy rozmawiają z gwiazdami — prorocy może... tacy, jak niegdyś Eliasza lub Jeremiasza.

— O kim to oni myślą, pytając o Króla żydowskiego?

— Oczywiście o Chrystusie, który się narodził.

Jedna z kobiet, składając robotę, śmiała się i rzekła: Dobrze, gdy Go zobaczę, uwierzę.

Inna idąc za przykładem poprzedniej dodała: A ja nie uwierzę, aż ujrzę, że wskrzesza umarłych.

Trzecia rzekła spokojniej: Dawno był obiecany, to też dość mi będzie, gdy Go ujrzę uzdrawiającego trędowatych.

Tak rozmawiając, siedziały kumoszki długo, aż je noc i zimno zmusiły do pójścia do domu.

ROZDZIAŁ V.

Tegoż samego dnia późno wieczorem, kiedy zaciągano pierwszą nocną straż, odbywało się na rozkaz króla Heroda wielkie zebranie w pałacu na górze Syon. Przybyło na nie około pięćdziesięciu osób. A byli to znaczniejsi kapłani, uczeni w piśmie, doktorowie prawa, składający radę królewską. Między nimi byli przedstawiciele rozmaitych sekt: Faryzeusze, Saduceusze i Esseńczycy.

Komnata, w której odbywało się posiedzenie, znajdowała się w dolnej części pałacu, a była obszerną i urządzoną na sposób rzymski. Posadzka marmurowa, ściany bez okien, malowane na safianowy żółty kolor. Ława w kształcie litery U, zwrócona otworem do drzwi, zajmowała środek sali, a pokryta była szerokimi poduszkami z żółtego sukna. W zagięciu ławy, stał ogromny spiżowy trójnóg, kunsztownie złotem i srebrem wykładany; nad nim zaś zwieszał się od stropu świecznik o siedmiu ramionach, z utkwionym w każdym ramieniu kawałcem.

Mężowie, uczestniczący w naradzie, byli to ludzie podeszli w latach; długie ich brody, duże nosy, czarne błyszczące oczy nadawały im niezwykle grozą przejmującego wyrazu. Zachowanie się ich było pełne godności i powagi.

Na pierwszym miejscu siedział przewodniczący zebrania, po prawej i lewej stronie zajęła miejsca reszta członków. Szczególną zwracał uwagę przewodniczący; postaci wysokiej, przygarbiony i skurczony pod ciężarem lat, podobny był do szkieletu. — Biała szata zwieszała mu się w fałdach z ramion. Ręce w pół zakryte rękawami z białego i w czerwone pasy jedwabiu, złożył poważnie na kolanach. Gdy mówił, podnosił prawą rękę i wskazujący palec, aby słowom swoim dodać większego znaczenia. Szacunek wzbudzającą głowę okalały białe, jak jedwab cienkie włosy. Skronie mocno miał zapadnięte, to też czoło wystawało niby poorana skała, oczy bez blasku i niepewne, nos spiczasty; cała zaś niższa część twarzy ginęła w brodzie rozwianej a wspaniałej jak u Arona. Był to Hillel, Babilończyk. Mając już lat sto sześć, był jeszcze rektorem Wielkiej rady.

Na stole przed nim leżał zwój pergaminowy, hebrajskiem zapisany pismem; za siedzeniem jego stał paź, bogato ubrany, czekający na rozkazy.

Zgromadzenie rozpoczęło się przemową, potem nastąpiła rozprawa nad przedłożonemi do omówienia sprawami, a gdy doszli do wniosku, każdy przybrał wyraz jeszcze więcej uroczysty, poważny zaś Hillel, nie ruszając się, zawołał na pazia:

— Hist!

Chłopiec zbliżył się z uszanowaniem.

— Idź, powiedz królowi, że możemy mu dać odpowiedź. — Chłopiec wyszedł spiesźnie.

Po chwili weszli dwaj żołnierze i stanęli po obu stronach podwoi; za nimi wstąpiła do komnaty dziwna postać — starzec w purpurowej sukni z brzegiem szkarłatnym; złota taśma, tak cienka, że się gięła jak skóra, przytrzymywała szatę w pasie, sprzączki obuwia świeciły klejnotami. Wążka filigranowa korona błyszczała na jego głowie. Zamiast pieczęci u naplecznika wisiał sztylet. Szedł, kulejąc i opierając się ciężko na lasce. Nie podniósł oczu, aż gdy doszedł do zgromadzonych; wtedy jakby pierwszy raz ich ujrzał, spojrzał dumnie wokoło, jak ktoś zdziwiony i szukający nieprzyjaciela, tak ponurem, podejrzliwym i groźnem wejrzeniem. Był to Heród, zwany wielkim, godny naśladowca rzymskich cesarów, sumienia zbrodniami obciążonego, dzierżący mimo podkopanego zdrowia despotycznie berło, człowiek podejrzliwy, zazdrośny i okrutny.

Gdy Herod wszedł, powstał ogólny ruch w zgromadzeniu — starsi kłaniali się nisko, grzeczniejsi wstawali i oddawali pokłon.

Po odebraniu hołdu, Herod posunął się do trójnoga, stanął na przeciw Hillela, który pozdrowił go pochyleniem głowy

— Odpowiedź! — rzekł król rozkazującym tonem do Hillela, oparłszy się dumnie obiema rękoma na lasce — odpowiedź!

Oczy Patryarchy świeciły łagodnością, podniósł głowę, a patrząc śmiało w oblicze królewskie, rzekł wśród ogólnego milczenia.

— Niechaj pokój Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba będzie z tobą, o królu.

Słowa te były jakby inwokacyą, wstępem; potem innym tonem mówił dalej:

— Pytałeś nas, gdzie się ma narodzić Chrystus?

Król skinął głową twierdząco, ale złowrogiego wzroku nie odwrócił od mędrcą:

— Takie stawilem pytanie.

— Więc dowiedz się, królu — mówię tu w swoim i całego zgromadzenia imieniu, bo wszyscy się na jedno zgadzamy: w Betleem w Judei.

Tu Hillel spojrzał na zwój pergaminowy, leżący na trójnogu, a wskazując nań drżącym palcem, rzekł: w Betleem w Judei, bo napisano jest przez Proroka: „I ty, Betleem, ziemio Judzka, nie jesteś ostatnia między książęty Judzkiemi, bo z ciebie wyjdzie Ten, który opanuje cały naród Izraelski.“

Twarz Heroda zmieniła się, oczy spoczęły na pergaminie, — zamyslił się. Otaczający widząc gniewne oblicze pana, zadrżeli, tak on jak i oni milczeli, nareszcie król obrócił się i wyszedł z komnaty.

— Bracia — rzekł Hillel — oto jesteście wolni.

Zgromadzenie powstało i rozeszło się grupami.

— Symeonie — rzekł Hillel.

Człowiek liczący mniej więcej pięćdziesiąt lat, przybliżył się ku niemu.

— Zwiń święty pergamin i weź go z poszanowaniem.

Gdy rozkaz został spełniony, rzekł Hillel:

— Teraz podaj mi ramię, pójdę do lektyki.

Opuścili salę.

Tak odszedł sławny Hillel i Symeon, syn jego, przyszedł jego następca w mądrości, nauce i godności.

Tegoż samego wieczora, ale znacznie później, nasi trzej podróżnicy mędrcy udali się w gospodzie na spoczynek. Kamienie, które im służyły za wezgłowia, tak wysoko podpierały głowy, że przez otwór w sklepieniu mogli patrzeć w ciemności nocy, a patrząc w migocące gwiazdy, myśleli o swoim niezwykłym powołaniu. Otóż byli już w Jerozolimie, pytali przy bramie o Tego, którego szukali, oznajmili Jego narodzenie, teraz pozostaje im tylko znaleźć Go, i w tem zdali się zupełnie na Ducha. Ludzie, nadsluchujący głosu Boga lub wyczekujący znaku z Nieba, nie mogą spać. Wśród tego oczekiwania wszedł w ciemności sklepienia jakiś człowiek.

— Wstańcie! — rzekł — przynoszę rozkaz, któremu natychmiast trzeba uczynić zadosyć.

Wszyscy usiedli na posłaniach.

— Od kogo przybywasz? — spytał Egipcyanin.

— Od króla Heroda.

Każdy z podróżnych doznał niemiłego wzruszenia.

— Ażaliż nie jesteś stróżem gospody? — zapytał znów Baltazar.

— Jestem.

— Czego król chce od nas?

— Posłaniec jego jest tam, niechaj wam odpowie.

— Powiedz mu, aby oczekiwał naszego przybycia.

— Dobrze uczyniłeś, mój bracie — rzekł Grek, gdy stróż poszedł. — Widocznie rozniosła się wieść o naszym przybyciu i celu naszej podróży. Dowiemy się, z jaką posłaniec przyszedł wiadomością.

Wstali, włożyli sandały, przepasali szaty i poszli.

— Pozdrawiam was, życzę pokoju i przepraszam, ale król mój i pan, posłał mnie z prośbą do was, abyście spiesźnie udali się do pałacu, gdzie z wami pragnie pomówić na osobności.

Tak poseł spełnił swoje poselstwo.

Kaganiec wisiał u wejścia gospody, przy jego świetle spojrzeli Mędrcy po sobie i poznali, że Duch jest z nimi. Wtedy Egipcyanin przystąpił do stróża i rzekł tak, aby go nikt nie słyszał: Wiesz, gdzie są złożone nasze wory w podwórzu i gdzie spoczywają nasze wielbłądy. Skoro pójdziemy, przygotuj wszystko do naszego odjazdu, — w razie gdyby tenże okazał się potrzebnym.

— Idźcie w pokoju, możecie mi zaufać — odrzekł stróż.

— Wola króla, naszą jest wolą — rzekł Baltazar do posła, — prowadź nas.

Ulice Jerozolimy były wówczas tak samo wąskie jak teraz, ale nie tak nierówne i brudne, bo Herod dbał o porządek i czystość. Idąc za posłem, pograżyli się Mędrcy w mileczeniu. Przy jasnem świetle gwiazdy, tem jaśniejszem, że po obu bokach często mieli mur, ginącem czasem znów poza szczytami domów, zeszli z pagórka. W końcu stanęli przed bramą pałacu.

Przy świetle ogni, palących się w dwóch wielkich kotłach, zobaczyli ogólne linie budowy, oraz kilku ze straży opartych na broni. Przez przejścia pod arkadami, przez podwórza i kolonady nie zawsze oświecone, przez liczne schody, niezliczone komnaty i cele, szli niepytani i niezatrzymywani, aż ich zaprowadzono do wieży niezwykle wysokiej. Tu nagle zatrzymał się przewodnik a wstępując w otwarte podwoje, rzekł:

— Wejdźcie, król jest tam.

Powietrze w komnacie, do której weszli, było przesiąknięte zapachem sandałowego drzewa, a całe urządzenie jej odznaczało się bogactwem. Posadzkę komnaty, raczej jej środek pokrywał kobierzec o długim włosie, a na nim stał tron. Przybyli mogli zaledwie pobieżnie przypatrzyć się rzeźbionym i złożonym otomanom i łożom, wachlarzom, dzwonom i muzykalnym narzędziom, złotym świecznikom i murom malowanym na sposób grecki. Herod, ubrany jak wtedy, gdy zapytywał doktorów i prawników na zgromadzeniu, siedział na tronie i zwrócił całą uwagę przychodniów. Na brzegu kobierca, do którego się nieśmiało zbliżyli, oddali pokłon aż do ziemi, co widząc król, zadzwonił i kazał słudze postawić trzy krzesła naprzeciw tronu.

— Usiądźcie — rzekł uprzejmie.

— Od północnej bramy — mówił dalej, gdy usiedli — miałem doniesienie popołudniu o przybyciu trzech cudzoziemców, dziwnie ubranych i zdających się pochodzić z dalekich stron. Ażali wy nimi jesteście?

Egipteczanin, za znakiem danym przez towarzyszy, odpowiedział kłaniając się nisko: Gdybyśmy byli kimi innymi, niż jesteśmy, potężny Herod, którego sława napęłnia świat cały, nie byłby po nas posyłał. Nie możemy wątpić, iż jesteście tymi, których szukasz.

Herod przyjął to przemówienie skinieniem ręki.

— Któż wy jesteście? Skąd przybywacie? — pytał i dodał znacząco: niech każdy mówi za siebie.

Po kolei zdali mu sprawę, opowiadając o krajach i miastach ojczystych, o drogach, któremi do Jerozolimy przybyli. Trochę rozczarowany Herod, zapytał wprost.

— O co pytaliście żołnierza i starszego przy bramie?

— Pytaliśmy ich, gdzie jest Ten, który się narodził Król żydowski?

— Rozumiem teraz, dlaczego wzbudziliście tyle ciekawości, a i ja niemniej jestem zaciekawiony. Azaliż jest inny król Żydów?

Egipteczanin rzekł bez trwogi.

— Jest, nowonarodzony.

Wyraz bólu skrzywił twarz monarchy, zdawało się jakoby ciężkie jakieś przypomnienie opanowało umysł jego:

— Nie u mnie, nie u mnie — zawołał.

W tej chwili widział zapewne blade i straszne widma pomordowanych dzieci, pokonując jednak wzruszenie, rzekł:

— Gdzie jest ten nowy król?

— Tego właśnie pragniemy się dowiedzieć.

— Przynosicie mi dziwną wieść — zagadkę od Salomonowych trudniejszą. — Tu zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej:

— Jak widzicie, jestem podeszłym w wieku, w którym ciekawość jest tak niepokonaną jak w dzieciństwie; żartować z nią byłoby okrucieństwem. Powiedźcie, co więcej wiecie, a uczę was jako sobie równych, jak król czei króle. Powiedźcie mi wszystko, co wiecie o nowonarodzonym, a pójdę z wami szukać Go; a gdy Go znajdziemy, zrobię co zechcecie, przywiodę Go do stolicy, nauczę sztuki panowania, użyję moich wpływów u Cezara na jego korzyść i chwałę. Przysięgam, że zazdrość niepostanie między nami. Powiedźcie mi tylko, jakim sposobem, oddzieleni morzem i pustynią, mogliście o Nim usłyszeć.

— Powiem ci prawdę, królu.

— Mów — rzekł Herod.

Baltazar powstał i rzekł głosem uroczystym.

— Widoczna w tem ręka wszechmocnego Boga.

Po twarzy Heroda przebiegł cień trwogi.

— On kazał nam przyjść tu, obiecując, że znajdziemy Zbawiciela świata; że Go zobaczymy, oddamy Mu cześć i będziemy o Nim świadczyć, a jako znak każdemu z nas danem było widzieć gwiazdę Jego, a Duch Jego był z nami i teraz, o królu, Duch Jego jest i tu obecny

Uczucie pełne zdziwienia opanowało trzech Mędrców. Grek z trudnością powstrzymywał radość swoją, Herod natomiast badał wzrokiem twarz każdego z nich a zdawał się być coraz podejrzliwszym i więcej niezadowolonym.

— Drwiecie ze mnie — rzekł. — Nie mogę inaczej sądzić, chyba powiecie mi co nastąpi po przyjściu nowego króla.

— Odkupienie.

— Od czego?

— Od grzechów.

— Jak?

— Mocą Boską — przez wiarę, miłość i dobre uczynki.

— Więc... — tu wstrzymał się Herod, a z wejrzenia i wyrazu twarzy nikt nie mógł odgadnąć, z jakim uczuciem mówił dalej: jesteście więc posłańcami Chrystusa. Czy powiedzieliście już wszystko?

Baltazar skłonił się nisko na znak potwierdzenia i dodał:

— Sługami twymi jesteśmy, o królu.

Monarcha poruszył dzwonkiem, a gdy się sługa ukazał rzekł: Przynieś dary.



Sługa wyszedł, wrócił za chwilę a klękając przed gośćmi, dał każdemu wierzchnią suknię czyli płaszcz szkarłatny i niebieski oraz złoty pas. Zaszczyt ten przyjęli Mędrcy wdzięcznie, składając dzięki według wschodniego obyczaju.

— Jeszcze słowo — rzekł Herod po ukończonej ceremonii. — Mnie i starszemu żołnierzowi przy bramie mówiliście o gwiazdzie widzianej na wschodzie.

— Tak — rzekł Baltazar. — Jego gwiazdę, gwiazdę Nowonarodzonego.

— Kiedyż się ona ukazała?

— Wtedy, gdyśmy odebrali rozkaz i poselstwo.

Herod powstał, dając do poznania, że posłuchanie skończone. Schodząc z tronu, zbliżył się ku nim i rzekł uprzejmie: Jeśli, jak wierzę, o mężowie pełni mądrości, jesteście posłańcami Chrystusa właśnie narodzonego, wiedźcie, że dzisiejszej nocy pytałem najświatlejszych w tych rzeczach Żydów i oni jednogłośnie orzekli, że Chrystus ma się narodzić w Betleem w ziemi Judzkiej. A więc idźcie tam, mówię wam, idźcie i szukajcie małego Dzieciątka, a gdy znajdziecie, przynieście mi wieść o tem, abym mógł pójść i oddać Mu cześć. Tymczasem w drodze nie doznacie żadnej przeszkody ni opóźnienia. Pokój wam! — To rzekłszy, wstał i wolnym krokiem opuścił komnatę.

Natychmiast przewodnik wywiódł ich na ulicę i zaprowadził do gospody, w której bramie rzekł Grek: Udajmy się do Betleem, jako nam radził król.

— Tak — zawołał Indyjczyk — Duch goreje we mnie.

— Niech się tak stanie — dodał Baltazar żywo. — Wielbłądy gotowe do podróży.

Obdarzywszy stróża, wsiedli podróżni na siodła, pytali o drogę do Jopejskiej bramy i pojechali. Bramę zastali otwartą na swe przybycie i udali się drogą, którą niedawno przebywali Józef i Marya. Gdy zjechali z Hinnonu w dolinę Refaim, ukazało się światło, zrazu blade i niepewne. Serca podróżnych zabiły raźniej; światło się wzmagало, a wnet poczęło razić oczy, aż je przysłonić musieli. Skoro zaś odważyli się znów na nie spojrzeć, było jako inne na niebie, ale szło przed nimi blisko i powoli. — W zachwyceniu złożyli ręce do modlitwy.

Często wśród drogi powtarzali na przemian w uniesieniu: „Bóg z nami! Bóg z nami!“ I szli za gwiazdą, aż stanęła nad stajenką w bliskości w Betleem.

Kiedy w Betleem trzecią wartę zmieniano, ranek zaczynał już świtać. Już wierzchołki gór kapały się w promieniach wychylającego się słońca, a w dolinie panowała jeszcze głucha noc. Stróż na ganku starej gospody, drząc od chłodu, słuchał uważnie pierwszych odgłosów, którymi budzące się życie wita ranną jutrzeńkę. Nagle ukazało się światło idące wprost na dom. Zrazu zdawało mu się być

pochodnią w czyjemś ręku; później sądził, że to meteor; gdy się jednak zwiększało i zmieniało w gwiazdę, krzyknął z przerażenia. W gospodarstwie, na krzyk jego, kto żyw, wyszedł na dach. Zjawisko szczególnym ruchem zbliżało się ciągle: skały, drzewa, droga poniżej światła były jasne, a wnet cała światłość stała się oślepiająca. Bojaźliwsi padli na kolana, modląc się i zakrywając twarze; odważniejsi schylali się, przysłaniając oczy, i od czasu do czasu spoglądali na to co ich otaczało. Wnet gospoda i cała okolica stanowiły jakby punkt głównie oświecony; a odważniejsi, co patrzyli śmiało, widzieli gwiazdę stojącą prosto nad domem przed jaskinią, w której się narodziło Dziecię.

Wśród tej jasności przybyli i Mędrcy. U bramy zsiadli z wielbłądów i zażądali, by ich wpuszczono wewnątrz. Po chwili, którego stróż potrzebował do opanowania strachu, odsunął nareszcie zasuwę i otworzył bramę. Wielbłądy podobne do widm w tem nadnaturalnem świetle, dziwne ubrania, pełne uniesienia i oczekiwania twarze podróżnych, nie mogły uspokoić stróża, który cofnął się i chwilę nie był w stanie odpowiedzieć na stawione mu pytanie.

— Ażali jesteście w Betleem w ziemi Judzkiej? — Dopiero, gdy więcej ludzi nadeszło, stróż nabrał odwagi i odpowiedział:

— Nie, to jest gospoda, miasto leży dalej.

— Czyliż tu się narodziło Dziecię?

Otaczający spojrzeli po sobie, a niektórzy odpowiedzieli:

— Tak, tak.

— Zaprowadźcie nas do Niego — rzekł Grek niecierpliwie.

— Zaprowadźcie nas do Niego — wołał Baltazar, dodając z powagą: widzieliśmy gwiazdę Jego, teraz stanęła nad tym domem, idziemy oddać Mu cześć.

Indyjezyk złożył ręce, wołając: — Zaprawdę, żywie Bóg! Spieszmy, spieszmy! Zbawiciel znaleziony. Błogosławieni my wśród ludzi tego świata.

Ludzie z dachu zstąpili i szli za cudzoziemcami, przeszli podwórce i zagrodzenie. Na widok gwiazdy stojącej przed jaskinią, chociaż już mniej jasno świeciła, niektórzy cofnęli się, większa jednak część poszła dalej. Gdy cudzoziemcy zbliżali się do jaskini, gwiazda ruszyła:

skoro weszli w drzwi, wzniosła się ponad ich głowy, a gdy byli wewnątrz, zniknęła.

To wszystko potwierdzało przekonanie, że między gwiazdą a cudzoziemcami była jakaś nadprzyrodzona łączność, co wkrótce spostrzegli i ci, którzy byli w jaskini. Gdy otwarto wrota, wtłoczył się cały tłum do



wnętrza, oświeconego kagańcem, tak że podróżni ujrzeli Matkę z Dziecięciem, siedzącą na jej łonie.

— Twojeż to jest dziecko? — zapytał Baltazar Maryi; a Ona, która wszystko gorąco brała do serca, cokolwiek się jej Dziecięcia tyczyło, podniosła Je do światła, mówiąc:

— Oto mój Syn!

Na te słowa Mędrcy padli na ziemię, oddając Mu cześć i pokłon.

A jednak Dziecię to było jako inne dzieci, nad głową nie promieniała Mu światłość ani korona, usta milczały, a jeśli słyszało okrzyki lub modlitwy, nie dawało tego poznać; ale jak wszystkie dzieci, patrzyli na światło kagańca więcej i dłużej niż na ludzi. Po chwili wstali Mędrcy i wyszli, a wróciwszy od wielbłądów, przynieśli dary, składające się z złota, kadzidła i miry, które u stóp Dzieciątka złożyli.

To jest więc Zbawiciel, którego aby widzieć i cześć Mu oddać, przybyli z dalekiego świata. Ubożuchny i opuszczony, wypchnięty ze społeczeństwa ludzkiego, leży na łonie matki — bezwładne niemowlę. A jednak modlili się do Niego — pełni ufności, w wierze niezachwiani.

Wiarę swą opierali na znakach, danych przez Tego, którego zowiemy Ojcem. Jego opiece się oddali i nie roztrząsali rozporządzeń Jego rozumem niedowiarka. Tylko niewielu widziało znaki i zrozumiało objawienie: Matka, Józef, pasterze i trzej Mędrcy. I ci uwierzyli. A teraz, miły Czytelniku, spojrzysz w przyszłość! Zbliża się chwila, iż się objawi Syn Boży: szczęśliwy ten, który weń wierzy!

ROZDZIAŁ VI.

Musimy się przenieść myślą dwadzieścia jeden lat naprzód, do początku rządów Waleryusza Gratusa, czwartego z rzędu namiestnika cesarskiego Judei; — pamiętny to okres politycznymi zaburzeniami w Jerozolimie, będącymi niejako początkiem ostatecznego zerwania Żydów z Rzymem.

W tym czasie Judea uległa różnym zmianom w rozmaitych kierunkach, największe jednak zaszły w politycznym jej zarządzie. Herod umarł w rok po narodzeniu Dziecięcia, a umarł tak nędzną śmiercią, że świat chrześcijański nie bez słuszności wierzy, iż padł rażony gnie-

wem Pańskim. Jak wszyscy wielcy despoci (samowładzcy), którzy spędzili życie na udoskonaleniu władzy przez siebie stworzonej, śnił Herod o przekazaniu korony i tronu — o utworzeniu dynastji (rodziny panującej). W tym zamiarze zrobił testament i podzielił swoje posiadłości między trzech swoich synów: Antipasa, Filipa i Archeliusza, z których ostatni miał odziedziczyć tytuł. Testament musiał być przedłożony cesarzowi Augustowi, który potwierdził wszystkie rozporządzenia z wyjątkiem jednego, odmówił Archeliuszowi tytułu króla, dopóki by nań zdolnością i wierną poddańczą uległością nie zasłużył. Tymczasem mianował go exarchą (namiestnikiem) i dozwolił rządzić



lat dziewięć, po których za złe obyczaje i nieudolność stłumienia zburzonych żywiołów, wzrastających i wzmacniających się wkoło niego, został skazany na wygnanie do Galii.

Judea stała się prowincją Rzymską. Dla większego upokorzenia Żydów nie mieszkał prokurator w Jerozolimie, ale w Cezarei, która tem samem stała się punktem centralnym prowincji. Ale nie tu koniec poniżenia; Samaryę, najwięcej wzgardzoną z całego świata, przyłączono do Judei i oba kraje tworzyły odtąd wspólną całość.

Wśród tej powodzi nieszczęść jedna pociecha, jedna tylko, pozostała upadłemu narodowi: najwyższy kapłan mógł zamieszkiwać w pałacu królewskim, utrzymywać coś na podobieństwo trybunału. Czem była jego władza, łatwo jest do określenia: sąd życia i śmierci należał do prokuratora, sprawiedliwość wymierzano w imieniu prawa rzymskiego; dom zaś królewski zajmowali jeszcze cesarscy urzędnicy

i wojsko. Przecież dla marzycieli śniących o wolności była pewna otucha, że głównym panem pałacu był Żyd. Sama jego codzienna obecność przypominała im czasy, kiedy Jehowa rządził pokoleniami przez synów Aaronowych; obietnice i wieszczenia Proroków, wszystko to karmiło nadzieję lepszej przyszłości i pozwalało cierpliwie oczekiwać przyjścia Judy, który miał rządzić Izraelem.

Judea była rzymską prowincją przez osiemdziesiąt lat i więcej — przez tak długi czas Rzymianie mogli zaiste przekonać się, że Żydami, mimo ich dumy, można dość łatwo rządzić, gdyby ich religię szanowano. Trzymając się tej polityki, poprzednicy Gratusa wstrzymywali się od wszelkiego mieszania się w uświęcone ustawy poddanych. Inną drogą poszedł Gratus, a pierwszą oficjalną jego czynnością było odsunięcie arcykapłana Annasza, a powierzenie tej godności Ismaelowi, synowi Fabusa.

Czy postanowienie to wyszło od Augusta, czy było pomysłem wielkorządcy, wnet się okazało, że było bardzo niepolitycznem. Choćby nie chcieliśmy nudzić Czytelnika polityką żydowską, przecież dla lepszego zrozumienia powieści kilka słów w tym przedmiocie należy koniecznie powiedzieć. W owym czasie były w Judei dwa stronnictwa: możnych czyli arystokratów i separatystów czyli stronnictwo ludowe; po śmierci Heroda złączyły się obydwie przeciw Archelausowi i walczyły z nim pomyślnie w świątyni, w pałacu, w Jerozolimie i w Rzymie, często podstępniemi intrygami a czasem i orężem. Nie raz święte przybytki na Moria rozbrzmiewały okrzykami walczących, w końcu wygnanie nienawistnego Archelausa uczyniło zadość niechęci Żydów. Mimo pozornej zgody miały jednak stronnictwa różne zamiary, — możni nie cierpieli arcykapłana Joazara; separatyści, przeciwnie, byli jego gorliwymi zwolennikami. Skoro stan rzeczy, zaprowadzony przez Heroda, wraz z Archelausem runął, Joazar stracił również na znaczeniu, a możni na jego urząd wprowadzili Annasza, syna Seta, co spowodowało zupełny rozdział stronnictw, straszną ku sobie wrzającą nienawiścią. W walce z exarchą (namiestnikiem) nauczyli się możni intrygowania z Rzymem; mając zawsze swoje osobiste cele na oku, podsunęli tam myśl zamienienia Judei na rzymską prowincję. Krok ten wielce niepatryotyczny oburzył separatystów i popchnął ich do roz-

poczęcia walki; a przyłączenie Samaryi wypadło na niekorzyść możnych, którzy, mniej liczni, stracili dawne znaczenie. Jakkolwiek bądź, potrafili moiżni utrzymać się przez pięćdziesiąt lat w świątyni i w pałacu aż do przybycia Waleryusza Gratusa.

Annasza był najwierniejszym sługą swego cesarskiego protektora; rzymski garnizon zajmował fort Antonia, straż rzymska pilnowała pałacu; rzymski system podatkowy niszczył miasto i okolice; co dzień, co godzinę, w tysiączny sposób naród był grabiony i dręczony. Niezadowolenie, rozpacz, nurtowały w narodzie, przecieź Annasz umiał je hamować. Gdy mimo to wszystko, musiał na rozkaz Gratusa oddać swoją władzę Ismaelowi, przyłączył się do partyi Separatystów. Tym sposobem Gratus został osamotniony, a pożar, który przez lat pięćdziesiąt tlał pod dymiącemi zgłiszczami, nowym wybuchnął płomieniem. W miesiąc po objęciu rządów przez Ismaela, uznał Gratus za stosowne wysłać silny oddział wojska, aby wzmocnić załogę fortu Antonia.

Mając w pamięci to, o czem przed chwilą mówiliśmy, niech szanowny Czytelnik raczy towarzyszyć nam do ogrodów pałacu na górze Syon. Było to koło południa w drugiej połowie Lipca, a więc w najgorętszej części lata.

Ogród otaczały ze wszechstron budowle, wzdłuż których znajdowały się galerye i altany. Sam ogród zachwycał oko umiejętnie wyciętymi wśród trawników ścieżkami, pięknością i ugrupowaniem drzew oraz najwyszukańszemi gatunkami palm, brzoskwiń i orzechów. Cały czworobok ogrodu nachylał się ze wszystkich stron ku środkowi, gdzie był zbiornik czyli basen marmurowy, zaopatrzony w kilku miejscach drzewczkami, a raczej zasuwami, któremi, gdy je podniesiono, wody skrapiały pobliskie trawniki, chroniąc je od posuchy.

W bliskości tegoż basenu, a raczej wodotrysku, w cieniu rozłożystych palm, siedziało dwóch chłopców żywo z sobą rozmawiających. Jeden mógł mieć około lat dziewiętnastu, drugi siedemnastu.

Obaj byli piękni, na pierwsze wejrzenie można ich było wziąć za braci, bo obaj mieli ciemne włosy i oczy i ogorzałe twarze.

Starszy siedział z odkrytą głową, — płaszcz porzucił na ławę; tunika, sięgająca kolan zdradzała Rzymianina. W rozmowie jego z towarzyszem przebijała duma arystokraty rzymskiego. I nie można

się temu dziwić, po one czasy bowiem tylko arystokracja miała poważanie. W wielkich walkach pierwszego Cezara z licznymi nieprzyjaciołmi ród Messalów wsławił się niezwykleymi bohaterскими czynami. Później cesarz Oktawian Flawiusz, odwdzięczając się za przysługi oddane krajowi, obsypał całą rodzinę zaszczytami. Gdy Judea stała się rzymską prowincją, wysłał cesarz Messalę, ojca młodzieńca, którego widzimy siedzącego w ogrodzie, do Jerozolimy, aby tamże administrował sprawami podatkowymi. Jako wysoki urzędnik cesarski, mieszkał Messala w pałacu królewskim wraz z arcykapłanem żydowskim. Wiedział młodzieniec, jakie stanowisko ważne zajmuje ojciec jego i jakie stosunki łączą go z cesarzem. Stąd zarozumiałość jego.

Towarzysz Messali był szczuplejszy, suknie miał z cienkiego białego płótna, krojem przeważnie noszonym w Jerozolimie; sukienne nakrycie głowy tak było udrapowane, że od czoła spadało na plecy, i przytrzymał je żółty sznur. Ktoby baczniej badał rysy i cechy szczepowe, poznałby w nim natychmiast Żyda. Czoło Rzymianina było wysokie a wąskie, nos orli, usta wąskie, oczy zimne i schowane pod brwiami. Przeciwnie czoło Izraelity niskie i szerokie, nos długi o rozwartych nozdrzach, usta małe, wygięte ku dołowi niby łuk bożka Kupidyna, oczy duże, twarz poważna. Uroda Rzymianina była klasyczną, Żyda przyjemną, olśniewającą.

— Nie mówił-żeś, jakoby nowy prokurator miał jutro przyjechać?

Pytanie to zadał młodszy chłopiec, a wypowiedział je po grecku, bo język ten dziwnym przypadkiem był używany we wszystkich politycznych kołach Judei, z pałacu przeszedł on do obozu i szkoły, skąd nie wiedzieć jak i kiedy dostał się nawet do świątyni, a nawet poza świątynię, bo do furt i cel.

— Tak, jutro — odpowiedział Messala.

— Któż ci to mówił?

— Słyszałem, jak to mówił do ojca mego Ismael, nowy namiestnik pałacu — wy go nazywacie arcykapłanem. A także dowiedziałem się dziś rano od setnika z fortu; mówił, że przygotowują wszystko na jego przyjęcie; żołnierze czyszcą hełmy i tarcze, złocą orły, wietrzą i czyszcą dawno nieużywane komnaty.



Juda i Messala.

Po chwili milczenia odezwał się znowu Messala.

— W tym ogrodzie żegnaliśmy się niegdyś, ostatnie twoje słowa były: Pokój Pana niech będzie z tobą! — Na to odpowiedziałem ci:

— Bogowie niechaj cię strzegą. — Czy pamiętasz tę chwilę? Ile to lat temu być może?

— Pięć — odpowiedział Żyd, patrząc we wodę.

— Zaiste, powinienes mi być wdzięcznym za życzenie — czy bogowie w tem pomogli, mniejsza o to, dość, że wyrosłeś pięknie. Grecy nazwaliby cię pięknym — trudno żądać więcej u progu młodości! Szkoda, że Jowisz zadowolony z Ganimeda, jednak jakież podezrasy byłby z ciebie dla cezara! Powiedz mi, mój Judo, czemu przybycie prokuratora tak bardzo cię zajmuje!

Juda zwrócił swe piękne oczy na pytającego, ten wzrok tak był poważny i zamyślonny, że zmusił Rzymianina do spojrzenia w oczy mówiącemu. — Tak, pięć lat. Przypominam sobie pożegnanie: ty pojechałeś do Rzymu, patrzyłem na twój odjazd z płaczem, bo kochałem cię. Lata przeszły, wracasz wykształcony, wytworny, książęcy — tak, nie żartuję; a przecież — przecież — pragnąłbym widzieć cię takim, jakim cię pożegnałem.

— Na prawdę, w czymże się zmieniłem, w czymże nie jestem dawnym Messalą? „Zrozum dobrze przeciwnika, zanim mu odpowiesz“, mówi pewien sławny filozof. Pozwól więc, abym cię zrozumiał.

Chłopiec zarumienił się pod cynicznym spojrzeniem dawnego przyjaciela, nie mniej odpowiedział stanowczo: Jak widzę, umiałeś korzystać ze sposobności, od twoich nauczycieli wiele się nauczyłeś i nabrałeś wdzięku. Mówisz ze swobodą mistrza, a przecież mowa twoja boli. Mój Messala, gdy odjeżdżał, nie miał trucizny w duszy i za nie w świecie nie chciałby był dotknąć przyjaciela.

Rzymianin uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby po usłyszeniu pochwały i podniósł głowę wyżej:

— O mój uroczysty Judo, nie wierzysz chyba w wyrocznię; porzuć więc ton wyroczni i bądź szczerzy. Czemże cię uraziłem?

Zapytany westchnął głęboko i rzekł, bawiac się sznurem u pasa: — W ciągu tych pięciu lat i ja nauczyłem się czegoś. Hillel może nie sprosta logikowi, którego słuchałeś, a Symeon i Shammai są bez

wątpienia nie tak sławni, jak twój mistrz przy Forum. Ich nauka jednak nie prowadzi na wątpliwe drogi; ci, co siedzą u ich nóg, wstają uzbrojeni poszanowaniem Boga i praw Izraelowych, oraz napełnieni miłością wszystkiego, co się tychże dotyczy. Pilność, z jaką uczęszczałem do Wielkiego kolegium, studia nad tem, co tam słyszałem, nauczyły mnie, że Judea nie jest tem, czem była. Znam przestrzeń, jaka leży między niepodległym królestwem i małą prowincją, jaką jest Judea; byłbym niższym, podlejszym od Samarytanina, gdybym nie czuł poniżenia mej ojczyzny. Ismael nie jest prawnie arcykapłanem i nie może nim być, póki szlachetny Annasz żyje. A jednak jest on Lewitą, z rodu od wieków poświęconego na służbę Bożą.

Messala przerwał, mówiąc z szyderskim śmiechem: Tak, rozumiem nareszcie, Ismael, mówisz, jest intruzem (nieproszonym przybyłym). — Na pijanego Bachusa (bożek pijaństwa), co to jest być Żydem! wszyscy ludzie i rzeczy, nawet niebo i ziemia zmieniają się, ale Żyd nigdy. Dla niego nic się nie cofa, ani nie idzie naprzód, jest zawsze tem, czem byli jego przodkowie. W tym piasku narysuję ci koło — tu! teraz powiedz mi, czem więcej jest życie Żyda? Ciągłe tylko w koło, Abraham tu, Izaak i Jakób tam, a Bóg w środku. Ale prawda, koło, na Jowisza, zrobiłem za duże... muszę je na nowo narysować. — Schylił się, położył duży palec na ziemi i ręką zatoczył koło. — Patrz, znak dużego palca to świątynia, linia reszty palców to Judea. Czyż poza tą małą przestrzenią niema nic, coby miało wartość? Może sztuka? Herod był architektem, wyklęście go; malarstwo, rzeźba!? podziwiać je, to grzech. Poezyę przykuliście do ołtarzy, wymowę kształcicie tylko w synagodze. Wojna!? W wojnie, co w sześciu dniach zyskacie, w siódmym utracicie. Takie wasze życie, taki wasz widnokrąg. Czyż nie prawda? I któż może mi brać za złe, że się z was naśmiewam. Czemże jest wasz Bóg, jeśli mu wystarcza cześć takiego narodu? Czemże jest w porównaniu z naszym Jowiszem, który daje rzymskim orłom zwycięstwo i dozwala zawładnąć całym światem? Hillel, Symeon, Shammai — czemże oni wobec mistrzów, którzy uczą, że należy poznać wszystko, co tylko poznanem być może?

Żyd wstał mocno zaczerwieniony.

— Nie, nie, zostań Judo, zostań! — wołał Messala wyciągając ręce.

— Szydzisz ze mnie.

— Posłuchaj jeszcze trochę, wnet skończę — rzekł Rzymianin. — Wdzięczny ci jestem, że opuściłeś progi starego domu ojców twoich i przyszedłeś mnie powitać oraz odnowić miłość lat dziecięcych, jeśli to będzie w naszej mocy. Słusznie powiedział mój nauczyciel w swej pożegnalnej mowie: „Idź, a jeśli chcesz się wślawić, pamiętaj, że Mars (w starożytności bożek wojny) panuje a Eros (bożek miłości) przestał być ślepym.“ Słowa te znaczą: że miłość jest nieczem, a wojna wszystkim. Tak jest w Rzymie, gdzie małżeństwo jest pierwszym krokiem do rozwodu, cnota towarem dla kupca. Świat cały idzie tym śladem, dlatego padł Eros, a górą Mars! Więc... i ja będę żołnierzem, a ty, Judo? Lituję się nad tobą, bo czemu ty być możesz?

Żyd odsunął się od mówiącego, zwracając się ku stawowi; Messala zaś mówił dalej, coraz zwalniając mowę dla większego wrażenia:

— Tak, lituję się nad tobą, mój piękny Judo. Ze szkoły do synagogi, potem do świątyni, potem — o szczycie sławy — miejsce w Sanhedrynie! Życie bez ciemów, bez wawrzynów: niech cię wspierają bogowie. Ale ja —

Juda podniósł właśnie wzrok na mówiącego i ujrzał rumieniec dumy oświecający twarz Rzymianina, gdy mówił te słowa.

— Ale ja — ah! jeszcze nie cały świat podbity, może są jeszcze wyspy nieznane, a na północy dość dzikich narodów. Zresztą, wszak Aleksander nie dokonał wszystkiego, i droga na daleki Wschód przyświeca sławą dla kogoś... Patrz, ile zadań godnych Rzymianina.

Po chwili wytechnienia mówił dalej:

— Wyprawa do Afryki, potem na Scytów; dalej — legion! Tu często bywa kres kariery, ale nie mojej. Ja — na Jowisza! co za myśl! ja zamienię legion na prefekturę. Pomyśl tylko: żyć w Rzymie i mieć pieniądze! — pieniądze, to mieć: wino, kobiety, igrzyska, poetów przy uczcie, intrygi u dworu, zabawy przez rok cały. Do takiego trybu życia wiedzie — tłusta prefektura, i tak żyć myślę w Syrii! Judea jest bogata, a Antyochia warta być siedzibą bogów! Będę następcą Cyreniusza a ty — ty będziesz dzielił szczęście moje.

Sofiści i retorycy (uczeni mowcy) tak licznie występujący na zgromadzeniach rzymskich i zajmujący się nauczaniem patrycyuszowskiej

(szlacheckiej) młodzieży, byliby pochwalili mowę Messali, bo to co mówił, było nader popularne. Dla młodego Żyda, przeciwnie, wszystko to było niezrozumiałe, sprzeciwiające się zasadom, w których był wychowany. Prawa, zwyczaje i cele jego narodu zakazywały satyry i humoru, nie więc dziwnego, że słuchając przyjaciela, rozmaitych doznawał uczuć: naprzemian to był oburzony, to znów niepewny, jak rozumieć to, co tenże mówił. Z razu ton wyższości obrażał go, rychło oburzenie zmieniło się w rozdrażnienie, w końcu jednak uszczypliwość wywołała gniew niepomowany. I nie dziwnego, za czasów Heroda patryotyzm żydowski był namiętnością, zaledwo trochę obojętności pokrytą, a tak złączony z historią, religią i Bogiem, że każde szyderstwo w tym kierunku musiało oburzać i gniewać Izraelitę. Dlatego też Juda, w czasie wywodów Messali, zwłaszcza po przejściu do ostatniej pauzy, przeszedł straszliwe tortury. Dotknięty boleśnie w swych uczuciach religijnych i narodowych, rzekł z wymuszonym uśmiechem.

— Jak słyszałem, są ludzie, którzy umieją żartować z swej przyzłości; co do mnie, bądź przekonany, mój Messalo, nie należę do nich.

Rzymianin popatrzył na niego, a potem rzekł: Czemużby prawda nie mogła się równie dobrze mieścić w żarcie jak opowieści? Wielka Fulwia*) poszła pewnego dnia ryby łowić, i nałapała ich więcej niż całe towarzystwo; mówiono, że to dlatego, iż haczyk miała złożony.

— Więc nie żartowałeś?

— Widzę, że nie dość ci ofiarowałem — odparł prędko Rzymianin, a oczy jego zaświeciły szyderstwem. — Gdy mnie Judea na prefekturze zbogaci, zrobię cię arcykapłanem.

Żyd odwrócił się gniewnie.

— Nie opuszczaj mnie — rzekł Messala.

Juda stanął, wahając się.

— Cóż za upał? — zawołał patrycyusz — poszukajmy cienia.

Żyd odparł chłodno:

— Raczej rozejdźmy się, lepiejby mi było wcale tu nie przychodzić! Szukałem przyjaciela, znalazłem...

— Rzymianina — rzekł szybko Messala.

Ręce Żyda zacisnęły się z gniewu, ale opanowując się, odszedł.

*) Fulwia, córka Marka Fulwiusza, znana była z wielkiej waleczności.

Messala również powstał, wziął płaszcz z ławki, i zarzucił go na ramiona i poszedł za nim, a gdy się zrównali, położył rękę na ramieniu Judy i szli razem.

— Tą samą drogą i w ten sam sposób ręka w rękę, będąc dziećmi, chodziliśmy tędy. Chodźmy tak aż do bramy.

Na pozór Messala chciał być uprzejmym i grzecznym, nie mógł jednak się pozbyć szyderczego tonu, który stał się już właściwością jego ducha. Juda mimo to pozwalał na poufałość.

— Jesteś jeszcze chłopcem, a ja już mężczyzną, pozwól mi mówić z sobą, jak na męża przystoi.

Gdy Juda nie przeczył, zadowolenie Rzymianina stało się wyraźnem, prawie zabawnem. Mentor nauczający Telemaka, nie mógł być innym i swobodniejszym od niego, gdy rzekł:

— Czy wierzysz w Parki? (Parki były to trzy boginie wpływające na losy człowieka.) Ach! zapomniałem, że jesteś Saduceuszem (sektą żydowską), szkoda... już wasi Esseńczycy (sektą żydowską) są rozumniejsi, bo wierzą w nie. Jak im nie wierzyć, kiedy one stają wiecznie na drodze każdego człowieka czynu! Powezmę zamiar, utworzę drogę, nagle gdy osiągnąłem cel, gdy świat trzymam w ręku — trzask! słyszę za sobą zgrzyt nożyczek i oto ona! ona, przekłeta Atropos!*) Dlatego, czemu się na mnie rozgniewałeś, Juda gdy mówiłem, że nastąpię po starym Cyroniuszu? Może myślałeś, że chcę się wzbogacić zniszczeniem, zrabowaniem Judei? A gdyby to tak było, czy sądzisz, że niema Rzymian, którzyby o tem marzyli? Jeśli ktokolwiek ma to uczynić, czemużby nie ja?

Na te słowa Juda przystanął i rzekł:

— Przed Rzymianami jeszcze inni cudzoziemcy rządzą Judeą, gdzież ich szukać, Messalo? Wszystko minęło, a Judea! żyje co się raz zdarzyło znowu zdarzyć się nie może!

Messala przybrał dawny ton szyderczy:

— Jak widzę, nie tylko Esseńczycy (sektą żydowską) wierzą w potęgę Parki! Witam cię i pozdrawiam w tej wierze!

— Nie, Messalo, nie należę do Esseńczyków (sektą żydowską), nie zaliczaj mnie więc do nich. Wiara moja oparta na skale, która była

*) Jedna z trzech bogiń wpływających na losy człowieka.

fundamentem wiary mych ojców, jeszcze zanim żył Abraham, polega ona na przymierzu Pana z Izraelem.

— Za dużo namiętności w tej odpowiedzi, Judo. Nauczyciel, mój zgorszył by się nie pomału, gdyby mnie kiedy ujrzał w takim uniesieniu. Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć, ale lękam się.

Gdy w milczeniu uszli kawałek drogi, Rzymianin rozpoczął rozmowę na nowo.:

— Myślę, że już ochłodłeś i że potrafisz mnie posłuchać, zwłaszcza, że to co powiem, dotyczy ciebie samego. Chętnie chciałbym ci się przysłużyć, bo bąć jak bąć, kohham cię — o ile mogę i umiem. Czemuż powiedz mi, nie miałbyś wyjść z tego ciasnego koła, którą, jak ci to wykazałem, obejmuje wszystko, na co wasze prawa i obrządki pozwalają?

Juda milczał.

— Któż są Mędrcomie naszych czasów? — mówił dalej Messala. — Nie ci zaiste, którzy trawią dni swoje na sprzeczkach o minione rzeczy, o Baala,¹⁾ Jowisza²⁾ czy Jehowę³⁾ o naukę, religję. Powiedz mi, Judo, jedno wielkie imię, wszystko mi jedno, gdzie je znajdziesz — w Rzymie, Egipcie, na Wschodzie, czy to w Jerozolimie. Niech mnie Pluton⁴⁾ porwie, jeśli to imię nie będzie imieniem człowieka, który zdobył sławę za pomocą materjału, jakiego mu obecna dostarczyła chwila. Rozumnym jest, kto z okoliczności korzystać umie. Wszak nie inaczej czynił Herod? nie inaczej Machabeusz⁵⁾ nie inaczej pierwszy i drugi Cezar! A więc naśladowaj ich i zacznij zaraz. Rzym poda ci równie chętnie rękę jak Antipatrowi z Idumei.⁶⁾

Żyd drżał z oburzenia, a widząc, że brama ogrodu niedaleko, przyspieszył kroku, pragnąc jak najprędzej uciec.

— Rzym, Rzym! — powtarzał półgłosem.

— Bądź mądry i roztropny — ostrzegał Messala. — Porzuć szaleństwa Mojżesza wraz z podaniami, patrz na rzeczy, jakimi są. Popatrz w twarz rzeczywistości, a ona ci powie: że Rzym, to świat! Pytaj o Judeę, a usłyszysz, że ona jest tem, czem Rzym chce, aby była.

¹⁾ Bożek dający światło i ciepło, zapładniający ziemię. ²⁾ Bożek rzymski.

³⁾ U Żydów Bóg. ⁴⁾ Bożek grecki, dawca bogactw, bożek państwa podziemnego.

⁵⁾ Książęta żydowscy, panujący w II i I wieku przed Chrystusem. ⁶⁾ Waleczny Idumejczyk, pozyskał łaski wodzów rzymskich.

Stanęli u bramy. Juda usunął delikatnie rękę Messali z ramienia swego i przystanawszy, rzekł ze łzami:

— Rozumiem cię, jesteś Rzymianinem, dlatego nie możesz mnie zrozumieć, bo jestem Izraelitą. Zadałeś mi dziś wielki ból, bo przekonałem się, że nigdy już nie będziemy przyjaciółmi, jak dawniej... nigdy, tu rozłączmy się i niech pokój Boga ojców moich będzie z tobą!

Messala podał odchodzącemu rękę, milczał chwilę, a gdy Juda zniknął, rzekł do siebie, podnosząc głowę:

— Niech i tak będzie. Eros (po łacinie: Amor lub cupido, bóg miłości) umarł, Mars (bóg wojny) panuje!

ROZDZIAŁ VII.

Wkrótce po tem pożegnaniu, ukazał się Juda u drzwi wchodowych domu znajdującego się przy tej ulicy, która się ciągnie od bramy, zwanej dziś św. Stefana, ku północnej stronie fortu Antonia, skąd po kilku zygzakach, zwraca się ku południowi. Ktokolwiek zna dobrze tę okolicę, czy to będąc pobożnym pielgrzymem, czy też ciekawym badaczem, przypomni sobie, że ta ulica jest częścią owej via dolorosa (droga bolesna), która droższą i milszą jest każdemu chrześcijańskiemu sercu, niż jakakolwiek inna droga na świecie. Poznanie tej drogi nie jest na teraz zadaniem naszym, wystarczy, gdy się dobrze przypatrzymy domowi, stojącemu właśnie na tym punkcie, gdzie się droga ku południowi zwraca. Budynek ten zwrócony był frontem na północ-zachód, liczył około czterystu stóp szerokości i tyleż długości, tworząc, jak większa część okazalszych wschodnich gmachów, dwa wysokie piętra o regularnym kwadracie. Ulica, przy której stał dom, nie była szersza nad dziesięć stóp, a każdy przechodzień mógł widzieć, iż mury domu były z grubych, nieobrobionych, prosto z kamieniołomu wziętych głazów. Dziś powiedziano by, że budowa taka nosi cechę stylu fortecznego, gdyby nie ozdobne futryny okien i drzwi. Wiadomo, że wszelkie budowy wschodnie nie mają prawie zewnątrz okien; i tu z zachodniej strony były tylko cztery okna, z północnej dwa, wszystkie na drugim piętrze, wzniesionem nad kolumnadą pierwszego piętra.

Gdy Judzie otwarto furtkę, przeszedł ją, oddając szybko niski ukłon odźwiernemu i wszedł w wązki kurytarz wybrukowany kamieniami, podobny do tunelu. Po obu stronach stały ławki kamienne, zbrudzone i wyżłobione od długiego używania.

Minąwszy kurytarz, zeszedł z dwunastu lub piętnastu schodów na podwórze, które, z wyjątkiem wschodniej strony, gdzie stał tylko mur, otoczone było dwupiętrowymi domami. Tu krążyli w tę i ową stronę służący wśród hałasu trzeszczących kół młyńskich; na długich wyciągniętych sznurach wisiały suknie i bielizna; kury i gołębie przelatywały tu i tam, w zagrodach niżej położonych kozy, krowy, osły i konie używały spoczynku lub pasły się. Wszystko, cokolwiek tu było, jakoteż stojące na pośrodku koryto z wodą, świadczyło, że to podwórze służyło do gospodarskich celów. We wschodnim murze umieszczona brama wiodła dalej.

Minąwszy kurytarz, podobny poprzedniemu, wszedł młodzieniec na drugie podwórze, obszerne, wysadzone krzewami i winem, utrzymywane w nadzwyczajnym porządku. W tej części pałacu panowała wielka czystość, nigdzie pyłu, nigdzie nawet ożółkłego liścia na krzaku, wszystko świadczyło o wysokim stanowisku rodziny pałac zamieszkującej.

Na to podwórze wszedł Juda, zwrócił się na prawo i szedł ścieżką, wiodącą wśród rozkwitłych krzewów ku drzwiom zasłoniętym kotarą (kotara tyle co zasłona). Minąwszy drzwi, wszedł do komnaty. Ciemno już tu było, — doszedł do dywanu, rzucił się nań i ukrył twarz w dłoniach.

Gdy wieczór zapadł, stanęła w progu komnaty kobieta i zawołała nań po imieniu. Odpowiedział, a ona weszła.

— Już po wieczery i noc zapadła. Nie jesteś, synu mój, głodnym? — spytała.

— Nie — odpowiedział.

— Czyś chory?

— Nie, śpiący jestem.

— Matka pytała o ciebie.

— Gdzież jest?

— W letnim domu, na dachu.

Odwrócił się i usiadł.

— Dobrze. — Proszę cię, przynieś mi co jeść.

— Co chcesz?

— Zostawiam to woli twojej, Amro. Nie jestem chory, ale nie mnie nie zajmuje. Życie nie zdaje mi się tak pięknem jak dziś rano. Nowa boleść zraniła mi duszę, nowa to choroba. A ty, Amro, która mnie znasz tak dobrze, która zawsze byłaś mi pomocną, pomyśl o takim pożywieniu, któreby mi zarazem było lekarstwem. Przynieś więc co sama uznasz za stosowne.

Pytania Amry i spokojny, sympatyczny głos jej dowodziły, że przywiązanie łączyło serce tych dwoje. Gdy mówił, położyła mu rękę na czole, a zadowolona jego prośbą, rzekła: postaram się.

Po chwili wróciła, przynosząc na drewnianej tacy dzban mleka, kilka ułamków białego chleba, delikatne z mielonej pszenicy ciasto, pieczone z ptaka, miód i sól. Na jednym rogu tacy stał srebrny puchar napełniony winem, na drugim świeciła ręczna lampa.

Teraz dopiero można przypatrzyć się oświeconej komnacie. Ściany jej były gipsowane; powała belkowana, dębowa; podłoga układana ozdobnie z cegieł niebieskich i białych, kunsztownie rżniętych, bardzo trwałych. Kilka krzeseł o rzeźbionych nogach, dywan trochę wyższy niż podłoga, niebieskiem suknem, a w części kołdrą w białe i niebieskie pasy okryty, stanowiły urządzenie pokoju.

Amra przysunęła krzesło do dywanu, na którym spoczywał Juda, postawiła na niem tacę, a sama uklękła, aby mu służyć. Jej ciemną twarz łagodziło w tej chwili wejrzenie pełne prawie macierzyńskiej miłości. Mogła mieć około lat pięćdziesięciu. Białe turbar okrywał jej głowę, ukazując końce uszu, w których tkwił znak jej służebnictwa, gdyż były one przekłute grubym sztyłem. Była niewolnicą egipskiego pochodzenia; nawet uświęcona pięćdziesiątką nie uwolniła jej, lecz onaby danej jej wolności nie przyjęła nawet, gdy: młodzieniec, któremu służyła, był jej życiem i za nicby go nie opuściła. W niemowlęctwie wykarmiła go, w dziecięctwie wypiastrowała a i teraz uważała się za nieodzownie potrzebną, zawsze uważając go za dziecko swoje.

Raz tylko przemówił wśród wieczery.

— Czyż przypominasz sobie, Amro — rzekł — owego Messalę który dawniej po całych dniach u mnie przebywał?

— Przypominam go sobie.



Wdowa Hamar, pochodząca z domu Hurow, wraz z dziećmi swemi.

— Wyjechał był do Rzymu przed kilku laty, teraz powrócił. Byłem dziś u niego.

Dreszcz wstępu przebiegł po całym młodzieńcu.

— Wiedziałam, że coś zaszło — rzekła z wzmagającym się zajęciem. — Nigdy nie lubiłam Messali, opowiedz mi wszystko.

Juda zamyślił się, a na jej powtórne zapytanie rzekł tylko: Bardzo się zmienił i nie już nie chcę mieć z nim wspólnego.

Skoro Amra wyniosła tacę, opuścił i on komnatę, udając się z terasy w górę na dach.

Dach na Wschodzie rozmaitym służy celom. W czasie dni letnich szukają mieszkańcy chłodu i wypoczynku w cienistych komnatkach swych zabudowań; za to, gdy wieczór zapadnie, wychodzą na dach, który służy im za miejsce zabawy, sypialnię, miejsce rodzinnych zebrań, modlitwy itd. Dlatego też tak wygodnie i z przepychem urządzali mieszkańcy Wschodu dachy swych domów. Szczytem przepychu były owe napowietrzne ogrody babilońskie. Juda przeszedł wolno platformę dachu i szedł do izby we wieży, a uchylając wpół już podniesioną zasłonę, znalazł się wewnątrz pokoju. W czterech ścianach, wieży mieściły się otwory, niby drzwi, przez które zaglądało niebo zasiane gwiazdami. U jednego z otworów ujrzał kobietę opartą o poduszki dywanu i całą w białych, lekkich draperyach. Na odgłos jego kroków wachlarz znieruchomiał w jej rękach, a gdy światło gwiazd nań padło, zaświecił klejnotami, w które był oprawny; podniosła się i zawołała go po imieniu:

— Juda, mój syn.

— Tak, matko, to ja przychodzę — odpowiedział, przyspieszając kroku. Gdy się do niej przybliżył, ukląkł; ona objęła go rękoma, całując i przyciskając do piersi.

Kobieta zajęła napowrót miejsce na poduszkach, syn zaś usiadł niżej na dywanie, opierając głowę na jej kolanach. Patrzyli poprzez dachy niższych domów sąsiednich na niebieskawy łańcuch dalekich wzgórz i na gwiazdziste niebo. W dole spoczywało w głębokim spokoju miasto, tylko wiatr kołysał wierzchołkami drzew.

— Amra wspomniała mi, że cię coś niemiłego spotkało — mówiła z uśmiechem, gładząc twarz syna. — Póki byłeś dzieckiem,

mogłeś się martwić drobnostkami, ale odkąd jesteś mężczyzną, nie wolno ci zapominać — tu głos jej nabrał rzewności — że kiedyś masz być moim bohaterem.

Mówiła językiem już prawie nieznanym w tym kraju, używało go nie wiele tylko rodzin; ale takie rody, które go używały, były zwykle starożytne, bogate w mienie — kochały one tę mowę tem goręcej, że



wyraźniej odróżniała Hebrejczyka od poganina, a była językiem, którym Rebeka i Rachela rozmawiały z Benjaminem.

Dźwięk tego języka zdawał się wprowadzać go w tem głębsze zamyślenie, po chwili pochwycił rękę poruszającą wachlarz i rzekł: — Dziś, matko, zmuszony byłem myśleć o rzeczach, które nigdy pierwej nie powstały w mojej głowie! Ale najpierw powiedz mi, błagam cię, czem ja mam być?

— Czyż nie mówiłam przed chwilą, że masz być moim bohaterem?

Nie widział jej twarzy, ale czuł dobrze, że żartuje, rzekł więc jeszcze poważniej:

— Jesteś bardzo, bardzo dobrą, matko moja. Nikt mnie nigdy tak jak ty kochać nie będzie. — Mówiąc to, okrywał pocałunkami jej rękę.

— Zdaje mi się, że odgaduję, czemu wymijasz moje pytanie — mówił dalej. — Dotąd życie moje należało do ciebie. Jakże łagodną i troskliwą była ta opieka! czemuż nie może trwać zawsze! Wołaj Pana jest, abym był panem siebie — przyjdzie dzień rozstania, będzie to dzień straszny dla nas obojga. Bądźmy więc silni i odważni. Pragnę być twoim bohaterem, ale ty musisz mi ku temu wskazać drogę. Znasz prawo, które każe: aby każdy syn Izraela obrał jakiś zawód. Nie jestem wyjątkiem i dlatego pytam: mamże paść trzodę? uprawiać rolę? obracać żarna? być prawnikiem, czy uczonym w Piśmie? Pomóż mi, droga matko, powziąć postanowienie.

— Gamaliel nauczał dziś — rzekła w zamyśleniu.

— Podobno, ale nie słyszałem go.

— No, to może odwiedziłeś Symeona mówią, że odziedziczył geniusz swej rodziny.

— Nie, nie widziałem go, byłem na rynku targowym, nie w świątyni, odwiedziłem młodego Messalę.

Jakiś odcień bólu w głosie uderzył matkę, przeczucie przyspieszyło bicie serca, a ręka, poruszająca wachlarz, zmartwiała.

— Messalę? — rzekła — Cóż on mógł ci powiedzieć, coby cię zaniepokoiło?

— Bardzo się odmienił.

— Chceszże przez to powiedzieć, że wrócił Rzymianinem?

— Tak.

— Rzymianin — mówiła wpół do siebie — znaczy na całym świecie tyle co władzca i pan! Czy długo tam był?

— Pięć lat.

Zamilkła pełna smętnych myśli, a wzrok jej tonął w przestrzeniach ciemnej nocy. Syn pierwszy przerwał milczenie.

— To co mówił Messala, matko moja, dość było gorzkie samo w sobie, ale sposób, w jaki się odzywał, był wprost nie do zniesienia.

— Domyślam się, że dotknął cię boleśnie pod względem narodo-

wym; nie uszanują oni niczego, a obłęd ten opanował ich poetów, senatorów i dworaków.

— Mnieman, że wszystkie wielkie narody są dumne — mówił dalej Juda, jakby nie zważając na przerwę, — ale duma tego narodu przechodzi wszelką miarę, w tych czasach tak urosła, że wobec niej zaledwie zdołają się ostać bogowie.

— Bogowie... — rzekła szybko matka — wszakże jeden Rzymianin kazał sobie cześć boską oddawać, jak gdyby mu się ona z prawa należała!

— Przyznaję, że Messala miał zawsze spory zapas tej wady, gdy był dzieckiem; widziałem, jak się naigrawał z cudzoziemców, których nawet Herod raczył przyjmować z odznaczeniem; o Judei nigdy jednak nie wyrażał się z pogardą. Dziś pierwszy raz w rozmowie ze mną szydził z naszego Boga i naszych obrzędów. To też uczyniłem tak, jakbyś zapewne rozkazała; zerwałem z nim na zawsze. Teraz, o matko moja, chciałbym przecież wiedzieć, czy Rzymianin ma prawo nami gardzić? Powiedz, ażali naród nasz jest w czemkolwiek niższym od innych? ażali drzeć mam jak niewolnik choćby w obliczu Cezara? Przedewszystkiem powiedz mi, dlaczego, jeśli jakie powezmę postanowienie, nie mógłbym się ubiegać o wszelkie na jakimś bądź polu zaszczyty? Dlaczego nie mógłbym w danym razie chwycić za miecz i sięgnąć po zmienne wawrzyny wojny? Czemu, gdybym miał dar poetycki, pieśń moja nie mogłaby opiewać wszystkiego co piękne? Wolno mi być pasterzem kupcem, rzemieślnikiem, czemuż nie miałbym być artystą jak pierwszy lepszy Grek? Powiedz mi, matko, bo to jest źródłem moich obaw, czemu synowi Izraela nie ma być wolno czynić tego, co czyni Rzymianin?!

Słowa te musiały zaniepokoić matkę, a jeszcze więcej ton i nacisk, z jakim syn jej mówił; rychło jednak poznała, że miały one związek z rozmową na placu targowym, nie mniej podniosła się szybko i z równem uczuciem odparła: Rozumiem, pojmuję, — jak długo Messala zostawał pod wpływem twojego towarzystwa, był prawie Żydem, gdyby był pozostał do wieku młodzieńczego, byłby był może prozelitą,*)

*) Prozelita oznacza człowieka, który porzucił wiarę ojców, a przyjął wiarę żydowską; w dzisiejszych czasach nazywamy prozelitą chrześcianina, który opuścił chrześcijaństwo, a przyjął inną wiarę.

bo taką jest siła otaczających nas okoliczności. Pięć lat pobytu w Rzymie nie mogły minąć bez znaczenia, nie dziwię się więc zmianie, jaka w nim zaszła; jednakże powinien być mieć więcej względu na ciebie, — tu głos jej nabrał rzewnego dźwięku, — mógł z tobą serdeczniej postąpić. Twarda to i okrutna natura, która zapomina pierwszych związków serca!

Ręka jej opadła miękko na głowę syna, a igrając z jego kędziarami, wzrokiem szukała najwyższej gwiazdy na niebios sklepieniu. Jej narodowa duma równała się jego dumie, nietylko jako echo wspólnych uczuć, ale jako wynik najdoskonalszej sympatii. Pragnęła dać mu odpowiedź, ale za nie w świecie nie chciałaby, aby ta odpowiedź zraziła go, najmniejsze podejrzenie własnej niższości mogło na całe życie osłabić jego umysł. Drżała z obawy, że temu zadaniu nie sprosta.

— To, czego żądasz, drogi Judo, przechodzi rozum i zakres kobiety — rzekła nareszcie — pozwól mi odłożyć rzecz do jutra, sprowadzę mądrego Symeona.

— O nie czyn tego, matko, nie odsyłaj mnie do rektora — zawołał Judo.

— Nie chciałam cię posyłać, wezwę go tutaj.

— I to nie, moja matko, ja nie szukam objaśnienia, wytłomaczenia; chcę, czego mi nikt prócz ciebie dać nie może: chcę postanowienia, które wynika z siły duszy człowieka. — Długiem spojrzeniem objęła matka sklepienie niebieskie, jakby w górze szukała natchnienia, a zastanowiwszy się chwilę nad znaczeniem jego pytań, odparła:

— Żądając sami sprawiedliwości dla siebie, nie możemy odmawiać jej drugim. Lekceważyć zwyciężonego nieprzyjaciela, to obniżać wartość własnego zwycięstwa; jeśli przeciwnie nieprzyjaciół dosyć jest silnym, aby nas gnębić, co więcej ujarzmić — tu zawahała się — szacunek samych siebie nakazuje nam uznawać jego waleczność.

Po tych słowach więcej do siebie niż do syna mówiła: Nie lękaj się przeto, mój synu! Prawdą jest, że ród Messali jest szlachezny, rodzina jego liczy wiele sławnych pokoleń. Już za rzymskiej zrzeczypospolitej — jak to dawno, nie umiem powiedzieć, ale wiem, że byli senatorami, wojskowymi. Znam tego imienia wprawdzie je-

dnego tylko konsula, nie mniej była to rodzina senatorska, posiadająca znaczenie w narodzie. Jeśli jednak dawniejszy twój przyjaciel przechwalał się swymi przodkami, mogłeś go zawstydić opowiadaniem o twoich. Jeśli się szczycił starożytnością swego rodu, czynami lub bogactwem dziadów — co wszystko, wypowiedziane bez konieczności, świadczy o płytkim umyśle i próżnem sercu — ty, nie lękając się porównania, mogłeś go pokonać na każdym punkcie.

Tu zatrzymała się chwilę, a po krótkim namyśle mówiła dalej:

— Długi szereg przodków jest dziś dowodem szlachetności pochodzenia i rodu, ale Rzymianin, chełpiący się dawnością swego rodu wobec Syna Izraelowego, zawsze w tym względzie ustąpić musi. Założenie Rzymu, to ich początek, najstarożytniejsze ich rody nie mają dawniejszych źródeł. Niejeden chełpi się bez żadnego dowodu, opierając się jedynie na tradycji. Messala, zdaje mi się, należy do tych ostatnich. A my, jakie wobec tych uroszczeń zajmujemy stanowisko?

Przy tych słowach odbłask szlachetnej dumy rozjaśnił jej oblicze, ale nocna pomroka i brak światła nie pozwoliły tego ujrzeć, a ona mówiła dalej:

— Wyobraźmy sobie, że Rzymianin wzywa nas do walki, przyjmuję ją i odpowiadam bez chępliwości, ale z zupełnem zaufaniem.

Tu nagle głos jej zadrżał, myśl pełna rzewności i smutku zmieniła sposób dowodzenia:

— Ojciec twój, Judo, odszedł do ojców swoich, a przypominam sobie, jakby to dzisiaj było, dzień, w którym on i ja w towarzystwie przyjaciół i życzliwych udaliśmy się do świątyni, aby cię przedstawić Panu. Ofiarowaliśmy gołąbki, a ja imię twe podałam kapłanowi, który je zapisał w mej obecności. Tak więc imię twoje: „Juda, syn Itamara, z domu Hurów“ zapisane jest na wieki w poświęconej księdze rodzin izraelskich. Nie mogę ci powiedzieć, kiedy ten zwyczaj rozpoczęto, zdaje się, że istniał przed wyjściem z Egiptu. Słyszałam od Hillela, że sam Abraham rozpoczął ów spis swoim i syna imieniem, gdy Pan wybrał go na ojca narodu izraelskiego. Naród nasz nieraz, niestety, był nieposłuszny prawu, zaniedbywał niektóre rozporządzenia, ale spisywanie nazwisk uważał za święty obowiązek.

Raz tylko, na końcu drugiego okresu, były przerwane roczniki; gdy jednak naród wrócił po długiem wygnaniu w ojezyste strony, Zorobabel uważał za najświętszą



powinność względem Pana, przywrócenie ksiąg i odtąd już przez ciąg dwu tysięcy lat możemy śledzić bez przerwy rozwój i ciąg żydowskich pokoleń.

Tu zatrzymała się, jakby chcąc dać słuchaczowi czas do namysłu i obliczenia tak wielkiego przeciagu czasu, potem mówiła dalej:

— Wobec tylu wieków, cóż znaczy chełpienie się Rzymianina? Wobec takiego dowodu, synowie Izraelscy pasący trzody na starem wzgórzu Refaim, stokroć są dawniejszymi szlachcicami, niż którykolwiek potomek najszlachetniejszego rodu Marcyuszów.

— A ja, matko, kimże jestem podług owych ksiąg?

— To co dotąd mówiłam, jest niejako wstępem do odpowiedzi, której się domagasz. W owych księgach mamy niezbite dowody, że jesteś w prostej linii potomkiem Hura, towarzysza Jozuego. Czy więc pochodzenie twego rodu nie jest dość starożytnem, dość uświęconem szeregiem wieków? Jeśli ci jednak i to nie wystarcza, to poszukaj dalej, weź Thora (Mojżeszowa księga prawa) i szukaj księgi liczb (czwarta księga Mojżesza), a w siedmdziesiątym drugim pokoleniu po Adamie, znajdziesz praojca twego domu.

Cisza zaległa na chwilę w komnacie na dachu.

— Dzięki ci, matko — rzekł nareszcie Juda, biorąc obie jej ręce — dziękuję ci całym sercem. Miałem słuszność, nie wzywając rektora, — nie zdołałby mnie więcej zadowolić od ciebie, jednak powiedz mi, czy do uszlachetnienia rodu tylko czas się przyczynia?

— Zapominasz, mój synu, że nasze prawa nietylko czas mają za sobą; najwyższym naszym zaszczytem nie przestaje być to: iż jesteśmy narodem wybranym!

— Ty, matko, mówisz zawsze o całym narodzie, ja zaś myślę o rodzinie — o naszej rodzinie, i pytam, czego ojcowie moi dokonali od czasów Abrahama? Co robili? Jakimi wielkimi czynami wzniesli się ponad poziom współbraci?

Słowa te zatrwożyły matkę, zawahała się, myśląc, że może niezrozumiała pytań. Lękała się, aby nieodpowiedniami odpowiedziami nie zniweczyć przyszłości syna.

— Mniemam, synu — rzekła — że masz do czynienia z rzeczywistym, a nie urojonym nieprzyjacielem. Jeżeli Messala nim

jest, natenczas powtórz mi wszystko coście rozmawiali, a nie nie ukrywaj.

Młodzieniec opowiedział dokładnie rozmowę swoją z Messalą, rozwodził się jednak szczegółowo nad pogardą, z jaką Rzymianin mówił o Żydach i ścieśnionym zakresie ich działania. Matka słuchała go w milczeniu, zastanawiając się nad tem co mówił. Syn jej udał się do pałacu na rynku targowym, wiedziony uczuciem przyjaźni i spodziewał się znaleźć dawnego towarzysza zabaw takim, jakim był przy rozstaniu. Spotkał go zawód, bo zamiast chłopca, zastał mężczyznę nie wspominającego zabaw i igraszek przeszłości, ale rojącego o sławie, zwycięstwach i bogactwach w przyszłości. Juda nie umiał sobie z tego zdać sprawy, ale obraziło to jego dumę i obudziło naturalne poczucie godności narodowej. Spostrzegło to baczne oko matki, a że nie wiedziała, co stąd wyniknąć może, obudził się w niej z troskliwości o przyszłość syna niepokój; myśl, że jej dziecko mogłoby zmienić przekonanie, uleść wpływowi obcego narodu, zapomnieć wiary Ojców, napełniła ją trwogą. Widziała niebezpieczeństwo, i postanowiła mu zagrozić. Słowa jej nabrały pewnego namaszczenia i ducha poetyckiego.

— Nie było chyba narodu na ziemi — zaczęła — któryby w poczuciu swej godności nie sądził się przynajmniej równym każdemu innemu; zawsze zaś naród postępujący naprzód mienił się najwyższym. Gdy Rzymianin patrzy na Izraela z tego stanowiska, naśladuje tylko ciemnotę Egipcyanina, Assyryjczyków i Macedończyków; jeśli urąga Bogu, weźmie tę samą co tam ci zapłatę.

W miarę jak mówiła, głos jej nabierał pewności: — Niema prawa, któreby narodom zapewniło jedynowładztwo i zwierzchność nad drugimi narodami, to też próżnemi są wszelkie w tym względzie uroszczenia i sprzeczki. Naród wzrasta, idzie drogą mu przeznaczoną, a gdy spełnił swe posłannictwo, umiera sam lub za przyczynieniem się obcej siły. Naród, który zniszczył poprzednika, zajmuje jego miejsce i imię swe pisze na pomnikach tamtego; — takim jest prawo historii. Gdybym miała odwagę uzmysłowić Boga i ludzkość jakim prostym obrazem, nakreśliłabym linię i koło. Linia oznaczałaby Boga, bo tylko Pan łączy zawsze prosto i naprzód; koło byłoby godłem czło-

wieka, bo on postępuje, rusza się, ale w miejscu. Nie sędzę, aby losy i przeznaczenia narodów miały być równe, z pewnością niema dwóch jednakowych. Różnica jednak nie polega, jak wielu mniema, na większym lub mniejszym obwodzie koła, które narody zakreślają, ani w obszarze ziemi, którą zdobyły, ale w kierunku postępu, zbliżającego je do Boga, bo tylko ten naród jest wielkim, który przy Nim stoi.

Gdybym się tu w mem dowodzeniu zatrzymała, byłoby to stać na miejscu. Idźmy więc dalej, tem bardziej, że są pewne wyraźne znaki, podług których łatwo wymierzyć, czy w kole, które naród zakreśla, jest jaki postęp. Zaczniemy od porównania Rzymian z Hebrzejczykami.

Najłatwiej ocenić stosunek narodu do Boga, gdy przypatrzymy się jego codziennemu życiu. Pominąwszy czas, w którym Izrael zapominał o Bogu, Rzym nie znał go nigdy, a zatem nie ma tu porównania.

Twój przyjaciel — czyli raczej ten, który był twoim przyjacielem, twierdził, jeśli dobrze rozumiałam, że nie mieliśmy ani poetów, ani artystów, ani wojowników, słowem, osądził, że brak nam wielkich ludzi. Abyś ocenił doniosłość takiego zarzutu, trzeba, abym ci powiedziała, kto właściwie jest wielkim człowiekiem. Jest nim ten, moje dziecię, czyje życie dowodzi, że był, jeśli nie wybranym wyraźnie od Boga, to przynajmniej działanie jego było uświęcone wolą Bożą. Babilończyka przeznaczył Pan, aby był karą ojców naszych za to, że Mu byli nieposłusznymi, i pozwolił Pan, aby ich uprowadził do niewoli. Persowi znów rozkazał, aby naród wybrany przywiódł do ziemi ojców. Większym zaś uczynił Pan Macedończyka, bo jemu danem było pomścić zburzenie Judei i świątyni. Szczególniej odznaczył tych ludzi Pan, wybierając ich za narzędzie do spełnienia najwyższych celów, a choć byli poganami, nie czyni to ujmy ich chwale. Tego objaśnienia nie zapomnij w dalszym ciągu mej mowy.

Ogólnie panuje mniemanie, że wojna jest najszlachetniejszym zatrudnieniem człowieka, a owoce i zaszczyty na polu bitwy zdobyte, najwznioślejszymi. Chociaż świat tak sądzi, nie daj się uwieść ułudzie. Póty istnieć będzie rozkaz czci Boga, póki będzie coś, czego rozumem objąć nie zdołamy. Czemże jest modlitwa barbarzyńcy, jeśli nie bła-

galnym jękiem wobec siły i przemocy, które jedynie uważa za Boskie przymioty. Czemże jest Jowisz, jeśli nie uosobieniem potęgi w rzymskim bohaterze? Grekom należy się wielka sława, że pierwsi uznali rozum nad siłę; w Atenach mowców i filozofów więcej cenią od wojowników. Poetów zaś wieńczą niezwykłymi wawrzyny. Ojcowie nasi ponad wszystko czcili Boga, a wyrazem ich wiary, miasto jęku bojaźni, były Psalmy i Hosanna! Tak Hebrejczycy jak Grecy pragnęli popchnąć świat naprzód i w górę, ale niestety! rządy tego świata uważały za konieczny warunek swego istnienia wojnę. Dlatego też Rzymianie wynieśli Cezara ponad wszelki rozum, ponad Boga nawet i uważają w nim jedyne wyobrażenie potęgi.

Potęga Grecyi rosła w miarę swobody ducha, a cały zastęp myślicieli świadczyć o niej będzie po wszystkie czasy. Tak wszechstronną zaś była ich wiedza, że nawet zwycięzcy Rzymianie naśladowali ich we wszystkim, z wyjątkiem sztuki wojennej. Dzisiaj mowcy na Forum biorą sobie za wzór greckich mowców, w śpiewie rzymskim wyraźnie brzmi rytm grecki, a jeśli który z obywateli Rzymu otworzy usta na pochwałę cnoty, lub zapuści się w badania tajemnic natury, to słowa jego będą albo przywłaszczeniem sobie myśli, albo też pokaże się, że jest uczniem i wyznawcą szkoły greckiej. W niczem, prócz wojny, Rzym nie może sobie rościć prawa do oryginalności. Jego cyrk i widowiska są greckimi w pomyśle. Aby się dzikiemu tłumowi podobać mogły, zbryzgano je krwią. Religia Rzymian, jeśli ich bałwochwalstwo można tak nazwać, jest zlepkiem nauk i obrzędów zapożyczonych od wszystkich podbitych narodów; ich najwyższą czcią otoczone bóstwa — Mars i Jowisz — z greckiego przecież Olympu ród swój wiodą. Tak więc, mój synu, wśród ludów całego świata Izrael z jedną tylko Grecyą walczyć może o pierwszeństwo. Z nią tylko współubiegać się o palmę zasługi, którą jedynie przystoi wieńczyć prawdziwy geniusz.

Miłość własna Rzymian tak ich oślepiła, że nie widzą nic prócz siebie, a w ślepotcie tej tak zaskorupieli, że nie przebijają jej żaden promień jaśniejszy. O niegodziwi rabusie! Ziemia pod ich stąpaniem drży jak boisko pod uderzaniem cep! Czemuż mój synu, muszę ci powiedzieć, że i my, tak jak inne narody, bliżej jesteśmy upadku! Zabrano nam już nasze dostojeństwa, przywłaszczono najświętsze miejsca, a

końca nikt przewidzieć nie może. Jednak to wiem i tego pewną jestem, że choć zgniotą Jądę jak ziarno kamieniem młyńskim i pożrą Jeruzalem, które jest kwiatem całego kraju, to przecież i chwała Izraela pozostanie światłem na niebiosach, a tego światła nie dosięgnie ręka ludzka, bo historia Izraela jest zarazem historią Boga. On sam pisał ją rękami ludzi do tego wśród Izraela wybranych, mówił ich językiem, był obecnym we wszystkim dobrem, które czynili, nawet w najmniejszym. Nie dosć na tem, był ich prawodawcą na Synai, przewodnikiem w pustyni, wodzem wśród wojny a królem w sądzie. I jeszcze dalej, kilka razy uchylił zasłony swego przybytku i w jasnościach niebiańskiej chwały mówił jak człowiek do człowieka, wskazując drogę enoty i szczęścia, czyniąc obietnice świadczące o Jego wszechmocności i stałości w zachowaniu przymierza na wieczność zaprzysiężonego.

Wobec tego wszystkiego, czyż być może, aby ci, synu mój, z którymi Jehowa tak przebywał, nie od Niego nie przejęli? żeby w ich życiu, sprawach i czynach, obok ludzkich zdolności, nie było jakiejś przymieszki boskiego pochodzenia? żeby ich geniusz, choćby po upływie wieków, nie był odbłyskiem nieba?

I czas jakiś cisza zaległa w komnacie, prócz szelestu wachlarza nie słyhać nie było.

— Jeśli mówiąc o sztuce, myślimy tylko o malarstwie i rzeźbie, to prawda — rzekła wkrótce — że Izrael nie ma artystów.

To wyznanie zrobiła z żalem, bo należąc do Saduceuszów, wielbiła piękno w jakiejbykolwiek pojawiało się formie, czemu przeciwili się najwięcej Faryzeusze.

— Każdy sprawiedliwy musi nam jednak przyznać — mówiła dalej — że zręczność rąk naszych skrepiła przykazanie: „nie zrobisz sobie ani obrazu ani podobizny.“ Zakaz ten rozciągnęło prawodawstwo poza jego cel i czas. Nie należy też zapominać dwóch Izraelitów Bezaeela i Aholiaba, mistrzów budowniczych pierwszego przybytku, o których napisano jest, że byli biegłymi we wszystkich rodzajach rzemiosła, utworzyli złotych Cherubów, zdobiących skrzynię arki przymierza. Postacie te były z szczerzego złota, skrzydłami swemi mają okrywać i ocieniać tron Boski, stoją naprzeciw sobie i twarzą zwrócone są ku skrzyni Łaski. Któż śmie twierdzić, że postacie te, to nie areydzioło sztuki?

— Ah! rozumiem teraz, czemu nas Grecy wyprzedzili — rzekł Juda — a arka?... Przeklętymi niech będą Babilończycy, którzy ją zniszczyli.

— Nie, Judo, nie zniszczyli, ale zaginęła, a raczej ukryta jest gdzieś w bezpiecznej jaskini w górach; Hillel i Szamai, obaj tak wierzą i mówią: nadejdzie dzień, skoro Pan uzna za dobre, znajdzie się arka, ustawią ją, a Izrael będzie przed nią tańczył i śpiewał jako za dawnych dni. Ci zaś, którzy ujrzą oblicza Cherubów, chociażby byli widzieli twarz Fidyaszowej Minerwy*) ze słoniowej kości, zapragną aścisnąć rękę Żyda z uwielbienia dla jego geniuszu, zachowanego przez lat tysiące.

Uniesiona zapalę matką, wpadła mimowolnie w ton i gwałtowność mowy; teraz jednak, aby odpocząć, czy schwycić wątek myśli, zatrzymała się chwilę.

— Jakże dobrą jesteś, matko moja — mówił Juda z wdzięcznością — nigdy nie przestanę powtarzać tego. Ani Hillel, ani Schamai nie mogli lepiej i piękniej powiedzieć. Znów jestem wiernym synem Izraela.

— Pochlebco! — odparła — nie wieszczę, iż powtarzam tylko to, co kiedyś mówił Hillel w rozmowie z pewnym rzymskim mędrcem?

— Być może, ale nie mniej mówiłaś z niezwykłym zapalę.

— Na czemże skończyłam? — zapytała matka z powagą — mówiłam o pierwszeństwie w sztuce praojców naszych, w sztuce rzeźbienia posągów. Ale rzeźba, mój Judo, nie sama sztukę stanowi, ani też sztuka w sobie zawiera wielkość. Lubię sobie wyobrażać wielkich ludzi dążących poprzez wieki do wielkich celów, dzielę ich na grupy i okresy; tu Indowie, tam Egipcjanie, ówdzie Assyryjczycy; nad nimi słyszę unoszącą się muzykę trąb i szelest zwycięskich sztandarów, a tymczasem po prawej i lewej stronie stoją niezliczone pokolenia i patrzą na nich pełne czci i podziwienia. Gdy ci znikają, występuje piękny Helleńczyk i wiedzie pochód z tryumfalnym okrzykiem, wnet Rzymianin każe mu mileżeć i mówi: precz! co było waszem, jest teraz mojem. Świat leży zdeptany, a jam pan. Tymczasem z daleka, a na prost szlaku, którym idzie pochód, świeci światło oświe-

*) Fidyasz, znakomity rzeźbiarz grecki, który zrobił posąg Minerwy, bogini błyskawicy i wojny.

cające zarówno najodleglejszą przeszłość i najdalszą przyszłość. Nie wiedzą o niem walczący, a przecież ono ich wie — bo to jest światło objawienia. Któż niesie to światło? Ah, to stary ród Judy! Jakże na tę myśl krew szybko w żyłach krąży! W tem oświeceniu snadno i my ich widzimy. Bądźcie po trzykroć błogosławionymi, wielcy nasi ojcowie, słudzy Boga, stróże przymierza! Wy to jesteście przewodnikami ludzkości, wy stoicie na czele w królestwie żywych i umarłych! Tam, obok nich, jest twoje miejsce, mój synu, a choćby każdy Rzymianin był Cezarem, zaprawdę, nie ustąpisz mu pierwszeństwa.

Juda mocno był wzruszony,

— Mów dalej, matko moja — wołał — słyszę niby trąby zwycięstwa i mnie się zdaje, że zbliża się Mirjam *) z orszakiem swych niewiast, które tańczą i śpiewają.

Zrozumiała uczucia syna, a chcąc je wyzyskać, mówiła dalej: — Kiedy słyszysz hymny i waltornie, **) towarzyszące prorokini, daj wodze wyobraźni i stań wraz ze mną jakby u brzegu gościńca, którym uroczyście postępuje korowód wybranych wśród Izraela. Oto idą patryarchowie i ojcowie pokoleń — zda mi się, że słyszę dzwonki wielbłądów i ryczenie trzód ich. A tam, pośród gromady — któż to jest, co idzie sam? Starzec to, ale siły jego niezłamane, a oko świętym pała ogniem: to On, który oglądał Pana twarzą w twarz. Stoi sam, bo któż sprost wojownikowi, poecie, mowcy, prawodawcy, prorokowi? Wielkość jego jest jako słońce w południe, światłość jego gasi wszelkie inne, choćby nawet sławę pierwszego i najszlachetniejszego z Cezarów. Zanim postępuje orszak sędziów, po nich królowie — a oto syn Jessego, bohater w wojnie, śpiewak pieśni nieśmiertelnych; dalej jego syn, mędrszy i bogatszy nad wszelkie króle swego czasu, zaludnił pustynię i zbudował w niej miasta, a nie przepomniął Jerozolimy, w której wybudował Panu na chwałę świątynię. Teraz schyl głowę, mój synu, bo oto idą ci, którym podobnych niema. Oblicza ich wzniesione ku niebu, jak gdyby słyszeli głos Boży; szaty ich czuć zgnilizną grobów i pieczar. Wśród tego grona słyszysz głos kobiety, która wzywa: „Śpiewajmy Panu, bo oto zwyciężył z chwałą.“

*) Mirjam po hebrejsku, tyle co Marya. **) Dęty instrument muzyczny.

Ukorz się w prochu przed nimi, mój synu, bo ich językiem posługiwał się Pan, byli jego wysłańcami i sługami. Niebo stało im otworem; widzieli przyszłość narodów; widzenia swe uwiecznili pismem, a spełnienie przepowiedni świadczyło i świadczy, że byli mężami prawdy. Królowie bledli na ich widok; narody drżały na dźwięk ich głosu; żywy były im posłuszne; w rękę ich spoczywało błogosławieństwo i klątwa. Patrz, oto wielki Tezbijczyk i Elizeusz! a tam znów trzech młodzieńców w piecu ognistym. A teraz — ugnij, synu mój, kolana, bo oto zbliża się ten, z którego pokolenia ma się narodzić Mesyas.

W ciągu tej mowy szybko poruszała wachlarzem, nagle ruch ustał, a ona przyciszonym głosem zapytała:

— Jesteś zmęczony, synu?

— Nie, matko moja — odpowiedział — słuchałem z zachwytem pieśni o Izraelu.

Zdawała się nie słyszeć pochwały i mówiła dalej, dążąc do wytkniętego celu.

— O ile sił starczyło, starałam się przypomnieć ci naszych wielkich ludzi — patryarchów, prawodawców, wojowników, śpiewaków i proroków. Przypatrzmy się teraz najznakomitszym z Rzymian. Obok Mojżesza postawmy Cezara, obok Tarkwiniusza Dawida, Sullę porównajmy z Machabeuszami, a najznakomitszych konsulów z sędziami, nareszcie Augusta z Salomonem i tu już koniec — bo kogoż choćby w przybliżeniu porównać można z prorokami, największymi z wielkich!

Tu uśmiech pogardy przebiegł po jej licu.

— Daruj, zapomniałam o wróżbie Augurze, który ostrzegał Kajusa Juliusza przed Markiem Juniuszem Brutusem*), widzę go jak szuka złej wróżby we wnętrznościach kury. Odwróćmy oczy od tak pospolitego obrazu, a wyobraźmy sobie zato Eliasza na wzgórzu przy drodze do Samaryi, wśród dymiących ciał owych dwóch pięćdziesiątek wojowników, wysłanych przez króla, pożartych ogniem niebieskim na rozkaz proroka, który tym strasznym sposobem oznajmił synowi Achaba bliskość śmierci. Nakoniec, mój Judo — jeśli wolno i jeśli przystoi w jakikolwiek sposób zestawiać wielkiego Jehowę z Jowiszem, to zaiste dosyć jest

*) Spiskowiec przeciw życiu Kajusa Juliusza.

osądzić uczynki i sprawy tych, którzy im służą i w imieniu owych bóstw działają. Co się zaś tyczy twojej własnej przyszłości.....

Ostatnie wyrazy mówiła zwolna i drżącym głosem:

— To służ, mój synu, twemu Panu, a nie władzcom Rzymu. Synowi Izraela nie przystoi żadna inna sława, jak sława służby Bożej, bo już w niej samej jest wszelka chwała i cześć.

— Jak to, więc nie mam być żołnierzem? — pytał Juda.

— Czemużby nie? Wszak Mojżesz nazwał Pana „Bogiem Zastępów.“

Długie milczenie zaległo komnatę.

— Masz więc moje pozwolenie — rzekła — ale pomnij, że masz służyć Panu, ale nie Cezarowi.

Przyjął z radością warunek, lecz sennosc obejmowała go zwolna, co widząc matka, podłożyła mu wezgłówek pod głowę, nakryła troskliwie i ucałowawszy serdecznie, odeszła.

ROZDZIAŁ VIII.

Każdy z nas, zły czy dobry, umrzeć musi; pomnąc na obietnice naszej religii, mówimy też spokojnie: mniejsza o to, otworzymy oczy w Niebie. Do takiego cudownego przebudzenia w zaświatowej krainie podobne jest ocknienie się ze snu wśród przeświadczenia o szczęściu i przy dźwięku rozkosznej muzyki.

Takiem było przebudzenie Judy, gdy się ocknął, słońce stało wysoko nad górami; gołębie napełniały powietrze trzepotaniem białych skrzydeł, a na południowowschodnim skłonie nieba widniała świątynia, niby złote zjawisko odbijające na ciemnem tle błękitu. Nie zwracał na to Juda uwagi, na piękny widok przelotne rzucił wejrzenie, a całą jego uwagę zwróciła piętnastoletnia dziewczynka, siedząca na dywanie u nóg jego i grająca na nebli (harfa żydowska) opartej na kolanach. Słuchał z uniesieniem kołysanki śpiewanej przy delikatnem towarzyszeniu akordów; gdy pieśń umilkła, dziewczynka założyła ręce i zwróciła pytający wzrok na Judę. Ponieważ dziewczę to wchodzi w zakres naszego opowiadania, musimy się z nią i całą rodziną Hurów zapoznać.

Herod umierając, nagroził i obdarzył majątkami wiele osób, które z nim miały stosunki; jeśli popierający króla był potomkiem jednego ze sławnych pokoleń, szczególnie zaś z pokolenia Judy, to bogactwo dawało mu zaszczytne miejsce w gronie książąt jerozolimskich. Od-szczególnienie takie zapewniało mu hołd biedniejszych rodaków, a u-szanowanie pogan, z którymi często łączyły Izraelitów interesa, lub społeczne stosunki. Do tych szczęśliwych wybrańców losu należał także ojciec Judy, który w życiu publicznem jakoteż prywatnem uży-



wał wielkiego poważania i nosił tytuł księcia Jerozolimy. Pełen bojaźni Bożej, Żyd rzetelny, służył królowi wiernie i nieraz dał tego dowody. Jako pełnomocnik Heroda, odwiedził kilkakrotnie Rzym; tam zwrócił na siebie uwagę Augusta, który starał się pozyskać jego przyjaźń. To też w domu jego pełno było owych darów, które czynią zadość próżności tak królów, jak dworaków, mnogie purpurowe togi, krzesła ze słoniowej kości, złote puchary; wartość zaś ich stanowiło właściwie to, że z cesarskiej pochodziły ręki. Mąż taki musiał być bogatym, ale zamożność jego nie była wyłącznie dziełem potężnych opiekunów, on sam, wielbiąc prawo nakazujące pracę i zajęcie, czynnym był wszędzie i w najrozmaitszych kierunkach. Liczni pasterze pasący trzody po dolinach i wzgórzach Libanu, zwali Hura swym panem;

w miastach tak portowych jak w głębi stałego lądu leżących posiadał liczne domy handlowe; okręty dostarczały mu srebra z Hiszpanii, gdzie były wówczas najobfitsze tegoż kopalnie; a karawany ze Wschodu przywoziły mu dwa razy do roku jedwabie i korzenie. Szczerze i sumiennie wypełniał obowiązki, jak nań wiara hebrejska nakładała; uczony był w piśmie, do synagogi uczęszczał regularnie. Z rozkoszą przebywał w gronie mistrzów, uszanowanie zaś jego dla Hillela równało się czci. Nie był jednak małego serca; z gościnnością przyjmował cudzoziemców, skądbykolwiek pochodzili, a Faryzeusze twierdzili, jakoby Samarytan u stołu swego przyjmował. Gdyby był poganinem i gdyby był żył społecznie z Herodem Attikusem, możnaby go uważać za współzawodnika tegoż. Zginął jednak na morzu w sile wieku, na jakie dziesięć lat przed drugim okresem naszej historii. Opłakiwała go cała Judea, — o ileż więcej rodzina.

Poznaliśmy już matkę i syna, a także córkę, w chwili gdy śpiewała bratu. Imię jej było Tirza. Podobieństwo jej do brata było uderzające, miała też same regularne rysy, lecz pełne wdzięku i wrażliwości. Ubrana była w szatę spiętą na prawem ramieniu, spadającą na pierś i plecy, a schodzącą się u lewego ramienia, trochę tylko osłaniającą kibić powyżej stanu i zostawiającą obnażone całkiem ręce. Dolną część szaty, układającą się w fałdy, przytrzymywał w stanie pasek. Włosy zgrabnie ułożone, pokrywała jedwabna czapeczka, z której spływała także szarfa, bogato haftowana i w delikatne ułożona fałdy, tak, aby uwydatniła kształt głowy, nie powiększając jej rozmiarów. W uszach nosiła zausznicę, na palcach pierścienie; na ramienniki i obręcze czysto złote zdobiły jej ręce a na szyi złoty naszyjnik, dziwnie misternymi łańcuszkami i wisiorami z pereł przyozdobiony, dopełniał stroju. Kąty brwi i końce paznokci miała zabarwione, a włosy, w długie splecione warkocze, spadały na plecy, podczas gdy zwinięte pukle krótszych włosów zdobiły policzki. Patrząc na nią, nie można jej było odmówić wdzięku, wytworności i urody.

— Bardzo pięknie, moja Tirzo, bardzo pięknie — mówił Juda z ożywieniem.

— Podoba ci się?

— Tak, pieśń piękna i śpiewaczka także! Są w tej pieśni jakieś greckie oddźwięki. — Skąd się jej nauczyłaś?

— Przypominasz sobie owego Greka, który śpiewał w teatrze zeszłego miesiąca? Mówiono, że był śpiewakiem na dworze Heroda i jego siostry Salome. Śpiewał zaraz po występie atletów i cała sala była jeszcze pełną wrzawy, ale po pierwszym tonie wszystko ucichło i żadne słowo nie uszło mej uwagi — tak więc pieśń tę mam od niego.

— Ależ on śpiewał po grecku.

— A ja po hebrejsku.

— Teraz rozumiem i dumny jestem z mojej siostrzyczki. Może umiesz jeszcze jaką równie piękną pieśń?

— O tak, jeszcze wiele, ale dajmy temu pokój; Amra przysłała mnie, abym ci powiedziała, że ci tu przyniesie śniadanie, nie potrzebujesz więc schodzić. Przybędzie tu zapewne zaraz, bo sądzi, żeś chory, żeś miał jakiś przypadek wczoraj. Co to było? Powiedz mi, abym pomogła Amrze w leczeniu cię; ona zna leki Egipcyan, ale niewiele pomocne, ja zaś mam wiele recept od Arabów, które —

— Jeszcze mniej są pomocne niż Egipcyan — rzekł, potrząsnąwszy głową Juda.

— Tak sądzisz? Nie myślę ci się sprzeciwiać — odpowiedziała Tirza, podnosząc rękę do lewego ucha — nie będziemy mieć z nimi nic do czynienia, bo oto mam coś pewniejszego i lepszego... amulet,*) który pochodzi od jakiegoś perskiego czarodzieja i jest nie wiem od jak dawna w naszej rodzinie. Patrz, napis już całkiem zatarty.

To mówiąc, podała mu zausznice; on wziął klejnot do ręki, popatrzył i oddał jej, śmiejąc się:

— Choćbym miał umrzeć, Tirzo, nie używałbym amuletu, bo to jest zabytek bałwochwalstwa, zakazany każdemu wiernemu synowi i córce Abrahama. Weź go, ale nie noś więcej.

— Zakazane! Ależ to być nie może — rzekła — matka naszego ojca nosiła ten amulet każdego sabatu, przez całe swoje życie. Wyliczył on, nie wiem ilu chorych — ale z pewnością więcej niż trzech. Jest nawet aprobowany — patrz nosi pieczęć Rabina.

— Nie wierzę w amulety.

*) Amulet: przedmiot, chroniący od chorób i nieszczęść; nosili amulety ludzie zabobonni.

Podniosła na niego oczy ze zdziwieniem.

— Cóżby na to powiedziała Amra?

— Rodzice Amry byli stróżami ogrodów nad Nilem i bałwochwalcami.

— Ależ Gamaliel.

— On twierdzi, że to są bezbożne wymysły pogan.

— Tirza patrzyła na amulet z żalem i nieufnością. — Cóż mam z nim robić?

— Noś go, siostrzyczko. Zdobi cię, upiększa, chociaż zaprawdę i bez niego piękną jesteś.

Zadowolona, założyła amulet właśnie, gdy Amra wносиła tacę z miednicą, wodą i ręcznikami.

Ponieważ Juda nie był Faryzeuszem, więc umywanie nie zabrało mu wiele czasu; a gdy niewolnica odeszła, Tirza podjęła trud uczenia brata. Skoro ułożyła jego kędziory stosownie do swego gustu, odwiązała metalowe zwierciadełko, które, jak wszystkie kobiety tego kraju, nosiła u paska i podała je bratu, aby ją pochwalił i ujrział, jak jest pięknym. Wśród tego zajęcia zaczęli znów rozmawiać:

— Co powiesz na to Tirzo — wyjeżdżam....

Przerażona, załamała ręce.

— Wyjeżdżasz.... kiedy.... gdzie.... dlaczego....

— Otóż i trzy pytania jednym tchem! Co za ciekawość! Po chwili rzekł poważnie: Wiesz zapewne, że prawa nasze każą mi obrać jakiś zawód, zajęcie; nasz zacny ojciec zostawił mi tak w tem, jak we wszystkim najlepszy przykład. Gardziłabyś mną sama, gdybym w lenistwie używał owoców jego przemysłu i wiedzy. Jadę do Rzymu.

— Weź mnie z sobą!

— Przecież oboje nie możemy opuścić matki, musisz z nią pozostać. Twarz jej pokryła się smutkiem.

— Niestety! Ale czyż koniecznie musisz jechać? Wszak tu w Jeruzolimie możesz się nauczyć wszystkiego, czego potrzeba kupcowi — jeśli myślisz temu zawodowi się poświęcić.

— Właśnie nie jest to moim zamiarem. Prawo nie wymaga, aby syn był tem, czem był ojciec.

— Czemże innym możesz być?

— Żołnierzem — odpowiedział z pewną dumą.

Łzy zaćmiły jej oczy.

— Zginiesz....

— Jeśli takąby była wola Boża, niech i tak będzie. Tirzo, nie wszystkich żołnierzy zabijają.

Zarzuciła mu ręce na szyję, jakby go od powziętego zamiaru powstrzymać chciała.

— Jesteśmy tak szczęśliwi, bracie mój.... zostań w domu.

— Dom nie zawsze będzie, czem jest. Ty sama nie długo opuścisz go.

— Nigdy!

Uśmiechnął się na to zapewnienie.

— Niedługo przyjdzie jaki książę Judy lub innego pokolenia, zabierze moją Tirzę, pojedzie z nią, aby była światłem innego domu. Wtedy cóż się ze mną stanie?

Odpowiedziała łkaniem.

— Wojna, to także przemysł — mówił z namysłem — aby się jej nauczyć, potrzeba iść do szkoły, a niema lepszej nad obóz rzymski.

— Przecież nie będziesz walczył dla Rzymu? — pytała, wstrzymując z obawą oddech.

— Więc nawet i ty nienawidzisz ich! Cały świat nienawidzi Rzymu. Staraj się zrozumieć moją odpowiedź Tirzo: tak, będę walczył dla Rzymu, jeśli za to nauczy mnie, jak kiedyś walczyć przeciw niemu.

— Kiedy chcesz jechać?

Nagle posłyszeli kroki powracającej Amry.

— Cicho! — rzekł Juda. — Niech nie wie, jakie mam zamiary.

Wierna niewolnica przyniosła śniadanie i postawiła na stolku przed nimi, a biorąc biały ręcznik na ramię, pozostała, aby im służyć. Zmaczali palce w naczyniu z wodą i właśnie obcierali je ręcznikiem, gdy dał się słyszeć gwar na ulicy. Poznali wojenną muzykę, która zbliżała się ku północnej stronie domu.

— To żołnierze z Pretorium, muszę ich widzieć! — krzyknął młodzieniec, zrywając się z dywanu i biegnąc w stronę, skąd dolatywał hałas. Za chwilę stał oparty o parapet*) z dachówki, strzegący narożnika dachu od północno-wschodniej strony domu. Stał tak zajęty, że

*) Parapet-przedpiersie, poręcz podmurowana.

nie zauważył, iż Tirza stała obok niego, opierając rękę na jego ramieniu.

Miejsce, które zajmowali na dachu, było na najwyższym szczycie domu i górowało nad wszystkimi domami wschodniej strony miasta, tak, że mogli przejrzeć całą przestrzeń aż do wieży Antonia, która, jak już wiemy, była częścią fortecy i kwaterą namiestnika. Ulica, najwięcej 10 stóp szeroka, była gdzieś przecięta mostami, które, tak jak dachy, zapępniały się ludźmi, kobietami i dziećmi przywabionymi muzyką. Właściwa nazwa muzyki nie koniecznie nadawała się na określenie tego huku trąb i przejmującego pisku drewnianych, dętych instrumentów. Za chwil kilka wychyliły się szeregi wojowników, tak że rodzeństwo, stojące na dachu pałacu Hurów, mogło cały pochód widzieć. Najpierw



szła w szerokich odstępach przednia straż lekko zbrojnych w proce i łuki; dalej oddział ciężko uzbrojonej piechoty, z wielkimi tarczami i długimi włóczniami; — za nimi postępowała muzyka, po niej zaś konno oficer wraz z przyboczną strażą. Po straży postępował jeszcze oddział ciężko zbrojnej piechoty, posuwając się w zbitym porządku i zapełniając ulicę od muru do muru, tak iż zdawał się być bez końca.

Muskularne członki wojowników, rytmiczny ruch tarcz od prawej ku lewej stronie, blask łuskowatych pancerzy, sprzączek i hełmów, pióra chwiejące się na wysokich szyszakach, szelest powiewających chorągwi, piki żelazne, śmiały, pewny, rytmicznie wymierzony krok, postawa groźna i baczna, zgodność ruchu całej masy, podobna do niezmiennego ruchu maszyny, — wszystko to robiło na Judzie wielkie wrażenie, które łatwiej odczuć niż opisać. Dwa przedmioty jednak głównie zwracały jego uwagę, najpierw: orzeł legionu, t. j. pozłocista podobizna ptaka, osadzona na wysokim drągu. Wiedział, że gdy znak ten wynoszono z izby fortu, oddawano mu cześć niezwykłą. Drugim punktem, zwracającym na siebie uwagę patrzącego, był wódz, jadący sam w środku wojska. Jechał w pełnej zbroi, z odkrytą głową; u lewego biodra miał krótki miecz, w ręce trzymał buławę dowódcy. Koń miasto siodła, okryty był purpurowym czaprakiem, zdobnym szeroką złotą frendzlą. Uzda zaś i lejce żółte, jedwabne, przetykane złotym haftem, dopełniały bogatego stroju rumaka.

Jeszcze jeździec był daleko, a już zauważył Juda, że sama jego obecność wzbudzała gniew i oburzenie w przypatrującej się masie ludu. Jedni opierając się o poręcze dachu, drudzy stojąc dumnie, grozili mu pięściami; inni jeszcze szli za nim, krzycząc; ci zaś, którzy stali na mostach, pod którymi przejeżdżał oddział, krzyczeli i pluli nań z góry; kobiety nawet ciskały odważnie sandałami, często tak zręcznie, że go trafiały. Gdy nareszcie zbliżył się dowódzca, krzyki stały się wyraźnymi: Rozbójnik, tyran, pies rzymski! Precz z Ismaelem! Oddajcie nam Annasza.

Skoro jeździec był już blisko, dostrzegł Juda, co zresztą łatwo mu było zrozumieć, że wódz nie dzielił wspaniałej obojętności żołnierzy; twarz jego była ponura i groźna, a spojrzenie, które zwracał na przesładowców, pełne wzgardy i groźby, nie jednego zmusiło do odwrotu.

Wiedział młodzieniec, że za przykładem pierwszego Cezara, dowódcy, dla oznaczenia swej godności, ukazywali się publicznie w warzynowym wieńcu na głowie. Domyślił się więc po tej odznace, że ma przed sobą Waleryusza Gratusa, nowego prokuratora Judei!

Jakkolwiek bądz, Rzymianin ten wśród burzy prześladowania, której niczem nie wywołał, wzbudził współczucie w sercu młodego Żyda. Chcąc mu się lepiej przypatrzeć, zbliżył się więcej do poręczy i oparł rękę na dachówce. Zapewne musiała już dawno być nadłamana, zewnętrzna bowiem poręcz oderwała się z łoskotem, lecąc wprost na jeźdźca. Dreszcz przestachu wstrząsnął na ten widok młodzieńcem. Wyciągnął mimowolnie rękę, aby pochwycić pocisk, co mu nadało pozór rzucającego. Wysiłek chwycenia nie udał się, owszem zmocnił siłę pędu, a Juda w przerażeniu krzyknął z całej siły, co zwróciło uwagę całej straży i samego dowódcy. W tej chwili odłamek balustrady uderzył w odkrytą głowę Gratusa, który spadł z konia i leżał jakby martwy.

Tłum stanął, straż zsiadła z koni, spiesząc okryć dowódcę tarczami. Ludność przekonana, że Juda umyślnie rzucił pocisk, jęła krzykiem popierać odwagę młodzieńca, stojącego nad poręczą. On sam przerażony tem co się stało i następstwami, których nietrudno było się domyśleć, stał jakby przykuty do miejsca. Zgubny powiew, niby szept złego ducha, przybiegł z zadziwiającą szybkością z dachu na dach wzdłuż linii pochodu, porywając ludność zapałem i oburzeniem do walki i oporu. Rękami chwyтали za dachówki i od słońca spalone kawałki gliny, z której szczyty dachów po większej części były zrobione, ciskając je z ślepą namietnością na legiony na dole stojące. Grad cegieł obsypał żołnierzy. Wnet powstała bitwa, w której, jak łatwo było przewidzieć, zwyciężyli wyćwiczeni w wojnie żołnierze.

Juda, z twarzą pobladłą od przerażenia, zwrócił się ku siostrze i zawołał zrozpaczony:

— O Tirzo, Tirzo! co się z nami stanie!

Nie wiedziała biedna co się stało; słyszała wprawdzie krzyki walczących, widziała wrzenie walki, lecz nie знаła przyczyny całego

zajęcia, a tem samem nie domyślała się, aby ktokolwiek z jej ukończonych mógł znajdować się w niebezpieczeństwie.

— Co się stało? Co to wszystko znaczy? — pytała przerażona.

— Zabiłem dachówką namiestnika rzymskiego.

Twarzyczka jej pokryła się śmiertelną bladością. Zarzuciła bratu ramiona na szyję i wpatrywała mu się, pełna boleści, nie mówiąc ani słowa, w oczy. Pod wpływem tego wzroku nabrał otuchy.

— Nie zrobiłem tego umyślnie, Tirzo — rzekł — to był przypadek.

— Jak myślisz, cóż nam uczynią? — pytała.

Spojrzał na popłoch coraz się zwiększający na ulicy i dachach, a obraz ponurego i groźnego Gratusa przypomniał mu się z całą wyrazistością. Jeśli żyje, gdzież kres jego zemsty? Jeśli nie żyje, jakaż wściekłość legionistów? Nie mając gotowej odpowiedzi, spojrzał na dół właśnie w chwili, gdy straż pomagała dowódcy wsiąść na konia.

— Żyje, żyje, Tirzo! Błogosławionym niechaj będzie Bóg ojców naszych!

Uspokojony, zwrócił się do Tirzy, mówiąc:

— Nie bój się; wytłómaczę, jak się stało, przypominę zasługi ojca i zaoszczędzą nas.

Zwrócili ku letniemu domowi, gdy nagle dach zadrżał pod ich stopami a uszu ich doleciały uderzenia pałek i trzask wyłamywanych bram. Z podwórza słyhać było krzyki rozpacz, płacz i jęk przerażonych kobiet. Następnie usłyszeli zbliżające się kroki gromady ludu, klątwy i błagania. Wnet żołnierze, wyłamaawszy północną bramę, stali się panami pałacu, a Jude ogarnęło straszliwe przecucie, że to jego szukają, a z niem myśl o ucieczce, ale dokąd? Chyba tylko, gdyby miał skrzydła, mógłby uciec. Tirza z obłąkaniami od strachu oczyma chwyciła jego rękę, pytając:

— Judo, co to wszystko znaczy?

On wiedział, co to znaczy — mordowano służbę... a jego matka!... Któż wie, czy który z dosłyszanych głosów rozpacz nie był jej głosem! Okropność!... Przecież zdobył się na siłę woli i rzekł:

— Tirzo, zostań tu i czekaj na mnie, pójdę zobaczyć co się dzieje.

Ale głos jego drżący od trwogi, nie mógł uspokoić dziewczyny, która się tem goręcej tuliła do niego.

Nagle, wyraźnie, już nie w wyobraźni, poznał głos matki. Niezlekając więc dłużej, objął siostrę i rzekł:

— Chodź; spieszymy!

Terasa powyżej pierwszych schodów zapełniona była żołdactwem; jedni rabowali, drudzy z dobytymi mieczami wpadli do pokojów, mordując i raniąc. Tu i owdzie klęczące kobiety błagały o łaskę, opadał



jedna w podartej szacie, z długim rozwianym włosom, walczyła, szamocąc się z trzymającym ją siepaczem. Krzyk jej straszliwy, górujący ponad wrzawą, doleciał aż na dach. Do niej to biegł Juda, wołając: „matko! matko!“ Ale zaledwie dotknął jej rąk, pochwycono go i oderwano od niej. Wśród jęków, hałasu i wrzawy usłyszał, jak ktoś zawołał:

— To on!

Głos ten nie był mu obcym, spojrzał... i zobaczył Messalę.

— Jak to, tenże ma być zabójcą? — rzekł jeden z legionistów.

— Ależ to zaledwie wyrostek!

— Bogowie! — odparł Messala. — Czyż koniecznie trzeba być starym, aby pałac nienawiścią? Oto macie go, a wraz z nim matkę i siostrę!... całą rodzinę!

W uczuciu miłości dla matki i siostry, zapomniał Juda o sprzeczce, jaką miał z Messalą, więc błagał:

— Pomóż im, Messalo! Pomnij na naszą przyjaźń w dziecięctwie. Ja, Juda, proszę cię, błagam. — Rzymianin udał, że nie słyszy; a potem zwrócił się do oficera.

— Nie jestem tu już potrzebny. Na ulicy jest więcej do roboty. Niech przepada Eros, górą Mars!

I wyszedł, Juda zrozumiał wykrzyknik i z goryczą w duszy modlił się, mówiąc:

— Gdy nadejdzie godzina Twej pomsty, o Panie, niech moją będzie ręka, która ją wykona.

Przewycięzając samego siebie, zbliżył się do oficera i błagał:

— Panie, kobieta, której jęki słyszysz, jest moją matką. Ocal ją wraz z córką! Bóg jest sprawiedliwym; odda ci miłosierdzie za miłosierdzie.

Słowa te wzruszyły wojownika, bo zawołał:

— Do fortecy z kobietami! Nie czyńcie im krzywdy, zażadam ich od was! Weźcie sznury — rzekł dalej do tych, którzy pilnowali Judy — związać mu ręce i wyprowadzić stąd; nie ujdzie on kary. Nieszczęśliwą matkę wyniesiono. Tirza, skamieniała z bólu, poszła ze strażą bez oporu. Juda pożegnał je wzrokiem pełnym bólu i zakrył twarz rękoma, jakby chciał tę straszną chwilę zachować wiecznie w pamięci. Płakał pod osłoną rąk, nikt łez jego nie widział.

Wśród bólu i przerażenia zaszło w nim coś, co naprawdę nazwać można cudem. Dotąd usposobienie młodego Izraelity było prawie kobiecym — wiódł bowiem życie szczęśliwe, prócz miłości dla matki i siostry innych uczuć nie znał. Teraz, gdy podał ręce, aby je związano, znikły urojenia dziecięce; nagle dojrzał, stał się mężczyzną.

Na odgłos trąby, która zabrzmiała w podwórz, opuścili żołnierze terasy. Wielu nie śmiało ukazać się z łupem w szeregu, porzucili więc zdobycz na ziemię, zasiewając drogę najcenniejszymi przedmiotami.

Gdy Juda opuścił dom i znalazł się na ulicy, już wojsko stało w uformowanym szyku.

Matkę, córkę i wszystkich domowników uprowadzono bramą północną, której gruzy utrudniały przejście. Łatwo sobie wyobrazić jęki i płacz służby, wśród której wielu urodziło się w domu, który teraz opuszczali. Rozpacz ich była rozdzierająca serce. Gdy wreszcie wyprowadzono z domu konie i bydło, zrozumiał Juda, jaka była zemsta prokuratora. Wszystko zabrano, a nawet gmach odarto z ozdób, aby służył za przestrożę tym, którzyby mogli zamarzyć o zniesieniu niewoli lub usunięciu namiestnika rzymskiego. Los rodziny Hurów miał im być przestrożą a ściany ich domu miały świadczyć o tem co zaszło po wsze czasy.

Dowódzca stał ciągle przed gmachem, bo oddział żołnierzy nie zdołał jeszcze naprawić bramy o tyle, aby ją było można zamknąć.

W ulicy walka ustawała; na dachach i mostach gdzieś tam tylko tumany kurzawy świadczyły, że wre jeszcze. Wojsko stało w szeregach, tak jak przedtem, lśniąca od pancerzy. Biedny jeniec zapomniał o sobie, tęsknieniami oczyma napróżno szukał wśród gromady niewolników matki i Tirzy.

Nagle zerwała się z sieni jedna z kobiet i szybko pobiegła ku bramie; kilku z straży puściło się z krzykiem za nią, ale nadaremnie. Ona podbiegła do stóp Judy, obejmowała jego kolana, a czarne grube i ziemią zwalane włosy czyniły ją straszną. Mimo to serce Judy odgadło wierną niewolnicę:

— O Amro, pocziwa Amro — rzekł do niej, niechaj cię Bóg wspiera, ja ci pomódz nie mogę!

Od wielkiego łkania nie mogła wymówić ani słowa, a on pochylił się nad nią i szepcząc powiedział: Żyj, Amro, dla Tirzy i matki mojej, oddaję ci je w opiekę, a gdy wrócę...

Gdy domawiał tych słów, żołnierz pochwycił kobietę, lecz wyrwała mu się i wpadła w bramę, przebiegła przez kurytarz i znikła w podwórzu.

— Puście ją! — krzyknął dowódzca — zapieczętujemy bramę, niech umiera z głodu.

Mularze замуrowali bramę, poczem przeszli na stronę wschodnią, gdzie również obwarowano wejście. Pałac Hurów, w którym dotąd kwitło szczęście, stał pusty i głuchy.

Po ukończeniu dzieła zniszczenia, powrócił oddział wojska do fortu, gdzie prokurator odpoczywał po doznanem wstrząśnieniu, lecz wkrótce zajął się zasadzeniem winowajców.

Nazajutrz udał się oddział wojska do opustoszałego pałacu, aby opieczętować woskiem wszystkie wejścia i na każdej z czterech stron przybić kartę z następującym łacińskim napisem:

— To jest własność cesarska.

Rzymianie byli przekonani, że ogłoszenie takie było najodpowiedniejsze.

I znów upłynął dzień jeden, a drogą z Jerozolimy do Nazaret o godzinie dziewiątej z rana wiódł dziesiętnik małą garstkę jeńców. Nazaret było wówczas małą miejsciną, wznoszącą się na stoku wzgórza. Jedyna ulica jego była raczej ścieżką wydeptaną stopami przechodniów i kopytami trzód. Ku południowi znajdowała się dolina Esdrelon, a u jej wschodniego wzgórza widać było wybrzeże Morza śródziemnego, urocze okolice Jordanu i górę Hermon. Dolinę tę zdobiły wówczas ogrody, oliwne laski, winnice, sady, a grupy palm dodawały jej czysto wschodniego wyglądu. Domy miasteczka ubogie — jednopiętrowe, czworokątne, z płaskimi dachami, gęsto szerokolistnem winem oplecione, widniały z daleka. Krajobraz wywoływał weselsze wrażenie, bo sroga posucha, niszcząca Judeę, nie przekraczała granic Galilei.

Trąba oznajmująca o zbliżającym się oddziale, wywarła czarodziejski wpływ na mieszkańców miasteczka. Wszystkie bramy i drzwi napęłniły się tłumem ciekawych.

I nie w tem dziwnego. Nazaret leżało zdala od głównych gościńców, na których łatwiej o nadzwyczajne wypadki. I tutaj nie chowano życzliwych uczuć dla Rzymian; ciekawość jednakże zagłuszyła nienawiść. Oddział zwrócił się ku studni.

Głównym przedmiotem zajęcia był więzień. Biedny, szedł pieszo, z odkrytą głową, prawie nagi, z rękoma w tył związanymi. Aby nie próbował ucieczki, przywiązano go do konia, tumany zaś pyłu towarzyszące pochodowi jeźdźców, zasłaniały go często niby żółtą chmurą. Widziano przecież, że był bardzo młody, że stopy miał skrwawione i upadał od zmęczenia.

Pochód zatrzymał się u studni, dziesiętnik wraz z swymi ludźmi zsiadł z konia, a więzień padł na ziemię jak nieżywy. Wtedy ujrzeli zgromadzeni, że to prawie jeszcze chłopię; serca ich zadrgały litością, ale nie śmieli jej okazać.

Podeczas gdy żołnierze gasili pragnienie, tłum — albo im pomagał w opatrzeniu koni, albo patrzył z współczuciem na więźnia, nie wiedząc, jak mu pomóc. Nagle jedna z obecnych niewiast zawołała: patrzcie, oto idzie cieśla, on nam poradzi. I rzeczywiście drogą od Seforis szedł człowiek już wiekowy. Z pod nakrycia głowy wychylały się włosy białe, a długa, jeszcze bielsza broda spadała na grubą szarą suknię. Szedł pomału, bo był podeszły w latach i dźwigał narzędzia swego rzemiosła: siekierę, piłę, i nóż ciesielski. Poznać było można, że wracał z dalekiej drogi. Zbliżywszy się do studni, przyjrzał się zgromadzonemu tamże tłumowi.

— O Rabi, dobry Rabi! — wołała kobieta, podbiegając ku niemu. — Patrz, oto więzień! My nie śmiemy, ale ty zapytaj, co on za jeden, co uczynił i co z nim zamyślasz zrobić?

Oblicze Rabiego nie zdradzało żadnego wzruszenia, a jednak zbliżył się do dowódcy i spojrzał na więźnia.

— Pokój Pana niechaj będzie z tobą — zagadnął poważnie.

— Wzajemnie, niech łaska bogów strzeże cię — odrzekł dziesiętnik.

— Czy z Jerozolimy przybywacie?

— Tak.

— Czy więzień wasz młody jeszcze?

— Co do lat, tak.

— Mogę zapytać, jaka jego wina?

— Jest mordercą.

Wyraz ten ze zgrozą i zdziwieniem powtarzali obecni, a Rabi pytał dalej:

— Jestże on synem Izraela?

— Żydem jest — rzekł krótko Rzymianin.

Chwiejne, niepewne uczucie, któremu ulegali w części widzowie, nabrało siły — gdy usłyszeli, że zbrodzeń z ich jest narodu.

— Nie rozumiem się na waszych pokoleniach, ale rodzina jego nie jest mi obcą — mówił dalej dziesiętnik. — Może słyszeliście kiedy

o księciu jerozolimskim Hurze — zwano go zwykle Ben-Hurem — a żył za czasów króla Heroda.

— Znałem go — odparł Józef.

— A więc, oto jego syn.

Ze wszech stron słyhać było słowa zgrozy lub współczucia, co spowodowało dziesiętnika do nawiązania dalszej rozmowy.

— Przedwczoraj na ulicach Jerozolimy o mało młodzieniec ten nie zabił szlachetnego Gratusa, rzucając mu na głowę dachówkę, jak mniemam, z dachu pałacu ojców swoich.

Po słowach tych nastąpiła cisza, wśród której Nazarejczycy patrzyli na młodego Ben-Hura jakby na rodzaj dzikiego zwierzęcia.

— I zabił go? — pytał dalej Rabi.

— Nie.

— Czy już zasądzony?

— Tak, na dożywotnie galery.

— Niechaj go wspiera Pan — rzekł Józef z głębokim wzruszeniem w głosie.

Podczas tej rozmowy zbliżył się młodzieniec, który przyszedł z Józefem, a dotąd nie zwrócił był na siebie uwagi obecnych; położył przyniesioną siekiere i podszedłszy ku studni, wziął stojące na kamieniu naczynie z wodą i podał skazanemu. Uczynił to wszystko tak spokojnie i z taką godnością, że zanim straż byłaby mogła przeszkodzić, gdyby przeszkodzić wogóle chciała, już stał przy więźniu i podawał mu wodę do picia.

Miękkie dotknięcie ramienia zbudziło nieszczęsnego Jude. Podniósł oczy i ujrzał warz, której nigdy już więcej nie miał zapomnieć. Była to twarz młodzieńca równego mu prawie wiekiem, otaczały ją pukle złotawokasztanowatych włosów, a wejrzenie ciemnoniebieskich oczu było pełne miłości i świętej powagi, a zarazem woli tak potężnej, że żadna siła oprzeć się temu wejrzeniu nie mogła. Dnie i noce w cierpieniu spędzone, doznana krzywda, napełniły duszę Judy goryczą i żalem. Zdało mu się, że nie go już nie wzruszy prócz zemsty, którą całemu poprzysiągł światu. Teraz, o dziwo, wystarczyło jedno spojrzenie, aby zapomniał o wszystkim i stał się znów ufającym dzieckiem. W milczeniu przyjął napój i w milczeniu zaspokoił pragnienie.



Pierwsze spotkanie Judy z Synem Najśw. Maryi Panny.

Gdy Juda zaspokoił pragnienie, ręka młodzieńca spoczywająca dotąd na ramieniu więźnia, spoczęła na jego czole, zdawała się błogosławić go, poczem młodzieniec odniósł dzban na poprzednie miejsce, zabrał siekiere i powrócił do Józefa. Oczy wszystkich, tak żołnierzy jak i wieśniaków, zwrócone były na niego.

Po napojeniu koni i odpoczynku, ruszono z miejsca. Nie się nie zmieniło na pozór, a jednak serce dziesiętnika uległo niepojętemu uczuciu; sam podniósł więźnia z ziemi i pomógł mu wsiąść na konia za jednym z żołnierzy. Nazarejczycy powrócili do domów swoich, a z nimi Rabi Józef i młodzieniec.

Było to pierwsze spotkanie Judy z Synem Najśw. Maryi Panny.

ROZDZIAŁ IX.

Miasto Misenum, którego nazwę nosiło również pobliskie przedwzgórze, leżało o kilka mil od dzisiejszego Neapolu, w kierunku wschodnio-południowym. Dziś tylko ruiny świadczą o jego świetnej przeszłości. W 24 roku Pańskim po narodz. Chrystusa Pana gród ten był jednym z najznacześniejszych na zachodnim wybrzeżu Włoch.

Podróżny, któryby w owym roku przybył na przedwzgórze, ujrzałby zatokę neapolitańską równie uroczą wówczas jak dzisiaj; zachwycałby się niezrównanem wybrzeżem, przerażał dymiącym kraterem, słuchał szmeru fal i wodząc oczyma to na Ischię, to na Kaprę, podziwiałby łagodny błękit nieba. Widok piękna utrudziłby oczy jego, jak słodycz podniebienie, — szukałby odmiany. Zachwyciłby wzrok jego nareszcie widok, którego dzisiaj już nie ma, — na dole kołysała się na falach szerokich część floty rzymskiej, druga zaś część stała u brzegów na kotwicy. Otwarta brama wiodła z ulicy miasta na groble, wysuniętą na znaczną długość w morze.

Pewnego chłodnego poranku we Wrześniu, ujrzał strażnik, strzegący bramy portowej, zbliżające się towarzystwo z dwudziestu do trzydziestu osób złożone. Najliczniejszymi w tem gronie byli niewolnicy, niosący pochodnie, wprowadzie dymiące raczej niż płonące, ale pełne wonnego zapachu indyjskiego nardu (lawendy). Panowie szli, wiodąc się pod rękę; na czele postępował mężczyzna liczący około pięćdziesię-

ciu lat, łysawy, z wieńcem laurowym na rzadkich włosach, a zdawał się być przedmiotem jakiejś szczególnej czci. Wszyscy mieli białe wełniane togi, szeroko obłożone purpurą. Stróż rzucił tylko okiem i poznał, że byli to dostojnicy wysokiego rodu i że odprowadzali po uczcie nocnej przyjaciela swego na okręt. Zasłyszana rozmowa utwierdziła go w tym domyśle.

— Nie, mój Kwintusie, — rzekł jeden z nich, zwracając się do uwiecznzonego męża — Fortuna (bogini szczęścia) nie lada figla nam płata, zabierając ciebie tak rychło. Zaledwie wczoraj przybyłeś i znów ruszasz na morze; nie miałeś nawet czasu przywyknąć od nowa do chodzenia po lądzie.



— Na Kastora!*) — rzekł drugi, winem odurzony — nie narzekajcie; nasz Kwintus popłynie, aby odzyskać to, co w grze w ostatniej nocy utracił. Inaczej gra się w kości na pokładzie płynącego okrętu, inaczej na wybrzeżu — wszak prawda, Kwintusie?

— Nie bluźń bogini szczęścia! — dorzucił inny — nie jest ona ani ślepa, ani niestała. Zabiera wprawdzie Kwintusa z pośród nas, ale zwróci go nam obsypanego nowymi zwycięstwami.

— Grecy zabierają go nam — przerwał drugi — ich więc obwinajmy, a nie bogów.

Tak rozmawiając, minęło towarzystwo bramę i weszło na groble w zatoce, porannem oświeconej słońcem. Staremu żeglarzowi szmer i pluskanie fal wydało się najmiłszem pozdrowieniem; odetchnął też całą

*) Kastor, bożek, opiekun żeglarstwa i gościnności

piersią, wciągając woń morza milszą nad zapach nardu, a wzniosłszy rękę, zawołał:

— Nie brałem udziału w bitwie pod Antium,^{*)} lecz pod Preneste.^{**)} A oto wiatr zachodni! Dzięki ci, Fortuno, matko moja!

Towarzysze powtórzyli okrzyk, a niewolnicy wywijali pochodniami.

— Widzicie, oto przybywa... zbliża się! — mówił wskazując na przypływającą galere z drugiej strony grobli. — Czyż żeglarzowi potrzeba innej kochanki? Zaprawdę, Kajusie, twoja Lukrecya nie jest od niej wdzięczniejszą.

Zachwyconem okiem patrzył na zbliżający się okręt, który usprawiedliwiał jego dumę. Białe żagiel powiewał z niskiego masztu, wiosła to się zniżały, to znów wznosiły, chwilę ważyły się nad powierzchnią fal, poczem znów opadały, równym, miarowym ruchem, niby skrzydła.

— Tak, szanujcie bogi! — rzekł dalej, z oczami utkwionemi w okręt. — Oni zyskują nam sposobność, a biada, jeśli jej wyzyskać nie umiemy. Co się zaś tyczy Greków, zapominasz, Lentulusie, że piraci (rozbójnicy morsey), których mam poskromić, są właśnie Grekami. Jedno zwycięstwo nad nimi więcej znaczy niż sto nad Afrykaninami.

— Więc droga twoja wiedzie na Morze egejskie?

Oczy i serce żeglarza były jeszcze przy okręcie.

— Jakaż lekkość i wdzięk! Jak mało troszczy się o fale, jak ptak latający w przestworzu! — mówił w uniesieniu, ale wnet dodał: — Daruj, Lentulusie, że nie odpowiedziałem na twoje pytanie. Tak jest, płynę na Morze egejskie, a ponieważ odjazd mój blizki, powiem wam, ale zachowajcie to dla siebie: niechciałbym abyście przy spotkaniu robili wyrzuty duumwirowi (dygnitarz zarządzający marynarką), bo jest moim przyjacielem. Handel między Grecją a Aleksandryą nie wiele słabszym od handlowych stosunków tegoż miasta z Rzymem. Obecnie w tym kraju panuje wielki nieurodzaj, mieszkańcy bowiem zaniedbali obchodu świąt zielenych, za co mszcząc się Tryptolemus (bożek grecki, dający urodzaje), dał im żniwo niewarte zbioru. Te zdarzenia wywołały większy ruch handlowy, nie znoszący ani dnia przerwy. Może słyszeliście o piratach chersońskich (Chersones

^{*)} Antium, warowne miasto zdobyte przez Rzymian. ^{**)} Preneste, miasto oddalone o 4 mile od Rzymu.

przyładek w Grecyi), krążących na wodach euxińskich; na Bachusa, są to śmiałki, jakich mało! Wczoraj więc doszła do Rzymu wiadomość, że flota ich opłynęła Brzegi Bosforu, zatopiła bizantyjskie i chalcedońskie Galery; a rozbójnicy, nienasyceni tym powodzeniem, wpłynęli na Morze egejskie. Otóż kupcy handlujący zbożem i mający okręty w wschodnich portach Morza śródziemnego, zadrżeli z przerażenia, słysząc o tych nieszczęściach, i udali się do samego cesarza, prosząc o pomoc. Otrzymali posłuchanie a dziś wypływa z Rawenny sto galer a z Misenum (nazwy miast) — zatrzymał się jakby dla pobudzenia ciekawości przyjaciół i dokończył napuszyć: — jedna...

— Szczęśliwy Kwintusie! winszujemy ci!

— Odszczególnienie poprzedza zapewne awans — możemy cię pozdrowić duumwirem.

— Kwintus Arius duumwir brzmi przecież lepiej niż... Kwintus Arius trycum.

Takimi lub podobnemi życzeniami zasypywano go zewsząd.

— Cieszę się wraz z innymi — rzekł na koniec przyjaciel, ceniący przede wszystkim wino, — ale będąc praktycznym, zaczekam z życzeniami, aż się dowiem, kochany duumwirze, czy ten awans wpłynie korzystnie na twoje wykształcenie w grze w kości. Wtedy dopiero ocenię, czy bogowie chcieli ci dobrze, czy źle usłużyć... w tej sprawie.

— Stokrotnie wam dziękuję, przyjaciele moi! — rzekł na koniec Arius. — Gdybyście mieli latarnie, mniemałbym, żeście augurami (kapłani przepowiadający przyszłość), ale zaiste idę dalej, bo was zowie wróżbitami i dowiodę, że cudownie odgadujecie! Patrzcie i czytajcie!

Wydobył z fałd swej togi zwitek papieru i podał go im, mówiąc: Oto co otrzymałem ostatniej nocy przy stole od Sejanusa.

Imię to miało już wówczas wielkie znaczenie w świecie rzymskim, a nie było jeszcze shańbionem, jak się to później stało.

— „Sejanus!” — zawołali wszyscy razem, otaczając tego, który czytał co minister napisał.

„Sejanus do C. Caeciliusa Rufusa, Duumwira.

Rzym XIX. Kal. Sept.

Cezar otrzymał dobre wieści o Kwintusie Ariusie, Trybunie. Nadto chwalono odwagę której dał dowody na wodach zachodnich; przeto woła jest Cezara, aby bezzwłocznie przeniesionym został na Wschód.

„Również woła jest Cezara, abyś natychmiast doskonale uzbroił sto statków pierwszej klasy o trzech rzędach wiosel, i wyprawił je przeciw piratom, którzy zjawili się na Morzu egejskim; Kwintus zaś ma objąć komendę nad flotą tak zaopatrzoną. Twoją jest rzeczą dalsze szczegóły tego rozkazu wykonać.

„Potrzeba jest nagle, jak się o tem przekonasz z raportów dodanych do przeczytania; zawierają one wskazówki dla ciebie i wyż wymienionego Kwintusa.

Sejanus.“

Arius nie słuchał treści listu, uwagę jego pochłaniał całkowicie okręt wyłaniający się coraz wyraźniej na falach morskich. W spojrzeniu, które nań rzucał, gorzał zapal i uniesienie; wreszcie uniósł koniec swej togi, a w odpowiedzi na ten znak rozwinięto szkarłatną flagę i kilku żeglarzy ukazało się równocześnie na pokładzie, aby zwinąć żagle. Obrócono belkę podtrzymującą kotwicę a ruch wiosel podwoił się; galera pędziła ku brzegowi. Z prawdziwym zadowoleniem patrzył Arius na sprawność swych ludzi.

— Na boginie! — rzekł jeden z towarzyszy, oddając zwój papieru, — nie przystoi nam mówić, że przyjaciel nasz będzie dopiero wielkim, bo zaprawdę już nim jest. Będziemy mieli czem karmić miłość naszą ku niemu. Ażali masz jeszcze co do powiedzenia nam?

— Nie więcej! — odparł Arius. — To czegoście się ode mnie dowiedzieli, jest już w Rzymie przestarzałą nowiną. Co do reszty, duumwir jest dyskretny i dowiem się dopiero na statku, gdzie na mnie czeka opieczętowany pakunek, a w nim podane bliższe szczegóły spotkania i mojego połączenia się z flotą. Gdybyście jednak mieli zamiar złożenia ofiar jakiemu bóstwu, proście u ołtarza za przyjacielem rozwijającym żagle i wiosłującym gdzieś w kierunku Sycylii. Ale oto zbliża się statek — dodał zwracając się ku galerze. — Zajmują mnie jego kierownicy, wszakże z nimi płynąć i waleczyć będę. Tymczasem podziwiamy ich zręczność i sztukę, bo nie łatwym jest przybicie do brzegu takiego ukształcenia jak ten, na którym stomy.

— Jak to, więc wcale nie znasz tego okrętu?

— Nie widziałem go nigdy i nie wiem, czy mi znajomych już ludzi przywiezie.

— Jestże to bezpiecznie?

— To rzecz małej wagi. Na morzu zapoznajemy się łatwo, a w chwili niebezpieczeństwa rodzi się tak miłość, jak nienawiść.

— Galera należała do klasy statków szybko pływających; więc była długa, wązka, a mało we wodzie zanurzona. Wspaniały i zgrabnie wygięty tram statku, przecinając fale niby nożem, pruł wodę szybko, i wyrzucał z wdziękiem przy zbliżaniu się do brzegu dwa strumienie wody na dwie wysokości człowieka, skrapiając cały pokład. Poniżej tramu sterczało mocno żelazem okute rostrum czyli dziób, służący w walce do obrony. Boki galery otoczone były silnym gzymsem, tworząc niejako uzupełnienie przedpiersia. Poniżej tego gzymśu mieściły się w trzech rzędach otwory do wiosel zaopatrzone ochromami z wołowej skóry, służące do zasłonięcia wiosłujących. Takich otworów było tak z lewej jak prawej strony po sześćdziesiąt. Dalszą ozdobę statku stanowiły wysokie maszty. Dwie wielkie i grube liny przeprowadzone przez cały pokład okrętu, służyły do zapuszczania kotwie.

Takie proste urządzenie pokładu wskazywało, że główna siła statku polegała na wiosłach. Maszt umieszczony niezupełnie w środku, ale trochę ku przodowi galery, podtrzymywały liny i sznury splecione w drabinę.

Towarzystwo stojące na grobli mogło widzieć prócz majtków, którzy co tylko zwinęli żagle a teraz siedzieli beczynnie na rejach, jednego tylko człowieka w hełmie i z tarczą. Sto dwadzieścia dębowych wiosel codziennym pumeksem i wodą czyszczonych lśniło się w świetle i pracowało ruchem ciągłym, rytmicznym, jakby jedną i tą samą poruszane ręką. Dzięki tej dokładności, galera sunęła szybkością nieustępującą dzisiejszych parowców.

Ten szybki ruch statku przeraził nieobeznanych z żegluga towarzyszy trybuna. Nagle człowiek, stojący na pokładzie, podniósł rękę i dał właściwy znak, a wszystkie wiosła podniosły się i zatrzymały chwilę w powietrzu, aby wnet w dół opaść. Woda zaszumiała i zagotowała się, statek zatrzeszczał w swych spojeniach i stanął od razu. I jeszcze jeden znak ręką, a znów wiosła podniosły się i opadły; tym razem jednak ruch ich był przeciwny, a statek okręcił się z lewej ku prawej stronie, jakby około własnej osi, i zbliżył się bokiem ku wybrzeżu.

Nagle zabrzmiała trąbka, a wszystkimi otworami okrętu weszła na pokład załoga w pełnej zbroi, stalowych hełmach, ze świecącymi tarczami i oszczepami. W chwili, gdy żołnierze szli ku przodowi statku,

jakby do walki, majtkowie chwycili liny i kołysali się na rejach głównego masztu. Oficerowie i muzykanci zajęli przeznaczone miejsca bez hałasu i niepotrzebnego zgiełku. Gdy okręt zbliżył się zupełnie do brzegu, spuszczone pomost; a trybun zwrócił się do swych towarzyszy i rzekł z powagą, której pierwszej nie okazywał:

— Czas myśleć o obowiązku, przyjaciele moi! — Zdjął wieniec z głowy i oddał amatorowi gry w kości. — Weź ten mirt, ulubieńcze kości — rzekł. — Jeśli wrócę, spróbuję odzyskać moje sesterce;*) jeśli zwycięstwo nie będzie mojem, nie wrócę tu więcej, a wtedy wieniec zawieszysz w twojem atrium (komnacie).

Potem roztworzył ramiona i każdego kolejno uściskiem zegnał.

— Bogowie niechaj ci sprzyjają, Kwintusie — mówili.

— Bywajcie zdrowi! — odpowiedział.

Niewolnikom, pochyłającym na pożegnanie pochodnie, skinął ręką; potem zwrócił się ku pięknej galerze. Gdy stanął na pomoście, zagrały trąby, a na maszcie ukazała się chorągiew purpurowa. godło dowódcy floty.

ROZDZIAŁ X.

Trybun stojąc na pokładzie, trzymał w ręku otwarty zwój papieru z rozkazem duumwira i rozmawiał z dozorcą wioślarzy, zwanym hortatorem.

— Jaką rozporządzasz siłą?

— Dwustupięćdziesięciudwu wioślarzy i dziesięciu nadliczbowych.

— Ile robisz zmian?

— Ośmdziesiąt cztery.

— Jak często i w jakim porządku?

— Zwykle zmieniają się co dwie godziny.

Trybun zamyślił się na chwilę, a potem rzekł.

— Ten podział pracy zdaje mi się za ciężki; zmienię go, ale jeszcze nie teraz, bo trzeba nam płynąć dniem i nocą bez przerwy.

*) Sestertius, moneta rzymska.

Następnie zwrócił się do kierującego żaglami:

Wiatr mamy pomyślny; rozwiń żagle, aby wioślarzom ulżyć w pracy!

Gdy ci, do których dotąd mówił, odeszli, zapytał głównego sternika:

— Ile lat służysz?

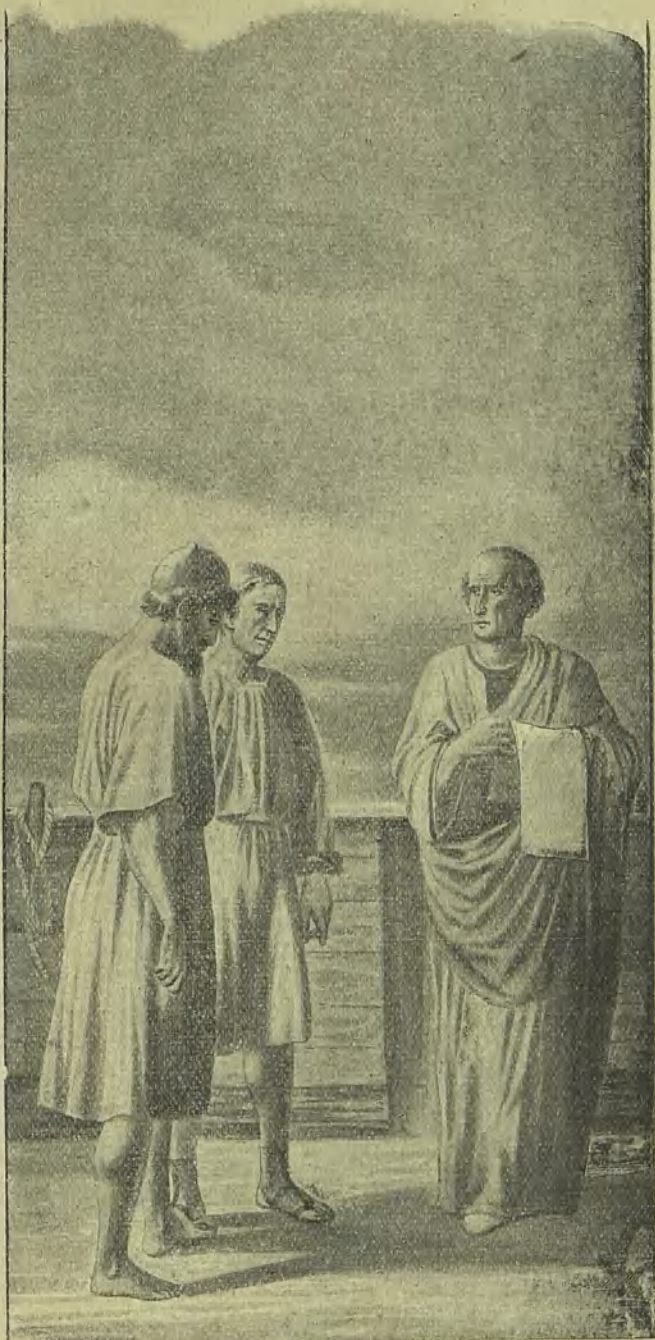
— Trzydzieści dwa.

— Na których morzach sprawowałeś dotąd obowiązki?

— Między naszym Rzymem a Wschodem.

— Jesteś człowiekiem, jakiego mi potrzeba. — A przeglądając jeszcze raz otrzymane rozkazy, dodał:

— Opłyniesz przylądek Camponella drogą ku Mesynie, dalej skierujesz wzdłuż zgięcia kalabryjskiego, aż ujrzysz



Melito*) po lewej stronie. Potem — znaszże gwiazdy nad Morzem Jońskim?

— Znam.

— Od Melity więc steruj na wschód ku Cyterze.**) Jeśli bogowie użyczą pomocy, nie zarzucimy kotwicy aż w zatoce Antemonium.

Ariusz był zaiste wielce roztropnym człowiekiem. Wprawdzie złożył bogom liczne ofiary, wiedział jednak dobrze, że szczęście więcej zależy od rozwagi i rozumu człowieka, niż od darów i ślubów ofiarowanych bogom. W czasie uczty na jego cześć dawanej siedział u stołu pijąc i grając w kości; teraz powietrze morskie zbudziło w nim żeglarza; nie myślał więc spocząć, dopóki by nie poznał dokładnie okrętu: wiedza i umiejętność bowiem najlepiej chronią od przypadków. Zaczął od dozorującego wioślarzami, dalej zapoznał się z całą służbą: żaglownikiem, sternikiem, magazynierem, nadzorcą kuchni, a nareszcie z oficerami załogi, z którymi zwiedził nawet kwatery. Nic nie uszło jego uwagi; a gdy skończył, on sam znał dokładnie i jedynie cały stan przygotowań do dalekiej drogi i zaopatrzenie galery na wszelkie przypadki. Gdy wszystko to spełnił, postanowił zapoznać się dokładnie z ludźmi, którzy mieli wykonywać jego rozkazy. A to było rzeczą niezmiernie trudną i wymagającą dużo czasu. Wziął się do niej bezzwłocznie i we właściwy sobie sposób.

Około południa tegoż dnia, galera przecinała fale morskie w okolicy Paestum; wiatr zachodni ciągle dął w żagle ku zadowoleniu dowódcy. Ustawiwszy strażę, wzniesiono ołtarz na pokładzie, posypany solą i jęczmieniem; poczem trybun złożył uroczyste modlitwy i śluby na cześć Jowisza, Neptuna (nazwiska to bogów pogańskich) i wszystkich Oceanid (boginie wód morskich), wylewając wino i paląc kadzidło. Po tym uroczystym akcie, zasiadł mądry wojownik w kajucie i stamtąd postanowił przypatrywać się załodze.

Kajuta znajdowała się w środkowym przedziale galery, miała sześćdziesiąt pięć stóp długości, a do trzydziestu wysokości; światło padało z góry trzema otworami; dach opierał się na słupach gęsto ustawionych; w środku zaś widocznym był maszt najeżony siekierami, toporami, dzidami i pociskami. Do kajuty z pokładu na

*) Melito, miasto na południowym krańcu Włoch. **) Cytera, wyspa na Morzu śródziemnem także Cerigo zwana.

prawo i lewo wiodło dwoje prostopadłych schód, urządzonych ruchomie, tak że mogły być spuszczone lub podniesione i wtedy zamykały otwory. — Po złożeniu ofiary schody spuszczano, a kajuta była oświetloną i wyglądała jak przedsionek.

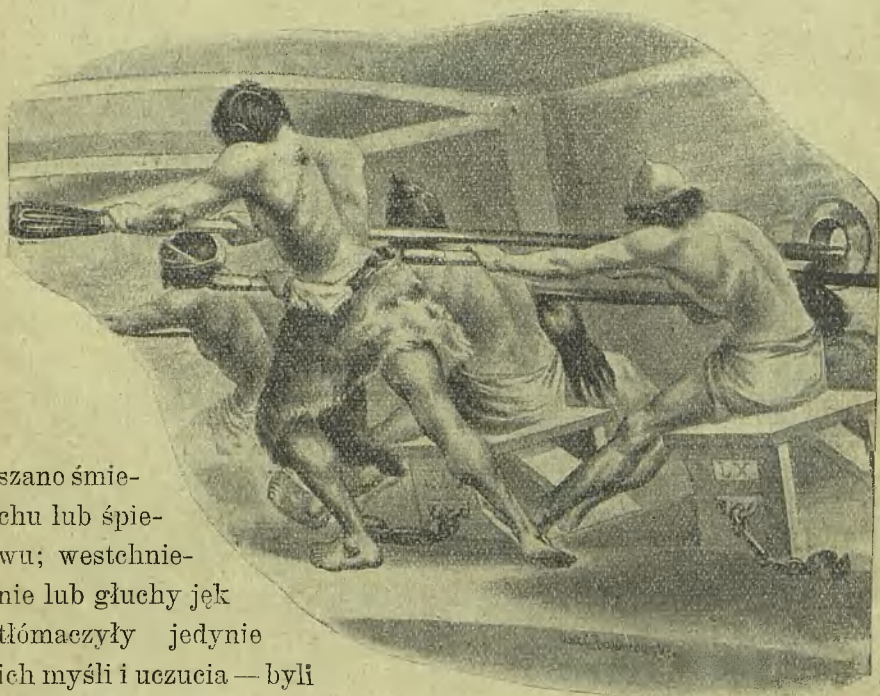
Łatwo zrozumieć, że miejsce to było niejako sercem okrętu, domem całej załogi, jej jadalnią, sypialnią, miejscem ćwiczeń a zarazem odpoczynku po spełnieniu obowiązku, jeśli wogóle o spoczynku można było mówić.

W zagłębieniu kabiny wznosiła się na kilku stopniach platforma, gdzie siedział dozorca wiosłarzy; przed nim stał stół rezonansowy na którym młotkiem wybijał takt wiosłującym. Po prawej stronie miał klepsydę czyli zegar wodny, podług którego znać odpoczynki i zmiany tak wiosłarzom jak straży. Nad nim, na wyższej platformie, złożoną poręczą oddzielonej, zasiadał trybun, panując nad wszystkim. Miejsce to było zaopatrzone w łożo, stół i wysłane krzesło, z oparciem z tyłu i poręczami. Krzesło to było darem cesarza i odznaczało się wytwornością.

Stąd, siedząc w wielkim krześle, zawinięty w płaszcz wojskowy, z mieczem u pasa, przypatrywał się Arius wszystkiemu, co mógł dojrzeć, sam zaś nie mniej zwracał na siebie uwagę swych podwładnych. Wszystko go zajmowało, najdłużej jednak zatrzymywał wzrok na wiosłarzach. Wzdłuż boków kajuty widać było trzy rzędy ławek, przytwierdzonych do ścian statku, — tak przynajmniej wyglądało to z daleka. Po bliższym zbadaniu były to raczej trzy stopnie wiodące w górę, tak że druga ławka była nad pierwszą, a trzecia nad drugą. Dla sześćdziesięciu wiosłujących z każdej strony było dziewiętnaście oddziałów, rozdzielonych od siebie przestrzenią angielskiego łokcia. Dwudzieste zaś siedzenie umieszczone było nad najniższym siedzeniem pierwszej ławki. To urządzenie dawało każdemu wiosłarzowi dosyć wolnego miejsca, do swobodnego robienia wiosłem.

Wiosłarze pierwszej i drugiej ławki, czy rzędu, siedzieli; przeciwnie trzeciego rzędu, ponieważ mieli dłuższe wiosła, musieli stać. Rączki wiosel były wypełnione ołowiem dla ułatwienia pracy. Wiosła wisiały na rzemieniach, i aby nimi pracować, potrzeba było wielkiej zręczności; nagła fala mogła każdej chwili porwać niebacznego

wioślarza i rzucić w morskie odmęty. Otworami dla wiosł przeznaczonymi dochodziła dostateczna ilość świeżego powietrza; światło zaś padało na nich z góry przez kratę. Położenie wioślarzy mogło być o wiele gorsze; nie trzeba jednak przypuszczać, aby było przyjemnem. Zabroniono im pomiędzy sobą wszelkich stosunków. Codziennie zajmowali swoje miejsca, nie mówiąc do siebie ani słowa. Krótkich odpoczynków używali na spanie i jedzenie. Nigdy wśród nich nie sły-



szano śmie-
chu lub śpie-
wu; westchnie-
nie lub głuchy jęk
tłómaczyły jedynie

ich myśli i uczucia — byli
to skazańcy. Życie tych

nędzarzy podobne było do podziemnego strumienia, sączącego się wolno,
lecz nieustannie, wciąż ku temu samemu ujściu.

O Synu Najświętszej Panny! dziś sprawiedliwość ma serce —
a Tobie stąd chwała i cześć! — W owe jednak czasy twardym był
los niewolników w fortecach, kopalniach, przy budowlach, na wojen-
nych i handlowych galerach.

W pierwszym zwycięstwie, które Duljus odniósł na morzu, za-
sługi tak wiosłujących jak załogi były równe. Na owych ławach
wioślarzy zasiadali ludzie wszelkich narodowości, głównie brano ich

z jeńców wojennych, wypróbowanych w sile i wytrwałości. Obok Brytyjczyka zasiadał Lezbijczyk, za nimi mieszkaniiec Krymu. Nierzadko spotkać można było Seytę, Gala lub Tebańczyka. Wśród rzymskich przestępców byli Goci, Longobardowie, Żydzi, Etyopi i barbarzyńcy z wybrzeży Makotis. Siedzieli tu obok siebie ludzie rozmaitych narodowości: Bryci, Libijczycy, Longobardzi, Żydzi, zbrodniarze rzymscy, Seytowie, Galowie, Etyopezycey, Ateńczycy, Hiberńczycy (dzisiajsi Irlandczycy), Cymbrowie i dziecy barbarzyńcy rozmaitych innych krajów.

Praca wiosłarzy nie wystarczała, aby mogła zająć ich umysły, choćby te umysły były jak najprostsze i najociężalsze. Nawet w czasie burzy ruchy ich były zawsze jednakie, równe, automatyczne. Nieszczęśliwi ci ludzie tracili w niewolnictwie władzę umysłową; byli więc posłusznymi, nie zdając sobie sprawy z niczego, wykonywali rozkazy mechanicznie; żyli wspomnieniami, a przyszłości nie widzieli przed sobą żadnej. Do niedoli swej z czasem się przyzwyczajali.

Trybun siedział w wygodnem krześle i rozmyślał o wszystkim, tylko nie o niedoli tych nieszczęśliwych przykutych do ław i wiosel niewolników. Ruchy ich dokładne, miarowe, zaczynały go nużyć swą jednostajnością. Wtedy zwracał uwagę na poszczególnych wiosłarzy. Nie wołano ich po imieniu; natomiast przy siedzeniu każdego znajdował się numer, który zamiast nazwiska umieszczono. Trybun był nietylko wielkim wojownikiem, ale i bystrym znawcą ludzi. Wodząc badawczym wzrokiem po skazańcach, podpadł mu numer sześćdziesiąty. Właściciel tegoż numeru miał na sobie, jak wszyscy inni jego towarzysze, przepaskę przez biodra. Nie wyróżniał się niczem od innych, tylko młodością; nie liczył bowiem więcej nad lat dwadzieścia. I ta właśnie okoliczność zwróciła uwagę Aryusza; nie mniej podpadła mu silna, masywna budowa młodzieńca. Aryusz zwiedzał często rzymskie ćwiczenia gimnastyczne, w których kształcili się młodzieńcy na atletów, mających występować później w owych sławnych rzymskich cyrkach. Był więc w tym względzie znawcą.

— Na bogi — rzekł sam do siebie — człowiek ten robi niezwykle wrażenie. Powierzchnowość wielce obiecująca, muszę się o nim dowiedzieć bliższych szczegółów.

W tej chwili obrócił się młodzieniec w jego stronę.

— Żyd! — zawołał Aryusz — taki młody! — Pod badawczym wzrokiem trybuna rumieniec oblał twarz młodzieńca; wstrzymał na chwilę ruch wiosłem, lecz w tej chwili uderzyła głośniejsza pałeczka hortatora w stół, jakby dla napomnienia; szybko opuścił młodzieniec wiosło i od nowa ze zdwojoną siłą począł pracować. Po chwili znów spojrzał na trybuna — i, o dziwo, ujrzał na twarzy jego uśmiech dobrotliwy.

Tymczasem galera wpłynęła w cieśninę Meseńską, a opłynawszy miasto tegoż nazwiska, zwróciła się na wschód, zostawiając za sobą zadymiony i groźny szczyt Etny (góra wulkaniczna na wyspie Sy-cylii, należąca obecnie do Włoch).

Ile razy wracał Aryusz na platformę, zajmował się wiosłarzem i mówił sam do siebie: Chłopiec to rozumny i sprytny. Żyd — to nie barbarzyńca... Muszę o nim zasięgnąć wiadomości.

Czwartego dnia podróży, Astrea — tak się nazywała galera — płynęła już na Morzu jońskim. Niebo było jasne, a wiatr był pomyślny.

Aryusz przypuszczał, że może spotka się z flotą jeszcze przed wyspą Cyterą, wyznaczoną na spotkanie, i dlatego prawie ciągle przebywał na pokładzie. — Zresztą zajmował się dokładnie wszystkim, co dotyczyło powierzonego mu statku i był z dzielności załogi bardzo zadowolonym. Skoro zaś zasiadł na krześle w kabinie, myśl jego zwracała się niezmiennie do wiosłarza pod sześćdziesiątym numerem.

— Czy znasz człowieka, który właśnie wstał z ławki? — spytał nareszcie hortatora w chwili, gdy następowała zmiana wiosłarzy.

— Numer sześćdziesiąty? — zapytał dozórca.

— Tak.

Dozórca popatrzył na młodzieńca.

— Jak wiesz, o panie — odpowiedział — okręt zaledwie przed miesiącem wyszedł z rąk budowniczego, a ludzie są równie dla mnie nowi jak sam statek.

— Jest Żydem — zauważył zamyślony Aryusz.

— Szlachetny Kwintusie, jesteś wielkim znawcą ludzi.

— I jest bardzo młodym — mówił dalej Aryusz.

— Pomimo tego jest to nasz najlepszy wiosłarz; — nieraz zauważyłem, że wiosło gięło się w jego dłoniach.

— Jakiego jest usposobienia?

— Mało wiem o nim, ale jest posłusznym. Raz tylko wniósł do mnie prośbę.

— Jaka?

— Prosił mnie, abym go przeniósł z prawej strony okrętu na lewą.

— Jakąż podał przyczynę?

— Zauważył, że ludzie, pracujący zawsze z jednej strony, kaleczą. Zresztą łatwo w czasie boju i niespodziewanych obrotów mógłby się stać niezdatnym do służby, nie umiejąc użyć drugiej ręki.

— Na bogi! to myśl nowa i słusza. Cóż jeszcze więcej zauważyłeś?

— Okazuje zamięłowanie do porządku, którego nie znaleźć u jego towarzyszy!

— Wtem jest Rzymianinem.

— Nie znaszże nic z dziejów jego życia?

— Zgoła nie.

Trybun zamyślił się i odszedł na swoje miejsce.

— Jeśli będę na pokładzie w czasie zmiany wioślarzy, a on będzie wolny — rzekł, zatrzymując się — przyślij go do mnie.

W dwie godziny później stał Aryusz pod chorągwią okrętu. Znajdował się w usposobieniu człowieka oczekującego niezwykłych wypadków i nie więcej nie mogącego uczynić, jak czekać. Filozofia twierdzi, że ludzie o wyrobionym charakterze zachowują w takich wypadkach spokój. Sternik siedział na swoim miejscu. Kilku z załogi okrętu spało w cieniu żagli snem twardym. Wyżej na maszcie siedział strażnik. Aryusz podniósł właśnie wzrok z solarium (zegar słoneczny), służącego wówczas do kierowania statkiem, gdy ujrzał zbliżającego się ku sobie wioślarza.

— Dozorca nazwał cię szlachetnym Aryuszem i mówił, iż jest wolą twoją, abym do ciebie przyszedł; więc jestem.

Aryusz spojrział z podziwieniem na smukły wzrost i masyś budowę młodzieńca, i myślą błądził po arenie cyrkowej. Śmiałe wystąpienie przybyłego wywarło jeszcze inne wrażenie; w głosie jego było coś, co świadczyło o życiu, spędzonym wśród uszlachetniających okoliczności. Oczy młodzieńca jasne i otwarte, miały wyraz raczej

ciekawym, niż wyzywającym. Mimo że trybun utkwiał w nim bystre, pytające i rozkazujące spojrzenia, nie stracił młodzieniec nic ze swego wdzięku; na twarzy nie odbiło się żadne uczucie psujące jej harmonię i piękność, nie było na niej ani groźby, ani złośliwości; nie prócz sładów, jakie wyciska wielka i długa boleść, którą złagodził czas, tak, jak łagodzi jaskrawość świeżego malowidła. Wszystko to nie uszło uwagi Rzymianina i sprawiło, że nie przemawiał jak pan do niewolnika, ale jak starszy do młodszego; rzekł więc:

— Hortator mówił mi, że jesteś najlepszym wiosłarzem.

— Hortator jest bardzo dobrym — odparł młodzieniec.

— Czy dawno służysz?

— Prawie trzy lata.

— Zawsze przy wiosłach?

— Tak, nie pomnę dnia, w którymbym wiosła nie miał w ręku.

— Praca to ciężka, mało który mąż podoła jej dłużej roku, a ty — jesteś jeszcze prawie chłopcem.

— Szlachetny Aryusz zapomina, iż duch wiele może, on wzmacnia słabego, podczas gdy silny upada pod brzemieniem.

— Po mowie twojej sądzę, iż jesteś Żydem.

— Przodkowie moi, o wiele wcześniej od pierwszych Rzymian zwali się Hebreami.

— Zacięta duma twego narodu nie wygasła w tobie — rzekł Aryusz, spostrzegłszy, że twarz wiosłarza spłonęła rumieńcem.

— Duma nigdy nie jest tak głośna, jak kiedy brzęczy kajdanami.

— Co cię czyni tak dumnym?

— To, że jestem Żydem.

Aryusz uśmiechnął się.

Nie byłem nigdy w Jerozolimie — rzekł — ale słyszałem o jej książętach. Znałem jednego z nich, był on kupcem i wiele odbywał morskich podróży, ale zaiste urodzonym był na króla.

— Do jakiego należysz stanu?

— Jeśli mam odpowiedzieć z ławki wiosłarza, to niewolnikiem jestem, ojciec zaś mój był jednym z książąt Jerozolimy, a jako kupiec zwiedził wiele mórz. Znał go i ugaszczał wielki August w swych gościnnych komnatach.

— Jego imię?

— Itamar z domu Hurów.

— Trybun podniósł rękę ze zdumieniem.

— Ty — synem Hura!

Po chwili milczenia spytał:

— Cóż cię tu przywiodło?

Juda spuścił głowę, pierś jego wezbrała boleśnie, gdy nareszcie zdołał się opanować, spojrzał w oczy trybunowi i rzekł:

— Oskarżono mnie o zamach na życie Waleryusza Gratusu, prokuratora.

— Ty — zawołał Aryusz z rosnącym zdziwieniem i cofając się o krok. — Tyś to owym zbrodniarzem?! — Rzym cały oburzony był na tę wiadomość; dowiedziałem się o tem zdarzeniu na okręcie pod Bodinum.

Obaj spojrzeli po sobie w milczeniu, nareszcie Aryusz odezwał się pierwszy:

— Sądziłem, że rodzina Hurów zgładzona z powierzchni ziemi.

Straszne wspomnienia wzięły nareszcie górę nad dumą młodzieńca, lzy zrosiły jego policzki.

— Matko, matko! i Tirzo moja mała! Gdzie wy jesteście? — Trybunie, szlachetny trybunie, gdybyś ty wiedział o nich! — mówił składając błagalnie ręce — powiedz, jeśli wiesz, powiedz, czy żyją — a jeśli żyją, gdzie są! w jakim znajdują się położeniu! O! proszę cię, powiedz mi.

Przysunął się bliżej Aryusza, tak blisko, że rękami dotykał płaszcza trybuna.

— Trzy lata przeszły od owego straszego dnia — błagał dalej — trzy lata, w których każda godzina była mi życiem pełnem nędzy, życiem, w którym nie widziałem, jak bezdenną przepaść, w której nie miałem innej ulgi jak pracę; i w tym czasie nie wymówiłem do nikogo ani słowa. Czemuż zapomniani nie mogą sami zapomnieć! Czemuż obraz wydartej siostry, ostatnie spojrzenie matki nie dają mi chwili spokojnej; ukryć się przed niemi nie mogę. Czuję technienie zarazy i trzask okrętu wśród bitwy; słyszałem wyjące wśród burzy bałwany i śmiałem się, podczas gdy inni modlili się; pragnęłem

śmierci, bo w niej widziałem wyzwolenie. Z każdym uderzeniem wiosła starałem się dzień ów zapamiętać. Wszystko napróżno! Słyszałem je wzywające mnie wśród nocy, widziałem chodzące po morzu. O powiedz mi, powiedz, że pomarli, a uspokoisz mnie, bo zaiste nie mogą one być szczęśliwymi, kiedy dla nich zgubiony! Cóż może być werniejszego i stalszego nad miłość matki! A Tirza — oddech jej, to jak woń białej lilii. Była ona jakoby najmłodszą latoroślą palmy — taka świeża, czuła, nadobna i wdzięczna! Ona każdy dzień mój czyniła porankiem, była mi słońcem, muzyką, czarem! I moja to ręka pograżyła ją w bezdeń nieszczęścia! — Ja!...

— A więc wyznajesz swą winę? — zapytał Aryusz surowo.

Dziwną była zmiana, jaka na te słowa zaszła w twarzy Ben-Hura. Głos zaostrzył się, ręce mocno zaciśnięte podniosły się w górę, nerw każdy drgał, a oczy gorzały.

— Słyszałeś o Bogu mych ojców — rzekł — o nieśmiertelnym Jehowie? Na jego wszechmoc i istnienie, na miłość, jaką od początku wieków otaczał Izraela, przysięgam ci, żem niewinny!

Trybun zdawał się być wzruszonym.

— O szlachetny Rzymianinie! — mówił dalej Ben-Hur — Wierz mi choć trochę i spuść promień światła w ciemności, które mnie otaczają i coraz się zwiększają.

Aryusz odwrócił się i mierzył pokład szerokimi krokami.

— Przecież nie zasądzono cię bez sądu? — zapytał, nagle przyśpieszając.

— Tak.

Rzymianin podniósł głowę ze zdumieniem.

— Jakto... bez sądu? bez świadków? A któż cię zasądził?

Rzymianie, jak wiadomo, byli właśnie w czasie upadku ich potęgi zwolennikami wszelkiej formalności prawnych.

— Związano mnie sznurami, wepchnięto do podziemia w więzy nie widziałem nikogo. Nikt nie mówił ze mną, a nazajutrz żołnierze uprowadzili mnie nad brzeg morski i odtąd jestem galernikiem!

— Cóżbyś mógł na swe uniewinienie przytoczyć?

— O wiele! Najpierw byłem chłopcem — za młodym na spiskowca, dalej Gratus był mi zupełnie nieznanym. Gdybym był myślał o za-

mordowaniu go, toż byłbym obrał inny czas i miejsce. Zważ, że jechał na czele legionu, w biały dzień, i nie mógłbym być pomyśleć o ucieczce. Zresztą pochodziłem ze sfer sprzyjających Rzymowi, ojciec mój był nieraz odszczególnianym za usługi oddane Cezarowi. Posiadaliśmy znaczny majątek, którego ani dla siebie, ani dla matki i siostry nie chciałbym być narazić na pewną stratę. Nie miałem w końcu żadnego powodu do nienawiści, a przeciwnie wszelkie inne względy: majątek, rodzina, sumienie, i prawo — prawo, które jest życiem i technieniem każdego syna Izraelowego — byłyby raczej wstrzymały moją rękę, gdyby nawet tak szalona myśl była powstała w mojej głowie. Nie, nie byłem waryatem i wołałbym być umrzeć niż się shańbić, a i dziś wołałbym ponieść śmierć, — wierzaj mi.

— Któż był przy tobie, gdy cios padł?

— Stałem na dachu domu ojców moich, Tirza była ze mną, ona piękna — uosobienie dobroci. Razem opieraliśmy się o poręcz chcąc widzieć wjazd nowego prokuratora i jego legion. Nagle dachówka nakrywająca poręcz usunęła się z pod mojej ręki i padła na Gratusa. W pierwszej chwili zdawało mi się, żem go zabił i przerażenie moje nie miało ganie.

— Gdzież wtedy była twoja matka?

— W swojej komnacie na niższym piętrze.

— Cóż się z nią stało?

Ben-Hur złożył ręce i ciężko westchnął.

— Nie wiem — widziałem, jak ją wraz z córką uprowadzono i oto wszystko co powiedzieć mogę. Z domu wypędzono wszystko, nawet nierozumne zwierzęta, i opieczętowano bramy, aby już nikt więcej nie wrócił. Gdybym tylko mógł wiedzieć, gdzie one są... zaprawdę, one były niewinne! Rzeknij jedno słowo, a przebaczę — ach! daruj szlachetny trybunie, że taki niewolnik jak ja, na całe życie do wiosła przykuty, śmie mówić o przebaczeniu!

Aryusz słuchał uważnie, przywołując na pomoc doświadczenie całego swego życia w obchodzeniu się z niewolnikami: jeśli udawał uczucia, które nim władały, natenczas kłamał; jeśli mówił prawdę, był niewinny a postąpiono z nim i całą rodziną niegodnie i padł ofiarą ślepo działającej siły.

Poświęcono całą rodzinę, aby pomścić wypadek, któremu nikt nie był winien. Myśl ta wzruszała trybuna do głębi. Żeglarze nazywali go „dobrym trybunem,“ a dla wielu względów w opowiadaniu skazańca można było na dobroć tę liczyć. Może znał i nie lubił Waleryusza Gratusa, a może znał także starszego Hura? Juda w swem opowiadaniu dotknął tych punktów, ale bez wyraźnego skutku.

Trybun zdawał się być w niepewności; był on na okręcie wszechwładnym panem; wrażenie, jakie na nim opowiadanie skazańca zrobiło, było dodatnie i wierzył. Pomimo tego postanowił nie spieszyć się, a raczej spieszyć do Cytery, bo byłoby nierozważnie pozbywać się w tej chwili tak doskonałego wioślarza; wołał więc poczekać, aby dowiedzieć się cośkolwiek więcej — przekonać się, czy to jest książę Ben-Hur; wiedział bowiem z doświadczenia, że wszyscy niewolnicy kłamią.

— Dobrze, — rzekł — wróc na swoje miejsce.

Ben-Hur skłonił się i spojrzał raz jeszcze w twarz swego pana, a nie ujrawszy więcej nic, coby mu dodać mogło nadziei, zwolna odchodził — nagle zatrzymał się i rzekł:

— Jeśli kiedy jeszcze pomyślisz o mnie, trybunie, pomnij, że błagałem jedynie o wieść o moich — o matce i siostrze, o nic więcej.

Po tych słowach odszedł.

Aryusz powiódł za nim zachwyconem okiem, myśląc:

— Gdyby go ćwiczyć, coby to była za ozdoba areny! co za biegacz! co za ramię do szermierki! Stój! — zawołał nareszcie.

Ben-Hur stanął, a trybun podszedł ku niemu.

— Powiedz mi, cobyś zrobił, gdybyś był wolnym?

— Szlachetny Aryusz uraga mej niedoli — rzekł Juda drżącym od wzruszenia głosem.

— Nie, na bogi, nie!

— Odpowiem więc chętnie: oddałbym się pierwszej powinności mego życia, nie znałbym innej: zanimby matka i siostra nie wróciły do domu ojców naszych, nie pomyślałbym o spoczynku. Każdy dzień, każdą godzinę poświęciłbym ich szczęściu. Nie miałyby nade mnie wierniejszego niewolnika, bo zaprawdę straciły wiele, ale na Boga przodków moich, więcej im oddam!

Rzymianin nie spodziewał się takiej odpowiedzi, na chwilę stracił wątek swych myśli, potem rzekł:

— Przemawiam do twojej szlachetności — rzekł. — Gdyby matka twoja lub siostra nie żyły, lub na zawsze zginęły, powiedz, co byś wtedy uczynił?

Widoczna bladość pokryła twarz Ben-Hura: z rozpaczą patrzył na morze, dopiero gdy się stał panem swych uczuć, zwrócił się do trybuna i zapytał:

— Jakibym zawód obrał?

— Tak.

— Powiem ci prawdę, trybunie. W przeddzień owego strasznego nieszczęścia, na którem ci mówiłem, otrzymałem był pozwolenie zostania żołnierzem. Nie zmieniłem i dziś mego postanowienia, a ponieważ na całej ziemi jest dziś tylko jedna szkoła wojenna, poszedłbym do niej.

— A więc na arenę! — zawołał Aryusz.

— Nie, do rzymskiego obozu.

— Pierwej jednak musiałbyś się zapoznać z używaniem broni.

Nigdy przełożony nie powinien radzić podwładnemu: Aryusz spostrzegł, że popełnił błąd i w oka mgnieniu zmienił głos i postępowanie.

— Odejdź — rzekł rozkazującym tonem — a nie buduj nic na tem co ci mówiłem, może żartuję z ciebie, albo — tu spojrzał w przestrzeń — albo, gdybyś się zmiany mógł spodziewać, to przyjdzie ci wybrać między sławą gladyatora lub służbą żołnierza. Do pierwszej może ci łopomódz łaska Cezara, gdy tymczasem w wojsku nie znajdziesz ani pomocy, ani uznania, bo nie jesteś Rzymianinem.

Za chwilę pochyłał się Ben-Hur znowu nad wiosłem na zwykłym swem miejscu.

Gdy serce łżejsze, każde zajęcie łatwiej się spełnia, to też i wiosłowanie nie zdało się Judzie tak ciężkiem; nadzieja, niby śpiewne ptaszkę zagościła w jego sercu. Ostrzegające słowa trybuna: może tylko żartuję z ciebie — odsuwał z myśli, ile razy mu się przypomniały. Jediną myślą, która go zaprzętała, było, że go trybun zawołał, że wysłuchał dziejów jego żywota. Nad jego ławką zaświecił jasny promień nadziei, pełen obietnic, a on modlił się:

— Boże, jestem wiernym synem Izraela, narodu, któryś ukochał przed wiekami. Pomóż mi, błagam Cię!

ROZDZIAŁ XI.

W zatoce Antemonium, na wschód wyspy Cytery zebrało się sto galer. Odbywwszy przegląd floty, odpłynął trybun na czele tejże ku Naxos, największej z Cyklad*) a sterzącej niby kamień przydrożny między Azyą i Grecyą. Z tego wzniesienia panował trybun nad wszystkimi okrętami, jakieby na wodach tych ukazać się mogły; każdej chwili mógł ścigać piratów, gdyby się tylko pojawili, czy to na Morzu egejskiem, czy na śródziemnem.

Gdy flota w pełnym szyku płynęła ku górzystym wybrzeżom wyspy, spostrzeżono galerę przybywającą od północy. Aryusz popłynął na jej spotkanie i okazało się, że był to statek handlowy, płynący wprost z Bizantium, a jego dowódzca udzielił trybunowi wielce użytecznych informacji. Piraci pochodzili z najdalszych wybrzeży Euxinu, byli nawet między nimi tacy, którzy rodzili się w Tanais**), leżącym nad ujściem rzeki tegoż nazwiska, która prawdopodobnie zasila bagna Meotejskie.

Wszelkie przygotowania robili oni w jak największej tajemnicy, dopiero kiedy się ukazali w Zatoce trackiej***), po zniszczeniu tam że stojącej floty, zdradzili swą obecność i zamiary. Później już rozbijali wszelkie okręty i mniejsze statki, skoro się tylko ukazały na wodach Hellespontu****). Eskadrę ich stanowiło sześćdziesiąt dobrze uzbrojonych i obsadzonych załogą galer. Dowódcą był Grek, również jak cała służba okrętu dobrze obeznany z wodami wschodniemi. Dokazywali niezmiernych grabieży, a postrach padł nie tylko na żeglarzy, ale i na miasta na lądzie, które pozamykały bramy i nocną straż postawiły na murach. — Nie dziwnego, że handel prawie zupełnie podupadł. — Gdzież się teraz mogli znajdować piraci?

*) Cyklady, wyspy na Morzu egejskim. **) Tanais, dzisiaj Don, rzeka w głębi Rosyi, wypływa z Jeziora iwanowskiego a wpada do Morza azowskiego. ***) Zatoka tracka — Zatoka konstantynopolska ****) Cieśnina dardanejska.

Na to nader ważne pytanie odebrał trybun dość zadawalającą odpowiedź.

Po zrabowaniu Hefestii na wyspie Lemnos, nieprzyjaciół uciekł wprost ku grupie wysp Tessalskich i zniknął między Eubeą i Helladą. Takie były wieści.

Ludność wyspy Naksos, ściągnięta na szczyty wzgórz rzadkim widokiem stu galer w jedną eskadrę złączonych, ujrzała, jak nagle przednia dywizya zawróciła ku północy, a za jej przykładem poszły następne, zawracając się na tem samem miejscu jak kawalerja w kolumnie. Wieści o piratach znane były powszechnie, to też patrzący śledzili wzrokiem białe żagle, aż znikły między Rhene i Syros, z uczuciem wdzięczności i uspokojenia; bo co Rzym ujął silną ręką, przedstawiało być strasznem i groźnem.

Trybuna ucieszyły niemało ruchy floty nieprzyjacielskiej. Fortuna widocznie mu sprzyjała, gdyż otrzymał szybko pewne wiadomości. W dodatku zwabił nieprzyjaciela na wody, gdzie go niechybna czekała zguba. Mimo to rozmyślał nad wszelkimi możliwymi wypadkami; wiedział jak wielkie zniszczenie może zrządzić choćby tylko jedna galera na takim obszarze jak Morze śródziemne.

Na Morzu egejskiem leży wyspa Eubea i tworzy wzdłuż wschodnich wybrzeży Grecji jakby wał forteczny. Między tą wyspą a Grecją znajduje się kanał stodwadzieścia mil długi, ale bardzo wązki, w najwęższem miejscu zaledwie jedną ósmą mili szeroki. Miasta leżące wzdłuż wybrzeży słynęły bogactwem i wzbudzały niewątpliwie chęć korsarzy. Aryusz przypuszczał, że uda mu się zamknąć ich od południa i północy, i na wodach wąskiego kanału wyłapać. Flota Aryusza płynęła bez przerwy i nie zbliżając się do brzegu, prawie do północy, kiedy sternik ujrzał rysującą się na niebie górę Ocha i oznajmił brzeg Eubei.

Za danym znakiem ruch wiosła ustał; Aryusz rozdzielił galery na dwa oddziały po pięćdziesiąt galer liczące; jeden z nich wysłał ku południowemu ujściu kanału, drugi dla okrążenia wyspy i zamknięcia północnego ujścia.

Żaden z owych dwóch oddziałów nie dorównywał załogom korsarskim co do liczby, a jednak przewyższał każdą w niejednym wzglę-

dzie, przede-
wszystkiem zaś
w karności, która
niepodobną
jest do osią-
gnięcia wśród
zbiorowiska lu-
dzi, zapewne
dzielnych, ale
poza obrębem
prawa żyją-
cych. Mniemał
przezorny A-
ryusz, że jeżeli
jeden oddział
ulegnie liczeb-
nej przewadze
korsarzy, mógł
drugi na nie-
przyjaciela na-
tychmiast u-
derzyć i po-
konać go.

Ben-Hur sie-
dział tymcza-
sem na swo-
jem miejscu,
wiosłując bez
przerwy, lub
odpoczywając
co sześć go-
dzin. Odpoczy-
nek w zatoce
Antemonium
pokrzepił go,



wiosło wydało mu się lżejszem, a dozorca nie miał mu nic do zarzucenia.

W ogólności ocenia się za mało swobodę umysłu, jaką daje świadomość obecnego położenia i dalszego losu. Bolesnie jest chodzić bez celu, jakby w ciemnościach. Do pewnego stopnia przyzwyczajenie stępiło w Ben-Hurze to uczucie, jednak wiosłując ciągle, godzina za godziną, czasem dzień i noc, czuł przecież, że statek posuwa się prędko na szerokiem morzu. Trapiła go nieświadomość, gdzie był i dokąd płynie. Rozmowa z trybunem wzbudziła nadzieję nowego życia w jego sercu, a w miarę tego rósł niepokój duszy. Im ciałniejszy zakres działania, tem większą bywa niecierpliwość wydobywania się na wierzch. Tego więc doświadczał Ben-Hur. Kilka razy już... już chciał przemówić do dozorca siedzącego na platformie, co wywołałoby ogólne zdziwienie.

W czasie swej długiej niewoli, przypatrywał się uważnie słabym promieniom słońca, padającym przez kratę na podłogę kabiny i tym sposobem nauczył się rozpoznawać kierunek, w którym okręt płynął. Spostrzeżenie takie mógł robić tylko w dnie pogodne, jak te, które Fortuna swemu ulubieńcowi, trybunowi, zsyłała. Był więc pewnym odpływając z Cytary, że kieruje się ku wybrzeżom Judei. Łatwo pojąć, jak bolesnego doznał uczucia, spostrzegłszy, że nagle zwracają się ku północy. Celu tego zwrotu nie mógł nawet się domyśleć, bo tak on, jak i towarzysze niedoli o niczem nie byli powiadomieni. Miejsce jego było przy wiosle — czy stali u brzegu na kotwicy, czy próli morze; los nielitościwy przykuł go do ławy niewolnika. Raz tylko w przeciągu lat trzech, jedyny raz zawołano go na pokład i raz tylko spojrzął na wody z tej wysokości, a było to wtedy, gdy go trybun powołał. Nie wiedział wcale, że wiosłując ściga korsarzy, tak jak ani przypuszczał, że za jego galera sunie cała eskadra uszykowana i przygotowana do walki.

Gdy znikł ostatni promień zachodzącego słońca, galera płynęła ciągle ku północy; Ben-Hur nie dostrzegł zmiany kierunku, aż nagle zalociała go z pokładu woń kadzidła.

— Trybun jest u ołtarza — pomyślał. — Czyżby się zanosilo na bitwę?

Od tej chwili zwrócił uwagę na wszystko co go otaczało.

Był on już w niejednej bitwie, nie widząc jej właściwie nigdy. Z swej ławki słyszał ją pod sobą i nad sobą, rozpoznawał każdy głos i ruch, jak słuchający poznaje śpiewaka po głosie. Z tych uzbieranych spostrzeżeń wiedział, że pierwszym przygotowaniem do walki — tak u Greków, jak u Rzymian, było złożenie ofiary bogom. Wprawdzie czyniono toż samo przy zaczęciu podróży, gdy jednak obecnie nie zachodził ten wypadek, przyczyna musiała być inna i była dla niego rodzajem ostrzeżenia. Bitwa dla wszystkich towarzyszy niedoli miała wielkie, ale inne znaczenie niż dla załogi. Nie straszyły ich bowiem niebezpieczeństwa; a porażka, bitwa przegrana mogła zmienić ich położenie, mogła im dać wolność, lub zmienić złych panów na lepszych.

Na całym okręcie zawrzał ruch; zaświecono kagańce i zawieszono je przy schodach, po których trybun wyszedł na pokład i wydawał rozkazy. Wnet załoga stanęła pod bronią, zniesiono i złożono na pokładzie dziryty, strzały w olbrzymich kołczanach, bomby z zapalnej oliwy i kosze bawełnianych kul, luźno jak knoty świec skręconych. Wkrótce ujrzał Ben-Hur trybuna wstępującego na platformę i przyodziewającego zbroję i hełm. Nie mógł dłużej wątpić o znaczeniu tych przygotowań i musiał się przysposobić na zniesienie największego upokorzenia, jakie go w służbie spotkać musiało.

Do ławy każdego wiosłarza przytwierdzonym był łańcuch z ciężkimi kajdanami, w które hortator chodząc od numeru do numeru zamykał każdego z osobna. W razie nieszczęścia nie było dla nich ratunku.

Jakby w oczekiwaniu zbliżającej się chwili, głucho milczenie zaległo w kabinie, przerywał je jedynie odgłos wioseł obracanych w skórzanych pochwach. Każdy wiosłarz odczuwał hańbę kajdan, Ben-Hur najbardziej ze wszystkich. Za jakąkolwiek cenę chciałby był uniknąć tej hańby; brzęk żelaza zapowiedział zbliżanie się dozorcę ku jego ławce. Wnet przyjdzie kolej na niego; ażali... trybun nie uczyni z nim wyjątku?

Myśl ta może wydać się zarozumiałością lub samolubstwem, oparowała ona jednak Ben-Hura z taką siłą, iż wierzył, że Rzymianin sprzeciwi się temu, a czyn ten będzie świadczyć o uczuciach tego człowieka. Jeśli przed bitwą zwróci myśl na niego, będzie to dowodem jeśli nie pewnego postanowienia, to zawsze będzie to wyszczególnie-

niem z pomiędzy towarzyszy niedoli, i pozwoli nieszczęśliwemu mieć nadzieję lepszej przyszłości.

Strasznem dla Ben-Hura było oczekiwanie, krótka chwila wydała mu się wiekiem. Z każdym poruszeniem wiosła zwracał wzrok na trybuna, który, skończywszy przygotowania, leżał na posłaniu i zdawał się pragnąć odpoczynku. Na ten widok gorzko się zaśmiał nasz skazaniec i pełen oburzenia postanowił nie patrzeć więcej w tę stronę.

Hortator zbliżył się tymczasem ku numerowi przedostatniemu, a brzęk łańcuchów zadzwonił złowrogo. Wreszcie numer sześćdziesiąty! Z rozpaczliwym spokojem zatrzymał wiosło i wyciągnął nogę ku przełożonemu; w tem... trybun poruszył się, siadł i dał znak dozorczy.

Straszny przewrót dokonał się w sercu Żyda. Wzrok trybuna przeniósł się z hortatora na niego; opuścił więc wiosło, a cały okręt w jaśniejszem przedstawił mu się światłe. Nie słyszał co mówiono, ale po co miał słyszeć, wiedział tylko, że łańcuch wisiał u ławy i że dozorca wróciwszy na swoje miejsce, wybijał takt, którego tony nigdy mu się tak pięknymi nie wydawały. Toteż oparłszy pierś na rączce wiosła, posunął je z całej siły, zginając prawie do złamania, a rzemień rozciągał się, jakby miał pęknąć. Dozorca zbliżył się do trybuna, i uśmiechając się, wskazał na numer sześćdziesiąty.

— Co za siła! — rzekł.

— Co za duch! — odparł trybun. — Zaprawdę, on lepszy bez łańcucha, nie zakładaj mu go nigdy.

To mówiąc, wyciągnął się znów na posłaniu.

Statek płynął dalej prawie bez pomocy wiatru, samą siłą wiosel. Ludzie niepełniący służby, spali snem twardym na swem posłaniu, załoga na pokładzie.

Raz — dwa razy — luzowano Ben-Hura, ale nie mógł spać. Nie też dziwnego; trzy lata ciemności, a w tym czasie jeden jedyny promień słońca! Jak rozbitek, rzucony na morskie głębiny, zbliżał się wreszcie do lądu! Zaiste, w takiej chwili sen ucieka. Zdawało mu się, że skończyły się udręczenia, że znajduje się w domu ojców swoich w gronie rodziny. Czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Messala, Gratus, Rzym i wszystkie gorzkie wspomnienia przedstawiały mu się jako przebyta choroba.

jako trujący oddech ziemi, nad którą teraz się unosił wysoko wśród niebieskich błękitów.

Ciemność poprzedzająca brzask świtu zalegała wody i wszystko pomyślnie działało się na Astrei (nazwa okrętu, na którym znajdował się Ben-Hur). Nagle strażnik z pokładu szybko przyszedł na platformę i zbudził spoczywającego Aryusza, a tenże wstał, włożył hełm, wziął miecz, tarczę i poszedł do dowódcy załogi.

ROZDZIAŁ XII.

Wszystko na pokładzie zbudziło się ze snu. Dowódcy zajęli swe stanowiska, a załoga chwyciła za broń i udała się na pokład. Wnet przyniesiono kołczany ze strzałami, przy głównych schodach ustawiono wiadra z oliwą i ogniste kule. Zawieszono również dodatkowe kagańce i wiadra napełnione wodą. Wiosłarze nieczynni stali gromadnie, ale pod strażą i w bliskości swego dozorey. Między nimi, za zrzadzeniem Opatrzności, stał i Ben-Hur. Nad głową słyszał zmieszany gwar ostatecznych przygotowań, jak żołnierze załogi zaopatrywali żagle, rozwijali siatki, odwieżywali maszyny i wdzielali zbroje byczą zaopatrzone skórą. Wkrótce ucichło wszystko, spokój pełen niepewności i oczekiwania zapanował na galerze, spokój, który się nazywa gotowością.

Na znak z pokładu, a podany hortatorowi przez niższego oficera stojącego na schodach, wszystkie wiosła zatrzymały się nagle.

Cóż to ma znaczyć?

Żaden ze stu dwudziestu niewolników do ławek przykutych nie zadał sobie tego pytania, bo i coż ich to obchodzić mogło? Patryotyzmu, miłości honoru, poczucia obowiązku nie znali, doznawali raczej uczucia właściwego ludziom rzuconym na ślepo w samo ognisko niebezpieczeństwa, któremu bezradni — zaradzić nie mogą. A choćby i myśleli o tem, co się stać może, nie mogliby spodziewać się lepszej przyszłości. Zwycięstwo ścieśni tem więcej ich kajdany; los ich złączony jest z losem okrętu: utonie — to i oni w głębokościach morskich śmierć znajdą, spłonie — to i ich śmierć w płomieniach.

Żaden z skazańców nie ważył się spytać o położenie, ani kto by nieprzyjacielem, boby to było na próżno. Zresztą jakieżby wzbudziły

się uczucia w tych ludziach, gdyby wrogowie Rzymu byli ich braćmi, rodakami? Zważywszy to, zrozumieimy, dlaczego Rzymianie przykuwali tych nieszczęśliwych do łańcuchów!

Nie było nawet czasu o tem myśleć. Uwagę Ben-Hura zajął szum, uczyniony wiosłami, a „Astrea“ zachwiał się jakoby groźnymi kołysany bałwanami. W tej chwili przypomniawszy sobie gotowość załogi do walki, a krew zawrzała w żyłach jego.

I znowu dano sygnał z pokładu, zanurzono wiosła a galera posunęła się nieznacznie wśród głębokiej ciszy. Nie słychać głosu z zewnątrz, cichość wewnątrz, a jednak każdy gotował się na uderzenie, które lada chwilę mogło nastąpić. Sam statek zdawał się to samo odczuwać i sposobił się jak tygrys do skoku.

W takim położeniu rzeczy czas niema miary, a Ben-Hur nie mógł mieć pojęcia o przebytej przestrzeni. Nareszcie, wśród ciszy ozwała się trąbka bojowa pełnym, czystym i długim głosem. Hortator uderzał młotkiem w stół, aż echem się odbijało; wiosłarze pracowali całymi siłami. Galera trzeszczała w spójeniach i pędziła jak strzała. Wnet inne trąbki zabrzmiały, a głosy ich dolatywały z tyłu, z przodu zaś słychać było nawoływania, wrzaski, ogólny tumult. Nastąpiło gwałtowne uderzenie, wiosłarze na platformie przy hortatorze zachwiali się; wielu padło, statek cofnął się i znowu całą siłą płynął naprzód. W tejże chwili rozległ się krzyk przerażonych ludzi głuszący trąby, Ben-Hur usłyszał łamanie się okrętu, a po chwili rozległy się okrzyki tryumfu z pokładu, na którym się znajdowali. Rzymianie zwyciężyli, zatopili okręt nieprzyjacielski; a któż byli ci, których morze pochłonięło? jakim mówili językiem? z jakiego pochodził kraju? Któżby o to pytał... „Astrea“ płynęła naprzód! Kilku z załogi, umaczawszy bawełniane kule w oliwie, zapaliło je, co pobudziło do tem wścieklejszej walki.

Wrzask rósł ciągle, na prawo, na lewo, z przodu, z tyłu, a wśród tego zgiełku słychać było od czasu do czasu trzask, po nim krzyki trwogi, świadczące że jeszcze jeden okręt zatopiono, a jego załoga walczy z bałwanami. Jeszcze los bitwy nie był rozstrzygnięty. Od czasu do czasu znoszono na dół rannego Rzymianina i składano na ziemi.

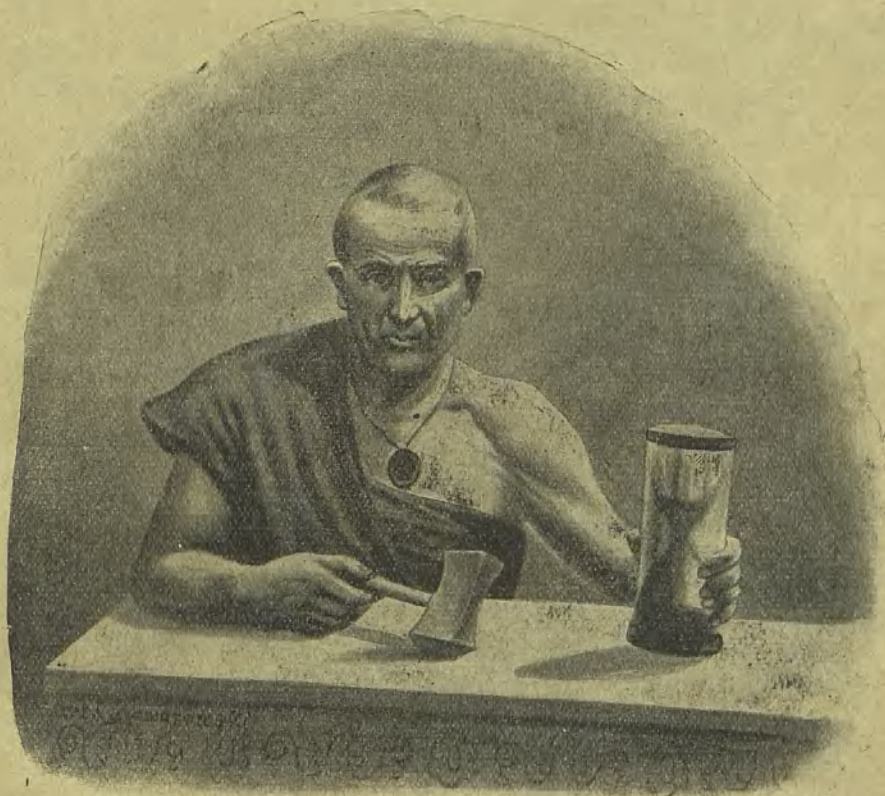
Czasem kłęby dymu, nasycone wonią palącego się ludzkiego ciała, tłoczyły piersi. Wtedy Ben-Hur, dusząc się od gorąca i dymu, odgadywał, że przepływali w bliskości okrętu, palącego się wraz z wiosłarzami do ławek przykutymi.

Tymczasem „Astrea“ w ciągłym była ruchu, nagle stanęła. Przednie wiosła wypadły z rąk wiosłarzy, a wiosłarze pospadali z ławek; na pokładzie powstał straszliwy łomot i uderzenie o siebie dwóch okrętów. Po raz pierwszy łoskot przygłuszył pobudkę hortatora; ludzie w trwodze wpadali do kabiny, jakby szukali schronienia.

Wśród ogólnego zamieszania padło nagle u stóp Ben-Hura ciało cudzoziemca. To barbarzyńca jasnowłosa, syn północy, a śmierć porwała go wśród rabunku i zemsty. Ale jakim sposobem dostał się tutaj? Czyżby jakaś żelazna ręka rzuciła go z nieprzyjacielskiego pokładu? Nie, to niepodobna! a więc „Astrea“ miała być pokonaną? Możesz to być, aby Rzymianie na własnym wależyli pokładzie? Dreszcz przerażenia przebiegł Żyda na przypuszczenie, że Aryusz znajduje się w niebezpieczeństwie. Boże! gdyby miał zginąć! Boże Abrahama nie dopuść tego! Czyżby wszystkie jego nadzieje miały pozostać tylko nadziejami? Matka, siostra, rodzina, ziemia święta... miałaby ich nigdy nie zobaczyć? Zamieszanie rosło z każdą chwilą, spojrzął wkoło, w kabinie wszystko w nieładzie — wiosłarze na ławach ubezwładnieni, ludzie tłoczący się i biegający na ślepo tam i napowrót, jeden tylko hortator niewzruszony na swem stanowisku, wybijał takt, którego nikt nie słuchał, i oczekiwał dalszego rozkazu trybuna. Był on uosobieniem owej sławnej i potężnej rzymskiej karności, która ujarzmiła cały świat znany wówczas.

Przykład niewzruszonego dozorecy oddziałał na Ben-Hura, że zaczął rozmyślać nad obecnem położeniem swoim. Honor i powinność przykuwały Rzymianina do platformy, — ale cóż jego to obchodzić mogło? Ława niewolnika była miejscem, z którego nie wstyd uciekać; umierając teraz, poświęcałby się na próżno. Nie, on powinien żyć; życie jego obowiązkiem jeśli nie zaszczytem, jest ono własnością jego narodu, jego rodziny — matki i siostry. Stanęły one przed nim jak żywe; widział, jak wyciągały ku niemu ręce; słyszał ich błagania. Niestety! Rzymski wyrok potępiał go, a póki ten miał znaczenie.

cieczka nie przyniosłaby mu pożytku. Tak, na całym szerokim świecie nie było miejsca, gdzieby go nie dosięgła karząca ręka wszechwładnego pana — czy to na morzu, czy na lądzie. Pragnął wolności zgodnej z prawem, bo tylko wolnym obywatelem mógł zamieszkać w Judei i wypełnić obowiązki, którym się poświęcił; dla niego niema



życia gdzieindziej. O Boże! jakżeż czekał i błagał o taką wolność. Jakże długo ona się opóźniała, a jak radośnie witał ją wreszcie w obietnicy trybuna. Wszak nie innego wielki ten człowiek nie mógł mieć na myśli? A gdyby dobroczyńca ten miał teraz marnie zginąć? Umarły nie może przecież wrócić, aby wybawić z więzów żyjącego. Nie, to się stać nie może — Aryusz nie powinien umrzeć; gdyby zaś tak się stać miało, to lepiej zginąć z nim razam, niż żyć nadal niewolnikiem na okręcie.

Jeszcze raz spojrzął Ben-Hur wkoło siebie. Na pokładzie szalała walka, nieprzyjacielskie okręty cisnęły na boki „Astrei.“ Niewolnicy na ławach, nie widząc straży, która poszła na górę, targali swe łańcuchy, a przekonawszy się o daremności swych usiłowań, dzikiem i szalonem wyciem rozdzierali powietrze. Karność zniknęła, przestrasz rozpręgnał wszelki porządek, a jednak nie... bo oto hortator, niezmienny i spokojny jak zawsze, siedział na krześle i wydawał rozkazy, lecz nikt nie zwracał na nie uwagi. Bez innej broni prócz młotka do uderzeń, dopełniał swemi nawoływaniami ogólnego zgiełku. Ben-Hur raz jeszcze rzucił nań okiem i wybiegł... nie żeby uciekać, ale aby szukać trybuna.

Jednym skokiem znalazł się na pokładzie i ujrzał niebo krwawą gorejące łuną, straszliwą walkę, napierające na „Astree“ okręty, i morze pokryte szczątkami rozbitych statków. — Napastników była moc nieprzeliczona, Rzymian szczupła garstka. — Zaledwie objął wzrokiem ów straszny widok, aliści uczuł, że się zapada i leci w tył. — W jednym mgnieniu oka cały kadłub galery z trzaskiem się rozpadł, a morze jakby na to tylko czekało, zapieniło się, zaszumiało i zalało go. Ben-Hura otoczyła nieskończona ciemność.

Chociaż posiadał wiele siły, która budzi się w człowieku w chwili grożącego życiu niebezpieczeństwa, przecież ciemność i szum wody ubezwładniły go tak, że stracił prawie przytomność.

Prąd wody popychał nim jak kłosem drzewa ku kabinie, gdzie byłby utonął, gdyby nie opór tonącego statku, który go dźwignął w górę. Czując, że wraz z drobniejszymi szczątkami wypływa na wierzch, uczepił się jakiegoś przedmiotu i z nim płynął. — Czas, który przebył pod wodą wydał mu się o cały wiek dłuższym, niż był w rzeczywistości. Gdy zaś uczuł, że jest na powierzchni wody, odechnął głęboko, świeżem powietrzem napełnił płuca, a otarłszy wodę z włosów i oczu, wydostał się wyżej na deskę, która go ocaliła, i opierając się na niej, obejrzał się wokoło. Blizkim był zaiste śmierci pod wodą, ale i na niej czekała go ona każdej chwili.

Nad wodą ścielił się, jak mgła przezroczysta, dym od płonących statków.

Bitwa zdawała się skończoną, ale kto był zwycięzcą, niepodobnem było odgadnąć. Od czasu do czasu przesuwały się przed jego oczyma

okręty, zaciemniając na chwilę purpurowe blaski pożarów. Poprzez chmury dymu, kurzawy i mgły dolatywał go trzask nacierających na siebie statków; niebezpieczeństwo zagrażało mu tuż. W chwili, gdy „Astree” pochłonięły bałwany, na pokładzie jej znajdowały się prócz jej własnej załogi dwie inne, nieprzyjacielskie. Wszystkich morze pochłonięło, wielu jednakże wypłynęło na powierzchnię wód i wiodło dalej bój zacięty, którego w głębokościach morza najprawdopodobniej nie zaprzestano. W śmiertelnym uścisku walczą z sobą z straszliwą zaciętością. W rękach wielu walecznych błyszczały oszczepy i dziryty, którymi starali się przeciwnikowi zadać jeszcze cios ostatni. I słychać było szum wód wzburzonych szamotaniem się walczących. A morze, ów wspólny grób dla przyjaciół i nieprzyjaciół, tutaj czarne ciemnością nocy, owdzie płomienne od gorejących okrętów. Ben-Hura nie walka ta nie obchodziła. Czy ci, czy tamci zwyciężą, zawsze to nieprzyjaciele, a każdy z nich zabiłby go bez wahania, choćby tylko dlatego, aby mu wydrzeć deskę, na której pływał. Trzeba się było więc spieszyć, aby opuścić złowrogie te strony.

A jednak zanim to zdołał uczynić, posłyszał szybki ruch wiosel i ujrzał galerę płynącą ku sobie. Wysoki maszt zdawał się podwójnie wysokim, a ciemne światła, igrające na złoceniach i ozdobach statku, czyniły go podobnym do węża, poruszającego szumiącą i pieniącą się wodę.

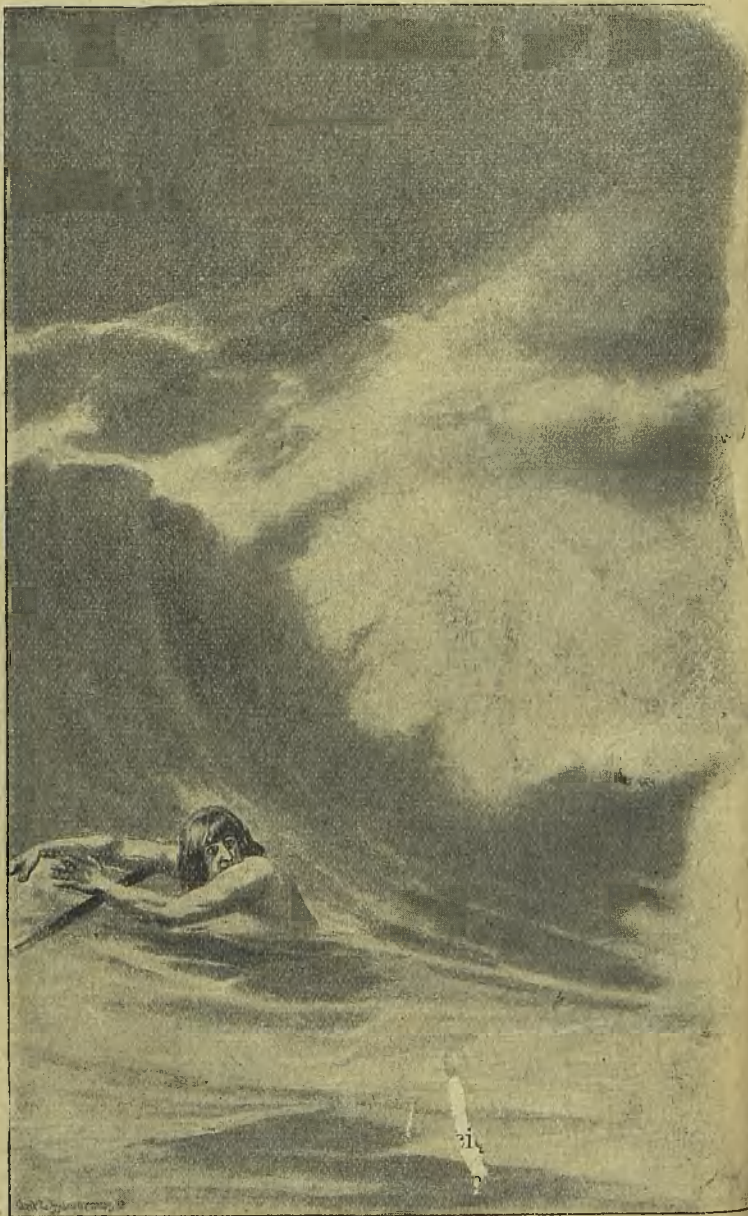
Szybko objął Ben-Hur myślą grożące mu niebezpieczeństwo, a trzymając się szerokiej deski, obliczał sekundy i czuł, że choć tylko pół sekundy, a może go ocalić lub zgubić. Nagle na powierzchni wody, w odległości ramienia, ukazał się hełm niby złoty promień, zanim dwie ręce z wyciągniętymi palcami, dwie ręce silne, któreby pewno nie puściły raz pochwyconej podpory. Na pierwszy widok Ben-Hur cofnął się z przerażenia, ale gdy hełm zanurzał się i wypłynął znowu, ręce obejmowały napróżno wymykającą się falę, nagle luna oświeciła bladą twarz i szeroko roztwarte usta tonącego. Oczy nie były zamknięte, ale patrzyły błędnie, oblicze trupiej bladości przedstawiało straszny obraz; przecież Ben-Hur, przypatrzawszy się zjawisku, krzyknął radośnie; a gdy głębia się znowu zanurzyć miała, chwycił za łańcuch podtrzymujący ^{cz}brodę ⁿhelm nieszczęśliwego i przyciągnął go do deski.

Był to Aryusz, trybun.

Chwilę długą woda wrzała i wirowała około Ben-Hura, musiał więc użyć wszystkich sił, aby utrzymać ciało a zwłaszcza głowę trybuna nad powierzchnią wody. Galera przepłynęła mimo nich, pozostawiając ich poza obrębem swych wiosł. Płynęła pośród tonących, pomiędzy głowami nakrytymi hełmami i bez hełmów.

Wtem głucho trzask doleciał uszu Ben-Hura; obejrzał się i z niemałym zadowoleniem zobaczył, że „Astrea“ była pomszczoną.

Walka trwała dalej; opór zmienił się w ucieczkę, ale kto zwyciężył? Dobrze pojmował Ben-Hur, jak wiele ta okoliczność zaważać mogła



na szali jego wolności i w ocaleniu trybuna. Podsunął lepiej deskę pod trybuna, tak że go podtrzymywała, całem zaś staraniem jego było utrzymywać go w tej pozycji.

Zwolna poczynano dnieć. Ben-Hur powitał dzień z dwoma odmiennymi uczuciami: nadziei i trwogi. Zwyciężyli Rzymianie, czy korsarze? Gdyby ostatni, trybun byłby zgubiony.

Nareszcie nadszedł poranek, cichy i spokojny. Po lewej stronie ujrzał łąd, lecz za daleko oddalony, aby go móżdź dosięgnąć, a w oddaleniu tu i owdzie pływali ludzie, równie jak on — rozbitki. Zwęglone i dymiące szczątki zniszczonych okrętów plamiły białe przestworze morza; w dali leżała galera z podartym żaglem, zgruchotanym masztem, zniszczoną ozdobną balustradą i bezczynnymi wiosłami. Dalej jeszcze widniały ruchome punkta, może uciekające lub ścigane statki, a może tylko białe i chyte ptaki.

Minęła jeszcze godzina, trwoga rosła. Jeśli pomoc nie przyjdzie szybko, Aryusz umrzeć może. Tak spokojnie leżał, że czasem wydawał się już umarłym, a jednak, gdy mu zdjął hełm, a potem z wielkim trudem pancierz, serce biło jeszcze. Ten dowód życia dodał mu odwagi. Czekał i obyczajem swego narodu krzepił się modlitwą.

Przyjście do przytomności po topieniu się stokroć jest boleśniej-szem niż samo tonięcie; taką boleść przechodził Aryusz, zanim, ku wielkiej radości Ben-Hura, zdołał przemówić

Stopniowo zaczął od mało znaczących pytań, jak i gdzie się znajduje, kto i jak go ocalił, ale wnet przypominał sobie bitwę. Wątpliwość w zwycięstwo zbudziła wszystkie jego obawy i czyniła nie-znośnym spoczynek, jakiego używał na ciągle ruchomej desce. Zwolna uspakajał się i stawał się rozmowniejszym.

— Nasze ocalenie, jak sędzę, zależy głównie od wyniku bitwy. To, coś uczynił dla mnie, uznaję w zupełności; ocaliłeś mi życie z narażeniem twojego. Cokolwiek bądź się stanie, zapewniam ci moją wdzięczność. Nie poprzestanę na tem; jeśli los sprzyjać nam będzie i zdołamy stąd szczęśliwie się wydostać, obsypię cię łaskami, jak przystoi na Rzymianina mającego możność i władzę wywdzięczenia się. Czy jednak twą dobrą wolą i ofiarą wyświadczyłeś mi dobrodziejstwo, tego nie wiem jeszcze i dlatego — tu się zawahał — musisz mi przy-

rzec, że oddasz mi największą przysługę, jaką człowiek człowiekowi wyświadczyć może — a to przyrzeczenie musisz natychmiast wykonać.

Jeśli to, czego żądać będziesz, nie jest zakazanem przez nasz Zakon, spełnię twą wolę — odrzekł Ben-Hur.

Aryusz zatrzymał się chwilę.

— Jestżeś rzeczywiście synem Hura, Żyda? — zapytał.

— Jest, jako rzekłeś.

— Znałem twego ojca.

Juda przybliżył się do trybuna, bo głos jego był słaby — przysunął się więc i słuchał cichej, spodziewając się, że nareszcie usłyszy co o swoich.

— Znałem i kochałem go — ciągnął dalej Aryusz.

Tu nastąpiła chwila milczenia, zdaje się, że jakaś myśl nowa zajęła mowę.

— Niepodobna — mówił dalej — abyś ty, jako syn jego, nie był zasłyszał o Katonie i Brutusie. Byli to wielcy ludzie, a największymi okazali się w chwili zgonu. Umierając zostawili przykład i prawo, droższe nad wszystko. Po nich nie żyć żadnemu Rzymianinowi w hańbie i niewoli. Czy słuchasz?

— Słucham.

— Każdy obywatel Rzymu nosi pierścień; stosownie do przyjętego zwyczaju, mam i ja takowy, który ci nakazuje zdjąć — to mówiąc wyciągnął rękę do Ben-Hura, a ten uczynił zadość rozkazowi.

— Włóż pierścień na swój palec.

Ben-Hur i wtem był posłusznym.

— Ta drobnostka może ci wielkie oddać przysługi — ozwał się Aryusz po chwili — mam posiadłości i pieniądze, nawet w Rzymie liczą mnie do bogatych. Nie mam rodziny, a gdy pokażesz ten pierścień memu wyzwolencowi, który zarządza w czasie mej nieobecności majątkiem moim, usłucha cię we wszystkim. Znajdziesz tego człowieka w willi mej pod Misenum, a skoro mu opowiesz, w jaki sposób i gdzie otrzymałeś ten klejnot, uczyni zadość wszelkim twym żądaniom. Jeśli przeciwnie żyć będę, uczynię więcej dla ciebie, wyzwolę cię i wrócę cię do domu i rodziny. Jeśli wybierzesz inną drogę, dopomogę ci do osiągnięcia tego stanowiska, jakie osiągnąć zapragniesz. Czy słyszysz?

— Słyszę.

— A więc złóż przysięgę, na bogi.

— Nie, szlachetny trybunie, tego nie uczynię, bom Żyd.

— Więc zaprzysięgnij na twego Boga, lub użyj jakiejkolwiek najświętszej w twojej wierze formuły, ale przysięcz, że uczynisz to, co ci teraz każe i jak każe. Czekam, a ty złóż obietnicę.

— Szlachetny Aryusie — z słów twoich sędzę, że żądasz coś bardzo ważnego. Powiedz mi więc pierwszej, czego żądasz?

— Czy wtedy wykonasz przysięgę?

— Gdybym to przysiękł, już byłbym niejako obowiązany, a — tu nagle Ben-Hur przerwał mowę wykrzyknikiem: Błogosławiony Bóg ojców moich, bo oto okręt przybywa!

— Z której strony?

— Od północy.

— Czy umiesz rozpoznać po znakach do kogo statek należy?

— Nie, byłem tylko wiosłarzem.

— Czy ma flagę?

— Nie widzę dotąd żadnej.

Aryusz zatonał w myślach i milczał.

— Czy okręt ciągle w tym samym kierunku płynić?

— Ciągle.

— Szukaj oczyma chorągwi.

— Niema jej.

— Jakto i żadnego innego znaku?

— Żagiel galery zwinięty, trzy ławy, a płynie szybko; oto wszystko, co widzę.

— Gdyby to był rzymski okręt zwycięski, wywiesiłby mnóstwo chorągwi, a zatem musi to być okręt nieprzyjacielski. A wiesz co teraz będzie? — mówił dalej. — Słuchaj, póki mogę mówić. Jeśli to okręt korsarski, życie twoje ocalone, nie dadzą ci wolności i każą znów wiosłować, ale cię nie zabiją. Ze mną postąpią inaczej.

Tu zawahał się.

— Ja — rzekł nareszcie — za stary jestem, abym zniósł hańbę. Niech mówią w Rzymie, że Kwintus Aryusz zginął w boju wraz ze swym okrętem, jak przystało rzymskiemu wodzowi. Oto co

chcę, abyś uczynił, skoro okręt nieprzyjacielski tutaj się zbliży: zrzuć mnie z tej deski w morze i utop. Czy słyszałeś? Złóż przysięgę, że to uczynisz!

— Nie, tego nie uczynię! — rzekł Ben-Hur stanowczo. — Prawo dla mnie świętsze, Zakon nasz czyni mnie odpowiedzialnym za twe życie. Odbierz ten pierścień — to mówiąc zdjął sygnet z palca — weź go, cofnij wszystkie twe obietnice na wypadek ocalenia zrobione. Wyrok, który mnie zasądził na galery, uczynił mnie niewolnikiem, ale teraz już nim nie jestem więcej, tak, jak nie jestem również twym wyzwoleniem. Czuję się, przynajmniej na tę chwilę synem Izraela i panem siebie. Weź swój pierścień.

Nie wzruszyło to Aryusza, który milczał zacięcie.

— Nie chcesz? — rzekł Juda. — Więc nie w złości, ani z pogardy, ale aby się uwolnić od nienawistnego mi zobowiązania, oddaję dar twój morzu. Patrz trybunie.

I cisnął pierścień w odmet; Aryusz usłyszał plusk padającego w morze pierścienia, chociaż nie spojrzał w tę stronę.

— Postąpiłeś nierozważnie — rzekł — jestto w twojem zwłaszcza położeniu czyn szaleńca. Śmierć moja nie tylko od ciebie zależy; życie to nie, którą mogę przerwać bez ciebie, a gdy to uczynię, cóż się z tobą stanie? Ludzie z postanowieniem śmierci, wołają ją ponieść z obcej ręki, bo dusza, o której istnieniu upewnia Plato, oburza się na samobójstwo! Oto wszystko. Gdybyś ty mnie był prosił o podobną przysługę, nie byłbym ci jej odmówił. Teraz obydwaj jesteśmy zgubieni, a pierścień, był jedynym dowodem mej ostatniej woli i mógł ci dać szczęście. Ja zejść ze świata oplakując wydartą mi chwałę i zwycięstwo; ty będziesz żył, aby umrzeć trochę później z wyrzutem niespełnionego świętego obowiązku — dla nierozumnych przesądów. Boleję nad tobą!

Ben-Hur widział wszelkie następstwa swego czynu wyraźniej niż kiedy, ale nie zawahał się.

— W ciągu trzech lat mej niewoli, ty, trybunie, pierwszy spojrzałeś na mnie łagodnie. — Czy tak? nie, o nie, był jeszcze ktoś, — na tę myśl głos Judy zniżył się, oczy zwilżały, a przed oczyma duszy ujrzał tak wyraźnie, jak gdyby była tuż przed nim, twarz młodzieńca.

co go napoił u starego źródła w Nazaret. Przemógłszy wzruszenie, mówił dalej: — Jeśli twoje spojrzenie nie było pierwszym objawem współczucia w ciężkiej mej niedoli, to w każdym razie ty pierwszy spytałeś mnie, kim jestem; a jeśli w ostatniej przygodzie uratowałem cię z myślą, że twe ocalenie może mi przynieść jakąś korzyść, to jednak w czynie tym nie było samolubstwa, wierzaj mi, proszę. Co więcej, widzę coraz wyraźniej, że Bóg użyczy mi szczęścia, jakiego



pragnę tylko za pomocą sprawiedliwych środków. Idąc za głosem i przeświadczeniem sumienia, raczej umarłbym z tobą, niż bym się stał twoim mordercą. Takim jest moje postanowienie i choćbyś mi ofiarował cały Rzym, a on takby był twoją własnością, że mógłbyś nim rozporządzać, jeszcze nie zabiłbym ciebie. Wasz Kato i Brutus wydają się nieświadomymi dziećmi wobec Hebreów, którzy Żydowi nadali prawa.

— Czyż prośba moja nie nie znaczy?

— Rozkaz miałby większe znaczenie, ale i ten mnie nie wzruszy. Powiedziałem.

Umilkli i obaj czekali. Ben-Hur spoglądał często w stronę przybywającego okrętu. Aryusz spoczywał z zamkniętymi oczyma, jakby obojętny.

— Jesteś pewnym — pytał Ben-Hur — że przybywający statek jest nieprzyjacielskim?

— Tak sędzę — brzmiała odpowiedź.

— Staje i spuszcza łódź.

— Czy widzisz chorągiew?

— Żaliż niema innego godła, po którym mógłbym rozpoznać, czy to jest rzymski okręt?

— Gdyby statek był rzymskim, miałby hełm powyżej masztu.

— Nabierz więc otuchy, widzę hełm — Aryusz nie wierzył jeszcze.

— Ludzie na łodzi płynący ratują tonących, piraci nie znają litości, nie czyniliby tego.

— Mogą potrzebować wiosłarzy — odparł Aryusz pomnąc, jak sam zbierał tonących w tym celu.

Ben-Hur nieustannie przypatrywał się ruchom płynących.

— Okręt rusza się — rzekł.

— W jakim kierunku?

— Po prawej stronie od nas stoi opuszczona prawdopodobnie galera; ku niej płynie statek. Tak jest, zrównał się z nią i wysyła ludzi na pokład.

Słyszając te słowa, Aryusz otworzył oczy i ożywił się.

— Dziękuj twemu Bogu — rzekł do Ben-Hura, spojrzawszy na galere, — a i ja winienem podziękę moim. Gdyby to był statek korsarski, zatopiłby pokonaną galere, a nie starał się jej ratować; po tym czynie i hełmie na maszcie poznaję Rzymianina. A zatem mojem jest zwycięstwo, a Fortuna nie opuściła mnie. Jesteśmy uratowani, daj więc znak ręką, wołaj ich, niech przybywają prędko. Będę duumwirem... a ty... znałem twego ojca i miłowałem go; był on zaprawdę księciem i przekonał mnie, że Żyd nie jest barbarzyńcą. Zabiorę cię z sobą, uczynię mym synem. Tak więc dziękuj twemu Bogu i wołaj na wiosłujących. Spiesz się, a prędko, bo musimy puścić się w po-goń, aby ani jeden rozbójnik nie uszedł. Spiesz się! spiesz na bogi!

Juda wsparłszy się na desce, ruszał ręką i wołał z całej siły; wkrótce ściągnął uwagę kierujących małą łódką, która też wnet przybyła po nich.



Obchód zwycięstwa w teatrze Scourusa w Rzymie.

Na galerze przyjęto Aryusza z wszystkimi honorami należnemi bohaterowi, ulubieńcowi Fortuny. Leżąc na wezglowiu, wysłuchał szczegółów zakończenia walki, a gdy zebrano rozbitków, wywieszono na nowo flagę komendanta i spieszenie skierowano ku północy, aby się połączyć z resztą floty i dokonać zwycięstwa. W właściwym czasie owe pięćdziesiąt okrętów wysłanych na morze, zamknęły odwrót uciekającym piratom i zniszczono ich, biorąc dla uzupełnienia sławy Aryusza, dwadzieścia nieprzyjacielskich galer do niewoli.

Na wybrzerzu Misenum witano radośnie powracającego Aryusza, a towarzyszący mu młody człowiek zwrócił szybko uwagę przyjaciół trybuna. Na ich zapytanie opowiadał tenże bardzo serdecznie historię swego ocalenia, starannie omijając wszystko, co się do poprzedniej historii młodego Żyda odnosiło. W końcu przywołał Ben-Hura do siebie i rzekł, kładąc rękę na jego ramieniu:

— Zaćni przyjaciele moi, oto mój syn i dziedzic mego majątku, jeśli wola jest bogów, abym jaki majątek pozostawił. Będzie on nosił moje imię, a polecam wam go, prosząc byście go miłowali, jako mnie miłujecie.

Adoptacyę przeprowadzono szybko o ile na to formalności pozwoliły, a tym sposobem dotrzymał dzielny Rzymianin przyrzeczeń danych Ben-Hurowi i wprowadził go w świat cesarski. W miesiąc zaś po powrocie Aryusza obchodzono w Rzymie w teatrze Scaurusa jego zwycięstwo nad piratami. Po jednej stronie gmachu wisiały chorągwie, proporce, sztandary, wśród których odznaczało się dwadzieścia dziobów okrętowych ze zdobytych galer, nad tem zaś wszystkim widniał napis, ogłaszający osiemnastu tysiącom widzów siedzącym w teatrze, następujące słowa:

Kwintus Aryusz duumwir
zabrał piratom
w zatoce „Euripus.“

ROZDZIAŁ XIII.

Jesteśmy w mieście Antyochii, w miesiącu Lipcu 23 roku po narodzeniu Jezusa Chrystusa; miasto to zwano królową Wschodu, bo było najpotężniejszem po Rzymie, jeżeli nie najludniejszem z miast.

Mniemanie, jakoby źródłem występków owego czasu był starożytny Rzym, jest co najmniej wątpliwe. Ktokolwiek sprawą tą się zajmował, spostrzeże, że zepsucie płynęło ze Wschodu na Zachód; a miasto Antyochya, siedlisko starożytnej asyryjskiej potęgi i wspaniałości, w tym kierunku wpływ wywierało.

Było to przed południem. Galera kupiecka opuściła modrawe wody morza i wpływała do ujścia rzeki Orontes (główna rzeka w Syrii, wpływająca do Morza śródziemnego). Skwar był wielki, a przecież wszyscy podróżni, opuściwszy kabiny, stali na pokładzie wraz z Ben-Hurem.

Przebyte pięć ciężkich lat zmieniły młodego Żyda w dojrzałego mężczyznę, a chociaż nosił suknię z białego płótna osłaniającą jego kształty, to jednak łatwo było dostrzedz, że był niezwykle pięknej postawy. Przeszło od godziny stał w cieniu żagli, a kilku podróżnych jego narodowości napróżno próbowało nawiązać z nim rozmowę. Odpowiadał na pytania po łacinie w sposób poważny i godny. Czystość wymowy, skromność i inteligencya pobudzały ciekawość słuchających. Ci, którzy mu się uważniej przypatrzyli, zauważyli pewną niezgodność w właściwościach dotyczących jego osoby a arystokratycznym zachowaniu się. I tak, ręce miał widocznie za długie, a gdy, chcąc zachować równowagę na kołyszącym się statku, chwycił się czegośkolwiek w pobliżu, ruch ręki i widoczna w niej siła zwracały na się uwagę otaczających. Tak więc wraz z ciekawością kim i czem był, rodziło się przekonanie, że człowiek ten przechodził już niezwykle koleje.

Galera zatrzymywała się w jednym z portów Cypru i zabrała stamtąd Żyda podeszłego już w latach. Powierzchność jego ujmująca zachęciła Ben-Hura do zadania mu kilku pytań, na które podróżny odpowiedział w sposób obudzający zaufanie, i wnet nawiązała się między obydwoma ożywiona rozmowa.

Naraz, gdy galera wpłynęła w zatokę Orontesu, spotkała się z dwoma innymi statkami, które równocześnie wpływały na wody rzeki. Mijając się oba statki, wywiesiły mnóstwo małych chorągiewek żółtego koloru, jakby na znak powitania. Podróżni dziwili się tym znakom i najrozmaitsze robili przypuszczenia. Gdy wreszcie jeden z nich zapytał owego sędziwego Żyda, coby chorągiewki oznaczać miały, odpowiedział:

— Flagi te nie oznaczają narodowości, ale są godłem właściciela tych okrętów.

— Czy tenże posiada wiele galer?

— Bardzo wiele.

— Czy znasz go?

— Łączyły mnie z nim niegdyś interesa.

Podróżni patrzyli na mówiącego, jak gdyby prosili go, aby dalej opowiadał. Ben-Hur zaś słuchał z zajęciem.

— Żyje on w Antyochii — mówił dalej Hebrejczyk z właściwą sobie powagą — bogactwa jego zwróciły nań uwagę, a to co o nim mówią, nie zawsze jest dla niego życzliwem. Niegdyś żył w Jerozolimie ksiązę pochodzący z starożytnego domu Hurów.

Na te słowa próżno Juda usiłował się opanować, serce biło mu jak młotem.

— Ksiązę ten był kupeem i miał zmysł do handlu, stał na czele wielu przedsiębiorstw, rozgałęzionych aż po krańce Wschodu i Zachodu. Po wielkich miastach zakładał filie, a jedną z takich filii w Antyochii zarządzał wierny i stary sługa domu Hurów, Simonides, który, mimo greckiego nazwiska, był Izraelitą. Pan domu, głowa rodu, zatonął na morzu, ale interesa szły dalej pomyślnie, gdy nagle nowem nieszczęściem dotknął Pan tę rodzinę. Jedyny, jeszcze niedorosły syn księcia wykonał zamach na życie prokuratora Gratusa na jednej z ulic Jerozolimy; a gdy się zamach nie udał, znikł na zawsze. Rzymianie wywarli zemstę na całym domu, a nikt tego imienia nie został przy życiu. Pałac opieczętowano i gnieźdzą się w nim gołębie, skarby zabrano jakoteż wszystko, co było własnością Hurów. Tym więc sposobem prokurator przyłożył złoty plaster na swoją ranę; było się czem zaiste wyleczyć.

Słuchający roześmiali się, a jeden z nich rzekł:

— To znaczy, że majątności zatrzymał dla siebie?

— Tak mówią — odparł Żyd — opowiadam rzecz, jak ją słyszałem, ale dla dopełnienia dodaje, że Simonides, ów zastępca księcia w Antyochii, wkrótce potem otworzył handel na własną rękę. Idąc za



przykładem dawnego pana, posyłał karawany do Indyi; a teraz posiada dostateczną ilość galer tworzącą na morzu prawdziwie królewską flotę. Mówią, że mu się wszystko udaje; jeśli traci wielbłądy, to ze starości; jego okręty nie toną nigdy, a gdyby rzucił wiór w rzekę, wnet wypłynąłby sztabą złota.

— Od jak dawna się to dzieje?

— Z jakie dziesięć lat.

— Zdaje się, tak mówią, że prokurator zajął tylko tę część mienia książąt, która była pod ręką, jak konie, bydło, domy, posiadłości, galery i inne dobytki. Pieniędzy zaś nie odnaleziono, chociaż musiały być znaczne sumy. Co się z nimi stało, pokrywa niezbadana tajemnica.

— Nie dla mnie — rzekł z ironią jeden z podróżnych.

— Rozumiem cię — odpowiedział Żyd — inni przypuszczali toż samo, a ogólnem mniemaniem jest, że owe skarby są podstawą Simonidesowego majątku. Prokurator podziela lub podzielał tę wiarę, bo dwa razy w ciągu lat pięciu więził kupca i brał go na tortury.

Juda schwycił z całej siły linę, na której się opierał.

— Mówią — ciągnął dalej opowiadający — że w ciele tego człowieka niema ani jednej całej kości. Ostatni raz widziałem go siedzącego w krześle i obłożonego poduszkami, jak kalekę.

— Więc tak straszliwie przechodził męki! — zawołało kilka osób naraz.

— Żadna choroba nie zdołałaby takiego wytworzyć kalectwa, a przecież cierpienie nie wywarło na nim żadnego wrażenia. Nic więcej nie wyznał, jak że wszystko co posiada, jest jego prawną własnością, której godziwie używa. Od jakiegoś czasu prześladowanie ustało; pozwolenie na handel otrzymał z podpisem samego Tyberyusza.

— Musiał się dobrze opłacić, ręczę.

— Te okręty, któreście widzieli, do niego należą — mówił dalej Żyd, puszczając mimo poprzednią uwagę, jednego z słuchaczy — a ich wioślarze mają w zwyczaju witać się wzajemnie żółtymi flagami, co ma znaczyć: mieliśmy szczęśliwą podróż!

Tu skończyło się opowiadanie.

Gdy okręt prół już fale rzeki, Juda rzekł do Zyda: — Jak nazywałeś tego, który był panem Simonidesa?

— Zwał się Ben-Hur i był księciem Jerozolimy.

— Co się stało z książęcą rodziną?

— Chłopca wysłano na galery, gdzie prawdopodobnie marnie zginął; rzadko bowiem kto dłużej jak rok wiosłem pracuje. O wdowie i córce nie nie słyszałem; ci, którzy może wiedzą co o nich, nie chcą o tem mówić: uważam za prawdopodobne, że zmarły w jakim podziemnym lochu.

Juda zbliżył się do steru, a tak był pogrążony w myślach, że nie patrzył ani na piękne wybrzeże rzeki, zasiane sadami owych słynnych syryjskich drzew owocowych, ani na pyszne wile ocienione winogradem, równie piękne jak te, co wieńczą dzisiejszy Neapol. Nie widział również przepływającej floty, nie słyszał śpiewów i okrzyków wioślarzy bądź to witających, bądź też żegnających

ojczyste wybrzeże. Niebo lśniło najcudowniejszym słońcem, a upalne promienie złościły ziemię i wodę; nigdzie cienia, prócz w jego duszy i na jego życiu.

Gdy się zbliżyli ku miastu, spieszyli pod różni bez wyjątku na pokład, aby nie stracić z pięknego wi-



doku, jaki się przed ich oczami roztaczał. Znany nam już sędziwy Żyd przyjął na siebie obowiązek objaśniającego:

— Rzeka płynie w tem miejscu ku zachodowi — opowiadał. — Tam! — to mówiąc, wskazał na południe palcem — wznosi się góra Kazyus albo, jak ją tutejsi ludzie nazywają, góra Orontes, a tamta wprost naprzeciw tejże, to góra Amnus. Między temi wzgórzami ścieli się równina Antyochia, poza nią widnieją czarne góry, skąd królewskimi wodociągami sprowadza się wodę dla skrapiania ulic miasta i dla potrzeb mieszkańców. Lasy tych gór pełne są jeszcze ptactwa i dzikiego zwierzaja.

— A gdzie jezioro? — zapytał ktoś.

— Ku północy, można tam konno dojechać, ale łatwiej i wygodniej łodzią, gdyż odnoga rzeki z niem się łączy.

— Gaj Dafny! — mówił dalej, zwracając się do kogoś innego, — któż opisze jego piękności! Pamiętacie, że założył go i ukończył Apollo,*) jest on jego ulubionem mieszkaniem i chętniej w nim przebywa niż na Olimpie.***) Ileż to ludzi udaje się tam, aby gaj przynajmniej raz ujrzeć i nie mogą się więcej od czarownego tego miejsca oderwać. Nie darmo mówi przysłowie: lepiej być robakiem i żywić się morwami Dafny,***) niż siedzieć u królewskiego stołu.

— A zatem nie radzisz nam odwiedzać tych miejsc?

— Bynajmniej. Chcecie, idźcie. Wszyscy tam chodzą: filozofowie, młodzieńcy, kobiety, kapłani. Wiem, że pójdziecie i wy; dam wam więc radę. Nie szukajcie mieszkania w mieście, byłoby to stratą czasu, ale idźcie wprost do wsi blizkiej gaju. Wiedzie tam droga poprzez ogród skropiony wodą wodotrysków. Ależ oto i miasto! a tuż najświetniejsze dzieło Ksereusza, mistrza architektury. Ta część grodu była wzniesioną na rozkaz Seleucydów (dynastya, która panowała w Syryi), 300 lat spoiły ją nierozzerwalnie ze skałą, na której jest zbudowana.

Warownia usprawiedliwiała pochwały jej dawane; była wysoką, silną i zaopatrzoną licznymi narożnikami. — Szczyt murów jeży się czterystu wieżami, a każda jest zbiornikiem wody — ciągnął dalej Żyd. —

*) Apollo, bóg światła. **) Olimp, góra w Grecyi, pomiędzy Macedonią a Tessalonią; Olimpia, dolina w Peloponezie w Grecyi, miejsce sławnych igrzysk, gaj, skarbnica narodowych pamiątek Hellenów, dzisiaj Greków. ***) Dafne, córka bóżka rzek Ladon; kochał się w niej Apollo, ale ochroniła ją przed nim matka jej i zamieniła ją w wiecznie zielenią pokryte drzewo wawrzynu.

Patrzcie dalej ponad wysokim murem, ujrzycie w oddaleniu dwa wzgórza. Na dalszym szczycie wznosi się cytadela, gdzie przez cały rok stoi kwatery legion rzymski. Na przeciwnym szczycie widnieje świątynia Jowisza, a obok niej pałac posła i wielu dygnitarzy. Forteca ta nie do zdobycia.

W tej chwili wiosłarze zaczęli związać żagle, a Żyd mówił dalej: — Patrzcie! Oto most, który wiedzie do Seleucyi (miasto Syryjskie, forteczne, leżące nad morzem); tu się kończy żegluga. Poza mostem zaczyna się wyспа, na której Kalinikus wybudował nowe miasto łącząc je ze starem tak silnymi mostami, że ich ani czas, ani powódź, ani trzęsienia ziemi nie zdołały nadwyrężyć. Co się zaś tyczy miasta samego, mogę tylko tyle powiedzieć, że ktokolwiek je widział, z radością je przez życie całe wspomina.

Zamilkł. W tej samej chwili okręt zawrócił wolno i płynął wzdłuż wybrzeża, zbliżając się ku budzącym podziw murom. Nareszcie zarzucono liny, wstrzymano wiosła. Podróż się skończyła. Ben-Hur zbliżył się do sędziwego Żyda i rzekł:

— Przebacź, że cię na chwilę zatrzymam, nim się pożegnamy.

Podróżny skłonił głowę w milczeniu.

— Historya o kupcu zaciękała mnie bardzo; zdaje mi się, że go nazwałeś Simonidesem?

— Tak, jest Żydem mimo greckiego nazwiska.

— Chciałbym go poznać, a nie wiem gdzie go szukać?

Nieznajomy spojrzał bystro w oczy mówiącemu i rzekł:

— Chcąc ci oszczędzić zawodu, wolę ostrzedz, że Simonides nie pożycza pieniędzy.

— Ja również nie pożyczam ich nigdy, odparł Ben-Hur, śmiejąc się z domysłności podróżnego, który spuścił głowę w zamyśleniu i odrzekł po chwili:

— Można by słusznie mniemać, że najbogatszy kupiec w Antyochii mieszka odpowiednio do swego stanu. Tymczasem tak nie jest. Aby mieszkanie jego odnaleźć, idź wzdłuż brzegu rzeki, aż tam do tego mostu, przy nim bowiem mieszka Simonides, w domu, który stanowi niejako skarpe podpierającą łuki mostu. Sądzę, że nie zabłądzisz.

— Dziękuję ci.

— Pokój ojców naszych niechaj będzie z tobą.

— I z tobą. — Rozstali się.

Dwaj tragarze obciążeni bagażami Ben-Hura czekali na wybrzeżu jego rozkazów.

— Do cytadeli! — zawołał, a rozkaz ten zdradził jego wojskowe stanowisko.

Dwie wielkie ulice, krzyżujące się pod kątem prostym, dzieliły miasto na cztery równe części. U zbiegu dwóch ulic z północy ku po-



łudniowi stała dziwna i wielka budowa, zwana Nymfeum. Gdy tragarze do niej się zbliżyli, zdziwił się Ben-Hur jej wspaniałością, chociaż wprost z Rzymu przybywał; na prawo i na lewo wznosiły się pałace zdobne marmurowymi gankami, to węższymi, to szerszymi, gdyż jedne były przeznaczone dla jadących, inne dla pieszych lub bydła. Dach ocieniał całą drogę, a liczne wodotryski, szemrząc wesoło, zmniejszały upalne gorąco.

Ben-Hur nie był usposobiony do podziwiania tego widoku. Historia Simonidesa stała mu bezprzestannie na myśli. Gdy się zbliżył do Omphalus, pomnika, wystającego na szerokość ulicy i złożonego

z czterech pięknie ornamentowanych łuków, które Epifanes*) sam sobie poświęcił — zmienił nagle dawniejsze postanowienie i rzekł do tragarzy:

— Nie udam się dziś jeszcze do cytadeli, zaprowadźcie mnie raczej do gospody najbliższej miasta, wiodącego do Seleucyi.

Wnet zawrócili się niosący, a wkrótce znalazł się Ben-Hur w starej i obszernej gospodzie, na rzut kamieniem od Simonidesowego mieszkania odległej. Noc całą przepędził na dachu, a nie odstępowała go myśl radosna: teraz nareszcie usłyszę cośkolwiek o moim domu, matce i małej, drogiej Tirzy; a jeśli jeszcze żyją na tej ziemi, muszę je odszukać!

ROZDZIAŁ XIV.

Zaraz nazajutrz, nie myśląc wcale o zwiedzeniu miasta, postanowił Ben-Hur odszukać Simonidesowe mieszkanie; w tym celu wszedł przez silnie obwarowaną bramę w ulicę wiodącą na most Seleucyjski. Z nie-małym trudem wydostał się z tłumu i znalazł się na szerokim wy-brzeżu rozścielającym się poniżej mostu; dziwny go tam zastanowił widok.

Blisko niego, tuż pod mostem, był dom kupca, czyli stos sinych, nieobrobionych gładów, bez żadnego stylu, podobny, jak słusznie mówił podróżny, do skarpy wzmaeniającej łuki mostu. Dwoje ogromnych drzwi łączyło legarami tę dziwaczną budowę z wybrzeżem, a kilka silnie okratowanych otworów pod dachem stanowiło okna. Wśród szpar między kamieniami rosły chwasty, a gdzieś tam porastał ciem-nemi kępkami mech, odbijając od szarego tła kamieni. Drzwi stały otworem, przez jedno wnoszono, przez drugie wynoszono towary, a pośpiech znać było we wszystkim.

Na wybrzeżu leżały stosy różnego rodzaju juków, worów, pak, a wśród nich gromady obnażonych niewolników zajętych pracą.

Na wodach rzeki, pod mostem, stała cała flota galer, na jedno ładowano towary, z drugich wyladowywano. Żółte chorągiewki po-wiewały z każdego statku, podczas gdy ludzie handlem zajęci prze-biegali od jednego do drugiego okrętu.

* Epifanes, przydomek Antiochesa IV, króla syryjskiego, a znaczy tyle co „sławny“, wielki.

Po drugiej stronie mostu wznosiły się mury, sterczały fantazyjne szczyty, wieżyczki owych rzymskich pałaców, które, jak mówił ów Żyd podróżujący, zajmowały każdą piędź ziemi owej ulubionej przez Rzymian wyspy. — Nie zatrzymały one uwagi Ben-Hura, myślał tylko, że nareszcie usłyszy o swej rodzinie, jeśli Simonides był rzeczywiście sługą jego ojca. Czy tylko zechce się przyznać do tych stosunków? Zaiste nie było to łatwem. Przyznanie się do nich było zarazem wyrzeczeniem się bogactw i potęgi kupieckiej tak sławnej i znanej na lądzie i na morzu. Naturalnem i dalszem tegoż następstwem musiałoby być opuszczenie stanowiska w najświetniejszej chwili i dobrowolny powrót do niewoli. Czuł Ben-Hur dobrze trudność położenia.

Mimo że położenie to dobrze rozumiał, nie tracił odwagi, którą czerpał w przeświadczeniu w swe prawa. Jeśli historia, którą słyszał, była prawdziwą, Simonides wraz z swym majątkiem był jego własnością. Co prawda, o bogactwa nie chodziło mu wcale i dlatego postanowił dać mu wolność i nie żądać obrachunku, byleby mu powiedział cośkolwiek o losie matki i Tirzy.

Uspokojony tą myślą, wszedł do domu.

Wnętrze tegoż wyglądało, jak skład najróżnorodniejszych towarów, a chociaż mało było światła i powietrze duszne, ludzie pracowali tam rażno przy świetle latarni. Wśród składających towary widział i takich, którzy zabijali skrzynie, mające się ładować na statki. Wązkim przejściem wśród rozstawionych skrzyń i worów szedł z wolna, myśląc nad tem, czy być może, aby człowiek, którego uzdolnienia tak wiele miał przed sobą dowodów, mógł być niewolnikiem jego ojca? Jeśli tak, do jakiejże należał klasy? Byłże Żydem i synem sługi? A może dłużnikiem lub tegoż synem? Kto wie, może był złodziejem i jako taki został w niewolę za kradzież sprzedanym? — Podobne myśli nie zmniejszały jednak uznania dla kupca, ale zwiększały ją z każdą chwilą.

Wreszcie spostrzeżono Ben-Hura, a ktoś zbliżył się do niego, pytając, czegoby żądał.

— Chciałbym się widzieć z kupcem Simonidesem.

— Zechciej pójść za mną.

Po długim i mozolnem przesuwaniu się pośród towarów, weszli nareszcie po schódkach na dach owego głównego składu towarów i ujrzeli przed sobą na tymże dachu drugi dom zupełnie niewidzialny od frontu, bo go zasłaniał filar mostu. Dach ów był więc podobnym do tarasy, zwłaszcza, że pełen był kwiatów. Od tego pięknego otoczenia odbijał niby olbrzym kwadratowy dom o jednym tylko otworze t. j. bramie, do której wiodła wśród rozkwitłych krzaków perskich róż starannie utrzymywana ścieżka. — Ben-Hur postępował za przewodnikiem i oddychał słodką wonią kwiatów.

Minawszy długi, ciemny kurytarz, znaleźli się przed spuszczoną zasłoną, a przewodnik zawołał:

— Cudzoziemice pragnie widzieć się z panem.

Czysty, dźwięczny głos odpowiedział z wewnątrz: Niechaj wejdzie w imię Boga.

Rzymianin nazwałby komnatę, do której wszedł gość, atrium. Ściany jej były podzielone na przedziały z półkami, niby nowożytnie biura, a każdy przedział napełniony był papierowymi zwojami o żółtłych od czasu i używania napisach. Pomiedzy przedziałami, pod i nad półkami, znajdowały się lisztwy z białego niegdyś drzewa, teraz szczerznięte i popsute, świadczące o ciągłym używaniu. Powyżej przedziałów widniał gzyms złożony, a nad nim wznosiło się sklepienie w załomy. Posadzkę pokrywał szary fryzyski kobierzec, tak gruby, że noga prawie w nim tonęła, głusząc wszelki odgłos kroków.

W komnacie znajdowały się dwie osoby — mężczyzna spoczywający w krześle o wysokiem oparciu, szerokich poręczach, miękkiemi obłożony poduszkami; po lewej zaś jego ręce stała oparta o krzesło dorastająca dziewczyna. Na ten widok uczuł Ben-Hur jak krew napłynęła mu do twarzy; chcąc przeto ukryć zmieszanie i okazać szacunek, schylił się głęboko. Tym sposobem nie spostrzegł wrażenia, jakie zrobił na obecnych i wzniesienie rąk, jakiem go powitał siedzący. Za nim podniósł głowę, nagłe wzruszenie minęło równie szybko, jak przyszło, i zobaczył oboje w tej samej pozycji jak pierwszej, z tą tylko zmianą, że ręka dziewczyny opadła na ramię starca, a oboje przypatrywali mu się bacznie.

— Jeśliś Simonidesem i Żydem — tu chwilę zatrzymał się Ben-Hur — niech pokój Boga Abrahama, ojca naszego, będzie z tobą i twoimi.

Przy ostatnich słowach zwrócił się do dziewczyny.

— Jestem, o którym mówisz i Żydem z urodzenia — odpowiedział dziwnie dźwięcznym głosem. — Ja, Żyd Simonides, pozdrawiam



cię wzajemnie i proszę o o-
znajmienie mi,
kogo przyjmuje?

Ben-Hur słuchał patrząc z zdziwieniem, bo ujrzał zamiast silnej postaci człowieka, raczej masę bezkształtną, wsuniętą w poduszki i pokrytą grubą przeszywaną kołdrą z ciemnej materyi. Na tym korpusie wznosiła się regularnych rozmiarów głowa — idealna czaszka zwy-

ciężcy lub senatora. Była to wogóle głowa wyrastająca silnie z karku a tak piękna, że mogłaby Michałowi-Aniołowi (sławny rzeźbiarz) służyć za model na Cezara. Białe włosy w cienkich kędziorach spadały ku białym brwiom, od których tem silniej odbijała ciemność oczu, świecących między nimi jak światła. Innemi słowy, głowa i twarz znamionowały męża, któryby raczej poruszył świat, niżby się dał poruszyć światu; męża któryby jeszcze dwanaście razy zniósł takie tortury, jak te, które go kaleką uczyniły, nie wymówiwszy słowa skargi, nie wydawszy jęku; męża, któryby zdołał oprzeć się wszystkiemu — prócz miłości. Do takiego więc człowieka wyciągnął Ben-Hur otwarte ręce, jakby mu chciał ofiarować ten pokój, o który sam przyszedł prosić.

— Jestem Juda, syn Itamara, ostatniego z domu Hurów, książęcia Jerozolimy.

Prawa ręka kupca, spoczywająca na kołdrze, długa, chuda, świadcząca o przebytych cierpieniach, zamknęła się na te słowa kureczowo. Zresztą nic nie zdradziło w nim jakiegoś wewnętrznego uczucia, i odpowiedział spokojnie.

— Chętnie widzę w domu moim książąt Jerozolimy czystej krwi. Estero, podaj młodzieńcowi siedzenie.

Dziewica przysunęła dywan; a gdy podniosła głowę, oczy ich spotkały się.

— Pokój Pana z tobą — rzekła skromnie — siądź i spocznij.

Zajmując dawniejsze swe miejsce przy krześle, nie starała się domyślać celu, w jakim przybył. Domyślność, cenna cnota niewieścia, wtedy nabiera wartości, gdy litość i miłosierdzie są jej źródłem. Ta właściwość stanowi główną różnicę duchową między mężczyzną a kobietą, dopóki niewiasta pozostaje w zakresie właściwym jej usposobieniu i jej uczuciom. Estera żyła w tym zakresie czarownym i dlatego odgadła, że zadaniem jej będzie leczyć ranę, którą życie nowo przybyłemu zadało.

Ben-Hur nie usiadł, ale rzekł z uszanowaniem: — Szlachetny Simonidesie, śmiem prosić cię, abyś mnie nie uważał za natręta. Wczoraj, płynąc na statku, słyszałem, iż znałeś mego ojca.

— Tak jest, znałem księdza Hura. Byliśmy współnikami w przedsiębiorstwach dozwolonych kupcom, a tym wolno ciągnąć zyski



Estera.

z morza i pustyni. Usiądź więc, proszę; a ty, Estero, podaj gościowi czarę wina. Nehemiasz wspomina jednego z domu Hurów, mówiąc, iż posiadał pół Jerozolimy; zaprawdę, wielce to stary ród! Jeszcze za dni Mojżesza i Jozuego kilku z nich znalazło łaskę w obliczu Boga a tem samem cieszyło się względami tych ulubieńców Pańskich. Jeśliś więc jest prawdziwym potomkiem tej rodziny, niepodobna, abyś wzgardził czarą prawdziwego Sorehu, wzrosłego na południowych wzgórzach Hebronu.

Gdy skończył, Estera stała już przed Ben-Hurem z pełnym puha-rem wina. Dziewica podawała napój ze spuszczonego oczyma, a on odbierając puhar, dotknął z lekka jej ręki. W owej chwili spotkały się ich wejrzenia po raz wtóry, a on zauważył, że postać jej była drobną, gdyż sięgała zaledwie jego ramienia, i mimo to, a może właśnie dla tego, bardzo była zręczną; twarz zaś jej jaśniała urodą i słodyczą, oczy łagodnem świeciły promieniem. Toteż młodzieniec pomyślał natychmiast, że jest ładną i dobrą i że takby wyglądała Tirza, gdyby żyła, biedna Tirza! Głośno zaś rzekł:

— Czy kupiec ten twoim jest ojcem?

— Jestem Estera, Simonidesowa córka — rzekła z godnością.

— Ojciec twój nie weźmie mi za złe, że się wstrzymam od przyjęcia tego kielicha z rąk twoich i nie skosztuję płynu, który zawiera, póki nie wysłucha do końca słów moich. Mam również nadzieję, że i twojej nie stracę łaski; dlatego stań, proszę, obok mnie.

Estera uczyniła, jak żądał, oboje zwrócili się do kupca, a młodzieniec rzekł głosem, który cechował pewność siebie:

— Ojciec mój umierając, miał przy sobie wiernego sługę twego nazwiska, Simonidesie; powiedziano mi, że ty nim byłeś.

— Estero, Estero! — zawołał kupiec surowo — tu, nie tam. Jako dziecię twej matki i moje, zostań przy mnie; przy mnie jest twoje miejsce.

Dziewczyna powiodła okiem z ojca na gościa; zwolna postawiła puhar na stole i posłusznie stanęła przy krześle. Zachowanie jej było pełne zdziwienia i przestrachu.

Simonides podniósł lewą rękę a biorąc jej dłoń spoczywającą na jego ramieniu, rzekł spokojnie: postarzałem się wśród stosunków z ludźmi — postarzałem przedwcześnie. Jeśli ten, który ci mówił

to, o czem wspomniałeś, był moim przyjacielem i znał dobrze dzieje mego życia, a sądził mnie pobłażliwie, to chyba zrozumiesz, że muszę być podejrzliwym i niedowierzającym! Niech wielki Bóg Izraela wspiera tego, kto u schyłku życia swego ma zdawać sprawę z swego postępowania. Ukochanych mam mało, ale ich mam, a wśród nich jest jedna dusza, która — tu podniósł spoczywającą na ramieniu rękę do ust — która dotąd niepodzielnie należała do mnie, i taką była mi pociechą, że zeszedłbym do grobu, gdyby mi ją zabrano.

Głowa Estery osunęła się, dotykając policzkiem jego twarzy.

— Inna miłość moja, to tylko wspomnienie, ale mogę o niej powiedzieć, że jest jakoby błogosławieństwem Bożem, gdyż obejmuje całą jedną rodzinę, — tu głos kupca zniżył się i zadrżał — gdybym tylko wiedział, gdzie ich szukać!

Twarz Ben-Hura zapłonęła rumieńcem, i zawołał gwałtownie: matka moja i siostra, wszak o nich mówisz?

Estera spojrzała na niego, jak gdyby do niej był zwracał swe słowa, ale Simonides uspokoił się i odrzekł chłodno:

— Posłuchaj do końca. Ponieważ jestem tem, czem jestem, muszę w imię ukochanych, o których mówię, zanim odpowiem na pytanie twoje dotyczące się moich stosunków z księciem Hurem, żądać od ciebie dowodów, kim ty jesteś. Ta sprawa musi poprzedzić tamtę; dlatego mów, czy masz piśmienne świadectwo, lub żyjących świadków?

Pytanie to było słuszne i Simonides miał niezaprzeczone prawo je uczynić, niemniej Ben-Hur poczerwieniał i odwrócił się niepewny. Simonides nie przestawał nalegać, mówiąc:

— Dowody, dowody, mówię. Pokaż je — daj mi je w rękę.

Ben-Hur, niestety, nie miał na to odpowiedzi, nie spodziewał się takiego żądania; a teraz, kiedy żądano od niego dowodów, nie posiadał ich: matka i siostra nie istnieją i nikt zresztą nie wie, że on żyje. Wprawdzie znało go wielu, ale cóż to znaczy! Gdyby nawet Kwintus Aryusz był tu obecny, cóżby mógł więcej powiedzieć nad to, że go znał i że wierzył, iż był synem Hura? Zresztą dzielny ten Rzymianin, jak to się wkrótce dowiemy, nie był już między żyjącymi. Juda czuł się zawsze osamotnionym, ale teraz ogarnęło go to uczucie w zupełności. Stał z zaciśniętymi rękoma, odwróconą twarzą,

zdrewniały z boleści. Simonides szanując każde cierpienie, czekał w milczeniu.

— Simonidesie — ozwał się nakoniec młodzieniec — na usprawiedliwienie mego wyznania mógłbym jedynie opowiedzieć dzieje mego życia; ale zaprawdę nie uczynię tego, jeśli mi nie przyrzeczesz wstrzymać się od wszelkiego sądu i nie zechcesz mnie słuchać bez uprzedzenia.

— Mów tylko śmiało — odrzekł Simonides — mów, ja słuchać będę cię chętniej, że nie przeczyłem, jakobyś nie był tym, kim się nienisz.

Ben-Hur opowiedział więc swoje życie pokrótce, z taką wymową, jaką daje poczucie prawdy i przeświadczenia. — Ponieważ jednak znamy to życie dokładnie aż do wylądowania w Missenum wraz z Aryuszem, kiedy tenże wracał po zwycięstwie na Morzu egejskim, odtąd dopiero zajmiemy się opowiadaniem młodzieńca.

— Cesarz kochał i szanował mego dobroczyńcę (t. j. Aryusza), obsypując go bogatymi dary, które pomnażali jeszcze kupcy ze Wscho-du; stał się więc niebawem najbogatszym wśród najbogatszych. A jednak, czyż zdoła Żyd zapomnieć swej wiary lub miejsca urodzenia, zwłaszcza jeśli niem jest Święta Ziemia ojców naszych? Zaczny ten człowiek przyjął mnie za syna, stosownie do ustaw i praw swego narodu; ja zaś pragnąłem odwzajemnić mu się i zaiste nie było chyba dziecka, któreby więcej szanowało ojca, niż ja jego. Pragnąłby był widzieć mnie uczonym; chciał mi dać najślawniejszych nauczycieli sztuki, filozofii, wymowy. Odmówiłem, bo czyż jako Żyd mogłem zapomnieć Pana Boga, chwały proroków, lub świętego grodu na wzgórzach, stolicy Dawida i Salomona? Spytasz może, czemu przyjąłem dobrodziejstwa Rzymianina? Kochałem go, a prócz tego spodziewałem się za jego pomocą i potężnym wpływem dojść tajemnicy okrywającej los matki i siostry. Oprócz tego obowiązku miałem jeszcze drugi cel, o którym nie mówiłbym wcale, gdyby mnie nie był zupełnie opatnował, — poświęciłem się sztuce wojennej. Walczyłem więc nietylko w szkołach szermierki i w cyrkach, ale w polu i obozie, a wszędzie zdobyłem rozgłos memu imieniu, lecz imię to nie było imieniem mych ojców. Wieńce (a jest ich wiele na murach willi w pobliżu

Misenum) odbierałem jako syn Duumwira, i tylko jako taki jestem Rzymianom znany. Dążąc do tego celu, opuściłem Rzym i przybyłem do Antyochii w zamiarze towarzyszenia konsulowi Makseniuszowi w przygotowywanej wyprawie przeciwko Partom. Ponieważ jestem już mistrzem w robieniu broni, pragnę jeszcze przy tej sposobności nauczyć się strategii czyli szykowania wojska w polu. Konsul dopuścił mnie do swego najbliższego otoczenia; tymczasem, gdyśmy wczoraj wpłynęli na wody Orontesu, spotkaliśmy dwa statki z żółtymi flagami; a powien towarzyszyć podróży, współwyznawca z Cypru, powiedział nam że twoją są własnością, obznajmiając nas pokrótce z dziejami twego żywota. Mówił o twojem szczęściu w handlu, o licznych karawanach i ich cudownych przygodach; a nie przypuszczając jak bardzo mnie to obchodzić może, wspomniął: żeś Żydem i dawnym sługą księcia Hura. Znaną mu też była przygoda Gratusa, jego względem ciebie okrucieństwa i tychże przyczyna.

Na to wspomnienie Simonides pochylił głowę, córka zaś chcąc złagodzić jego bolesć, czy ukryć swe podwójne współczucie, złożyła głowę na piersi ojca, który wnet podniósł oczy i rzekł czystym, rzecznym głosem:

— Słucham.

— Widzę, zacny Simonidesie — mówił Ben-Hur, przysuwając się ku niemu, a całą duszę zdawał się chcieć wlać w te słowa — widzę że cię nie przekonał i że cień twego podejrzenia pada jeszcze na mnie.

Nie wzruszyło to kupca, był zimny jakby z marmuru wykuty i nie wyrzekł słowa.

— Widzę jasno trudności mego położenia — ciągnął dalej Ben-Hur — wszystko, co mówię z czasu mego pobytu w Rzymie, mogę udowodnić; dość mi odwołać się do konsula, goszczącego obecnie w waszem mieście, ale, niestety, nie mogę dostarczyć dowodu, którego żądasz. Nie mam nic, coby świadczyło, że synem mego ojca; a ci, którzyby mi pomódz mogli, może zgubieni — a może umarli!

To mówiąc, zakrył twarz rękoma; Estera wstała, a podając mu wzgardzony pułhar, rzekła:

— Oto wino z krainy, którą kochamy wszyscy, wypij, proszę!

Głos ten był słodki, niby głos Racheli czerpającej wodę u studni pod Nahorem, a oczy jej pełne łez, co widząc Juda, wypił i rzekł:

— Córko Simonidesowa, serce twe pełne dobroci i miłosierdzia, kiedy je wraz z ojcem okazujesz nieznanemu. Bóg nasz niechaj ci błogosławi. Dziękuję ci.

Potem, zwróciwszy się do kupea, mówił dalej:

— Nie mając dowodów na to, żem synem mego ojca, cofam zadane ci pytania i odchodzę, nie chcąc trudzić cię dłużej. Jednak, zanim odejdę, powiedzieć muszę, iż nie miałem zamiaru zamienić cię w sługę, ani czyniłem to dla majątku. Cokolwiekbyś byłbyś mi wyznał, zawsze byłbym rzekł to, co teraz mówię: zachowaj owoc twego przemyśłu i twej pracy, używaj ich w spokoju, — nie potrzebuję ich. Gdy sprawiedliwy Aryusz odpływał w podróż, która miała być jego ostatnią, uczynił mnie spadkobiercą swego książęcego mienia. Jeśli więc kiedy pomyślisz o mnie, pamiętaj, że ci jedno tylko stawilem pytanie, które przysięgam na proroków i Jehowę, twojego i mojego Boga, było jedynym celem mego tutaj przybycia. Pytałem się: co wiesz i możesz mi powiedzieć o mojej matce i mojej siostrze Tirzy — Tirzy, która w piękności i wdzięku podobną była do tej, która jest osłodą twego żywota. Pytam raz jeszcze, powiedz, co wiesz o nich!

Łzy płynęły po licach Estery, ale ojciec zdawał się być nieubłagany i odrzekł głosem spokojnym:

— Powiedziałem, żem znał księcia Hura; pomnę, że słyszałem o nieszczęściach jego rodziny i dziś jeszcze czuję boleść, której na wieść tę doznałem. Sprawca ich niedoli stał się później moim prześladowcą; co więcej, robiłem najstaranniejsze poszukiwania, nie zaniedbałem niczego, aby ich odszukać, wszystko na próżno — niema ich!

Ben-Hur westchnął głęboko.

— A więc i ta nadzieja stracona! — rzekł, walcząc z rozrzewnieniem. — Przywykłem do zawodów. Daruj, proszę, mojemu natręctwu; a jeśliś cię obraził, przebac, pomnę na me cierpienia. Prócz zemsty, nie mam już w życiu innego celu. Bywajcie zdrowi!

Doszedłszy do kotary osłaniającej wejście, obrócił się raz jeszcze i rzekł: Dzięki wam obojgu!

— Pokój niech będzie z tobą — rzekł kupiec.

Estera zanosila się od łkania, a on zniknął za zasłoną.

Zaledwie Ben-Hur opuścił komnatę, ocknął się Simonides jakby ze snu, oblicze ożywiło się, przyćmione światło oczu zabłysło w całej pełni i rzekł promienny radością:

— Estero, zadzwon, a prędko!

Dzieweczyna, zbliżywszy się do stołu, zadzwoniła.

Równocześnie jeden z przedziałów ściany usunął się i ukazały się drzwi w murze a przez nie wszedł człowiek i pokłoniwszy się nisko, zbliżył się do kupca.

— Zbliż się, Malluchu — mówił pan głosem przyspieszonym. — Powierzam ci poselstwo, które spełnić musisz, choćby nawet słońce zagasło. Słuchaj: przez skład towarów przechodzi teraz młodzieniec wysoki, zręczny i po izraelsku ubrany; idź za nim, cień jego niech mu nie będzie wierniejszym od ciebie. Co wieczór doniesiesz mi, gdzie jest, co robi, w jakim przebywa towarzystwie; gdybyś bez obawy zdradzenia się mógł słyszeć jego rozmowy, powtórz mi je dokładnie, tak jak i wszystko, co mi może dać poznać jego zwyczaje i usposobienie. Rozumiesz, czego chcę? A teraz idź, a gdyby miał opuścić miasto, towarzyszyć mu, a pomnij, żem mu przyjacielem. Gdybyś z nim wdawał się w rozmowę, mów o wszystkim, ale strzeż się wydać, żeś moim sługą. A teraz spiesz się — spiesz!

Człowiek skłonił się jak przedtem i zniknął.

Simonides śmiejąc się, zatarł wyschłe ręce.

— Co to za dzień, córko moja — rzekł — co za dzień, chcę go zapamiętać dla jego szczęśliwości. Z uśmiechem zapisz datę dnia tego i w radości zapamiętaj go, Estero.

Wesołość ta zdała się jej szczególną, a chcąc zwrócić uwagę na jej niestósowność, odparła smutnie:

— Biada mi, jeślibym kiedy dzień ten zapomnieć miała!

Ręce jego zwisły a głowa opadła na piersi.

— Zaiste, masz słuszość, córko moja! — rzekł, patrząc na nią — bo oto dziś dwudziesty dzień czwartego miesiąca. Dziś pięć lat temu matka twoja, droga moja Rachel, padła na ziemię i żyć przestała. Gdy mnie takim kaleką, jak jestem, do domu przyniesiono, zastałem ją umarłą z bóleści i przerażenia. Była mi ona jako krzak miry, jako

zapach nardu, wypełniające dnie mego żywota. Pogrzebaliśmy ją w pięknem miejscu, w grobie wykutym w górze skalistej... spoczywała tam samotna. Odchodząc pograżyła mnie w ciemności, lecz poprzez noc smutku przedarło się trochę światła, wzrosło ono z latami i stało się jasnością poranku. — Dzięki Ci, Panie, że w mojej Esterze żyje Rachel, którą utraciłem:

Po chwili wzniosł głowę i rzekł w zamyśleniu: — Azaliż dzień dzisiejszy nie jest jasnym?

— Był jasnym, gdy tu wszedł młodzieniec.

Przywołaj Abimelecha, aby przyszedł i zawiódł mnie do ogrodu, skądbym mógł widzieć rzekę i statki. Tam powiem ci, czemu usta moje pełne są uśmiechu, język mój pełen śpiewu, a umysł podobien jagnięciu igrającemu na łące.

Na odgłos dzwonka wszedł sługa i na rozkaz Estery przewiózł krzesło na kółkach aż na dach niższego domu, zwany ogrodem. Wśród róż i kwiatów z wielkim staraniem pielęgnowanych, choć na nie w tej chwili wcale nie zwracano uwagi, ustawiono krzesło tak, aby starzec mógł widzieć szczyty pałaców z przeciwległej wyspy, koniec mostu i dalsze wybrzeże, a na ruchliwych wodach rzeki rój okrętów, mieniających się w słońcu rozmaitemi barwami. Służący zostawił ich samych.

Hałas robotników i zgłębienie tłumu przechodniów na moście znajdującym się ponad jego głową, nie przeszkadzały wcale Simonidesowi; nawykł on do nich i były mu równie obojętne jak otaczający go widok, o tyle tylko zajmujący, o ile zysk przyobiecował.

Estera siedząc na poręczu krzesła, pieściła rękę ojca i czekała na opowiadanie, które, zdobywszy siłą woli potrzebny do tego spokój, tak rozpoczął.

— W czasie opowiadania tego młodzieńca pilnie śledziłem, jakie wrażenie zrobił na tobie i zdaje mi się, że zdołał cię pozyskać.

— Jeśli, mój ojcze, pytasz, czy mu wierzę, to odpowiem, że tak.

— Dla ciebie jest on więc zaginionym synem księcia Hura.

— Jeśli nim nie jest — tu zawahała się.

— A jeśli nim nie jest, Estero?

— Byłam, ojcze, twą służebnicą od czasu, kiedy Pan powołał matkę moją, u twego boku słyszałam i widziałam wiele, a wszvstko

to nauczyło mnie podziwiać twą mądrość w postępowaniu z różnymi ludźmi szukającymi sprawiedliwego zysku. Dlatego powiem, że — jeśli młodzieniec ten nie jest księciem, którym się być mieni — to nigdy kłamstwo nie było podobiejszem prawdzie.

— Na chwałę Salomona, córko moja, to co mówisz, ważnem jest. Wierzysz więc zarazem, że ojciec twój był sługą jego ojca.

— O tem, zdaje mi się, mówił jako o rzeczy zasłyszanej.

Jakiś czas wzrok Simonidesa zatrzymał się na okrętach, mimo że nie myślał w tej chwili o nich weale.

— Jesteś dobrem dzieckiem, Estero, i posiadasz iście izraelską przebiegłość, a wiek twój daje Ci też prawo i siłę słyszenia smutnych dziejów mego żywota. Słuchaj więc, a będę ci mówił o matce, sobie i innych przeszłych zdarzeniach, których ani znasz, ani kiedy śniłaś o nich. Zdarzenie to tajone zarówno przed mymi rzymskimi prześladowcami jak przed tobą, aby dusza twoja urosła jako kwiat do słońca. Urodziłem się w dolinie Hinonu na południowym stoku góry Syonu. Rodzice moi byli izraelskimi niewolnikami hodującymi figowe i oliwne drzewa wraz z winnicami królewskimi opadał stawu Siloa. W dzieciennych latach pomagałem im, a że należeli do klasy ludzi na wieczną niewolę skazanych, sprzedano mnie księciu Hurowi, który po Herodzie był najbogatszym i najznakomitszym w Jeruzalem. Najpierw pracowałem w ogrodzie, potem postąpiłem, bo pan mój przeniósł mnie do swego składu towarów w Aleksandryi w Egipcie, gdzie doszedłem pełnoletności. Jako pełnoletni, służyłem mu lat sześć, w siódmym zaś roku, stosownie do praw Mojżesza, miałem zostać wolnym.

Estera z lekka klasnęła w dłonie.

— A więc nie jesteś niewolnikiem jego ojca!

— Słuchaj dalej, córko moja, i dowiedz się, że byli w owym czasie w przedsionkach świątyni uczeni w Piśmie, którzy występowali przeciwko temu prawu i twierdzili, że dzieci w niewoli zrodzone, mają pozostać w stanie swych rodziców. Powstały spory między uczonymi, ale książę Ben-Hur, najsprawiedliwszy z ludzi, surowo zawsze wykonywający prawa Zakonu, wiedział, że jestem hebrajskim kupionym sługą i stosownie do ducha prawa przez wielkiego prawodawcę ustanowio-

nego, otrzymałem wolność na mocy pisanego i opieczętowanego dokumentu, który dotąd posiadam.

— A moja matka? — pytała Estera.

— Usłyszysz wnet o niej, córko, i przekonasz się, iż snadniej mi było zapomnieć o sobie, niż o niej. Przy końcu mej służby przybyłem do Jerozolimy, aby uroczyście święcić Wielkanoc. — Pan mój podejmował mnie już jako gościa; pokochałem go jeszcze serdeczniej i prosiłem, aby mnie przyjął między



swe słu-

gi. Przystał na to

i służyłem mu wiernie

drugie lat siedm, ale już

jako płatny najemnik z narodu

izraelskiego. W jego imieniu i zastęp-

stwie podejmowałem liczne przedsiębiorstwa mor-

skie na okrętach, lądowe karawanami na Wschód. Byłem w Suzie,

Persepolis i jeszcze dalej, aż w krajach jedwabiu (w Chinach). Były to,

córko moja, nieraz bardzo niebezpieczne podróże, ale Pan błogosławił

mi we wszystkim. Wielkie były zyski, które przywoziłem panu, ale więk-

szą była mądrość, którą zdobyłem sobie, a ona to dopomagała mi do obję-

cia tego, co mi przypadło... Pewnego dnia gościłem w domu pana mego

w Jeruzalem; w czasie uczty weszła służąca, niosąc na tacy kilka bułek

i kawałków chleba, a najpierw zbliżyła się do mnie. Wtedy to po raz

pierwszy ujrzałem i pokochałem twoją matkę, zabierając w dalekie strony miłość w sercu. — Miłość ta rosła ciągle, a po jakimś czasie prosiłem księcia, aby mi ją dał za żonę. Od niego dowiedziałem się, iż była wprawdzie niewolnicą na wieki, jednak, jeśli ona zechce, uwolni ją, abym był nagrodzony. Kochała mnie ona, ale tak się czuła szczęśliwą w swoim położeniu, że nie chciała przyjąć wolności. Błagałem i namawiałem, odjeżdżałem i wracałem w długich odstępach czasu, wszystko na próżno. Zawsze odpowiadała mi, że zostanie moją żoną, ale wtedy, gdy się stanę towarzyszem jej niewoli. Jeśli nasz praojciec Jakób służył dla swej Racheli dwa razy po siedm lat, czemużbym nie miał tego uczynić dla mojej? Ale matka twoja chciała więcej, żądała bowiem, abym się stał niewolnikiem na całe życie. — Odszedłem oburzony, ale wnet wróciłem, bo oto patrz!

Mówiąc to, odwrócił dolną część muszli usznej.

— Widzisz bliznę, którą zostawiło żelazo?

— Widzę, i rozumiem, jako miłowałeś matkę moją?

— Czy ją miłowałem, Estero! Droższą mi była niż Sulamitka Królowi-psalmiście, piękniejszą i czystszą nad wody wodotrysków zdobiące książęce ogrody, nad źródła żywej wody, nad strumienie Libanu. Pan mój na moje prośby zawiódł mnie do sędziów, a potem przed dom swój, gdzie do drzwi przybił sztydłem żelaznem ucho moje, przez co wróciłem do niewoli i zostałem własnością pana na wieki. Tak zdobyłem Rachelę moją. Ażali widziano kiedy miłość równą mojej?

Estera, schyliwszy się, objęła go rękoma i dłuższy czas w milczeniu myśleli tak złączeni o zmarłej.

— Pan mój zatonął na morzu; była to pierwsza boleść w moim domu — mówił dalej kupiec. — Żalobą okrył się dom jego w Jerozolimie; mój w Antyochii, bo wówczas była ona już miejscem mego zamieszkania. Po śmierci zaanego pana zostałem głównym zarządcą jego majątku i posiadłości. Osądź więc, jak bardzo mnie kochał i jak mi ufał! Pospieszyłem do Jerozolimy, aby wdowie zdać rachunki, a ona zostawiła mi rządy. Z zdwojoną gorliwością oddałem się pracy, a w interesach powodziło się dobrze i majątek się powiększał. Dzieśięć lat minęło; wtedy spadło nieszczęście, o którym wspominał młodzienc, zwąc je wypadkiem prokuratora Gratusa. Rzymianin uwa-

zał to za zamach na jego życie i pod tym pozorem zabrał, za pozwoleniem Rzymu, ogromny majątek wdowy i dzieci. Nie poprzestał na tem. Bojąc się, aby kiedy wyrok nie był cofniętym, usunął wszystkich członków rodziny. Od tego straszego dnia do dziś nie istnieje rodzina Hurów. Syna, którego dzieckiem widziałem, skazano na galery; wdowę i córkę zamknięto prawdopodobnie w jakimś lochu którego z grodów judejskich, a wiadomo, że takie więzienie jest raczej zamkniętym i zapieczętowanym grobem. Zeszli z oczu ludzkich, jakoby ich pochłonęło morze. Nie dojdzie uszu naszych wieść, jak umarli, ani nawet — czy umarli.

Oczy Estery zalały się łzami.

— Dobrze masz serce, Estero, dobre jak niegdyś twoja matka — oby nie zaznało losu wielu dobrych serc, oby je nie podeptali nie-miłosierni i okrutni. Ale słuchaj dalej. Udałem się do Jeruzalem, aby się dowiedzieć o mojej dobrodziejce, ale u bram miasta chwyciono mnie i wtrącono do więzienia w twierdzy Antonia. Za co? nie wiedziałem, dopóki sam Gratus nie przyszedł, żądając pieniędzy Hurów, o których wiedział, że, żydowskim zwyczajem, mogą być na wystawiony przeze mnie weksel ściągnięte z całego świata. Żądał, abym podpisał jego rozkaz i poczynił stósowne kroki do zgromadzenia i odebrania sum. Odmówiłem. Ażaliż nie posiadał domów, ziemi, dóbr, okrętów, wszystkich ruchomych majątności tego, który był moim panem? Miałże jeszcze posiadać pieniądze? — Nie! — Wiedziałem, że jeśli Bóg zachowa mi łaskę Swoją, potrafię odbudować ich majątek; odmówiłem więc spełnić życzenie tyrana. Skazał mnie na tortury; silną wolą zdołałem je przenieść, on nie zyskał nic, a ja wróciłem do domu i zacząłem handel w imieniu Simonidesa z Antyochii, a nie Ben-Hura z Jerozolimy. Wiesz, Estero, jak mi się wiodło, wiesz, że miliony księcia rosły cudownie w mojem ręku; wiesz także, jak w trzy lata później schwytano mnie na drodze do Cezarei i wtrącono znów do więzienia. Gratus chciał mnie torturami zmusić do przyznania, że moje majątności i pieniądze podlegały jego zaborowi; wiesz, że i to mu się nie udało. Kalkę wróciłem do domu i zastałem Rachelę umarłą z zmartwienia i zgryzoty; ale Pan, Bóg nasz, panuje, bom ja żyw. Od samego cesarza kupiłem sobie przywilej i pozwolenie handlowania na całym

świecie. Dziś, niech będzie pochwalony Bóg, który na chmurach tron Swoj buduje, a wichrami żegluje! dziś, Estero, to czem zarządzałem, pomnożyło się w talenta, których starczy na wzbogacenie nawet samego Cezara.

Z dumą podniósł głowę, oczy ich spotkały się i wyczytali w nich wzajemnie swoje myśli.

— Co mam czynić z tym skarbem, Estero? — zapytał wreszcie, nie spuszczając z niej oczu.

— Ojcie — odparła cichym głosem — ażaliż właściciel nie pytał właśnie o niego?

Spojrzenie jego jasne i czyste spoczywało ciągle na córce.

— A ciebie, moje dziecko, mam w nędzy pozostawić?

— Nie jestemże twojem dzieckiem, a jego niewolnicą? Czyliż nie mówi Pismo o mężnej niewieście: siła i godność strojem jej; w przyszłości cieszyć się będzie.

Promień niewysłowionej radości rozjaśnił twarz jego i rzekł:

— Pan Bóg w rozmaity sposób udarował mnie, ale ty, Estero, jesteś najdoskonalszym darem Jego ręki.

Mówiąc to, przycisnął ją do piersi i okrywał pocałunkami.

— A teraz — mówił dalej — dowiedz się, czemu się dziś rano śmiałem. Młodzieniec ten, to obraz ojca swego w młodości. Duch mój pożądał go powitać; czułem, że minęły dnie smutku i próby, zaledwie zdołałem powstrzymać okrzyk radości, a ręce pragnęły ująć go i pokazać wielkie i potężne zyski, usta chciały wyrzec: oto wszystko twoje, a jam sługa twój, gotowy do odejścia. — I wierzaj, Estero, byłbym to uczynił, gdyby mnie trzy myśli nie były wstrzymały. Najpierw postanowiłem przekonać się, ażali to rzeczywiście syn mego pana; jeśli zaś nim jest, muszę poznać jego duszę. Zważ tylko, Estero, ilu wśród tych, co się zrodzili bogatymi, umie używać dóbr; ilu jest takich, w których ręku bogactwo przynosi tylko przekleństwo. — Tu się zatrzymał, ręce zadrżały, głos stał się namiętnym. — Zważ, Estero, straszne cierpienia, jakie poniosłem z rąk Rzymian, — gdy oni śmiali się, słysząc moje jęki. Przypatrz się memu połamanemu ciału i przypomnij lata przeżyte w ułomnej i jakby obcej postaci; pomnij o matce złożonej w samotnym grobie, z duszą równie złamaną jak moje ciało;

zastanów się nad cierpieniami rodziny mego pana, jeśli kto z nich żyje; nad okropnościami, które musiały poprzedzić ich zgon, jeśli już żyć przestali: rozważ to wszystko i powiedz, zaklinam cię na miłość Nieba, żali być może, aby nie miał spaść ani włos z głowy, ani kro-



pla krwi na zadosyćczynienie i karę za tak straszną zbrodnię? Nie mów do mnie słowami kapłanów, — nie mów, że zemstę zostawił sobie Pan. Wszakże On sam karze lub nagradza po Swej woli, wszakże liczniejsze ma wojownicy niż proroki. Alboż nie od niego pochodzi prawo: oko za oko, ręka za rękę, noga za nogę! Ach, o zemście

marzyłem całe lata, modliłem się o nią, przygotowywałem ją. W zwię-
kszajacem się mieniu czerpałem cierpliwość, myśląc i obiecując sobie,
że jako żywie Pan, tem bogactwem kupię karę na złoczyńców. To
też, gdy młodzieniec mówił o swem ćwiczeniu w wojennem rzemiośle
i o tajemnym celu, odgadłem, że tym celem jest zemsta! Tak, Estero,
trzecią myśl, która mnie uczyniła twardym na jego prośby, a która
mnie zarazem do radości podniecała po jego odejściu, to myśl o zemście.

Estera pieszcząc jego zwiędłe ręce, zdawała się uprzedzać myślą
okolicości i rzekła: Odszedł, a czy powróci?

— Wierny sługa mój Malluch jest z nim i przywiedzie go,
skoro będzie czas.

— A rychło to będzie, ojcze?

— Wnet, wnet. On sądzi, że wszyscy świadkowie wymarli; tym-
czasem żyje jeszcze ktoś, a ten pozna, ażali on jest synem mego pana.

— Czy jego matka?

— Nie, moja córko, postawię tego świadka przed obliczem jego;
tymczasem zdajmy sprawę tę Panu. — Zmęczyłem się, przywołaj
Abimelecha.

Estera uczyniła zadość woli ojca i wrócili do domu.

ROZDZIAŁ XV.

Ben Hur opuścił dom kupca z przekonaniem, że do dawnych za-
wodów przyjdzie mu doliczyć nowy; im droższą mu były matka
i siostra, tem ciężej myśl ta go przygniatała. Opanowała go zaś wraz
z poczuciem zupełnego osamotnienia na tej ziemi, które więcej niż
każde inne czyni ludzi obojętnymi na wszystko, co ich otacza.

Z trudnością precisnął się wśród ludzi i skrzyń z towarami
i wyszedł na wybrzeże, dokąd go chłodny wietrzyk zapraszał. W tej
chwili przyszły mu na myśl słowa podróżnego: lepiej być robakiem
i żywić się morwami Dafny, niż gościć u stołu królewskiego. Od-
wrócił się i poszedł spiesznym krokiem do oberży.

— Pytasz o drogę do Dafny? — rzekł stróż zdziwiony pytaniem
Ben-Hura. — Więc nie byłeś tu nigdy? Zaprawdę, nazwij dzień dzi-
siejszy najszcześliwszym w życiu! Nie bój się zbłądzić. Pierwsza droga

na lewo w kierunku południowym wiedzie prosto na górę Sulpius, na której szczycie ujrzysz świątynię Jowisza i amfiteatr. Stamtąd idź prosto aż do trzeciej krzyżującej się drogi zwanej kolonadą Heroda, od której zwróć się na prawo i idź w tym kierunku aż do krzyżowej bramy Epifanesa, skąd już droga sama zawiedzie cię do Dafny. Niech cię strzegą bogowie!

Zarządziwszy swemi rzeczami, ruszył Ben-Hur w drogę.

Kolonadę Heroda znalazł łatwo, stamtąd przeszedł do spiżowej bramy; tam złączył się z tłumem ludzi wszelkich narodów ziemi, trudniących się handlem.

Okolo czwartej godziny siedł z całym tłumem, zdążającym do sławnego gaju Dafny. Droga była podzielona dla pieszych, jeźdźców i wozów, a ta znowu jedna dla dążących do gaju, druga wracających stamtąd.

Po obu stronach brzegu rozścielały się śliczne trawniki zdobne gdzieniegdzie grupami dębów i sykomorów (fig). Przy drodze dla wracających znajdowały się piękne, winem ocienione domki, zapraszające do odpoczynku. Chodniki dla pieszych były wybrukowane czerwonymi, kamiennymi płytami, drogi zaś dla jezdnych i wozów usypano z piasku, który mocno był ubity, że nie było słycheć ani turkotu, ani nawet stapania kopyt końskich. Nie małą ozdobą tych miejsc były wodotryski; zbudowali je rozmaici królowie, którzy zwiedzali tę okolicę, nadając jej swoje imiona. Cała ta piękna alea ciągnęła się więcej niż cztery mile w kierunku południowowschodnim.

W ciężkich pogrążony myślach, nie zwracał Ben-Hur uwagi na otaczający go przepych, ani na tłum, z którym siedł. Nie mniej i Rzymianie, zwiedzający tę prowincję, zachowywali się dość obojętnie; bo i cóż mogli widzieć piękniejszego, czegoby w doskonalszej formie nie widzieli w Rzymie? Minał idące wolniej tłumy i doszedł do Heraklei, małej wioski w połowie drogi między miastem a gajem. Czując się trochę zmęczonym, zwolnił kroku, wskutek czego zaczął się zajmować tem, co go otaczało. Zauważył, że ludzie, w tę samą stronę dążący, byli różnego wieku, płci i stanowiska a wszyscy w świątecznych strojach. Jedni byli ubrani w szaty białe, inni w ciemne; jedni nieśli chorągwie, drudzy poruszali dymiącymi kadzielnicami; jedni szli wolno, śpiewając hymny, inni postępowali przy

odgłosie muzyki fletni i bębnow. Jeśli ludzie w ten sposób codzień odwiedzają gaj i grootę Dafny, jakże pięknem musi być to miejsce! Nareszcie uderzono w dłonie i dały się słyszeć radośne okrzyki, a patrząc w kierunku wyciągniętych rąk, ujrzał na wzgórzu drzwi poświęconej groty. Hymny stały się głośniejszymi, muzyka żywszą. Młodzieniec porwany ogólnym prądem, uniósł się zapałem, mimo że będąc w Rzymie kształcony, nie był do tego skłonny.

Wejście stanowiła świątynia w czysto greckim stylu, przed niem znajdował się szeroki plac marmurowemi wyłożony płytami. Tu stał Ben-Hur a wkoło niego poruszał się niby fala różnorodny tłum, którego pstre szaty cudnie odbijały w przejrzystych wodach wodotrysku. Przed sobą, na południe-wschód, ujrzał starannie utrzymaną ścieżkę, przeżynającą ogród i ginącą w lasku, nad którym modrą zasłoną zwieszała się mgła.

W zwykłym usposobieniu nie byłby Ben-Hur poszedł do Gaju bez przewodnika, a przynajmniej byłby wprzód się pouczył o tem, co było najgodniejszego widzenia, — ale w wielkiem rozgoryczeniu był zupełnie nieprzysposobiony. Bezwiednie szedł wraz z całą procesją. Był tak obojętnym, że nie przyszło mu na myśl spytać się, dokąd idą; doznawał jednak tego uczucia, że ścieżka, którą szli, wiedzie do jednej z świątyń, które były głównym i najwięcej przyciągającym punktem Gaju. Wtem przypomniały mu się słowa podróźnego — lepiej być robakiem i karmić się morwami Dafny, niż być gościem u stołu królewskiego. — Raz zastanowiwszy się nad myślą tego zdania, musiał dojść do zapytań domagających się odpowiedzi: jest-że życie w gaju tak bardzo słodkiem? na czemże polega piękność tego miejsca? może w uroku głębokiej, niezbadanej filozofii? albo może jest to coś rzeczywistego, coś, co się da pojąć zmysłami każdego człowieka? — Wszak tysiące wyrzekają się świata, aby tu zamieszkać? Czy ci znaleźli tajemnicę owego czaru? Czy wystarcza im to na wypełnienie życia?... Jeśli gaj daje im zadowolenie, czemuż nie miałbyż jemu dać spokoju duszy? Był Żydem, to prawda; ale czyżby rozkosze były dla wszystkich oprócz dzieci Abrahama? Temi myślami pobudzony, postanowił przypatrzeć się wszystkiemu i zbadać wszystko, nie zważając na otaczający go tłum.

W tem przedsięwzięciu samo niebo zdawało się mu sprzyjać, było pogodne, niebieskie. Cudne promienie słońca złociły cały widnokrąg, nowego dodając czaru.

Nagle od strony lasu doleciał go powiew wiatru wraz z słodką wonią róży i wonnych korzeni; zatrzymał się wraz z innymi i patrzył, skądby ów powiew pochodził.

— Czy tam jest ogród? — zapytał wreszcie sąsiada.

— Prawdopodobnie odbywają się tam jakieś religijne obrzędy — odparł tenże w rodzinnym jego języku, co zdziwiło Ben-Hura i zapytał:

— Jesteś Hebrajczykiem?

Człowiek odparł z uśmiechem:

— Urodziłem się w miejscu na rzut kamienia od targu Jerozolimskiego oddalonem.

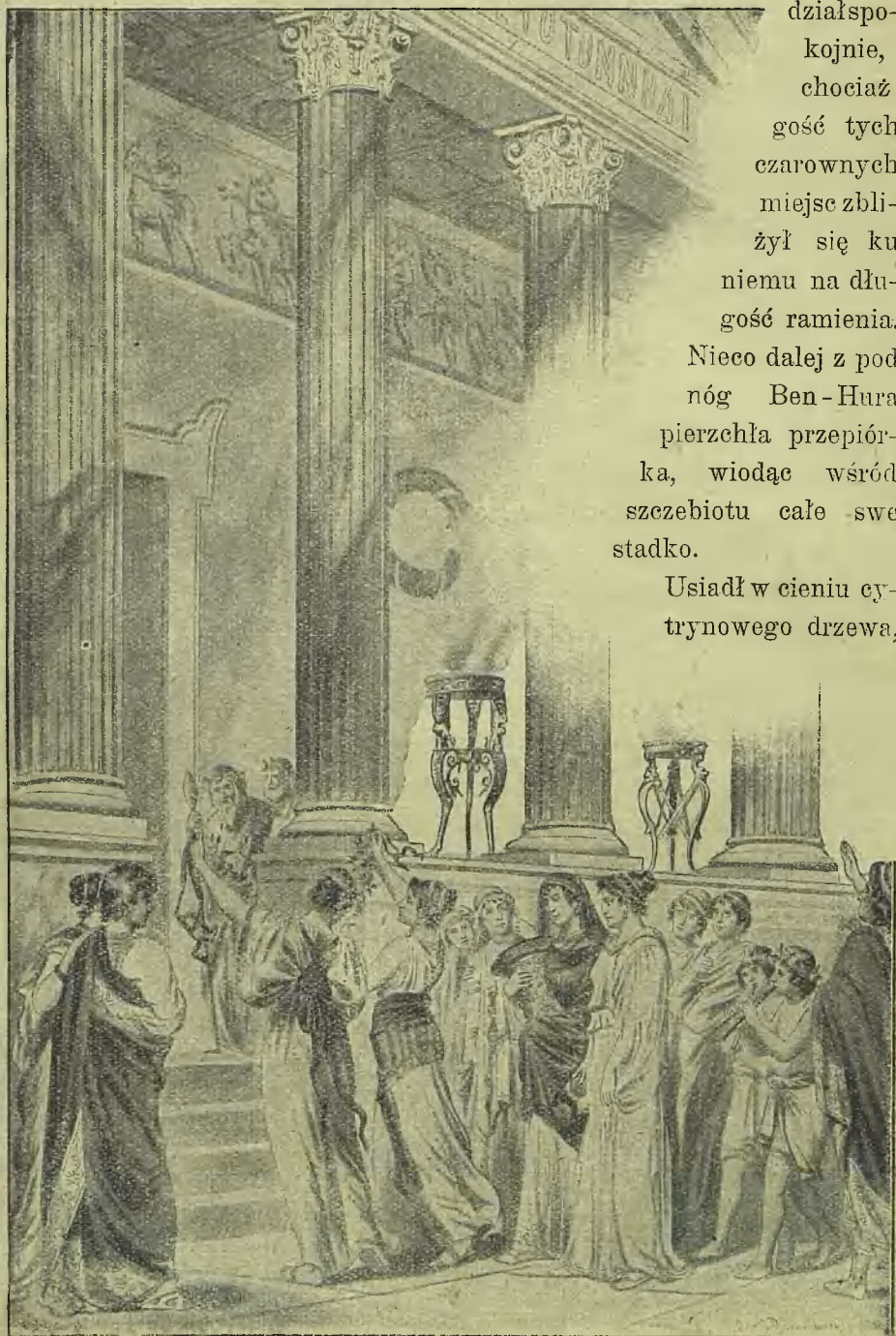
Ben-Hur pragnął dłuższą nawiązać rozmowę, ale tłum ruszył właśnie z miejsca, popychając go w bok ścieżki, wiodącej do lasu, a pociągnął z sobą nieznanego. Tenże miał zwykłe suknie, kij w rękę, brązowy płaszcz żółtymi u głowy przytrzymany sznurami. Twarz jego wyraźnie żydowskiego typu, świadczyła, że miał prawo tak się ubierać i wyryła się w pamięci młodzieńca.

Rozstali się w miejscu, w którym się ścieżka skręcała ku lasowi, umóżniając odłączenie się od gwarnej procesyi. Ben-Hur skorzystał z tej sposobności i wszedł najpierw w zarośla, które z drogi zdawały się być w stanie natury, tymczasem po kilku krokach spostrzegł, że i tu przyroda nosiła ślady mistrzowskiej ręki. Krzewy stały w kwiecie lub dźwigały owoce; u stóp ich, w cieniu zwieszonych gałęzi, rozścielała się łąka różnobarwnymi zasiana kwiatami. Bzy i róże, lilje i tulipany, oleandry i inne drzewa, wszystko kwiecie zdobiące ogrody dolin, otaczających gród Dawidowy, napełniało powietrze słodką swą wonią, czy to o brzasku porannym, czy w zmroku wieczoru. Dla dopełnienia obrazu szczęśliwości, której tu liczne nimfy i najady (boginie mórz, rzek i źródeł) używały, szemrał wśród kwiatów przejrzysty strumień, wijąc się w tysiącznych zakrętach.

Ze wszechstron, wśród gęstwiny drzew, słuchać było gruchanie gołębi i synogarlic, gwizd kosów, co wśród gałęzi patrzyły i zdawały się jakby czekać jego przybycia. Słowik w liściach ukryty sie-

działspo-
kojnie,
choć
gość tych
czarownych
miejsc zbli-
żył się ku
niemu na dłu-
gosc ramienia.
Nieco dalej z pod
nóg Ben-Hura
pierzełła przepiór-
ka, wiodąc wśród
szczebiotu całe swe
stadko.

Usiadł w cieniu cy-
trynowego drzewa,



kąpiącego swe szare korzenie we wodach strumienia, wśród liści tegoż siedziała na gniazdku sikora. Ptaszyna zdawała się patrzeć mu w oczy; mimowolnie pomyślał: zaprawdę, ptaszek ten tłómaczy mi, czem jest to miejsce, bo mówi: nie boję się ciebie, gdyż prawem tego uroczego ustronia jest miłość!

Tak było w rzeczywistości i prawem, które tutaj rządziło, była miłość; ale, niestety! miłość bez prawa.

— Boże Izraela! — zawołał głośno, powstając z rozplamioną twarzą — Matko! Tirzo! przekłeta niech będzie chwila, w której, mimo że was utraciłem, czułem się szczęśliwym!

Wybiegł z gęstwiny i stanął nad kanałem, płynącym w sztucznie obmurowanym łożysku, czasem tylko śluzami wstrzymywanym. Ścieżka przywiodła go na most, z którego ujrzał mnóstwo innych mostów, a każdy w różnym zbudowany stylu.

U stóp swoich widział stojące wody, jak w stawie, dalej też same wody szemrząc po kamieniach, by wkrótce utworzyć nowy zbiornik i nową kaskadę, co się powtarzało tak daleko, jak oko jego zasięgnąć mogło. Wszystko to, mosty, stawy, wodospady, mówiło wyraźnie jak rzeczy martwe mówić mogą, że są tu na rozkaz pana, posłuszne woli bogów.

Naprzeciw Ben-Hura widniał lasek cyprysowy, drzewa jego wznosiły się niby kolumny proste i sztywne, jak maszty okrętowe. W miarę jak się zapuszczał w cieniste zakręty gaju, coraz wyraźniej dolatywała go wesoła trąbka, a za chwilę ujrzał leżącego w trawie człowieka, w którym poznał Żyda, spotkanego na drodze do świątyni. Człowiek ten wstał, a zbliżywszy się do niego, rzekł uprzejmie:

— I znowu pokój tobie!

— Dziękuję ci — odrzekł Ben-Hur i spytał: — Czyli idziesz w tę samą stronę co ja?

— Idę na wyścigi, a jeśli to droga twoja...

— Na wyścigi!

— Tak, trąbka, którą właśnie słyszałeś, wzywa współubiegających się.

— Przyjacielu — rzekł Ben-Hur — wyznaję moją nieznajomość gaju, a jeśli pozwolisz mi iść z tobą, rad będę.

— Szczęśliwym mnie to czyni. Słuchaj, oto turkot wozów jadących na wyścigi.

Ben-Hur słuchał chwilę, a potem położył rękę na ramieniu Żyda i rzekł: — Jestem synem duumwira Aryusza, a ty?

— Jestem Malluch, kupiec z Antyochii.

— Dobrze, zacny Malluchu, trąbka, turkot kół i sposobność zabawy zajmują mnie. Znam się na tem wszystkim, a areny rzymskie znają mnie. Spieszmy na wyścigi.

Malluch zauważył po krótkim wahaniu: — Duumwir był Rzymianinem, a syn jego w ubraniu żydowskiem?

— Szlachetny Aryusz był mi ojcem przybranym — powiedział Ben-Hur.

— A tak — rozumiem.

Wyszli z lasu na pole przecięte drogą podobną do wyścigowego toru. Właściwy tor jednak był z miękkiej ziemi ubity i wodą polany, po obu stronach odgraniczały go liny wyciągnięte i przytwierdzone lekko do gładkich tyk. Dla wygody widzów i tych, których interesa łączyły się z wynikiem wyścigów, było kilka miejsc ocienionych namiotami i zaopatrzonych w amfiteatralne siedzenia. W jednym z takich usiedli i nowoprzybyli, a Ben-Hur rachował wozy w miarę jak przybywały i naliczył ich dziesięć.

— Życzę im szczęścia — rzekł przyjaźnie. — Nie sądziłem, aby tu na Wschodzie zaprzagano więcej niż parę koni; tymczasem widzę, że tu macie ambicję i walczycie nawet królewską czwórką. Przypatrzmy się!

Osiem czwórek przyjechało to stępem, to truchtem, wszystkie dobrze kierowane; dziewięta zbliżała się galopem. Ben-Hur mówił w zachwycie:

— Zwiedzałem stajnie cesarskie, ale klnę się na pamięć naszego ojca Abrahama, nie widziałem nie podobnego!

Ostatnia czwórka mijała ich właśnie z trzaskiem, gdy nagle coś się zwikłało i ktoś krzyknął w tłumie. Ben-Hur spojrział w stronę, skąd hałas dochodził, i ujrzał starca powstającego z miejsca, na którym siedział, groźnego, z rękoma wzniesionymi i zaciśniętymi pięściami. Oczy jego błyskały gniewem, a wspaniała biała broda spadająca na piersi, dodawała mu powagi. Mimo to kilku z najbliższych otaczających śmiało się.

— Powinniby przecież uszanować siwy włos starca! Kto jest ten człowiek? — zapytał Ben-Hur.

— To człowiek mający wielkie znaczenie na pustyni, w pobliżu Moabu; posiada liczne trzody wielbłądów i stada koni, mające się wywodzić od sławnych rumaków Faraonowych; ma godność Szeika a nosi imię Ilderima — odparł Malluch.



Tymczasem woźnica usiłował uspokoić czwórkę, ale napróżno, co Szeika wprawiło w wściekły gniew.

— Niech go porwie Abaddon!*) — krzyczał gniewnie Szeik. — Spieszcie, bieżącie dzieci! — Słowa te zwracał do towarzyszącego mu orszaku złożonego zapewne z ludzi jego szczepu.

— Słyszycie?! Przecież one tak jak i wy, dzieci pustyni! Chwytajcie je! chwytajcie!

Konie pędziły na oślep.

— Przeklęty Rzymianin! — wołał Szeik, grożąc pięścią.

— Ażaliż nie twierdził, że potrafi je prowadzić! — Klął się na wszystkie swe łacińskie bogi, że będą w jego rękę szybować jak orlęta, a słuchać, jak posłuszne baranki. Przeklęta matka łgarza, która go zwie synem. Co on robi! Przypatrzcie się im, nieporównanym

*) Abaddon, czyli lucyfer, władca szatanów.

biegunom! A on! no niech tylko spróbuje batem je skarcić! Nie mógł mówić więcej, słowa uwięzły w gardle i wydały się raczej chrapliwem rżeniem. — Spieszcie, chwytajcie je, a nie bójcie się! Jedno słowo z pieśni, któremi was matka kołysała w namiocie, wystarczy, aby je uspokoić! O szalony, czemuż zawierzyłem Rzymianinowi! czemu je oddałem w ręce cudzoziemcowi! — wołał znówu starzec. Gniew zapierał mu oddech, przyjaciele starali się go uspokoić, inni zaś wstrzymali tymczasem rozbiegane rumaki.

Ben-Hur rozumiał i żałował Szeika; czuł, że coś więcej niż duma właściciela i trwoga o wynik wyścigów szarpie jego sercem, pojmował raczej, że te uczucia płyną z przywiązania do zwierząt, a równają się najwyższej namiętności.

Zresztą były to konie prześliczne, bo maści jasnokasztanowatej, bez najmniejszej odmiany, a tak doskonale zbudowane, że zdawały się mniejszymi, niż rzeczywiście były. Nad małemi ich głowami sterzczały delikatne uszy; szerokie i wypukłe czoła wznosiły się nad dobrze osadzonemi oczami, a z rozwartych chrap niby błysk płomienia ukazywało się od chwili do chwili czerwono zabarwione ciało. Szyje ich gięły się wdzięcznym łukiem, a delikatna i bujna grzywa osłaniała z lekka piersi niby jedwabną zasłoną. Od kolan do pęciny nogi ich były płaskie jak dłoń i suche jak nogi gazeli, ale z wielce rozwiniętymi mięśniami, bo inaczej nie dźwignęłyby całego pięknego tułowiu; kopyta lśniły się niby błyszczący agat. Wspinając się lub rwąc naprzód, śmigały w powietrzu lub zamiatały ziemię długimi, gęstymi i lśniącymi ogonami. Szeik zwał swe rumaki nieocenionymi i zaiste mówił prawdę.

Gdy się Ben-Hur dobrze i uważnie przypatrzył koniom, poznał je i stosunek ich do właściciela. Wzrosły one pod jego okiem, a jako o dzieci miał o nich staranie i pieczę; w nocy zdobyły sny jego, stając się ulubionem marzeniem. Wzrosły one w namiocie wśród jego dzieci i przy jego ognisku, a przywiódł je do miasta, aby zwyciężyły pysznych i znienawidzonych Rzymian. Ani chwili nie wątpił o zwycięstwie, byle tylko znalazł woźnicę nietylko zręcznego w swej sztuce ale silnego duchem, bo jego rumaki ulegną tylko potężnej sile woli. Na wstępie czekał go bolesny zawód, nie umiał zbyć tego sromu

wzgardliwym uśmiechem i poprzestać na oddaleniu niezręcznego najemnika, jakby uczynił człowiek z zachodnią cywilizacją. Nie, on, jako Arab, Szeik swego pokolenia, dotkniętym był w najdroższych swych uczuciach, wpadł w srogi gniew i wznicił tak straszliwy wrzask w swem otoczeniu, że rozbrzmiewało nim powietrze.

Jeszcze patriarcha nie skończył swej skargi, a tysiące rąk już wstrzymało i uspokoiło spienione rumaki. W tej też chwili nowe zjawisko zajęło uwagę widzów. Na torze ukazał się wóz odmienny od poprzednich, bo konie i woźnica były już przystrojone tak, jak miały wystąpić w cyrku we właściwym dniu wyścigów. Wyścigi bowiem, które się w gaju Dafny odbywały, były raczej próbą innych, które miasto miało urządzić na cześć konsula. Tymczasem musimy się przypatrzeć świeżo przybyłemu wozowi i jego wspaniałości, ze względu na dalszy przebiegł opowiadania.

Wóz jakiego w starożytnym używano świecie, jest nam wogóle dość znany; trzeba nam tylko pamiętać, że miał niskie dwa koła na szerokich osiach, dźwigające otwarte z tyłu pudło. Takim był pierwotny wóz, z czasem jednak zmysł artystyczny upiękniał i zmienił go w pyszny rydwan, jaki obecnie znamy.

Woźnice starożytnych równie byli przebiegli i ambitni, jak terazniejsi żokeje wyścigowego sportu. Zwykle używali pary koni, w nadzwyczajnych tylko uroczystościach, jak na igrzyskach Olimpijskich lub równie świetnych występach, czwórki. Dla odróżnienia nazywano konie na prawo i lewo licowymi. Z doświadczenia wiedzieli, że najpierwszym warunkiem powodzenia była swoboda ruchów i dlatego też uprzęż była nadzwyczaj prosta i lekka; składała się ona z rodzaju drewnianej ramy czy pierścienia okalającego szyję zwierzęcia, do której przytwierdzano uzdę i lejce. Do kierowania wozem służył kawałek okutego lub masywnego drzewa, umocowany poprzecznie ku końcu dyszla i połączony z obręczą chomąt za pomocą lin przeciągniętych przez kółka u chomąt.

Dotąd przypatrujący się tłum zachowywał się spokojnie; ostatni dopiero woźnica miał szczęście. W miarę jak się zbliżał do miejsca, z którego patrzył Ben-Hur, rosły głośnie okrzyki, klaskanie w dłonie, co oczywiście zwracało uwagę na wóz i jego właściciela. Konie jarzmowo

były czarne, licowe białe jak śnieg, a wszystkie cztery rzymskim obyczajem z ogonami krótko ustrzyżonymi, z grzywami upleconymi, z żółtymi i czerwonymi wstążkami.

Nareszcie jadący zbliżył się o tyle, że go każdy w zupełności mógł widzieć i musiał przyznać, że słusznie wzbudził tak wielki podziw. Już same koła wozu były arcydziełem w swoim rodzaju, silne sztaby żelaza okalały zresztą lekkie koła, których sprzchy z zębów



słoniowych włożonych stósownie do naturalnego ich zgięcia nadawały pędu tak dziś, jak wówczas pożądanego. Dzwona koła z błyszczącego hebanu przytrzymywały brązowe skówki, osie zaś, stósownie do całości koła, zdobiły fantastyczne lby tygrysie. Wasąg wozu był z pozłacanej wikliny.

Oczywiście, że piękne konie i wóz zwróciły uwagę Ben-Hura i na woźnicę.

Zrazu nie widział Ben-Hur ani twarzy, ani całej postaci, a przecież ruch i wzięcie nie były mu obce, przypominające jakby dalekie wspomnienie dawno minionego czasu.

Któż to może być? myślał ciągle; aż nareszcie wóz zbliżył się truchtem. Po przyjęciu, jakie go spotkało i po wspaniałości wozu snadno było zrozumieć, że woźnica był albo ulubieńcem rządu albo księciem. Nie było to nieprawdopodobnem, bo i królowie nie wstydzi się ubiegać o wieniec przeznaczony dla zwycięzcy. Wszak Nero i Kommodus poświęcali się sztuce powożenia, to też Ben-Hur zbliżył się do poręczy oddzielającej siedzących od tłumu i patrzył pełen powagi, ale i wzruszenia.

Teraz ujrzał postać jadącego w całym jej wdzięku. Nie jechał sam, towarzyszył mu, stósownie do praw, mąż, zwany w języku greckim Myrtilos,^{*)} a będący zwykle namiętym zwolennikiem wyścigów. Ben-Hur mógł widzieć tylko woźnicę, który stał na wozie kilka razy opasany lejcami; a była to zaprawdę piękna postać! Okrywała go jasno czerwona tunika, w prawej ręce trzymał bicz, w drugiej, trochę wzniezionej i wyciągniętej, lejce. Postawa woźnicy była zręczna i pełna życia, a oklaski i okrzyki przyjmował z posagową obojętnością. Ben-Hur stał także jak posąg, ale skamieniały z wzruszenia, przecucie i pamięć nie zawiodły go, — woźnicą był Messala!

Wybór koni, wytworność wozu, postawa i śmiałość woźnicy — więcej jeszcze wyraz zimny, ostry i orle rysy — przekonały Ben-Hura, że nie się nie zmieniło w Messali, że był on zawsze równie zarozumiały, jak odważny, równie ambitny, lekceważący, drwiący z najświętszych rzeczy.

Gdy Ben-Hur zstąpił z trybuny, jakiś Arab wstał i zawołał:

— Ludzie Wschodu i Zachodu, słuchajcie! Pozdrawia was zacny Szeik Ilderim! Przywiódł on tutaj czwórkę rumaków wiodącą ród od koni Salomona mądrego, aby się współ-ubiegały z najlepszymi. Potrzebuje silnego męża, któryby nimi kierował, a kto się z tego ku zadowoleniu pana mego wywiąże, tego obsypie bogactwy.

Tu — i tam w mieście, gdzie tylko gromadzą się dzielni, ogłóście wieść tę. Tak mówi mój pan, Szeik Ilderim Dobrotliwy!

Ogłoszenie wywołało wielkie wzruszenie wśród tłumu i pod namiotami, a niebawem rozniosło się w całej Antyochii. Ben-Hur wodził oczyma od Szeika do Herolda, a Malluch przypuszczał przez chwilę,

^{*)} Myrtilos — kierownik.

że polecony mu młodzieniec zechce się podjąć tej sprawy. — Ode-
tchnął więc, gdy się tenże do niego odwrócił i zapytał:

— Zacny Malluchu, dokądże teraz się zwrócimy?

— Jeślibyś chciał iść śladem tych, co pierwszy raz zwiedzają te
miejsca, należałoby ci pójść posłuchać wyroczni i dowiedzieć się swej
przyszłości — odparł zapytany.

— Mógłbym się zapytać o moją przyszłość, mówisz, jest w tem
coś, co trąci pogaństwem, jednakże chodźmy do bogini.

— Nie lękaj się, synu Aryusza, boginie Apolina łatwo te rzeczy
urządzają. Nie potrzebujesz wdawać się w rozmowę mistyczną z Pytą *)
lub Sybillą, **) ale kupisz liść papirusowy, świeżo zerwany, a gdy go za-
naturzysz w wodę pewnego źródła, wyczytasz na nim swą przyszłość.

Widocznie rzecz ta straciła urok dla Ben-Hura, bo rzekł posępnie:

— Są ludzie, którzy nie mają się co troszczyć o swoją przyszłość.

— Wolisz więc iść do świątyni?

— Świątynie te są greckimi?

— Tak je zowią, bo są na grecki sposób zbudowane.

— Heleni są mistrzami w sztukach pięknych, ale w architekturze
wołą piękno ściśle w formę ujęte niż wdzięk rozmaitości i dlatego
wszystkie ich świątynie są do siebie podobne. Jak się zowie krynica,
o której mówiłeś?

— Kastalia. ***)

— Słynie ona w całym świecie, chodźmy ją zwiedzić.

W ciągu drogi miał Malluch sposobność przypatrzeć się swemu
towarzyszowi, a zarazem zauważyć, że jego poprzednia swoboda znikła
zupełnie. Nie zwracał uwagi na przechodniów, ani podziwiał piękne
rzeczy, mijał je milcząco i w jakimś uroczystym spokoju.

Messala stanowił tło myśli Ben-Hura i zdało mu się, że zaledwie
godzina temu, jak go oderwano od matki, że nie dawniej, jak przed
godziną Rzymianie zrabowali i opieczętowali dom ojców jego! Stały
mu przed oczami owe lata pozbawione nadziei — jeśli kiedy można nie
mieć nadziei — spędzone na galerze, gdzie przy bezmyślnej pracy nie

*) Pytia, kapłanka - prorokini grecka (w sławnej wyroczni delfickiej). **) Sy-
billami zwano w starożytności przez bogów natchnione wieszczki. ***) Kastalia, nimfa
(bogini rzek i źródeł); od jej imienia źródło Kastalii.

miał innego marzenia, innej myśli, jak zemstę. W tej zemście pierwsze miejsce zajmował Messala. Dla Gratusa, myślał sobie, może jeszcze znalazłbym iskrę litości, ale dla Messali nigdy! Chcąc wzmożnić swe postanowienie, przypominał sam sobie: Któż, jeśli nie on wskazał nas prześladowcom? kto, jeśli nie on, gdym błagał o pomoc — nie dla siebie — wyśmiał mnie i odstąpił w nieszczęściu? On, i zawsze on! To też i marzenia kończył zawsze Ben-Hur jedną i tą samą prośbą: o Panie, dobry Boże Ojców moich, daj mi w dniu, w którym go spotkam, zemstę godną mnie i jego.

Teraz spotkali się. — Może uczucia młodzieńca byłyby litościwzszemi i mniej gorzkiemi, gdyby był spotkał Messalę w nędzy i poniżeniu, ale tak nie było, przeciwnie, spotkał go wśród przepychu i zaszczytów.

Co Malluch brał za chwilowe niezadowolenie, było raczej rozmyślaniami nad tem, gdzie mu przyjdzie spotkać się z Messalą i w jaki sposób uczyni to spotkanie pamiętnem.

Pomału doszli do alei wysadzonej dębami, była ona miejscem dogodnem dla przechadzających się w tę i ową stronę. Tu podążali konni, tam piesi, ówdzie niewolnicy, niosący kobiety w lektykach. Od czasu do czasu pędziły z szumem wozy. Aleja ta schylała się w samym końcu zwolna ku pięknej zielonej dolinie, po której z jednej strony stała ściana. Tu ujrzeli słyną Kastalską krynicę.

Z niemałym trudem przecisnęli się przez zbite szeregi tłumów, a Ben-Hur ujrzał strumień czystej wody, który szumiąc i pieniać się tryskał z skały i wpadał w czarny marmurowy zbiornik zakończony lejkiem, w którym ginęły spienione wody.

W pobliżu zbiornika, pod niewielkim w skale wyłobieniem, siedział stary, z siwą brodą, zakaptużony kapłan, prawdziwy typ pustelnika. Patrząc na otaczające go tłumy, trudnoby zgadnąć, co je tu dotąd przywiodło — czy źródło, czy też kapłan. Widzieli go wszyscy, i on widział i słyszał ich wszystkich, ale z ust jego nikt słowa nie usłyszał. Od czasu do czasu podał mu ktokolwiek z przechodniów monetę, a on w zamian dawał, mrugając przebiegle oczami, liść papyrusowy. Obdarowany spieszył zanurzyć liść w wodzie krynicy, a gdy go wyjął, niósł na słońce i w jego promieniach czytał na powierzchni papyrusu wierszowany napis. Jeszcze Ben-Hur nie zdołał zasięgnąć

rady wyroczni, a nowi i wielce zajmujący goście przybywali od strony łąki. Przybycie ich wzbudziło podziw i ciekawość we wszystkich zgromadzonych, niemniej i w samym Ben-Hurze.

Konny jeździec wiódł najpierw wielkiego i białego jak śnieg wielbłąda, a ten dźwigał na sobie wielki, purpurowy, złotem przetykany namiot (hondah), szeroko nakrywający tył zwierzęcia. Dwaj inni konni ludzie z wysokimi dzidami w ręku, postępowali zwolna za wielbłądem

— Cóż to za szczególnie wielbłąd! — rzekł ktoś z tłumu.

— To przybywa jakiś obcy książę — zauważył inny.

— Raczej król.

— Król jechałby na słońcu!

— Wielbłąd - i to biały — rzekł ktoś inny. Na Apolina, przyjaciele, przybywający to nie książęta ani królowie, ale jako widzicie są kobiety, a zdaje się — jest ich dwie.

Gdy tak się o nich spierają, zbliżyli się cudzoziemcy.

Wielbłąd równie był pięknym z bliska jak z daleka i nikt z patrzących nie widział nigdy większego i wspanialszego zwierzęcia. Śliczne miał czarne oczy, a sierść białą i delikatną, budowa zaś zachwycała znawców giętkością i wyrobionymi mięśniami. Któż widział kiedy równie cicho stąpającego wielbłąda! Jakże go zdobi ten dom cały jedwabny, złotem posyty frendzlami! A jak cudnie dzwonią drobne dzwoneczki uprząży, gdy postępuje cicho i lekko — jakby nie czuł żadnego ciężaru.

Nie dziwnego, że wszystkich oczy zwrócone na przybyłych, zdawały się pytać, ktoby byli owi nieznajomi — kobieta i mężczyzna pod baldachimem.

Jeśli starzec ten był księciem, to zaprawdę nikt nie mógłby czasowi zarzucić niesprawiedliwości lub względności dla możliwych tego świata. Patrząc na twarz wychylającą się z pod turbanu, zapadłą i chudą, z cerą mumii, tak że nie można z niej było wyczytać, jakiej narodowości był cudzoziemiec, miało się żywy dowód, że dla wszystkich, bez różnicy stanu, jest kres życia. Jedynym przedmiotem więcej cennym, który miał na sobie, był kosztowny szal.

Kobieta towarzysząca starcowi siedziała wschodnim obyczajem cała w przejrzystych otulona zasłonach. Powyżej łokcia na obnażo-

nych pięknych ramionach błyszczały naramienniki kształtu zwiniętej żmii. Na palcach opartej o namiot ręki połyskiwały pierścienie, a delikatnie zakończone paznokcie świeciły barwą perłowej masy. Głowę jej zdobiła przejrzysta siatka przetykana koralami i monetami, podtrzymująca śliczne czarne włosy. Z wzniesionego siedzenia patrzyła na zgromadzonych ludzi i tak im się bacznie przypatrywała, że zdawała się nie spostrzegać ciekawości, jaką swą osobą wzniewała i wbrew przyjętemu w wyższych stanach zwyczajowi, nie zasłaniała twarzy.

A była to zaiste twarz piękna! Lica jej świeże i młode, cera ni tak białą jak u Greczynki, ni śniadą jak u Rzymianki; raczej słońce południowe, przyświecające falom Nilu, ubarwiło cudnie płeć jej, a rumieniec, jak światło czerwonego płomyka, krasił jej lica. Wskutek przyjętego na Wschodzie zwyczaju czernienia powiek, przedstawiały się jej oczy już i tak duże jeszcze większemi. Przez wpół otwarte usta ukazywały się lśniące białością zęby. Jeśli do tego dodam wdzięk, z jakim się zachowywała, przyznać musimy, że była prawdziwie piękna.

Snać tak ludzie jak miejsce podobały się pięknej pani, bo kilka słów rzekła do nawpół obnażonego Etyopeczyka, który jej towarzyszył, a ten zawiódł wielbłąda bliżej krynicy i kazał mu ukłęknąć, poczem wziął kubek z jej ręki i poszedł go napełnić u źródła. Równocześnie rozległ się turkot kół i tętent pędzących koni. Z krzykiem przerażenia poczęli wszyscy uciekać, chroniąc się przed kopytami końskimi.

— Baczność! — krzyknął Malluch — Rzymianin chce nas przejechać.

Ben-Hur zwrócił się w stronę, skąd dochodził hałas i ujrzał pędzącego Messalę na swoim wozie zaprzężonym w piękną czwórkę prosto na tłum otaczający źródło. Tym razem ujrzał go jeszcze wyraźniej i bliżej.

Ludzie rozbiegając się w różne strony, odsłonili wielbłąda, który, mimo że kopyta końskie już go prawie dosięgały, leżał najspokojniej; widocznie tak był przez długie lata pieszczony, że nieznał niebezpieczeństwa. Etyopezyk załamywał ręce, a starzec w namiocie myślał o ucieczce, ale złamany wiekiem a potem i dla powagi, która u niego stała się już drugą naturą, nie ruszył się z miejsca. Kobiety omal nie strатовano, gdy Ben-Hur, najbliższy stojący, zawołał na Messalę:

— Stój! Patrz, gdzie jedziesz!

Patrycyusz śmiał się, Ben-Hur zaś, widząc, że jedyny ratunek jest w szybkim działaniu, podbiegł do wozu i chwycił za uzdę lewego konia od jarzma, wołając: Tak to mało cenisz życie ludzkie, psie rzymski!

Wyłożywszy całą siłę, wstrzymał na miejscu rozhukane rumaki; wóz się zachwiał i o mało się nie wywrócił. Messala nieoledwie nie podzielił losu Myrtilosa, swego towarzysza, który spadł z wozu jak



kloc na ziemię. Gdy tak niebezpieczeństwo szybko minęło, tłum wybuchnął śmiechem.

Teraz dopiero wyszła na jaw bezprzykładna bezczelność Rzymianina, który rozluźniwszy lejce okalające go w pasie, zebrał je w jedną rękę i zsiadłszy z wozu, zbliżył się do wielbłąda. Tu spojrzął na Ben-Hura i rzekł, zwracając się częścią do starca, częścią do kobiety.

— Błagam was o przebaczenie — błagam oboje. Zwiąż się Messala i klęć się na starą matkę ziemię, że nie widziałem ani was, ani wiel-

błąda. Co się zaś tyczy tych ludzi, to może za wiele ufałem mej zręczności, bo chciałem się zabawić ich kosztem, a tymczasem oni się śmieją ze mnie. Niechaj i tak będzie.

Łaskawe spojrzenie i obojętny gość, z jakim wskazał otaczających, zgodne były z wyrazami i podobały się wszystkim. Zrobiła się cisza, bo każdy chciał słyszeć, czy jeszcze co nie powie, co widząc Messala, kontent ze zwycięstwa, kazał się towarzyszowi oddalić wraz z wozem, a sam zwrócił się do niewiasty, mówiąc:

— Czemże jest wobec ciebie ten czeigodny mąż, o którego przebaczenie, jeśli go jeszcze nie otrzymał, z pokorą upraszam; jestżeś jego córką?

Ona nie odparła nic.

— Na Pallas,*) piękną jesteś! Oby Apollo nie omylił się, biorąc cię za tę ukochaną, którą utracił! Jakiż kraj nazywasz ojczystym? Nie odwracaj oblicza, w oku twojem słońce Indyi goreje, a kąty ust twoich zdobią wszelkie krasy Egipskiej miłości. Nie zwracaj oczu na tamtego niewolnika, raczej, piękna pani, okaż mnie miłosierdzie; powiedz, że otrzymałem przebaczenie.

Podczas gdy mówił te słowa, zwróciła się do Ben-Hura z wdzięcznem pochyleniem głowy, pytając go z uśmiechem:

— Nie raczyszże się przybliżyć?

Gdy uczynił zadość życzeniu, mówiła dalej:

— Weź ten kubek i napełnij go u źródła, bo ojciec mój spragnionym jest.

— Sługą twym jestem — odparł Ben-Hur a spełniwszy rozkaz, stanął naprzeciw Messali. Wejrzenia ich skrzyżowały się, wzrok Żyda pełen był nienawiści, Rzymianina zaś tryskał swobodą i zuchwalstwem.

— O Pani, równie piękna jak okrutna! — rzekł Messala kłaniając się jej ręką. — Jeśli cię Apollo nie porwie w wyższe regiony, ujrzysz mnie niebawem. Nie znam twej ojczyzny, nie wiem więc na jakiego zakląć cię boga i jakiemu cię polecić, wzywam więc wszelakie bogi i im cię oddaję!

Ponieważ właśnie Myrtilus nadjeżdżał z wozem, poszedł w tamtą stronę. Oczy kobiety towarzyszyły mu i nie było w nich śladu urazy.

*) Pallas, czyli Minerwa, bogini błyskawic, wojny i wyobrazicielka inteligencji, opiekunka rzemiosł, sztuk i nauki.

Przyjęła podaną przez Ben-Hura wodę, ojciec wypił a ona do ust swoich przytknąwszy kubek, przychylając się z wdziękiem pełnym cesaru, podała go Ben-Hurowi.

— Przyjm, prosimy, tę czarę, pełna jest błogosławieństw — a wszystkie dla ciebie!

W tej chwili wielbłąd dźwignął się, stanął na nogi i ruszył, a starzec dodał jeszcze, zwracając się do Ben-Hura:

— Zbliź się — a gdy ten z uszanowaniem przystąpił, mówił dalej! — Oddałeś dziś przysługę cudzoziemcowi. Jeden jest tylko Bóg, w Jego imieniu dziękuję ci. Jestem Baltazar Egipcyanin. W wielkim gaju palmowym opodal wioski Dafny, mieszka Szeik Ilderim Dobrotliwy w namiotach, a my gośćmi jego jesteśmy. Szukaj nas tam, otrzymasz gościnne i wdzięczne przyjęcie.

Ben-Hur słuchał z pokorą czystego głosu starca i podziwiał szlachetną godność jego zachowania. Ścigając wzrokiem za odjeżdżającymi, zobaczył raz jeszcze Messalę, równie wesołego i obojętnego, jak pierwszej.

ROZDZIAŁ XVI.

Można przyjąć za zasadę, iż nie ma pewniejszego sposobu niepodobania się drugim, jak postąpić dobrze tam, gdzie oni źle czynili. Na szczęście niema reguły bez wyjątku. Malluch był wyjątkiem a scena, którą widział, podniosła tylko jego wyobrażenie o Ben-Hurze i musiał uznać, że był on odważnym i zręcznym. Gdyby prócz tego przekonania mógł być jeszcze coś z wewnętrznych uczuć młodzieńca odgadnąć, dzień ten byłby ważnym dla Simonidesa.

A jednak miał już czem się wobec swego pana pochwalić, bo wiedział na pewne, że polecony mu był Żydem i przybranym synem sławnego Rzymianina. Prócz powyższego odkrycia, inne jeszcze zaczęło kiełkować w umyśle wysłannika, a było nader ważne: zdawało mu się bowiem, że między Messalą a synem duumwira był jakiś związek. Jakiż on jednak jest i w jaki sposób się dowiedzieć, oto nad czem się zastanawiał, a co wydało mu się niełatwem. Tymczasem Ben-Hur sam przyszedł mu z pomocą a położywszy rękę na jego ra-

mieniu, wyprowadził go z tłumu, który znowu zajmował się kapłanem i jego mistycznym źródłem.

— Zaczny Malluchu — zaczął — powiedz mi, żali może człowiek zapomnieć matki swej?

Pytanie było krótkie, urwane, i było jednym z tych pytań, które wprowadzają zapytanego w niemałe zakłopotanie. Malluch spojrział na Ben-Hura, chcąc mu z twarzy wyczytać, co właściwie leży w tym pytaniu; ale zamiast odpowiedzi, której się spodziewał, ujrzał duże czerwone plamy na policzkach, a w oczach ślady wstrzymywanych łez. Na ten widok odpowiedział z razu mechanicznie: „Nie.“ — A po chwili, gdy zaczął przychodzić do siebie, dodał: — Jeśliś Izraelita, nigdy! — Oprzytomniawszy zaś zupełnie, rzekł rozważnie: — Pierwszą nauką moją w synagodze była Schema, drugą zaś były słowa Siracha syna, które brzmią: — Szanuj ojca twego z całej duszy, a pomnij na boleść matki twej!

Czerwone plamy na obliczu Ben-Hura silniej rozgorzały, gdy rzekł: — Wyrazy te przypomniły mi złote dzieciństwo moje, a dowiodły, żeś sprawiedliwym Żydem, Malluchu. Wierzę i ufam ci.

Mówiąc to, zdjął Ben-Hur rękę z jego ramienia a zebrał nią zwoje swej szaty u piersi i przycisnął serce, jakby pragnął stłumić cierpienie lub uczucie równie dotkliwe jak boleść.

— Ojciec mój — mówił dalej — nosił wielkie imię i szanowano go w Jeruzalem, gdzie przemieszkiwał. W chwili zgonu mego ojca matka była jeszcze w kwiecie wieku, a nie dość powiem, gdy ją nazwę dobrą i piękną, bo na ustach jej było prawo miłości, czyny jej podziwiał każdy, a przyszłość zdawała się szczęściem uśmiechać. Miałem i małą siostrę, oboje tworzyliśmy rodzinę tak szczęśliwą, że słowa starego mędrca, który naucza: — że Bóg nie mogąc być wszędzie, stworzył matki, — wydały mi się jakby do mojej rodzicielki zastósowane. Pewnego dnia spotkał znakomitego Rzymianina przypadek w chwili, gdy na czele kohorty koło naszego przejeżdżał domu. Żołnierze wylamali natychmiast bramy naszego pałacu i pochwycili nas. Odtąd nie widziałem już więcej ani matki ani siostry. Nie wiem, czy żyją, ani co się z nimi stało. Ale Malluchu, człowiek ten, który o mało nas nie przejechał, był w chwili naszego rozłączenia,

i wydał nas siepaczom; słyszał błagania mojej matki za dziećmi i gdy nas rozrywano — śmiał się. Trudno zaiste powiedzieć, co się trwalej przechowuje w pamięci: miłość czy nienawiść. Dziś, Malluchu, poznałem go z daleka...

Mówiąc te słowa, chwycił towarzysza za ramię, i mówił dalej:

— Malluchu, on wie i zna tajemnicę, za którą dałbym życie moje! On może powiedzieć, gdzie jest i w jakich okolicznościach; jeśli ona — nie — jeśli one — ah! wielka boleść zamieniła je w jedno, jeśli rozstały się z życiem, to wiem co było ich zgonu przyczyną i może mi wskazać, gdzie ich zwłoki na mnie czekają.

— A on tego nie chce?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bom ja Żydem, a on Rzymianinem.

— To i cóż? wszak i Rzymianie mają języki, a Żydzi choć wzgardzeni, posiadają sposoby poruszenia ich.

— Nie takich jak on. Nie, zresztą jest to tajemnicą państwa. Majątek mego ojca zabrany i rozdzielony.

Malluch zrozumiał doniosłość sprawy i kiwając głową, zapytał:

— Czy poznał cię?

— Nie mógł. Wysłano mnie na śmierć i dawno policzon jestem między umarłych.

— Dziwię się, żeś się na niego nie rzucił — wykrztusił z namiętnością Malluch.

— To mogłoby mi odebrać możność dojścia do celu. Mógłbym go zabić, a wiesz dobrze, Malluchu, że śmierć lepiej jeszcze przechowuje tajemnicę niż zbrodnia shańbiony Rzymianin.

— Kto tyle ma powodów do zemsty, a nie korzysta z takiej sposobności, ten musi być pewnym przyszłości i mieć w zapasie lepsze sposoby pokonania nieprzyjaciela. Te spostrzeżenia zmieniły dotychczasowe zapatrywania i stanowisko Mallucha, przestał być towarzyszem z obowiązku, a zamienił się w przywiązanego sługę, bo Ben-Hur już go sam dla siebie zajmował a on służył mu dobrem sercem i poszanowaniem.

Po krótkiej przerwie mówił Ben-Hur dalej:



Ben-Hur.

— Nie odbiorę mu życia, dobry Malluchu; przed tą ostatecznością broni go tajemnica, którą posiada, przecież pragnę go ukarać i ukarzę, jeśli mi pomożesz.

— On Rzymianinem! — rzekł Malluch bez wahania — a ja z rodu Judy. Pomogę ci, idę z tobą. Jeśli chcesz przyrzeczenia, stwierdzące je przysięga!

— Podaj mi rękę, to wystarczy.

Gdy się ich ręce rozłączyły, rzekł Ben-Hur z sercem lżejszym: — To, czem cię obarczę, nie jest ani trudnem, ani obciążającym sumienie. Chodźmy.

Poszli drogą przerzynającą wpierw opisaną łąkę przy krynicy a Ben-Hur pierwszy przerwał milezenie.

— Znasz szejka Ilderima Dobrotliwego?

— Znam.

— Gdzież jest jego Gaj palmowy, albo raczej, jak daleko do wioski Dafny?

W Malluchu zbudziła się właściwa jego rasie podejrzliwość; przypomniał sobie podarek i słodkie słówka pięknej kobiety w Krynicy, i pytał sam siebie, żaliby Ben-Hur miał zapomnieć w miłości ciężkiej troski o matkę, jednak odpowiedział: Gaj palmowy odległym jest od wioski o dwie godziny konnej jazdy, a o jedną na wielbłądzie.

— Dzięki ci, ale nie tu koniec moich pytań; powiedz mi jeszcze, czy te wyścigi, o których wspomniałeś, już ogłoszone i kiedy odbyć się mają?

Słowa te, jeśli nie zupełnie uspokoiły Mallucha, to go mocno zaciekały, bo widział poza nimi jakiś dalszy zamiar; odrzekł więc z zajęciem:

— O tak, będą wyścigi i to wspaniałe, chociaż wyprawia je właściwie prefekt jako człowiek prywatny na cześć konsula Maksencyusza, który tu gości w celu dalszych przygotowań do wyprawy na Partów. Prefekt jest bardzo bogaty i mógłby wyścigi sam na swoją rękę urządzić, woli jednak przypuścić do kosztów bogatych mieszczan Antyochii, którzy znów pragną się przysłużyć wielkiemu konsulowi. Przed miesiącem już rozesłano heroldów na wszystkie strony świata, a ci ogłosili wyścigi i otwarcie cyrku. Samo imię prefekta

daje dostateczną rękojmię, zwłaszcza na Wschodzie, a cóż dopiero gdy do rozgłosu tego imienia dołączy się Antyochia! Wszystkie miasta i wyspy pospieszą na tę wieść, spodziewając się królewskich nagród i zobaczyć niewidziany dotąd przepych.

— A cyrk?... Słyszałem, że mało ustępuje cyrkowi Maksimusa.

— Mówisz oczywiście o tym, który jest w Rzymie. Nasz ma siedzeń na dwakroć sto tysięcy widzów, a tamten o siedmdziesiąt pięć tysięcy więcej. Tutejszy jest marmurowy, rzymski również; nie różnią się też niczem więcej.

— Czy te same obowiązują prawa?

Malluch uśmiechnął się i rzekł:

— Gdyby Antyochia ośmieliła się mieć jakąś odrębność, czyliżby Rzym był takim wszechwładnym panem, jak jest? Oczywiście, że prawa przyjęte w cyrku Maksimusa rządzą i tutaj, prócz małego szczegółu. Tam nie wyjeżdża na raz więcej na tor wozów jak cztery, tutaj wszystkie bez względu na liczbę.

— To stósownie do greckiego zwyczaju — rzekł Ben-Hur.

— Tak, Antyochia jest raczej grecką niż rzymską.

— Mogę więc wziąć swój własny wóz?

— Wóz i konie; co do tego niema żadnych ograniczeń.

Odpowiadając, spostrzegł Malluch, że na twarzy Ben-Hura osiadł wyraz zadowolenia.

— Jeszcze jedno, Malluchu, kiedyż odbędzie się uroczystość?

— Ach! przepraszam, o mało najważniejszej nie zapomniałem rzeczy — odparł tenże — jeśli bogowie sprzyjać będą, mówiąc stylem rzymskim, przybędzie konsul pozajutrze, a szóstego dnia jego pobytu odbywać się będą igrzyska.

— Trochę to mało czasu, ale musi starczyć! Ostatnie słowa wy-mówił z naciskiem. — Na wielkich Izraela Proroków! wezmę znów lejce w rękę. Ale stój! jeszcze jedno pytanie, czy pewnem jest, że Messala będzie się współubiegał?

Malluch zrozumiał teraz zamiary Ben-Hura i plan upokorzenia Rzymianina. Nie byłby jednak prawdziwym potomkiem Jakóba, gdyby mimo nienawiści do wszystkiego co rzymskie, i mimo obudzonego zajęcia

nie był usiłował obliczyć wszelkich trudności. Toteż głos jego drżał, gdy pytał: — Maszże ty dostateczną w takich przedsięwzięciach wprawę?

— Nie lękaj się, przyjacielu. W cyrku Maksimusa od lat trzech nikt, gdy ja występowałem, nie otrzymał wieńca zwycięzcy. Spytaj się — spytaj najlepszych i najśmielszych pomiędzy nimi, a potwierdzą moje słowa. Cezar sam oddawał mi na ostatnich wyścigach swoje rumaki w rękę, abym z nimi stanął przeciw całemu światu.

— A ty nie uczyniłeś zadość temu życzeniu? — pytał Malluch z zajęciem.

— Ja... jam Żyd... — Ben-Hur zdawał się drzeć, gdy mówił. — A chociaż noszę suknie Rzymianina, nie chciałem przyjąć zobowiązania, któreby ubliżyło imieniu ojca mego wobec kapłanów i rządców świątyni. W palestrze, szkole szermierki, mogłem się ćwiczyć, ale w cyrku byłoby to zuchwalstwem wobec praw naszych. Jeśli tu stanę do wyścigów, to klnę się, że nie czynię tego dla żadnej nagrody.

— Czekaj, nie przysiegaj — zawołał Malluch. — Nagroda to dziesięć tysięcy sestercyi. To majątek wystarczający na całe życie!

— Nie dla mnie, choćby go prefekt pięćdziesiąt razy potroił. Co mówię, więcej niż to, więcej niż dochody Cezarów, od pierwszego roku ich panowania, więcej mnie pociąga zabawa, w której pragnę upokorzyć mego wroga. Nad wszelkie dostatki wyżej stawiam zemstę, a ona dozwolona prawem.

Malluch uśmiechnął się i skinął głową, jakby mówił:

— Dobrze, dobrze — wiesz, że Żyd pojmuje Żyda.

— Messala będzie się współubiegał — dodał — już się wielokrotnie zobowiązał do wyścigów ogłoszeniami na ulicach, po łaźniach, teatrach, w pałacu i w obozie. Zresztą nie może się cofnąć, bo imię jego już zapisane na tablicach wszystkich młodych marnotrawców całej Antyochii.

— A więc zakładają się na niego... czy tak, Malluchu?

— Oczywiście, i dlatego codziennie przyjeżdża tu na ćwiczenia!

— A więc to na tym wozie i tymi końmi ma stanąć w szranki. Ach! jakże ci wdzięczny jestem, Malluchu! jakże się cieszę! A teraz wiedz mnie do Gaju palmowego i prowadź do Szeika Ilderima Dobrotliwego.

— Kiedy?

— Dziś. Jego konie, jak myślisz będą mogły być na jutro zamówione?

— A więc ci się podobały?

— Widziałem je tylko chwilę — odparł Ben-Hur z zapałem — bo gdy nadjechał Messala, już prócz niego nie widziałem, przecież i tak ujrzałem dosyć, bo wiem, że rumaki te są chwałą pustyni. Podobne widziałem tylko w stadach Cezara, a kto raz takie konie zobaczy, pozna je wszędzie. Jutro, gdy cię spotkam, możesz mnie nie pozdrowić, a przecież zdradzi cię ruch, wyraz oblicza i postawa. Tak samo, z tą samą pewnością jak ciebie, poznam bieguny pustyni. Jeśli to, co o nich mówią, jest prawdą, a ja potrafię ujarzmić je siłą mego ducha, to...

— Wygram sesterceye — przerwał — śmiejąc się Malluch.

— Nie — odparł prędko Ben-Hur — raczej zrobię to, co przystoi potomkowi Jakóba i upokorzę publicznie mego wroga, ale — dodał niecierpliwie — tracimy drogi czas na rozmowie; myślmY raczej, akby się najrychlej dostać do namiotów Szeika.

Malluch zastanowił się chwilę i rzekł:

— Najlepiej idźmy prosto do pobliskiej wsi; jeśli tam uda nam się najać dwa wielbłądy, to za godzinę będziemy na miejscu.

— Spieszmy więc.

Wieś była pełną pałaców, pięknymi otoczonych ogrodami, wśród nich liczne książęce gospody gościnne otwierały wrota. Nasi znajomi najeli wielbłądy i puścili się w podróż do Palmowego gaju.

Okolica, którą przejeżdżali, odznaczała się falistością terenu, nieco nawet pagórkowatego, a bardzo dobrze uprawnego, bo był to właściwie ogród Antyochii. Wyzyskano tu każdą piędź ziemi, a pochyłości wzgórz, niby terasy winnemi oplecione latoroślami, wabiły przechodnia nie tylko cieniem, ale i pysznemi gronami winnych jagód, błyszczących barwą purpury i dojrzałością. Z pomiędzy grząd, zasadzonych melonami, wśród lasków brzoskwiniowych i figowych, pod cieniem pomarańcz i cytryn widniały białe chaty rolników. Wszędzie witała podróżnika urodzajność, ta śmiejąca córa pokoju, mówiąca, że tu jej mieszkanie; niejednen ulegał temu urokowi i decydował się nawet na płacenie podatków Rzymowi, byle tu pozostać. Zdala z pomiędzy

gałęzi drzew, tu i ówdzie wychylały się szczyty gór Taurusu i Libanu, a wśród całego krajobrazu — niby srebrna wstęga — toczył Orontes swoje wody.

Nareszcie dotarli do rzeki i odtąd trzymali się jej biegu, mijając zamieszkałe doliny i spadziste wzgórza. Chociaż rozłożyste dęby, sykomyry, myrty, wawrzyny, krzewy garbarskiej mącznicy i wonne jaśminy wieńczyły brzegi Orontesu i zdawały się go ocieniać, to przecież fale rzeki były srebrzyste i czyste, bo promienie słońca, padając prostopadle, muskały miłośnie fale



wolno płynącej wody. I spokój tych miejsc byłby do snu podobny, gdyby nie okręty nieustannie po jego wodach krążące. Cały ten widok wzbudzał wspomnienie morza, dalekich narodów, wspaniałych grodów i bogactw krain nieznanych. Ileż to marzeń wywołać zdoła biały żagiel, co wzdęty wiatrem wiedzie na morze, a zwinięty w domowe zaprasza progi! Wśród podobnych myśli jechali młodzi przyjaciele, aż do zatoki utworzonej wodami rzeki, a spokojnej i czystej niby szyba szklana. W zaokrągleniu zatoki rosło stare drzewo palmowe, minął je Malluch, skręciwszy w bok, a chwytając Ben-Hura za rękę, rzekł:

— Patrz! oto Gaj palmowy!

Nigdzie, chyba na czarujących oazach „Szczęśliwej Arabii“ lub w pysznych rezydencyach królów Ptolemeuszów*) nad Nilem, nie znaleźć tak cudnego krajobrazu jak ten, który się oczom Ben-Hura ukazał. Zdawało się, jakoby same te miejsca chciały się przyczynić do wzmocnienia jego ducha, do oczarowania jego uczuć w chwili przedsięwzięcia, bo oto rozciągała się przed nim kraina, jakoby nie mająca granic. U nóg ścielił się miękki traw kobierzec, w gorącej Syrii najniezwyklejsza ozdoba; w górze widniało niebieskie niebo migające wśród zieleni niezliczonych starych drzew daktylowych, istnych patryarchów swego rodu. Jestże Gaj Dafny piękniejszym nad to miejsce? zapytywał Ben-Hur sam siebie, a palmy jakby odgadywały jego myśli i pragnęły zjednać go dla siebie, zdawały się, gdy je mijał, chwiać koronami i chłodzić czoło jego.

— Patrz — rzekł Malluch, wskazując olbrzymie drzewo palmowe — każdy pierścień na jego pniu oznacza rok życia, policz je od korzenia do gałęzi, a nie zdziwisz się, gdy ci Szeik powie, że ten gaj zasadzono, gdy w Antyochii nikt jeszcze o Seleucidach nie słyszał.

Patrząc na palmę, na wdzięk, z jakim się pnie i pochyla, niepodobna, aby się duch poetycki nie miał w człowieku wzbudzić. Tam się tłumaczy cześć, jaką jej poci oddają.

Takich uczuć doznawał także Ben-Hur, gdy mówił:

— Kiedym dziś widział Szeika Ilderima na arenie, wydał mi się bardzo pospolitym i zwyczajnym człowiekiem. Przełożeni świątyni

*) Ptolemeuszowie (także Lagidami zwani), nazwa szesnastu macedońsko-greckich władców Egiptu, którzy panowali jeden po drugim od czasów Aleksandra W., króla macedońskiego, aż do czasu podbicia przez Rzymian.

w Jerozolimie patrzeliby chyba z pogardą na niego; kto wie nawet, czyby go nie uważali za psa z rodu Edomitów.*) Jakimże więc sposobem jest właścicielem gaju i jakim sposobem zdołał go ustrzedz od grabierzy rzymskich gubernatorów?

— Jeśli krew uszlachetnia się i doskonali w biegu czasów, to, synu Aryusza, wielkim jest człowiekiem stary Ilderim, chociaż jest Edomitą — mówił Malluch z zapalem. — Cały szereg Szeików poprzedza Ilderima, a jeden z nich, nie umiem powiedzieć który i kiedy, spełnił uczynek miłosierdzia, ratując jednego z króli syryjskich w ucieczce przed ścigającym go wrogiem. Dzieje mówią, że go wspomógł tysiącem jeźdźców obeznanych równie dobrze z kryjówkami i ścieżkami pustyni, jak pasterze ze wzgórzami, na których pasą trzody. Ucieczka się powiodła, a miejsce, na którym stoimy, jest właśnie sławnem potyczką, z której ów król wyszedł przy pomocy synów pustyni zwycięsko i zasiadł na tronie. Wtedy, pomny odebranej przysługi, wezwał syna pustyni na to miejsce, rozkazał rozłożyć namioty, sprowadzić rodzinę i trzody, i cały ten kraj od najbliższych gór z jeziorem i drzewami dał jemu i jego dzieciom na wieki w posiadanie. Nikt odtąd nie poważył się zaprzeczyć im prawa własności, a późniejsi władcy nieraz ważne odnosili korzyści, utrzymując dobre stosunki z pokoleniem, któremu błogosławił Pan na ludziach i koniach, wielbłędach i bogactwach. A nie poskąpił im władzy, bo oto stali się panami jedynej drogi między miastami i wolno im rzec do kupca: „jedź w pokoju!“ albo „stój!“ a stało się, jako rozkazali. Nawet prefekt rzymski w cytadeli, co panuje nad Antyochią, szczęśliwym zowie dzień, w którym Ilderim Dobrotliwy, tak dla swych dobrych uczynków zwany, przybywa z żonami, dziećmi, wielbłędami i służbą, aby za przykładem ojców naszych Abrahama i Jakóba, opuściwszy gorzkie źródła swej ojczyzny, odpocząc w cieniach tego uroczego gaju.

— Jakże to być może — przerwał Ben-Hur, który słuchał opowiadania, nie zważając więcej na zwolniony chód wielbłąda — widziałem przecież jak Szeik targał brodę, przeklinając sam siebie, że powierzył swoje

*) Edom znaczy po hebrajsku czerwony. Pismo św. nazywa tak Ezawą, starszego brata Jakóba, który miał czerwone włosy, osiadł na górze Seir i był ojcem plemienia Edomitów czyli Idumejczyków

konie Rzymianinowi. Wszakżeż gdyby Cezar to słyszał, snadnie mógłby powiedzieć: nie chcę takiego przyjaciela, weźcie go z przed oczu moich.

— Uwaga twoja słuszną jest — odpowiedział Malluch z uśmiechem — Ilderim nie jest przyjacielem Rzymu. Przed trzema laty Partowie jadąc drogą od Bosry do Damaszk, wpadli na karawanę, niosącą oprócz innych towarów kasę podatkową jednego obwodu i zabrali wszystko. W napadzie tym ludzie karawany śmierć ponieśli, ale to byłoby łatwo przeoczyli rzymscy urzędnicy, gdyby skarb cesarski nie był poniósł szkody. Tak poszukiwali straty na dzierżawcach podatków, którzy za nią odpowiadali, a ci skarżyli się Cezarowi, który znów nałożył grzywnę na Heroda. Heród zajął posiadłości Ilderima, twierdząc, że tenże przez zdradę nie dopełnił swego obowiązku, jako właściciel drogi. Szeik odwoływał się do Cezara, ale odebrał tego rodzaju odpowiedź, od której ślad boleje serce starca, oczekując chwili zemsty, może niedalekiej.

— Ach! mój Malluchu, nie podoła on Cezarowi.

— O tem pomówimy innym razem, ale oto odtąd zaczynają się gościnne progi Szeika, dzieci przemawiają do ciebie.

Wielbłądy stanęły, Ben-Hur ujrzał kilka małych dziewcząt, zapewne były to córki wieśniaków syryjskich, a podawały w koszyczkach daktyle. Owoce świeżo zerwane zapraszały do jedzenia, Ben-Hur wziął kilka; człowiek zaś siedzący na drzewie, które mijali, zawołał: pokój wam i pozdrowienie!

Podziękowawszy dzieciom, ruszyli obaj przyjaciele dalej, pozwalając wielbłodom iść, jak same chciały.

— Musisz wiedzieć — mówił dalej Malluch, jedząc daktyle i przerywając dla tego od czasu do czasu słowa — że kupiec Simonides pokłada we mnie zaufanie i nieraz wzywa mej rady. Ponieważ zostaję w jego domu, więc znam wielu jego przyjaciół, a ci wiedząc, iż pan mi ufa, mówią przy mnie otwarcie. Tym sposobem zna mnie i Szeik Ilderim.

Opowiadanie Mallucha zwróciło uwagę Ben-Hura na chwilę w inną stronę, a przed oczyma jego duszy stanął obraz wdzięczny, czysty i jakby błagalny Estery, Simonidesowej córki. Jej wielkie, ciemne oczy, błyszczące owym blaskiem właściwym żydowskiemu typowi, jakże skromnym spojrzały na niego wejrzeniem! Na chwilę zdało mu się, że widzi ją, że słyszy jej krok, gdy się zbliżyła z winem, i głos, gdy

mówiła, podając kubek. Czuł współczucie, które mu okazała tak wyrażnie, tak że słowa stawały się zbyt uczuciowymi. Jakże miłym było to widzenie! Jednak, gdy się zwrócił do Mallucha, pierzchnęło ono wobec rzeczywistości.

— Przed kilku tygodniami — mówił dalej Malluch — stary Arab przybył do Simonidesa w mojej obecności. Widząc, że był czemś mocno zajęty, chciałem odejść, ale nie dopuścił tego, mówiąc: jesteś Izraelitą, możesz więc zostać i usłyszeć dziwną opowieść. Nacisk, z jakim wymówił słowo Izraelita, zadziwił mnie i zaciekał. Zostałem więc i powtórzę ci to w krótkości, bo oto zbliżamy się do namiotów, a szczegółowo może on sam ci opowie. Przed wielu laty przybyło do jego namiotów na pustyni trzech cudzoziemców a każdy z innego narodu: Grek, Indyjczyk i Egipcjanin. Białe ich wielbłądy były większe i piękniejsze niż mu się kiedy zdarzyło widzieć. Wyszedł ku nim i przyjął ich gościnnie na nocleg. Nazajutrz rano wstali i modlili się niezrozumiałem dla Szeika sposobem, wzywając Boga i Jego Syna w sposób dziwnie tajemniczy. Po śniadaniu Egipcjanin opowiedział gospodarzowi, kim byli i skąd przybywali. Każdy z nich z osobna widział gwiazdę, każdy słyszał głos rozkazujący im iść do Jerozolimy i tam pytać: „gdzie jest Ten, co się narodził, Król żydowski?” Uczynili zadość wezwaniu, a od Jerozolimy wiodła ich gwiazda aż do Betleem, gdzie w jaskini znaleźli nowonarodzone dziecko. Wierząc, że Dziecię jest obiecany im królem, padli przed niem na kolana, oddawszy cześć i kosztowne dary. Spełniwszy rozkaz Pana, dosiedli wielbłądów i nigdzie nie odpoczywając, przybyli do Szeika. Uciekli przed Herodem, który, jak mówili, byłby ich zabił, gdyby mu wpadli w ręce. Wierny prawu gościnności, przechowwał ich Szeik rok cały; poczem każdy z nich, zostawiwszy kosztowne dary, odjechał w swoją drogę.

— A to zaprawdę zadziwiające zdarzenie — zawołał Ben-Hur.
— O co to oni mieli się pytać w Jerozolimie?

— Kazano im pytać: gdzie jest Ten, co się narodził, Król żydowski.

— I nie więcej?

— Zdaje mi się, że było jeszcze coś więcej, ale nie pamiętam.

— I znaleźli dziecko.

— Tak, i oddali mu cześć.

— Ależ to cud, Malluchu.

— Ilderim jest zacyjnym człowiekiem; a choć jest wrażliwy jak każdy Arab, to niepodobna przypuszczać, aby kłamał.

Malluch opowiadał z niezwykłym przejęciem się. Wielbłądy zostawione same sobie, zwróciły z drogi na trawę.

— Ilderim nie więcej nie wie o tych ludziach? — pytał Ben-Hur.
— Co się z nimi stało?

— Owszem, wie i to właśnie było powodem jego przybycia do Simonidesa w dniu, o którym ci mówiłem, albowiem wieczór dnia poprzedniego zjawił się był Egipcjanin u niego.

— Gdzie?

— Tu, u wejścia namiotu, do którego jedziemy.

— I zdołał go poznać?

— Tak, jak ty dziś rano poznałeś konie po ruchach i całej postaci.

— Zresztą po niczem więcej?

— Jechał na tym samym wielkim, białym wielbłądzie, wymówił nazwisko Baltazara Egipcjanina, jak przed laty.

— To nowy cud Wszechmogącego — rzekł Ben-Hur wzruszony. Zdziwiony tem uniesieniem Malluch, zapytał:

— Dlaczego?

— Wszak nazwałś Egipcjanina Baltazar?

— Tak.

— Aż nie pomnisz, że to samo imię podał nam dziś starzec u krynicy?

Przypomnienie to wzruszyło i Mallucha.

— Prawda, zaiste — odparł — nawet wielbłąd ten sam, a ty ocaliłeś temu człowiekowi życie.

— Kobieta zaś — rzekł Ben-Hur jakby do siebie — kobieta, to jego córka?

Zamyślił się i możnaby przypuścić, że nowe, bardziej od Estery pożądane zjawisko, zagości w jego duszy — ale tak się nie stało.

— Powiedz mi jeszcze — mówił dalej — czy ci trzej mieli pytać: gdzie jest Ten, który ma być królem Żydów?

— Nie zupełnie tak. Słowa były: co się narodził, Król żydowski. Tak mówił i słyszał Szeik na pustyni, i odtąd czeka przyjsia tego króla, i nikt nie obali jego wiary w tym względzie.

— Jak ma przyjść — czy jako król?

— Tak, i los Rzymu wypełni się — twierdzi Szeik.

Ben-Hur milczał chwilę, próbując opanować swoje uczucia.

— Starzec ten jest jednym z wielu milionów — rzekł zwolna — z wielu milionów, wśród których każdy ma krzywdę do pomśzczenia. Ta dziwna jego wiara karmi go winem i chlebem nadziei, bo któż kiedy, jeśli nie Herod, może być królem Żydów, póki Rzym istnieje? Ale wracając do opowiadania, czy słyszałeś co mu Simonides odparł?

— Jeśli Ilderim jest zycznym, to Simonides jest mądrym — mówił Malluch — słuchałem... Nagle przerwał... Ale słuchaj no, ktoś nas dogania.

Jakoż zbliżał się hałas, turkot wozu i odgłos końskich kopyt, a niebawem ukazał się także Szeik Ilderim, konno w orszaku swoich ludzi; między wiedzionymi końmi była i owa czwórka wraz z wozem. Jechał Szeik z pochyloną głową a biała broda spadała mu na piersi. Nasi dwaj znajomi, zwróciwszy się ku niemu, uprzedzili go, pozdrawiając go uprzejmie:

— Pokój wam! Witaj mój przyjacielu Malluchu, witaj; ufam, iż nie wracasz, ale przybywasz z jaką dobrą wieścią dla mnie od zycznego Simonidesa, którego niech zachowa w długie lata przy życiu wielki Bóg ojców jego! Wróćcie więc i chodźcie ze mną. Mam chleb i napój, a jeśli wolicie, mamy napój i mięso z młodego kozłęcia. Chodźcie.

Towarzyszyli więc Szeikowi aż do namiotu, a gdy zsiadali, gospodarz tymczasem stanął u wejścia, trzymając w rękę tacę z trzema kubkami napełnionymi jasno-żółtawnym likworem. Naczerpał był tego napoju z bukłaku*) umieszczonego u stropu namiotu.

— Pijcie — rzekł serdecznie do przybyłych — w napoju tym jest umocnienie mieszkańców namiotów.

Każdy wziął kubek, wypił do dna, zostawiając tylko pianę, a Szeik mówił:

— Wejdźcie teraz w Imię Boże.

Gdy weszli, Malluch wziął na bok Szeika i mówił z nim na osobności, a skończywszy, zbliżył się do Ben-Hura i rzekł:

— Już rozmówiłem się z Szeikiem, jutro rano da ci konie i jest twoim przyjacielem. Zrobiłem dla ciebie, co mogłem — reszta należy

*) Worek skórzany do wina, praktyczny do transportu w krajach gorących, bo nieuiskalający zwierzęcia.

do ciebie; ja zaś muszę wrócić do Antyochii, bo obiecałem dziś wieczór z kimś się widzieć. Jutro powrócę na naradę, a może będę mógł, jeśli wszystko dobrze pójdzie, zostać tu aż do końca wyścigów.

Rozstali się wśród wzajemnych błogosławieństw, a Malluch skierował wielbłąda w stronę Antyochii.



ROZDZIAŁ XVII.

Bładem światłem oblewał księżyc obwarowany szczyt góry Sulpius. Dwie trzecie mieszkańców Antyochii używało na dachach chłodnego wieczerzyku nocy, lub też, gdy wiatr nie wiał, chłodziło się wachlarzami. Simonides również siedział na terasie

w swoim krześle i patrzył na rzekę, na której będące na kotwicy statki spokojnie się kołysały. Mur po za nim sterczący rzucił cień daleko, aż poza drugi brzeg Orontesu. Nad nim, na moście, huczała wciąż wrzawa tłumnie idących ludzi. Przed nim stała Estera z tacą i skromną wieczerzą w ręku, podając mu pieczone lekkie ciasto pszeniczne, podobne do dzisiejszych andrutów (wafli), miód i czarbkę mleka, w którym maczał pierw miodem nasyccone ciastka.

— Coś nie widać dziś Mallucha, gdzieś się bałamuci — rzekł zdradzając swoje myśli.

— Sądziysz, iż wnet przyjdzie? — pytała Estera.

— Jeśli za nim nie poszedł na morze lub w pustynię, to przyjdzie — mówił Simonides z zupełnem zaufaniem.

— Może tylko napisze — zauważyła.

— Nie, Estero, gdyby nie mógł wrócić, jużbym był list odebrał, a ponieważ go nie mam, wiem, że musi przyjść... i przyjdzie.

— Mam nadzieję, iż stanie się, jakoś rzekł — odpowiedziała z pewnem wzruszeniem w głosie Estera.

Nie uszło to bacznej uwadze starca... może to odcień smutku, może życzenia... Najmniejszy ptaszek nie spocznie na najwspanialszem drzewie tak, by nie poruszył najdelikatniejszych strun jego życia, owych niewidzialnych nici stanowiących rdzeń żywotności. Tak i umysł ludzki bywa równie czułym na najlżejsze słowo.

— Czy pragniesz, aby przyszedł, Estero? — zapytał.

— Tak — rzekła, podnosząc oczy na ojca.

— Czy możesz mi powiedzieć dlaczego? — badał dalej.

— Bo — mówiła nie bez wahania — bo ten młodzieniec jest... tu zatrzymała się.

— Naszym panem. Zapewne to chciałaś powiedzieć.

— Tak.

— A ty sądziysz zawsze, że nie powinien pozwolić, aby odszedł nie dowiedziawszy się pierwej, że może wrócić, kiedy mu się będzie podobać i wziąć wszystko, nas — i wszystko, co posiadamy — majątki, wozy, okręty, niewolników, i ten potężny kredyt, który jak płaszczyk ręką powodzenia, owego najpotężniejszego z aniołów, dla mnie ze szkarłatu, złota i najcieńszego srebra utkany? — Słuchała w milczeniu.

— I to cię wcale nie wzrusza? — zapytał z lekkim odcieniem goryczy. — Dobrze, dobrze, Estero, wiem z doświadczenia, że lżejszą jest każda rzeczywistość niż przeczucie tejże, gdy je widzimy po przez ciemną chmurę, co zalega duszę — nawet tortura. Stósownie do tego mniemania może i niewola, do której wrócimy, słodsza będzie niż się spodziewamy. Czemu nie? Zaczynam nawet mieć upodobanie w myśli, że szczęście naszego pana jest zaiste nadzwyczajnem. Majątek nie go

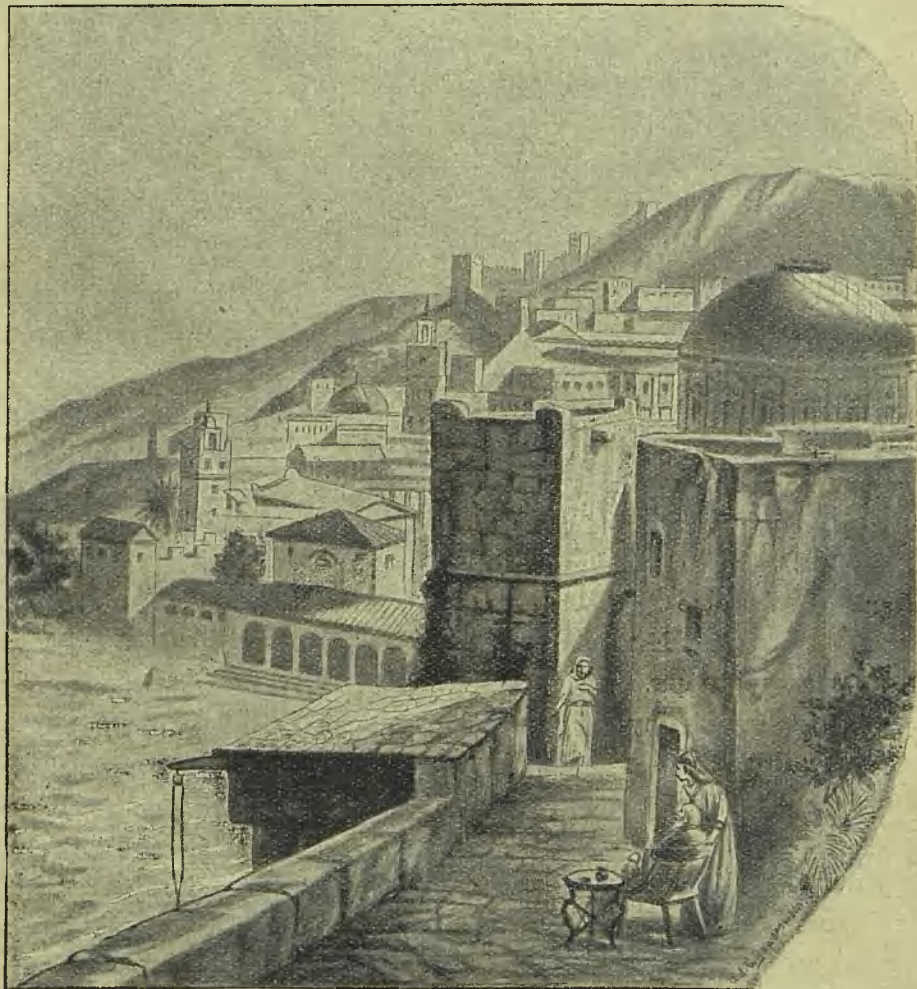
nie kosztuje — ani troski, ani jednej kropli potu, ani nawet jednej twórczej myśli: przyszedł do gotowego w zaraniu młodości. Co więcej, pozwól Estero, że pozwolę sobie trochę próżności, otrzymuje jeszcze to, czego nie dostać na targu za żadną cenę — bo — otrzymuje ciebie, dziecię moje, ukochanie moje, kwiecie rozkwitły na grobie mej utraczonej Racheli.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował raz za siebie, drugi raz za zmarłą matkę.

— Nie mów tak — rzekła, gdy ręka ojca opadła z jej szyi. — Myślmy o nim inaczej, boleść i cierpienie dobrze mu są znane, nie zechce nas gnębić i obdaruje wolnością.

— Masz Estero bystry i delikatny umysł spostrzegawczy i nieraz opierałem się na twem zdaniu, gdy szło o osądzenie kogoś stojącego przed nami, tak jak on stał dzisiaj. Ale, ale — tu głos nabrał ostrego brzmienia, przynoszę mu w darze nietylko te członki, które mnie udźwignąć nie zdołają, nietylko ciało już do ludzkiej postaci niepodobne, nietylko tyle mu daję od siebie... o nie! i tysiąc razy nie! Daję mu duszę, co zwyciężyła tortury i rzymską złośliwość, gorszą od męczarni. Przynoszę umysł, którego oczy widzą złoto dalej, niż kiedy zeglowały korabie Salomona, co więcej — siłę potrzebną do zdobycia tego złota. Weź, Estero, rękę moją, zatrzymaj ją palcami, aby nie uleciało z duszy przedwczesne słowo — bo zaprawdę przynoszę mu jeszcze umysł zdolny do tworzenia nowych pomysłów i planów. — Zatrzymał się i zaśmiał się głośno. — Tak, Estero, zanim nowy księżyc widzialny w tej chwili w podwórzach świątyni, na świętem wzgórzu, przejdzie w kwadrę, mógłbym tak poruszyć świat, że światby cały się zdziwił. Bo wiedz, moje dziecko, że posiadam zdolność cenniejszą nad inne, lepszą niż zdrowe i silne ciało, cenniejszą od odwagi i woli, więcej wartą niż doświadczenie, słowem najlepszy owoc długiego żywota, dar Boga najwyższy, który jednak — tu zatrzymał się i rozśmiał się znowu, ale bez goryczy, a raczej z zadowoleniem — który jednak nawet u możliwych w małej jest cenie, a którego w tłumie nie szukać — oto, mam zdolność pociągania ludzi do siebie i moich celów, co więcej, zdolność zmuszenia ich do działania podług mojej woli, poruszania setek i tysięcy. Tej sile ulegając, kapitanowie moich okrę-

tów przepływają morza i uczeni zwożą zarobek; jej służy w tej chwili Malluch, pilnując młodzieńca, co może być naszym panem. — Wtem dały się słyszeć kroki na terasie. — Nie mówiłemże, Estero, oto jest — i otrzymamy wiadomości. Dla ciebie, dziecię moje,



świeżo rozkwitła lilio, dla ciebie proszę Pana Boga naszego, który zbłąkanej owcy izraelskiej nie zapomina, aby te wieści były dobre i uspakajające. Dowiemy się, czy pozwoli nam odejść i być wolnymi — tobie, z twoją pięknością, mnie, z memi zdolnościami.

Malluch zbliżył się do krzesła

— Pokój tobie, zacny panie — rzekł oddając niski pokłon — i tobie Estero, najlepsza z córek.

Stał przed nimi z uszanowaniem, a z postawy i przemówienia trudnoby określić, jakim był stosunek, który ich łączył. Jedno zdawało się stósownem dla sługi, drugie pozwalało odgadywać w nim przyjaciela. Simonides, odpowiedziawszy pozdrowieniem, przystąpił, jak zwykł czynić zawsze, wprost do przedmiotu.

— Cóż nam powiesz o młodzieńcu, Malluchu?

Spokojnie i w najprostszych słowach opowiedział wysłaniec zdarzenia dnia ubiegłego, a nikt mu nie przerywał, póki nie skończył. Słuchający nie poruszył nawet ręką w ciągu opowiadania, siedział tak nieruchomie, że gdyby nie blask szeroko rozwartych oczu i nie głębokie od czasu do czasu westchnienie, możnaby go wziąć raczej za posąg, niż za żyjącego człowieka.

— Dziękuję ci, dziękuję ci, Malluchu — rzekł serdecznie, gdy tamten skończył — spełniłeś dobrze polecenie. Nikt zaiste nie zrobiłby lepiej. Co mniemasz o pochodzeniu młodzieńca?

— Jest Izraelitą z pokolenia Judy.

— Jestżeś tego pewny?

— Najzupełniej!

— Zdaje się z tego, co opowiadałeś, że mało ci mówił o swoim życiu.

— Nauczył się ostrożności, a nawet wydał mi się podejrzliwym i odrzucał wszelkie moje usiłowania w celu pozyskania jego zaufania. Dopiero w powrocie od kastalskiej krynicy do wsi Dafny zmienił postępowanie.

— Chodziliście do tych miejsc zgorzenia, po co?

— Zapewne, tak jak to czynią prawie wszyscy, co tam idą, — z ciekawości. Co więcej, wszystko co tam widział, nie zajmowało go weale, o świątynie zapytał zaledwo, czy greckie? Wierzaj, zacny panie, młodzieniec ten ma boleść w duszy, przed którą chciałby się ukryć i poszedł do gaju, aby tę boleść tam pogrzebać, jak grzebiemy umarłych naszych.

— Dobrzeby było, gdybyś odgadł — rzekł Simonides cichym głosem, a potem dodał głośniejszym: — Wiesz, Malluchu, że plagą naszych

czasów stała się rozrzutność. Biedni czynią się biedniejszymi, małpując bogatszych; majątni żyją, jak książęta. Nie spostrzegłeś śladów tej namiętności w młodzieńcu? Wogóle, powiedz, żali nie wydawał pieniędzy i czy te pieniądze były izraelskimi czy rzymskimi?

— Nie wydawał, zacny panie, żadnych.

— Przecież tam, gdzie tyle jest sposobności do szaleństw, tyle do jedzenia i picia, musiał cię wspaniale częstować... Wiek jego, jeśli nie co innego, zdawałby się pozwalać nawet na wybryki.

— W mej obecności ani jadł, ani pił.

— W tem co mówił i czynił, czy nie odgadłeś przewodniej myśli jego działania? Wszak wiesz, że dla rozważnych łatwem jest zajrzeć do duszy niby przez szerokie szpary.

— Pozwól, abym zrozumiał — rzekł Malluch niepewny.

— Dobrze, wszak wiesz, że w rzeczach ważnych, dotyczących nas samych, nie mówimy ani postępujemy bez ważnego powodu. Co w tym względzie odkryłeś?

— Co do tego, mogę cię, Simonidesie, najdokładniej objaśnić. On oddał się w zupełności odszukaniu matki i siostry — i to przede-wszystkiem zajmuje umysł jego. Prócz tego chowa nienawiść do Rzymu, który go skrzywdził; a ponieważ między Messalą a tą krzywdą jest pewna łączność, więc obecnie korzysta ze sposobności, aby go upokorzyć. Spotkanie u krynicy dało już niejako tę sposobność, ale nie korzystał z niej, bo była za mało jawna.

— Messala ma wielkie znaczenie — rzekł poważnie Simonides

— Prawda... najbliższe ich spotkanie będzie w cyrku.

— A potem?

— Syn Aryusza zwycięży.

— Skądże to wiedzieć możesz?

Malluch uśmiechnął się przebiegle.

— Sądzę z tego, co mówił.

— Czy tylko z tego?

— O nie, mam lepszy dowód, wierzę w siłę jego ducha.

— A ta zemsta, Malluchu, jaki jest jej cel? Ażali tyczy się ona tych kilku, którzy mu krzywdę wyrządzili, czy też obejmuje obszerniejsze pole? Co więcej — jestże jego uczucie uniesieniem chłopca, czy też bólem

dojrzałego męża. — Wiedz, Malluchu, że pragnienie zemsty, zakorzenione w umyśle, jest tylko słabem i sennem marzeniem, które dzień biały snadnie rozproszy; przeciwnie, zemsta, mająca siłę namiętności, to choroba serca, która tłoczy się do mózgu, żywiąc się jednym i drugim.

Mówiąc to, zdradzał Simonides pierwszy raz podczas tej rozmowy jakieś rozdrażnienie uczucia. Mówił prędko, z zaciśniętymi rękoma i zapalę człowieka opisującego chorobę, którą zna dobrze.

— Rozumiem cię, panie — odparł Malluch — właśnie to, z czego wnioskować mogę, że młodzieniec ten jest Żydem, to gorącość jego nienawiści. Mimo że miał się na baczności, której się nauczył przez tyle lat przeżytych w otoczeniu rzymskim, nie zdołał uciec tych pokryć. Przecież widziałem, jak buchnął jasny płomień nienawiści, gdy mnie pytał o uczucia Ilderima dla Rzymu, drugi raz, gdym mu opowiedział historię Szeika i Mędreca, powtarzając pytanie: — Gdzie jest ten, który się urodził Król żydowski?

Simonides szybko podniósł głowę, oczekując dalszych słów sługi.

— Mów, cny Malluchu, powtórz jego słowa, niechaj osądzę wrażenie, jakie tajemnica ta na nim wywarła.

— Chciał słowa wiedzieć wyraźnie i dokładnie, czy pytano: ma być, czy też ma się urodzić królem? Zdaje mi się, iż zastanawiał się nad wielką różnicą leżącą w tych zdaniach.

Simonides słuchał uważnie.

— Potem — mówił Malluch dalej — powiedziałem mu, co o tej tajemnicy sądzi Ilderim, mianowicie, że w królu tym wypełnią się losy Rzymu. Młodzieniec zarumienił się na te słowa i rzekł: Któż, jeśli nie Herod będzie królem Żydów, póki Rzym stoi!

— Jakże to rozumiał?

— Że, aby inne rządy powstać mogły, Rzym wpierw upaść musi.

Simonides patrzył czas jakiś na okręty, co się zwolna kołysały na wodzie i ich cienie, a podniósłszy oczy, zakończył rozmowę.

— Dosyć, Malluchu, wiem co chciałem; zjedz wieczerzę i gotuj się z powrotem do Palmowego gaju: potrzeba, abyś pomógł młodzieńcowi w jego przedsięwzięciach. Przyjdź tu rano, dam ci list do Ilderima.

— Potem przyciszonym głosem, jakby sam do siebie, mówił: — może i sam będę w cyrku.

Gdy Mallueh po wypowiedzeniu wzajemnych błogosławieństw opuścił terasę, Simonides wypił mleko i zdawał się być duchowo odświeżonym i swobodniejszym.

— Odniesź jedzenie, Estero — rzekł — bo oto już spożyłem.

Wypełniła zlecenie, a na rozkaz ojca zajęła zwykle swe miejsce przy poręczy jego krzesła.

— Bóg jest dobrym dla mnie, bardzo dobrym — rzekł gorąco. — Zwyczajem Jego jest osłaniać się tajemnicą, a jednak czasem pozwala nam dojrzeć i zrozumieć drogi Swoje. Stary jestem i wnet może będę musiał odejść; ale teraz w jedenastej godzinie dni moich, w chwili, gdy nadzieja moja zdawała się obumierać, zsyła mi obietnicę, umocniającą siły moje. Widzę wielką część drogi już przebytą i takie okoliczności, że zaiste zbliża się jakoby odrodzenie całego świata. Wiem też, dlaczego danem mi było zgromadzić tak wielkie bogactwa, znam ich cel i przeznaczenie. Zaprawdę, dziecię moje, czuję nowe życie.

Estera przysunęła się bliżej, jakby pragnęła myśli ojca na inne sprowadzić tory.

— Król urodził się — mówił ciągle do niej — i musi już być blizkim połowy życia ludzkiego. Baltazar mówi, że był dziecieniem na łonie matki, gdy Go widział, składając cześć i dary; a Ilderim utrzymuje, że minęło już w Grudniu dwadzieścia siedm lat od chwili, gdy Baltazar z towarzyszami przybył do namiotu i prosił o ukrycie przed Herodem. Wkrótce więc ukaże się król, dziś, jutro nadejdzie dzień Jego. O święci ojcowie Izraela, ileż szczęśliwości mieści się w tej nadziei! Już słyszę łomot padających murów więzień i powszechny bunt przeciw dawnemu porządkowi rzeczy. Ziemia otwiera swe łono i pochłonie Rzym. Narody oddychają i wznoszą hymn wolności, bo oto niema już światowładnej Romy! Tu zaśmiał się sam do siebie. — I cóż, Estero, słyszałaś kiedy coś podobnego? Na samo przypomnienie ogarnia mnie poetyckie uniesienie śpiewaka i zapal Mirjamy i Dawida. Myśli moje, przykute zwykle do cyfr i zajęć wyrobnika, pełne są radosnego gwaru cymbałów, dźwięku harf i krzyków, którymi otaczający witają nowego króla na tronie. Ale nie czas jeszcze takim oddawać się myślom, trzeba, aby, gdy przybędzie, zastał tyle pieniędzy i ludzi, ile ich potrzebować będzie jako człowiek urodzony z niewiasty:

ić więc musi zwykłemi ludzkiemi drogami, jak ty i ja. Aby zachować pieniądze, musi mieć straż i kraty; aby wojować, musi znaleźć wodzów dla swych zastępów. Czy rozumiesz mnie, dziecię moje? Czy widzisz, jaka droga otwiera się przede mną i młodzieńcem, naszym panem? Na końcu tej drogi przyświeca nam obu chwała i zemsta i... i... — Tu wstrzymał potok wyrazów, uderzony samolubstwem zamiarów, w których ona nie zajmowała żadnego miejsca, ani udziału, ani korzyści, dodał więc całując ją: — i szczęście dla dziecka twojej matki.

Ona milczała ciągle. Wtedy Simonides przypomniał sobie, że nie każdy zapatruje się na rzeczy jednakowo, i że to, co jednego cieszy, drugiemu strasznie się wydaje; przypomniał sobie nareszcie, że była dziewczyną.

— O czem myślisz, Estero? — rzekł zwykłym tonem. — Jeśli masz jakie życzenie, to wypowiedz je, póki jeszcze władza w mojem ręku. — Władza, jak wiesz, to przemijająca istota, a skrzydła jej zawsze do lotu rozwinięte.

Z prawdziwie dziecinną prostotą odpowiedziała:

— Poślij po niego, mój ojcze! Poślij dziś po niego i nie pozwól, aby szedł do cyrku.

— Ach tak! — rzekł przeciągłym głosem, i patrzył znów na rzekę, gdzie cienie, ponieważ księżyc zaszedł daleko poza szczyt góry, stawały się coraz ciemniejszymi; nad miastem świeciły jedynie błado migocące gwiazdy. Mamyż zajrzeć śmiało w serce Simonidesa i ujrzyć, że go boleśnie zraniło uczucie zazdrości? A jeśli ona na wieczność pokochała młodego pana! Myśl ta powracała uparcie, chociaż nie chciał jej przepuścić, tłómacząc sobie, że jest za młodą; mimowoli jednak jej ulegał. Wiedział, że miała lat szesnaście, pamiętał dobrze ostatni dzień jej urodzin. Byli wtenczas właśnie w warsztacie okrętów, bo spuszczano tego dnia szalupę, a żółta flaga na galerze, oznaczająca jej zasługę biny z falą morza, nosiła napis — Estera. Dzień ten spędzili razem; jakże miłe zostawił wspomnienie! Dziś rzeczywistość zrobiła mu niespodziankę, bo chociaż wiemy, że są rzeczy nieuniknione, rzeczy które się spełnić muszą, niemniej zbliżenie ich jest nam przykre. Są to najczęściej rzeczy tyjące nas samych — czy to, że się starzejemy, czy, co gorsze, że umrzeć musimy. Jedna z takich bolesnych rzeczy wsunęła

się do jego serca, jeszcze to niby cień, a przecież dość rzeczywista, aby wydrzeć z piersi westchnienie podobne do jęku. Nie dość, że młoda dziewczyna w całej krasie wieku miała zostać jego niewolnicą, ale jeszcze miała mu złożyć w darze uczucia swego serca, których siłę i urok znał jej ojciec tak dobrze, bo dotąd jego tylko były udziałem. Złowroga potęga, która zwykła nas dręczyć obawami i troską, nie czyni tego na wpół. W tej chwili cierpienia czcigodny starzec nie czuł nie prócz bólu i zapomniał o swem wielkiem zadaniu i tajemniczym królu, a pytał swej córki ze drżeniem: — Czemu, Estero, czemu nie mam pozwolić, aby szedł do cyrku?

— To nie jest miejsce dla syna Izraela, mój ojcze.

— Skądże wzięło się u ciebie takie rabinistyczne zapatrywanie, Estero! Czy to wszystko?

Pytanie trafiło w samo serce, które głośno odezwało się o swe prawa — tak głośno, że na razie nie zdołała odpowiedzieć. Dziwne i przyjemne uczucie ogarnęło ją całą.

— Młodzieniec otrzyma majątek — rzekł starzec serdecznie, biorąc jej rękę — będzie miał okręty i pieniądze wszystko, Estero, wszystko... A przecież nie czułbym się ubogim, bo miałbym ciebie, ciebie, której miłość tak podobna do miłości Racheli. Powiedz mi, dziecko moje, czy i to on posiedzie?

Pochyliła się nad nim i oparła twarz o jego głowę.

— Powiedz, Estero, nie lękaj się. Świadomość uczyni mnie silniejszym, bo w świadomości tkwi także siła.

Wyprostowała się na to wezwanie i rzekła, jakby była usposobieniem prawdy. — Uspokój się, ojcze, nie opuszczę cię nigdy. Gdyby on nawet miał posiąść miłość moją, pozostanę na zawsze twoją służebnicą.

To rzekłszy, złożyła pocałunek na jego rękę.

— Co więcej — mówiła dalej — widok jego jest mi miłym, a głos pociąga serce i drzę, gdy myślę, iż jest w niebezpieczeństwie. Tak, ojcze, choćby raz jeszcze chciałabym go widzieć. Przecież miłość bez wzajemności nie może być doskonałą, dlatego czekać będę w spokoju, pomnąc, żem twoją i mojej matki córą!

— Jesteś mi prawdziwem błogosławieństwem Pana! — Mając ciebie, Estero, będę bogatym. choćbym wszystko inne utracił. A

i to przyrzekam na święte imię Pana, że nie pozwolę, abyś cierpieć miała.

Wezwany sługa wsunął krzesło kaleki do komnaty, sen atoli nie kleił jego powiek; po wzruszeniach dnia rozmyślał o przyjeździe króla, podczas gdy ona spała snem niewinności.

ROZDZIAŁ XVIII.

Naprzeciw domu Simonidesa, po drugiej stronie rzeki, wznosił się pałac, który miał być dziełem słynnego budowniczego króla Epifanesa i odpowiadał pojęciu, jakie wogóle o tego rodzaju budowlach mieć możemy. Styl jednak tego gmachu odznaczał się pewną kolosalnością,^{*)} która się nie zgadza z dzisiejszemi zasadami klasycznej architektury,^{**)} a tem samem zbliżał się do stylu perskiego, nie zaś do greckiego, tak chętnie naśladowanego w Rzymie. Mur, okalający całą wyspę wzdłuż wybrzeża, wybudowany był w podwójnym celu, bo miał chronić i od wylewu i od nieprzyjaciela; czynił jednak całe to miejsce posępnem i nikt nie lubiał tu stale przebywać. Z tego powodu zbudowano dla legatów rzymskich inną rezydencję na zachodnim stoku góry Sulpius, poniżej świątyni Jowisza. Nie wszyscy wierzyli, aby położenie niezdrowe miało być powodem opuszczenia pałacu; przeciwnie, utrzymywano, że wybudowanie pałacu na górze przedstawiało większe niebezpieczeństwo, bo było obwarowane tak potężnymi murami, że je twierdzą zwano. To przypuszczenie wiele miało prawdopodobieństwa tem bardziej, że pałac na wyspie nie był nigdy zupełnie opuszczonym; przeciwnie, utrzymywano go w stanie świetności i gościły w nim zwykle, przejeżdżające przez Antyochię znakomitości, jak konsule, wodzowie lub sąsiedni królowie. Ponieważ w całym tym gmachu jedna nas tylko obchodzi komnata, pozostawiamy resztę wyobraźni czytelnika, jeśli zechce zwiedzić ogrody, łaźnie, kurytarze i cały labirynt komnat, aż do pawillonów na dachu. Urządzenie tego wszystkiego było nader zbytkowne; nie należy bowiem zapominać, że to pałac w grodzie bliższym owego „wspaniałego

^{*)} Kolosalnością — czyli ogromem. ^{**)} Architektonika klasyczna — sposób budowania, pod względem formy, podług wzorów najdoskonalszych.

Wschodu“, który tak zachwycająco opisuje Milton,*) niż jakiegokolwiek inne miasto na świecie.

Komnatę, do której teraz wejdziemy, nazwanoby dzisiaj salonem; była obszerną, posadzka lśniła marmurem, a światło wpadało oknami zaopatrzonemi kolorową miką,**) zastępującą terazniejsze szyby. Jednostajność ścian urozmaicały posągi Atlasa***) i jego cór w rozmaitych postawach, podtrzymując gzyms zdobny niezmiernie rozmaitemi arabeskami i mieszaniną barw: niebieskiej, zielonej, purpurowej i złotej. Wkoło ścian znajdował się dywan z indyjskiego jedwabiu i wełny kaszmirskiej utkany.

Umeblowanie stanowiły stoły i stołki dziwaczного egipskiego kształtu.

Niech więc Simonides myśli o oczekiwanym królu i układa, w jaki sposób mu pomoże, a Estera niech śpi wśród złotych snów. My, przejdźmy most na rzece, bramą bacznie strzeżoną, mińmy iście babilońską liczbę krętych kurytarzy, podwórzy i wejdźmy do owej złoconej komnaty.

Od stropu zwiesza się pięć świeczników, po jednym w każdym rogu, a piąty, największy, w środku. Świeczniki te, niby piramidy lamp płonących, rzucały światło jaskrawe na demoniczne oblicza Atlasów i różnobarwne ozdoby gzymsu. Wkoło stołów zgromadziło się około stu osób, którym się przypatrzyć musimy.

Wszyscy byli młodzi, niektórzy jeszcze nawet chłopcy. Bez żadnej wątpliwości są to Italowie a najwięcej Rzymian, bo mówią czystą łaciną i noszą suknie, jakich używają w domu mieszkańcy wielkiej stolicy nad Tybrem. Tuniki ich, o krótkich rękawach, nadają się wybornie do klimatu Antyochii, a krój ich szczególnie wygodnym się zdaje w dusznej atmosferze komnaty; togi i suknie, niektóre bogato i nie bez znaczenia purpurą lamowane, leżą na dywanie porzucone. Gdzie niegdzie wśród tych szat widać śpiących, wygodnie rozciągniętych młodzieńców; czy ich powaliło zmęczenie

*) Milton, sławny poeta angielski. **) Mika czyli łyszczyk — płyty mineralne, bywają w rozmaitych kolorach, także perłowej konchy. ***) Atlas, bożek skazany za przypuszczenie szturm do nieba, na dźwiganie na swych barkach sklepienia niebios. Starożytni mniemali, że sklepienie nieba musi spoczywać na jakimś stałym punkcie.

po skwarnym dniu, czy hojne na cześć Bachusa libacye, nie chcemy rozstrzygać.

Gwar tu nieustanny. — Słysząc czasem wybuchy śmiechu, to głośne oznaki gniewu lub radości, — ale wszystko przygłusza stuk, czy odgłos, dziwnie dla nieobeznanego brzmiący. Przybliżywszy się do stołów, zrozumiemy tajemnicę, bo zebrane tu towarzystwo zabawia się ulubioną grą w kości lub warcaby. Któż są ci goście?

— Miły Flawiuszu — mówi jeden z grających, trzymając kość w palcach — widzisz moją suknię tam na dywanie naprzeciw nas. To całkiem nowa suknia, a sprzączka, co ją spina na ramieniu, ze szczerzego złota i duża jak moja ręka.

— To i cóż? — odparł Flawiusz, grą tylko zajęty. — Widziałem takich dużo; może twój płaszcz nie stary, ale nie jest też wcale nowy. Cóż zresztą?

— Nie. Tylko dałbym tę suknię temu, ktoby mi pokazał człowieka wiedzącego wszystko.

— Ba — jeśli tylko tyle, to taniej mieć go możesz, bo wskażę ci tu kilku, nawet takich co purpurę noszą, a podejmą się uczynić ci zadość. Grajże.

— Oto — wygrałem.

— Czy tak? Na Jowisza! no i cóż? Czy zagramy jeszcze?

— Dobrze, niech i tak będzie.

— Jaka stawka?

— Sestercya.

Każdy z nich zapisał sobie sumę na tabliczce; a gdy układali dalszą grę, Flawiusz wrócił do poprzedniej uwagi swego towarzysza.

— Człowieka, któryby wszystko wiedział! Na Herkulesa, jeśli by takich łatwo znaleźć, to wyrocznie chleb stracą. Czegóż byś chciał od takiego potwora?

— Musiałby mi dać odpowiedź na jedno pytanie; a potem, na Jowisza, karkbym mu skreślił.

— Jakież to pytanie?

— Chciałbym, aby mi powiedział godzinę... nie, minutę, w której Maksencyusz jutro przyjedzie.

— Doskonałe posunięcie... mam cię!... Dlaczegoż minutę?

— Nie stałżeś nigdy z odkrytą głową na syryjskiem wybrzeżu,

gdzie wyląduje? Na ojca Romulusa,*) nie tak parzą ognie Westy;**)
a ja wiem, że umrę, ale chcę umierać w Rzymie. Ha! na bogi, po-
konalesz mnie, Flawiuszu! Przegrałem. O Fortuno, jakże zmienne
twoje łaski!

— Czy gramy jeszcze?

— Muszę przecież odegrać moją sesterceję.

— Niech i tak będzie.

— I grali dalej, a gdy blask dzienny począł walczyć ze światłem
lamp, siedzieli jeszcze przy tym samym stole. Należeli oni, jak i wię-
ksza część tegoż towarzystwa, do świty konsula; bawiąc się, czekali
na niego.

— W czasie powyższej rozmowy nowe towarzystwo weszło do
sali i niespostrzeżone od nikogo zbliżyło się ku głównemu stołowi.
Nowo przybyli wracali widocznie z co dopiero ukończonej uczty; kilku
zaledwo trzymało się na nogach; jeden, w wieńcu na głowie, zdawał
się być przewodniczącym, a może fundatorem całej zabawy. Nie zda-
wał się być pijanym, przeciwnie, gorąco wina podniosło tylko wdzięk
jego czysto rzymskiej urody. Głowę niósł wyniosłe, krew rumieniła
mu usta i policzki, oczy jasnym świeciły blaskiem; ale sposób, w jaki
niósł togę, był trochę za zuchwały jak na człowieka trzeźwego. Szedł
śmiało ku stołowi, robiąc miejsce swemu otoczeniu z pewną bezwzględ-
nością. Gdy stanął i popatrzył na grających, wszyscy rzucili się ku
niemu z głośnym okrzykiem powitania.

— Messala! Messala! — wołali.

Ci, co się znajdowali dalej, powtórzyli ten okrzyk ze swego
miejsca. Za chwilę całe towarzystwo zbliżyło się ku środkowi.

Messala przyjął to odszczególnienie na pozór obojętnie; przecież
pragnął skorzystać z tej sposobności i przekonać wszystkich, jak
bardzo był lubiany i z jakich przyczyn.

Zdrowie twoje, Druzusiel — rzekł do najbliższej grającego — Po-
zwól mi swojej tabliczki na chwilę.

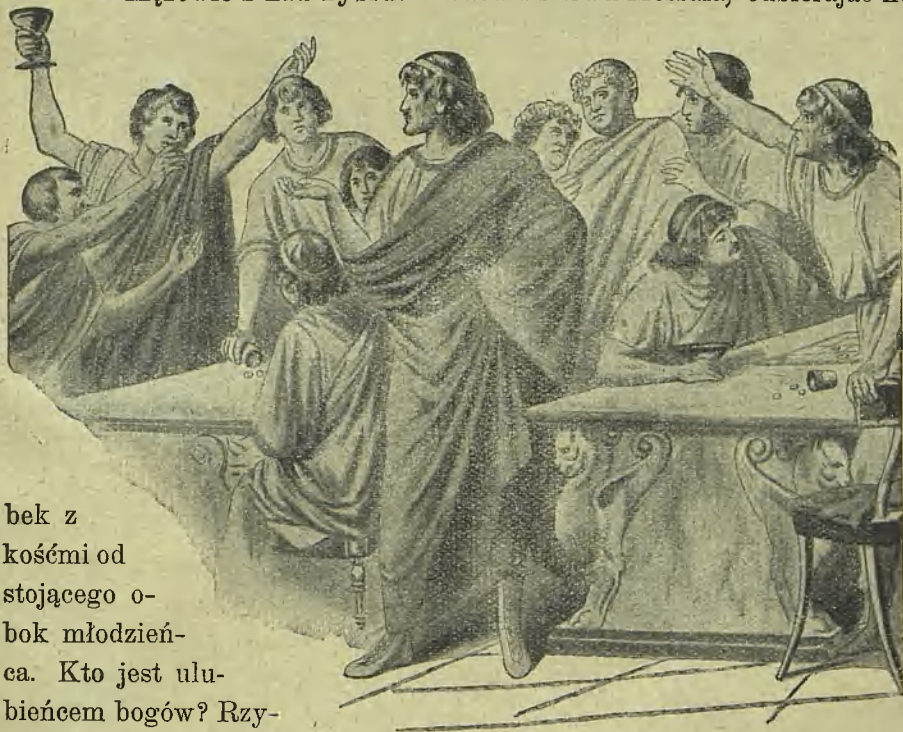
Podniósł do oczu woskową tabliczkę, przeliczył zapisane zakłady
i rzucił je z pewnym rodzajem wzgardy na stół, mówiąc:

*) Romulus, według podania, założyciel i pierwszy król Rzymu. **) Westa,
bogini ogniska domowego.

— Denary i tylko denary — moneta rzeźników i fornali. — Na pijanego syna Semeli,*) na co to Rzym schodzi! gdy wnuk Cezara czuwa noce całe, aby mu nędzny denar Fortuna przyniosła.

Potomek Druzusa zaczerwienił się po uszy, a otaczający zagłuszyli jego odpowiedź, spiesząc do stołu wśród wykrzykników na cześć Messali.

— Mężowie z nad Tybru! — mówił znowu Messala, odbierając ku-



bek z
kośćmi od
stojącego o-
bok młodzień-
ca. Kto jest ulu-
bieńcem bogów? Rzy-
mianin. Kto narodom
nadaje prawa? Rzymianin. Kto prawem miecza panuje nad światem?
Tu już całe towarzystwo wyprzedziło go w odpowiedzi i zawołało
chórem:

— Rzymianin, Rzymianin!

— A przecież.... a przecież — rzekł zwolna, aby tem łacniej uwiezić ich uwagę — a przecież jest ktoś lepszy od najlepszego Rzymianina.

Zamilkł i wstrząsnął dumnie swą patrycyuszowską głową, jakby chcąc słowa swoje jeszcze zaostrzyć; a gdy towarzysze milczeli, powtórzył pytanie:

*) Semela, matka Bachusa, bożka wina — pijaństwa.

— Czy słyszycie, jest ktoś lepszy od najlepszego Rzymianina!

— Herkules! — zakrzyknął ktoś z tłumu.

— Bachus! — podsunął jakiś satyryk.

— Jowisz — Jowisz! — wołali wszyscy.

— Nie — odparł Messala — szukajcie raczej wśród ludzi.

— Powiedz jego imię, nazwij go — krzyczeli.

— Nazwie — rzekł, gdy okrzyki przycichły. — Ten, który do doskonałych przymiotów Rzymianina dodaje doskonałe przymioty człowieka Wschodu. Ten, który zwycięzców Zachodu uczy sztuki korzystania z wschodnich zdobyczy, słowem, uczy rozkoszy Wschodu.

— Na Appolina, to przecież ten najlepszy, to jeszcze zawsze Rzymianin! — zauważył ktoś wśród głośnego śmiechu i oklasków, świadczących, że przemowa Messali zainteresowała wszystkich.

— Wschód — mówił dalej — nie zna bogów, ale za to wielbi wino, kobiety i Fortunę, a najwięcej tę ostatnią; dla tego też hasło nasze brzmi: — Kto się odważy na to, co ja? Wszędzie da się to hasło zastósować, czy to w bitwie, czy w senacie; a najbardziej przystoi temu, kto szukając najlepszego, nie zadrży przed najgorszym.

Mowca zmienił teraz głos, przybierając lekki, przyjacielski wyraz, bez zatarcia owej wyższości, która go cechowała i którą mu co dopiero przyznano.

— W wielkiej skrzyni na cytadeli mam pięć talentów w doskonałej monecie, a oto kwity na nie. — Mówiąc to, wyjął z tuniki rolkę pergaminów i rzucił je na stół. Cisza panowała zupełna, a wszystkich oczy zwróciły się ku niemu.

— Suma ta jest miarą tego, na co się mogę odważyć. Kto z was odważy się na tyle? Milczycie... więc suma za wielka? Dobrze — cofam jeden talent. Cóż, jeszcze nikt? Chodźcie więc i grajcie o trzy talenta — tylko o trzy... i to nie? A więc stawiam dwa... jeszcze nie? — Niech będzie jeden — jeden bodaj na cześć rzeki, nad którąście światło dzienne ujrzeni — Rzym wschodni przeciw zachodniemu! Barbarzyński Orontes przeciw świętemu Tybrowi!

— Orontes przeciw Tybrowi — powtórzył z pogardliwym uśmiechem. Jednak nikt się nie ruszył, co widząc Messala, rzucił kubek na stół i śmiejąc się, schował napowrót kwity.

— Ha, ha, ha! Wiem już, na olimpijskiego Jowisza, dokąd dąży-cie: chcecie robić lub powiększyć majątki i po to przybyliście do An-tyochii. Hola, Cecyliuszu!

— Oto jestem, Messalo — zawołał człowiek za nim stojący — jestem tu i ginę w tłumie, żebrać na próżno o drachmę, aby zapłacić wściekłego wioślarza, co mnie tu przywiózł. Niech mnie porwie Pluto *) jeśli ci nowo przybyli mają wszyscy choć obola **) przy sobie.

Słowa te wywołały szalony śmiech, który rozległ się po całej sali; jeden Messala pozostał poważnym i zimnym.

— Idź — rzekł do Cecyliusza — idź, skąd przybywamy, i niechaj służba przyniesie wina, kubki i puhary. Skoro ci nasi rodacy, co tu przybyli szukać fortuny, nie mają sakiewek, to na syryjskiego Bachusa, chcę się dowiedzieć, czy mają przynajmniej dobre żołądki. Spiesz się!

Potem zwrócił się do Druzusa z głośnym śmiechem: — Ha, ha, przyjacielu! Nie gniewaj się, żem się źle wyraził o tobie, jako krew-ny-m Cezara, z powodu denara. Użyłem, widzisz, tylko imienia, aby was wypróbować, latorośle Rzymu. Chodź Druzusie, chodź! — To mówiąc, wziął kubek i wstrząsnął kośćmi: — No! na zgodę i szczęście, zagrajmy, wymień jakąkolwiek sumę.

Obejście Messali miało w sobie wiele ciepła i serdeczności. Dru-zus zmiękł w jednej chwili.

— Na Nimfy, niech i tak będzie — rzekł śmiejąc się. — Będę z to-bą rzucał kości o denara.

Przez stół patrzył na grających młodzieniec, raczej wyrostek; nagle Messala zwrócił się do niego i zapytał:

— Coś ty za jeden?

Chłopiec cofnął się.

— Na Kastora *** i jego brata! nie chciałem cię obrazić. Zwy-czajem jest, między ludźmi tem ściślej-sze prowadzić rachunki, im sprawa mniejszej wagi. Potrzebuję więc pomocnika; chceszzże mi służyć?

Młodzieniec dobył tabliczki i gotów był do rachunku.

*) Pluto, dawca bogactw, bóg państwa podziemnego. **) Obol, drobna mo-neta grecka. ***) Kastor i Poluks, synowie (bliźnięta) Zeusa, bożkowie zorzy po-rannej i wieczornej, opiekunowie żeglarsstwa.

Sposób obejścia Messali ujmował wszystkich.

— Czekajno, czekaj, Messalo! — wołał Druzus. — Panuje wprawdzie przesąd, że nie należy rozmawiać, gdy się ktoś właśnie do rzucenia kości zabiera, ale nie mogę powstrzymać ciekawości.

— Zaczniij od pytania, a ja już rzucone kości kubkiem zakryję, abyś ich nie widział, ot tak. — Mówiąc to, nakrył kości kubkiem.

Druzus pytał: — Czy widziałeś kiedy Kwintusa Aryusza?

— Duumwira?

— Nie, jego syna.

— Nie wiedziałem wcale, że duumwir miał syna.

— Mniejsza o to — rzekł Druzus obojętnie — ale to prawda, Messalo, że Pollux nie był chyba podobniejszym Kastorowi, jak ty Aryuszowi.

Na uwagę tę zawtórowało dwadzieścia głosów :

— Prawda, prawda! Takież oczy, takąż twarz.

— Cóż znowu! — rzekł ktoś pogardliwie — Messala jest Rzymianinem, a Aryusz Żydem.

— To prawda — potwierdził ktoś trzeci — jest Żydem.

Już zaczynała się wywiązywać utarczka na słowa, co widząc Messala, odezwał się pośrednicząco: — Niema jeszcze wina, Druzusie; co się zaś tyczy Aryusza, chętnie wierzę zdaniu twemu, ale pragnąłbym coś więcej o nim się dowiedzieć.

— Zaraz powiem, a klnę się na bogi, że — czy jest Rzymianinem, czy Żydem, nie mówię tego, aby ci uchybić, Messalo, ale — Aryusz jest pięknym, odważnym i rozumnym. Nie przyjął ofiarowywanych mu względów Cezara, wogóle otacza się tajemnicą i trzyma się od nas w oddaleniu, jakby się czuł lepszym lub gorszym. W palestrze i szkole szermierki nie miał równego sobie; walczył i zwyciężał modrookich olbrzymów z nad Renu, lub byków z Sarmacyi, jakby to były wiązki miękkiej łożyny. Duumwir zostawił mu wielki majątek, że jednak ma zamiłowanie do broni, wojna jest jego żywiołem. Maksencjusz przyjął go do swego orszaku i miał z nami płynąć, ale gdzieś się zapodział w Ravninie. Wiem jednak, że przybył cało, — dziś rano słyszałem o nim. I znowu zamiast przyjść do pałacu lub cyta-deli, zakwaterował się w gospodzie i jak zwykle, zniknął.

Z początku słuchał Messala obojętnie, w miarę jednak, jak mówił opowiadający, coraz to więcej się zaciekawiał; a na końcu zdjął rękę z kubka i zawołał: Hej, Kajusie! słyszysz?

Na to jeden z młodzieńców, stojących w pobliżu, a był nim ów towarzysz Messali na torze wyścigowym, zadowolony z wezwania, odpowiedział:

— Nie byłbym przyjacielem twoim, gdybym nie słyszał.

— Spodziewam się, że pamiętasz człowieka, który cię dziś z wozu strącił?

— Alboż to na przypomnienie nie czuję stłuczenia w ramieniu! — i poparł swe słowa wzruszeniem ramion.

— No, to dziękuj losowi, który mi pozwolił znaleźć twego nieprzyjaciela. Słuchaj dalej.

Tu Messala zwrócił się do Druzusa.

— Opowiedz nam co więcej o tym, co jest Żydem i Rzymianinem równocześnie. Na Feba,*) to zestawienie doskonalsze jest i może wytworzyć połączenie lepsze od Centaura!**)

— Po żydowsku!

— Słyszysz, Kajusie — mówił Messala — ten człowiek po pierwsze, jest młody; po drugie, ma twarz rzymską; po trzecie, nosi suknie żydowskie; po czwarte, pokonuje konie, przewraca wozy, stósonie do okoliczności. Pomóżże przecież memu przyjacielowi, Druzusie, i powiedz, że ten Aryusz posiada różne języki, bo inaczej nie mógłby być dziś Żydem, jutro Rzymianinem; wątpię jednak, żali włada świetnym językiem Aten?***)

— Mogę cię upewnić, Messalo, że mówi tak czysto, iż mógłby nawet walczyć na Istmusie.

— Słyszysz, Kajusie? — mówił Messala — potrafi zgrabnie rozmawiać z kobietą po grecku; to już mego rachunku punkt piąty. Cóż ty na to?

— Ty go znalazłeś, Messalo — odparł Kajus — albo sam o sobie zwątpić muszę.

*) Febus (jaśniejący), Bóg słońca, przydomek dawany Apolonowi. **) Centaurus, w powieściach o bogach w starożytności oznacza pół człowieka i pół konia.

***) Ateny, stolica Grecji.

— Przepraszam cię, Kajusie, i was wszystkich, co tu jesteście, że rozmawiam zagadkami — rzekł Messala ujmująco. — Na wszystkie bogi, nie będę nadużywał długo waszej grzeczności, ale pomożcie mi zagadkę to rozwiązać. Patrzcie! — tu znów rękę na kubku położył i śmiejąc się, mówił dalej. — Patrzcie tu, tak blisko mam Pytie i ich tajemnicze wróżby! Zdaje mi się, że mówiłeś o jakiejś tajemnicy między Aryuszem a jego synem, wszak tak?

— Historyja jego nie jest tajemnicą — odparł Druzus — a wszyscy wiedzą, że gdy Aryusz ojciec popłynął na morze, aby ścigać korsarzy, nie miał ani żony ani rodziny. Wrócił zaś z chłopcem, tym, o którym mówimy, i następnego dnia adoptował go.

— Adoptował go? — powtórzył Messala. — Powieść twoja zajmuje mnie! Gdzież duumwir mógł znaleźć chłopca?

— Na to chyba nikt ci nie zdoła odpowiedzieć, Messalo. Chyba sam Aryusz. Słyszałem, że duumwir wśród bitwy stracił galere, inna galera znalazła go walczącym z bałwanami na kruchej desce i w towarzystwie młodego chłopca, który mu życie ocalił. Opowiadał mi tę historję jeden z tych, którzy na owej ratunkowej znajdowali się galerce; stąd nikt nie może prawdziwości słów tych zaprzeczyć. W końcu dodam, że mówiono, jakoby towarzysz duumwira był Żydem.

— Żydem?... — powtórzył Messala.

— I niewolnikiem.

— Jakto, Druzusie, niewolnikiem?...

— Gdy ich na okręt zabrano, duumwir miał zbroję trybuna, a ów ubranie wioślarza.

Messala już się nie opierał o stół.

— Wiośl... — połknął wyraz i spojrzał wkoło wzrokiem po raz pierwszy w życiu zmieszanym. W tej chwili właśnie wszedł szereg niewolników do sali, jedni nieśli wielkie amfory *) i czary z winem, inni koszyki z owocami i cukrami, inni jeszcze puhary i kubki, a prawie wszystko srebrne.

Widok ten dodał Messali natchnienia i siły; za chwilę stał na stołku i mówił dźwięcznym głosem:

*) Amfory, naczynia podobne do dzbanów.

— Mężowie z nad Tybru, pozwólcie nam zmienić oczekiwanie wodza na ucztę Bachusa. Kogo wybieriecie na przełożonego?

Druzus wstał.



— Komuż przystoi być pierwszym wobec fundatora? — rzekł.

— Odpowiedzcież Rzymianie!

Zgromadzeni potwierdzili wybór okrzykiem.

Messala zdjął wieniec z głowy i podał go Druzusowi, a ten wszedł na stół i w obliczu wszystkich uwieńczył Messalę, czyniąc go panem uczt.

— Razem ze mną przyszło kilku przyjaciół wprost z uczty. Aby ta nowa biesiada zaczęła się zgodnie ze starym, świętym obyczajem, należy tu przynieść tego, którego najzupełniej zmógł słodki sok winnej jagody.

Wiele głosów wołało: Oto on, oto on!

Nareszcie dźwignięto z podłogi młodzieńca, tak nadzwyczajnej piękności, że zaiste mógłby przedstawiać samego bożka pijaństwa, tylko — korona spadłaby mu z głowy a ręka nie zdołałaby utrzymać tyrsu. *)

— Posadźcie go na stół — rzekł przełożony.

Nie mógł siedzieć.

— Pomóż mu, Druzusie.

Druzus wziął nieprzytomnego w swoje ramiona.

Potem zwrócił się Messala do upitego i rzekł wśród ogólnego milczenia: O Bachusie, największy z bogów, sprzyjaj nam dzisiaj; a w moim i moich towarzyszy imieniu złożę ten wieniec na twoim ołtarzu w gaju Dafny.

Pochylił się, włożył znów wieniec na głowę, zdjął kubek, który pokrywał rzucone kości, i rzekł z uśmiechem: Patrz, Druzusie, moim jest denar.

Okrzyki wstrzęsły salą, że posągi Atlasów zadrżały. Orgia się rozpoczęła.

ROZDZIAŁ XIX.

Szeik Ilderim miał wielkie znaczenie, którego nie mógł i nie chciał zachwiać przez nieodpowiednie stanowi swojemu wystąpienie. Musiał dbać o sławę swego pokolenia, jak to przystoi księciu patoryarsze, najbogatszemu z książąt na całej pustyni wschodnio-syryjskiej. Dzięki tej przezorności, uchodził i w miastach za najmożniejszego władcę na całym Wschodzie.

Sława ta była słuszną, gdyż rzeczywiście bogatym był w pieniądze, sługi, wielbłądy, konie i wszelaką trzodę... Nie też dziwnego,

*) Tyrs czyli tyrsos, laska, dokoła której wił się powój, później z koroną jabłek piniolowych.

że mając dostatki, lubił pewną wystawność i zbytkowną wygodę, wysoko na Wschodzie cenioną, która go podnosiła nie tylko w oczach własnych, ale dawała mu znaczenie u obcych. Gdy gościł w Gaju palmowym, jeszcze większą wytwornością się otaczał. Miał tam trzy duże namioty. Jeden z tych namiotów był przeznaczony dla niego samego, drugi dla gości, a trzeci dla ulubionej żony i jej orszaku. — Prócz owych głównych namiotów, były i mniejsze, które zajmowali słudzy i ludzie stanowiący orszak Szeika. Ludzi tych wybrał wśród pokolenia sam Ilderim między najodważniejszymi; byli to ludzie silni i waleczni, umiejący się obchodzić z koniem, łukiem i oszczepem.

Wprawdzie mienie Ilderima nie podlegało w Gaju żadnemu niebezpieczeństwu, ale jednak, będąc z przyzwyczajenia, które jest drugą naturą ludzką, ostrożnym, umieścił wielbłądy, kozy i krowy w miejscu, które otaczały namioty, aby snąc lew lub złodziej o zdobycz się nie pokusił. Czynił to także dlatego, aby porządku i karności nigdy nie rozluźniać.

Nie zmieniając nigdy sposobu życia, zachowywał Ilderim obyczaje swego narodu, a życie w Gaju było tylko dalszym ciągiem życia w pustyni, prawdziwie patryarchalne, jakiem żyli dawni pasterze izraelscy.

Każdą razą, gdy przybywał na nowo do Gaju, ceremonia osiedlin odbywała się zawsze w niezmienny sposób. Ilderim zatrzymywał konia na miejscu, które mu się wydało najdogodniejszym i wbijał w nie dzidę, mówiąc: tu rozbijecie namiot, wejście będzie od południa, jezioro przed wejściem, a u stóp tych oto palm, dzieci pustyni, będziemy co dnia podziwiać zachód słońca.

Wymawiając słowa te, zbliżył się do grupy, składającej się z trzech wielkich palm, po jednej z nich potarł ręką, jak gdyby głąskając grzywę konia lub ukochane dziecko. Któż więcej jak Szeik może mieć prawo wstrzymać karawanę i oznaczyć miejsce do rozbicia namiotu? To też natychmiast wyjęto włócznię z ziemi, a w otwór, który pozostał, utkwiono pierwszy pal jako podpórę namiotu; dokoła tegoż wbito w równych odstępach ośm innych pali w trzech rzędach.

Skoro pale już tkwiły w ziemi, przystąpiły kobiety i dzieci i rozpakowały tkaniny i kobierce, które na grzbietach wielbłądów się znajdowały. Któż, jeśli nie niewiasty miały się zająć tą pracą? Wszak to one strzygły brunatną sierść kóz, one przedły z niej nici, a z nici utkały płótno. Wszakże to one pozszywały potem kosztowne tkaniny i stworzyły szczelnie chroniący dach.

Ileż to śmiechu, ile żartów brzmiało w orszaku Szeika, gdy rozciągano tkaniny od pala do pala, przymocowując je trwałymi kołkami. A gdy nareszcie obwieszono ściany kosztownymi matami i stanął namiot taki sam, jak na pustyni, i wydał im się piękny, czekali tylko na po-



chwałę dobrotliwego pana! Gdy wszedł i obejrzał sobie położenie namiotu, wejście, jezioro, słońce i drzewa palmowe, rzekł, zacierając z zadowoleniem ręce: bardzo dobrze! Przysposóbcie sobie legowiska, jako umiecie, a wieczorem będziemy doprawiać chleb arakiem, a mleko miodem; każde ognisko otrzyma jagnię. Bóg z wami! Nie zabraknie nam wody, bo jezioro będzie naszym źródłem, a trzody i juczne zwierzęta znajdują dostateczną paszę. Bóg z wami, dzieci moje! Idźcie!

Z radosnymi okrzykami rozbiegło się wszystko, aby i sobie przysposobić mieszkania. Kilku pozostało, aby urządzić wewnątrz Szeikowego namiotu. Służebni zawiesili kotarę u głównego pała, dzieląc tym sposobem cały namiot na dwie połowy; pierwszą, po prawej stronie, miał zamieszkać Ilderim, drugą jego rumaki. Koniuszowie wprowadzili w przegrodę pieszcząc i głaskając zwierzęta, jak najmilsze dzieci. Około środkowego słupu ułożono broń: piki, pociski, łuki, strzały i tarcze; nad niemi wisiała szabla władcy kształtu księżyca na nowiu. Światło dzienne ubiegało się o lepsze z blaskiem klejnotów, którymi była wysadzana rękojeść. Na przeciwnej ścianie namiotu lśniły znów uprząże koni, a świetność ich przypominała świetność liberyi sług królewskich. Suknie pana, jego szaty wełniane i sukienne, tuniki i barwiste chusty na zawoje zajmowały mniej widoczny zakątek.

Tymczasem kobiety zajęły się rozpakowaniem jak i rozłożeniem dywanów, Szeikowi równie niezbędnych, jak jego własna broda, spadająca na piersi. Zabierając się do tej ważnej roboty, rozłożyły drewnianą ramę z trzech części prostokątnych złożoną, zwracając otwór do drzwi. Ramę tę pokryły następnie poduszkami i kapą z bronzowej złotem przerabianej tkaniny, tworząc siedzenie; w rogach prostokątu umieściły oparcia i wałki obleczone w niebieskie i purpurowe sukno. U stóp dywanu rozłożyły kobierzec, sięgający aż do wejścia. Potem napełniły wodą dzbany i zawiesiły skórzanе wory z mocnym napojem na właściwych miejscach. Któryż Arab nie mieniłby Ilderima, w namiocie nad jeziorem słodkiej wody, w cieniu drzew Palmowego gaju najszcześliwszym z ludzi?

Taki był namiot, u którego progu zostawiliśmy Ben-Hura. Słudzy czekali na rozkazy pana, jeden zdejmował mu sandały, drugi

rozwiązywał rzymskie trzewiki Ben-Hura, poczem obaj zrzucili kurzem pokryte płaszcze podróżne, a włożyli cienkie płóciennie opończe.

— Witam cię w Imię Boga, wejdź i spocznij — rzekł gospodarz serdecznie do gościa językiem używanym na rynku jerozolimskim, prowadząc go do dywanu.

— Ja usiedzę tutaj — mówił dalej, wskazując miejsce — a mój gość tu.

Służebnica złożyła natychmiast za danym znakiem poduszki i wałki, aby stanowiły wygodne wezglowie; poczem obaj usiedli, a ona umyła im nogi wodą z jeziora przyniesioną i obtarła ręcznikami umyślnie na ten cel przygotowanymi.

— U nas, na pustyni mówią — zaczął Ilderim, głaszcząc brodę i dzieląc ją cienkimi palcami — że chęć do jadła wróży długie życie. Czy chcesz jeść?

— Stosownie do tego co mówisz, czeigodny Szeiku, powinienbym żyć setki lat, bo oto jestem u drzwi twoich jako lew zgłodniały — odparł Ben-Hur.

— Nie odprowadzę cię jako lwa, ale przeciwnie dostaniesz najlepsze jagnię z mojej trzody.

Ilderim klasnął w ręce.

— Idź do cudzoziemca w gościnnym namiocie i powiedz mu, że ja, Ilderim, życzę mu pokoju.

Sługa skłonił się.

— Powiedz mu również — ciągnął dalej Ilderim — że wróciłem z gościem, z którym łamać będę chleb; jeśli więc Baltazar Mądry zechce wspólnie z nami się podzielić, to będzie nas trzech; a dla ptaków jeszcze zostanie.

Sługa opuścił namiot, a gospodarz rzekł:

— Wypocznijmy teraz.

Mówiąc te słowa, usiadł Ilderim na dywanie sposobem, jakim dotąd siadają kupcy w bazarze w Damaszku,*) a umieściwszy się wygodnie, rzekł poważnie: Gdy jesteś moim gościem, piłeś ze mną, a wkrótce masz spożywać sól, nie obrażę cię, gdy zapytam: kim jesteś?

— Szeiku Ilderimie — rzekł Ben-Hur, spokojnie znosząc jego bawdawe spojrzenie. — Nie myśl, proszę, iż sobie lekceważę twoje

*) Podwijają nogi.

słuszne pytanie; przypomnij sobie jednak, czy nigdy w twojem życiu nie było chwili, w którejby odpowiedź na takie pytanie nie była zbrodnią przeciw sobie samemu?

— Na wspaniałość Salomona, zaiste, było tak! — odparł Ilderim.
— Zdrada samego siebie, bywa często zdradą całego pokolenia!

— Dzięki, dzięki ci, czcigodny Szeiku — zawołał Ben-Hur z za-



pałem. — Nigdy nie daleś lepszej odpowiedzi. Z niej widzę, że porzucasz na zapewnieniu, iż nie zawiodę zaufania, o które błagam, co więcej, będziesz je wyżej cenił niż opowieść mego nędznego żywota.

Szeik skłonił się, a Ben-Hur spiesznie korzystał ze sposobności i mówił dalej:

— Ponieważ raczysz mi przychylić ucha, więc oznajmiam ci, iż nie jestem Rzymianinem, a imię, które noszę, nie jest mojem.

Ilderim na te słowa chwycił się za brodę i spojrzał bystro z pod gęstych i zsuniętych brwi na gościa.

— Dalej — mówił Ben-Hur — jestem Izraelitą z pokolenia Judy.

Szeik podniósł brwi.

— Co więcej, Szeiku, jestem Żydem i żywię żal do Rzymu, wobec którego twoja krzywda jest zaprawdę troską dziecka.

Starzec gładził brodę z nerwowym pospiechem, a brwi zsunał tak mocno, że zasłaniały błyski jego oczu.

— Nakoniec przysięgam ci na przymierze, które Pan z narodem moim zawarł, że jeśli mi pomożesz do zemsty, której pragnę, pieniądze i sława wyścigów twojami będą.

Brwi Ilderima rozsunały się, głowa podniosła, twarz nabierała swobodnego wyrazu, słowem, niepodobna było nie spostrzedz zadowolenia ogarniającego Araba.

— Dosyć — rzekł. — Jeśli język twój kłamcą jest, to zaiste i Salomon nie byłby wobec ciebie bezpiecznym. Że nie jesteś Rzymianinem i jako Żyd masz nienawiść do Rzymu, wierzę: i na tem mi dość. Inna rzecz, czy posiadasz potrzebną zręczność i wprawę? Umiesz ty prowadzić konie w zaprzęgu? A cóż dopiero takie konie? Ażali potrafisz je opanować do tyle, aby cię znały, aby szły na twe skinienie aż do ostatniego tchu, aby w niebezpieczeństwie życia jeszcze ci były posłuszne? Ten dar, synu mój, nie każdemu jest dany, a zaprawdę znałem króla, co rządził milionami ludzi i był ich samowładnym panem, a przecie konie słuchać go nie chciały... Pojmujesz, że nie mówię tu o tych pospolitych zwierzętach, które są niewolnikami niewolników — nie, nie myślę tu o koniach wyrodzonych krwią i kształtem a pozbawionych ducha — ale o zwierzętach moich. One! one to króle i książęta swego rodzaju, one, potomki Faraonowych stadnin. — One, zwierzęta — a przecież towarzysze i przyjaciele moi, co dzielą mój namiot i moje posłanie, a wzrosły wśród dzieci moich. To obcowanie i wychowanie wyrobiło w nich pewne przymioty ludzkie; z instynktami zwierzęcymi łączą nasz dowcip, ze zmysłami naszą duszę, a pragnienie sławy, miłość, nienawiść i ofiara siebie, czyni z nich bohaterów czasu wojny. Wychowałem je

w wielkim celu, a oddaję ci je w opiekę, jakbym oddawał kochaną i kochającą kobietę. Hej, jest tam który?

Wszedł sługa.

— Przyprowadź araby.

Wezwany uchylił zasłony, dzielącej namiot, i ukazały się konie, które zatrzymały się na chwilę, nie ufając zaproszeniu.

— Chodźcie! -- zawołał Ilderim. — Czego się wahacie, żaliż nie wiecie, że nie posiadam nic, coby nie było waszem? Zbliźcie się!

Konie zwolna i poważnie weszły do mieszkania swego pana.

— Synu Izraela — rzekł Szeik — wasz Mojżesz wielkim był człowiekiem, ale — ha, ha, ha! nie mogę się wstrzymać od pogardliwego śmiechu, gdy pomyślę, że pozwolił ojcom twoim używać pracowitego wołu i powolnego osła, a zabronił posiadać konia. Ha, ha, ha! Zaprawdę nie byłby chyba tak uczynił, gdyby był widział moje konie. O tego — i tego! — Mówiąc te słowa, kładł rękę na głowie najbliższego zwierzęcia i głaskał je z dumą.

— To, co mówisz, nie jest prawdą — rzekł Ben-Hur gorąco. — Mojżesz był zarówno wojownikiem jak prawodawcą, od Boga umiłowanym. Żaliż wojować, walczyć nie znaczy toż samo, co kochać stworzenia pokrewne tak, jako i tamte?

Zgrabny łeb koński z wielkimi oczami, łagodnemi, jak oczy łani a przysłoniętymi spadającą na czoło grzywą, o małych spiczastych i naprzód wysuniętych uszach, przysunął się w tej chwili ku Ben-Hurowi, aż oparł się na jego piersi i rozwierając nozdrza, zdawał się pytać: — Ktoś ty za jeden? Młodzieniec poznał jednego z czwórki na wyścigach widzianej. — Powitał mądre zwierzę, wyciągając doń rękę.

— O bluźniercy, oby ich dni przeminęły! — mówił Szeik z uczuciem człowieka, własnej broniącego sławy. — Ośmielają się mówić, że nasze konie pełnej krwi pochodzą z nizejskich pastwisk w Persyi. Prawda, pierwszemu Arabowi dał Bóg niezmierzoną przestrzeń piasku, kilka łysych wzgórz i rozsiane gdzie niegdzie źródła gorzkie, mówiąc: — Patrz, oto twój kraj. — Biedny człowiek żalił się swej nędzy, a Pan ulitował się i rzekł: — Nie lękaj się, bo otrzymasz podwójne błogosławieństwo! — Arab złożył dzięki i z wiarą poszedł szukać obiecaney pomyślności. Przeszedł kraj wokoło — i nie znalazł nic; poszedł

w głąb pustyni i szedł nią, gdy nagle w sercu pustyni ujrzał zieloną wyspę, a wśród bujnej zieloności stada wielbłądów i koni. Odtąd chował te zwierzęta starannie i strzegł z miłością, jakiej były godne jako najlepsze dary Przedwiecznego. Z tej zielonej wyspy pochodzą wszystkie konie na ziemi, nawet te na pastwiskach niższych. Później dostały się aż na północ do nizin, gdzie dmą wiatry od morza „zimnych wichrów.“ — Wierz, że to wszystko jest prawdą, a gdyby nią nie było, to niech już żaden amulet*) nie ma siły dla Araba.

— Jednak posiadam i dowody.

Klasnął w dłonie.

— Przynieś mi rodowody koni — rzekł do sługi, który wszedł właśnie.

Tymczasem zabawiał się Szeik końmi, głaszcząc i pieszcząc je, nie pomijając żadnego. Wnet weszło sześciu ludzi z szkatułkami z cedrowego drzewa, ozdobnemi i okutemi rzeźbionym mosiądzem.

— No — rzekł Ilderim, skoro je postawiono na kobiercu: — Nie chciałem wszystkich, tylko rejestra tych tu koni, podajcie je więc, a resztę odnieście.

Skoro otworzył szkatułkę, ujrzał Ben-Hur, iż była napełniona tabliczkami z kości słoniowej. Pewna ilość tabliczek nawleczoną była na pierścień z srebrnego drutu, a że nie były grubsze od opłatków, więc na każdej obrączce znajdowały się takich tabliczek tysiące.

— Słyszałem — rzekł Ilderim, biorąc kilka pierścieni w rękę — słyszałem, z jakim staraniem i trudem starsi i uczeni w Piśmie zapisują w świątyni świętego miasta imiona nowonarodzonych, aby każdy syn Izraela mógł wykazać swych przodków od samego początku, choćby nawet od Patryarchów. Moi ojcowie, niechaj ich pamięć przez wieki kwitnie! nie mieli sobie za grzech stósować tego zwyczaju do swych niemych sług. Zobacz tabliczki! Ben-Hur wziął pierścień, a zdejmując z nich tabliczki zobaczył, że są zapisane grubymi arabskimi hieroglifami, które na powierzchni kości rozpaloną wypalano igłą.

— Czy potrafisz je przeczytać, synu Izraela?

*) Amulet, przedmiot chroniący ludzi, którzy go noszą, od chorób i innych nieszczęść. — Wierzą w to jeszcze ludzie na Wschodzie; my nazywamy to zabobnem.

— Nie — chcąc, bym je ocenił, musisz mi wytłómaczyć te za-
wile znaki.

— Wiedz zatem, że każda tabliczka nosi imię żrebiecia czystej
krwi zrodzonego moim ojcom przez ciąg lat tysiąca, wraz z nazwiskami
jego rodziców. Przypatrz się szczególniej datom, abys tem snadniej
uwierzył.

Niektóre tabliczki były już całkiem starte, a wszystkie poźółkłe
od starości.

— W tej tu szkatule, mogę to śmiało powiedzieć, mam dokładną
i udowodnioną historję rodu tych moich ulubieńców; wiem, skąd
pochodzą, tak te, co przy mnie stoją, jak ten, co się od ciebie
domaga pieśczęoty. — Tak, wierzaj mi, jak one tu weszły na moje
wezwanie, tak przychodziły do ojców moich, pod taki sam namiot
jeść z ich rąk i przyjąć pieśczęotę, i dziękowały za nią, jak
dzieci, bez słów. A teraz, synu Izraelowy, musisz mi wierzyć,
gdy powiem: że gdym ja panem pustyni, to one mymi dostojni-
kami. Zabierz mi je, a stanę się jako człowiek chory, opuszczony
przez karawanę w pustyni i na śmierć skazany. — Im zawdzięczam,
iż wiek nie osłabił grozy, która jest postrachem złoczyńców na dro-
gach między miastami; i zaprawdę tak pozostanie, póki nimi jeździć
będę. Ha, ha, ha! Ileż cudów mógłbym ci opowiedzieć z dziejów ich
przodków! Kiedyś uczynię to, na dziś dość będzie, gdy powiem, że nigdy
nie ustały w pogoni, ani je dopędzono w ucieczce! Ale pamiętaj, że
było to na piaskach pustyni i pod siodłem. Teraz rzecz inna, i troska
moja wielką jest, bo oto pierwszy raz mają iść w jarzmie, i tyle wa-
runków potrzeba do powodzenia. A jednak mają dumę, szybkość
i wytrwałość — to wiele; i dlatego, jeśli znajdą pana, zwyciężą. Synu
Izraelowy! jeśli ty nim będziesz, przysięgam, że dzień, który cię tu
przywiódł, szczęsnym będzie. Mów teraz o sobie.

— Pojmuję teraz — rzekł Ben-Hur — dlaczego Arab kocha
konia najbardziej zaraz po swoich dzieciach; pojmuję także, że dla
tego konie arabskie najlepszymi są na świecie. Naco jednak, czei-
godny Szeiku, mam mówić o mojej zręczności? Wszak słowa i obietnice
ludzkie tak łatwo zawodzą, daj mi lepiej twoją czwórkę w ręce i pozwól
jutro przejechać się nią po równinie.

Twarz Ilderima rozjaśniała radością i chciał coś rzec, gdy go wstrzymał Ben-Hur, mówiąc:

— Wstrzymaj się chwilkę i pozwól mi wypowiedzieć całą moją myśl. Wiele rzeczy uczyłem się od sławnych mistrzów w Rzymie, nie przypuszczając wcale, abym ich nauki tak szybko i w takiej ilości mógł spożytkować. Oto ta nauka mówi mi, a ty, czcigodny Szeiku, przyznasz mi pewnie, że ci synowie pustyni jakkolwiek posiadają szybkość orła a wytrzymałość lwa, to przecie mogą zawieść twe nadzieje, jeśli się nie przyzwyczają razem chodzić w jarzmie. Bo myśl tylko, każdy z nich musi mieć jakiś szczególniejszy przymiot lub właściwą sobie wadę. I tak jeden z czterech koni musi być najszybszy, a jeden najpowolniejszy, bystry biegnie do zwycięstwa, leniwy ciągnie ku porażce. Przyczyną dzisiejszego niepowodzenia było właśnie to, że woźnica nie mógł najgorszego do zgodnego biegu z najlepszym doprowadzić. Moja próba może się równie nie udać, ale cię przed tem ostrzegę i to ci przysięgam. Dlatego też mówię ci, że jeśli zdołam rumaki twoje ujeździć tak, aby szły za moją wolą, cztery jak jeden, to wygrasz wieniec i sesterce, a ja nasycę się zemstą. Cóż na to powiesz?

Ilderim słuchał, gładząc brodę przez chwilę; w końcu rzekł z uśmiechem: — Mamy na pustyni przysłowie, które mówi: Jeśli ugotujesz potrawę czczemi słowami, dam ci morze masła. — Ale ja mam o tobie lepsze wyobrażenie; jutro będziesz miał konie.

W tej chwili jakiś ruch dał się słyszeć u drzwi namiotu.

— Oto wieczera, a i przyjaciel mój Baltazar zbliża się, zapoznasz się z nim; opowiada on rzeczy, które się nigdy nie sprzykrzą Izraelicie. — Po tych słowach odwrócił się do sług i rzekł:

— Zabierzcie rejestra i odprowadźcie rumaki do ich komnaty.

Uczynili, jako im było rozkazano.

Jeśli czytelnik przypomni sobie ucztę mędrców przy ich spotkaniu się na pustyni, to łatwiej zrozumie przygotowania do wieczery w namiocie Ilderima. Cała różnica polega na lepszej usługach i obfitości potraw i naczyń. Na kobiercu przed dywanem położono trzy maty, poczem przyniesiono stół na stopę wysoki, postawiono go, i nakryto suknem. Na boku, pod nadzorem służebnej, rozłożono gliniane przenośne ognisko, a raczaj piec, w którym pieczono chleb

czyli ciasto na gorąco podawane a sporządzone z mąki na żarnach mielonej. Zgrzyt tego pierwotnego narzędzia umieszczonego w sąsiednim namiocie, dochodził uszu gości.

Tymczasem zbliżył się Baltazar do dywanu, przy którym Ilderim i Ben-Hur go oczekiwali. Obszerna, powłóczysta szata okrywała starca, krok niepewny, ruchy powolne i ostróżne czyniły go zależnym od ramienia sługi, który go prowadził.

— Pokój tobie, przyjacielu — rzekł Ilderim — pokój i powitanie.



Egipcyanin podniósł głowę i odparł: Życzę ci również pokoju, tobie i twoim. Niechaj błogosławieństwo prawdziwego, jedyne Boga, będzie z wami.

Zachowanie się starca, łagodne i poważne, wzbudziło szacunek w sercu Ben-Hura; słowa błogosławieństwa i pochylenie głowy jemu były przeznaczone, bo gdy je wymawiał, oczy sędziwego gościa, zapadłe ale świecące, spoczęły na jego twarzy. Spojrzenie to przeciągłe i badawcze, wzbudziło w duszy młodzieńca nowe i tajemnicze uczucie, a tak silne, że w ciągu całej wieczery musiał patrzeć na pomarszczoną i bladą twarz starca, chcąc wyczytać myśli jego. Ile razy poszedł za tym popędem ciekawości, czy serca, zawsze ujrzał wyraz słodki,

spokojny i ufny, jaki nas zachwyca u niewinnych dzieci. Zrozumiał więc, że wyraz ten nie był przelotnym ani udanym, ale właściwy starcowi.

— Oto ten, Baltazarze — rzekł Szeik — który dziś z nami chleb łamać będzie.

Egiptyanin spojrział na młodzieńca i znów wyglądał, jakby niepewny i wątpiący, co widząc Szeik, mówił dalej: przyobiecałem oddać mu konie moje jutro na próbę, jeśli mu pójda za ręką, poprowadzi je w cyrku.

Baltazar patrzył ciągle tak samo.

— Jest mi dobrze polecony — mówił dalej Ilderim, zdziwiony milczeniem przyjaciela — dowiedz się, że jest synem szlachetnego wodza rzymskiego Aryusza, chociaż — tu zawahał się Szeik, jednak skończył z uśmiechem — chociaż powiada, że jest synem izraelskim z pokolenia Judy, a ja, na wielkość Boga, ja wierzę temu, co mówi.

Baltazar nie mógł dłużej milczenia swego nie wytłómaczyć i rzekł:

— Dziś, Dobrotliwy Szeiku, życie moje było w niebezpieczeństwie i byłbym je niewątpliwie postradał, gdyby nie młodzieniec — żywy obraz tego, jeśli nie ten sam — który mnie uratował, gdy wszyscy odbiegli. — To rzekłszy, obrócił się wprost do Ben-Hura i zapytał: — Żali ty nim jesteś?

— Nie mogę temu wprost zaprzeczyć — odparł skromnie. — Ja to bowiem wstrzymałem konie tego śmiałka, gdy najeżdżały na twego wielbłąda u krynicy kastalskiej, a córka twoja dała mi kubek.

Tu wyjął kubek z poza fałd swej tuniki i podał go Baltazarowi.

Twarz Egiptyanina wypogodniała radością. — Pan zesłał mi dziś ciebie u krynicy — rzekł drżącym głosem, wyciągając rękę do Ben-Hura — a teraz sprowadza cię tudotąd. Składam mu dzięki, a ty oddaj Mu cześć, bo oto mogę ci okazać wdzięczność i uczynię to: kubek twoim jest i zachowaj go.

Ben-Hur przyjął dar, a Baltazar domysłając się ciekawości Ilderima z jego wejrzenia, opowiedział zdarzenia u krynicy.

— Jakto? — rzekł Szeik do Ben-Hura — nie rzekłeś mi nie o tem, co starczyło za najlepsze polecenie. Ażaliż nie jestem Arabem? Ażali nie jest on mojem gościem? Nie wieszże, co prawo gościnności mówi, iż złe lub dobre gościowi wyświadczone jest zarazem

mnie uczynione? Gdzież zaiste miałeś odebrać zasłużoną nagrodę, jeśli nie tu? Czyż ręką, jeśli nie moją, dać ci ją miała?

Głos jego przy końcu mowy zaostrzył się bardzo.

— Daruj, czełgodny Szeiku, i pomnij, proszę, że nie przyszedłem tu po żadną nagrodę ani wielką, ani małą. Co więcej, pragnę, bym wolen był od posądzenia: tę samą bowiem przysługę oddałbym był każdemu ze sług twoich.

— Ależ to mój przyjaciel, gość — nie sługa, żali nie widzisz w tem wielkiego szczęścia, wielkiej łaski losu? — Potem zwracając się do Baltazara, mówił dalej: klnę się na wszechmoc Boga: on nie jest Rzymianinem.

Służba kończyła właśnie przygotowania do wieczerzy, na nich więc zwrócił Szeik uwagę. Jeśli czytelnik pamięta historię, którą Baltazar opowiedział na pustyni o sobie, to wyobrazi sobie łatwo, jakie wrażenie bezinteresowność Ben-Hura na nim zrobić musiała. On także pojmował poświęcenie się dla wszystkich bez różnicy, a odkupienie, które mu było w nagrodę obiecane, odkupienie, którego oczekiwał, miało być również odkupieniem wszystkich. To też czyn Ben-Hura, a bardziej jego zapewnienie, że poniósłby ofiarę swego życia dla każdego, wydało mu się jakby echem jego własnej duszy. Zbliżył się więc do młodzieńca i rzekł:

— Jak chciał Szeik, żeby cię nazywać? Zdaje mi się, że to było jakieś rzymskie imię?

— Aryusz, syn Aryusza.

— A przecież nie jesteś Rzymianinem.

— Cała moja rodzina była żydowską.

— Mówisz, że była, czyliżby pomarli?

Pytanie tak proste, a przecież w kłopot wprowadzające. Szczerściem Ilderim uwolnił Ben-Hura od odpowiedzi, wzywając do wieczerzy.

Młodzieniec poprowadził Baltazara bliżej stołu, gdzie wszyscy usiedli wschodnim obyczajem; przyniesiono naczynia do umycia rąk i ręczniki do otarcia, poczem za danym przez Szeika znakiem, słudzy powstali w cichości, a głos Egipcjanina drżący świętem wzruszeniem, rozległ się w namiocie:

— Ojcie wszystkich, Boże! Wszystko co posiadamy, pochodzi od ciebie. Przyjmij nasze dzięki, pobłogosław nam, abyśmy nadal wolę Twoją sprawować mogli!

Było to to samo dziękczynienie, które niegdyś, przed laty Baltazar odmówił wspólnie z braćmi Gasparem Grekiem i Melchiorzem Indyjczykiem na pustyni i które rozmaitemi wypowiedziane językami, było dla nich dowodem obecności Boskiej.

Stół, przy którym zasiedli, pełen był pożywnych i delikatnych specyałów Wschodu. Były tam ciasta prosto z pieca, jarzyny z ogrodów, mięsa osobno lub z jarzynami, mleko, miód i masło, a wszystko w obfitości. Biesiadnicy spożywali i pili w milezeniu, bo byli głodni a nie używali ani noży, ani widelców, ani kubków, ani talerzy. Ponieważ wszyscy byli głodni, rozmawiano z początku mało, dopiero po uczcie rozmawiano z podwojoną ochotą.

W takim towarzystwie, w którym zasiadał Arab, Żyd i Egipcjanin, a wszyscy wierzący w jednego Boga — jakiż w owym czasie mógł być przedmiot rozmowy, jeśli nie Bóg? Któż zaś z tych trzech miał o Nim snadniej mówić, jak nie ten, którego Bóstwo tak było blizkiem, który Je widział zapowiedziane przez gwiazdę, słyszał w głosie i czuł w obecności tego Ducha, co go tak cudownie prowadząc, świadczyć o sobie nakazał!

ROZDZIAŁ XX.

Z powodu cieniów, jakie okoliczne góry rzucały po zachodzie słońca na Gaj palmowy, nie było owego przyjemnego dla strudzonego podróżnika mroku, który stanowi przejście między dniem a nocą. Wobec tak szybko zapadającej nocy wnieśli słudzy do namiotu cztery mosiężne świeczniki i postavili je na rogach stołu. Każdy świecznik miał cztery ramiona, każde zaś ramie dźwigało srebrną lampę z oliwą. Przy tem jasnem, a nawet jarzącem oświetleniu, całe towarzystwo prowadziło dalej rozmowę narzeczem syryjskiem, jakiego w tej części świata powszechnie używano.

Egipcjanin opowiadał dzieje owego spotkania na pustyni i zgodził się z Szeikiem, iż w Grudniu minęło dwadzieścia siedm lat od

owej chwili, kiedy on i jego towarzysze uciekając przed Herodem, stanęli u namiotu, prosząc o schronienie. Słuchano opowiadania z zajęciem, nawet słudzy starali się pochwycić chociażby ustępy. Ben-Hur zaś słuchał, jak człowiek, który się spodziewa objawienia rzeczy, mającej znaczenie dla całego świata, a szczególnie dla narodu izraelskiego. W umyśle jego, jak to wnet zobaczymy, powstawał zamiar mogący zmienić kierunek jego życia, może nawet zmienić je całkiem. W miarę, jak Baltazar opowiadał, potęgowało się wrażenie, jakie odczuwał. Przy końcu stały się uczucia jego głębokie, bez cienia wątpliwości; pragnął przecież dowiedzieć się więcej o następstwach owego zdarzenia.

Tutaj musimy dać czytelnikowi objaśnienie, które dłużej nie da się zwlekać. Opowiadanie nasze przypada równocześnie z nauczycielskim wystąpieniem Syna Najśw. Maryi Panny. Raz jeden widzieliśmy Go od owej chwili, kiedy ten sam Baltazar oddawał Mu cześć, jako Dzieciątku na łonie Matki, w jaskini koło Betleem. Odtąd aż po koniec opowiadania naszego, ciągle będziemy spotykali cudowne Dziecię, a bieg opowiadanych wypadków będzie nas ciągle zbliżał do Niego, aż w końcu poznamy go jako Boga-Człowieka, Zbawiciela świata.

To, co mówił Baltazar, nie było nowością dla Szeika Ilderima, słyszał to też od trzech Mędrców razem i wśród okoliczności niedopuszczających wątpliwości, — sam naraził się na niebezpieczeństwo, gdyż pomoc uciekającym przed gniewem pierwszego Heroda, była bardzo niebezpieczną rzeczą. Teraz jeden z owych trzech podróżnych siedział przy jego stole, jako pożądanym gościem i umiłowany przyjaciel. Szeik Ilderim wierzył więc święcie opowiadaniu, przecież główny przedmiot tegoż nie obchodził go tak silnie i żywo jak Ben-Hura. I nie dziwnego — on był Arabem, nie zajmowały go tak gorąco następstwa tego zdarzenia, i brał je raczej ogólnie! Inaczej Ben-Hur, który był Izraelitą; dla niego prawdziwość i następstwa tego zdarzenia miały szczególne znaczenie, które pojmował z swego narodowego stanowiska.

Od lat najmłodszych słyszał o Mesyaszu, w szkole uczono go o wszystkim, cokolwiek wiedziano o Nim, który miał być chwałą wybranego ludu. Prorocy, od pierwszego do ostatniego, przepowiadali Go — w synagogach, szkołach, w świątyni, publicznie i prywatnie; nauczyciele głosili narodowi zbliżający się czas Jego przyjścia. Toteż

wszystkie dzieci Abrahama, gdziekolwiek je losy rzuciły, na krańcach nawet świata, oczekiwały Mesyasza; a ożywieni tą wiarą w przyjście Jego, sposobili się na nadzwyczajne mogące zajść wypadki.

Łatwo zrozumieć, że między Żydami krążyło mnóstwo najrozmaitszych podań o Mesyaszu; powstawały o to sprzeczki, dysputy, a wszystkie tyczyły się głównie jednego punktu — kiedy On przyjdzie?

Tem się zajmowali kaznodzieje i uczeni. W naszym opowiadaniu pragniemy tylko opisać, w jakim usposobieniu duchowym oczekiwano Mesyasza. Ten ogół, ten wybrany lud, nie wątpił, że Meszasz przyjdzie i będzie królem żydowskim — królem politycznym, jak Cezar. Z pomocą narodu zdobędzie mieczem świat, a potem rządzić nim będzie w imię Boga, tak, aby im było dobrze, bez względu na ucisk innych. Na tej wierze i nadziei oparli się Faryzeusze i Separatyści — ci ostatni byli stronniectwem czysto politycznem — budowali gmach jak najfantastyczniejszych nadziei: Bóg sam — takim oddawali się bałwochwalczym marzeniom — jako rządzca, stanie się ich sługą.

Ben-Hura zachowały dwie okoliczności od podobnych zuchwałych uroszczeń.

Najpierw ojciec jego należał do Saduceuszów, których w owych czasach uważano jako liberałów, mających swoje osobne przekonania, szczególnie błędne w pojęciu w nieśmiertelności duszy. Za to trzymali się litery prawa Mojżeszowego bardzo wiernie, gardząc wszelkimi późniejszymi do tych ksiąg dodatkami rabinów. Niezaprzeczenie byli oni sektą; religia ich zaś była raczej filozofią niż wiarą. Nie wyrzekali się przyjemności życia, a nawet przyjmowali niektóre zapatrywania ogólnie ludzkie, szukając związków z innymi narodami. W polityce stanowili czynną i gorliwą opozycję przeciw Separatystom.

Powtórę spędzone lat pięć w Rzymie nie minęły bez wpływu na młodzieńca. Miasto to było wówczas punktem, gdzie się schodziły wszelkie narodowości, a zarazem i stolicą wszelkiego rozkosznego używania. Na rzymskiem forum,^{*)} tworzyły się bezustannie tłumy ludu. Chociaż nie mógł tłumów tych porównać ze zgromadzającym się około Wielkanocy w Jerozolimie ludem izraelskim, to jednakże patrząc na

^{*)} Forum, rynek czyli otwarty plac w starożytnym Rzymie, przeznaczony na targi, posiedzenia sądowe i zgromadzenia ludowe.

owe trzykroćpięćdziesiąt tysięcy liczące tłumy w cyrku Maximusa, musiał stawić sobie pytanie: ażali ten lud, przybyły tudotąd ze wszystkich zakątków świata, nie jest godzien Boskiego zmiłowania? Ale jak wielu innych, tak i Ben-Hur wierzył tylko w wyzwolenie polityczne, a nie duchowe; w miejscowościach jak Bodinum, Alexandrya, Ateny i Jerozolima, modlono się nie o Mesyasza, któregoby wszystkie wieki jako Boga chwaliły, ale o władzcę, któryby rządził silną dłońią. Wszystkie przez Rzym podbite państwa, albo zazdroszczące mu potęgi, oczekiwały jego upadku, po którym wszystko miało się przeistoczyć na korzyść uciemiężonych.

Ben-Hur podzielał przekonania nieprzyjaciół Rzymu, tem bardziej, że przebyte pięć lat w stolicy dały mu sposobność przypatrzenia się niedoli ujarzmionego świata; ponieważ zaś wierzył, iż rany ludzkości są ściśle polityczne i mogą być tylko mieczem uleczone, pragnął dojść do znaczenia w wojsku, żeby móżdż objąć na siebie część owego zadania. Znał rzemiosło wojenne, o ile tyczyło robienia bronią, doskonale, był wyćwiczonym żołnierzem, ale nie tu kończy się zadanie wojny, ma ona wyższe cele, obszerniejsze pola, a kto chce wśród niej znaleźć sławę, musi umieć więcej niż zastawiać się tarczą lub godzić mieczem. Na polach walki jest zadanie wodza najtrudniejsze i najszczytniejsze; tutaj musi okazać siłę woli, musi umieć ujarzmić wolę całej armii. Wódz, to człowiek walczący, zbrojny całem wojskiem. To pojęcie wskazało mu cel życia tem piękniejszy, że go upiękniała myśl zemsty łatwiejszej w boju, niż w czasie pokoju.

Sądzimy, że po tem objaśnieniu łatwiej zrozumiemy uczucia Ben-Hura, słuchającego opowiadań Baltazara, które dotyczyło dwóch najczulszych strun jego duszy, dwóch czynników w nim działających. Serce jego biło szybko i coraz szybciej; nie wątpił już też ani chwili, że opowiadanie aż do szczegółów było prawdziwem i że Dziecię było obiecany Mesyaszem. Mając to przekonanie, nie mógł sobie nie postawić dwóch pytań: najpierw, czemu Izrael nic nie wie o tem objawieniu? Po wtóre, czemu on sam nic o tem nie wiedział? Chcąc sobie te wątpliwości wytłomaczyć, postanowił wypytać Baltazara.

Gdzie się znajduje obecnie Dziecię?

Jaką będzie jego misya?

— Czemuż nie umiem ci odpowiedzieć na te pytania — rzekł Baltazar swoim prostym, poważnym sposobem. — Gdybym wiedział, gdzie On jest, zaiste poszedłbym tam, choćby mnie morza i góry od Niego oddzielały!

— Czy usiłowałeś odnaleźć Go? — pytał Ben-Hur.

Nazwało to pytanie uśmiech przebiegł po twarzy Egipcjanina.

— Pierwszem mojem staraniem po opuszczeniu schronienia na pustyni — tu spojrzał z wdzięcznością na Ilderima — było dowiedzenie się, co się stało z Dziecięciem. Już był minął rok, to prawda, jednak nie śmiałem sam się udać do Judei, gdyż Herod żądny krwi, wciąż jeszcze panował. Wróciwszy do Egiptu, znalazłem kilku przyjaciół, a ci uwierzyli w cuda, które im opowiadałem i radowali się wraz ze mną z przyjscia na świat Odkupiciela. Ci słuchali mnie zawsze z równym zapalem, a nawet kilku z nich poszło szukać Dziecięcia do Betleem; odnaleźli gospodę i jaskinię, ale napróżno szukali owego stróża i zarządcy gospody, który strzegł bramy w noc narodzenia, w ową noc, w którą nas gwiazda do stajenki przywiodła. Słyszeli, iż król Herod powołał go do siebie, i już go odtąd ludzkie nie widziało oko.

— Musieli przecież odnaleźć innych jakich świadków.

— Tak, znaleźli krwawe dowody, bo całą wieś w żałobie i smutku, matki płaczące nad niemowlętami swemi. Trzeba ci wiedzieć, że Herod, dowiedziawszy się o naszej ucieczce, posłał siepaczy swoich, aby wymordowali wszystkie nowo-narodzone dzieci w Betleem i całej okolicy. Ani jedno nie uszło miecza, a moi wysłańcy wrócili przekonani, że cudowne dziecko zginęło w rzezi niemowlątek.

— A więc nie żyje! — zakrzyknął Ben-Hur przerażony. — Nie żyje, mówisz?

— Nie, mój synu, nie powiedziałem tego. Mówili to moi wysłańcy, a nie wierzyłem wówczas i nie wierzę dzisiaj.

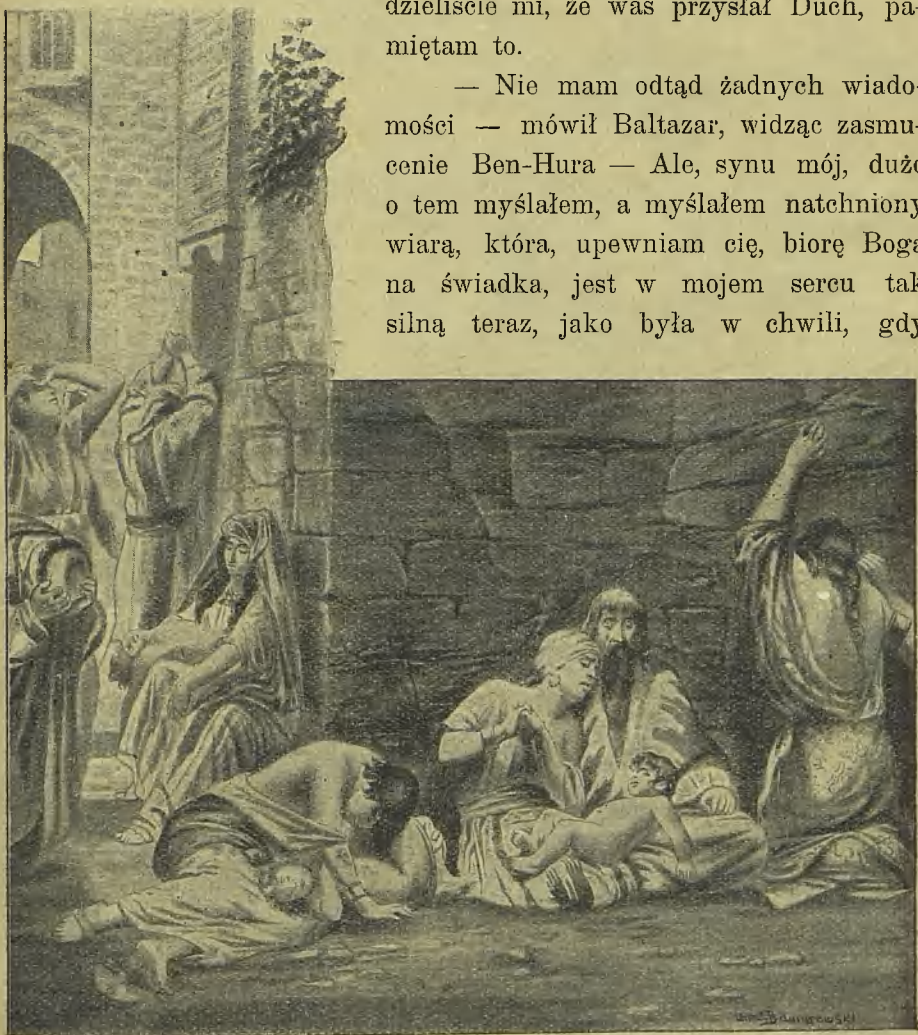
— Otrzymałeś więc później lepsze wiadomości?

— Nie, o nie! — rzekł Baltazar, schylając głowę. — Duch towarzyszył nam i zawiódł nas tylko do Dziecięcia. Gdyśmy wyszli z jaskini, oddawszy cześć i dary Dziecięciu, najpierw zwróciliśmy wzrok ku niebu, szukając gwiazdy, ale napróżno, — nie było jej. Zrozumieliśmy, że odtąd zostawieni jesteśmy sami sobie, bo ostatniem natchnie-

niem Bożem, jakie pamiętam, było to, które nas do Szeika zaprowadziło.

— Tak — rzekł Szeik, nerwowo głaszcząc brodę. — Powieździeście mi, że was przysłał Duch, pamiętam to.

— Nie mam odtąd żadnych wiadomości — mówił Baltazar, widząc zasmucenie Ben-Hura — Ale, synu mój, dużo o tem myślałem, a myślałem natchniony wiarą, która, upewniam cię, biorę Boga na świadka, jest w mojem sercu tak silną teraz, jako była w chwili, gdy



usłyszałem głos Ducha u wód jeziora. Jeśli chcesz posłuchać, powiem ci, dlaczego wierzę w życie Dziecięcia.

Obaj, Ilderim i Ben-Hur, prosili o dalsze objaśnienie i zdawali się skupiać całą uwagę swej duszy, aby nie tylko słyszeć, ale rozumieć to, co mówił. Służba niemniej od panów słuchała ciekawie, wszyscy

więc zbliżyli się do dywanu. W całym namiocie uroczysta zapanowała cisza, aby z opowiadania nie nie uronić.

— My trzej wierzymy w Boga — począł Baltazar, pochylając głowę — a On jest Prawdą, jest Bogiem! Góry mogą się w proch rozpaść, morza wyschnąć od powiewu południowych wiatrów, ale słowa Jego trwać będą wieczyście, bo On jest Prawdą.

Słowa mówiącego brzmiały uroczyście:

— Głos, który był Jego głosem, mówił do mnie u jeziora: — Błogosławionym bądź synu Mizraima! Odkupiciel przyjdzie. Z dwoma innymi, co od krańców świata przybędą, ujrzycie Zbawiciela. I stało się! Widziałem Zbawiciela — niech będzie błogosławione Imię Jego! Odkupienie zaś, które stanowiło drugą część obietnicy, dopiero przyjdzie. Czy pojmujecie teraz? Gdyby Dziecię nie żyło, odkupieniaby być nie mogło! Obietnica nie spełniłaby się i Bóg — nie, nie mogę tego powiedzieć, usta moje nie wyrzekną bluźnierstwa.

Tu w świętem oburzeniu podniósł ręce ku niebu.

— Dziecię przyszło na świat, aby spełnić dzieło odkupienia. Do kąd obietnica nie odwołana, nawet śmierć nie odłączy Go od Jego dzieła, aż obietnica wypełnioną będzie. To jest podstawą mojej wiary, a teraz słuchajcie dalej.

Tu zatrzymał się czcigodny starzec, jakby osłabiony mową.

— Może skosztujesz wina? Mam je oto pod ręką — rzekł Ilderim z uszanowaniem.

Baltazar wypił i wzmocony mówił dalej:

— Zbawiciel, którego widziałem, urodził się z niewiasty, jako równy nam i podległy wszelkim cierpieniom, nawet śmierci. Tu jest początek, przypatrzmyż się dziełu, które na niego czeka. Nie jestże to zadanie, któremu tylko mąż sprostać może, mąż mądry i silny — a nie dziecię, nie prawdaż? Aby się mężem stać, musiało dziecię dojrzeć, jako my dojrzewamy. A teraz pomyślmy tylko, jakie niebezpieczeństwa grozić mu mogły w czasie tego długiego czasu, między dziecięctwem a dojrzałością. Wszelkie potęgi były mu wrogie, — Herod był Mu nieprzyjacielem strasznym, a czemu byłby Mu Rzym? A Izrael, czyby Go przyjął, czy nie, zawsze byłby w niebezpieczeństwie. Czy pojmu-

jecie teraz? Byłże inny sposób ocalenia Go w dziecięctwie, jak wychowanie w ukryciu? Dlatego mówię i umacniam w sobie wiarę: On żyje, ale ukrywa się, aby przybyć w właściwym czasie i spełnić obietnicę Boską. Oto podstawy mej wiary, żaliż nie słuszne?

Małe, bystre oczy Araba zabłysły zrozumieniem, a Ben-Hur, pocieszony w swym smutku, rzekł serdecznie: Nie myślę ci zaprzeczać, ale cóż dalej?

— Alboż to nie dosyć, mój synu? Znalazłszy powody i rozważywszy je — mówił dalej spokojniej — zrozumiałem, iż woła jest Boska, aby Dziecię pozostało w ukryciu; uzbroiłem więc w cierpliwość moją wiarę i czekam. — Tu podniósł oczy jaśniejące świętą wiarą i ufnością, mówiąc w pół przytomnie: „czekam, a On żywie i zachowuje swą tajemnicę! Chociaż nie dozwolonom mi jest pójść do Niego, ani nazwać wzgórza, czy doliny, którą zamieszkuje, to przecież wiem, że żyje czy jako kwiat lub właśnie dojrzewający już owoc, dość mi, kiedy wiem, że żyje, bo wierzę i pewny jestem obietnicy Pana.

Uczucie czci napełniło duszę Ben-Hura, a w tem uczuciu gasną wszelkie wątpliwości.

— Gdzież, sądzisz, może przebywać? — spytał cichym głosem jako zwykle ten, co czuje na ustach swych świętą pieczęć milczenia.

Baltazar spojrzał nań łagodnie i odpowiedział jeszcze z odblaskiem uniesienia:

— Nad Nilem, w moim domu, co stoi tak blisko rzeki, że płynąc wodą, widzisz nie tylko dom, ale i odbicie jego w przejrzystych falach, otóż w tym domu siedziałem przed kilku tygodniami i pograżyłem się w głębokiej zadumie. Człowiek, mający trzydzieści lat, mówiłem sobie, powinien mieć pole życia swego już uprawione i zasiane, bo potem idzie lato, a w niem niema czasu na zasiew. Dziecię nie ma jeszcze dwudziestu siedmiu lat, ale czas zasiewu już blisko. Jak widzisz, postawiłem sobie to samo, co ty, mój synu, pytanie, a w odpowiedzi wybrałem się tu jako do miejsca blizkiego ziemi, danej od Boga ojcem twoim. Gdzież miałyby się słuszniej ukazać, jak nie w Judei? Gdzież snadniej miałyby rozpocząć Swe dzieło, jak nie w świętej Jerozolimie? Któż pierwaj godzien otrzymać błogosławieństwa, jakie przyniesie, jeśli nie dzieci Abrahama, Izaaka i Jakóba? Wszak oni uko-

chanymi dziećmi Pana! Gdybym otrzymał rozkaz szukania Go, to poszedłbym do wsi i miasteczek wzdłuż gór Judei i Galilei, kędy się spuszczała w dolinę Jordanu. On jest tam i stojąc w drzwiach Swego domu lub na szczycie wzgórza, patrzył dziś na zachodzące słońce, myśląc, że oto jeden dzień bliżej do chwili, w której Sam stanie się Światłem ziemi.

Baltazar umilkł z podniesioną w stronę Judei ręką. Słuchacze, nawet nieoświeceni słudzy, poza dywanem stojący, czuli się ogrzani jego zapalem i jakby w obecności jakiejś tajemniczej istoty. Uczucie to trwało chwilę, milczenie panowało głębokie, nareszcie przerwał je Ben-Hur:

— Widzę, czcigodny Baltazarze — rzekł — że otrzymałeś wiele łask, widzę również, że posiadasz mądrość. Nie jest w mojej mocy powiedzieć ci, ile ci wdzięcznym jestem za to, co mi oznajmiłeś. Oczekuję wiele rzeczy i zaczerpnąłem od ciebie wiary, ale uzupełnij twe dzieło i powiedz, proszę, jakie będzie posłannictwo Tego, którego oczekujesz i którego ja od dziś oczekiwać będę, jako przystoi wierzącemu synowi Judy. Mówisz, że ma być Zbawicielem, żaliż będzie zarazem Królem żydowskim.

— Synu mój — rzekł łagodnie Baltazar — posłannictwo Jego jest dotąd postanowieniem, w łonie Boga spoczywajacem. Wszystko, co myślę, wysnuwam z owych wyrazów, które wymówił głos, i z modlitwy, która została wysłuchaną. Mamże o nich mówić?

— Wszak tyś nauczycielem.

— Ludzie upadli brakiem wiary. Upadek ten był przyczyną mej troski — zaczął Baltazar — ona zrobiła ze mnie kaznodzieję w Aleksandryi i wioskach nad Nilem, ona zapędziła mnie w samotność, gdzie mnie Duch nawiedził. Cierpiałem nad nędzą ludzi — nie ludzi jednej warstwy społecznej, ale nad nędzą wszystkich. Upadek ich tak był straszny, iż czułem, że tylko Bóg może przeprowadzić dzieło odkupienia. Błagałem Go więc, aby przyszedł i abym Go mógł ujrzeć: — Dobrze twoje uczynki zwyciężyły! Odkupienie zbliża się, a ty ujrzysz Zbawiciela! — Żaliż nie tak mówił głos? Poszedłem, przez gwiazdę wiedziony, aż do Jerozolimy. Któż ma być odkupiony? Cały świat. W jaki sposób On przyjdzie? Wzmocnij twą wiarę, mój synu, bo oto powiem ci. Ludzie mniemają, że nie będzie

pomyślności, póki Rzym ze wzgórz swoich nie zniknie, a jednak nie mniemam, aby tak być miało. Gdyby Rzym miał zniknąć, znaczyłyby to, że złe niema, jak sądziłem, źródła w nieznajomości Boga, ale płynie ze złych rządów panujących. Mamże powtarzać, że rządy ludzkie nie są nigdy rządami religijnymi? Słyszałeś o wielu królach, którzyby lepszymi byli od swych poddanych? Nie, i stokroć nie! Odkupienie nie może mieć politycznych celów, nie może znosić jednych władców, aby drugim miejsce zgotować. Gdyby tym zajmować się miało, mądrość Boska przestałaby być niedoścignioną. Mówię ci, wprowadźcie jako ślepy do ślepego: Ten, który przyjdzie, będzie Zbawicielem dusz! Odkupienie oznacza, że Bóg zejdzie na ziemię. A na to, aby mógł na niej zamieszkać, panować musi cnota.

Na twarzy Ben-Hura widocznem było rozczarowanie, pochylił głowę, a choć nie był przekonany, niechciał sprzeciwiać się wywodom Egipcjanina. Inaczej Ilderim.

— Na wielkość Boga — rzekł namiętnie — sąd taki sprzeciwia się wszelkim pojęciom. Drogi, któremi świat idzie, są stałe i nie dadzą się zmienić! W każdym narodzie musi być ktoś, przy kim jest władza, inaczej niemożliwe byłyby zmiany.

Baltazar przyjął zarzut poważnie.

— Mądrość twoja, Szeiku, jest światową, a zapominasz, że Odkupienie ma nas właśnie z więzów świata wyzwolić. Ujarzmić ludzkość dla siebie pragnie król, Bóg chce pozyskać dusze ludzkie.

Ilderim wstrząsnął przecząco głową a Ben-Hur podjął się odpowiedzi za obu:

— Ojeze, pozwól się tak nazywać — rzekł — o kogo miałeś się pytać w bramie Jerozolimskiej?

Szeik spojrzał na mówiącego z wdzięcznością.

— Miałem się pytać — odpowiedział Baltazar spokojne: — Gdzie jest Ten, który się narodził Król żydowski.

— I widziałeś go w Betleemskiej jaskini?

— Widzieliśmy Go, oddaliśmy Mu cześć i dary — Melchior złoto, Gaspar kadzidło, a ja mirrę.

— Gdy mówisz o rzeczach, które się stały, ojeze, słucham cię i wierzę — mówił Ben-Hur — ale w rzeczach, które przyjsć mają,

nie mogę zrozumieć, jakiego króla widzisz w dziecięciu — nie mogę oddzielić panującego od jego władzy i obowiązków.

— Synu — rzekł Baltazar — zazwyczaj zastanawiamy się nad rzeczami, które przypadek do nóg nam rzucił, przeciwnie na rzeczy trochę oddalone zaledwo przelotne rzucamy spojrzenie. Tak i ty — widzisz tylko tytuł... król żydowski; a ja ci mówię, zechciej podnieść wyżej oczy, sięgnij aż do tajemnicy poza tym tytułem, a znikną twoje powątpiewania. O tym tytule powiem jeszcze słowo. Lud twój izraelski miał niegdyś lepsze dni — dni, w których Bóg nazywał twój naród Swoim narodem, obcował z nim przez Swe proroki. W owych czasach obiecał mu Zbawiciela, którego widziałem, i wtedy obiecał Go, jako Króla żydowskiego — ukazanie się więc Jego musi się zgadzać z obietnicą, choćby ze względu na świat. Rozumieszże teraz powód mego pytania u bramy? Sądzę, że tak — idę więc dalej. Może się zastanawiasz nad godnością — Dziecięcia, czy myślisz, że wielkim zaszczytem jest być następcą Heroda? Żaliż Pan nie mógł Swemu Ukochanemu lepszego zgotować losu? Możesz-że, wyobrażając sobie Wszechmocnego ojca, przypuścić, aby zechciał dla Swego Syna zapożyczać tytułu od grzesznych ludzi? Albo czemuż w takim razie nie kazał mi pytać u bramy o Cezara? Wierzaj mi, jeśli chcesz poznać Istotę tego, o czym mówimy, to patrz wyżej, błagam cię, i pytaj raczej: nad kim będziekrólem Ten, którego oczekujemy? W odpowiedzi na to pytanie jest klucz tajemnicy, której nikt nie zrozumie bez Niego.

Tu wzniosł oczy pobożnie do nieba i mówił dalej: — Jest królestwo na ziemi, chociaż nie jest ziemskie — obszar jego większy niżli obszar ziemi — większy niż ziemia i morze, gdyby je nawet jak młotem złoto rozciągnąć. Istnieje ono rzeczywiście, tak jak istnieją nasze serca, a my żyjemy od kolebki do grobu, nie widząc ich. Żaden człowiek nie pozna tego królestwa, zaczem nie pozna duszy swej, bo ono nie stworzone dla jego duszy. Chwała zaś tego królestwa jest tak wielką, że sobie jej zgoła wyobrazić niepodobna... jest jedyną, z niczem nieporównaną.

— To, co mówisz ojeze, jest dla mnie zagadką — rzekł Ben-Hur — nigdy nie słyszałem o takim królestwie!

— Ani ja — dodał Ilderim.

— I ja o nim nie mogę nic więcej powiedzieć — rzekł znów Baltazar, spuszcżając oczy. — Jakie to królestwo jest, dlaczego takie jest i jak się tam dostać — nikt się nie dowie, póki nie przyjdzie Dziecię, aby objąć swą własność. Dziecię przyniesie klucz od niewidzialnej bramy, otworzy ją dla wybranych, którymi będą ci, którzy kochają, bo oni tylko będą odkupieni!

Tu nastąpiło długie milczenie a Baltazar uważał je snąć za najstósowniejsze, aby zakończyć rozmowę, więc rzekł:

— Czcigodny Szeiku, jutro lub pojutrze udam się na jakiś czas do miasta, albowiem córka moja pragnie widzieć przygotowania do igrzysk. Czas wyjazdu oznajmię później; ciebie zas, synu mój, zobaczę jeszcze, a teraz pokój wam!

Wstali od stołu, a Szeik i Ben-Hur patrzyli za Egipcyaninem, aż go wyprowadzono z namiotu.

— Szeiku Ilderimie — powiedział wtedy Ben-Hur — dziwne zaiste rzeczy słyshałem dzisiaj, pozwól mi iść nad jezioro, abym o tem wszystkim mógł rozmyślać.

— Idź, a ja przyjdę później.

Umyli ręce; sługa na dany znak przyniósł obuwie Ben-Hura, poczem tenż wyszedł.

ROZDZIAŁ XXI.

W bliskości namiotów rósł mały gaj palmowy, rzucający cień częścią na wodę, częścią na ziemię. Pośród drzew śpiewał słowik pieśń godową, to też Ben-Hur zatrzymał się i słuchał. Kiedyindziej byłby czarujący śpiew ptaszka spłoszył posępne myśli młodzieńca; dziś opowieść Egipcyanina, choć pełna cudowności, przyniatała go takim ciężarem, że podobny tragarzowi ciężko obładowanemu, nie zdolny był odczuć najpiękniejszej muzyki, aż nie wróciłby mu zwykły spokój.

Noc była cicha, najłżejszy wietrzyk nie marszczył powierzchni wody; a nad głową jego świeciły gwiazdy, każda na swoim miejscu a dokoła było lato — na wodzie, na ziemi, na niebie.

Wyobraźnia Ben-Hura była podnieconą, uczucia jego wzburzone, woła niepewna.

Palmy, niebo, powietrze, zdawały mu się należeć do stref południowych, gdzie Baltazar szukał ukojenia w bólu nad nieszczęściem ludzkości. Jezioro z swą gładką powierzchnią zdawało mu się być Nilem, nad którego brzegiem czeigodny mąż modlił się i ujrzał Ducha w jasności. Po dłuższej dopiero chwili uspokoił się nieco i poezął rozmawiać.

Cel życia rozjaśnił się przed nim. W wszelkich dotychczasowych zamiarach była prze-



paść, której ani ominąć ani zapełnić nie mógł, — a przepaść tak szeroka, że drugi jej brzeg tylko niewyraźnie dostrzegał. Gdy nareszcie zostanie żołnierzem lub nawet wodzem, cóż uczyni? Rozumie się, że powstanie przeciw Rzymowi zawsze mu się uśmiechało, ale przebieg wszelkich powstań jest zawsze jednakowy. Najpierw, aby ludzi do niego zachęcić, potrzeba powodu; po wtóre, trzeba im wykazać praktyczny cel mający być zakończeniem dzieła. To pewna, że walczy wszędzie ten, co knuje zemstę; ale jeszcze nie ledwie lepiej ten, komu krzywda dodaje bodźca, bo taki spodziewa się w zwycięstwie znaleźć balsam na swą ranę, nagrodę za waleczność, wdzięczność za trudy, a w razie śmierci — wiekopomne imię w pamięci rodaków.

Zastanowiwszy się nad powodem i celem, wiedział Ben-Hur, że trzeba będzie obejrzeć się za stronnikami i mieć ich w pogotowiu. Naturalnie szukałby ich między rodakami, wszak krzywdy Izraelowi uczynione były krzywdami każdego z synów Abrahamowych a każda z nich mogła się świętą sprawą wydawać i budzić najżywszy zapal i uniesienie.

A więc powód był; a cel — cóżby nim być mogło?

Niezliczone dni i godziny strawił na obmyślanu tej części swego zadania, ale zawsze dochodził do tegoż samego nieokreślonego wyniku, obiecującego wolność narodową, ale jakąś mglistą i niewyraźną. Byłażby ta obietnica wystarczająca? Nie mógł się zdobyć na zaprzeczenie zupełne, bo w tej wątpliwości zamrzeć musiałaby jego nadzieja; lękał się powiedzieć: tak, — bo własne doświadczenie mówiło inaczej. Mógłże zaręczyć, że Izrael zdoła zwyciężyć Rzym? Znał potęgę wroga, wiedział, że posiada najpotężniejsze i najrozsowniejsze środki obrony. Związek powszechny ludów jedynie — możeby zdzierżył, ale byłoby to możliwe? Chyba tylko w takim razie, gdyby wśród jednego z ujarzmionych i gnębionych narodów powstał bohater, któryby sławą zwycięstw napełnił całą ziemię. Gdybyż taki znalazł się wśród Izraela, jakążby była chwała Judei! — gdyby nowego Aleksandra mogła pokazać Macedonii! Ale, niestety, wśród rabinów możeby znalazł ten i ów odwagę, ale o karności nie mogło być mowy. I oto przyszedł mu na myśl słowa Messali w ogrodzie Heroda: wszystko, co zdołacie w sześciu dniach, straciecie w siódmym.

Tym sposobem, ile razy się zbliżył w myślach do tego punktu, cofał się przed przepaścią; a ponieważ często się to zdarzyło, przestał myśleć o całej sprawie i zostawiał jej rozwój przypadkowi. Żali bohater przyjdzie i wstąpi za jego życia, Bóg jeden to wie. Łatwo pojąć, jakie na taki umysł wywrzeć musiało wrażenie opowiadanie Malucha. Słuchał go z dziwnem zadowoleniem i uczuciem, zaczął myśleć, że bohater już jest. I koniec trwogi, bo oto ten wódz — to syn z wielkiego pokolenia Lwa, to Król żydowski! A poza nim świat cały z bronią.

Ponieważ jest królem, będzie więc i królestwo! Będzie wojownikiem sławnym jako Dawid; rządy jego będą mądre i wspaniałe jako Salomonowe; królestwo będzie potęgą, przed którą Rzym rozpadnie się na kawałki. Aby to się stało, musi być wojna straszna, okropność spustoszenia i śmierci — dalej dnie spokojnie i panowanie Judy na wieki.

Serce Ben-Hura biło szybko, bo oto ujrzał na chwilę Jerozolimę stolicą świata, a Sion miejscem dla tronu powszechnego władzcy.

Uniesionemu przysłała wielkością swej ojczyzny Ben-Hurowi wydało się nadzwyczajnem szczęściem, gdy się dowiedział, że w namiocie, do którego dążył, jest człowiek, co widział tego króla. I nie dziwnego, od niego miał się dowiedzieć wszelkich szczegółów, a mianowicie o czasie, w którym przyjsie króla nastąpi.

Gdyby to miało się stać wkrótce, pocóżby siedł do Maksencyusza? Raczej trzeba mu się zająć organizacją i uzbrojeniem pokoleń, aby Izrael był w pogotowiu na ową oczekiwaną chwilę.

Młodzieniec dowiedział się, jako wiemy, historii tej od Baltazara; lecz czy odczuwał zadowolenie?

Grubszy jeszcze cień, niż ten, który rzucały palmy, zaległ jego duszę, cień wielkiej niepewności, dotyczący się raczej królestwa niż króla.

— Jakież będzie to królestwo? — pytał Ben-Hur sam siebie.

Takie to powstawały pytania, które dotyczyły posłannictwa „Dziecięcia“ a nikt nie umiał na nie odpowiedzieć. Dla wielu były one nierozstrzygnięte za dni Jego, i dziś jeszcze są przedmiotem sporów, zagadką dla tych, którzy nie rozumieją lub nie chcą zrozumieć, że w śmiertelnem ciele mieszka nieśmiertelna dusza.

— Jakie będzie to królestwo? — pytał.

Nam, czytelniku, „Dziecię“ dało już odpowiedź. Ben-Hur znał tylko słowa Baltazara: „Na ziemi, ale nie z ziemi; nie dla ciała, ale dla duszy — a mimo to królestwo niespożytej chwały.“

Cóż dziwnego, że dla młodzieńca były słowa te ciemną zagadką.

— W sprawie tej nie nie zdoła ręka ludzka! — zawołał w rozpacz — ani król takiego królestwa potrzebuje ludzi, ani pracowników, ani doradców, ani żołnierzy. Świat terazniejszy musi zginąć, aby powstać na nowo, do tych nowych rządów muszą się stworzyć nowe zasady — zasady nie potrzebujące zbrojnych rąk... a cóż może zastąpić tę siłę?

Pamiętaj o tem, czytelniku, że to, co dzisiaj uznajemy za rządzącą światem zasadę, on nawet tego nie przeczuwał: nie znał ani on, ani świat ówczesny potęgi chrześcijańskiej miłości, tembardziej, że nikt jeszcze nie ogłosił światu, że miłość więcej zdziałać może dla pokoju i porządku państwa, niż przemoc.

Gdy tak marzył, uczuł rękę na swoim ramieniu. — Chcę ci coś powiedzieć, synu Aryusza — rzekł Ilderim, stanąwszy obok niego — ale tylko słowo, bo muszę wrócić, a noc już późna.

— Witam cię, Szeiku.

— Wierz wszystkiemu, co słyszałeś — mówił Ilderim jednym tchem — wszystkiemu prócz tego, co się odnosi do królestwa, które Dziecię, gdy przyjdzie ugruntuje... Co się tego tyczy, wstrzymaj się z sądem, póki nie usłyszysz Simonidesa, kupca — męża szanowanego w Antyochii, z którym cię zapoznam. Egipcyanin opowiedział ci swe marzenia, które są za wzniosłe dla ziemi. Simonides jest mądrzejszym i roztropniejszym. On ci przytoczy przepowiednie proroków, wskaże księgi i strony, i to tak dokładnie, że nie zdołasz zaprzeczyć, iż Dziecię będzie rzeczywiście Królem żydowskim. Wierzaj, na wspaniałość Boga, że będzie królem podobnie jak Herod, tylko lepszym i wspanialszym. Wtedy to zakosztujemy słodczy zemsty, a teraz — pokój tobie!

— Chwilkę jeszcze, Szeiku!

Nie wiedzieć, czy Ilderim słyszał, czy nie, ale nie wstrzymał się.

— I znów Simonides — rzekł Ben-Hur z goryczą — zawsze Simonides... Simonides tu, Simonides tam; to ten, to ów go nazywa. Czyliż jestem w mocy sługi mego ojca! A przynajmniej, zdaje się, umie trzymać to co moje, bo jest chyba bogatszym, jeśli nie mądrzejszym od Egipcyanina. Na skrzynię przymierza! nie przystoi chyba szukać wiary u niewiernego! Ja też nie myślę iść do niego. Ale oto słyszę śpiew! Głos to kobiety, czy anioła! Przybliża się tudotąd.

Po spokojnej powierzchni jeziora płynęła ku namiotom łódź, a w niej siedziała śpiewaczka. Głos melodyjny, jak ton fletu, płynął po falach i coraz się zbliżał i stawał się donośniejszym.



Wkrótce słyhać już było miarowe uderzanie wiosł, wnet dały się odróżnić i zrozumieć wyrazy w języku greckim, jedynym dość wykształconym z owoczesnych, by zdołał wyrazić namiętne uczucia i prośby.

Przy ostatnich dźwiękach pieśni minęła śpiewaczka gaj palmowy, rzucając jakby z niechcenia wyraz: bądź zdrów! Słówko to, drżące boleścią i słodyczą rozstania, dobiegło uszu Ben-Hura; a gdy łódka przepłynęła przed oczami jego, wyrwało się z jego piersi głębokie westchnienie.

— Poznaję ją po pieśni — rzekł sam do siebie — to Baltazarowa córa. Jakże piękna jej pieśń, a jakże piękna ona sama!

— Jaka ona piękna! — powtórzył w duszy, a serce przyspieszeniem zabiło tętnem.

W tej samej chwili, niby z wód jeziora, wyłoniła się inna postać, młodsza, a równie piękna — niby dziecię jeszcze, ale tem miłsze, choć mniej namiętne.

— Estera — pomyślał radośnie — oto gwiazda, której pragnąłem. Zwrócił się i zwolna szedł ku namiotom.

Życie jego było pasmem cierpień i uczuć zemsty, nie było w niem miejsca na miłość.

A jednak obie postacie przychodziły mu na pamięć.

Rozdział XXII.

Nazajutrz po rozpustnej w pałacu hulatyce, wszyscy patrycyusze legli na dywanie. Mógłby był przybyć Maksencyusz, mogło całe miasto wyjść na jego spotkanie; mogły legiony zejść z góry Sulpius w parady i rozwinać przepych, jakiego dotąd na całym Wschodzie nie widziano, nie nie zdołaloby zbudzić pijanych, śpiących snem twardym i leżących, gdzie padli, albo gdzie ich niewolnicy ułożyli. Prędzejby lalki woskowe, wyrabiane w jednym z ówczesnych zakładów artystycznych, w taniec się puściły, niż ci bez sił leżący młodzieńcy mogli uczestniczyć w uroczystościach przyjęcia Maksencyusza. Już o świcie powstał Messala, zdjął z głowy wieniec na znak, że uczta skończona; owinał się w suknię swoją, a rzuciwszy nakoniec dokoła wzrokiem, opuścił salę w milczeniu. Uczynił to z powagą tak wielką, że sam Cycero *) nie mógł z większą powagą opuszczać posiedzenia senatorów, na którym toczyła się całonocna dysputa.

W trzy godziny później wyszło z jego komnaty dwóch gońców, każdy z depeszą zapieczętowaną do Waleryusza Gratusa, mieszkającego dotąd w Cezarei. Jeden i drugi otrzymali równobrzmiące listy i polecenia. Jeden miał płynąć morzem, drugi jechać lądem. Już z tych ostrożności widzimy, jak ważne i pilne było ich posłannictwo.

List ten brzmiał:

*) Cycero, sławny rzymski uczony i mąż stanu.

Antyochia, XII. kal. Jul.

Messala do Gratusa.

„Muszę ci opowiedzieć dziwne zdarzenie, a chociaż są to obecnie tylko przypuszczenia, niemniej mam nadzieję, że cię zajmie i usprawiedliwi śmiałość, że cię niem trudzę.

„Pozwól, iż najpierw odświeżę twoje wspomnienia. Przypomnij sobie, że przed wielu laty istniała rodzina księcia jerozolimskiego, niezmiernie starożytna i bogata — imię rodziny było Hur. Jeśli masz słabą pamięć, to rana, jaką jeśli się nie mylę, masz na głowie, pomoże ci do przypomnienia sobie prawdziwości słów moich.

„Aby większe wbudzić zajęcie, dodaję jeszcze następujące szczegóły: Dla ukarania za usiłowany zamach na twoje życie — oby bogowie, dla spokoju twego sumienia, nie dopuścili nigdy udowodnienia, iż to się stało przypadkiem — schwytano rodzinę, a majątek jej skonfiskowano. Ponieważ postępowanie te uprawnił nasz Cezar, równie sprawiedliwy, jak mądry — niechaj ołtarze jego wiecznie kwiaty zdobią! — nie potrzebujemy się wstydzić na wspomnienie o sumach, które nam z onego źródła przypadły, a za które nie przestanę ci być wdzięcznym, a przynajmniej tak długo, dopóki z nich czerpać będę.

„Znając twą mądrość, przypominam ci dalej, że tą rodziną Hurów rozporządziłeś w sposób, jaki obydwaj razem uznaliśmy za najodpowiedniejszy naszym celom. Może niezawadzi ci przypomnieć, że dla tych celów trzeba było tajemnicy, a tem samem i wydania rodziny na nieuniknioną ale naturalną śmierć. Pamiętasz zapewne, coś uczynił z siostrą i matką zbrodniarza i spodziewam się, że zaspokoisz moją ciekawość, gdy cię zapytam, czy one żyją, czy umarły? Daruj że cię o to pytam, ale znając twoją uprzejmość, nie wątpię, że ciekawość moją zaspokoisz. Muszę ci również przypomnieć ważne zdarzenie dotyczące niniejszej sprawy, mianowicie że ów rzeczywisty zbrodniarz skazany został na całe życie na galery. Wszak tak brzmiał rozkaz? Wypadek, który ci opisuję, jest tem dziwniejszy, że sam widziałem na własne oczy i czytałem poświadczenie dowodzącego galera trybuna przyjęcia go między niewolników.

„Myślę, że zajęcie twoje zdołałem nareszcie obudzić!

„Jeśli się weźmie w rachubę przeciętną miarę długości życia galerników, to nasz wyrostek powinien był przed pięciu laty umrzeć. — Tak byłem o tem przekonany, że od pięciu lat używałem majątku, który mu po części zawdzięczam. Mówiąc to, nie mam zamiaru usuwać się od obowiązków wdzięczności względem ciebie.

„Teraz zbliżam się do jądra rzeczy.

„Ostatniej nocy, gdy przewodniczyłem uczcie dawanej przez Rzymian — wierzaj mi, nadzwyczajną jest ich młodość i nieświadomość, wzbudzali naprawdę politowanie we mnie — naraz z ust ich usłyszałem dziwną historję. Maksencyusz konsul przybywa dziś, jak wiesz, aby przygotować wyprawę przeciw Partom. Wśród ambitnej, towarzyszącej mu młodzieży, jest syn zmarłego duumwira Kwintusa Aryusza. — Miałem sposobność wypytać się o niego w szczególności i dowiedziałem się, że gdy Aryusz wypłynął na wyprawę przeciw piratom, po których rozgromieniu zyskał zaszczyty w końcu dni swoich, nie miał żadnej rodziny. Skoro wrócił, przeciwnie, przywiózł sobie dziedzica. Teraz, mój miły, zachowaj spokój, jak przystoi na właściciela tylu talentów w sesterceyach, będących w obiegu! bo... synem i dziedzicem, o którym mówię, jest ten, którego posłałeś na galery, ten sam Ben-Hur, który powinien był umrzeć jakie pięć lat temu. Tymczasem wbrew swej powinności, wrócił z majątkiem i znaczeniem a prawdopodobnie i obywatelem rzymskim. Ty na twem stanowisku możesz się nie lękać, ale ja nie czuję się bezpiecznym. A dlaczego? Któż lepiej od ciebie może to wiedzieć?

„Jakże ci się to wszystko wydaje?

„Gdy Aryusz, ojciec przybrany adoptowanego, walczył z piratami, okręt jego zatonął i z całej załogi dwóch tylko uratowało się ludzi, Aryusz i jego przyszyły dziedzic.

„Ci, którzy ich zabrali na pokład, mówią, że towarzysz trybuna był młody i nosił strój galernika.

„To, przyznasz, byłoby dostatecznie przekonywajacem, ale nie chcąc, abys nie lekceważył tej wielce miłej sprawy, dodaję, że wczoraj miałem szczęście — złożyłem już za to Fortunie dziękczynne Votum — miałem, jak mówię, szczęście — widzieć tego tajemniczego syna Aryusza twarzą w twarz i mam zaszczyt ci oznajmić, że jakkolwiek

nie poznałem go z razu, jest on nim. Tak jest, to ten sam Ben-Hur, który całe lata był towarzyszem moich zabaw dziecięcych, ten sam Ben-Hur, który jako mąż, choćby najpospolitszego był urodzenia i charakteru, myśli w tej chwili o zemście — tak bym i ja zrobił — o zemście, którą jedynie śmierć przeciwnika nasycić może! O zemście za ojczyznę, matkę, siostrę, siebie, a nawet... — przytaczam to na końcu, jakkolwiek pisząc do ciebie, na początku umieścić byłem powinien za zrabowany majątek!

„A teraz, mój dobroczyńco i przyjacielu, zważywszy, że sestercey w niebezpieczeństwie, a strata ich największą stratą, jaka może spotkać człowieka na tak wysokiem jak Ty będącego stanowisku, sądzę, że przestałeś się uśmiechać lekceważąco, a zaczniesz myśleć, co począć w tych okolicznościach...

„Uważam za niestosowne dawać ci jakiegokolwiek rady; pozwól raczej, że się oddam pod Twą opiekę, albo, co jeszcze lepiej, bądź mi nauczycielem, poradź, co mam czynić?

„Wyobrażam sobie, z jakim uczuciem czytasz niniejszy list, to z powagą, to z uśmiechem, a potem kończą się wątpliwości i sąd pada to na tę, to na ową stronę: bo mądrość Twa równa mądrości Merkuriego, a siła woli — woli Cezara.

„Już weszło słońce na niebie a za godzinę wysyłam dwóch gońców każdy z kopią tego, co tu piszę, — jeden uda się lądem, drugi morzem, bo tak ważnemi wydają mi się szczegóły, których ci udzielam, donoszących o ukazaniu się nieprzyjaciela w tej części naszego rzymskiego świata.

„Widziałem go wczoraj w Gaju Dafny; jeśli dotąd tam nie jest, to musi być gdzieś w sąsiedztwie, co ułatwia mi nadzór nad nim. Że go pilnuje, to pewna i gdybyś mnie zapytał, gdzie nieprzyjaciel teraz się znajduje, to mógłbym ci odpowiedzieć z wszelką pewnością, że go można znaleźć w starym Gaju palmowym, pod namiotem zdrajcy Szeika Ilderima. Mam nadzieję, że ten stary Arab niedługo już będzie uchodzić naszemu ramieniu i nie zdziwisz się, jeśli pierwszym wymiarem sprawiedliwości za rządów Maksencyusza będzie wsadzenie starego Araba na okręt i wysłanie go do Rzymu.

„Tak się rozpisuję o Żydzie, bo ważnem jest, abyś znał położenie i pomyślał nad dalszem postępowaniem. O tem zaś przekonany jestem i słusznie pochlebiam sobie, że list mój świadczy o tej mądrości, która w każdym dziele ludzkim każe zważać na czas, miejsce i środki.

„Jeśli na miejsce dalszego działania obierzesz Antyochię, to racz powierzyć tę sprawę kochającemu cię przyjacielowi i posłusznemu uczniowi.

Messala.“

Prawie w tym samym czasie, kiedy Messala, stojąc w drzwiach, wyprawiał swoich gońców (a była to wczesna godzina) wszedł Ben-Hur do namiotu Ilderima. — Wykąpał się już był w jeziorze, zjadł śniadanie i ukazał się w krótkiej tunice, bez rękawów, zaledwo kolan sięgającej. Szeik spoczywał na dywanie i pozdrowił go, z miejsca nie wstając: Pokój tobie, synu Aryusza — rzekł z wyrazem zachwytu, bo nigdy pierwszej nie widział równie silnej i zręcznej męskiej postaci. — Pokój tobie, konie gotowe, ja także, a ty?

— Nawzajem życzę ci pokoju, dziękując za tyle względów. Jestem również gotów.

Ilderim klasnął w dłonie.

— Przyprowadźcie konie! Usiądź, proszę.

— Czy konie już w uprzęży?

— Nie.

— Kiedy tak, to pozwól, abym się tem sam zajął — rzekł Ben-Hur — trzeba, abym się zapoznał z arabczykami. Muszę je znać nie tylko po imieniu, Szeiku, abym z każdym z osobna mógł rozmawiać, ale jeszcze muszę zbadać ich usposobienia i działać podobnie jak z ludźmi. Tych, co odważni, należy wstrzymywać, a chwalić i pochlebstwem zachęcać tych, co z natury mało mają śmiałości. Każ, aby mi przyniesiono uprzęż.

— Czy chcesz mieć i wóz? — pytał Szeik.

— Nie, dziś jeszcze nie użyję wozu, ale raczej każ przyprowadzić, jeśli możesz, piątego, równie rączego konia jak tamte, a niech wcale nie będzie siodłany.

Zdziwienie Ilderima wzrosło i wnet zawołał na sługi.

— Każ przynieść uprząż na czwórkę — rzekł — a uzdę dla Syryusza. Ilderim wstał i mówił:

— Syryusz, to mój ulubieniec, a ja jego. Od lat dwudziestu to mój towarzysz we wszelkich przygodach na pustyni. Pokażę ci go.

To mówiąc, zbliżył się do zasłony dzielącej namiot, podniósł ją, przepuszczając Ben-Hura. Wszystkie konie szły do Szeika. Jeden z nich z małą główką, świecącymi oczami, z szyją jak łuk wygiętą a pokrytą bogatą i miękką grzywą, zarżał wesoło, gdy ujrzał swego pana.

— Dobry koń — mówił Szeik, gładząc śliczną sierść rumaka — dzień dobry ci, miły koniu! — a zwracając się do Ben-Hura, dodał: — Oto Syryusz, ojciec tej czwórki; a Mira matka ich, czeka naszego powrotu, bo jest za droga, aby narażać ją na jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Zresztą wątpię, synu Aryusza, czyby stado zniosło jej nieobecność. Jest ona sławą swego rodu. Dziesięć tysięcy jeźdźców, synów pustyni, pyta codzień: słyszałeś o Mirze? — A gdy usłyszą odpowiedź pomyślną, odpowiadają: Bóg jest łaskawy! błogosławiony niech będzie Pan.

— Wszak Mira i Syryusz, to imiona gwiazd, nieprawdaż Szeiku — pytał Ben-Hur, przechadzając się wśród koni i do każdego wyciągając rękę.

— Czemużby nie! — odparł Ilderim. — Byłżeś kiedy w nocy na pustyni?

— Nie.

— W takim razie nie możesz mieć pojęcia, ile my Arabi gwiazdom zawdzięczamy. Nic więc dziwnego, że z wdzięczności dajemy ich imiona naszym ulubieńcom. Ojcowie moi mieli zawsze Mirę w stadzie, jak ja ją nam, a dzieci jej również są gwiazdami. Ten tu nazywa się Rigel, tamten Antares, ów Attair, ten do którego się teraz zbliżasz, to najmłodszy Aldebaran, najmłodszy, ale nie najmniej cenny, o nie! Poniesie cię przeciw wichrom, choćby szumiały w uszach jak Akaba, pójdzie gdzie każesz, synu Aryusza, a klnę się na wielkość Salomona, zaniesie cię nawet w paszczekę lwa, jeśli taką będzie twoja wola i odwaga.

Przyniesiono uprząż, a Ben-Hur własną ręką ubrał konie, poczem je również własną ręką wyprowadził z namiotu i przysposobił lejce.

— Przyprowadzić Syryusza — rzekł.

Żaden Arab nie zdołałby dosiąść z większą lekkością wierchowca, jak to uczynił Ben-Hur.

— Teraz lejce.

Podano mu je starannie rozdzielone.

— Oczigodny Szeiku — zawołał — otom gotów; przewodnik niech poprowadzi mnie w pole, i każ tam zawieść sługom wody.

Na początek szło wszystko bardzo dobrze. Konie się nie strachały



i zdawało się
jakoby już się porozu-

miały z nowym woźnicą, co wypeł-

niał swe zadanie spokojnie i z tą pewnością siebie, która zawsze budzi zaufanie. — Jechał w ten sam sposób i zachowywał ten sam porządek, w jakim konie iść miały w zaprzęgu, z tą tylko różnicą, że dosiadł Syryusza, a nie stał na rydwaniu. Ilderim widząc to postępowanie, nabrał otuchy, czesał swą brodę, uśmiechając się z zadowoleniem, i pomrukiwał: — To nie Rzymianin, to mi zuch, klnę się na wielkość Boga! — Szedł za nim piechotą między namiotami; mężczyźni, kobiety i dzieci, cała ludność namiotu biegła za nim, dzieląc zajęcie, jeśli nie zaufanie.

Skoro Ben Hur przybył na pole, przekonał się, że teren był doskonały do ujeżdżania; to też natychmiast rozpoczął ujeżdżanie, zrazu

wolno w prostej linii, a potem zataczając szerokie koło. Następnie puścił rumaki truchtem, później spróbował kłusa, nakoniec zaczął ścieśniać koło, jeżdżąc w tę i ową stronę, w prawo, lewo, a prawie bez ustanku. Tak minęła godzina, poczem zwolnił jadąc ku Ilderimowi.

— Dzieło skończone — rzekł — potrzeba tylko jeszcze ćwiczeń. — Mogę ci życzyć szczęścia, gdy takie posiadasz sługi, jak te — mówił dalej, zsiadając i idąc do koni — patrz, jak ich sierść jest lśniąca, bez skazy, a oddychają równie spokojnie jak na początku. Winszuję ci i chybaby coś nadzwyczajnego zaszło, gdybyśmy nie mieli zwyciężyć i...

Tu zatrzymał się, zarumienił i skłonił, bo dopiero teraz ujrzał u boku Szeika opartego na lasce Baltazara i dwie niewiasty osłonięte welonami. Na jedną z nich spojrzał jeszcze raz, myśląc w duszy z drżeniem serca: To ona... to Egipczyanka. — Ilderim zaś dokńczył zaczęte zdanie Ben-Hura.

— Gdybyśmy nie mieli zwyciężyć i pomścić się. — A potem rzekł głośno: — Nie boję się, ale cieszę, bo ty, synu Aryusza, jesteś tym, którego potrzebuję. Niech tylko koniec będzie równym początkowi, a zobaczysz, czem napełnione są ręce hojnego Araba.

— Dzięki ci, czeigodny Szeiku — rzekł Ben-Hur skromnie — każ koniom wody przynieść.

Sam poił konie, poczem dosiadłszy Syryusza, na nowo począł ujeżdżanie, przechodząc od stępa do truchtu, od truchtu do kłusa, a nareszcie puścił im zupełnie wodze. Ujeżdżanie coraz się więcej stawało zajmującym; widzowie nie szczędzili pochwał, podziwiając ujęcie leje; zachwycali się również nieporównaną czwórka, zawsze jednako i miarowo idącą, czy to w prostej linii, czy w rozmaitych zwrotach. W ruchach tych pięknych zwierząt była jedność, równość, siła i zręczność; nie było po nich znać ani wysiłku, ani pracy. Nie ich biegowi nie można było zarzucić, tak jak lotowi w rodzinne kraje wracających jaskółek.

Wśród ćwiczeń i podziwu obecnych, zjawił się Malluch i zbliżył się do Szeika.

— Mam do ciebie, Szeiku, poselstwo — rzekł, korzystając z chwili, która mu się najstosowniejszą do przemówienia wydała — mam poselstwo od Simonidesa kupca.

— Od Simonidesa! — zawołał Szeik. — Oby Abaddon pobił wszystkich jego nieprzyjaciół.

— Poleciał mi najpierw pozdrowić cię w imię Boga — mówił Malluch — a potem wręczyć te pisma z prośbą byś je bezzwłocznie przeczytał.

Ilderim przełamał na miejscu pieczęcie, któremi zwój był zaopatrzony, wyjął z osłony płóciunej dwie éwiartki pergaminu i czytał co następuje.

Simonides do Szeika Ilderima.

„Przyjacielu!

„Przyjm najpierw zapewnienie, że w głębi mego serca zajmujesz poczesne miejsce.

„Dalej —

„Pod twoim namiotem bawi młodzieniec miłej postaci, mieni się synem Aryusza i jest nim mocą adoptacyi.

„Jest on drogim sercu mojemu.

„Dzieje jego żywota wielce są dziwnemi. Przybądź jutro do mnie, abym je opowiedział i naradzimy się nad tem, co dalej czynić należy.

„Tymczasem uczyni zadość jego prośbom, jeśli się godności twej i jego nie sprzeciwiają. Gdyby usługi twe należało wynagrodzić, uczynię to.

„Co piszę o moich uczuciach dla młodzieńca, zachowaj dla siebie.

„Innym twoim gościom wyraż moje pozdrowienie. On, jego córka i wszyscy, którzy z wami pozostają, gośćmi mymi w czasie igrzysk cyrkowych będą. Miejsca już zamówione.

„Pokój tobie i twoim.

„Jakże inaczej, przyjacielu, mógłbym się zwać, jak twoim przyjacielem.

Simonides.“

Simonides do Szeika Ilderima.

„Przyjacielu!

„Posyłam ci przestrogę ze skarbcza mego doświadczenia.

„Znakiem pewnym, ostrzeżeniem nieomylnem dla każdego nierzymianina, mającego pieniądze i dobra, które możnaby w danym razie zabrać, jest przybycie w miejsce jego zamieszkania któregoś z dygnitarzy — taką okoliczność radzę brać za przestrożę.

„Dziś przybywa konsul Maksencyusz.

„Pozwól, abym cię ostrzegł.

„Jeszcze jedno słowo przestrogi:

„Jest spisek przeciw tobie, przyjacielu, należą do niego Herodowie, bo masz posiadłości wielkie w ich okręgu.

„Miej się na baczności!

„Wyślij dziś ludzi pewnych na drogi, wiodące na południe od Antyochii, i każ im przeszukać każdego posłańca wracającego lub w tamtą stronę idącego. Jeśli znajdą jakie pisma, dotyczące się ciebie lub twoich spraw, niech je przejmą.

„Jeszcze wczoraj powinienbyś był otrzymać tę wiadomość; nie będzie jednak zapóźno, gdy szybko działać będziesz.

„Gońce dziś opuścili Antyochię, twoi jeźdźcy znają krótsze drogi i mogą ich uprzedzić.

„Nie ociągaj się.

„Spal to pismo po przeczytaniu.

„Twój przyjaciel

Simonides.“

Ilderim przeczytał każde pismo po dwa razy, poczem złożywszy je w płócienny pokrowiec, włożył za pas.

Ćwiczenia na polu wnet się skończyły — a trwały razem dwie godziny. Na zakończenie przywiódł Ben-Hur czwórkę stępem do Ilderima.

— Jeśli pozwolisz, Szeiku — rzekł — wrócę z arabczykami do namiotu, a po południu znów je wyprowadzę.

Ilderim zbliżył się do Ben-Hura, siedzącego na Syryuszu, i mówił: Synu Aryusza, oddaję ci moje konie zupełnie, czyn z nimi aż do wyścigów, co uznasz za stosowne. Zrobiłeś z nimi w ciągu dwóch godzin więcej, niż Rzymianin — oby szakale obgryzły jego kości — w tyłu tygodniach! Wygramy, — klnę się na Boga, wygramy.

Dopóki nie opatrzone koni, Ben-Hur pozostał w namiocie, potem orzeźwił się kąpielą w jeziorze, wypił z Szeikiem kielich mocnego napoju, a ubrawszy się w suknie żydowskie, poszedł z Malluchem do Gaju.

Tu rozmawiali obydwoj, niektóre zaś szczegóły ich rozmowy na-

leżą do całości naszego opowiadania. Między innymi mówił Ben-Hur:

— Dam ci upoważnienie do odebrania moich tłumoków zostawionych w gospodzie z tej strony rzeki w pobliżu mostu, wiodącego do Seleucyi. Dostaw mi je dziś, jeśli możesz, ale powiedz, zacny Malluchu, a żali nie za wiele żądam od ciebie?

Malluch podjął się chętnie i ofiarował swoje usługi nadal.



— Dziękuję ci, dziękuję — odparł Ben-Hur — trzymam cię za słowo. Jesteśmy synami jednego narodu, a Rzym naszym wspólnym wrogiem. W dodatku jesteś przebiegły i wprawny w załatwianiu spraw; a lękam się, że Ilderim nie potrafiłby tego.

— Arabowie rzadko podobne posiadają zdolności — rzekł Malluch poważnie.

— Nie odmawiam im pewnej przebiegłości, Malluchu; ale lepiej być ostrożnym. — Aby zapobiedz jakiej przeszkodzie lub podejściu przy wyścigach, będę spokojniejszym, gdy się udasz do zarządu cyrkowego i dowiesz, czy Szeik dopełnił wszelkich żądanych warunków. Co więcej, oddałbyś mi wielką przysługę, gdybyś otrzymał dokładny odpis praw i reguł obowiązujących w tutejszym cyrku. Musiałbym również wiedzieć, jaki wziąć kolor, a przedewszystkiem chcę znać numer miejsca, z którego mam wyruszyć. Mniej mi na tem zależy, czy będę miał Messalę po prawej, czy po lewej stronie, ale chciałbym go mieć blisko. Dlatego postaraj się o to Malluchu. Czy wogóle masz dobrą pamięć?

— Nigdy mnie nie zawiodła, gdy jej, jak dziś, pomagało serce.

— Skoro tak, to ośmielę się obarczyć cię jeszcze jednym poleceniem: Uważałem wczoraj, że Messala szczyci się wielce swoim rydwanem, co mnie nie dziwi, bo rzeczywiście chyba tylko cesarski go przewyższa. — Czy nie mógłbyś jakim sposobem, może pod pozorem obejrzenia jego piękności, przekonać się, żali jest lekki czy ciężki? Chciałbym mieć dokładną jego wagę i miarę, a jeżeli to ci się nie uda, to w każdym razie przynajmniej będziesz mógł mi powiedzieć dokładną wysokość osi. Czy rozumiesz? Nie chciałbym aby miał jakąkolwiek oczywistą wyższość nade mną, ale za to nie dbam o przepych. Jeśli go zwycięży, tem niżej on upadnie, a tem większym będzie mój tryumf. Jeśli jednak ma nade mną jaką wyższość lub korzyść, chciałbym znać takową.

— Teraz już wiem — odparł Malluch, chcesz abym wysokość osi od jej punktu środkowego aż do ziemi wymierzył?

— Właśnie tak, a raduj się Malluchu, bo to już ostatnie moje zlecenie, teraz zaś wróćmy do namiotu.

U wejścia do namiotu zastali służbę napełniającą gąsiorzy mocnym napojem. Napili się wina dla ochoty, a Mallueh wkrótce wrócił do miasta.

W czasie ich nieobecności wysłał Ilderim dobrze zaopatrzonego jeźdźcę z rozkazami do straży przydrożnej, stosownie do rady Simonidesowej. Był to doświadczony wierności Arab; polecenie miał ustne, nie wioząc żadnego pisma.

Następnego dnia wrócił Ilderim do namiotów około godziny trzeciej. Zaledwie zsiadł z konia, zbliżył się do niego człowiek wyraźnie arabskiego pochodzenia i rzekł: Szeiku, kazano mi oddać ci tę paczkę z listem i prośbą, abyś pismo natychmiast odczytał — jeśli zechcesz dać odpowiedź, zaczekam jak długo każesz.

Ilderim obejrzał natychmiast wręczony mu zwój papieru, — pieczęć była złamana, a adres brzmiał: Do Waleryusza Gratusa w Cezarei.

— Niech go porwie Abbadon! — wrzasnął Szeik, widząc że list pisany po łacinie. Gdyby pismo było po grecku lub po arabsku, przeczytałby je; tak, zaledwo odcyfrował wielkiemi literami podpis Messali.

— Gdzie jest młody Żyd? — zapytał.

— Na polu z końmi — odpowiedział sługa.

Szeik włożył pismo w zawinięcie, a schowawszy paczkę za pas, wsiadł znów na konia i popędził w stronę, gdzie Ben-Hur odbywał ćwiczenia. W tej chwili jakiś nieznajomy zbliżał się od strony miasta.

— Szukam Szeika Ilderima, zwanego Dobrotliwym — rzekł przybyły.

Język i ubranie zdradzały w nim Rzymianina. Ilderim nie czytał wprawdzie po łacinie, język ten rozumiał i z godnością odpowiedział: — Jam jest szeik Ilderim.

Nieznajomy spuścił oczy i podniósł je znów, mówiąc z udaną swobodą: — Słyszałem, że potrzebujesz woźnicy na wyścigi.

Usta Ilderima ściały się pod białym wąsem ironicznym uśmiechem.

— Idź swoją drogą — odparł — mam już woźnicę — i odwrócił się; tymczasem nieznajomy wstrzymał go, mówiąc:

— Szeiku, niezmiernie lubię konie, mówią powszechnie, że masz najpiękniejsze w świecie.

Pochlebstwo udobruchało starca, wstrzymał się, już miał uleźć, gdy się inaczej namyślił i rzekł: — Nie dziś, nie dziś, kiedyindziej pokażę ci je chętnie, ale teraz jestem bardzo zatrudniony.

Po tych słowach pojechał w pole, a nieznajomy powrócił do miasta z uśmiechem zadowolenia, bo spełnił dane mu polecenie.

Odtąd codzień aż do dnia wyścigów czasem jeden, czasem dwóch lub trzech ludzi przychodziło do Ilderima, ofiarując się za wóźniców.

Przysyłał ich Messala, pilnując w ten sposób Ben-Hura.

ROZDZIAŁ XXIII.

Szeik czekał, póki Ben-Hur nie skończył ćwiczeń, a przypatrywał się z wielkiem zadowoleniem, bo widział, że jadą w pełnym biegu tak, jakby wszystkie jednakową posiadały szybkość, słowem szły jak jeden, a tak iść powinna czwórka.

— Dziś po południu oddam ci Syryusza — mówił Ben-Hur do Szeika, głaszcząc szyję starego arabezyka — oddam ci go a wezmę wóz.

— Już teraz? — zapytał Ilderim.

— Takim jak te rumakom, dzień jeden wystarczy; mają nieledwie rozum człowieka i lubią ćwiczenia. Ten — mówił wskazując ręką najmłodszego — nazwałeś go jak mniemam Aldebaranem, jest najszybciejszym. Na torze wyścigowym prześcignąłby inne o trzy długości konia.

Ilderim gładził brodę i rzekł zmrużając oczy: — Aldebaran jest, jak mówisz, najszybciejszym, a któryż najpowolniejszym?

Tu Ben-Hur wskazał biczem Antaresa. — Ten, ale mimo to zwycięży, bo uważ Szeiku, będzie biegać cały dzień, a dopiero o zachodzie dojdzie do największej szybkości.

— I znowu masz słuszość -- rzekł Ilderim.

— Jednę mam tylko obawę, Szeiku.

Szeik spowaźniał i jakby posmutniał.

Rzymianin żądny zwycięstwa, nieraz przekroczy prawo, nie dbając o uczciwość. W czasie jakichkolwiek igrzysk wszyscy, pamiętaj o tem, używają różnych sposobów, ale przy wyścigach wozowych,

to dopuszczają się podejść, o których trudno mieć pojęcie — od konia do woźnicy, od woźnicy do pana, wszystko spiskuje. Dlatego uważaj na twoje konie, czcigodny szeiku i od dziś do dnia wyścigów nie daj nikomu obcemu nawet spojrzeć na nie. Jeśli chcesz być spokojnym, uczyn więcej, strzeż je zbrojną ręką i czujnem okiem, wtedy nie będę się obawiał końca.

U drzwi namiotu zsiadli z koni.

— Rozkazy twoje będą wypełnione, przysięgam na wielkość Boga, że żadna obca ręka nie zbliży się do nich. Dziś postawię straż. Ale synu Aryusza — tu Ilderim wyciągnął pismo, otworzył je z wolna a gdy się zbliżyli do dywanu i usiedli, dodał: — synu Aryusza, spojrzij tu i pomóż mi twoją łaciną.

Tu podał pismo Ben-Hurowi.

— Oto czytaj — a czytaj głośno, tłómacząc na język swój ojczysty, bo znieść nie mogę łaciny.

Ben-Hur, zajęty tylko gonitwami, począł czytać obojętnie: — Messala do Gratusa — zatrzymał się, przeczucie ścisnęło sercem, a Ilderim zauważył wzruszenie.

— Czekam.

Ben-Hur przeprosił i miał kartę, która była jednym z dwóch egzemplarzy listu pisanego do Gratusa przez Messalę, wysłanego po uczcie w pałacu.

Początek listu dowodził tylko, że piszący nie pozbył się był zwyczaju szyderstwa i naśmiewania, ale gdy doszedł do części przypominającej Gratusowi przeszłość, zadrżał i po dwakroć stanął, aby zapanować nad sobą. Skoro czytał: przypominam dalej, że rozporządziłeś rodziną Hurów — zatrzymał się i westchnął głęboko — w sposób, jaki obadwaj razem uznaliśmy za najodpowiedniejszy naszym celom. Może nie zawadzi ci przypomnieć, że tym celom trzeba było tajemnicy, a tem samem wydania ich na nieuniknioną, ale naturalną śmierć.

Tu Ben-Hur przerwał czytanie, pismo wypadło mu z ręki, a zakrywszy twarz, zawołał:

— Nie żyją — nie żyją! Zostałem więc sam!

Szeik milczał, ale nie był obojętnym na cierpienia młodzieńca; teraz zaś wstał i rzekł: — Widzę synu Aryusza, że winienem cię przeprosić, czytaj sam, a gdy będziesz dość silnym, aby mię powiadomić o treści tego listu, poślij po mnie, na wezwanie wróce.

Wyszedł z namiotu i podobno nigdy jeszcze w życiu nie zdarzyło się Arabowi delikatniej postąpić. Ben-Hur rzucił się na dywan i puścił wodze swej boleści. Przyszedłszy do siebie, podjął list i czytał dalej: „Pamiętasz zapewne, coś uczynił z siostrą i matką



zbrodniarza i spodziewam się, że zaspokoisz moją ciekawość, gdy cię zapytam, czy żyją, czy umarli? — Zdziwiony Ben-Hur, czytał jeszcze raz, nie wierząc oczom, a nareszcie zawołał: „nie wie, czy umarli. Błogosławione Imię Pana! Jeszcze jest nadzieja.“ — Umocniwszy się w swem przekonaniu, przeczytał list do końca.

— Żyją! — rzekł po namyśle — bo on wiedziałby o ich śmierci.

Powtórne uważniejsze odczytanie dodało mu jeszcze nadziei, posłał więc po Szeika.

— Przybywając do twego gościnnego namiotu, Szeiku — mówił spokojnie, gdy Arab usiadł, a byli sami — nie miałem zamiaru mó-

wie więcej o sobie jak było potrzeba do upewnienia cię, że mi możesz śmiało powierzyć swoje konie. Nie chciałem ci więc opowiadać dziejów mego życia. Gdy jednak okoliczności, które dały mi w ręce to pismo, są tak ważne i dziwne, — czuję, że mam obowiązek zaufać ci zupełnie. Do tego działania popycha mnie zresztą pewność, że obu — dwu nam grozi jeden i ten sam nieprzyjaciół i że wspólnie i zgodnie przeciw niemu działać musimy. Teraz odczytamy pismo, a ja ci treść jego wytłómaczę; jeśli zaś myślałeś, żeś słaby i dziecinny, ufam, iż cofniesz to mniemanie.

„Szeik słuchał uważnie do miejsca, w którym była o nim wzmianka: — Widziałem wczoraj Żyda w Gaju Dafny — brzmiał ten ustęp — jeśli go tam obecnie nie ma, to musi być gdzieś w sąsiedztwie, co ułatwia mi dozór nad nim. Że go pilnuję, to pewna, i gdybyś mnie zapytał, gdzie nieprzyjaciół teraz się znajduje, to mógłbym odpowiedzieć wszelką pewnością, że go można znaleźć w starym Gaju palmowym.

— A, a — krzyknął Ilderim tonem raczej zdziwionym niż zagniewanym. Równocześnie targał brodę.

— W starym Gaju palmowym — powtórzył Ben-Hur — pod namiotem zdrajcy szeika Ilderima.

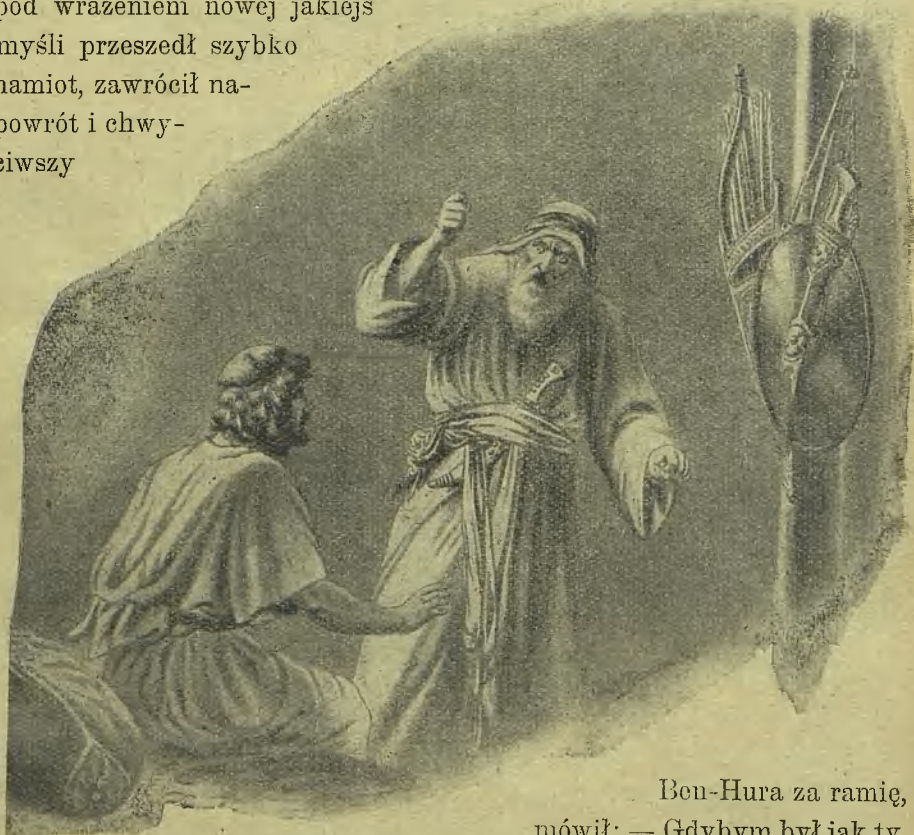
— Ja... zdrajcą — krzyknął gniewnie starzec, broda mu drżała, usta drgały, a żyły na czole i szyi nabrzmiały i groziły pęknięciem.

— Jeszcze chwilę Szeiku — rzekł Ben-Hur z błagalnym gięstem. Takim jest zdanie Messali o tobie, to jeszcze nie, ale posłuchaj groźby: Mam nadzieję, że ten stary Arab nie długo już będzie uchodził naszej silnej ręce i nie zdziw się, jeśli pierwszym wyniarem sprawiedliwości za rządów Maksencyusza będzie wsadzenie Araba na okręt i wysłanie go do Rzymu.

— Do Rzymu! mnie — Ilderima — szeika dziesięciu tysięcy zbrojnych jeźdźców — mnie do Rzymu! — wołał Ilderim, zerwawszy się na równe nogi, wyciągnął ręce z palcami skurczonemi jak szpony, z oczyma świeącemi jak oczy węża.

— Na Boga — nie, na wszystkie bogi prócz rzymskich, gdzie i kiedy skończy się to zuchwalstwo? Wolnym jestem i naród mój wolny jest! Mamyż szaleni w wolności umierać niewolnikami? Lub, co gorzej, mamyż ginąć jak psy tarzające się u stóp pana? Mamż,

lizać rękę, która mnie chłoszcze? A to, co moja jest własnością, ma przestać być mojem? Czyż nie jestem sam sobie panem i mamże życie zawdzięczać Rzymianinowi? Gdyby mi młodość wróciła! Gdybym mógł zrzucić z siebie jako ciężar niepotrzebny choć dwadzieścia lat, a gdyby tylko dziesięć, gdyby choć pięć! Mówiąc to zgrzytał zębami, załamywał ręce nad głową, a nareszcie jakby pod wrażeniem nowej jakiegś myśli przeszedł szybko namiot, zawrócił na powrót i chwyciwszy



Ben-Hura za ramię,
mówił: — Gdybym był jak ty,
synu Aryusza — młodym, silnym,
doświadczonym w wojennem rzemiośle, gdybym miał
taki jak ty powód do zemsty, powód, co może uświęcić nienawiść
i zemstę. — Gdybym — precz z udawaniem! — Synu Hura — gdy-
bym, mówię, synu Hura...

Na to imię krew zawrzała w młodzieńcu, zdziwił się, i zmieszany patrzył obłąkanym wzrokiem na starca, a ten znów w nim miał utkwione oczy.

— Synu Hura, mówię, gdybym był na twojem miejscu, a miał połowę twej krzywdy do dzwigania, nie spocząłbym. — Tu słowa starca płynęły niby lawa wulkanu. — Do moich własnych krzywd dodałbym krzywdy i ucisk całego świata i poświęciłbym się zemście. Od kraju do kraju szedłbym z pochodnią buntu i zapalał ludzkość do mojej zemsty. Gdziekolwiekby o wolność waleczono, tam byłbym; nie byłoby bitwy przeciw Rzymowi, w którejbym nie walczył. Stałbym się Partem, gdybym nie mógł inaczej. Nie starczyłoby mi ludzi, to klęę się na wielkość Boga, zawarłbym sojusz z wilkami, szukał przyjaźni z lwami i tygrysami, w nadziei, że je przeciw wspólnemu wywiode wrogowi. Nie wybierałbym broni, a myśl, że Rzymian pokonam, napełniałaby radością me serce, rzeź byłaby mi umiłowaną kochanką. Nie oszczędzałbym zaprawdę nikogo, ale nie błagałbym również o łaskę. Niech w ogniu ginie wszystko co rzymską własnością, niech miecz gładzi wszystko co w Rzymie zrodzone. Gdybym był tobą! modliłbym się nocą do bogów, dobrych czy złych zarówno, aby mi użyczyli swych straszliwych potęg, burz, upału, zimna i wszelkich bezimiennych trucizn, co trują powietrze, wszelkich tych sposobów, od których giną ludzie na lądzie i morzu. — Oh nie mógłbym spać...

Ben-Bur zrozumiał z całego potoku słów starca tylko tyle, że miałą nim gniew i pragnął zemsty.

Po raz pierwszy od lat tytuł nazwano nieszczęśliwego młodzieńca po imieniu. Ach! nareszcie znalazł się ktoś, co go znał i wołał tem nazwiskiem, nie żądając dowodu. I to kto? — Arab niedawno przybyły z pustyni.

Skądże to wiedział? Czy z listu? Nie. List mówił tylko o nieszczęściach rodziny i jego samego, ale nie było wspomnienia, że to on był ofiarą, której ucieczka tak przestraszyła prześladowców... Właśnie miał szejkowi wytłómaczyć związek tych rzeczy, ale oto widzi, że to zbyteczne, i nowa nadzieja zakwitła w jego sercu, dając mu potrzebny spokój.

— Czcigodny Szejku, powiedz mi najprzód, jakim sposobem otrzymałeś to pismo?

— Ludzie moi, co pilnują dróg między miastami — rzekł — odebrali je posłańcowi.

— Czy to ogólnie wiadomo, że są twymi ludźmi?

— Nie. Dla świata są to rabusie, których mam chwytąć i karać.

— Szeiku! nazwałeś mnie synem Hura, imieniem mego ojca a ja sądziłem, że mnie nikt nie zna na świecie. — Powiedz, skąd to wiesz?

Ilderim zawahał się chwilę, potem rzekł: — Wiem, że tak jest, ale więcej nie mogę powiedzieć.

— Czy ci to nie wolno?

Arab nie odpowiedziawszy, odszedł, ale widząc wyraźną boleść Ben-Hura wrócił i rzekł: — Nie mówmy więcej o tem, udaję się do miasta, a po powrocie może powiem. Daj mi list.

Ilderim włożył ostrożnie pismo w osłonę i rzekł z zapalem:

— Cóż mówisz? — pytał, czekając na konia, którego kazał sobie przyprowadzić. — Rzekłem ci, co bym uczynił, gdybym był tobą, a ty nie odpowiedziałeś, co czynić zamierzasz?

— Chciałem odpowiedzieć i odpowiem — rzekł Ben-Hur zmieniającym od wzruszenia głosem — wszystko co rzekłeś, uczyniłbym, wszystko co leży w zakresie ludzkiej mocy. Od dawna poświęciłem się zemście; nie było w tych pięciu latach jednej godziny, jednej chwili, w którejbym nie myślał o niej. Nie miałem ani odpoczynku, ani młodzieńczych uciech i radości. Rozkosze Rzymu nie nęciły mnie, a jeślim w tym grodzie przebywał, to na to, aby się zemsty nauczyć. Szukałem najznakomitszych mistrzów i nauczycieli — niestety! nie krasomówstwa lub filozofii, bom na nie nie miał czasu. Marzyłem inaczej, uczyłem się robienia broni, a szukałem gladyatorów popisujących się w cyrku; oni byli mi nauczycielami. Na polach walki, wodzów miałem za mistrzów, przynosiłem im chlubę i dumni byli ze mnie. Tak więc, Szeiku, jestem żołnierzem, ale do rzeczy, o których marzę, muszę być wodzem i z tą myślą chcę iść przeciw Partom, a potem, jeśli Pan doda siły — jeśli wrócę — tu podniosł ręce w górę i mówił gorąco — wtedy będę śmiercią dla tysięcy Rzymian. — Oto, Szeiku, moja odpowiedź.

Ilderim objął go za szyję, a całując, mówił namiętnie: Gdyby Bóg twój, synu Hura, nie miał wysłuchać naszych modłów, to śnać nie byłby Bogiem żywym. Teraz zaś przyjm moją przysięgę a za nią majątek, ludzi, konie i wielbłądy, co więcej, pustynię, gdzie tak snadno ukryć przygotowania. Słyszysz?... przysięgam! Na teraz dość słów, odjeżdżam, lecz ujrzysz mnie lub usłyszysz przed nocą.

Wyrzekłszy te słowa, zwrócił nagłe konia i wnet znikł na zakręcie drogi wiodącej do miasta.

List przejęty objaśniał Ben-Hurowi wiele rzeczy nader ważnych. Jasno dowodził, że piszący brał czynny udział w usunięciu rodziny Hurów w zbrodniczym zamiarze, że pochwalił i przyjął plan wiodący do tak wytkniętego celu; że wziął część dóbr uległych konfiskacie i takowych używał; że się przeraził niespodzianem zjawieniem tego, który w jego mniemaniu, był głównym zbrodniarzem; że się na koniec lękał o swe stanowisko i gotów był uczynić wszystko, eoby mu współnik z Cezarei doradził.

List ten wpadł w ręce Hura, o którym przeważnie była mowa, zapowiadał nowe niebezpieczeństwa, ale był zarazem dowodem winy prześladowców. Nie dziw więc, że zaledwie Ilderim opuścił namiot, począł Ben-Hur namyślać się nad dalszem działaniem, czując, że sprawa nie cierpi zwłoki. Nieprzyjaciele jego byli potężni i zręczni, jak rzadko kto na Wschodzie: bali się go wprawdzie, ale i on miał powody do obawy. Chciał rozważyć wszelkie dane, jednak uczucia tak potężnie wzruszone, nie łatwo uspokoić. Nie małą radością drżało serce jego na myśl, że matka i siostra są jeszcze między żyjącymi. Zapominał, że myśl ta była tylko przypuszczeniem, i sądził, że skoro żyje ktoś, kto wie, gdzie się znajdują, to i koniec nieszczęść już blisko. Było czem się wzruszyć zaiste; przecucie, że Bóg ujmie się za nim i wiara w czystość swej sprawy uspokajały go, dodawały siły i roztropności.

Gdy z kolei rozważał słowa Ilderima, zdziwił się, skąd Arab mógł tyle wiedzieć o nim, gdy jasną mu było rzeczą, że ani Malluch, tem mniej Simonides, nie mogli mówić wbrew swemu interesowi. Czyżby Messala odkrył Ilderimowi tajemnicę! Nie, zgoła nie, wszak podobna wartość mogła być dla niego wielce niebezpieczną. Wszyst-

kie przypuszczenia nie wiodły do celu; pozostawała zawsze Ben-Hurowi pociecha, że ktokolwiek to był, musiał być życzliwym i chyba pozna go niebawem. Trochę cierpliwości, a wszystko pójdzie pomyślnie... Kto wie, może wyjazd Szeika tyczy się właśnie tej osoby, list zaś gotów przyspieszyć rozwiązanie! A jednak przykro czekać, gdy się nie wie, w jakim stanie, wśród jakich okoliczności matka i siostra czekają uwolnienia! Gdyby mógł wiedzieć, czy mają nadzieję, że się spełni czego oczekują? Szczęściem, że żadna wina nie ciążyła na jego sumieniu!

Pragnąc uciec od dręczących myśli poszedł do gaju. Tutaj rozmawiał ze zbierającymi daktyle robotnikami, którzy go owocem uprzejmie częstowali; tam znów przypatrywał się gnieźdzącym się wśród szerokich liści ptaszkom lub przysłuchiwał się miłemu brzęczeniu pszczołek, zbierających skwapliwie słodki z kwiatków miód.

U jeziora zatrzymał się dłuższą chwilę, a patrząc na toń przejrzystą, tak podobną do rozkosznego marzenia, przypominał sobie piękną Egipcyankę, sędziwego jej ojca, którego opowiadania jeszcze nie zdołał pojąć. Myśl jego zwróciła się do owego Króla żydowskiego, którego ten szanowny człowiek tak pewnie obiecywał i którego niecierpliwie oczekiwał.

Tu umysł jego zatrzymał się, bo znalazł tajemnicę, której zgłębienie tak go zajęło, że zapomniał o osobistych troskach i bólach. Niema skuteczniejszego lekarstwa na wszelkie ziemskie utrapienia, jak wzniesienie się duchem w sfery za ziemskie, do rzeczy oderwanych, wobec których znikają troski codziennego żywota; a takiego uniesienia nie znał jeszcze Ben-Hur, odepchnął więc naukę Baltazara o królestwie nowego króla. Jako Saduceusz, nie mógł zrozumieć królestwa duchowego, wydało mu się to twierdzenie nieuchwytnem marzeniem, wyrosłem w wyobraźni starca. Za to królestwo Judzkie było mu zupełnie zrozumiałem, tem więcej, że kiedy już raz istniało, to i powrócić mogło. Duma jego chętnie wyobrażała sobie nowe królestwo potężniejszym, bogatszym, wspanialszym, niż dawne; czemużby jego król nie miał być mądrzejszym i sławniejszym od Salomona? Czemużby on nareszcie nie miał służyć u jego boku, czemużby, co główna, nie mógł wówczas wykonać swej zemsty? W takich myślach zatopiony, wrócił do domu.

Spożywszy obiad, kazał wytoczyć wóz, aby go przy świetle słonecznem obejrzeć. Ścisłe biorąc wyraz — obejrzeć — nie odpowiada czynności, jaką rozpoczął. Było to raczej badanie, przy którym nie uszło jego uwagi. Z radością, którą później lepiej zrozumiemy, spostrzegł, że wóz był zbudowany raczej na grecki niż na rzymski sposób, co pod wielu względami było dla niego korzystniejszym. Wogóle był cięższym, co nie znaczyło wiele wobec siły arabczyków; zato był szerszym między kołami, niższym i trwalej zbudowanym.

Gdy skończył oględziny, założył konie do rydwanu i udał się na miejsce ćwiczeń, gdzie godzinami całemi wprawiał je w ruch i chodzenie w jarzmie. Wróciwszy wieczorem, czuł się znacznie spokojniejszym i postanowił nie czynić nic przeciw Messali, zanimby zwyciężył lub przegrał na wyścigach. Z jakąż radością myślał o spotkaniu się z przeciwnikiem w obliczu całego Wschodu! Ani na chwilę nie przypuszczał, aby mogło być więcej dorównających im współzawodników. Pewnym był zwycięstwa, polegając na swej zręczności i doskonalszych rumakach. Myśląc o tem, powtarzał w duszy: — Nie prawdaż, biada mu! Słyszysz Antares, wszak zginie, przepadnie? Aldebaran, syn pustyni stratuje jego rumaki, Rigel i Antares, królowie igrzysk, co wy na to? Wszak prawda, niechaj drży z przerażenia! Tak, tak, dzielne rumaki.

Przemawiając sam ze sobą, przechadzał się między końmi, pieścił je nie jak pan, ale jak starszy z rodzeństwa.

O zmroku usiadł Ben-Hur u drzwi namiotu, czekając na Ilderima, który jeszcze nie powrócił z miasta. Cekał cierpliwie i bez niepokoju, bo nie wątpił, że otrzyma jakąkolwiek wiadomość. Byłże to spokój wskutek zadowolenia z odbytych ćwiczeń, czy odświeżenia po kąpieli w zimnej wodzie lub smacznie zjedzonej wiececzy, czy naturalne przeobrażanie, następujące po chwilowym upadku ducha? To pewna, że czuł się pod opieką tej Opatrzności, która go dotąd wspierała.

Naraz usłyszał stąpanie końskich kopyt i wnet Malluch stanął przed nim.

— Synu Aryusza — rzekł serdecznie — pozdrawiam cię imieniem szejka Ilderima i proszę, abys natychmiast udał się do miasta, gdzie cię oczekuje.

Nie pytając o nic, poszedł Ben-Hur do stajni, Aldebaran wyciągnął ku niemu głowę, jakby ofiarując swoje usługi, ale młodzieniec poglaskał go tylko i wziął innego, nie należącego do czwórki wyścigowej. Wkrótce obaj byli w drodze, jadąc prędko, lecz w milczeniu.

W pobliżu mostu seleucyjskiego przebyli rzekę i wjechali do miasta od zachodu, nakładając w ten sposób dużo drogi, ale Ben-Hur czynił to z ostrożności, do której miał aż nadto wiele powodów.

Wnet przybyli do wybrzeża, gdzie mieszkał Simonides, a gdy stanęli pod mostem u drzwi wielkiego składu, rzekł Malluch do towarzysza:

— Jesteśmy u kresu, zsiądź.

Ben-Hur poznał miejsce i zapytał:

— Gdzież mam szukać Szeika?

— Chodź za mną a ujrzysz go.

Sługa odebrał od jeźdźców konie, Ben-Hur zaś znalazł się u drzwi domu kupca; zanim się zdołał zastanowić nad swym postępkami, usłyszał już głos z wewnątrz:

— Wejdz w imię Boga.

ROZDZIAŁ XXIV.

Malluch został u progu. Ben-Hur wszedł sam do tej samej komnaty, w której pierwszy raz widział był kupca. Nic się tu nie zmieniło, tylko tuż przy krześle stał mosiężny, polerowany słup, w drewnianą podstawę wpuszczony, wyższy od najroślejszego mężczyzny, a dzwigający z pół tuzina, a może więcej srebrnych palących się lamp. Przy tem oświetleniu wyraźnie odznaczały się półki zdobiące ścianę, złożone gałki gzymsu i sklepienie mieniające się fioletową miką (błyszczkiem).

Ben-Hur wstrzymał się niedaleko wejścia, czując na sobie wzrok Simonidesa, Ilderima i Estery.

Mimowoli spojrział po nich, jakby szukając odpowiedzi na postanowione w myśli pytanie: czego ci ludzie mogą chcieć ode mnie? Zanim na nie zdołał odpowiedzieć, aliści już drugie nasuwało mu się na pamięć: sąż to przyjaciele, czy wrogowie?

Tu oko jego spoczęło na Esterze.

Mężczyźni odpowiedzieli na jego spojrzenie wzrokiem pełnym dobroci, w jej twarzy było przecież coś więcej jak dobroć — coś tak duchowego, że nie da się określić słowami; spojrzenie to wzruszyło go do głębi.

— Synu Hura.

Tu gość zwrócił się do mówiącego.

— Synu Hura — mówił Simonides, powtarzając to wezwanie zwolna i z pewną deklamacją, jakby tem przemówieniem chciał dodać słowom uroczystego znaczenia. — Oby pokój Boga ojców naszych był z tobą — tu wstrzymał się a potem dodał: — Życzę ci tego od siebie i moich.

Mówiący siedział w krześle, ale ciemne oczy jego patrzyły prosto z pod białych brwi, blask ich dodawał jeszcze powagi tej królewskiej głowie i bladej twarzy, co pozwalały odwiedzającemu go zapominać o połamanych członkach i zniszczonem ciele tego człowieka. Nastąpiła chwila milczenia, poczem kupiec złożył pokornie ręce na piersi.

Ruch ten i pozdrowienie nie mogły być niezrozumianemi, więc Ben-Hur wzruszony przemówił temi słowy:

— Simonidesie, życzenie pokoju z wdzięcznością przyjmuję. Oddając ci je wzajemnie jako syn ojcu, nie mniej czuję, że nam się porozumieć trzeba.

Słowami temi chciał delikatnie usunąć stosunek pana do sługi, zawiązując inny, wyższy i świętszy.

Simonides opuścił zwolna ręce, a zwróciwszy się do córki rzekł: podaj panu krzesło córko moja.

Spiesznie uczyniła zadość życzeniu ojca, przyniosła krzesło i stanęła zmieszana patrząc kolejno to na ojca, to na młodzieńca. Czekali, z obawą co dalej nastąpi. Milczenie stawało się coraz przykrzejszem, przerwał je Ben-Hur, przysuwając krzesło do nóg kupca i mówiąc:

— Tu moje miejsce — usiadł.

Oczy jego spotkały się z wzrokiem Estery na jedną krótką chwilę, ale ta chwila zrobiła ich lepszymi. On poznał, że mu jest wdzięczną; ona była pewną, że jest wspaniałomyślny i pełen pobożania.

Simonides skinął na znak przyzwolenia i rzekł oddychając swobodniej:

— Estero, przynieś mi papiery. — Dziewczyna zbliżyła się do jednej z framug w ścianie, otworzyła ją, wyjęła zwój papierów i podała je ojcu.

— Dobrze rzekłeś, synu Hura — zaczął Simonides rozwijając papiery — porozumieć nam się trzeba. Przeczuwając twe żądanie — a byłbym je sam postawił, gdybyś tego nie był uczynił, przedkładam ci dowody, które ci wszystko wytłómaczą, a mianowicie stan majątkowy i nasz wzajemny do siebie stosunek. Czy chcesz teraz czytać?

Ben-Hur wziął papiery, rzucił jednak okiem na Ilderima.

— Niech cię obecność Szeika nie wstrzymuje, rachunki potrzebowały świadka, imię jego jest już na nich, wie więc o wszystkim i jest twoim przyjacielem. Czem był dla mnie, będzie i dla ciebie.

Mówiąc to Simonides, patrzył na Araba i skinął mu uprzejmie głową, na co tenże odpowiedział również skinieniem głowy a nareszcie rzekł: Jest jakoś powiedział!

— Wiem jako doskonałą jest przyjaźń twoja — odparł Ben-Hur — i pragnę stać się jej godnym. Później przeczytam uważnie twe rachunki, Simonidesie; teraz daj mi ich główny zarys, jeśli cię to zbytecznie nie utrudzi.

Simonides wziął znów papiery w rękę.

— Estero, stań przy mnie i odbieraj przeczytane kartki inaczej mogłyby się pomieszać.

Uczyniła zadość życzeniu ojca a stojąc obok, położyła rękę na jego ramieniu, co czyniło wrażenie jakoby oboje zdawali sprawę.

— Oto — mówił Simonides — pierwszy dokument, wykazuje on jakie pieniądze miałem od twego ojca, a oto drugi na sumy, które wydałem Rzymianom; nie prócz pieniędzy nie dało się uratować, a i to tylko dzięki naszemu systemowi żydowskiemu rozmieszczania majątku na weksle. Sumy ocalone ściągnąłem z Rzymu, Aleksandryi, Damaszku, Kartaginy i innych miejsc, leżących w obwodzie handlowym, suma ta wynosi sto dwadzieścia talentów monetą żydowską.

To rzekłszy, oddał kartkę Esterze a wziął drugą mówiąc:

— Z tą sumą stu dwudziestu talentów — zacząłem interesa; z niej wyrósł mój kredyt — wyrażam się tak, aby ci następnie wykazać korzyści, z pomocą tych pieniędzy otrzymane.

Tu odczytał z pojedynczych kartek rozmaite pozycje rachunków, które ogółem tak się przedstawiały:

W okrętach	60 talentów
W towarach na lądzie .	110 „
W transporcie . . .	75 „
W wielbłądach i koniach	20 „
Na składach	10 „
W rachunkach bieżących	54 „
W gotówce	224 „

Razem . . 553 talenty. •

Do tego, to jest, do pięćsetpięćdziesięciu trzech talentów; dolicz kapitał, który mi twój ojciec powierzył a otrzymasz sześćset siedmdziesiąt trzy talenty! — Wszystko to twoje i jesteś najbogatszym człowiekiem na świecie.

Wziął papiery z rąk Estery, zostawiając sobie tylko jeden; zwinął je razem i oddał Ben-Hurowi z pewnem odcieniem dumy nie obrażającej nikogo, bo pochodziła raczej z zadowolenia po spełnionem obowiązku lub odnosiła się tylko do osoby młodego pana bez względu na swoje zasługi.

— I niema takiej rzeczy pod słońcem — mówił dalej niskim głosem — którejbyś nie mógł osiągnąć, ani dzieła, któregebyś nie zdołał dopełnić.

Była to chwila coraz to bardziej zajmująca dla obecnych; Simonides skrzyżował znów ręce na piersiach, Estera i Ilderim zdawali się w milczeniu rozważać, że w chwilach wielkiego powodzenia człowiek największą przechodzi próbę.

Ben-Hur wziął pergamin i walcząc ze wzruszeniem, rzekł: — Wszystko to zda mi się światłem z nieba rozjaśniającem tę noc tak straszną i długą, że sądziłem, iż się nigdy nie skończy. Najpierw dziękuję Panu, który mnie nie opuścił, potem tobie, Simonidesie. Wierność twoja zwyciężyła okrucieństwo ciemnocyielei i czyni zaszczyt ułom-

nej ludzkiej naturze. Rzekłeś, iż niema na ziemi dzieła, którego bym nie mógł dokonać, spróbuję żali to potrafię! Mógłżeby inny człowiek w tak szczęsnej jak obecna chwili, przewyższyć mnie we wspinałomyślności? Zaiste nie dopuszczę tego i ciebie. Szeiku, wzywam na świadka wraz z tobą, Estero, która jesteś dobrym aniołem swego ojca! Słuchajcie!

Tu wyciągnął rękę ze zwojem papirusowym ku Simonidesowi.

— Rzeczy, których spis zawierają te papiery — okręty, domy, towary, wielbłądy, konie, pieniądze, od najdrobniejszych do największych, oddaję tobie, Simonidesie, czyniąc je twoimi, przeznaczam je tobie i twoim na wieki!

Estera uśmiechnęła się przez łzy, Ilderim szybko i gwałtownie gładził brodę, oczy jego świeciły niby drogie kamienie, tylko Simonides był spokojnym.

— Przeznaczam je tobie i twoim na wieki — ciągnął Ben-Hur dalej, pokonując lepiej wzruszenie — ale pod jednym warunkiem.

Obecni słuchali wstrzymując oddech.

— Chcę, aby sto dwadzieścia talentów, które były własnością ojca mego, wróciły do mnie.

Twarz Ilderima rozechmurzyła się na te słowa.

— Dalej żądam, abys mi dopomógł w szukaniu matki i siostry, używając w tym celu wszystkich środków, jakie się okażą potrzebnymi.

Simonides uległ wzruszeniu, a wyciągnawszy rękę mówił: Co-raz to lepiej poznaję cię, synu Hura i wdzięcznym jestem Panu, iż cię takim przywiódł. Jeśli wiernie służyłem ojcu twemu za życia, jeśli równie wiernym zostałem jego pamięci, toć i ciebie nie zawiodę, a jednak tego warunku przyjąć nie mogę. Tu wziął pozostałą kartę i mówił dalej:

— To coś odczytał, nie jest końcem rachunków, są jeszcze inne — oto są, czytaj je głośno!

Ben-Hur uczynił zadość żądaniu.

Spis niewolników Hura

sporządzony przez zarządcę Simonidesa.

1. „Armah Egipcjanka w pałacu Jerozolimskim.
2. „Simonides, pełnomocnik w Antyochii.

3. „Eстера, tegoż córka.

Nigdy nie powstała w umyśle Ben-Hura myśl, że córka niewolnika jest niewolnicą podług prawa, a Eстера w jego marzeniach była zawsze rywalką Egipcjanki, przedmiotem w danym razie godnym miłości. Na tę niespodzianą wiadomość spłonął rumieńcem i spojrzał na nią nieśmiało; widząc, że i jej twarz oblana szkarłatem, spuścił oczy, a mnąc kartę papirusu, mówił żywo:

— Zaprawdę bogatym jest człowiek posiadający 600 talentów i może zaiste czynić co chce, cenniejszym jednak od pieniędzy jest umysł, który je zebrał i seree, którego bogactwo nie zepsuło. Nie lękajcie się, zacny Simonidesie i ty, piękna Eстерo. Szeik Ilderim poświadczy, że w chwili, w której was jako niewolników poznałem, otrzymaliście wolność, pospieszę to i pisemnie oświadczyć. Żaliż dość uczynilem, albo mogę co więcej?

— Zaiste, niewolę zdołałbyś słodką uczynić, o synu Hura, jednak pomyliłem się, mówiąc, iżes mocen wszystko uczynić, bo to pewna, że nie masz prawa zrobić nas wolnymi. Jam niewolnikiem po wsze czasy, ojciec twój przybił ucho moje do drzwi, jako to widzisz.

— Żaliż ojciec mój mógł to uczynić?

— Nie poważaj się sądzić go — przerwał Simonides — uczynił to na prośbę moją, bo tak żądała moja Rachela, matka tege dziecka, i nie chciała być moją żoną, dopóki bym nie był jej równym.

— Byłaż niewolnicą po wsze czasy?

— Tak.

— Ben-Hur mierzył szerokimi krokami pokój wszерz i wzdłuż, wyraźnie cierpiał nad swą niemocą.

— Byłem wpierw już bogatym — rzekł stając nagle. — Byłem bogaty darem dobrotliwego Aryusza, teraz przybywa mi nowa fortuna wraz z tym, który ją zebrać potrafił. Czyżby Opatrzność działała w tem bez celu? Poradź mi, Simonidesie, wskaż, pomóż ujrzeć sprawiedliwość i uczynić jej zadość. Dopomóż, abym był godnym imienia mego, stań się tem w rzeczywistości, czem jesteś podług prawa, a wdzięcznym ci będę po wsze czasy.

Twarc Simonidesa zdawała się jaśnieć od wewnętrznego zadowolenia.

— Synu pana mego! uczynię więcej, służyć ci będę całą potęgą mego umysłu i serca. Ciała nie mam już, poświęciłem je tobie, ale umysł i serce twoimi są. Przysięgam ci to na ołtarze Boga naszego i na te ofiary, co na nich płoną! Uczyni mi jednak prawnie tem, czem jestem.

— Cóż mam czynić? — rzekł gorąco Ben-Hur.

— Skoro mnie uczynisz zarządcą, pełnomocnikiem twego majątku, wtedy działać pocznę.

— Od tej godziny jesteś nim i uważaj się za takiego. Czy mam to uczynić pisemnie?

— Dość twego słowa; tyle dawał twój ojciec, nie chcę więcej od syna. Teraz zaś, kiedyśmy się porozumieli...

— Tak, jam gotów — rzekł Ben-Hur.

— A ty, córko Racheli, nie maszże nic do powiedzenia? — rzekł Simonides, zdejmując rękę jej z swego ramienia.

Estera zostawiona samej sobie, stała chwilę zapłonią i milcząca, potem zbliżyła się do Ben-Hura i dziwnie łagodnie rzekła. — Nie jestem zacniejszą od mej matki, gdy jej zabrakło, pozwól, o panie, abym pielęgnować mogła ojca mego!

Ben-Hur wziął z wolna jej rękę, położył ją na krawędzie krzesła Simonidesowego, mówiąc: Dobrze z ciebie dziecko, niechaj się stanie, jako chcesz.

Kupiec podniósł jej rękę na swe ramię i cisza zalegała komnatę.

Mimo zaszłych zmian Simonides spojrzał wzrokiem pana wkoło siebie, a potem rzekł spokojnie:

— Estero, późno już, wiele jeszcze mamy do mówienia, każ przynieść napoje, by nam sił nie zabrakło do pracy, która nas czeka.

Dziewczyna zadzwoniła na służbę i wnet wniesiono wino i chleb, które sama obniosła, częstując gości.

— Jakkolwiek porozumieliśmy się — rzekł Simonides — nie sądzę, aby już wszystko między nami było załatwione. Życie nasze ma odtąd płynąć jako dwie rzeki, które połączyły wody swoje w jedno. Jeśli bieg ich ma być swobodny, trzeba nam z nieba wszelkie usunąć chmury. Kiedyś odszedłeś od drzwi moich z uczuciem niezadowolonia i przekonaniem, że nie chcę uznać tych praw, które ci wła-

śnie przyznałem w najszerszym znaczeniu. Że tak uczyniłem, to prawda, bo poznałem cię; Estera i Malluch zaświadczą chętnie, że nie spuściłem cię odtąd z oka.



— Malluch! — zawołał Ben Hur zdziwiony.

— Kto tak jak ja przykuty do krzesła, ten musi mieć daleko

sięgające ręce i dużo tych rąk, jeśli chce coś znaczyć na świecie, z którego tak okrutnie został usunięty. Mam więc wielu ludzi. Malluch zaś najlepszy z wielu... Czasem znów — tu rzucił okiem na Szeika „pożyczam dobrego serca u drugich, np. u Ilderima Dobrotliwego, męża pełnego zacności i odwagi. Pozwól, niech i on ci powie, czym kiedy zapomniał o tobie.

Ben-Hur spojrzał na Araba, a Ilderim skinął głową i zmrużył oczy na znak potwierdzenia.

— Trudno, panie — mówił dalej Simonides — poznać człowieka bez próby. Gdyś cię ujrzał, widziałem obraz twego ojca; mógłbym jednak wiedzieć, jakim jesteś człowiekiem? Wszak zdarzają się ludzie, dla których majątek bywa przekleństwem. Więc wysłałem Mallucha, aby mnie zastąpił i był w tej służbie moimi oczami i moimi uszami. Uczynił zadość mej woli, same dobre przynosił mi wieści; nie bierz mu tego za złe, proszę.

— Uczynił dobrze i nie mam żalu do niego — odparł Ben-Hur — ani do was, bo mądrość kierowała waszemi czynami.

— Słowa te miłe są sercu memu — rzekł kupiec z uczuciem — bardzo miłe, nie boję się nieporozumienia i niechaj rzeki płyną już sobie, jak im Bóg każe!

Po przerwie mówił dalej:

— Tkacz siedzi u krosien i puszcza czółenko, sukna przybywa, rosną desenie i figury, a on marzy i myśli... Tak rosła w mych rękach fortuna i dziwiłem się jej wzrostowi, pytając samego siebie, jakim sposobem? Widziałem, że starania innych; równie pilne jak moje, nieosiągają przecież celu, piaski pustyni zasypywały nieraz całe majątności kupców, mnie przeciwnie, burze pędziły okręty, innym druzgotały się. Co więcej, ja tak zależny od innych, przykutym do krzesła, prawie martwa bryła, nie poniosłem nigdy straty z winy wykonawców mych rozkazów — nigdy nie byłem oszukany. Tak służyły mi żywioły a ludzie byli mi wiernymi.

— Zaiste, rzecz to godna zastanowienia — mówił Ben-Hur.

— Tak jest jako rzekłem i w końcu przyszedłem do tego przekonania, że Bóg jest w tem, a dziś pytam wraz z tobą, jaki jest jego cel, jaka jego wola? Nic się nie dzieje bez zamiaru. Nie wątpię

też nigdy, że przyjdzie dzień, który On uzna za stosowny, w którym wskaże mi cel i ujrzę go również wyraźnie, jakbym ujrzał biały dom widniejący na wzgórzu. Dziś wierzę, iż to się już stało!

— Wiele lat temu, z moją rodziną — matka twoja, Estero, piękna jako poranek nad starym Oliwetem, była ze mną — siedzieliśmy przy drodze północnej wiodącej do Jerozolimy, w pobliżu grobów królewskich. Na drodze ujrzeliśmy trzech jeźdźców na dużych białych wielbłędach, tak pięknych, że nigdy im równych nie widziano w świętem mieście. Byli to ludzie obcy z dalekich przybywający stron. Pierwszy wstrzymał wielbłąda i zapytał mnie: „gdzie jest ten, który się narodził, Król żydowski?” Do pytania, jak gdyby dla większego zdziwienia mego dodał: „widzieliśmy Jego gwiazdę na wschodzie i przybywamy oddać Mu cześć.” Nie zrozumiałem, co chciał powiedzieć, ale szedłem za nimi aż do bramy Damascenkiej. W ciągu całej tej drogi zadawali przechodniom toż samo pytanie, a nawet strażnikowi u bramy. Wszyscy równie się dziwili jak ja, a powszechnie mówiono, że słowa te tyczą się przepowiedni Mesyasza, — szczegółów już wiele zapomniałem a rzeczy chyba się nie zmieniły. My ludzie, a nawet najmłodsi między nami, jesteśmy jako dzieci. Drogi Jego odmienne są od naszych, a kroki Jego na ziemi często wieki całe oddzielają. Czy widziałeś Baltazara?

Tak i słyszałem jego opowiadanie — odparł Ben-Hur.

— Cud, prawdziwy cud! — wołał Simonides. — Gdybym słyszał to opowiadanie, zdało mi się, iż ono jest odpowiedzią i ujrzałem jasno cel Opatrzności. Skoro przybędzie król ubogi, pozbawiony przyjaciół, bez orszaku, wojska, miast i zamków, żaliż nie będzie za późno? Zanim więc przyjdzie, zanim Rzym może runąć, trzeba założyć królestwo. A ty, panie, ty silny, w broni wyćwiczony, bogaty, czy widzisz powód, dla którego Bóg cię zesłał? Żaliż cel Jego nie może być twoim? Powiedz, panie, czy może człowiek urodzić się dla większej chwały?

Ostatnie pytanie stawiał Simonides z całą siłą wewnętrznego przekonania.

— Tak ci się wydaje, bo nie pomnisz — rzekł Ben-Hur gorąco — że królestwo, które głosi Baltazar, ma być królestwem duchowem.

Simonides był żydem, dumnym ze swej narodowości, to też odparł z ironią w głosie:

— Baltazar był świadkiem cudownych rzeczy — cudów. Gdy o nich mówi, kornie przed nim schylam głowę, bo je widział i słyszał. Jest jednakże synem Mizraima, nawet nie prozelitą, trudno więc przypuścić, aby miał szczególną wiedzę, zwłaszcza w tłumaczeniu postanowień Bożych, dotyczących się narodu izraelskiego. Prorocy mieli światło wprost z nieba porównie jak i on — proroków jest wielu, on jeden, a Jehowa zawsze ten sam. Mógłżebym nie wierzyć prorokom? Estero, przynies mi Thora.

Nie czekając aż córka przyniesie księgę, mówił dalej:

— Zresztą czy nie mamy świadectwa całego narodu? Przejdź od Tyru, co leży nad morzem ku północy, do stolicy Edomu, co jest na południu pustyni, a nie znajdziesz wyznawcy Schemy, ani takiego, coby składał jałmużnę w świątyni, ani takiego, któryby kiedykolwiek jadł baranka wielkanocnego, żeby ci nie powiedział, że oczekuje królestwa i króla. Dzień przybycia jego, będzie dniem szczęścia, a królestwo, jako królestwo ojca naszego Dawida. Spytasz, skąd mają tę wiarę? Wskażę ci i to.

Właśnie wróciła Estera, niosąc kilka pergaminowych zwojów, starannie owiniętych ciemno brązową materyą, złotymi znakami pokrytą.

— Trzymaj, córko, zwoje; podasz mi je, gdy zażądam — rzekł ojciec łagodnym głosem, jakim zwykle do córki się odzywał, potem mówił dalej:

Trwałoby to długo, a może za długo, gdybym chciał wymieniać imiona świętych, którzy za wolą Opatrzności zajęli miejsce proroków. Nie mieli ci następcy świętego ognia Eliasza lub Elizeusza, przecież pisali i nauczali po powrocie z niewoli, a światła pożyczali od pochodni Malachiasza, tego ostatniego z rodu proroków. Hillel i Szamai mają i teraz imię jego na ustach, nauczając młodzież. Zapytajmy ich o królestwo: Któż jest panem trzód w księdze Ezechiela? Któż, jeśli nie król, o którym mówimy? Tron gotów na jego przyjęcie, schodzi na ziemię, a inni królowie spadają z tronów swych, prześladowcy Izraela wrzuceni będą w jaskinie podziemne między słupy ogniste.

Śpiewak psalmów mówi: „Wejrzyj, Panie, na lud Swój, oddaj Izraelowi króla jego, daj go w czasie, jaki uznasz, o Boże, daj go, aby rządził Izraelem, dziećmi Twemi... I zmusi narody ziemi pod jarzmo swoje i służyć mu będą. I będzie sprawiedliwym królem, od Boga naznaczonym... będzie rządził ziemią słowem Jego na wieki.“ Posłuchaj Ezdry, tego drugiego Mojżesza, gdy opowiada swe nocne widzenia, i spytaj kim jest ten lew, co ludzkim głosem przemawia do orła, który oznacza Rzymianina: „Kochałeś kłameców i zgwałciłeś miasta pracujących i obaliłeś ich mury, chociaż nie czynili nic złego. Dlatego znikniesz, aby ziemia była odnowiona, podniosła się i uwierzyła, w sprawiedliwość i litość Tego, który ją uczynił. Odtąd oczy jego nie widziały orła. Zaprawdę, panie, dość byłoby tego świadectwa; przecież gdy droga do źródła otwarta, czemużby doń nie dotrzeć? Podaj winą, Estero, a potem Thorę.*)

— Wszak wierzysz, panie, w proroki? — pytał pijąc. — Wiem, że wierzysz, bo taką była wiara ojców twoich. Podaj mi, Estero, księgę widzeń Izajaszowych.

Wziął zwój, który dla niego rozwinęła i czytał: „Lud, który chodził w ciemnościach, ujrzał światłość wielką; mieszkającym w krainie cienia śmierci, światłość im weszła. Albowiem maluczki narodził się nam, syn jest nam dany, i stało się panowanie na ramieniu Jego. Rozmnożone będzie państwo Jego, a pokojowi nie będzie końca: na stolicy Dawidowej i na królestwie Jego siedzieć będzie; aby je utwierdził i umocnił w sądzie i w sprawiedliwości, odtąd i aż na wieki. Zawistna miłość Pana Zastępów uczyni to.“ Żali wierzysz prorokom, panie? Teraz, Estero, podaj mi słowa Pana do Micheasza.

Dzieweczyna podała zwój, którego żądał.

„A ty — czytał — a ty, Betleem Efrata, malutkieś jest między tysiącami Judzkiemi; z ciebie mi wynijdzie, który będzie panującym w Izraelu, a wyjścia Jego od początku, odedni wieczności. — Zaiste, On to był dziecięciem, które wi-

*) Thora, księga praw Mojżesza.

dział Baltazar, On, któremu oddał cześć w jaskini. Wierzyszże, panie, Prorokom? Podaj mi, Estero, słowa Jeremiasza.

Wziąwszy zwój podany, czytał jak pierwej:

„Oto dni przychodzą, mówi Pan: a wzbudzę słowo dobre, którem mówił do domu Izraela i do domu Juda. W onym dniu i w onym czasie uczynię, że spłodzi Dawid plód sprawiedliwości, a będzie czynił sąd i sprawiedliwość na ziemi. W one dni będzie zbawion Juda i Jeruzalem mieszkać będzie bezpiecznie; a to jest imię, którym go nazwą: Pan sprawiedliwy nasz. Bo to mówi Pan: Nie zginie z Dawida mąż, któryby siedział na stolicy domu Izraelowego.“ Żali nie wyraźnie jest tu mowa o królu i czy możesz, panie, nie wierzyć w Proroki? Teraz, córko, podaj mi przepowiednie tego syna Judy, na którym niema żadnej plamy.

Podawała mu księgę Daniela.

— Słuchaj panie — rzekł: — „Patrzyłem tedy w widzeniu nocnem, a oto z obłoki niebieskieni jako syn człowieczy przychodził i aż do starowiecznego przyszedł: i stawili Go przed oblicze Jego. I dał Mu władzę, i cześć, i królestwo: i wszyscy narodowie pokolenia i języki służyć Mu będą: władza Jego, władza wieczna, która nie będzie objęta; a królestwo jego, które się nie skazi.“ Czyżbyś nie wierzył Prorokom, panie mój?

— Zaiste, dosyć już, wierzę — wołał Ben-Hur.

— Tak, ale to nie dosyć — mówił Simonides — jeśli król przyjdzie ubogi, czy mu udzielisz, panie, ze swej wspaniałości?

— Zaiste, tak, i to do ostatniego sykla i do ostatniego technienia mej piersi. Czemużby jednak miał przyjść ubogim?

— Podaj, Estero, słowa Pana, jako je słyszał Zacharyasz — rzekł Simonides. Estera zaś podała zwój.

— Posłuchaj, panie, jako król przybędzie do Jerozolimy: „Raduj się wielce, córko Syonu, wykrzykuj, córko Jeruzalem: oto król twój przyjdzie tobie sprawiedliwy i zbawiciel, on ubogi, a wsiadający na oślicę i na źrebie, syna oślicy.

Ben-Hur patrzył w dal.

— Co widzisz, panie?

— Rzym! — odparł ponuro. — Rzym i jego legiony. Walczyłem z nimi i znam ich potęgę.

— Ah! — rzekł Simonides — ty będziesz wodzem legionów króla i wśród milionów wybierać będziesz.

— Wśród milionów? — zawołał Ben-Hur ze zdziwieniem.

Simonides milczał chwilę, a potem rzekł:

— Nie dręcz się, panie, potęgą Rzymu. — Tu Ben-Hur spojrzał na kupca pytająco. — Pokazałem ci króla ubogo przybywającego do stolicy i widziałeś go po prawej, a Rzym po lewej i rzekłeś: żaliż może on zdzierżyć?

— Zaprawdę, odgadłeś, takimi były moje myśli.

— O mój panie — ciągnął Simonides — nie masz pojęcia, jako potężnym jest Izrael. Ty sobie go wyobrażasz niby starca płaczącego nad rzekami Babilońskimi. Nie myśl tak, a udaj się do Jerozolimy koło Wielkiej-Nocy, stań nad brzegiem Ksystu, albo na ulicy Berber i stamtąd przypatrz się narodowi. Obietnica Pana, uczyniona Jakóbowi, gdy opuszczał Padam Aram, stała się prawem. Naród nasz nie przestał się mnożyć, nawet w niewoli, czy to pod jarzmem Egipcyan, czy pod rzymskiem, i jest zaprawdę wielkim narodem. Tak, wierzaj mi, panie; chcąc poznać siłę, na jaką może liczyć nowy król, nie trzeba rachować najbliższych, ale i tych, co w najodleglejszych stronach wiara w jednego Boga wyznawają. Zwyczajem jest mówić i myśleć o Jerozolimie jak o Izraelu, tymczasem jest ona jako złoty haft na koronacyjnym płaszczu Cezara, kamieniem świątyni, sercem w ciele. Odwróć twe oczy od legionów rzymskich, choć potęga ich tak wielka, a porachuj szeregi wiernych, co czekają na dawne hasło: „Izraelu, spiesz do namiotów!“ Zlicz tych, co żyją w Persyi, a są dziećmi tych, co woleli pozostać na obczyźnie, i tych, co zamieszkują brzegi Afryki i Egiptu. Porachuj, panie, Hebreów osiadłych dla zysku na Zachodzie w Boudinum i Hiszpanii, nie zapomnij, synu Izraela, czystej krwi prozelitów*) w Grecyi i na wyspach rozsianych wśród wód Oceanu, dalej w Poncie, w Antyochii, a i tych, co żyją w samych nieczystych murach Rzymu.

*) Prozelita, niewierny, który przyjął wiarę żydowską. Dzisiaj nazywamy prozelitą każdego, kto zmienił wiarę.

Małoż to czcicieli liczy Pan wśród tych, co niedaleko nas na pustyni w namiotach mieszkają, lub tych, co wzdłuż Nilu osiedli! I nad Morzem kaspijskiem i w starym kraju Gog-Magog żyją nasi bracia jako odłam tych, którzy rok rocznie, uznając Boga, składają dary w świątyni, — i tych policzmy! Gdyśmy tak skończyli rachunek, spójrz, panie, na szereg mieczy oczekujących wodza, bo oto królestwo czeka na Tego, który ma uczynić sąd i sprawiedliwość na całej ziemi, więc

tak w Rzymie, jako na Syonie, a ostatnie słowo to pewność, że co może Izrael, to może i Król.

Obraz nakreślony był z zapalem; dla Ilderima był on niby pobudką wojenną; wołał też z żalem, powstając: —

Ach, gdybym był młodym!

Ben-Hur natomiast siedział nieruchomy i nie dziw, mowa kupca była wezwaniem go do poświęcenia mienia i życia tajemniczej Istocie, która była źródłem nadziei tak Simonidesa, jak pobożnego Egipcjanina. Myśl ta nie była nową, owszem nieraz, jak wiemy, obila się o jego uszy, czy to w rozmowie z Malluchem w rozkosznym gaju Dafny, czy to wyraźniej, gdy Baltazar wykladał mu swoje pojęcie o królestwie, później jeszcze wśród cieni starego Gaju, gdzie właściwie przyszedł do postanowienia dość przykrego i bolesnego. Dziś rzeczy miały się inaczej, dziś widział, że Pan jest w tem dziele, cała zaś sprawa



świętą. Czuł, że się przed nim odwarła jakoby brama dotąd zamknięta, a oświecająca go nagle światłem, wzywającem go do służby, co była niby spełnieniem jego marzeń. Służba to w daleką wiodąca przyszłość, pełna nagród za spełnioną powinność, słodka i miła dla jego słusznej dumy. Brakło tylko jeszcze jednego skinienia.

— Wszystko co mówisz, Simonidesie, uznaję — rzekł Ben-Hur — przypuszczam, że król przyjdzie i założy królestwo podobne Salomonowemu; przypuszczam także, że oddam siebie i wszystko co posiadam Jemu i Jego sprawie, co więcej, wierzę nawet, że cały bieg mego życia i szybki wzrost twego majątku były zrządzeniem Bożem w najwyższym celu, — to jednak nie znaczy, abyśmy mieli działać na ślepo. Nasuwa się pytanie, czy mamy czekać na króla i jego wezwanie, czy już zacząć działać? Masz wiek i doświadczenie za sobą, mów!

Simonides nie ociągał się z odpowiedzią. List, który trzymam w ręku — rzekł — nie zostawia nam wyboru. Jeślibyśmy nie działali, ulegniemy Messali i Gratusowi, wpływ nasz w Rzymie nie pokona ich, a tutaj zabraknie sił. Gdy cię raz schwycą, zginąłeś, a jakim jest ich miłosierdzie, wiem najlepiej. Na to wspomnienie zadrżał starzec.

— Panie mój! — mówił dalej, zwalczając wzruszenie — ty sam pobudzasz mnie do działania.

Ben-Hur zdawał się nie rozumieć tych słów, Simonides mówił dalej: Gdym był młodym, jakież świat cudowny widziałem przed sobą.

— Nie brakło ci mimo to siły do poświęcenia.

— Tak, dała mi tę siłę miłość.

Simonides potrząsnął głową i rzekł: — Myślisz o ambicyi?

— Wszak ambicya nie przystoi synowi Izraela...

— Pozostaje więc zemsta.

Zdało się, że iskra zapalna padła na serce, ręce zadrżały i Ben-Hur odparł szybko: — Tak, masz słuszność, zemsta jest prawem Żyda.

— Wielbłąd, pies nawet pamięta krzywdę — dorzucił Ilderim.

Simonides nie zwlekając, pochwycił zerwaną nić swych myśli: — Tak, zanim król przyjdzie, jest coś do zrobienia. Nie wątpimy, że Izrael będzie Jego prawą ręką, ale niestety to ręka pokoju, nie zna ona przebiegłości ni dzieła wojny.

Wśród milionów niema jednej wyćwiczonej ręki, niema wodza. Nie mogę tu liczyć Herodowego żołdactwa, bo ono jest na to, aby nas ucisnąć. Położenie i stan kraju są takimi, jak je chce mieć Rzymianin. Rządy jego wydały spodziewane owoce ucisku. Czas przeobrażenia już nadszedł, niech pasterz wdziewie zbroję, weźmie miecz i dzidę, a pasący trzody niechaj się zmieniają w lwy walczące. Ktoś stanąć musi przy królu i zająć miejsce po jego prawicy! Któż nim ma być, żali nie ten, kto pracę tę podejmie i jej podoba?

Twarz Ben-Hura rozjaśniła się na tę myśl i rzekł:

— To widzę jasno, że rzecz spełnić należy, ale jak?

Simonides wypił wino, które mu Estera podała, i odpowiedział:

— Szeik i ty, panie, będziecie wodzami, każdy w odrębnym zakresie. Ja pozostanę tu, jak zawsze, bacząc, aby nie wyschło źródło pomyślności. Ty udasz się do Jerozolimy, stamtąd na puszcze, aby tam zebrać rozproszone a zdolne do broni syny Izraelowe. Podzielim ich w dziesiątki i setki, ustanawiając wodzów i ćwicząc na ustronnych miejscach w robieniu bronią. Na to wszystko ja dostarczę środków. Zaczнеш od Perei, pójdziesz stamtąd do Galilei, skąd tylko krok do Jerozolimy. W Perei masz pustynię poza sobą a Ilderima w pobliżu. On będzie pilnował dróg, aby na nich nie nie zaszło, o czym byś nie miał wiadomości, a wielkie będą usługi, które ci odda. Zanim wszystko będzie w gotowości, nikt prócz nas nie będzie miał celu. Ja będę waszym sługą. Z Ilderimem już mówiłem, a ty, panie, powiedz co o tem myślisz?

Ben-Hur spojrzał na Szeika.

— Jest tak, jako rzekł — odparł Arab — jemu wystarcza moje słowo, tobie złożę przysięgę, przysięgę, która zwiąże mnie i moje pokolenie wraz z całym mieniem, aby ci służyło w potrzebie.

Wszyscy troje, Simonides, Ilderim i Estera, patrzeli wyczekująco na Ben-Hura.

— Każdemu człowiekowi — rzekł smutnie — przeznaczony jest jakiś kielich szczęścia, prędzej lub później skosztuje z niego — tylko nie ja. tak się dzieje... Tak, Simonidesie i Szeiku, pojmuję was. Jeśli uczynię po waszej woli i pójde wskazaną drogą, żegnaj mi szczęście, żegnaj nadziejo, którą się tak cieszyłem! Jeśli przejdę przez

otwierającą się przede mną bramę, zamknie się za mną na zawsze, bo Rzym stoi przy niej na straży. Siepacze ich prześladować i ścigać mnie będą, a groby w pobliżu miasta i jaskinie w górach staną mi się mieszkaniem, kędy jeść i spoczywać będę.

Łkanie żałośnie przerwało mowę młodzieńcowi. Wszysey zwrócili się w stronę Estery, a ta ukryła twarz na ramieniu ojca.

— Zapomniałem o tobie, Estero — rzekł łagodnie Simonides z wzruszeniem.

— Łatwiej znieść ciężką dolę — mówił Ben-Hur — skoro się znajdzie litość nad sobą. Pozwól mi mówić dalej.

I znów słuchali wszysey.

— Sam rzekłeś, że nie mam wyboru i muszę objąć zadanie, któreście mi przeznaczyli; a jeśli tu śmierć mi zagraża, to czemuż nie mam zaraz się wziąć do dzieła?

— Czy mamy spisać tę ugodę? — pytał Simonides przyzwyczajony do załatwiania handlowych spraw.

— Polegam na twem słowie — rzekł Ben-Hur.

— I ja — dodał Ilderim.

W tak prosty sposób zawarto związek, co miał zmienić życie Ben-Hura. On też pierwszy się ozwał, mówiąc:

— A więc stało się.

— Oby Bóg Abrahama wpierał nas! — zawołał Simonides.

— Jeszcze słowo, przyjaciele moi — rzekł Ben-Hur — pozwólcie mi rozporządzać sobą aż do wyścigów. Nie jest prawdopodobnem, aby Messala zdołał mnie zgubić przed odpowiedzią prokuratora na ów list. Odpowiedź ta przed siedmiu dniami od wysłania Pisma nadejść nie może. Tymczasem rozkosz spotkania się z nim w cyrku kupiłbym za jakąkolwiek cenę.

Ilderim chętnie zgodził się na to już ze względu na swoje ukochane konie. Simonides znów patrzył na sprawę ze strony praktycznej i dlatego powiedział: — To opóźnienie ma swoją dobrą stronę i pozwoli mi oddać ci przysługę. Zdaje mi się, że wspomniałeś o sukcesyi Aryusza. Czy to są posiadłości ziemskie?

— Wila pod Misenum i domy w Rzymie.

— W takim razie radzę sprzedać własność, a pieniądze bezpiecznie przechować. Daj mi bliższe objaśnienie, a wnet przygotuję pełnomocnictwo i wysłę umocowanego do tej sprzedaży człowieka. Przy najmniej jeden raz więcej uda nam się uprzedzić cesarskich rabusiów.

— Objaśnienia mieć będziesz jutro.

— A zatem dzieło dnia dzisiejszego skończone! — rzekł Simonides.

Ilderim skłonił głowę dodając: i dobrze spełnione.

— Estero, jeszcze chleba i wina! Szeik Ilderim uszczęśliwi nas, jeśli zechce, zostając do jutra. A ty, panie?

— Każ przyprowadzić konie — rzekł Ben Hur — wrócę do Gaju. Gdy teraz pojedę, nieprzyjaciół nie spostrzeże mnie a i twoje arabczyki rade mi będą — dodał zwracając do się Ilderima.

Już dniało, gdy Ben-Hur z Malluchem stanął u drzwi namiotu.

ROZDZIAŁ XXV.

Następnej nocy około czwartej godziny, stał Ben-Hur z Esterą na terasie głównego składu towarów. Poniżej na wybrzeżu panował wielki ruch, pakowano skrzynie, paki i tłumoki; ludzie biegali tu i tam, podobni przy światłach pochodni do fantastycznych duchów opisywanych w czarodziejskich baśniach Wschodu. Ładowano towary na galereę, która miała niedługo odpłynąć. Simonides nie opuścił dotąd kantoru, gdzie do ostatniej chwili wydawał rozkazy kapitanowi. Poleciał mu sterować bez przerwy do rzymskiego portu Ostii, gdzie miał wysadzić na ląd jednego z podróżnych. Stamtąd już wolniej winien płynąć do Walencyi na hiszpańskim wybrzeżu.

Podróżny, to właśnie ów pełnomocnik, wysłany do uregulowania spuścizny po Aryuszu. Skoro odwiążą liny okrętu i tenże wypłynie na pełne morze, Ben-Hur będzie już nieodwołalnie związany z dziełem umówionem ostatniej nocy. Jeśli żałuje danego przyzwolenia, to zaiste mało ma przed sobą czasu do zerwania umowy, a jednak jest panem i dość mu powiedzieć słowo.

Takiemi mogły być jego myśli w tej chwili, gdy stał ze złożonymi rękoma i patrzył na scenę u stóp jego się rozgrywającą, z wy-

razem człowie-
ka walczącego
ze sobą. Łatwo
przypuścić, że
młody, piękny,
bogaty i zaledwo
wyrwany z kół
rzymskiego to-
warzystwa, nie
bez żalu rzucał
świat, wabiący
go więcej, niż
jakaś może uro-
jona powinność
lub chęć sła-
wy, połączonej
z niebezpieczeń-
stwem i wygna-
niem. Może wi-
dzioczymaduszy
trudności prawie
nie do zwalcze-
nia, bezowoc-
ność walki z Ce-
zarem. Z dru-
giej strony tajem-
nica osłania-
jąca przyjście
króla i jego sa-
mego, a poza tem
stracony spokój,
sława, bogaetwa,
co go nęciły jako
towary na targu;
nadewszystko



zaś uczucie nowe, zbudzone widokiem domu i przyjaciół, z którymi jakże miłe mógł pędzić życie! Ci tylko, którzy sami długie dni wygnania znają, mogą ocenić siłę pokusy, wabiącej młodzieńca.

Dodajmy do tego podszepty światowe, przewrotne, słodkie słowa, które mówią: „żyj, używaj!“ przedstawiając zarazem tylko słoneczne strony życia, w których pewne znaczenie miała i słodka towarzysząca Ben-Hura.

— Byłaś, Estero, kiedy w Rzymie?

— Nie — odparła.

— A pragnęłabyś tam być?

— Zdaje mi się, że nie.

— Dlaczego?

— Lękam się Rzymu — odparła z drżeniem w głosie.

Spojrzał na nią, przy nim zdawała się małą jak dziecko. W zmroku nie widział jej twarzy, kształty jej nawet niewyraźnie się rysowały. A przecież przypomniawszy mu Tirzę i nagle opanowała go tkliwość wraz z wspomnieniem tej, co tak samo stała u jego boku, na szczycie domu owego strasznego dnia, w którym się stało nieszczęście. Biedna Tirza! Gdzie ona teraz być może? Estera skorzystała na tych wzbudzonych wspomnieniach; nie była jego siostrą, ale niewolnicą, przecież nie zdołał jej za sługę uważać, przeciwnie, zdawało się, że dla tego dla niej jest serdeczniejszym i względniejszym.

— Nie mogę sobie wyobrazić Rzymu jako miasta pałaców, świątyń i przepelnionego tłumem ludzi; wydaje mi się raczej potworem, co posiadał nasz piękny kraj i grozi ludziom śmiercią i zagładą. Potwór to straszny i nie mu się oprzeć nie zdoła, bo żarłoczny jako zwierz i łaknie krwi: — Dlaczego...

Tu zatrzymała się i zmieszana patrzyła w ziemię.

— Mów dalej — rzekł Ben-Hur tonem zachęcającym.

Przysunęła się do niego, spojrzała w górę i rzekła:

— Czemu, Panie, chcesz wejść w nieprzyjaźń z Rzymem? Czemu z nim raczej nie zawrzeć przymierza i być spokojnym? Wszak w życiu tyle spotkało cię złego, znosiłeś wiele i uszedłeś mnogich zasadzek. Cierpienia zatrwały twą młodość, czemuż resztę twych dni chcesz oddawać na łup boleści?

Dziewczęca postać zbliżała się ku niemu; oblicze, coraz to blade, nabierało błagalnego wyrazu, nareszcie pochyliła się nad nim, a on zapytał łagodnie:

— Cóż chcesz, abym uczynił Estero?

Wahała się chwilę, a potem zapytała:

— Czy twa posiadłość pod Rzymem jest domem?

— Tak.

— I pięknym?

— I bardzo pięknym. Jest to pałac wśród ogrodów, rozrzuconych drzew, krętych ścieżek. Wśród cienistych krzewów biją wodotryski i stoją mileczące posagi. Wzgórki otaczające wieńczy winograd; gdy wstąpisz na nie, ujrzysz Neapol, Wezuwiusz i błękitne morze, gdzieś tam ruchomymi bielejące żaglami. Cezar posiada letnią willę w pobliżu, ale w Rzymie mówią, że stara willa Aryuszów o wiele piękniejsza.

— I żyć tam można w spokoju?...

— Nigdy dzień letni, ani noc księżycowa nie były spokojniejszymi nad pobyt w tem miejscu. Chyba, że goście chwilowi napelnia willę zgiełkiem. Teraz, kiedy dawnego właściciela zabrakło, a ja jestem tutaj, nie ma ciszy i spokoju. Nie tam nie słyszeć prócz szeptu sług, szezebiotu ptaków lub szmeru wodotrysków. Wszystko tam głucho i jednostajne; całą różnorodność stanowi szelest spadających liści, pękających pączków lub wędnących kwiatów, i słońce to zachodzące, to wysuwające się z za chmurek, co krąży po błękitnie niebios. Życie tam dla mnie, Estero, było za spokojne; nieraz wyrzucałem sobie próżniactwo, myśląc, że tyle spraw czeka na mnie, ja zaś otaczam się jedwabnymi więzami i może wkrótce... zakończę życie nie zdziaławszy nic.

Oczy jej spoczęły na rzece.

— Czemu się pytałaś? — zapytał.

— Mój łaskawy panie...

— Nie mów tak, Estero, nie mów tak! Zwij mnie przyjacielem, bratem, jeśli chcesz, ale nie nazywaj mnie panem, bo nim ani jestem, ani być chcę. Zwij mnie bratem.

W cieniu nocy nie mógł ujrzeć jej zarumienienia, ani blasku oczów, co w dal na rzekę patrzyły.

— Nie mogę pojąć — rzekła — jak można wybierać życie...

— Walki z przemocą i przelew krwi — dokończył zdania za nią.

— Tak — potwierdziła i dodała: Zamiast spokojnego życia w pięknej wili.

— Jesteś w błędzie, Estero, jeśli sądzisz, że czynię to z upodobania. Wierżaj mi, że nie mam wyboru: zostanie tu, czeka mnie śmierć niechybna; pójdę tam, może mnie spotkać koniec ten sam. Cóż łatwiej, jak podać zatruty kielich, namówić śmiałka, co pehnie sztyłem, albo świadka, co fałszywie przysięgnie. Messala i Gratus zbogacili się nieniem mego ojca, a dziś utrzymanie w rękach grabieży jest dla nich ważniejszym, niż było w chwili zaboru. Nie można przypuszczać, aby ta sprawa dała się godnie załatwić, bo pierw musieliby się przyznać do swej zbrodni. Zresztą — zresztą, Estero, gdyby mi przyszło od nich kupić tę zgodę, nie wiem, czybym chciał. Nie wierzę, abym kiedy znalazł pokój, tem mniej znaleźć go mogę w rozkosznych gajach i czarującem powietrzu, pod marmurowymi portykami starej wili. Nie znalazłbym go nawet, gdybym tam miał istotę, coby cierpliwą miłością słodziła ciężar dni moich, dźwigając wspólną dolę. Niema dla mnie spokoju, póki nie odnajdę moich! Muszę więc mieć się na baczności, a gdy i jeśli je znajdę, i one opowiedzą swe cierpienia, mogęż znieść, aby winny nie był ukarany? Jeśli je zabito, mogęż pozwolić, aby uszedł morderca? O nie! sumienie nie pozwoliłoby mi zasnąć, najczystsza miłość z całym swym czarem nie zdołałaby mi przywrócić spokoju.

— A więc nieszczęścia nie da się uniknąć? — spytała drżącym od wzruszenia głosem — i nie zgoda nie można w tej sprawie odmienić?

Ben-Hur wziął jej rękę. — Więc także troszczysz się bardzo o mnie?

— O bardzo — odparła po prostu.

Ręka jej była gorąca i ginęła w jego dłoni, tak że czuł jej drżenie. Stała mu w myśli Egipcjanka, tak zupełnie różna od tej małej, taka słuszną, śmiałą, zalotnie pochlebająca i pełna dowcipu. Jej piękność tak uroczą, zamajaczyła na tle nocy, a młodzieniec podniósłszy do ust rękę Estery, spuścił ją, mówiąc:

— Będziesz dla mnie Tirzą, Estero.

— Któż to jest Tirza?

— Takie imię nosi moja mała siostrzyczka, porwali ją Rzymianie; zanim ją znajdę, nie mogę spocząć, ani być szczęśliwym.

W tej chwili padł na nich promień światła od strony terasy, odwrócili się i ujrzeli Simonidesa, którego z krzesłem właśnie wtaczano. Zbliżyli się ku niemu, a w dalszej rozmowie on już główne zajmował miejsce.

Tymczasem na wybrzeżu odcięto liny galery, która jak ptak popłynęła ku morzu przy blasku pochodni i wśród radosnych okrzyków wioślarzy. A Ben-Hur?... Został. — On i jego losy związane nieodwołalnie ze sprawą króla, którego przyjścia oczekiwano.

ROZDZIAŁ XXVI.

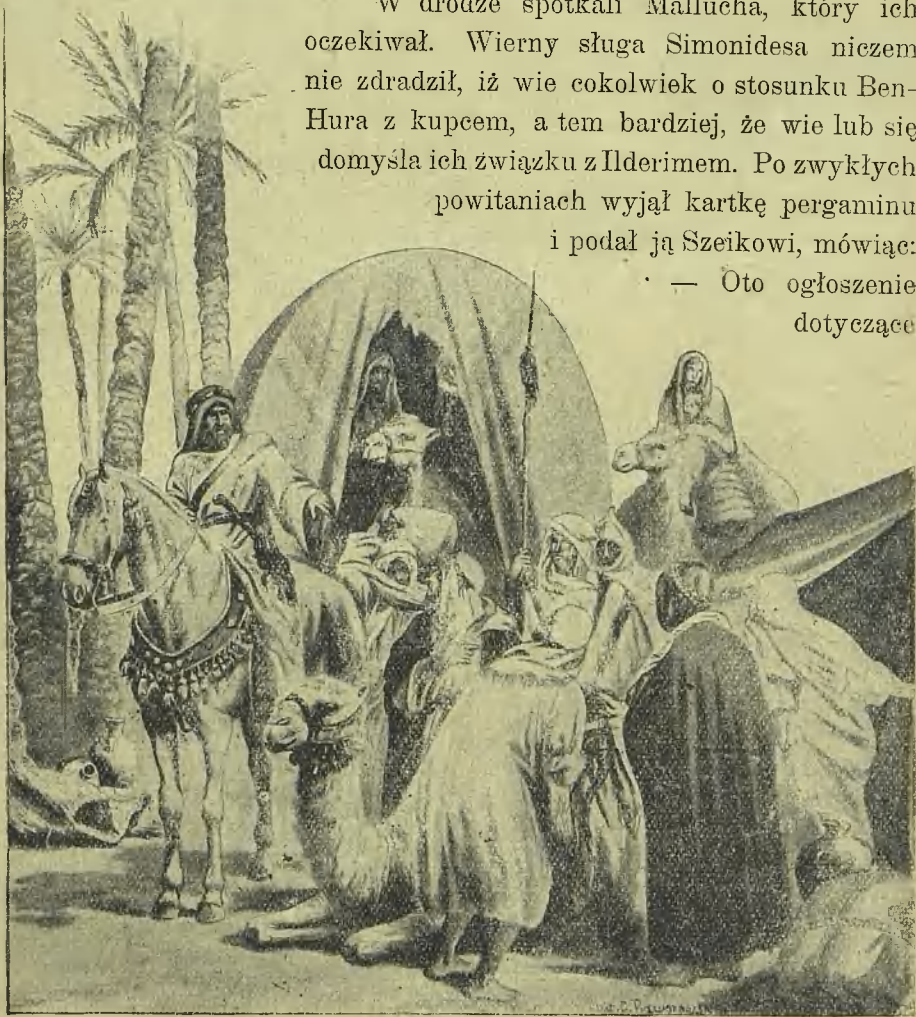
Po południu w przeddzień wyścigów przeprowadzano konie i wóz Ilderima do miasta i umieszczono je w pobliżu cyrku pod bacznią strażą ludzi Szeika. Korzystając ze sposobności, zwinął Ilderim tabor i wysłał go ze wszystkim, co do niego należało: ludźmi, końmi, wielbłędami, z wszelkimi sprzętami, w głąb pustyni. Cała ta karawana wyglądała niby wędrówka pokoleń; ludzie wzdłuż drogi śmiali się patrząc na ten różnobarwny pochód, a Ilderim, zwykle drażliwy, tym razem dziwny zachowywał spokój. Jeśli więc, jak mógł słusznie mniemać, śledzą go szpiegowie Messali, to szydercze śmiechy tłumu nie mogły go ziębić ani parzyć. Jutro już będzie od nich daleko. Dopóki człowiek jest przedmiotem szyderstwa, nigdy pewnym siebie być nie może. Wiedział o tem dobrze ostrożny Arab. W tej chwili nie ma Szeik domu, namioty zwinięte, Gaj palmowy opustoszały, a za dwanaście godzin nikt, najszybszy koń ani wielbłąd, nie dogoni tego, który jest panem pustyni i mieni ją swą własnością.

Tak Ben-Hur jak Ilderim wiedzieli dobrze, że Messala jest wrogiem groźnym, nie lekceważyli go sobie bynajmniej, na razie jednak byli pewni, że do wyścigów nie się nie zmieni. Jeśli, czego się spodziewali, Ben-Hur odniesie zwycięstwo, wtedy biada im, użyje on wszelkiego wpływu, aby im szkodzić, choćby na własną rękę, bez pomocy Gratusa. Jako ludzie roztropni i przebiegli, zwrócili

na wroga baczna uwagę, ułożyli plan postępowania i pewni byli, że unikną niebezpieczeństwa. Mimo to, lub właśnie dlatego jechali w dobrem usposobieniu i pewni jutrzejszego powodzenia.

W drodze spotkali Mallucha, który ich oczekiwał. Wierny sługa Simonidesa niczem nie zdradził, iż wie cokolwiek o stosunku Ben-Hura z kupcem, a tem bardziej, że wie lub się domysla ich związku z Ilderimem. Po zwykłych powitaniach wyjął kartkę pergaminu i podał ją Szeikowi, mówiąc:

— Oto ogłoszenie dotyczące



porządku wyścigów i igrzysk; są tam wymienione twoje konie oraz porządek, w jakim po sobie występować będą ścigający się. Nie pozostaje mi nic, jak życzyć ci zwycięstwa. Poczem wrócił się do Ben-Hura i rzekł:

— I tobie, synu Aryusza, składam życzenia. Nie już nie przeszkadza spotkaniu się twemu z Messalą, bo wszystkie poprzednie wa-

runki dotyczące wyścigów załatwione. Mam w tym względzie uroczyste zapewnienie zarządcy wyścigów.

— Dziękuję ci, Malluchu — odparł Ben-Hur.

Malluch mówił dalej:

— Barwę masz białą, Messala zaś wystąpi w szkarłacie i złocie. Przyznasz, że ta sprzeczność podniesie jeszcze wrażenie. Barwy już ogłoszone, chłopcy roznoszą wstęgi po ulicach, a jutro wszyscy Arabowie i Żydzi przywdzieją je i ujrzysz galerye cyrku mniej, więcej w równej połowie w biel i szkarłat przybrane.

— Na galeryach być może, ale nie na scenie głównej ponad Porta pompae.*)

— To pewna, że tam przeważać będzie szkarłat i złoto, ale gdy zwyciężymy... — Na samą myśl rozśmiał się Malluch i mówił dalej: — Gdy zwyciężymy, dygnitarze drżeć będą! No, a co zakłady! Na nich chyba źle wyjdą, bo gardzą wszystkim, co nie rzymskie; będą stawiać dwa, trzy i pięć razy na Messalę, jako na Rzymianina. — Zniżając głos, dodał: nie przystoi Żydowi, co uczęszcza do świątyni i ma w niej pewne znaczenie, w ten sposób pieniędzmi obracać; ale powiem ci w zaufaniu, że mieć będę przyjaciela, co zasiądzie zaraz za krzesłem konsula i zajmie się przyjmowaniem zakładów po trzy, pięć, dziesięć przeciw jednemu, stosownie do tego, jak ich ogarniać będzie zapal i roznamiętnienie. Dałem mu w tym celu sześćset syklów.

— Malluchu, zapomniałeś jeszcze o czemś — zauważył Ben-Hur — Rzymianin będzie się zakładał tylko na rzymską monetę. Dlatego idź, odszukaj swego przyjaciela, daj mu sestercyi ile zechcesz, ale z zastrzeżeniem, ażeby przyjmował zakłady tylko z Messalą i jego stronnikami pod hasłem: Ilderina czwórka przeciw Messali!

Malluch pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Słusznie, zwróci to uwagę na ciebie.

— Tego właśnie pragnę, Malluchu.

— Rozumiem, rozumiem.

*) Pompa, u starożytnych Greków i Rzymian występ pelen okazałości i przepychu; stąd i dzisiaj nazywamy takie występy „pompa“. „Porta pompae“ rodzaj bramy tryumfalnej.

— Tak, Malluchu, jeśli mi chcesz doskonale usłużyć, to staraj się zwrócić uwagę publiczną na mnie i na Messalę.

Malluch odparł prędko: — Wiem, co zrobić.

— Więc czyń.

— Będziemy ofiarowywali nadzwyczajne zakłady; a jeśli je przyjmą, tem lepiej.

— Mamże nie starać się odebrać zabranego mi mienia? — mówił Ben-Hur jakby do siebie. — Może nie nadarzy się inna sposobność; zresztą, gdybym mógł zgnieść nie tylko dumę, ale i szczęście wroga, zaiste, ojciec nasz Jakób nie poczytałby mi tego za złe.

Wyraz silnej, niepokonanej woli zarysował się na pięknej twarzy jego, dodając znaczenia następującym słowom:

— Niech tak będzie Malluchu, a nie zatrzymuj się na sestercech, niech stawiają i talenty, jeśli się znajdzie ktokolwiek, co się na tak wielką odważy sumę. Pięć, dziesięć, dwadzieścia talentów, a nawet pięćdziesiąt, gdyby stawiającym był Messala.

— To zbyt wielka suma i musiałbym mieć zapewnienie.

— Będiesz je miał. Idź do Simonidesa i powiedz mu, że życzę sobie, aby to załatwił. Powiedz mu także, że postanowiłem zgubić mego nieprzyjaciela; nie chcę więc ominąć tak dobrej sposobności, jaka się właśnie nadarza. Będę próbował; po naszej stronie niechaj będzie Bóg ojców naszych! Idź, zacny Malluchu, nie pozwól ujść sposobności. Wielce zadowolony Malluch, pozdrowił Ben-Hura i szybko odjechał, ale za chwilę wrócił raz jeszcze.

— Przepraszam — rzekł do Ben-Hura — o mało nie zapomniałem jeszcze jednego. Nie mogłem sam dostać się do wozu Messali, ale wyręczył mnie ktoś inny, a ten twierdzi, że oś jego kół wyższą jest na szerokość dłoni od twojej.

— Na szerokość dłoni, to dużo — zakrzyknął Ben-Hur z radością, a potem pochylił się ku Malluchowi, mówiąc:

— Jako jesteś synem Judy i wiernym twej wierze, zdobądź sobie miejsce na galerii tuż przy bramie Tryumfu, w pobliżu balkonu ponad kolumnadą, i patrz dobrze. Gdy tamtędy przejeżdżać będziemy, patrz dobrze, bo jeśli mi się uda, ale wolę raczej zamilczeć! Tylko bądź tam i patrz dobrze!

— W tej chwili nagle zakrzyknął Ilderim.

— Ha! Na wielkość Boga, co to znaczy?

Przybliżył się do Ben-Hura z palcem na ostatnim wierszu ogłoszenia.

— Czytajże! — rzekł Ben-Hur.

— Nie, czytaj raczej sam.

Wziął więc Ben-Hur kartę podpisaną przez prefekta prowincyi jako urządzającego igrzyska. Pismo to zastępowało miejsce dzisiejszego programu i podawało szczegóły rozmaitych rozrywek do igrzysk przyłączonych. Najpierw, jak głosił program będzie procesya wielce wspaniała, na cześć Komosa*), poczem rozpoczną się igrzyska, wyścigi piesze, skakanie i walki szermierzy. Dalej następowały imiona współubiegających się, wraz z ich narodowością i wymienieniem szkół, w których się kształcili. Prócz tego wspomniano, gdzie i kiedy już występowali, jakie nagrody zdobyli i jakie obecnie będą rozdane. Suma pieniędzy do wygrania przeznaczonych ozdobnem była wypisana pismem, co dowodziło, że minęły czasy, kiedy zwycięzca dbał tylko o wieniec i sławę, a nie o bogactwo.

Tę część programu przebiegł Ben-Hur szybko, wreszcie doszedł do ogłoszenia wyścigów, które zwolna przeczytał. Zaczynało się ono upewnieniem zwolenników tego sportu, że ujrzą coś, czego jeszcze nigdy nie widziano w Antyochii, walkę Oresteańską. Miasto urządzało widowisko na cześć konsula, a sto tysięcy sesterceyi i wieniec laurowy stanowiły nagrodę. Potem następowały szczegóły. Tylko sześć czwórek mogło się ubiegać, a dla większego efektu miały wszystkie razem wystąpić. Na koncu był spis zaprzęgów.

I. Zaprzęg Lysippa Koryntezyka. Dwa szpaki, jeden kasztanowaty, drugi kary. Rumaki te biegały w Aleksandryi ostatniego roku, potem w Koryncie, gdzie zwyciężyły, woźnicą sam Lysippus. Barwa żółta.

II. Zaprzęg Messali z Rzymu — dwa siwe, dwa kare konie, biegały i zwyciężyły ostatniego roku w cyrku Maksimusa. Woźnica Messala. Barwa szkarłat ze złotem.

*) Komos, bożek uczt i śpiewów pijackich; wyobrażano go sobie w postaci skrzydlatego młodzieńca.

III. Zaprzęg Kleantesa Ateńczyka — trzy siwe konie, jeden gniady. Zwyciężyły przed rokiem w Bizancyum. Woźnicą Kleantes. Barwa zielona.

IV. Zaprzęg Diceusa z Bizancyum. Dwa kare konie, jeden siwy i jeden kasztan, zwyciężyły tego roku w Bizancyum. Woźnica Diceus. Barwa czarna.

V Zaprzęg Admetusa Sydończyka — wszystkie konie siwe. Trzykrotnie zwyciężył w Cezarei. Woźnica Admetus. Barwa niebieska.

VI. Zaprzęg Ilderima Szeika pustyni, kasztanowaty, biega po raz pierwszy. Woźnicą Ben-Hur, Żyd. Barwa biała.

Woźnicą Ben-Hur, Żyd.

Dlaczego to imię zamiast Aryusza?

Ben-Hur podniósł oczy na Ilderima, bo zrozumiał jego poprzedni wykrzyknik. Obaj przyszli do jednakowego wniosku i widzieli, że była w tem ręka Messali.

Z zapadającym nad Antyochią zmierzchem rozlały się wzdłuż kolonady Heroda niezliczone tłumy ludu, składającego się ze wszystkich narodowości świata.

Rozmaitość stroju i języka, którą się ten tłum odznaczał, nie była właściwością tylko Antyochii, przeciwnie, stanowiła ona raczej charakterystyczną cechę całego cesarstwa rzymskiego, dążącego do zlania wszystkich narodowości w jedną całość. — Dlatego starano się zapoznać je ze sobą. Zgodnie z tem zadaniem, ludy należące do państwa rzymskiego, przenosząc się z miejsca na miejsce, zabierały z sobą stroje narodowe, obyczaje i swych bogów. Osiadały potem, gdzie im się podobało, wiodły interesa, budowały domy i ołtarze, żyjąc u siebie jak w ojezystych stronach.

Jedna przecież właściwość uderzyła w oczy każdego, kto owej nocy przebiegał ulicę Antyochii. Prawie każdy wśród tłumu przybrany był w barwę jednego z mających w cyrku wystąpić woźniców. Czy były to szarfy, czy inne jakie odznaki, jak wstążka lub pióro, zawsze barwa tychże oznaczała sympatyę dla jednego z współubiegających się woźniców, który tę barwę sobie obrał. I tak zielone mieli przyjaciele Kleantesa, Ateńczyka; czarne, stronnicy woźnicy z Bizancyum. Zwyczaj ten był prawdopodobnie równie stary, jak

same wyścigi nad Orontesem, a ciekawy jako przyczynek do historii, świadczący do jakich ostateczności i szaleństwa zdolnymi są ludzie. Od razu można było spostrzedz, że barwy, zielona, biała i szkarłat ze złotem przeważały.

Najelekawszym jednak punktem dla nas jest w tej chwili pałac na wyspie i tam się udamy. Pięć wielkich świeczników znanego nam salonu właśnie zaświecono. Zebranie prawie takie same jak poprzednie w czasie nocnej orgii. Na dywanie leżą jak wówczas śpiący młodzieńcy i porozrzucane ich suknie, a od stołów słychać stukot kości. Większa część towarzystwa jest zupełnie bezczynną. Chodzą bez celu, ziewają nerwowo i wymieniają obojętne uwagi: czy będzie jutro pięknie? czy przygotowania do wyścigów skończone? czy prawa cyrkowe w Antyochii różnią się czem od rzymskich? — Prawdę mówiąc, młodzieńcy się nudzili, — już dosyć się napracowali... Gdybyśmy ich tabliczki mogli przejrzeć, ujrzelibyśmy, że są wypełnione zapiskami zakładów na wszelkie igrzyska: na gonitwy piesze, mocowanie się, boksowanie z wyjątkiem na wyścigi wozowe.

Dlaczego to?

Oto, czy uwierzysz czytelniku, niema nikogo, ktoby choć denara chciał przeciw Messali postawić.

Całe towarzystwo, znajdujące się w sali, jego tylko nosiło barwę. Nikt nie myślał, aby on mógł być zwyciężonym.

Alboż nie jest niezrównanym we wszelkich ćwiczeniach? Alboż nie przeszedł cesarskiej szkoły? Czyż konie jego nie zwyciężyły w cyrku Maksimusa? A potem, czyliż on nie jest prawdziwym Rzymianinem?!

W rogu dywanu leży wygodnie Messala. Wkoło niego siedzą lub stoją jego wielbiciele, zabawiając go pytaniami. Naturalnie, jeden jest tylko przedmiot rozmowy.

Właśnie wchodzą Drusus i Cecyliusz.

— Ach! — woła młody książę, rzucając się na dywan u stóp Messali. — Na Bachusa, a tom się zmęczył!

— Skądże przybywasz?

— Chodziłem po mieście, w górę ku Omfalowi, a potem znów na dół, sam nie wiem jak daleko. Mówię ci, że całe tłumy ludzi płyną nigdy dotąd niewidziane; cały świat zobaczymy jutro w cyrku.

Messala wybuchnął pogardliwym śmiechem.

— Głupcy! Nie widzieli nigdy igrzysk cyrkowych urządzonych przez Cezara, więc nęcą ich tutejsze. Cóżś widział i słyszał więcej, Druzusie?

— Nie.

— Jakto, czyżbyś zapomniał? — rzekł Cecyliusz.

— Co? — pytał Druzus.

— Pochodu białych?

— Masz słuszność, zapomniałem — zawołał Druzus, podnosząc głos. — Wielkie dziwo! Spotkaliśmy oddział białych z chorągwią — ha! ha! jakie to śmieszne.

I oparł się ze śmiechem na dywanie.

— No; mówże dalej, okrutny Druzusie — nalegał Messala.

— Ależ to szumowiny pustyni, Messalo, to nędzarze, co jedzą flaki na podwórzu Jakóbowej świątyni w Jerozolimie. Cóż oni nas obchodzić mogą...

— Druzus lęka się być wyśmianym — rzekł Cecyliusz — ale ja się nie boję, Messalo.

— Mówże więc.

— A więc zatrzymaliśmy oddział i...

— Ofiarowaliśmy im zakład — przerwał Druzus mówiącemu — i wyobraź sobie, ha, ha ha! jeden z tłumu, z tak chudą twarzą, że skóry z jej nie starczyłoby na przynętę, którą się wabi karpie, i... ha, ha, ha! ten nędzarz oświadczył, że przyjmie zakład. Wyciągnąłem tabliczkę i spytałem: „na kogóż chcesz się zakładać?“ Odpowiedział: „na Ben-Hura, żyda.“ Na to mu rzekłem znów: „o ile się zakładamy?“ Odpowiedział... ale daruj Messalo, nie mogę mówić od śmiechu, ha, ha! na pioruny Jowisza! ha, ha! — Słuchający uciszyli się.

Messala patrzył na Cecyliusza.

— Dawał sykla — rzekł tenże.

— Sykla, sykla! — Sala zabrzmiała pogardliwym śmiechem.

— Cóż uczynił Druzus? — pytał Messala.

— Tymczasem w pobliżu drzwi wehodowych dał się słyszeć jakiś hałas, wszyscy zwrócili uwagę w ową stronę, a Cecyliusz zatrzymał się na chwilę, a potem dodał:

— Szlachetny Druzus wyciągnął tabliczkę i przyjął zakład.

— Biały, Biały!

— Niech wejdzie!

— Tędy, tędy!

Podobne wykrzykniki ozwały się w sali i przerwały rozmowę. Rzymianie, grający w kości, opuścili grę; śpiący zbudzili się, przecierali oczy i wyciągali tabliczki, otaczając gromadnie przybyłego.

— Stawiam zakład!

— I ja...

— I ja...

Z takim hałasem powitany, był ów poważny Żyd, towarzysz podróży Hura od Cypru. Wszedł on do sali spokojnie, z godnością. Suknię miał białą również jak turban na głowie. Kłaniając się i uśmiechając się, posunął się wolno do głównego stołu. Doszedłszy tam, zebrał suknie w koło siebie, usiadł i skinął ręką. Blask brylantów, błyszczących na palcu, przyczynił się niemało do uspokojenia wrzawy, tak że wnet zaległa cisza.

— Rzymianie, szlachetni Rzymianie! pozdrawiam was! — rzekł.

— Na Jowisza, kto to może być? — pytał Druzus.

— Kto ma być? Pies żydowski... nazywa się Sanbalat i jest dostawcą wojskowym; mieszka w Rzymie, bardzo bogaty, a doszedł do bogactwa, zawierając ugody na dostawę tego, czego nigdy nie dostawił i nie dostawi. Myśli on zawsze o wyrządzaniu złego lub krzywdy, a nici, któremi człowieka omota, cieńsze od pajęczyny. Ale teraz klnę się na wszystko, złapimy go!

Messala powstał i przystąpił wraz z Druzusem do grona otaczającego dostawcę.

— Słyszałem na ulicach — mówił kupiec, wyciągając tabliczki i rozkładając je na stole — że tu w pałacu panuje wielkie niezadowolenie, bo nikt nie chce się zakładać przeciw Messali. Widzicie moją barwę, przystąpmy więc do rzeczy. Cóż stawiacie?

Pewność siebie Żyda wprawiała w zdumienie słuchaczy i wszyscy milczeli.

— Spieszcie się! — mówił — bo konsul czeka na mnie.

Ostatnie słowa zrobiły wrażenie.



Sanbalat zakłada się z Messalą.

— Dwa przeciw jednemu — wołało z pół tuzina głosów.

— Co? — zawołał dostawca zdziwiony, tylko dwa przeciw jednemu i to stawiacie na Rzymianina!

— Więc trzy.

— Trzy mówicie, tylko trzy — a ja stawiam na Żyda. Dajcie cztery.

— Niech będzie cztery! — zawołał ktoś.

— Pięć — dajcie pięć — wołał natychmiast Izraelita.

— Pięć, dajcie pięć — dla honoru Rzymu!

Zapanowała głucha cisza.

— Niech będzie pięć — odezwał się głos.

Zrobił się ruch, zamieszanie i sam Messala ukazał się.

— Niech będzie pięć — rzekł.

Sanbalat z uśmiechem zabrał się do pisania.

— Gdyby Cezar jutro umarł, jest ktoś godny następstwa po nim, co ma odwagę. Daj sześć!

— Zgoda na sześć — odparł Messala.

I znów zabrzmiały okrzyki głośniejsze od poprzednich.

— Zatem sześć przeciw jednemu — powtórzył Messala. — Taka to różnica między Rzymianinem a Żydem. Ponieważ ją obecnie znamy, zapisz natychmiast sumy.

Sanbalat spisał ugodę i podał tabliczkę Messali do podpisania.

— Czytaj głośno — wołali obecni. Messala czytał:

Uгода: Messala, Rzymianin, zakłada się z Sanbalatem z Rzymu, iż zwycięży Ben-Hura, Żyda. Zakład o dwadzieścia talentów. Messala stawia sześć przeciw jednemu.

Świadkowie.

Sanbalat.

Po przeczytaniu warunków, zapanowała w sali cisza; wszyscy jakby skamienieli ze zdziwienia. Messala patrzył na tabliczkę, obecni zaś na niego. Czuł te spojrzenia i zrozumiał położenie. Niedawno temu, w tej samej komnacie podobnie noczywał, podobne propozycje robił swoim współbiesiadnikom. Gdyby nie podpisał ugody, przepadłaby jego popularność — a podpisać nie mógł, bo stu talentów nie posiadał, ani nawet czwartej części tej sumy. Zbladł więc i oniemiał. Nareszcie znalazł drogę wyjścia.

— Skąd ty, podły Żydzie — rzekł — możesz mieć 20 talentów? Pokaż mi je zaraz.

— Sanbalat uśmiechnął się z wyrazem wyższości a podając kartę Messali, rzekł krótko: — Tu.

Messala czytał:

W Antyochii 16 Tammuz.

„Właściciel niniejszego pisma, Sanballat z Rzymu, złożył u mnie pięćdziesiąt talentów w monecie cesarskiej.

Simonides.

— Pięćdziesiąt talentów — powtarzano wśród ogólnego osłupienia.

Nagle Druzus wystąpił z tłumu i krzyknął:

— Na Herkulesa! pismo łże i Żyd łże. Któż prócz Cezara może taką rozporządzać kwotą! Za drzwi z tym bezwstydnym oszustem! Precz z białym!

— W słowach Rzymianina przebiegał gniew, a słowa jego powtarzano z wściekłością. Sanbalat zaś nie zmienił pozycyi; przeciwnie, zdało się, że w miarę wrzasku, uśmiech jego nabierał szyderstwa

i jakiegoś groźnego wyrazu. Nareszcie zabrał głos Messala:

— Powiedz, żali ci nie dawałem sześć przeciw jednemu? Czy tak, Żydzie?

— Tak — odparł Żyd spokojnie.

— Kiedy tak, to wolno mi także postawić warunki.

— Dobrze, ale z zastrzeżeniem, że suma nie będzie małą.

— Napisz więc pięć zamiast dwudziestu.

— A posiadasz tyle?



— Klnę się na matkę bogów, pokazać mogę kwity.

— Słowo tak mężnego Rzymianina jest mi dostateczną rękojmią. Przecież wolę sumę parzystą, daj sześć, a napiszę.

— Pisz!

Zamienili karty ugodowe, Sanbalat wstał, rzucając wzrokiem pełnym pogardy na całe zgromadzenie; nikt lepiej od niego nie znał tych, z którymi miał do czynienia.

— Rzymianie! — rzekł — proponuję jeszcze jeden zakład, kto się odważy? Stawiam na białego pięć przeciw pięciu i wzywam obecnych.

Znowu zdziwienie ogarnęło wszystkich.

— Jakto? Czyliż wam nie wstyd, że jutro w cyrku rozgłosi się, iż pewien pies żydowski wszedł do komnaty pałacu, pełnej Rzymian szlachetnego rodu — co więcej, wśród nich był potomek samego Cezara, ów pies ofiarował zakład na pięć talentów i nie było jednego między wielkimi, ktoby zakład przyjął.

Pocisk nie chybił celu, Druzus syknął z bólu i zakrzyknął:

— Niech się stanie, jako chcesz, bezwstydniku. Napisz zakład i zostaw na stole; jutro, gdy się przekonamy, że możesz taką rozporządzać kwotą, to ja, Druzus, przyjmę zakład.

Sanbalat pisał znów; wstając zaś, rzekł równie spokojnie jak zawsze:

— Patrz, Druzusie, oddaję ci skrypt; skoro podpiszesz, przyślij go do mnie przed zaczęciem wyścigów, — będę przy krześle konsula ponad Porta pompae. Pokój tobie, pokój wszystkim!

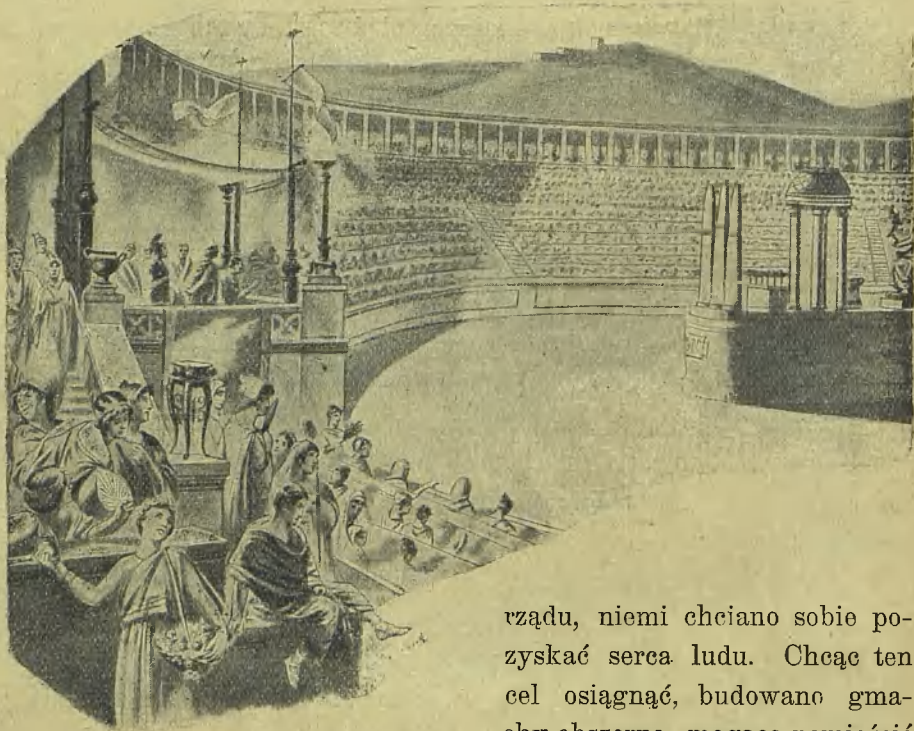
Pokłonił się i wyszedł, nie zważając na szydercze okrzyki, które mu towarzyszyły aż do drzwi.

Jeszcze przed nocą rozniosła się wieść o nadzwyczajnym zakładzie, doszła nawet uszu Ben-Hura, choć znajdował się przy swej czwórce. Łatwo pojąć, z jaką radością dowiedział się, że Messala cały swój majątek stawiał na kartę. Tej nocy spał snem spokojnym.

ROZDZIAŁ XXVII.

Cyrk w Antyochii wznosił się na południowym brzegu rzeki, prawie naprzeciw wyspy, i nie różnił się niczem od ówczesnych podobnych budowli.

Widowiska starożytne były właściwie darem Cezara lub jego



rzędu, niemi chciano sobie pozyskać serca ludu. Chcąc ten cel osiągnąć, budowano gmachy obszerne, mogące pomieścić

tłumy. Już rychło rano w przeddzień uroczystości wszystkie pobliskie okolice cyrku były zajęte, bo obawiano się, by nie zabrakło miejsc.

O północy otwarto wejścia, tłum zajął siedzenia sobie przeznaczone i żaden z widzów nie byłby opuścił zdobytego miejsca za żadną cenę, jedno chyba trzęsienie ziemi mogłoby go poruszyć, wszak zdobył je z takim trudem! Chętnie też w ławkach przepędzili noc, o świecie spożyli śniadanie; trudy te bynajmniej nie ostudziły ich niecierpliwości i gorącego pragnienia wytrwania aż do końca.

Znakomitsze osobistości miały miejsca zamówione i udawały się do cyrku dopiero około pierwszej godziny dnia. Możliwszych niesiono w lektykach, towarzyszyła im służba w bogatych szatach, niby dzisiejszej liberyi.

Około drugiej godziny napływ przybywających od miasta stał się podobnym do rwących i nieprzerwanych wód strumienia.

W chwili, gdy zegar słoneczny wskazywał na cytadeli godzinę drugą, legia w całej paradzie, z rozwiniętymi sztandarami zstąpiła z góry Sulpius, aby się udać do cyrku. Zaledwie ostatnia kohorta znikła za miastem, wyludniła się Antyochia, tak że miasto stało pustką. A jednak mimo obszerności cyrku wszyscy mieszkańcy nie mogli się tam pomieścić. Tłum, który nie znalazł pomieszczenia w cyrku, stał na brzegu rzeki i czekał przybycia konsula. Gdy nareszcie mąż ten stanął na lądzie, a legion oddał mu powinne honory, cała uwaga widzów skupiła się przy jego osobie, odwracając się na chwilę od cyrku.

O trzeciej godzinie widzowie byli już zebrani, trąby wezwały do spokoju; równocześnie oczy przeszło stutysięcznego tłumu zwróciły się ku wschodniej części budowy.

Tu była brama, szeroko sklepiona, zwana Porta Pompae; ponad nią wznosiła się trybuna zdobna sztandarami z godłem cesarstwa, w niej zaś zasiadł konsul, zajmując honorowe miejsce. Po obu stronach łuku, stanowiącego bramę, znajdowały się tak zwane carceres, czyli przegrody, zamknięte bardzo silnymi drzwiami, umocowanymi do filarów bramy. Ponad przegrodami wznosił się mocny i wystający gzyms, uwieńczony niską balustradą, służącą za oparcie widzom, zajmującym siedzenia tam umieszczone i amfiteatralnie urządzone. To miejsca dygnitarzy, których wspaniałe ubiory nie mało dodawały widowisku świetności, tem bardziej, że ich siedzenia ciągnęły się nieprzerwanym wieńcem przez całą wschodnią szerokość cyrku. Do tej galeryi wiodły osobne schody i strojne bramy; zdobiły one budowę, a w dodatku dźwigały podpory służące do rozpięcia velaria, czyli purpurowego namiotu, który miał ocieniać tę przestrzeń wystawioną na upał.

Czytelnik dla lepszego zrozumienia planu budowy cyrku, niech się przeniesie myślą do tegoż i usiądzie w łoży obok konsula i zwróci

się twarzą ku zachodowi, gdzie się cała akeya koncentruje. Na prawo i lewo będzie miał główne bramy i wieże strażą obsadzone.

Wprost tak siedzącego widza znajduje się arena, czyli równa eliptyczna*) płaszczyzna, piaskiem wysypana i świecąca od słońca złocistą barwą. Na tej arenie odbywać się będą wszelkie widowiska prócz pieszych gonitw. Dalej, w kierunku zachodnim sterczą na marmurowych podstawach trzy niskie, stożkowate kolumny z szarego kamienia, głębokiemi zdobne żłobieniami. Ileż to oczu spocznie dnia tego na tych kolumnach! Wszak one oznaczają pierwszą i ostatnią metę, czyli początek i koniec wyścigów. Poza kolumną wznosi się ołtarz, a poza nim zaczyna się mur, zwany spina. Mur ten ma szerokości dziesięć do dwunastu stóp, wysokości pięć do sześciu, i ciągnie się wzdłuż do stu jardów**), zakończone go zaś drugie kolumny, oznaczające wtórą metę. Ci, którzy biorą udział w wyścigach, wchodzą podług przepisu z prawej strony pierwszej mety, a tem samem mają zawsze mur po lewej. Tym sposobem punkt rozpoczęcia i ukończenia wyścigów jest zawsze wprost trybuny konsula, miejsce zaś to najpożądańszem ze wszystkich.

Jeśli czytelnik, zajmujący w myśli miejsce na trybunie obok konsula ponad Porta Pompae, spojrzy na dalsze zabudowanie i urządzenie cyrku, zajmie go najpierw mur gruby na piętnaście do dwudziestu stóp, zdobny takąż samą balustradą, jak ta co wieńczy karcery a zamykający całe wnętrze cyrku od zachodu. Ktoby chciał tą galeryą obejść całą arenę, spostrzeże wnet, że trzy razy jest przerwana trzema bramami, z których dwie znajdują się na północy a jedna na zachodzie. Ta zachodnia brama najwspanialej jest przystrojona i zwie się bramą tryumfalną, gdyż po ukończeniu widowiska nią wychodzą zwycięzcy w wieńcach wawrzynowych i w towarzystwie straży honorowej, wśród rozmaitych obrzędów uświęconych tradycją.

Zachodni kraniec muru zaokrągla się w półkole i mieści obok głównego balkonu dwie poślednie galerye, zaopatrzone w ławki wznoszące się coraz wyżej, a przeznaczone dla pospolitszych widzów. W chwili, o której mówimy, roją się te galerye różnobarwnym tłumem ludzkich postaci, oczekujących rozpoczęcia igrzysk.

*) Elipsa, linia w sobie zamknięta. kształtu spłaszczonego kola. **) Yard, metr.

Nareszcie zabrzmiał głos trąbki na znak, że przedstawienie się rozpoczyna. Od strony wschodniej, poniżej Porta Pompae, słysząc muzykę i zwolna ukazuje się pochód uroczysty. Tuż za muzyką postępuje mistrz uroczystości (editor) za nim obywatele i urzędnicy miasta w wieńce i szaty odświętne przybrani. Dalej niosą na złoconych noszach lub wiozą na niskich, czterokołowych wózkach, także w złoto i kwiaty przybrane, opiekuńcze bóstwa. Bohaterowie zaś dnia tego, mianowicie ci, którzy będą brać czynny udział w igrzyskach, idą najbliżej pobożnego orszaku. Stroje ich, zastosowane do obecnej chwili i roli, szczególnie zwracają uwagę widzów.

Pochód zwolna przechodzi arenę, zajęcie widzów wzrasta, bo za prawdę widok to piękny i wspaniały. Okrzyki coraz głośniejsze, coraz gorętsze i szumią niby woda pienia się przed płynącą łodzią.

Tłum przyjmuje swych ulubieńców, z niezwykłym zapalem, woła ich po imieniu, zarzuca gradem kwiatów i wieńców.

Gdy się ukazały wozy, widzowie powstawali na ławkach, hałas i uniesienie dochodzą szczytu. Każdemu woźnicy towarzyszy konny jeździec, tylko Ben-Hur nie ma towarzysza, snąć nie ufał nikomu i gdzie z odkrytą głową, gdy zresztą wszyscy bogatymi hełmami przysłonili swe czoła. W miarę, jak się wozy zbliżały do drugiej mety, gdzie na galeryach biały przeważał kolor, zapal wzrastał niesłychanie, lud rzucał kwiaty a powietrzu wstrząsały okrzyki:

— Ben-Hur! Ben-Hur!

— Messala! Mesala! — wołano z balkonów, a dwa wrogie imiona rozbrzmiewały równocześnie.

— Gdy pochód przeszedł i znikł, widzowie wrócili na miejsca i dalej przerwane toczyli rozmowy:

— Ach, na Bachusa, jakież on piękny! — mówi kobieta, zapewne Rzymianka, bo jej włosy zdobi szkarłatna wstęga.

— Co za piękny wóz — odpowiada jej sąsiad, do tegoż należący stronnictwa — cały z kości słoniowej i złota. Niech go Jowisz wspiera!

Tuż obok nich lub raczej za nimi, całkiem inne dają się słyszeć zdania:

— Sto syklów na Żyda — woła ktoś głosem przejmującym i donośnym.

— Wstrzymaj się, przyjacielu — szepce umiarkowańszy — nie spiesz się, dzieci Izraela nie celują w walkach i igrzyskach, takie sprawy należą przed obliczność Pana.

— Masz słuszość, niemniej odpowiedz sam, czy widziałeś kiedy pewniejszego siebie woźnicę? Patrz, co za siła w rękę.

— Co za konie! — mówił trzeci.

— Wszystko to drobnostki, najważniejsza — dorzucił czwarty — że podobno ma być biegłym we wszelkich rzymskich harcach.

Kobieta w pobliżu siedząca dopełniła miary pochwał, gdy rzekła: Wierzajcie, piękniejszym jest nawet od Rzymianina.

Uwaga ta dodała bodźca zapalonemu krzykaczowi, który z dwójną siłą zawołał: sto syklów na Żyda!

— Głupi waryat z ciebie — ostrzegał jakiś Antyochijczyk z ławki więcej ku przodowi posuniętej — alboż nie wiesz, że pięćdziesiąt talentów postawiono przeciw niemu, sześć przeciw jednemu na Messalę? Schowaj, radzę ci, twoje sykle, jeśli nie chcesz, by się ciebie wyparł ojciec Abraham.

— Gupia gadanina! Ten osieł z Antyochii taki mądry, a nie wie, że Messala sam o siebie się zakładał.

Takie i podobne krążyły tam rozmowy, a nie zawsze odznaczały się wytwornością.

Gdy się skończył pochód i wszyscy pod Porta pompae się rozeszli, Ben-Hur odetchnął swobodniej, bo widział, że mu nie brak stronników i że cały Wschód będzie świadkiem jego spotkania się z Messalą.

Około godziny trzeciej, licząc według naszego czasu, był program igrzysk już wyczerpanym, zostawały jedynie wyścigi wozowe. Rządca, mając wzgląd na wygodę publiczności, zarządził pauzę. Otwarto więc vomitoria (tak nazywano wyjścia z cyrku), większość widzów wyszła do portyku, gdzie się mieściły sale, niby nasze dzisiejsze restauracje. Pozostali na miejscach ziewali, rozmawiali i oglądali swe zapiski zakładowe.

Tymczasem, korzystając z pauzy, weszła do cyrku trzecia część publiczności, składająca się mianowicie z tych, którzy li tylko wyścigom wozowym przypatrzyć się chcieli. Ci łatwo przy opróżnieniu cyrku zajęli dawno zamówione miejsca, nie zwracając na siebie prawie

uwagi. Między tymi był też Simonides z swem towarzystwem i zajął miejsce w pobliżu drugiej bramy naprzeciw konsula.

Czterej słudzy zaledwo wnieśli kupca w lektyce, aliści stał się przedmiotem ogólnej ciekawości. Imię jego podawano sobie z ust do ust, aż doszło do ław w zachodniej stronie cyrku. Inie dziwnego — tyle rzeczy nadzwyczajnych, złych i dobrych, opowiadano sobie o nim, o jego nieszczęśliwych losach, że to wszystko czyniło zeń jakąś na wpół fantastyczną istotę.

Ilderim miał tu również wielu znajomych, zewsząd go witano. Baltazar jednak i dwie osłonięte, towarzyszące mu kobiety ogólną, jako nieznaną, wzbudziły ciekawość. Widzowie w cyrku roz-



stąpili się z uszanowaniem, dozorecy przestrzegający porządku wskazali nowoprzybyłym miejsca tak blizkie sobie, że mogli swobodnie rozmawiać. Od areny siedzieli również niedaleko, bo tuż przy balustradzie. Ku wygodzie przyniesiono im bogate poduszki do oparcia, a kosztowne podnóżki pod nogi.

Towarzyszkami trzech starców były Iras i Estera. Młoda Izraelitka, spojrzawszy po zgromadzeniu, przestraszyła się i mimowolnie

szczelniej się zasłoniła. Egipcjanka, przeciwnie, spuściła welon na ramiona, ukazując twarz z wyrazem tej udanej obojętności, co znamionuje pewne towarzyskie obejście.

Nowoprzybyli rozglądali się dość ciekawie, zaczynając od konsula i jego otoczenia. Jeszcze nie skończyli przeglądu, gdy weszło na arenę kilku ze służby cyrkowej, by przez środek tejże rozciągnąć sznur mocno nakredowany, umacniając go między balkonami wprost kolumn pierwszej mety.

Prawie równocześnie z innymi przeszło popod Porta pompae sześciu ludzi, z których każdy stanął w jednej z przegród, zwanych karcerami. Zewsząd witano tych zwiastunów wyścigu głośnymi okrzykami, a mimo wrzawy niektóre słowa można było zrozumieć.

— Patrzcie, patrzcie! oto zielony idzie do czwartego numeru po prawej, tam zaś miejsce Ateńczyka.

— Gdzież Messala? — wszak on ma numer drugi!

— Gdzie Koryntezyk?

— Patrz raczej na białego — tam po lewej! Patrz, idzie ku numerowi pierwszemu.

— Płeciesz, to miejsce czarnego, biały ma drugi numer.

— Masz słusność.

Ludzie, co w tej chwili tak bardzo zajmują gawiedź cyrkową, to straż wspólnie ubiegających się zapaśników, przybrana w kolor woźnicy, któremu ma towarzyszyć. Skoro strażnik zajął swe miejsce, tem samem każdy z widzów wiedział, którą przegrodę zajmie jego ulubieniec.

— Czy widziałas kiedy Messalę? — pytała Egipcjanka Esterę.

— Nie — odparła Żydówka ze wstrętem, bo wszakże ten, o kim mowa, to wróg Ben-Hura a może i jej ojca.

— Piękny jest, jak Apollo — mówiła Iras, a oczy jej świeciły porównie z klejnotami, zdobiącymi jej piękny wachlarz.

Estera patrzyła na nią, zadając sobie w duszy pytanie: jestże tak pięknym jak Ben-Hur?

Równocześnie usłyszała, jak Ilderim mówił do Simonidesa: On zajmuje drugi karcer po lewej stronie od Porta pompae.

Sądząc, że to mowa o Ben-Hurze, zwróciła się w stronę, skąd głos ją doszedł, i zmówiła krótką, lecz gorącą modlitwę, poczem jeszcze staranniej otuliła się welonem.

Niebawem grono to powiększył Sanbalat, skłonił się poważnie przed Ilderimem, który właśnie kręcił brodę i ciekawie patrzył na niego. Widząc to przybyły, rzekł wesoło:

— Wracam z karceru; konie twoje, Szeiku, dzielnie się trzymają i pewno zwyciężą.

Ilderim odparł z prostotą: jeśliby miały ulegnąć, niechże Bóg uchowa, aby Messala był zwycięzcą.

Tu Sanbalat zwrócił się do Simonidesa a wyciągając tabliczkę, mówił:

— Znowu ci przynoszę coś zajmującego. Wiesz już, że wczoraj stanął zakład z Messalą; dziś zaś przed zaczęciem wyścigów miał się zgłosić drugi, i oto go mam.

Simonides wziął tabliczkę, przeczytał, zliczył stawki i rzekł:

— Spodziewałem się tego, bo dziś przysyłali do mnie z pytaniem, żali masz u mnie dostateczne sumy. — Pilnuj tabliczek, gdybyś miał przegrać... wiesz, gdzie mnie szukać. Jeśli wygrasz, — tu twarz kupca nabrała groźnego wyrazu, — jeśli wygrasz, pilnuj, przyjacielu, aby podpisani nie umknęli; wyciśnij z nich do ostatniego sykla, bo oni nie mieliby również litości nad nami.

— Spuść się w tem na mnie.

— Żali nie usiądziesz z nami? — pytał Simonides.

— Cenię twą łaskę — odpowiedział zaproszony — lecz lękam się opuścić konsula, bo wtedy młody Rzym zarazby podniósł głowę a może i nowe porobił zakłady. Zostańcie w pokoju.

Już też i pauza miała się ku końcowi, wnet trębacze zagrali pobudkę, nieobecni spiesźnie wrócili na miejsca. W tejże chwili kilku ze służby ukazało się na arenie, wstąpili najpierw na mur graniczny czyli spinę, poczem udali się na wzniesienie w pobliżu drugiej mety na zachodnim końcu i złożyli tamże siedm drewnianych kul. Z kolei wrócili do pierwszej mety i również na jej podwyższeniu umieścili siedm innych kawałków drzewa, podobnych kształtami do ryb.

— Na co te kule i ryby. Szeiku? — pytał Baltazar.

— Albożeś nigdy nie widział wyścigów?

— Nigdy, i zaledwie wiem, po co tu jestem.

— To są godła potrzebne do obliczeń; po każdym ukończonym biegu będą zdejmować po kuli i po rybie, jak to niebawem zobaczysz.

Już wszystko gotowe, tuż przy zarządcy stoi trębacz w paradnym mundurze, trąbę trzyma przy ustach i gotów dać sygnał rozpoczęcia. Wszelki szmer ustał, rozmowy nawet umilkły, oczy wszystkich zwróciły się ku zachodowi i drzwiom karcerów, gdzie w pogotowiu stoja woźnice i rydwany.

Niezwykły rumieniec na twarzy Simonidesa zdradzał, że i on miał brać udział w ogólnem zajęciu. Ilderim, wbrew zwyczajowi, szarpał brodę z wyraźną niecierpliwością.

— Uważaj — rzekła piękna Egipcyanka do Estery — uważaj, byś nie przeoczyła chwili, kiedy piękny Rzymianin wyjeżdżać będzie.

Młoda dziewczyna nie słyszała tego napomnienia, bo poza zwojami zasłony z bijącym sercem oczy i duszę wysłała naprzeciw Ben-Hurowi.

Karcery były umieszczone w półkolnej budowie, wysuniętej ku prawej stronie w ten sposób, że punkt środkowy tej elipsy występował naprzód w połowie przestrzeni, a naprzeciw miejsca, z którego wyruszano. Dzięki temu urządzeniu, każdy karcer był równie odległy od owej wpierv wspomnianej, nakredowanej liny.

Trąbka odezwała się ostro a krótko, równocześnie służba przyboeczna, po jednym ze służby każdego rydwanu, wysunęła się z zakolumn, aby być w gotowości, gdyby który zaprząg nie dał się w porządku utrzymać.

I jeszcze raz odezwała się trąbka, oddźwierni otworzyli podwoje karcerów. Najpierw ukazali się widzom konni towarzysze woźniców w liczbie pięciu, gdyż jak wiemy, Ben-Hur nie chciał nikogo. Spuszczono nakredowaną linę, aby ich przepuścić, poczem ją natychmiast podniesiono. Jakkolwiek jeźdźcy ci byli pięknie ubrani, na krótko przecież zwrócili na siebie uwagę widzów, bo wszyscy z wyczekiwaniem patrzeli ku karcerom, skąd słyhać było rżenie koni. Za danym znakiem oddźwierni głośno wywołali po imieniu zapaśników; publiczność na galeryach nie hamując niecierpliwości, wołała z całych sił:

— Na arenę! na arenę!

Z karcerów, niby nabój z palnej broni, wypadło sześć zaprzęgów. Olbrzymie zgromadzenie, jednym wiedzione uczuciem, niby siłą elektrycznego prądu, powstało z niepohamowaną szybkością; stawano na ławkach, napełniając cyrk i powietrze okrzykami podziwu i obawy. Oto nareszcie tak niecierpliwie oczekiwana chwila! Chwila milsza i droższa nad wszystko, chwila widziana w snach, marzeniach i zakładach, odkąd igrzyska ogłoszonymi zostały.

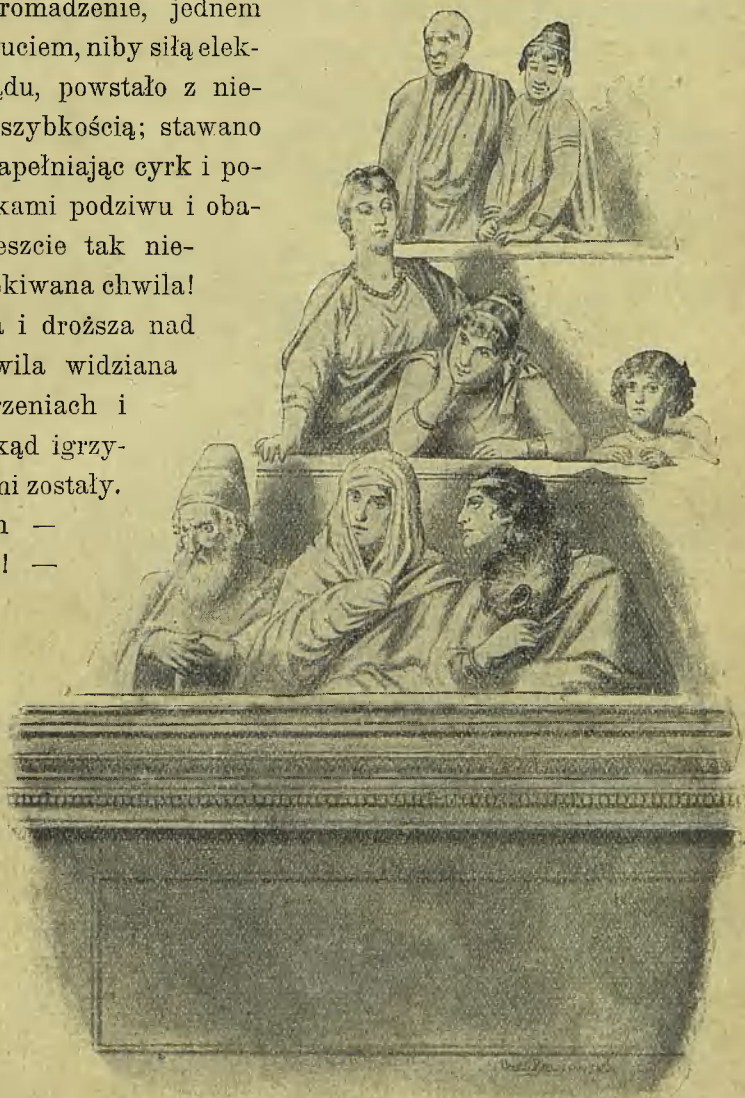
— Oto on —
tam — patrz! —
wołała Iras
wskazując
Messalę.

— Widzę
go — od-
parła Este-
ra, patrząc
na Ben-
Hura.

W tej
chwili zro-
zumiała, że
w obliczu
zgroma-
dzonych

tłumów najłatwiej pogardzić życiem i spełnić czyn bohaterski —
chwila zapалу snadnie uraga nawet śmierci.

Współbiegających się można było widzieć ze wszystkich stron



cyrku; lecz wyścigi jeszcze się nie rozpoczęły, gdyż jeszcze rydwany nie minęły liny. Zaporę tę wyciągano na to, aby wszystkie zaprzęgi równocześnie dostały się na arenę. Niełatwe to zadanie minąć linę! Zbyt ni pospiech może przyprawić o wypadek tak konie jak ludzi, bo nie łatwiejszego jak się w linę uplątać; przeciwnie, jadąc za wolno, można pozostać w tyle, lub co gorsza, stracić korzyść wielce cenioną, t. j. zdobycie najbliższego miejsca tuż przy murze stanowiącym środek areny, czyli linę wewnętrzną.

Widzowie znając doskonale owe pierwsze trudności i niebezpieczeństwa, z zapartym oddechem oczekiwali szczęśliwego przebycia liny. Arena lśniąca piaskiem niby złotem, zaprasza zapaśników, a każdy z nich dwie tylko rzeczy ma na myśli: linę i tor przy murze. Oczywiście, że wszyscy wyruszą równocześnie, — byle się nie splątali.

Przestrzeń dzieląca ich od liny wynosiła zaledwie sto pięćdziesiąt stóp, tem też pewniejszego oka i silniejszej potrzeba ręki. A tu tyle przedmiotów rozprasza uwagę! Tysiące widzów na balkonach, wśród nich jakże wielu takich, których wejrzenie i poklask sereu najmilsze!

Zapaśnicy wyruszyli, każdy marzy o torze przy wewnętrznej ścianie i każdy drży na myśl, że może mu się to nie udać. Mimo obawy nikt się nie zawaha, bo każde wahanie, to wstyd, mianowicie w cyrku i w obliczu tylu widzów. Ci ostatni zdają się odczuwać te troski; nie szczędzą zachęty w oklaskach, co szumią niby wzburzone morze, dla wszystkich jednakowo.

Odezwała się trąbka — krzyki widzów się wznowiły i oto rydwany już przy linie, a spuszczone ją w sam czas, gdyż jeden z rumaków Messali już o nią kopytem zahaczył. Szczęściem wypadek ten nie miał gorszego następstwa. Rzymianin wstrząsnął długim batem, zwolnił lejce, pochylił się naprzód i z okrzykiem zwycięskim zajął tor przy murze.

— Jowisz z nami! — zabrzmiały okrzyki stronników Messali.

Wtem, gdy Messala zawracał, bronzowa głowa, zakończająca os wozu, zaczęła o konia lejcowego z czwórki Ateńczyka tak nie-
szczęśliwie, że biegun padł i powalił się na konia jarzmowego. Oba rumaki splątały się, szamocąc rydwanem. Tysiące ludzi oniemiało

z przerażenia. Rzymianie przecież w pobliżu konsula zwycięskim odezwali się okrzykiem.

— Jowisz z nami! — Głos Druzusa górował nad wszystkimi.

— Zwycięży! Jowisz z nami! — brzmiało nieustannie.

Sanbalat tymczasem stał z tabliczką w ręku i właśnie miał się zwrócić ku hałasującym, gdy łomot i trzask zmusiły go do spojrzenia na arenę.

Ateńczyk tak podstępnie wstrzymany, miał tylko woźnicę z Byzantium po prawej, ku niemu więc chciał zwrócić swój zaprzęg, ale na nieszczęście Koryntezyk jadący po lewej zaczepił o jego rydwan, wywrócił wóz, rzucając woźnicę pod konie. Trzask, okrzyk przerażenia i złości, to jedna chwila; i biedny Kleantes runął pod kopytawej czwórki. Estera zakryła oczy z przerażenia.

Tuż za Messalą jechali woźnice z Koryntu, Byzantium i Sydonu.

Sanbalat powiódł wzrokiem za Ben-Hurem a zwracając się do Druzusa i jego towarzyszy, rzekł:

— Sto sestereyi na Żyda!

— Przyjmuję — odparł Druzus

— Jeszcze sto na Żyda! — krzyczał Sanbalat.

Zdawało się, że go nikt nie słyszy. Po chwili wołał znów, na próżno, bo to, co się działo na dole, już zajęło umysły; stronnicy zaś Messali krzyczeli nieprzerwanie:

— Messala! Messala! Jowisz z nami!

Gdy Estera odważyła się znowu spojrzeć na arenę, już kilku ludzi podnosiło połamany wóz, inni nieśli nieszczęśliwego woźnicę. — Wszystkie ławki przez Greków zajęte brzmiały przekleństwem i błaganiem o pomstę. Nagle Estera opuściła ręce, serce zabiło radośnie, bo ujrzała, że Ben-Hur na samym przodzie swobodnie jechał tuż obok Rzymianina, a za nimi w grupie reszta współubiegających.

Gonitwy były w całej pełni, ścigający się wyteżyli wszystkie swe siły; cisza panowała w cyrku.

Ben-Hur zajmował na początku wyścigów lewą stronę na krańcu Zrazu, po opuszczeniu ciemnego karceru, oslepił go — jak zresztą wszystkich innych — blask areny; nie trwało to długo, wnet zobaczył przeciwników i odgadł ich zamiary. Oczywiście, że na Messalę, który był więcej niż przeciwnikiem, szczególniejszą zwrócił

baczność. Na pięknej twarzy Rzymianina spostrzegł ten sam właściwy mu wyraz pogardy, znany mu od dawna. Czuł, że jest okrutny, przebiegły, chytry i namiętny, że nie unosi go zapał, ale podle wyrachowanie, czyniące gotowym do spełnienia wszystkiego; dalej odgadywał, że w duszy wroga tkwią postanowienia pyszne, że pragnie upokorzyć go, choćby przyszło przypłacić własnem życiem. Niemniej i Ben-Hur pragnął przeciwnika swego upokorzyć, ale nie było w tem ani podstępu ani jakiegokolwiek zdrady. Stał spokojnie na wozie i postępował według z góry powziętego planu.

— Małą rozdzieleni przestrzeni, zbliżali się obaj do drugiej mety.

Piedestał, na którym stały kolumny, był w tem miejscu zaokrąglony, wkoło niego po pod przeciwległe galery znajdował się tor wyścigowy. Objechanie tego miejsca uważano za bardzo trudne i przynoszące woźnicy prawdziwy zaszczyt. Na tym zakręcie miał niegdyś poleźć Orestes. Widzowie oczekiwali tego widowiska z najwyższym zajęciem; tak głębokie milczenie zaległo cyrk cały, że po raz pierwszy usłyszano turkot kół i tentent koni. W tej chwili dopiero ujrzał Messala Ben-Hura, poznał go, oczy zabłyśły nienawiścią, pogardą i zuchwalstwem.

— Precz z Erosem, górą Mars! — zakrzyknął, poruszając bat wprawną ręką. — Precz z Erosem, górą Mars — powtórzył po raz drugi i uderzył batem rumaki Ben-Hura, które dotąd bata nie znały.

Czyn ten niesłychanej brutalności widziano zewsząd i wzbudził wśród widzów niesmak; cisza zaległa jeszcze większa, lecz trwało to tylko chwilę, nagle z balkonów i galery zerwały się krzyki i groźby oburzonego ludu, niby grzmot pełen grozy.

Przerażona czwórka uskoczyła w bok, i nie dziw! Wszakże te konie były pieszczonemi dziećmi Szeika. Ręka człowieka darzyła je tylko pieszczotami, budząc ufność i uległość bez granic. Komuż nieznane posłuszeństwo koni arabskich! Komuż nie nasuwa się myśl, że często człowiek niżej pod tym względem stoi od zwierzęcia? Ale jeśli rumak arabski nie opuści pana w najwyższem niebezpieczeństwie, uragając nawet śmierci, to jednak nie pozwoli się niesłusznie karać. I teraz, w chwili, gdy Messala śmiał konie dotknąć batem, uskoczyły w bok, jakby przed widmem śmierci.

Niby wicher poszły naprzód, porywając wóz za sobą. Każdy z widzów zadrżał, sam tylko Ben-Hur zdaje się nie czuć trwogi, czemuż to zawdzięcza? Zaiste, każde doświadczenie raz nabyte, cennem staje się w życiu, a ręka jego wprawiła się pracą wioślarza. Czemuż jest wstrząśnienie rydwanu, jeśli je porównamy z straszliwem przez bałwany rzucaniem okrętu? Dzięki temu doświadczeniu, utrzymał się w miejscu raz zdobytem, puścił czwórkę swobodnie, przemawiał do koni pieszczotliwymi wyrazami i szczęśliwie objechał niebezpieczny zakręt, i za nim wzburzenie publiczności się uśmierzyło, czuł się panem położenia. Tak więc nie dość, że przy zbliżeniu do pierwszej mety był na równi z Messalą, ale dzielił z nim sympatyę i podziw. Czując to zapamiętały Rzymianin, nie śmiał mimo zuchwałości powtórzyć swego niegodnego czynu.

Gdy wozy mijaly metę, mogła Estera ujrzeć twarz Ben-Hura i spostrzegła, że była błada, głowę jednak trzymał wyżej niż zwykle, co mu nadawało wyrazu spokoju.

Tak ukończono bieg pierwszy; natychmiast jeden ze służby cyrkowej wstąpił na zachodnią kończynę granicznego muru i zdjął pierwszą kulę. Równocześnie ze wschodniego podwyższenia zdjęto rybę.

Wkrótce w ten sam sposób zniknęła druga kula i druga ryba, a następnie trzecia kula i trzecia ryba. Już objechali trzy razy, Messala trzymał się zawsze wewnętrznej strony toru, Ben-Hur pędził tuż przy nim, poza nimi zaś reszta współubiegających się. Tym sposobem wyścigi te były raczej podobne do podwójnych wyścigów, tak bardzo lubianych w Rzymie za ostatnich Cezarów, i zdawało się, że Messala i Ben-Hur ścigają się razem przeciw reszcie zapaśników. W cyrku tymczasem usiłowano zaprowadzić porządek, krzyki jednak obiegały z szybkością równającą się szybkości waleczących rydwanów.

W piątym biegu udało się Byzantczykowi zdobyć na krótko miejsce obok Ben-Hura.

Szóste koło objechano w tymże porządku, tylko szybkość rosła a krew zapaśników coraz szybciej grała. Ludzie i zwierzęta czuli zarówno blizki koniec i ważność zwycięstwa.

Zajęcie widzów, skupione ciągle przy Rzymianinie i Żydzie, z pełną oznaką sympatii dla ostatniego, zaczęło się zamieniać w obawę.



Wyścigi w cyrku.

Na wszystkich ławach wychylali się widzowie ku arenie, zwracając twarze ku ścigającym się.

Ilderim już nie szarpał brody, a Estera już się nie lękała.

— Sto sesterceyi na Żyda! — wołał Sanbalat do Rzymian, otaczających konsula.

Zajęcie było tak wielkie, że nikt nie odpowiedział.

— Talent, pięć lub dziesięć talentów, wybieraj! — wołał wyzywająco, wstrząsając tabliczkami.

— Wezmę twoje sesterceye — odpowiedział jeden z najmłodszych Rzymian, zabierając się do pisania.

— Nie czyn tego — ostrzegł przyjaciel.

— Czemu?

— Nie widzisz, iż Messala doszedł już do najwyższej szybkości i wolno puścić lejce? Nieprawdaż? Popatrz teraz na Żyda.

Pierwszy patrzył i rzekł, tracąc odwagę:

— Na Herkulesa! ten pies trzyma jeszcze lejce całą siłą. Widzę, widzę! Jeśli bogowie nie pomogą naszemu przyjacielowi, zwycięży go Izraelita. A jednak nie, nie jeszcze! Jowisz z nami! Jowisz z nami!

Krzyk rósł z ust każdego, co władał językiem łacińskim, że aż się wstrząsnęło velarium nad głową konsula.

Jeśli było prawdą, że Messala osiągnął największą szybkość, to wysiłek ten nie był bezskutecznym, bo odniósł niejaką korzyść, prześcigał bowiem przeciwnika. Konie jego pędziły ze zwieszonymi głowami, z galeryi zdało się, że brzuchami dotykają ziemi, nozdrza ich z wysiłku buchały krwią, oczy zdawały się wychodzić z jam. Bieg ich był bez wątpienia świetny, ale czy wytrzymają długo, wszak to dopiero początek szóstego koła! I pędzą dalej, już, już, zbliżają się do drugiej moty, gdy Ben-Hur zwraca swe konie poza powóz Rzymianina.

Radość stronnictwa rzymskiego nie miała granic, krzyczeli, ryli, czeli prawie, powiewając chustkami i wstęgami szkarłatnego koloru, a Sanbalat coraz więcej tabliczek zapisywał.

Malluch na wyższej galeryi, ponad Bramą Tryumfu, z trudnością zachowywał spokój. Przypomniawszy sobie wprawdzie wzmiankę Ben-Hura, że coś się wydarzy u zakrętu zachodnich kolumn, ale już je pięć razy objechali i nic się nie stało; pocieszał się, że szósty raz

zmieni stan rzeczy, niestety, Ben-Hur zaledwie utrzymuje się przy boku wroga.

Na wschodniej stronie cyrku towarzystwo Simonidesowe zachowywało się spokojnie, ale kupiec pochylił głowę, Ilderim targał brodę i spuścił tak powieki, że z poza nich źrenice zaledwie widać było. Estera z trudnością oddychała, jedna Iras nie traciła humoru.

U końca szóstego objazdu walczący zrównali się znowu i tak dotarli do pierwszej mety. Messala lękając się stracić miejsca, zbliżył się teraz do muru tak blisko, że każdej chwili mógł o niego rydwan roztrzaskać. Gdy minęli zakręt, nie można już było rozróżnić, który którego jechał, bo jedną tylko zostawili koleję.

W przejeździe spostrzegła Estera, że twarz Ben-Hura była bledszą.

Simonidesa, jako znawcę ludzi, nie przestraszyła ta zmiana, owszem rzekł do Ilderima: zdaje mi się, Szeiku, że Ben-Hur ma jakiś zamiar. Na twarzy jego widzę postanowienie.

Ilderim odpowiedział:

— Patrz, przyjacielu, jako moje konie są spokojne! Klnę się na wspaniałość Boga, myślałbyś, iż się nie goniły jeszcze. A teraz patrz!

Na podwyższeniu jedna już tylko była kula i jedna ryba; wszyscy odetchnęli głęboko, bo oto zbliżał się początek końca.

Sydończyk spróbował wydostać się naprzód — napróżno, nie zdołał utrzymać się i poprzestał na próbie. Następnie obaj pozostali sprobowali tego samego, ale na próżno; odtąd stracili znaczenie w igrzysku. Wszystkie stronnictwa, prócz rzymskiego, za zgodą zaiste trudną do zrozumienia, złożyły swe nadzieje w Ben-Hurze i objawiały na zewnątrz uczucia wołaniem:

„Ben-Hur! Ben-Hur!“ aż echo okrzyków odbijało się o łożę konsula.

Zapał wzrastał, cały cyrk zdawał się czuwać nad Ben-Hurem, ze wsząd dawano mu rady.

Z ławek ponad nim, gdy je mijał, wołano:

— Spiesz się, Żydzie!

— Do muru teraz!

— Puść arabów! puść im wodze i popędź!

— Nie daj się przegonić na zakręcie. Teraz lub nigdy.

Z nad balustrady wyciągano błagalnie ku niemu ręce.

Czy nie słyszał, czy nie mógł inaczej, ale ciągle jechał za Messalą, a tu już druga meta — on jeszcze w tyle.

Teraz, aby dobrze objechać, zaczął Messala skręcać na lewo, co oczywiście zmniejszało szybkość pędu. Nie lękał się tego, wszak tyle oltarzy wzbogacił darami, a geniusz rzymski i tu zwycięży! Oto już trzy kolumny, sześć stóp dalej, czeka go bogactwo, nagrody i zwycięstwo, osłodzone zadowoleniem płynącym z chęci zemsty. Wszystko to stanie się jego własnością!

W tej chwili jest tego pewny i już nabiera pewności, że zwycięży.

Równocześnie spostrzegł Malluch na galerii, że Ben-Hur nachylił się nad arabami i puścił im wodze. Rozwinał dalej długi bat, dotąd nieużywany i świsnął nim razy kilka po nad grzbietami koni. Bat nie skarcił zwierząt, ale był im podniętą i groźbą. Snać Ben-Hur zamierza działać, bo oczy jego błyszczą, twarz ogniem pała, wyrażając nieugiętą i niepokonaną wolę, co niby wezbrany strumień gotowa wszelkie pokonać przeciwności. Cała czwórka rozumiała rozkaz, zrównała się z Rzymianinem, który słysząc złowróżbny tentent, zdawał się nie chcieć widzieć ani odgadywać zamiaru wroga. W tej stanowczej chwili widzowie nie szczędzili zachęcających okrzyków, a jednak ponad wszystkie górował głos Ben-Hura, przemawiającego do koni starym językiem armaickim, językiem Szeika.

— Rażno Atair! Dalej Rigel! Jaktó Antares, miałżebyś zwalniać? Dzielnie konie! Ho, Aldebaran! słyszyszże, jak śpiewają dzieci i kobiety w namiocie! One sławią gwiazdy, co się zwią: Atair, Antares, Rigel i Aldebaran! Skoro pokonamy wroga, sława nasza żyć będzie przez wieki. Dobrze — dzielnie! Jutro wrócimy do ojczyzny — do namiotu! Hej rażno Aldebaran! Pokolenie oczekuje nas, pan wzywa nas! Dalej! Ho! Dzielnie! Pokonaliśmy pyszałka! W prochu leży ręka, co nas biła! Naszą jest chwała! Ha, ha! Dzieło skończone! Ho, ho, stójcie!

I mówił prawdę — tak, zwycięstwo odniesione, a zaprawdę nigdy prościej i szybciej nie dokonano równie świetnego igrzyska! W chwili przeznaczonej do spełnienia czynu, Messala objechał metę, Ben-Hur chcąc go minąć musiał przejechać tor wyścigowy. Dokładnie obliczywszy, mógł tego dokonać tylko w prostym kierunku, czyli zmniejs-

szając koło, skrzyżować się z przeciwnikiem. Tysiące widzów odgadło zamiar, tysiące wspierały go życzliwymi okrzykami, tysiące były świadkami powodzenia. Zaprzęg przeleciał pędem, lecz wymijając, zaczepił osią koło zewnętrzne u rydwanu przeciwnika. Jedna błyskawiczna chwila a już trzask i łomot razi tysiące uszu, a potem prędzej niż się da powiedzieć, już tylko białe i żółte drzazgi z owego pysznego rydwanu Messali zalegają część areny. Lecz nie dość na tem, on sam, pyszny Messala, we własne uplątany lejce, padł głową naprzód.

Okropność tego widoku nabrała jeszcze grozy, gdy Sydończyk ani powstrzymać swych koni, ani je w bok skierować nie zdołał. Pędził więc na Rzymianina całą siłą pędu, przeleciał mimo i wpadł między rozszalałe ze strachu konie pokonanego.

Wśród walki splełanych koni, trzasku i łomotu kół, chmur pyłu i piasku, usiłował się dźwignąć Messala, na to tylko, aby ujrzeć dwóch pozostałych zapaśników pędzących za Ben-Hurem, który bynajmniej nie zwolnił biegu.

W chwili stanowczej widzowie powstawali a wychylając się poza balustradę, miotali przeklęstwa lub wybuchali okrzykami radości. Jedni patrzeli na tratowanego końmi Messalę, który leżał pod szczątkami rydwanu — wielu sądziło, że nie żyje — inni, i to znaczna większość, ścigali wzrokiem Ben-Hura; nie wielu jednak zauważyło, jak się rzecz cała odbyła, tem bardziej, że zaczepienie koła i zdruzgotanie^e rydwanu było dziełem jednego mgnienia oka. Za to zmiana wyrazu jego twarzy, zapal duszy, bohaterskie postanowienie i energia ruchu, siła wejrzenia, nie uszły, uwagi tłumów. Cudneż to były igrzyska! Zwycięzca, niby pół-bożek, rumaki jako lwy jednym skokiem dosięgły przeciwnika, a rydwan zdawał się mieć skrzydła! Bizantyńczyk i jego towarzysz byli wpół drogi, gdy Ben-Hur stał już u mety.

Zwycięstwo odniesione!

Konsul podniósł się z swego siedzenia, lud zachrypłym głosem krzyczał jeszcze, a zarządca, wstąpiwszy na arenę, uwieńczył zwycięzcę.

Gdy młody Żyd spojrzał w górę, ujrzał Simonidesa i całe towarzystwo. Wszyscy dawali mu znaki radości, wznosząc ręce i powiewając chustkami. Estera siedziała nieruchomo, Iras zaś powstała

uśmiechnięta i poruszała znacząco wachlarzem. Były to dowody łaski przeznaczone właściwie dla Messali, gdyby on był zwyciężył.

Na zakończenie uroczystości urządzono wspaniałą pochód odprowadzający zwycięzcę „Bramą tryumfalną“, z okrzykami uniesienia i radości.

Ważny ten dzień minął i należy do przeszłości.

Ben-Hur i Ilderim przeprawili się natychmiast na drugą stronę rzeki, gdyż o północy postanowili wyruszyć w drogę, by dopędzić karawanę trzydzieści godzin naprzód wyprawioną.

Szeik nie posiadał się z radości i pragnął po królewsku obdarzyć Ben-Hura; tymczasem młodzieniec nie chciał przyjąć żadnej nagrody, twierdząc, iż za wszelką nagrodę starczy mu pokonanie wroga. Długie były z obu stron sprzeczki, bo obaj waleczyli wspaniałomyślnością.

— Pomyśl — mówił Szeik — co uczyniłeś dla mnie. W każdym czarnym namiocie od Akaby do Oceanu i dalej, poza Eufrat i morze Scytów, wszędzie brzmieć będzie sława mojej Miry i jej pokolenia; a ci, co ją sławić będą, i mnie pochwałać będą i zapomną, że u schyłku dni moich. Wszyscy, którzy broń noszą, a nie mają pana nad sobą, koło mnie zbierać się będą, a liczby moich wojowników policzyć się nie da. Ty nie wiesz, co to jest być władcą pustyni, władcą, jako ja nim będę! Daniny i haracze, które u stóp mych złożą narody i ich króle, pomnożą się dziesięć razy. Gdybym miał wolę ubiegać się o względy Cezara, i te posiadałbym, klęę się na miecz Salomona! Ty zaś, coś tyle uczynił, nie chcesz nie przyjąć!

Ben-Hur odparł spokojnie:

— Szeiku, zaliż mi nie dosyć twej ręki i serca. Zaliż nie lepiej uczynisz, gdy użyjesz wzrostu twej potęgi i mienia na poparcie króla, który przyjdzie? Nowe dzieło potrzebuje tak wiele, a jeśli dziś odmawiam, to nie tracę prawa do prośby na dni przyszłe.

Gdy się tak sprzeczali, przybyło dwóch posłańców, Malluch i jakiś nieznajomy. Pierwszego przypuszczono natychmiast.

Pocziwiec nie tał radości swej z przebiegu sprawy, a potem rzekł: Pan mój, Simonides, przysłał mnie, abym wam powiedział, iż niektórzy Rzymianie wzbraniali się wypłacić zakładów.

Ilderim zerwał się, krzycząc na całego: Na wielkość Boga! Niech rozstrzyga Wschód cały, żali wyścig nie był sprawiedliwie wygrany?

— Tak, zacny Szeiku — rzekł Malluch — ale protestu ich nie uwzględniono i sumę wypłacono.

— Rzeczywiście?

— Gdy podnieśli zarzut, że Ben-Hur zaczepił osią koło Messali, rozśmiał się zarządca i przypomniał zuchwały postępek tegoż, gdy skarcił konie u zakrętu mety.

— Co słyhać o Ateńczyku?

— Nie żyje.

— Umarł!... powtórzył Ilderim. — A Messala?

— Żyje, ale to życie stanie mu się ciężarem, bo jak twierdzi lekarz, nigdy nie odzyska władzy w nogach.

Słyszac to Ben-Hur, spojrzał w niebo w milczeniu; widział już oczyma duszy Messalę przykutego do krzesła, podobnie jak Simonides, i dźwiganego ramionami sług. Czcigodny zarządca dóbr jego znosi swe kalectwo z godnością, na którą chyba nie zdobędzie się człowiek tak pyszny i dumny jak Messala.

— Dalej kazał mi Simonides oznajmić — mówił Malluch — że Sanbalat ma kłopoty, bo Druzus i ci, którzy u niego podpisali zakłady, ociągają się z wypłatą należitości. Druzus wytoczył nawet sprawę przed Maksencyusza, a ten odesłał ich aż do samego Cezara. Messala również odmówił wypłaty, czem zniecierpliwiony Sanbalat, poszedł za przykładem Druzusa i oparł się o konsula i Cezara, stąd cała sprawa pójdzie w odwłokę. Życzliwi nam Rzymianie twierdzą, że protesta winny być unieważnione. Zdanie to podziela wielu. Całe miasto gorszy się takim postępowaniem.

— Cóż na to Simonides? — pytał Ben-Hur.

— Pan śmieje się i jest dobrej myśli. Jeśli Rzymianin zapłaci, to będzie zrujnowany; jeśli nie, to czeka go niesława. Cesarskie sądy rozstrzygną. Obrazić cały Wschód, toby znaczyło, dać zły obrót wojnie z Partami; obrazić Szeika Ilderima, to oburzyć całą pustynię, któredy wiodą wszystkie drogi Maksencyusza. Dlatego kazał cię Simonides upewnić, iż Messala zapłacić musi.

Ilderim cieszył się i radował, mówiąc:

— Ruszajmy, nie tracąc czasu, sprawę tę zostawmy do załatwienia Simonidesowi. Chwała jest przy nas. Każ natychmiast

przyprowadzić konie. Ilderim i Ben Hur, zadowoleni z przebiegu sprawy, zabierali się do wyjścia, które było pierwszym krokiem w ich wspólnem powołaniu i dla którego odtąd tylko żyć mieli.

— Czekaj — rzekł Malluch — zapomniałeś, że jest jeszcze drugi posłaniec, czy chcesz się z nim widzieć?

— Całkiem o nim zapomniałem.

Malluch oddalił się, a równocześnie zbliżył się chłopiec zręczny, dalikatny i wytwornie ubrany; ujrzawszy Szeika, przykląkł na kolano, mówiąc:

— Iras, Baltazaro-wa córka, dobrze znana czeigodnemu Ilderimowi, dała mi poselstwo złożenia ci, Szeiku powinszowania z powodu zwycięstwa czwórki twoich rumaków.

— Córka mego przyjaciela umie być u-przejmą—odparł Szeik, zmrużając oczy z zadowoleniem nie wol-nem od próżności — oddaj jej ten klejnot na znak, jak wielką radość sprawiło mi jej poselstwo.

Tu zdjął pierścień z palca i podał go chłopcu.

— Uczynię, jak każesz, Szeiku — mówił chłopiec. — Nie na tem wszakże koniec mego poselstwa, bo Egipcjanka prosi Szeika, by oznaj-mił młodzieńcowi imieniem Ben-Hur, że ojciec jej zamieszkał teraz na pewien czas w pałacu Iderne. Tam Iras oczekiwać będzie młodzieńca o godzinie czwartej. Jeśli Ilderim uczyni zadość jej prośbie, wdzięczność jej wyrówna wielkiemu zaszczytowi, który ją spotka.

Szeik spojrzał na Ben-Hura, a widząc, że twarz jego wyrażała radość i zachwyty, spytał:



— Cóż chcesz czynić?

— Jeśli pozwolisz, Szeiku, radbym odwiedził piękną Egipcyankę. Ilderim roześmiał się i rzekł: Ażaliż godzi się odmawiać kobiecie?

Słyszac te wyrazy wpół zezwalające, rzekł Ben-Hur posłańcowi:

— Powiedz tej, która cię posłała, że ja, Ben-Hur, przyjdę ujrzeć ją w pałacu Ilderne jutro o dziewiątej.

Chłopiec wstał z klęczek i nizki złożywszy pokłon, odszedł.

O północy Ilderim wyruszył w drogę ku pustyni, zostawił konia i przewodnika dla Ben-Hura, upominając, by wkrótce za nim podążył.

Idąc dnia następnego na spotkanie Iras, zwrócił się Ben-Hur w stronę kolumnady Heroda i wkrótce stanął przed pałacem Ilderne.

Wszedłszy z ulicy, minął przedsionek i udał się krytymi schodami do portyku.*) Skrzydlate lwy pilnowały przejścia, w środku olbrzymi Ibis **) wyrzucał w górę wodę, co skrapiała podwórze. Lwy, ibisy, mury, przypominały Egipt, tem więcej, że wszystko, nawet balustrada schodów, wykute było z szarego kamienia.

Powyżej przedsionka wznosił się portyk z tak pięknymi, lekkimi kolumnami, że tylko ręka Greka mogła takie wykonać arcydzieła.

Ben-Hur, zatrzymawszy się chwilę w cieniu portyku dla przypatrzenia się piękności kolumn, wszedł do pałacu przez ogromne, roztwarte, jakby na jego przyjęcie, podwoje. Poza tą bramą znalazł się w kurytarzu wysokim choć wązkim; podłoga wyłożona była ciemnymi, wypalonymi ceglami, ściany zaś samą pomalowano barwą. Ta prostota pełna smaku zapowiadała wewnątrz tem wspanialsze.

Postępował zwolna, chcąc zebrać wszystkie zmysły; wszak za chwilę znajdzie się w obecności Iras. Ona czeka go ze śpiewem, czarującym opowiadaniem, fantastycznymi marzeniami, rozmową pełną dowcipu, kaprysu i tego uśmiechu, co rozjaśnia jej spojrzenie.

Gdy minął przejście, znalazł się u zamkniętych podwoi; zbliżwszy się do nich, zauważył, że otworzyły się same, bez najmniejszego

*) Portyk, sala z filarami. **) Ibis jest to ptak, żyjący w Afryce północnej; w Egipcie czczono go dlatego, że pojawiał się tamże wraz z powodzią Nilu, używającej ogromne nad tą rzeką leżące przestrzenie.

szelestu, zdaje się nawet, że bez dotknięcia ich ręką. Było to dziwnem, ale Ben-Hur nie zastanawiał się nad tem, tem bardziej, że nęcił oko jego wspaniały widok, który się przed nim rozciągał.

Jeszcze w cieniu kurytarza, lecz już na progu podwoi, ujrzał przed sobą atrium rzymskiego domu, urządzone z bajecznym przepychem i wytwornością.

Jak wielką przestrzeń miał przed sobą, trudno powiedzieć, z powodu złudzenia, jakie sprawiają doskonale proporcye i głębokość perspektywiczna, którą ówczesni artyści tak umieli wyzyskać. Najpierw zwróciła uwagę przepyszna posadzka mozaikowa, przedstawiająca Lede*) pieszczącą ląbedzia, — dalej spostrzegł, że cała posadzka mozaikowa same mitologiczne przedstawiała obrazy... Komnata pełną była sprzętów, najrozmaitszego przeznaczenia, a każdy z nich to istne dzieło sztuki. Tu i ówdzie stały bogato rzeźbione stoły, i do nich zastósowane sofy i wezglowia. Meble dalej od ścian stojące odbijały się w lśniącej posadzce niby w czystej wodzie jeziora, wraz z malowaniami ścian, posagami i bogatemi rzeźbami sufitów. Ku środkowi znajdowały się otaczające otwór wgłębienia, przez które wpadało światło słoneczne, i błękit nieba dziwnie z tej odległości blizki. Wprost otworu, złożona krata strzegła impluwium.***) Kolumny, podtrzymujące strop w rogach komnaty, świeciły w słońcu jak płomień; odbicie to zdawało się tworzyć nieskończoną świetlaną głębię. Szczególną uwagę Ben-Hura zwróciły między innemi dziwnie piękne świeczniki wieloramienne, posagi i wazy, tworząc wnętrze tak wspaniałe, że możnaby je przenieść do pałacu na Palatyńskim wzgórzu, który był niegdyś kupił Cycero od Krasusa, a nawet i do jeszcze słynniejszej swą pięknością wili Skaurusa w Tusculum.

Tak przypatrując się i podziwiając wszystko, chodził Ben-Hur po pustej komnacie; marzenia czarowne dodawały mu cierpliwości. Nie dziwił się opóźnieniu i ani wątpił, że Iras, skoro będzie gotowa, przyśle

*) Leda, małżonka króla szpartańskiego Tyndareosa, a kochanka bożka Zeusa, który w postaci ląbedzia przebywał u jej boku. **) Impluwium, basen do wody deszczowej w salach, znajdujących się w środku domu rzymskiego, do którego wychodziły drzwi wszystkich dokoła komnat.

po niego służyć, lub przyjdzie sama, tem bardziej, że atrium służyło do przyjęć w każdym dobrze urządzonym domu rzymskim.

Chodził więc wzdłuż, wszerek, wkoło ścian, stawał przed otworem u stropu, przypatrując się niebu i jego lazurowej głębi. To znów opierając się o kolumnę, podziwiał efektowne światłocienia, co zmniejszały w miarę oddalenia otaczające przedmioty. I jeszcze nikt nie przychodził. Zaczęło mu się dłużyć, nie więc dziwnego, że rozmyślał, czemu Iras nie przybywa? Nie znalazłszy na razie odpowiedzi, wrócił znów do podziwiania czarującego otoczenia, chociaż ono coraz to mniej go zajmowało. Od czasu do czasu wysyłał ucho na zwiady, a gdy żaden ruch ni szmer nie dolatywał, niecierpliwość brała górę. Krew krążyła silniej, pulsa biła coraz prędzej, nareszcie otaczająca go cichość i milczenie poczęły budzić podejrzenie i nieufność. Nie dał się opanować tym uczuciom, odsunął je z uśmiechem, pocieszając się miłą nadzieją: pewnie bawi u gotowalni, pragnie być piękną, — jeszcze jedno pociągnięcie pędzla koło powiek, a może ujrze ją! może... o radości! może wije wieniec dla mnie! — Tak rozmyślając, usiadł u stóp wspaniałego świecznika, a przypatrywaniem skracał chwilę ciężkiego oczekiwania. Był to rzeczywiście sprzęt nader piękny. Spiżowa kolumna wznosiła się na podłużnej, również spiżowej podstawie, zaopatrzonej kółkami i zdobnej delikatnymi ornamentami po rogach i bokach. U stóp kolumny, na wzniesionym poniżej ołtarzu, składała niewiasta ofiarę; z palmowych zaś liści, zdobiących kapitel kolumny, spływały cienkie łańcuszki zakończone lampami. Całość była arcydziełem w swoim rodzaju. Ben-Hur podziwiał świecznik i inne piękności atrium; przecież cisza nużyła go coraz bardziej, — nasłuchiwał, stawał, zawsze napróżno, nie słysząc żadnego głosu, pałac głuchy jak grób.

Czyżby się pomylił? Nie — to niepodobna!

Posłaniec przyszedł od Egipcjanki, a to pałac Iderne. W tejże chwili przypomniał sobie nie bez obawy, jak dziwnie i tajemniczo utworzyły się podwoje! — To dziwne, trzeba wrócić i obejrzeć!

Poszedł, a odgłos jego kroków, chociaż stapał lekko, odbijał się głośnie echem i wzbudzał w nim samym lęk. Cóż to, miałaby się obawiać? — Postąpił, doszedł do drzwi, niestety, sztuczna rzymska klamka odmówiła za pierwszym dotknięciem posłuszeństwa. Próbuje

raz drugi, napróżno; — krew zastygła mu w żyłach z gniewu i oburzenia. Uderza z całej siły, podwoje ani drgnęły! — Uczucie niebezpieczeństwa owładnęło młodzieńcem, stoi niepewny i pyta sam siebie: Kto w Antyochii mógł chcieć wyrządzić mu krzywdę? — Messala!...

A ten pałac Iderne? W przedsionku widział wprowadzić Egipt, w portyku Ateny, ale tu, tu w Atrium? Tu Rzym, wszystko wokoło zdradzało rzymskiego właściciela. Miejsce to było na głównej ulicy miasta, chyba niktby się nie odważył tak publicznie popełnić gwałt i zbrodnię, czegoż jednak nie można się spodziewać po tak zuchwałym wrogu, jak Messala? Tak, tak, to jego ręka, to jego pomysł, wszak to czyn godny jego zuchwalstwa, a ja — myślał Ben-Hur — ja dałem się złapać jak dziecko, boć całe to atrium z swą wytwornością jest tylko złożoną klatką więźnia! — Nie dziw, że skoro zrozumiał swe położenie, trwoga powlokła wszystko czarną barwą. Uczucie to gniewało go i upokarzało — postanowił bądź jak bądź bronić się jeszcze.

Z atrium prowadziło wiele drzwi na prawo i lewo, zapewne do sypialnych komnat; spróbował je Ben-Hur otworzyć. Napróżno, wszystkie szczelnie zamknięte. Stukanie mogłoby sprowadzić ludzi, krzyczeństwo wstyd żołnierzowi. Położył się więc na wezgłowiu i rozmyślał.

Coraz jaśniej widział, że jest więźniem, ale czym? Oczywiście Messali. Na tę myśl obejrzał się i uśmiechnął niedowierzająco, bo zaprawdę nie był bezbronnym, wszak każdy przedmiot może mu posłużyć za broń.

To przypuszczenie obaliło poprzednie; nie, to niepodobna, nie myślano z nim walczyć, ptaki tylko giną w złożonych klatkach. Myśl ta podnieciła wściekłość i szaloną chęć obrony. Jak to, on, żołnierz, on, zwycięzca, miałby się nie bronić? Czyliż mu brak siły, czyliż nie może zdruzgotać łoża, na którym spoczywa i uczynić zeń taran nie do zdobycia? Zaliż rozpacz sił nie podwaja? Zresztą Messala przyjsć tu nie może! on nie będzie więcej chodził, bo jest kaleką jak Simonides. To prawda — przecież dla chcącego niema niepodobieństwa, może się kim posłużyć, może użyć ręki zbrodniarza. Myśl ta wydała się Ben-Hurowi prawdopodobną, wstał i próbował otworzyć drzwi.

Raz, nawet dwa razy zawołał; echo tylko odpowiedziało, wzbudzając dziwną obawę w sercu więźnia. Jeszcze miał dość siły do uspokojenia się, postanowił poczekać chwilę, a potem wyłamać drzwi.

W takich okolicznościach umysł opada i wznosi się niby morze, co się naprzemian burzy i uspakaja. Nagle, nie wiedzieć jak i dla czego, przyszedł do przekonania, że całe to zdarzenie jest dziełem przypadku lub pomyłki. Niepodobna, by pałac tak wspaniały nie miał właściciela, tem bardziej musi się ktoś nim zajmować, musi być jakiś dozorca, a ten przed nocą zjawić się powinien. A zatem cierpliwości!

To postanowiwszy, czekał.

Minęło znowu pół godziny — Ben-Hurowi czas ten wydał się niesłychanie długim. Tymczasem podwoje, któremi wszedł, otworzyły się jak pierwszej, tak samo cicho i tajemniczo.

W chwili, gdy się to stało, Ben-Hur siedział na przeciwnej stronie komnaty odwrócony od wejścia. Gdy usłyszał kroki, zdziwił się, ale pomyślał:

— Ach! nareszcie przyszła! — Odetchnął radośnie i wstał.

Dziwna rzecz, krok idącego był ciężki, towarzyszył mu stukot sandałów. Złoczone kolumny zasłaniały go od wejścia, zwolna posunął się i przystanął za jedną z kolumn. Równocześnie usłyszał głosy ludzi, a jeden z nich ostry, gardłowy. Co mówiono, nie mógł zrozumieć, gdyż nie znał języka, którym mówili. Nie było to żadne z narzeczy znanych na Wschodzie lub Południu Europy.

Obejrzeni komnatę z jednej strony, poczem przeszli na lewo i Ben-Hur mógł się im dobrze przypatrzeć. Było ich dwóch, jeden szczególnie silnie zbudowany, ale obaj wysocy, jednakowo w krótkie tuniki ubrani. Nie wyglądali na panów tego domu ani nawet na sługi. Dotykali rękoma otaczających ich przedmiotów, widocznie wszystko było im nowe i dziwne, znać, że to ludzie pospolici; komnata zdawała się być ich obecnością sprofanowaną. A jednak wzięcie ich było swobodne, poruszali się śmiało, co świadczyło, że przyszli tu na pewne i mieli coś do załatwienia. Ale co?

Chodząc tu i tam, rozmawiali i raz się zbliżali, to znów oddalali od chroniącej Ben-Hura kolumny. Opodał, gdzie promień padał

na mozaikę posadzki i wspaniały posąg, przystanęli w świetle, aby się dziełu sztuki przypatrzeć.

Ben-Hur tak był tem wszystkiem rozdrażniony, że teraz, gdy był w wysokim silnym mężu poznał owego Normana, co go uczył w Rzymie szermierki i co świeżo odniósł zwycięstwo jako atleta w cyrku, doznał wrażenia graniczącego z trwogą. Patrząc na tę twarz pełną blizn, oraz wyrazu najdzikszych namiętności, na obnażone członki, silne i wyrobione mięśnie, myśl osobistego niebezpieczeństwa przeszła chłodem każdą żyłę młodzieńca. I nie dziw, instynkt zachowawczy ostrzegał, że wszelkie okoliczności za dobrze obmyślano, aby mogły być przypadkowemi. Niema się co łudzić, tu idzie o jego życie; a on wobec zbirów jest nieoleddie karłem. Towarzysz mniej był strasznym, młody, oczy i włosy miał ciemne, wogóle Normana, wyglądał na Żyda. Obaj nosili suknie właściwe szermierzom, gdy idą na arenę, co wszystko dowodziło, że tak ich, jak i jego w jakimś do tego pałacu sprowadzono celu. Z każdą chwilą jaśniej rozumiał, że jest w niebezpieczeństwie i że bez nadzwyczajnej pomocy, znajdzie tu grób pewny.

Nie wiedząc, co począć dalej, patrzył po ludziach bezmyślnie, podczas gdy przed oczami duszy przesunęło się całe jego życie, z wszelkimi szczegółami.

Chwile takie zdarzają się w życiu ludzkim rzadko, wtedy patrzmy na te znane obrazy, jakby one nas nie dotyczyły i sądzimy je sprawiedliwiej niż kiedykolwiek. I Ben-Hur wśród otaczających go ciemności, ujrzał jakby ukrytą rękę, co uchyliła zasłony jego dotychczasowego bytu, zrozumiał, że odtąd wchodzi w nowy okres życia. Dotąd był on ofiarą niewinną, na nim popełniono gwałt; teraz, przeciwnie, on obejmował rolę czynną, on zaczynał. Dopiero wczoraj znalazł swą pierwszą ofiarę. Chrześcianin prawdziwy zadrżałby na tę myśl, sumienie przemówiłoby groźnym wyrzutem. Ben-Hur nie doznał nie podobnego, on, uczeń pierwszego lecz nie ostatniego i najświętszego prawodawcy, nie uważał, aby wymierzenie zasłużonej kary było krzywdą. Zresztą pan dał mu zwycięstwo, a ta pewność i wiara były mu źródłem siły w niebezpieczeństwie. Pełen ufności, widział w świeżem powodzeniu zapewnienie dalszego. Nowe życie, to misya

zaledwie rozpoczęta, święta jak świętym oczekiwany król — pewna jak przyjsie tego króla — sprawiedliwa, już tem samem, że była konieczną. I on miałaby się dać pokonać u progu takiej drogi? Nie, i stokroć nie... Wśród tych myśli rozwiązał pas przytrzymujący białą żydowską szatę, a został tylko w spodniej tunice, podobnej do tych, które odziewały jego wrogów. To uczyniwszy, złożył ręce na piersiach i oparł się o kolumnę, czekając z przygotowanym umysłem i ciałem na swych nieprzyjaciół.

— Coście za jedni? — zapytał ich po łacinie.

Norman uśmiechnął się, ale twarz jego nie nabrała przez to łagodniejszego wyrazu i odpowiedział:

— Barbarzyńcy.

— To pałac Iderne. Kogo tu szukacie? Odpowiedcie!

Słowa te wymówił z wielką powagą; cudzoziemcy stanęli zdziwieni, a Norman zapytał:

— A ty co za jeden?

— Rzymianin.

Olbrzym podniósł głowę i przypatrywał mu się szyderezo.

— A to co nowego? ha, ha, ha! Słyszałem, że jakiś bóg powstał z krowy, co sól lizała; ale nawet bóg nie robi z Żyda Rzymianina.

Przystawszy się śmiać, mówił coś do towarzysza i obaj zbliżyli się groźnie w zaczepnej postawie do Ben-Hura.

— Stój! — zawołał tenże, oddalając się od kolumny... Jedno słowo. Stanęli.

— Słowo — odpowiedział Sakson, składając ogromne ręce na piersiach i rozpogadzając twarz, co już się groźniejszą stawała. — Jedno słowo... mów!

— Jesteś Thord Norman.

Olbrzym zdziwiony, otworzył szeroko niebieskie oczy.

— Byłeś lanistą w Rzymie?

Thord potwierdził.

— A ja się uczyłem u ciebie.

— Nie — odrzekł, kiwając przecząco głową. — Na brodę Irmina, nigdy w mem życiu nie próbowałem zrobić z Żyda wojownika.

— Dowiodę ci, że tak jest.

— Jakim sposobem?

— Jesteście tu, aby mnie zabić.

— To prawda.

— Pozwól więc, aby ten człowiek walczył ze mną na pięści, a pokażę ci na jego osobie, że jestem twoim uczniem.

Wesołość rozjaśniła twarz gladyatora, wyrażona propozycja przypadła mu do smaku. Przemówił coś do swego towarzysza, ten zdawał się zgadzać, poczem rzekł z naiwnością rozbawionego dziecka:

— Czekajcie, aż dam znak rozpoczęcia.

Uderzeniem nogi przysunął wezglowie, a rozkładając się na niem, zawołał:

— Zaczynajcie!

Ben-Hur przystępując do swego przeciwnika, rzekł: — Broń się! Przeciwnik wyciągnął ręce, ale bez ochoty i zapалу.

Gdy obaj stali naprzeciw siebie, podobnymi byli jak bracia wzrostem i budową. Cudzoziemiec uśmiechał się zwycięsko; Ben-Hur patrzył tak jakoś uroczyście i poważnie, że przeciwnik powinien był zadrzeć, ale nie znał jego zręczności. W każdym razie wiedzieli obaj, że to walka o śmierć lub życie. Ben-Hur nacierał prawą ręką, nieznajomy parował z lekka lewą naprzód wysuniętą; zanim ją cofnął, już Ben-Hur chwycił dłoń przeciwnika z siłą wioślarza. Nie zdołał się zasłonić szermierz, bo równocześnie chwycił go Ben-Hur za szyję i nim odetchnął, już z prawego ramienia przemienił rękę prawą na lewą i trzymając go jak martwą masę, dusił nagą szyję koło ucha ręką prawą; w kilka chwil szermierz padł ciężko bez jęku i krzyku, a leżał spokojnie, jakby piorunem rażony.

Walka ta trwała krócej niż się da wypowiedzieć, wszystkie zaś ruchy zdały się być zaledwie jednym.

Ben Hur po skończonej walce zwrócił się do Normana.

— Ha! Na brodę Irmina! — zawołał Norman, śmiejąc się głośno — Ha! ha! ha! nie potrafiłbym lepiej!

Obojętnie przypatrzył się trupowi — a potem zmierzył od stóp do głowy Ben-Hura z rodzajem podziwu.

— Muszę przyznać, że wzięłeś się do roboty, jak należy, a co dziwniejsza, moim sposobem, tym, jakiego dziesięć lat uczyłem w szkołach rzymskich. Teraz widzę, że nie jesteś Żydem. Kimże jesteś?

— Czy znałeś Aryusza Duumwira?

— Kwintusa Aryusza? Oczywiście, bo był moim patronem.

— Miał przecież syna?

— Miał — rzekł Norman, przeciągając się leniwo — Znałem chłopca, dzielny był i snadnie mógł zostać królem gladiatorów; sam Cezar nawet chciał się nim opiekować. Ja sam wyuczyłem go wszelkich tajemnic mej sztuki, co więcej, pokazałem mu nawet sposób mego wynalazku; ależ na Irmina, wszak właśnie użyłeś go w walce z tym biedakiem!

— Jakto i dotąd nie poznałeś mnie? Wszakże jestem owym synem Aryusza.

Sakson zbliżył się zwolna, obejrzał dokładnie młodzieńca a wyciągając rękę, zawołał z rozjaśnioną twarzą i wesołemi oczyma:

— Ha, ha, ha! a to mnie oszukał! Obiecywał, że tu zastanę Żyda — Żyda — psa żydowskiego, którego śmierć miłą będzie bogom.

— Kto ci to powiedział? — pytał Ben-Hur, ujmując jego rękę.

— On, Messala! — ha, ha, ha!

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem.

— Myślałem, że jest chory z potłuczenia.

— Nie będzie już nigdy chodzić, a do mnie mówił wśród jęków, leżąc na łóżku.

Kilka słów dawały dokładny obraz nienawiści Messali i przekonały Ben-Hura, że póki wróg taki żyć będzie, nie przestanie go prześladować. Zemsta stanie się odtąd jedyną osłodą jego zniweczonego życia i straconego w zakładach z Sanbalatem majątku. Ani chwili nie lekceważył sobie Ben-Hur tego stanu rzeczy, a przedewszystkiem widział, jak bardzo on będzie groźny i niebezpieczny dla dzieła, które miał przedsięwziąć. Wobec tak ważnego przedsięwzięcia nie trzeba wybierać w środkach, zresztą Messalę mu przysługuje prawo odwetu. Czemużby nie miał użyć tego samego, co Rzymianin, sposobu? Obo-

wiek zapłacony za to, aby go zabił, odstąpi od zamiaru, skoro więcej dostanie; a cóż łatwiejszego dla Ben-Hura, jak płacić pieniędzmi? Pokusa była bardzo silna, nagle spojrział na leżącego bez życia przeciwnika i spostrzegł, że wzrost i postawa podobne były do niego samego, powstał więc w duszy jego nowy zamiar. Pomyślawszy chwilę, zapytał Normana:

— Ile za moje życie obiecał ci Messala?

— Tysiąc sestercey.

— Otrzymasz je; a jeśli uczynisz po mojej woli, dodam ci jeszcze trzy tysiące.

Uradowany obietnicą olbrzym, zaśmiał się głośno, mówiąc:

— Wczoraj wygrałem pięć tysięcy, od Rzymianina tysiąc, to sześć. Daj mi cztery, cztery, zacny Aryuszu, a stanę przy tobie wytrwale; jeśli kłamię, niech mnie mój imiennik stary Thord młotem ubije. Daj mi cztery, a zamorduję tego patrycyusza, co leży w łóżku. Nie bardzo się tem spracuję, wystarczy, gdy mu głowę ot tak... zatkam.

Mówiąc to, wykonał obrazowo ruch odpowiedni.

— Rozumiem, czego pragniesz — odparł Ben-Hur — dziesięć tysięcy sestercey to majątek; już widzę, jak wracasz do Rzymu i otwierasz sklep z winem w pobliżu wielkiego cyrku i będziesz żył, jak przystało na wielkiego gladyatora!

Blizny na twarzy szermierza zaświeciły jakimś odblaskiem wewnętrzznego rozradowania z obrazu, jaki mu przedstawiał Ben-Hur.

— Dam ci cztery tysiące, a co więcej, to co uczynisz dla mnie, nie pokrwawi rąk twoich. Posłuchaj mnie, przypatrz się i powiedz, czy ten twój przyjaciel nie jest do mnie podobnym?

— Doprawdy, że tak jest, i mógłbym śmiało twierdzić, że jesteś jabłkiem z tej samej jabłoni.

— To mnie cieszy; co myślisz, gdybym też włożył jego tunikę, jego zaś ubrał w moje suknie i gdybyśmy go tu zostawili? W takim razie otrzymałbyś sestercey Messali, bo cóż łatwiejszego, jak mu wytłómaczyć, żeś mnie zabił.

Propozycja ta tak ucieszyła Saksona, że śmiał się do łez.

— Ha, ha, ha! Nikt jeszcze tak łatwo nie zarobił tysiąca sestercey. Będę mieć winiarnię i to za proste kłamstwo bez przelewu

krwi! Ha, ha, ha! Jeśli kiedy przyjedziesz do Rzymu, nie zapomnij pytać o winiarnię Thorda Normana, klnę się na brodę Irmina, dam ci najlepszego wina, choćbym miał je szukać w piwnicach Cezara.

Podali sobie ręce na zgodę, poczem zamieniono suknie, Ben-Hur zaś zobowiązał się przysłać cztery tysiące sestercyi jeszcze tej samej nocy. Po ostatecznem omówieniu sprawy, olbrzym zapukał do wchodowych podwoi, które się otworzyły i przepuściły mordercę i niedoszlą ofiarę. Gdy wyszli z atrium, zaprowadził Norman Ben-Hura do bocznego pokoju, gdzie się młodzieniec dokładnie przebrał w szarą, grubą tunikę nieboszczyka. Rozeszli się w bliskości Omfalusu, a Norman rzekł na pożegnanie:

— Pamiętaj o mnie, synu Aryusza, i nie miń winiarni w pobliżu cyrku. Ha, ha, ha! nikt się jeszcze nigdy tak łatwo nie dorobił majątku. Niech cię bogowie strzegą!

Gdy Ben-Hur wychodził z atrium, raz jeszcze spojrzął na gladiatora w żydowskich leżącego sukniach. Podobieństwo było uderzające, a jeśli Thord dotrzyma obietnicy, oszustwo pozostanie tajemnicą.

.

Tej samej nocy opowiedział Ben-Hur w domu Simonidesa swoją przygodę w pałacu Iderne i ułożył się z kupcem, że zaraz nazajutrz zacznie go szukać. Prawdopodobnie rzecz się wytoczy przed Maksencjusza, a jeśli tajemnica pozostanie w ukryciu, to Messala i Gratus w spokoju i szczęściu będą używać jego majątku; Ben-Hur zaś uda się do Jerozolimy, aby szukać swoich.

Żegnano się na terasie, Simonides siedząc w krześle, patrzył na rzekę i żegnał Ben-Hura jak syna.

Estera towarzyszyła młodzieńcowi aż do schodów.

— Jeśli odszukam moją matkę, Estero, połączysz się z nią i będziesz siostrą mojej Tirzy.

Mówiąc to, złożył pocałunek na jej licu.

Byłże to tylko pocałunek brata?

Płynął rzeką aż do ostatniej kwatery Ilderima, gdzie zastał Araba, który mu miał być przewodnikiem. Gdy wyprowadzono konie, rzekł Arab:

— Oto twój koń.

Ben-Hur spojrział i zobaczył Aldebarana, najszybszego z synów Miry i najszlachetniejszego z koni Szeika po Syryuszu. Był to dar godny serca Ilderima.

Trupa, co leżał w atrium wspaniałego pałacu, sprzątnięto i pochowano natychmiast, korzystając z cieniów nocy. Stosownie do planu Messali, wysłano do Gratusa gońca z radosną o śmierci Hura nowiną, że ta śmierć była już tym razem niewątpliwą.

Niedługo otworzono winiarnię w pobliżu cyrku Maksimusa a nad jej drzwiami błyszczał napis:

„Thord Norman.“

Rozdział XXVIII.

Trzydzieści dni upłynęło od owej nocy, w której Ben-Hur opuścił Antyochię, aby się udać za Szeikiem Ilderimem na pustynię.

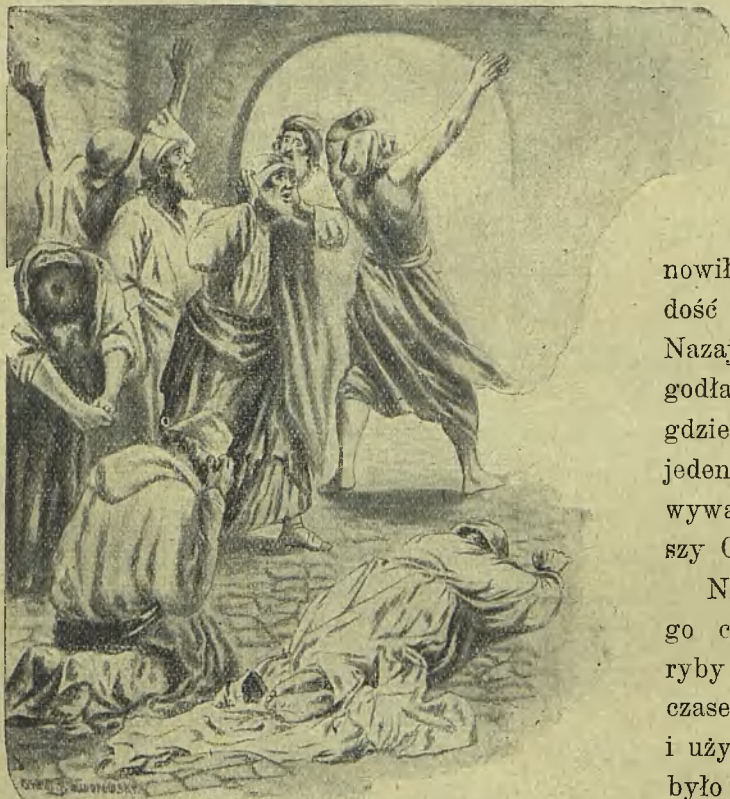
W tym krótkim czasie zaszła zmiana wielkiego znaczenia dla naszego bohatera: Waleryusza Gratusa pozbawiono władzy a miejsce jego zajął Poncki Piłat.

Trzeba nam wiedzieć, że zmiana ta kosztowała Simonidesa pięć talentów, którymi obdarował Sejanusa, cieszącego się największymi względami Cezara. Uczynił to kupiec w interesie Ben-Hura, chcąc mu ułatwić poszukiwania w pobliżu Jerozolimy. Na ten cel obrócił wierny sługa pieniądze od Druzusa i jego stronników wygrane! Wszyscy, którzy zapłacili zakłady, już tem samem nienawidzili Messalę, sprawcę ich porażki. W sprawie odpowiedzialności Messali, jako niewypłacającego zobowiązań, nie nadeszła dotąd z Rzymu odpowiedź.

Zmiana namiestnika dopiero wprawdzie nastąpiła, a już Żydzi wiedzieli, że nie wyjdą na niej dobrze.

Kohortę, mającą objąć fort Antonia i złuzować poprzednią, wysłano i zakwaterowano w nocy, a zaraz nazajutrz spostrzegli mieszkańcy Jerozolimy, że wieże starej warowni przyozdobiono wojskowemi godłami. Wśród orłów i hełmów znajdowało się również olbrzymie popiersie Cezara. Na ten widok oburzył się naród i tłumnie, z wielką wrzawą ruszył do Cezarei, gdzie dotąd przebywał Piłat. Tam oto-

czono pałac namiestnika i domagano się z wściekłością usunięcia znienawidzonych godeł. Pięć dni oblegały zbuntowane tłumy pałac, naresze zdecydował się Piłat udzielić im posłuchania, i wyznaczył cyrk na punkt zborny... Ufając słowu namiestnika, przyszedli tam Żydzi spokojnie; gdy zaś nagle otoczyło ich wojsko, przerażeni udali się w po-



korę i zdali się na łaskę i niełaskę.

Rozbrojony ich powolnością Poncyusz, postanowił uczynić zażość ich prośbie. Nazajutrz wróciły gołda do Cezarei, gdzie je przez lat jedenaście przechowywał rozważniejszy Gratus.

Niema tak złego człowieka, któryby nie uczynił czasem coś dobrego i użytecznego. Tak było i z Piłatem, który zaczął swe

rządy w obawie odpowiedzialności, nietylko zbadaniem więzień, ale i ścisłym rozpoznaniem spraw uwieczonych. Na Żydach, choć to uczynił we własnym interesie, nakaz ten zrobił dobre wrażenie, nabrali doń zaufania i uspokoili się. Mnóstwo zadziwiających faktów odkryto wtedy; setki osób, zamkniętych często bez oskarżenia, uzyskało wolność. Wśród nich było wielu, których zgola uważano za umarłych. Co więcej, otworzono więzienia nieznane ludziom, którym straż była oddana. Najdziwniejszym był fakt, jaki się zdarzył w samej Jerozolimie.

Forteca Antonia zajmowała dwie trzecie góry Moria i była niegdyś pałacem przez Macedończyków zbudowanym. Później Jan Hyrkanus*) zamienił pałac w warownię ku obronie świątyni, która z taką twierdzą stała się niezdobyta. Herod, rozmiłowany w budownictwie, umocnił i rozszerzył mury twierdzy, zaopatrzył ją w baraki, składy, cysterny, a przede wszystkim rozszerzył i pomnożył więzienia. W tym celu kazał zrównać otaczające skały, wykuć w nich głębokie wydrążenia, podzielić na cele, a ponad nimi wznosił pyszną kolumnadę, łączącą tę budowę z samą świątynią. Z dachu tej kolumnady można było widzieć całe podwórze świętego przybytku.

Tak umocnioną i ozdobioną twierdzę otrzymali Rzymianie; szybko ocenili zdobycz i umieli ją wyzyskać. Przez cały ciąg rządów Gratusa zajmowało fortecę wojsko, więzienia zaś jej przepełnione były buntownikami. Biada, gdy spuszczone zwodzone mosty i otwierano bramy warowni! Niemi wychodziła bowiem kohorta, spiesząc przytłumić wszelkie zarzewie buntu! Biada Żydowi, kiedy mu więźniem przyszło mijać te bramy i mosty!

Tak obznajomiwszy czytelników z miejscowością i okolicznościami, wracamy do naszego opowiadania.

.....

Rozkaz nowego prokuratora, żądający wykazu uwięzionych w fortecy Antonia, wypełniono szybko. Nie minęły dwa dni od chwili, jak przesłuchano ostatniego z nieszczęśliwych, a spis gotowy leży na stole trybuna, obecnie urzędującego. Za chwilę prześlą go Piłatowi, przebywającemu w pałacu na górze Syonu.

Izba, w której przebywa obecnie trybun, jest obszerna i chłodna, urządzenie tejże odpowiada godności komendanta i jego ważnemu stanowisku. Już jest późno, bo około siódmej godziny dnia, i nie dziw, że tenże czuje się zmęczonym i niecierpliwym. Chciał jak najprędzej wysłać raport i pójść odetchnąć świeżem powietrzem na dachu kolumnady, skąd widzieć można modlących się w podwórzach świątyni Żydów. Podwładni trybuna niecierpliwia się również i radziły spo-

*) Hyrkanus. najwyższy kapłan żydowski, rządzący krajem od r. 136 do 106 przed Chrystusem.

cząć; tymczasem nowe opóźnienie, bo oto wchodzi człowiek z pękiem ciężkich kluczy, a dowódca mimo pospiechu zwraca się ku niemu:

— A toś ty, Gezyuszu, chodź bliżej.

Nowo przybyły posunął się ku stołowi, przy którym siedział trybun w wygodnem krześle; wszyscy obecni spojrzeli i spostrzegli, że na twarzy przybyłego wyrażało się przerażenie i zarazem obawa. Uciszyli się więc, chcąc słyszeć co powie:



— O trybunie — zaczął mówić, oddając niski pokłon — lękam się powiedzieć.

— Pewno jakie bałamuctwo lub nowa pomyłka.

— Gdybym mniemał, że to pomyłka, obawa moja nie byłaby tak wielką.

— Chodzi więc pewno o zbrodnię lub zaniedbanie obowiązku. Można bezkarnie śmiać się z Cezara, lub kląć bogi, ale znieważyć orły, toby się równało zbrodni. No, mówże!

— Dobiega mniej więcej lat ośm, jak Waleryusz Gratus przeznaczył mnie na strażnika więzień fortecznych — mówił zwolna klucznik. — Pamiętam doskonale ranek, w którym objąłem obowiązki, a było to w dniu buntu i walki ulicznej. Pobiliśmy oczywiście Żydów, ale nie bez strat z naszej strony; początkiem zaś owego buntu miał być zamach na Gratusa, który spadł z konia, raniony dachówką rzuconą z dachu. Zawołano mnie do niego i zastałem go tu z obwiązaną głową, siedzącego na miejscu, które obecnie, trybunie, zajmujesz. Oznajmił mi Gratus o moim wyborze, oddał te numerowane podług cel klucze i polecił, abym się z tymi godłami mego urzędu nigdy nie rozłączał. Na stole leżał zwój pergaminów, Gratus wziął go w rękę, rozwinął i rzekł: oto są plany trzech cel: ta pierwszego — tu wskazał podział wyższego piętra na jednej z kart — ta drugiego, a ta najniższego, trzeciego piętra. Oddaję ci je w zaufaniu. Wziąłem je z jego ręki, a on dodał: oto masz klucze i mapy; idź zaraz i rozpatrz się w rozporządzeniu, a obejrzyj dokładnie. Gdybyś jeszcze nie był dość siebie pewny, zarządz, jak uznasz za najlepsze, bo po mnie ty sam jesteś panem.

— Skłoniłem mu się i chciałem wyjść, ale prokurator przywołał mnie raz jeszcze i mówił: zapomniałam ci coś powiedzieć, daj mi mapę trzeciego piętra — dałem mu ją, a on rozłożywszy ją na stole, rzekł: Widzisz tu tę celę? — wskazał palcem na numer V. — W niej zamknięci są trzech ludzie, którzy dowiedzieli się tajemnicy zagrożającej bezpieczeństwu państwa rzymskiego, jakim sposobem... nie wiem, ale muszą cierpieć za swą ciekawość, bo ona w takich razach gorsza jest od zbrodni. Tu spojrzał na mnie surowo i mówił dalej: za karę wylupiono im oczy i wyrwano języki a skazani są na całe życie. Jeść i pić podawać im będziesz otworem w murze, słyszałeś? — Odpowiedziałem twierdząco, on zaś mówił dalej: Jeszcze jedno, a zapamiętaj to sobie. — Mówiąc to, spojrzał na mnie groźnie. — Oto wejście do ich celi, numer V., słyszysz Gezyuszu? — wskazał palcem na mapę, żebym lepiej zapamiętał — żeby mi go nigdy nie otwierać, żeby tam nikt, nawet ty, nigdy nie wchodził.

— A w razie śmierci, to cóż? — spytałem.

— Gdy umrą, cela stanie się ich grobem; na to ich tam zamknięto: cela zresztą jest zakażona trądem.

— Rozumiem — odparłem i posłuchanie skończyło się.

Tu Gezyusz wyjął z zanadru swej tuniki zwój pergaminowy, położył od starości i używania, a rozkładając jedną z tych kart przed trybunem, dodał: Oto plan najniższego piętra.

Cale zgromadzenie z ciekawością patrzyło na mapę.

M a p a.

Kurytarz				Schody
V	IV	III	II	I

— Taką mapę i taki plan otrzymałem od Gratusa. A tu cela z numerem V. — mówił Gezyusz.

— Widzę — odparł trybun. — Zatem, jak mówiłeś, cela ta była zakażoną.

— Pragnąłbym zadać jedno pytanie — zauważył pokornie klucznik. Trybun dał znak przyzwolenia.

— Ażaliż mogłem mapę w takich otrzymaną okolicznościach uważać za prawdziwą?

— Oczywiście, że nie innego nie wypadło.

— Ale ona nie jest prawdziwą.

Trybun spojrzał zdziwiony.

— Nie jest prawdziwą — powtórzył klucznik. — Wskazuje ona tylko pięć cel, a tam ich jest sześć.

— Sześć?

— Pokażę ci piętro, jakim jest, a raczej, jakim mniemam, że jest.

Tu Gezyusz wyrysował na tabliczce następujący plan i podał go trybunowi:

Kurytarz				Schody
V	IV	III	II	I
VI				

— Dobrze narysowałeś — rzekł trybun, chcąc skończyć rozmowę — każę zrobić nowy plan i dam ci go jutro, gdy przyjdiesz. Dokończywszy słów tych, wstał.

— Racz mnie jeszcze posłuchać, trybunie.

— Jutro, Gezyuszu, jutro.

— To, co mam powiedzieć, nie cierpi zwłoki.

Trybun zajął napowrót krzesło, acz niechętnie.

— Będę się starał być zwięzłym — rzekł dozorca pokornie — tylko pozwól mi jeszcze na jedno pytanie.

— Miałem nie wierzyć Gratusowi, gdy mówił o więźniach pod niezbą V?

— Ależ zapewne, że winienesz wierzyć; obowiązkiem twoim było wierzyć, iż cela zawiera trzech więźniów ślepych i bez języków.

— Dobrze — odparł dozorca, a jednak rzecz się tak nie miała.

— Nie?... — rzekł trybun z nowym zdziwieniem.

— Słuchaj i osądź. Stósownie do rozkazu obszedłem cele, zaczynając od pierwszego piętra, a kończąc na najniższych. Rozkaz nieotwierania numeru V szanowałem przez całe ośm lat, podając jedzenie i picie otworem na to przeznaczonym.

— Wczoraj, gdy odebrałem nowy rozkaz, nie bez ciekawości zbliżyłem się do tych drzwi, spodziewając się ujrzeć tych nieszczęśliwych, co wbrew wszelkim oczekiwaniom tak długo żyli. Z razu zamki nie chciały puścić i dopiero, gdyśmy je z całą siłą pchnęli, ciężkie drzwi się otworzyły. Wszedłszy zastałem tam jednego tylko człowieka bez oczu, języka i całkiem obnażonego. Włosy nieszczęśliwego posklejane, spadały na piersi i plecy; skóra żółta jak pergamin; a gdy wyciągnął ręce, ujrzałem paznogie palców zaokrąglone jak szpony ptaka.

Pytałem go o towarzyszy, wstrząsnął przecząco głową; mimo tego zaprzeczenia przeszukaliśmy całą celę. Podłoga była mokra jak i mury, a nigdzie żadnego śladu reszty więźni. Gdyby tam zamknięto niegdyś trzech ludzi i dwóch z nich umarło, toć byłyby przynajmniej ich kości.

— Cóż więc przypuszczasz?

— Sądzę, trybunie, że przez całe ośm lat w celi tej tylko jeden znajdował się więzień.

Tu trybun rzucił na klucznika badawcze spojrzenie i rzekł: Miej się na baczności, miałżebyś twierdzić, że Waleryusz kłamał?

Gezyusz skłonił się i rzekł: — Mógł sam być w błędzie.

— Nie, chyba że nie — przeczył trybun. — Stósownie do tego co mówisz, wiedział, jak sądzić; bo żali nie powiedziałeś co dopiero, że jadła i napoju dostarczano na trzy osoby?

Otaczający przyświadczyli, podziwiając rozumną domyślność swego przełożonego; ale Gezyusz, pewny siebie, zdawał się nie zważać na tę uwagę.

— To dopiero połowa historii; skoro się dowiesz całej, podzielisz moje przekonania. Otóż, cóż dalej zrobiłem z owym człowiekiem: posłałem go do łaźni, kazałem oczyścić i odziać, a potem wyprowadziłem przed bramę fortecy i puściłem na wolność, umywając od reszty ręce. Tymczasem dziś wrócił on napowrót, a gdy go do mnie przyprowadzono, płakał i dawał mi znakami do zrozumienia, że chce wrócić do celi, na co pozwoliłem. Gdy go wiedziono, wyrwał się i padł mi do nóg, błagając, abym za nim poszedł. W tej chwili tajemnica o trzech ludziach stanęła mi na myśli i tem skorzej uległem jego prośbom. Dziś zaś cieszę się, że uczyniłem, jako żądał.

Całe zgromadzenie słuchało teraz opowiadania z najwyższym zaciekawieniem.

— Gdyśmy się znaleźli w celi, nieszczęśliwy poznał ją po omacku, z czego dziwną okazywał radość; a biorąc mnie za rękę, przywiódł do otworu podobnego do tego, którym się jemu samemu jeść podawało. Był to otwór dość duży, cały hełm mógł się przezeń przesunąć, przecież dnia poprzedniego uszedł naszej uwagi. Trzymając mnie za rękę, włożył głowę w otwór i wydał krzyk zwierzęcy. Zdziwiony odsunąłem nieszczęśliwego, a zajmawszy jego miejsce, zawołałem do wnętrza: — Hej, jest tam kto? — Zrazu nie odebrałem żadnej odpowiedzi, ale za powtórne zapytaniem usłyszałem taką odpowiedź: — Bądź pochwalony, o Panie! — Zdziwienie moje wzrosło, bo był to głos kobiety. Pytałem dalej: — Kto jesteś? — Jestem

niewiastą, Izraelitką, wraz z córką żywcem pogrzebaną. Pomóście nam rychło, bo blizkie jesteśmy śmierci. Zapewniłem je o pomocy i przyszedłem, aby zapytać o twą wolę.

Trybun wstał rozgorączkowany.

— Masz słusność, Gezyuszu: plan był fałszywy, a powieść o trzech więźniach kłamstwem. Zaprawdę, lepszych obywateli od Waleryusza Gratusa potrzebaby Rzymowi.



— Tak — odparł klucznik. — Wiem od więźnia, iż codziennie podawał swym towarzyszkom jadło i napój.

— Oto wyjaśnienie — dokończył trybun, patrząc po zgromadzonych i myśląc, jak to dobrze, że mu nie braknie na świadkach.

— Spieszmy uwolnić kobiety, chodźmy wszyscy! Gezyusz był wielce uradowany.

— Trzeba nam będzie zburzyć mur — zauważył. — Znalazłem miejsce, które było wejściem; obecnie założone jest kamieniami.

Trybun zwrócił się do swego pisarza: Przyślij za mną co rychlej robotników z narzędziami; sprawozdanie jeszcze zatrzymaj, bo trzeba będzie je uzupełnić.

Za chwilę opuścili komnatę.

ROZDZIAŁ XXIX.

— Jestem niewiastą izraelską, żywcem wraz z córką pogrzebaną. Pomóście nam co rychlej, bo blizkie jesteście śmierci.

Taką odpowiedź usłyszał Geyzusz z celi, którą na swym planie liczbą VI oznaczył, a czytelnik pomyślał sobie:

— Oto nareszcie znaleziono matkę i siostrę Ben-Hura. I tak też było.

Porwano je ośm lat temu, zaprowadzono do fortecy, bo tak chciał Gratus. Nie był to wybór przypadkowy. Jako pan twierdzy, wiedział, że celę VI nie tylko łatwiej było ukryć, ale w dodatku zakazaną była trądem. Więzienie nie zdało mu się dostateczną karą, nie starczyły zamki i lochy dla nieszczęśliwych, zasłużyły na śmierć okrutną! Do tej strasznej nory przywlekli je niewolnicy w noc ciemną, wepchnęli w głąb i z okrucieństwem iście barbarzyńskim zamurowali otwór, odbierając wszelką nadzieję powrotu do świata. Ludzie ci nie wydali się Gratusowi dość pewnymi, dlatego wysłał ich w rozmaite strony, aby nie mieli sposobności zdradzić tajemnicy. Takim sposobem pozbył się Gratus rodziny, którą pragnął bezkarnie ograbić. Uczynił to dość zręcznie, bo bez hałasu; a jednak wiedział, że śmierć ich nie ulega wątpliwości. Gdyby zaś niecnym czyn ten wyjść miał na jaw, to rzecz przedstawiłby się jako wymiar sprawiedliwości, nie zaś jako zbrodnia. Skazaniec ślepy i niemy miał im podawać napój i jadło otworem z sąsiedniej celi; zdrady z jego strony nie było potrzeby się obawiać. Messala w znacznej części był autorem tych pomysłów, które im obu ułatwiły zajęcie majątku i dobytku Hurów, bez zbogacenia kasy cesarskiej. Ostatnim środkiem ostrożności było oddalenie dawnego dozorcę więzień, chociaż ten weale nie wiedział o zaszłych wypadkach; znał jednak doskonale więzienia i oczywiście przed nim sprawa ta nie dałaby się ukryć. Dalej jeszcze, z przebiegłością iście szatańską, kazal

prokurator sporządzić fałszywą mapę z opuszczeniem celi VI i wręczył ją, jak to wiemy, nowemu dozorecy. Rozkazy dane przy wręczeniu mapy były uwięzieniem dzieła, bo celi i jej mieszkańcy istnieć przestali.

Cheąc sobie wyobrazić życie matki i córki w ciągu owych lat ośmiu, trzeba nam sobie przypomnieć ich dawniejszy sposób życia. Wszak szczęście nasze lub boleść zależą od tego, jak je odczuwamy w duszy.

Aby choć w przybliżeniu zrozumieć cierpienia matki Ben-Hura, musimy sobie przypomnieć przymioty jej umysłu i serca, jak również okoliczności, towarzyszące jej uwięzieniu i zamuiowaniu. Aby to odczuć, trzeba nam przypomnieć sobie spokojne, szczęśliwe życie w książęcym domu, owe wieczory letnie spędzane w gronie rodziny, i porównać z życiem w podziemiach fortecy Antonia. Nie wątpię, że choćby czytelnik zdolen był tylko wyobrazić sobie materyalną nędzę tej niewiasty, tak czułego serca i płci słabej, to z pewnością niedoła wzruszyłaby go do głębi. Cóż dopiero, jeśli zechce pójść dalej, jeśli zechce dzielić cierpienia jej umysłu i serca. Aby to zrozumieć, niech przypomni sobie jej rozmowę z synem o Bogu, narodach, bohaterach, w której była mistrzem a zawsze matką.

Chceszli dotkliwie zranic mężczyznę, zadraśnij jego miłość własną; chceś dotknąć niewiastę, zadraśnij jej uczucia.

Cela VI była taką, jak ją narysował Gezyusz na planie. Trudno coś dokładnego o jej rozmiarach powiedzieć; zdaje się jednak, że była obszerną, a ściany jej i podłoga pełne nierównych wklęsłości. Od strony zewnętrznej wchodziło do celi trochę świeżego powietrza, a czasem błysnął i promień słońca.

Taka była cela VI. A teraz, miły czytelniku, niechaj opis niemego i oślepionego skazańca z pod numeru piątego przysposobi umysł twój na cierpienia, jakie znosiły nieszczęśliwe niewiasty.

Obie kobiety siedzą pod samą ścianą, jedna na ziemi, a druga na wpół oparta na tamtej; nie tam niema prócz nagiej skały. Blade światło, otworem wpadające, daje im pozór widm, tem straszliwszych, że nie miały żadnego odzienia. A jednak nie są bez pociechy, bo oto obejmują się wzajemnie w miłości. Znikło bogactwo, znikła nadzieja, ale została miłość: Bóg jest miłością!

Miejsce, na którym siedziały, było gładkiem od ciągłego używa-

nia; bo któż zdoła zliczyć, ile czasu w ciągu owych ośmiu lat spędziły na tem miejscu, czerpiąc nadzieję wyzwolenia z bladego, ale przecież przyjemnego promyka światła, przedzierającego się przez otwór w murze. Gdy rano zawitał, wiedziały, że dzień świta; gdy bladł, że noc zapada! Przez ową szparę tak maleńką wyselały myśli w świat daleki, jakoby była bramą królewskiego pałacu — i przebiegały go w szerz i wzdłuż, szukając jedna syna, druga brata. Szukały go na morzach i wyspach; zdawało im się, że go widzą to tu, to tam, a wszędzie w przelocie, bo jako same żyły, czekając na niego, tak i on żył, aby je odnaleźć. Jakże często, choć bezwiednie, myśli ich spotkały się na tej drodze! Jakże często powtarzały sobie słowa, co były jedyną osłodą w cierpieniu: póki on żyje, pamiętać o nas będzie; a póki pamięta, nie tracimy nadziei. Nie myśląc już o tem, czem dawniej były obydwie niewiasty, doznajemy uczucia, że musiała w nich zajść zmiana, której samo długoletnie więzienie spowodować nie mogło.

Matka, gdy tu weszła, była kobietą piękną; córka śliczną dziewczką. Dziś nawet miłość temu zaprzeczyć musiała. Włosy ich długie, nieczesane, dziwnej białości, budzą grozę i wstręt. Może to dziwne światło wśród ciemności wywołuje takie wrażenie, a może jest coś w ich twarzach, co przestрахem ścina w żyłach krew? Może cierpią głód i pragnienie... wszak nie jadły i nie piły, odkąd ich poniewolny sługa odzyskał wolność, a to było od wczoraj.

Tirza w uścisku matki jęczy żałości.

— Bądź spokojna, Tirzo; przyjdą, przyjdą niewątpliwie. Wszak Bóg jest dobry, a myśmy nigdy nie zapominały o Nim; zawsze się modliłyśmy, gdy w świątyni odezwała się pobudka do modlitwy. Światło jeszcze jasne, słońce stoi na południowej stronie, z pewnością jeszcze siódmej niema. Niedługo musi się ktoś zjawić. Bóg jest dobry, ufajmy Jemu.

Proste te słowa matki nie minęły bez wrażenia.

Tirza nie była już dzieckiem, bo do lat trzynastu, które liczyła wówczas, gdy ją więziono, przybyło ośm.

— Chcę być silna! — rzekła. — Wszak cierpisz porówno ze mną, potrzeba mi żyć dla ciebie i brata. Cóż, kiedy język spieczony, usta spalone! Bezustannie muszę myśleć o tem, gdzie jest i czy kiedykolwiek nas znajdzie?

Głosy ich brzmia cicho, nienaturalnie.

Matka tuli córkę do serca i mówi: śniło mi się tej nocy, — widziałem go tak dokładnie jak ciebie w tej chwili. Czemuż nie miałabym wierzyć w sny, kiedy nasi ojcowie w nie wierzyli, a Pan tak często z nimi w ten sposób rozmawiał. Zdawało mi się, jakobyśmy byli w przedsionku niewiast — w świątyni; z nami było więcej kobiet; on przyszedł i stał w cieniu bramy, spoglądając dokoła. Serce



biło mi gwałtownie; wiedziałam, że nas szuka; wyciągnęłam ręce ku niemu i biegłam, wołając go po imieniu, ale, niestety, nie poznał mnie. W tej samej chwili znikł.

— Któż wie, ażali tak kiedy nie będzie; wszak obie tak bardzo jesteśmy zmienione...

— Zapewne, jednak... — tu głowa matki upadła bezwładnie, na twarz wystąpił wyraz boleści, a podniósłszy się, rzekła: jednak możemy mu się dać poznać.

Tirza załamała ręce:

— Wody, matko, wody, choć kroplę wody!

Matka spojrzała wokoło po celi. Tyle razy wzywała Boga, tyle razy w Jego Imieniu obiecywała pomoc dziecku, że w tej chwili powtarzanie tych samych obietnic zdało się jej gorzkim urągowskiem. Na domiar rozpacz, światło poczęło niknąć, a pod wrażeniem zapadającego zmroku, zdało się jej, że śmierć już się zbliża; siły opuszczają ją i zwątpienie ogarnia silną dotąd duszę. Przecież ostatnim wysiłkiem woli przemawia jeszcze, bo mówić trzeba, aby córkę wzmocnić.

— Cierpliwości, Tirzo, przyjdą... już są...

I oto — zdaje jej się, że słyszy głosy w pobliżu małego otworu, przez który im podawano napój i jedzenie. I nie myliła się. Za chwilę przebił mury celi krzyk skazańca, Tirza usłyszała go także. Wstały więc obie, wzajemnie się wspierając; a matka zawołała z zapalem pełnym wiary i nadziei.

— Pochwalonym niech będzie Pan po wsze wieki.

— Kto tam? — zapytano, a potem: — Kto jesteście?

Głos to nieznajomy. Ale cóż je to obchodzić może? Od ośmiu lat pierwszy to głos, prócz głosu Tirzy, co uderza jej ucho. Oto nagłe przejście od śmierci do życia!

— Niewiasta izraelska pogrzebana wraz z córką. Pomóż nam, bo pomrzemy!

— Nie traćcie nadziei, — wnet wrócimy.

Kobiety szlochały głośno. — Znalezione je, ratunek jest bliski. Zwrócone im będzie wszystko, co utraciły: dom, towarzystwo, własność, syn i brat! Światelko tak małe i smutne, wydało im się jakoby jasność dnia; zapomniały o bólu, głodzie, pragnieniu i padły na ziemię, wzajemnym uścisku.

Tym razem oczekiwanie nie trwało długo. Gezyusz opowiadał wprawdzie przewlekłe swą historię, ale skończył ją nareszcie; trybun zaś był energiczny i przedsiębiorczy.

— Hej! jesteście tam? — krzyknął przez otwór.

— Jesteśmy! — zawołała matka, wstając z ziemi.

Prawie równocześnie usłyszały uderzenia młotów. — Nie mówiły do siebie, ale słuchały i pojmowały, co znaczy ten huk, zrozumiały, że robią dla nich drogę do wolności.

Już słyhać rozmawiających robotników; dalej, o radości, już przedziera się światło pochodni przez szczelinę w murze. — To on, matko, to on! znalazł nas nareszcie — wołała Tirza z ożywieniem.

— Bóg jest dobry! — odparła matka spokojnie.

I znów upadł kamień, potem drugi — potem cała masa i zrobił się otwór! W otworze stanął człowiek obsypany pyłem, oświetlając pochodnią wewnętrzne celi. Jeszcze dwóch innych stanęło po bokach, trzymających również pochodnie, aby przepuścić trybuna.

Uszanowanie dla kobiet nie jest cczą formą, leży ono w głębi prawdziwie męskiej natury. Trybun stanął, gdyż spostrzegł, że kobiety przed nim uciekały — nie z bojaźni, ale ze wstydu. Ale zaprawdę, nie ze samego wstydu się chroniły. Z głębi celi usłyszał głos najstraszliwszy, najokropniejszy, usuwający wszelką nadzieję, najboleśniejszy, jaki ludzkim językiem da się wyrazić.

— Uciekajcie! Nie zbliżajcie się, bośmy nieczyste!

Ludzie, stojący u otworu, spojrzeli po sobie.

— Nieczyste, nieczyste! — rozległ się głos po raz wtóry, jak skarga boleści.

Tak spełniła swe obowiązki wdowa i matka, czując w tej chwili, że wolność, o którą błagała, o której śniła, o której marzyła, zamieniła się w jej ręku na jabłko sodomskie:*)

Ona i Tirza były dotknięte trądem.

Łaskawy czytelnik nie zna może znaczenia tego słowa, dlatego przypomnieć nam trzeba ustawy dotyczące tej strasznej choroby, o której ludzkość dzisiejsza nie wiele wie. — Tych czworo: „ślepy, trędowaty, ubogi i bezdzietny mają być uważani za umarłych.“ Tak mówi Talmud. Stósownie do tego prawa, być trędowatym znaczy — być

*) Jabłko sodomskie, owoc drzewa zwanego po łacinie *Calotropis*, rosnącego nad brzegami Morza martwego. Owoc to zewnętrznie piękny, wielkości cytryny, za dotknięciem się go pęka i z wewnątrz wysypuje się próchno pyłowate. Istnieje legenda, że drzewo to rośnie na przestrozę ludzkości i na przypomnienie ukarania ogniem Sodomy.

umarłym. Nie wolno mu mieszkać w rodzinnem mieście; z ukochanymi rozmawia tylko z oddalenia, nie posiada żadnych praw, nie przekracza progu świątyni, z synagogi nawet jest na zawsze wygnanym. Za suknie służą mu łachmany, usta jego zamknięte milczeniem przeobrażenia; gdy je otwiera, to tylko na to, by wyrzec hasło ostrzegające: — nieczysty! nieczysty! które oddała każdego. Domem jego i mieszkaniem pustynia i opuszczone groby... Był on niby widmem, upiorem dla wszystkich; i cierpienia jego, o tyle straszniejsze, że groziły drugim zarażeniem; drżał jak każdy śmiertelny przed śmiercią; a jednak w niej tylko mógł pokładać nadzieję wyzwolenia.

Pewnego dnia ujrzała matka na prawej dłoni wyprysk, który napróżno zmyć usiłowała. Mało na to zważała i nie zdołałaby zdać sobie sprawy, kiedy to być mogło; w zimnym tym bowiem grobie straciła rachubę czasu. Niestety, niebawem Tirza zaczęła się na to samo uskarżać; wody, która jedynem mogła być lekarstwem, dawano tylko tyle, że używając jej do obmywania, musiałyby cierpieć pragnienie

Z czasem przyszcz ten rozwinął się na całą rękę, skóra się popadała, paznogie odpadały od ciała. Cierpienia ich nie były przecież dojmujące, ale ciągłe; usta wysychały, wargi pękały. Pewnego dnia, kiedy matka zajęła się jakim takim oczyszczeniem celi, zapragnęła się przypatrzeć twarzy Tirzy i przekonać, czy straszna choroba nie nadwyrężyła rysów twarzy jej ukochanego dziecięcia, i z najwyższem przerażeniem ujrzała, że rzęsy jej były białe jak śnieg.

Jakaż boleść ogarnęła duszę matki!

Chwilę stała jakby skamieniała. Nie mogła wymówić ani słowa i siadła na kamiennej ławie, a umysł jej trapiła myśl: to trąd! to trąd!

Nie o sobie myślała, ale o swoim dziecięciu! Miłość matki zamknęła jej usta, że nie zdradziła przyniatającej tej wiadomości córce. Świadomość nieszczęścia zamknęła więc w swem sercu; sama bez nadziei, nieciła święty płomień w sercu Tirzy i z dziwną przezornością, dziwną cierpliwością, zdołała ukryć przed córką, czem była zagrożoną, utrzymując, że to rzecz małej wagi i przemijająca...

Mimo boleści i wewnętrznej trwogi, zdobyła się na wymyślanie jej rozrywek, opowiadając dawne historie i podania, lub tworząc nowe. Zawsze z równą radością słuchała śpiewów Tirzy, a obolałe usta

jej samej brzmiały pieśniami Króla psalmisty. — Pienia te koily ich boleści, żywiły w sercach pamięć o Bogu, co się zdawał o nich wraz z całym światem zapominać. Wolno, ale straszliwie rozwijała się nieubłagana choroba, pokrywająca ich głowy białością, wyzerająca dziury w ustach i powiekach, a całe ciało pokrywająca bliznami. Potem zaczęła toczyć gardło, odbierając słodki dźwięk głosowi, dalej pozbawiła muszkuły giętkości, wdarła się do płuc, nerwów, kości, a każdy postęp straszliwego wroga czynił je słabszymi. Wśród tej grozy, biedna matka śledziła każdy objaw i wiedziała, że tak będzie aż do śmierci, na którą Bóg tylko wie, jak długo czekać będą?

Nareszcie przyszedł i ten straszny dzień, w którym matka musiała z poczucia obowiązku powiedzieć Tirzy nazwę ich choroby i potrafiła wraz z nią błagać Przedwiecznego o rychły koniec męczarni.

A jednak, jakże wielką jest siła przyzwyczajenia, kiedy i te nieszczęśliwe niewiasty zdołały po jakimś czasie znosić spokojnie swój los, znały swą chorobę, wiedziały, jak postępowała, a jednak — pragnęły żyć. Pragnęły życia, bo jeden jeszcze związek łączył je z ziemią; zapominały o swojej niedoli, krzepiąc w sobie ducha rozmową o Ben-Hurze. Wzajemnie obiecywały sobie, że wnet się z nim połączą; nie wątpiły, że jest im wiernym jak dawniej, i podzielać będzie ich radość, gdy się nareszcie zobaczą. Przędząc tę wątłą nić, znajdowały w niej szczęście i nie pragnęły tak gorąco śmierci. W takim znajdowały się usposobieniu duszy, gdy usłyszały wołanie Gezyusza, a dobiegała właśnie dwunasta godzina głodu i pragnienia.

Pochodnie rozjaśniły ciemności więzienia, wolność zawitała:

— Bóg dobry jest! — rzekła wdowa, dziękując temi słowami Bogu. Niema zaiste lepszego sposobu okazania wdzięczności, jak zapomnieć minione zło, bo wtedy widzi się i ceni obecną łaskę.

Trybun wszedł, a oto z kąta, w którym się ukryły, zabrzmiało ostrzeżenie, wywołane poczuciem obowiązku:

— Nieczyste! nieczyste!

Ileż zaparcia się siebie potrzeba było na wypełnienie tej smutnej powinności! Nawet radość z odzyskanej wolności nie zagłuszyła w niej zrozumienia, co obecnie nastąpić może. Dawne szczęśliwe życie ani wróci,

ani wrócić może. Gdyby się zbliżyły do owego dawnego domu, to tylko do proga i chyba na to, aby zawołać: „nieczyste! nieczyste!“ Jednak w piersi żyje i żyć będzie miłość—silna i czuła jak zawsze, miłość do syna, o którym myśl była jedyną osłodą w więzieniu. Ileż to razy widziała przed oczyma duszy chwilę, która ich połączyć miała! A teraz? Teraz, gdyby się do niej zbliżył, musiałaby uciekać; gdyby wyciągnął ręce i wołał słodkim, tak dawno niesłyszonym głosem:



„matko! matko!“ — Musialaby go powstrzymać wołaniem: „nieczyste, nieczyste!“ A drugie dziecko, które w braku innej odzieży pokrywało nagłość swoją roztarganymi włosami o nienaturalnej i obrzydliwej białości... Ach! ona już do końca życia pozostanie jej nieodstępna w niedoli towarzyszką. A jednak mężna niewiasta nie zawahała się ani na chwilę, a z ust jej padły słowa, które od wieków jako przestroga brzmiały: „nieczyste! nieczyste!“ A odtąd będzie słowa te powtarzała miasto pozdrowienia. Trybun usłyszał je, ale pozostał.

— Kto jesteście?

— Jesteśmy kobiety, umieramy z głodu i pragnienia, lecz... nie zbliżajcie się i nie dotykajcie się ani murów, ani podłogi... nieczyste!

Opowiedz swoje dzieje, kobieto, wymień nazwisko, kiedy i kto cię tu zamknął?

— Był niegdyś w mieście Jerozolimie książę Ben-Hur, znali go wszyscy szlachetni Rzymianie, sam Cezar był mu przyjacielem. Jam po nim wdową, a to jego dziecko. Jakoż mogę ci powiedzieć, za co tu jestem, gdy sama nie wiem, chyba za to, że byliśmy bogaci. Waleryusz Gratus może powiedzieć, kto był naszym wrogiem i kiedy się zaczęła nasza niewola. Ja nie mogę! Patrz — o patrz, do jakiego stanu nas przywiedziono, — patrz i miej litość!

Chociaż powietrze w celi było dusznem od zarazy i swędu pochodni, Rzymianin przywołał do siebie jednego z trzymających światło i zapisał dokładnie zeznanie wdowy. Zeznanie było krótkie, ale zrozumiałe; w kilku słowach zawierało jej dzieje, oskarżenie i prośbę. Pospolita kobieta nie byłaby zdolną tak rzecz przedstawić, ani wzbudzić wiary i litości.

— Uczynię według twej prośby, niewiasto — rzekł trybun, składając tabliczki — przyślę wam jeść i pić.

— Pomnij, o panie, o odzieniu i oczyszczającej wodzie!

— Stanie się, jako pragniesz.

— Bóg jest dobry — mówiła, lkając wdowa — pokój Jego niechaj będzie z tobą.

— Nie ujrzę was więcej — dodał — przygotujcie się; wieczorem każe was zaprowadzić do bramy fortecznej i puścić na wolność. Dalej musicie się zastosować do prawa. Bywajcie zdrowe!

Wydawszy rozkazy, wyszedł.

Niebawem weszli do celi niewolnicy, niosąc wielkie konwie wody, wiadra i ręczniki, oraz mięso, chleb i szaty niewieście. Wszystko to postawili u wejścia i uciekli.

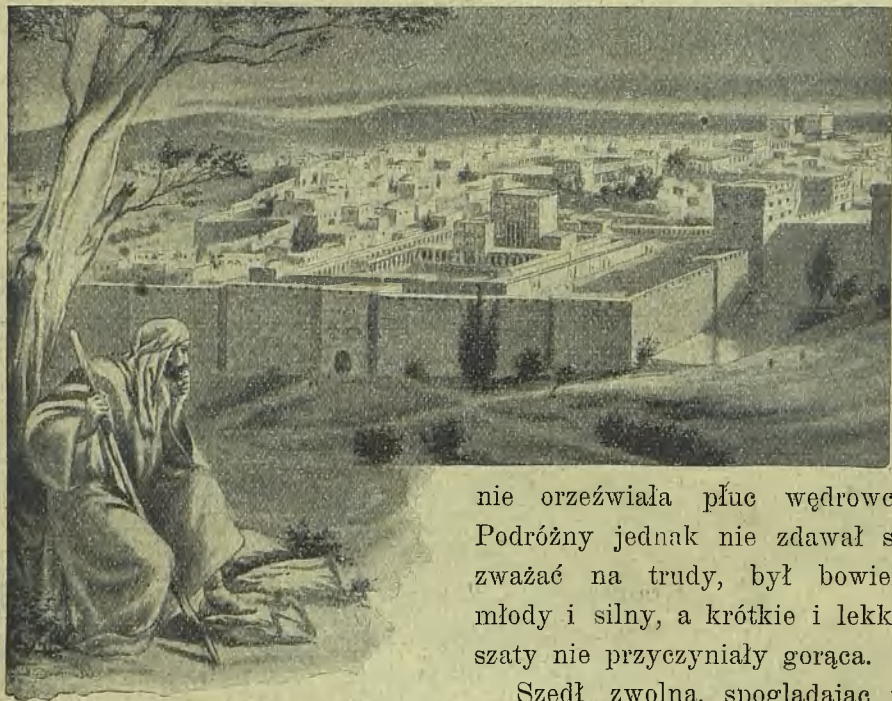
Gdy noc zapadła, wyprowadzono obie niewiasty do bramy i wskazano ulice. W ten sposób pozbył się Rzymianin ich obecności, a one odzyskały wolność wśród murów rodzinnego miasta.

Opuszczając fortecę, spojrzały w górę na gwiazdy i spytały się:

— Cóż teraz? Dokąd się udać?

ROZDZIAŁ XXX.

Prawie o tej samej godzinie, w której Geyzusz, klucznik, stanął przed trybunem w fortecy Antonia, wstępował pieszy podróżnik na Górę Oliwną od jej wschodniej strony. Był to czas posuchy w Judei; droga to więc uciążliwa i pełna pyłu; roślinność, spalona od słońca,



nie orzeźwiała płuc wędrowca. Podróżny jednak nie zdawał się zważać na trudy, był bowiem młody i silny, a krótkie i lekkie szaty nie przyczyniały gorąca.

Szedł zwolna, spoglądając to w prawo, to w lewo, ale nie okiem niespokojnem wędrownika niepewnego drogi: przeciwnie, zdawało się raczej, jakby witał każdy przedmiot, jakby się zbliżał po długiej rozłące do starych znajomych. Patrzył z rozkoszą i trochę ciekawości, jak gdyby mówił: witam was, witam stare kąty.

W miarę, jak szedł w górę, coraz częściej przystawał, aby popatrzeć poza siebie na niknący zwolna łańcuch gór Moabu; skoro jednak zbliżał się do szczytu, już mimo zmęczenia przyspieszył kroku i nie oglądał się więcej. Na szczycie stanął, jakby wstrzymany nagle silną ręką,

Z roztwartemi oczyma, płonąca twarzą, przyspieszonym oddechem patrzył na widok, który się roztaczał u nóg jego.

Podróżnikiem tym jest Ben-Hur, a u stóp jego Jerozolima.

Nie było to dzisiejsze święte, choć ubogie miasto, ale ów gród wspaniały, zbudowany i ozdobiony przez Heroda — niebawem uświęcony męką Chrystusa Pana. Dziś nawet piękne miasto, gdy nań z wyżyn starego Oliwetu patrzymy, czemuż musiało być wówczas!

Ben-Hur usiadł na kamieniu i zdjawszy biały zawój z głowy, przypatrywał się z rozkoszą krajobrazowi.

Słońce już się chyliło ku zachodowi, chwilę zwieszało się za dalekimi szczytami gór, oblewając całe miasto różowem światłem i powoli znikając. Panująca wokoło cisza zwróciła myśli Ben-Hura ku rodzinnemu domowi. Wzrok jego spoczął na ciemnym punkcie nieba, na północ od świątyni — tam stał dom ojców jego.

Ciepły i miły powiew wieczornego wietrzyku łagodził uczucia Ben-Hura, usuwając z jego myśli wszelkie plany i zamiary, a zwrócił je do obowiązków, które go do Jerozolimy przywiodły.

Tam, w pustyni, z Ilderimem zapoznawał się z tem wszystkim, co mu było do dalszych planów potrzebne, a szczególnie badał miejscowość i siły, jakimi mógł na wszelki przypadek, jako wódz, rozporządzać. Wtem przybył pewnego dnia goniec, przynoszący wiadomość o usunięciu Gratusa a zamianowaniu Ponckiego Pilata.

Wobec kalectwa Messali i oddalenia Gratusa, nie miał już Ben-Hur powodu zwlekać dłużej z poszukiwaniem matki i siostry, nie było bowiem żadnej obawy. Gdyby sam nie mógł zwiedzić więzień Judei, to mógł się posłużyć drugimi. Skoro je znajdzie, cóż łatwiejszego, jak wyprosić u Pilata ich wyzwolenie, nie żałując zwłaszcza pieniędzy. Gdy je następnie osadzi w bezpiecznym miejscu, będzie mógł się oddać zupełnie sprawie oczekiwanego króla. Takie powziął postanowienie; a gdy Ilderim zgodził się na nie, wyruszył z trzema Arabami do Jerycha, gdzie ich wraz z końmi zostawił, a sam zaś pieszko w dalszą puścił się drogę. W Jerozolimie czekał na niego Malluch.

Takie były ogólne zarysy planu. Ze względu na dalsze zamiary uważał za stosowne nie pokazywać się ludziom, mianowicie Rzymia-

nom. Miał zresztą Mallucha, człowieka bystrego i przebiegłego; który, bez zwrócenia na siebie uwagi, dalsze mógł robić poszukiwania.

Najwięcej zastanawiał się Ben-Hur nad tem, od czego zacząć, tembardziej, że brakło mu wszelkich śladów. Jakby przecuciem wiedziony, myślał rozpocząć od fortecy Antonii; przemawiały za tem tradycye o labiryncie cel więziennych, które straszyły bardziej wyobraźnię żydowską, niż najsilniejsza załoga. Często przypuszczał, że rodzinę jego pogrzebano w takim lochu, zresztą siedł w tej myśli za naturalnym popędem, przypominającym mu, że ostatni raz widział swoje ukochane, gdy je ciągnięto w stronę fortecy... Może ich teraz tam nie znajdzie, ale jeśli były kiedyś, to zostało ich wspomnienie i pamięć wypadku, co posłuży do dalszego poszukiwania, jako ślad pewny.

Najwięcej jednak w całej tej sprawie liczył Ben-Hur na pomoc jednej jeszcze osoby. Jak wiemy, dowiedział się od Simonidesa, że Amra — Egipcjanka żyje w pałacu; my zaś pamiętamy, że wierna ta istota w dzień nieszczęścia rodziny Hurów, wyrwała się z rąk strażnikowi i uciekła napowrót do pałacu, w którym ją zamknęto, zapieczetowawszy bramy. W ciągu lat następnych wspierał ją Simonides i żyła jako jedyna mieszkanka pałacu. Napróżno starał się Gratus sprzedać to gniazdo znienawidzonej rodziny; historia tego domu odstręczała nie tylko kupców, ale i wynajmujących. Przechodnie mijali dom z trwożliwym szeptem i ogólne było mniemanie, że pustkę tę zamieszkują duchy. Powodem tych wieści była zapewne Amra, którą od czasu do czasu widywano to na dachu, to w oknach pałacu. Duchem była więc rzeczywiście kobieta, ale zaprawdę, trudnoby znaleźć stosowniejsze dla upiorów siedlisko nad opuszczony pałac prześladowanej rodziny. Nie więc naturalniejszego, że Ben-Hur spodziewał się od niej czegoś dowiedzieć, co rzuci światło na całą sprawę i pomoże w poszukiwaniach. Niemal o cieszył się na chwilę ujrzenia poczeiwej niewiasty w miejscu tak miłym i drogiem.

Tą nadzieją wzmocony, spieszył do rodzinnego domu i Amry, a spuszczaając się z góry, siedł drogą na północ-wschód.

Na samem prawie skrócie, tuż przy korycie Cedronu, wszedł na drogę, wiodącą do wioski Siloam i stawu tegoż nazwiska. Tu spo-

tkał pasterza, wiodącego owce na jutrzejszy targ, wszezał z nim rozmowę i szli razem, mijając Getsemane, przez bramę „Rybią“ do miasta.

Ciemno już było, gdy Ben-Hur, rozłączywszy się u bramy z pasterzem, zwrócił się w wąską ulicę, która wiodła ku południu. Nieliczni przechodnie pozdrawiali go; odgłos jego kroków rozlegał się głucho po ulicy. Domy po obu stronach były niskie, ciemne i smutne; prawie wszystkie drzwi już pozamykano i tylko gdzieś tam dołatywał go z poddasza śpiew matek, usypiających niemowlęta. Samotność, noc, niepewność powodzenia, wszystko usposabiało go posępnie. Raz nabierał odwagi, to znów ją tracił. W takim stanie duszy doszedł do głębokiego stawu Betesda, w którego wodach odbijały się ciemne chmury. Spojrzawszy w góry, ujrzał na północ rysującą się na popielatem tle wieczornego nieba fortecę Antonii, ciemną, posępną. Nikt go nie zatrzymywał, nie było straży a jednak przystanął, jakby ulegając niewidzialnej sile.

Ogromna forteca przedstawiała się w całej swej okazałości. Ben-Hur poznał, że nie jest do zdobycia i zadrżał pod tem wrażeniem. Myśl, że matka jego i siostra mogą tam być pogrzebane, zmroziła mu krew w żyłach. Coż zdoła dla nich uczynić? Siłą oręża nie, cała armia mogłaby tu walczyć i zdobywać ją przyrządami oblężniczymi — wszystko nadaremno.

Wobec tego pozostaje tylko jedna droga, droga podstępny, ale tak często zawodna. Bóg, ostatnia ucieczka człowieka, wszelkiej pozawionego pomocy — ucieczka pewna, ale często każe nam długo na pomoc czekać!

Znękany zwątpieniem, zwrócił się ulicą poniżej wieży i szedł nią ku zachodowi.

Wiedział, że po drugiej stronie w Bezecie jest gospoda; tam chciał zamieszkać, póki tu pozostawał. Ale zbliżając się do tego miejsca, dał się opanować pragnieniu odwiedzenia rodzinnego domu — serce domagało się silnie o swoje prawa.

Stare zwykłe pozdrowienie, którem go kilku powitało przechodniów, nigdy mu się tak miłym nie wydało. Nagle zeszły gwiazdy i osrebrzyły całą wschodnią część nieba, a na tem jasnym tle wystąpiły przedmioty pierw w ciemnościach niewidziane, a szczególnie

smukłe wieże na górze Syonu; wyłoniły się one z głębokich cieni z jakąś niezwykłą dokładnością, niby groźne nadpowietrzne widma.

Pod wrażeniem dziwnej grozy stanął nareszcie młodzieniec u progu rodzinnego domu.

Wśród czytelników zapewne nie znajdzie się taki, któryby nie odgadł uczuć miotających sercem Ben-Hura, ale z pewnością będą tacy, którzy w swej młodości używali również szczęścia u ogniska rodzinnego jak nasz bohater, i tak samo jak on stracili je na zawsze. Zwracając się myślą do owych szczęśliwych chwil, spędzonych w domu rodzicielskim, który był im rajem, a który opuścili wśród łez, choć w nim niegdyś rozbrzmiewała wesola pieśń i panowała nieczem nie krępowana swoboda. Czemuż, niestety, powrót do każdego raju tak trudny!

U bramy starego domu stał Ben-Hur i widział jeszcze ślady wosku, użytego do pieczętowania; nawet karta widniała z napisem:

„To jest własność Cezara.“

Od owego strasznego dnia nikt ani wszedł, ani wyszedł tą bramą. Miałaby zapukać jak dawniej? Nie, wie on dobrze, że byłoby to na próżno, a jednak nie może oprzeć się pokusie. Któż wie... może Amra usłyszy i wyjrzy jednym z okien. Myśląc tak, wstąpił na szerokie stopnie i wzięwszy kamień, uderzył trzy razy. Głuche echo odpowiedziało mu złowrogo. Spróbował raz jeszcze i uderzył silniej niż poprzednio i znów nasłuchiwał. Nie, prócz echa nieprzerwało ciszy. Cofnął się więc w ulicy i przypatrywał się oknom, ale były puste i ciemne. Widok dachu odcinał się ostro na pogodnym niebie, jasno było, jak w dzień i nie nie mogło ujść jego oku — lecz nie nie ujrzał.

Z północy przeszedł na zachód, gdzie bacznie obejrzał cztery okna — i to na próżno. Chwilami serce jego pełne było bezowocnych życzeń, tak że drżał z obawy i rozczarowania. Amra nie dawała znaku życia.

W milczeniu udał się na stronę południową, gdzie również zastał bramę opieczętowaną i w napis zaopatrzoną. Gniew go ogarnął na ten widok; przeczytał napis, zerwał tablicę i rzucił ją na środek ulicy. Potem usiadł na stopniu i modlił się, aby Pan zesłał rychło

przez wszystkie narody oczekiwanego Mesjasza. Pokrzepiwszy się modlitwą, znalazł trochę spokoju a znużony podróżą i upałem dnia, pochylił się i wkrótce zasnął snem twardym.

Prawie w tym samym czasie wyszły z ulicy prowadzącej od fortecy Antonia dwie kobiety i zwróciły się ku pałacowi Hurów. Szły wolno i nieśmiało, co chwilę przystawając i nasłuchując. U rogu starożytnej budowy jedna z nich rzekła:

— Oto nasz dom, Tirzo!

Dzieweczyna konwulsyjnie chwyciła rękę matki, a wspartszy się na niej ciężko, płakała w milczeniu.

— Chodźmy, dziecię moje, bo — tu matka zawahała się i dreszcz przebiegł po jej ciele; potrzebowała chwili, aby opanować swe uczucia, po-



czem dodała spokojniej: — bo gdy ranek zaświta, wyrzucą nas z miasta na zawsze.

Pod ciężarem tych słów Tirza się zatoczyła i padła na kamienie — Ach, prawda! — rzekła łkając. — Zapomniałam... zdało mi się, że wracam do domu. Tymczasem jesteśmy trędowate, nie mamy domu, policzone jesteśmy między umarłych.

Matka podniosła ją czule z ziemi, mówiąc: Nie lękaj się, chodź.

Zaprawdę, dość im było wyciągnąć ręce, aby całe wojsko poszło w rozsypkę. Idąc wzdłuż muru, podobne były do straszliwych widm. Doszedłszy do bramy, stanęły; ujrzały napis i przeczytały go, jak to przed chwilą uczynił Ben-Hur.

— To jest własność Cezara.

Matka załamała ręce, a wzniósłszy oczy, jęknęła od niewysłowionego bólu i przerażenia.

— Co ci to, matko?

— Nieszczęśliwy, umarł chyba! nie żyje! — wołała.

— Kto, matko?

— Twój brat! Ogołocili go ze wszystkiego, nawet ten dom mu zabrali.

— Biedny mój brat!

— Nigdy nie zdoła nam dać pomocy.

— I cóż pocniem, matko?

— Jutro, jutro, moje dziecko, musimy poszukać schronienia przy drodze i żebrać, jak to czynią trędowaci, błagać o litość przechodniów...

Tirza wsparła się tkliwie na rękę matki, mówiąc po cichu:

— Pozwól mi umrzeć, matko moja.

— Nie — rzekła matka stanowczo — Pan oznacza kres życia ludzkiego, myśmy Jego wierne sługi, i posłusznie czekać na Niego będziemy. Chodź!

Mówiąc to, ujęła rękę Tirzy i spiesźnie przeszły na zachodnią stronę domu; nie spotkawszy nikogo, obeszły narożnik, gdy nagle przeraziło ich jasne światło księżyca, co oświecało południowy front pałacu i część ulicy. Mimo obawy nie cofnęła się matka; spoglądając na zachodnie okna, prowadziła ociągającą się Tirzę. Teraz

można już było w blasku księżyca dostrzedz straszliwe ślady ich choroby na ustach, licach, zbielełych oczach i poranionych rękach, a zwłaszcza po długich splotach włosów i brwiach zupełnie białych. Napróżno chciałby patrzący na nich odgadnąć, która z nich matka, która córka; obie zdawały się być w równym wieku.

— Cicho! — przemówiła matka. — Ktoś leży u stopni wehodych... jakiś człowiek.

Przeszły na drugą stronę ulicy i w cieniu podeszły aż pod bramę, u której stanęły.

— Śpi, Tirzo.

— Mężczyzna leżał nieruchomie.

Czekaj, spróbuję otworzyć.

Mówiąc te słowa, przesunęła się matka cicho koło śpiącego i spróbowała ruszyć furtkę; czy furtka się poruszyła, nie spostrzegła wcale, bo tejże chwili człowiek śpiący westchnął i obracając się niespokojnie, zesunął z głowy zawój w ten sposób, że odsłonił twarz obróconą do księżyca... Spojrzała na tę twarz i zdjęło ją trwożliwe zdziwienie; jeszcze raz spojrzała dokładniej. Nagle podniosła się, załamując ręce i w niemej boleści utkwiała w niego oczy. Po chwili zbliżyła się do Tirzy, mówiąc szeptem:

— Żywie Pan, bo oto syn mój, a brat twój.

— Mój brat... Juda?

Matka chwyciła ją za rękę.

— Chodź — rzekła znowu cichym szeptem. — Spójrzmy na niego razem — raz — raz jeden — a potem wesprzyj, o Panie, sługi twoje!

Trzymając się za ręce, przeszły na drugą stronę ulicy, biegły a raczej sunęły szybko i mileząco jak widma. Gdy cień ich postaci padł na śpiącego, przystały i spostrzegły, że jedna jego ręka, dłonią odwrócona, leżała na stopniu. Tirza padła na kolana i chciała tę rękę pocałować, ale matka wstrzymała ją:

— Co chcesz czynić, nieszczęsna! Wszak my nieczyste! — szepnęła.

Tirza odskoczyła, jakby on był trędowatym. W śnie pogrążony, pięknym był Ben-Hur prawdziwie męską pięknnością. Policzki i czoło opaliło słońce pustyni, pod małym wąsem jaskrawą barwą

wabiły usta, ukrywające białe zęby, a miękka broda nie zakrywała okrągłości podbródka i szyi. Jakże pięknym wydał się oczom matki! Jakże pragnęła ująć go w swe ramiona, położyć jego głowę na swoim łonie i ucałować, jak to czyniła, gdy był dzieckiem! Gdzież źródło siły, która ją wstrzymać zdołała? W miłości, czytelniku, w miłości macierzyńskiej, co się różni od każdej innej. Za nic, ani za cenę mienia, ani za szczęście całego żywota, ani wobec groźby śmierci nie złożyłaby swych warg trędowatych na jego policzkach. Jednego tylko wyrzec się nie chciała; tak, nie może odejść nie dotknawszy go — wszak ujrzała go po tylu latach i pożegnać musi na wieki. Jak to ciężko i gorzko, niech poświadcza matki! Uklękła, i czołgając się do jego nogi, ustami dotknęła podeszwy sandału, chociaż był cały pyłem okryty — pocałowała ten martwy przedmiot kilkakrotnie, a cała jej dusza była w tych pocałunkach.

We śnie obrócił się parę razy, kobiety pierzchły w bok, ale usłyszały, jak mówił wyraźnie:

— Matka! Amra! Gdzie jest...

I znów zasnął silniej.

Tirza rzuciła na niego tęskne spojrzenia. Matka schyliła głowę, usiłując stłumić łkania, co szarpały jej serce i duszę. Była chwila, w której pragnęła, aby się zbudził.

Było to tylko przelotne życzenie. Czyż to nie dosyć, że nie była zapomnianą! Śpiąc, myślał o niej! Czyż to nie dosyć?!

Za danym przez matkę znakiem Tirza powstała i obie rzuciły jeszcze jedno spojrzenie, pragnąc obraz jego w wiernej przechować pamięci. Gdy przeszły w cień ulicy, uklękły i patrząc na niego, czekały, czy się nie przebudzi — czy może co innego się nie zdarzy; wogóle same zapewne nie umiałyby powiedzieć, czego się spodziewały. Wstrzymywała je miłość.

On spał ciągle, a tymczasem inna znów niewiasta zbliżyła się do pałacu. Kobiety widziały ją dokładnie przy blasku księżyca; wzrostu małego, pochylona, o ciemnej płci i siwych włosach, ubrana była odpowiednio do służebnego stanu, ale czysto, a niosła kosz z jarzynami.

Gdy ujrzała leżącego człowieka, zatrzymała się; potem, jakby powziawszy postanowienie, poczęła się zbliżać bardzo ostrożnie. Mineła



Ben-Hur odnaleziony przez małkę i siostrę

śpiącego, poszła ku bramie, a pocisnąwszy furtkę lekko jedną ręką, drugą odsunęła zasuwkę bez hałasu i gdy się lewa połowa bramy otworzyła, wsunęła kosz i już miała wejść, gdy nagle, ulegając ciekawości, spojrzała ku nieznanomemu, którego twarz widniała w świetle księżyca. Kobiety przypatrujące się z drugiej strony ulicy, usłyszały okrzyk, potem widziały, jak kobieta przecierała oczy, chcąc lepiej ujrzeć twarz leżącego, jak pochylała się, składała ręce i wzrok natężony wlepiła w niego. Nakoniec pochwyciła rękę młodzieńca i całowała ją z uczuciem. Uczyniła więc to, czego one napróżno pragnęły całą gorącością sere kochających!

Zbudziwszy się Ben-Hur, instynktowo cofnął rękę, ale wnet oczy jego padły na kobietę.

— Amro! o Amro! Czy to ty? — wołał.

Ona nie znalazła słów odpowiedzi, ale padła na kolana, płacząc rzewliwie.

Łagodnie podniósł ją, ucałował twarz jej, łzami oblaną, i zdawał się podzielać jej radość. Niewiasty w cieniu stojące usłyszały pierwsze między nimi zamienione wyrazy, a te były:

— Matka! — Tirza! — o Amro, powiedz mi, co wiesz o nich! mów, mów, na Boga!

Amra płakała coraz rzewliwiej.

— Dawnoś ich nie widziała, Amro? Wiesz, gdzie się znajdują? Powiedz, czy są w domu?

Tirza podniosła się, matka odgadując jej myśli, chwyciła ją za rękę, szepcząc:

— Nie waż się zbliżyć: nieczyste, nieczyste!

Miłość jej miała jakby odbłyśki tyranii, choćby oba ich serca popękać miały, on się nie dowie, w jakim znajdują się położeniu. Straszna była ta miłość w swej wielkości, która takie odniosła zwycięstwo.

Tymczasem Amra coraz głośniejsz płakała.

— Wszak miałaś zamiar wejść? — pytał wskazując drzwi otwarte — Chodź, pójde z tobą:

— Rzymianie, o Rzymianie! Przekleństwo Pana niechaj was ściga. Kłamaliście jako psy, bo dom ten moim jest! Wstań Amro, wejdźmy.

I poszli... a tamte dwie niewiasty zostały... Patrzyły one na bramę wprost siebie — progi to, których już nigdy nie przestąpią.

Spełniły swój obowiązek.

Miłość ich przebyła najcięższą próbę.

Gdy dzień zaświtał, spostrzeżono je i wypędzono, obrzucając kamieniami, poza mury miasta.

— Precz! umarłe jesteście, idźcie do umarłych!

Poszły na tułaczkę.

ROZDZIAŁ XXXI.

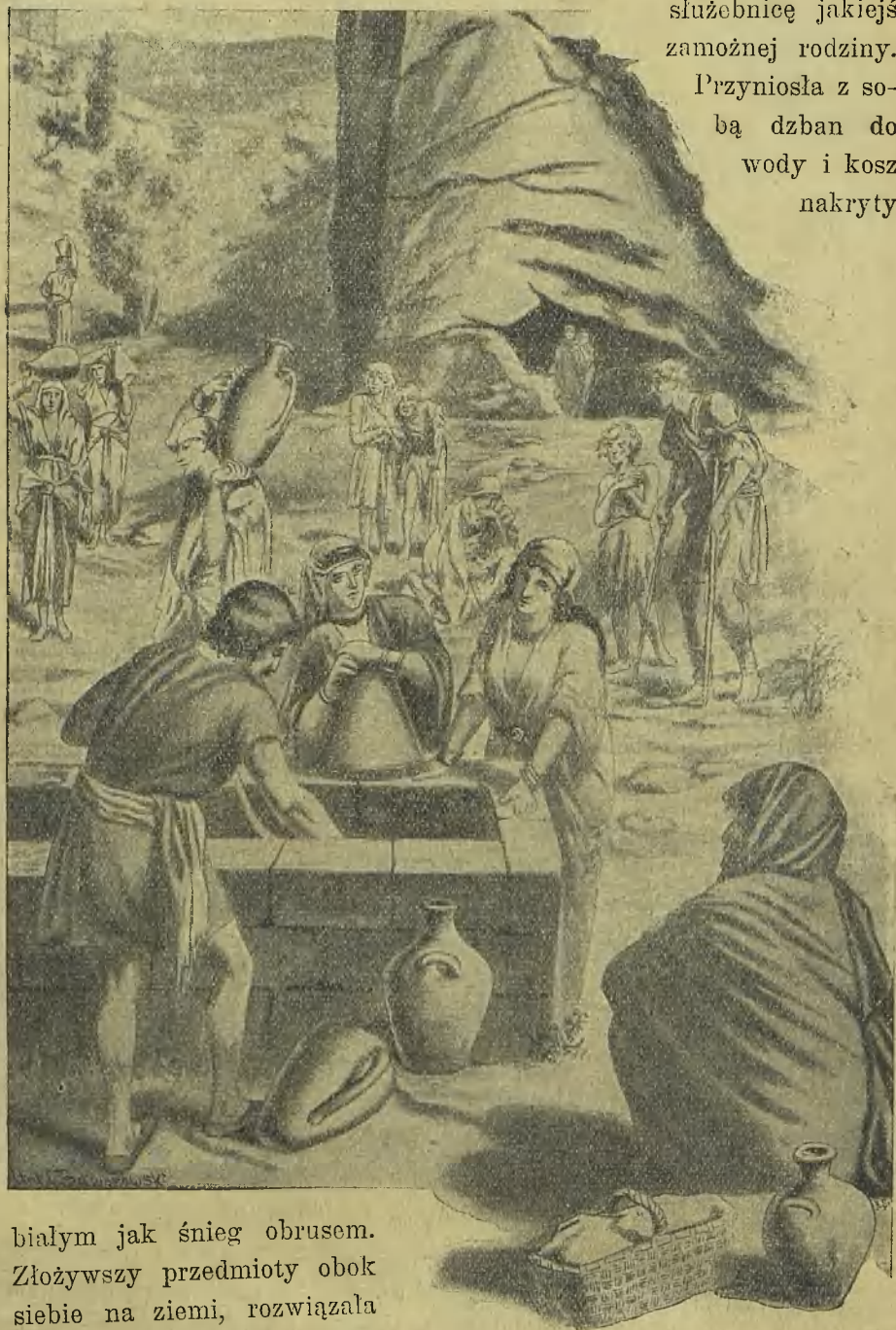
Podróżny, zwiedzający dzisiaj Ziemię świętą, a chcący zobaczyć tak zwane „Królewskie groby“, zdąża łożyskiem Cedronu lub zakrętami Gehonu i Hinomu aż do starego źródła En-rogel. Tutaj zazwyczaj pokrzepia się kubkiem świeżej wody i odpoczywa. Wzrok jego spocznie na wielkich nieobrobionych głazach, otaczających studnię; spojrzy do jej wnętrza, aby zobaczyć, czy głęboka, uśmiechnie się na prymitywny sposób czerpania wody i da z litości jałmużnę obdartemu biedakowi, który tu siedzi na straży. Bardziej od tych szczegółów zajmie go jednak wspaniały widok, co się przed oczami jego rozciąga, bo oto ma przed sobą góry Moria i Sion, ciągnące się ku północy, a na ich końcach Omfal i stare miasto Dawida. W oddali spostrzeże po prawej stronie górę „Zgryzoty“, a po lewej wzgórze „Dobrej rady“; na obu znajdują się cenne pamiątki wielkiej wagi dla pisarzy i badaczy starożytności.

U ich stóp znajduje się dolina zasiana grobami, — było to cmentarzysko dla żydowskich mieszkańców Jerozolimy.

W pochyłonych nad doliną skałach znajdują się grobowce i jaskinie — częścią naturalne, częścią wykute ręką ludzką. W czasach Chrystusowych zajmowali je trędowaci, którzy tutaj tworzyli niejako osobną gminę. Żyli tu zupełnie odłączeni od świata.

W dwa dni po opisanych w poprzednim rozdziale wypadkach, przyszła Amra do źródła En-rogel i usiadła na kamieniach w pobliżu leżących. Ktokolwiekby ją ujrzał, wzięłby ją za ulubioną

służebnicę jakiejś
zamożnej rodziny.
Przyniosła z so-
bą dzban do
wody i kosz
nakryty



białym jak śnieg obrusem.
Złożywszy przedmioty obok
siebie na ziemi, rozwiązała

zawój tak, że spadł jej na ramiona; złożyła ręce na kolanach i patrzyła w stronę, gdzie wzgórze pochyła się ku „roli garnearzowej“ zwanej później Haceldama*).

Był to bardzo wczesny poranek, Amra pierwszą była u źródła, niebawem zjawił się także człowiek z liną i buklakiem. Pozdrowiłszy małą, zgrzybiałą niewiastę, rozplątał przyniesioną linę, przytwierdził buklak i oczekiwał gości. Kto chciał, mógł sam zaczerpnąć wody, ale czynność ta była właściwie jego zawodem i chętnie napełniał największe dzbany, jakie tylko udźwignąć mogła kobieta, za cenę jednej gery (moneta).

Amra siedziała w milezeniu, człowiek zaś widząc dzban, zapytał, czy ma go napełnić wodą. „Nie teraz“, odparła krótko i pogрузzyła się w zadumie, a przybyły nie zwracał już na nią uwagi. Zaledwie jutruzenka ozłociła niebo nad Olivetem, poczęli się schodzić goście i miał już komu posługiwać. Amra przez cały ten czas patrzyła na wzgórze w milezeniu; słońce już wysoko stało na widnokręgu, a ona czekała ciągle; widocznie przyszła tu w celu nietrudnem do odgadnienia.

Zwyczajem jej było wychodzić na targ o zmroku, odkąd sama i potajemnie zamieszkiwała pałac swych panów. Niepostrzeżenie wślizgiwała się między sklepy Tyropeum, lub do pobliskich Rybiej bramy kramów; spieszenie zwykle załatwiała zakupno mięsa i jarzyn, i powracała do swej kryjówki.

Im większą była jej radość z powrotu Ben-Hura pod dach rodzinnego domu, tem boleśniej czuła nieświadomość o losie jego matki i Tirzy i tem serdeczniej pragnęła ulżyć jego cierpieniu.

Przywiązany jej wychowanek namawiał ją do opuszczenia samotnego mieszkania; ona, przeciwnie, pragnęła, aby on zajął napowrót swą dawną, znaną nam komnatę; sam zaś za żadną cenę nie opuściłaby tych drogich murów. Młodzieniec musiał się pogodzić z jej wolą, lecz lękając się prześladowań, poprzestał na obietnicy, że będzie ją często odwiedzał. Postanowił przychodzić i odchodzić w nocy. Gdy tak rzeczy stanęły, pocziwa wierna sługa wysilała całą swą gospodarską zdolność, ażeby dogodzić swemu ulubieńcowi. Nie pa-

*) Haceldama, t. j. rola krwi.

miętała wcale, że jej wychowanek, to nie dziecko, ale mąż wiekiem, a bardziej przebytemi dojrzały kolejami i sądziła, że Juda ma jeszcze te same chłopięce upodobania, które zadawały go w dzieciństwie i jednały jej przywiązanie i pieczęty, postanowiła więc zrobić zapas słodczy, by je miała pod ręką, gdy przybędzie.

Już w myśli cieszyła się, że zadowolni kochanego chłopca i zaraz następnego wieczoru, jeszcze rychlej niż zwykle, pospieszyła po zakupna do Rybiej bramy. Właśnie zajęta była poszukiwaniem najlepszego miodu, gdy o jej uszy obilo się nazwisko jej państwa. Przystała i usłyszała opowiadanie jednego z tych ludzi, którzy trzymali pochodnie przed komendantem fortecy Antonia, gdy w celi VI odmurowali rodzinę Ben-Hura. Człowiek ten opowiadał dokładnie, nie opuścił najmniejszego szczegółu i zapamiętał słowa wdowy i jej nazwisko.

Próżno powtarzać, z jakim uczuciem i żalem słuchała opowiadania Amra. Całe to zdarzenie wydało jej się niby strasznym snem, a jednak było prawdziwem. Spieszenie załatwiła sprawunki i powróciła do domu. Z razu nie posiadała się z radości, że będzie mogła podzielić się z wychowankiem swoim tak radosną nowiną.

Przeglądała zapasy koszyka, to się śmiejąc, to płacząc; nagle zatrzymała się i zamyśliła. Mamże mu powiedzieć, że matka i siostra trędowate? Zrobić to, znaczy to samo, co go zabić, bo nie nie wstrzyma syna w jego powinności. Już widzi biedna, przywiązana kobieta, jak opuściwszy miasto, dąży przez wzgórza „Dobrej rady“ i szuka matki i siostry po wszystkich jamach, pieczarach i grobach — dalej... ach, dalej widzi go już zarażonym i los Judy będzie równy ich losowi. Na myśl tę załamała ręce i pytała sama siebie, co począć.

Czerpała natchnienie nie w mądrości, ale w przywiązaniu swego serca i doszła do właściwego rozstrzygnięcia wątpliwych myśli.

Wiedziała, że trędowaci co rano wychodzą z swych kryjówek do źródła En-rogel po wodę na cały dzień. Przynoszą dzbany, stawiają je na ziemi i czekają w oddaleniu, aż je kto napełni. Jej pani i Tirza przyjdą tam niewątpliwie, bo prawo jest nieubłagane, a trędowaty bogaty nie różnił się niczem od trędowatego ubogiego.

W tej pewności, że głód i pragnienie przywiodą je do źródła, spodziewała się je ujrzeć i poznać, a może one ją poznają. W tem

postanowieniu znalazła uspokojenie, Ben-Hurowi zaś nic nie rzekła o odkryciu, jakie uczyniła.

Wkrótce nadszedł Ben-Hur i spędzili wieczór na poufnej rozmowie; mówił jej, że nazajutrz spodziewa się przybycia Mallucha, poczem zaraz rozpoczną poszukiwania; tymczasem zaś, dla zabicia czasu, pragnie zwiedzić święte miejsca w okolicy. Łatwo pojąć, jak



bardzo ciążyła starej kobiecie tajemnica, zachowała ją jednak w swem sercu.

Zaraz po odejściu Ben-Hura, tegoż wieczora, wzięła się do roboty i przygotowania różnych przysmaków do jedzenia; zbytecznem mówić, że dołożyła wszelkich starań, by zadowolić te, którym służyła. Skoro noc miała się ku końcowi, wypakowała swój kosz zapasami, wzięła dzban i udała się, minawszy „Bramę Rybią“, którą właśnie otworzono, drogą do En-rogel.

Wkrótce po wschodzie słońca cisnęły się tłumy ludu po wodę do studni; wielu spieszyło się, aby jeszcze przed południem módz

wrócić do miasta. Zanurzano też po pół tuzina dzbanów równocześnie, z tym większym pospiechem, że mieszkańcy naprzeciw ległych wzgórz zaczęli się ruszać około swych jam i pieczar jakoby widma koło grobów. Coraz to więcej ich przybywało i Amra widziała już całe gromady, wśród których dużo było dzieci i młodzieży. Mnóstwo ich wychodziło z grobów; kobiety niosły dzbany na ramionach, starcy opierali się na laskach i kulach, często jedni prowadzili drugich, a nie rzadko można było widzieć takich, co nieśli na noszach najbardziej chorobą zmarnowanych, którzy już do ludzkich istot nie byli podobni. Tak i w tem społeczeństwie najstraszliwszej nędzy rodziła się miłość, otaczająca cierpienie ciepłymi promieniami. Nędzę tych nieszczęśliwych łagodziło wzajemne przywiązanie.

Siedząc u studni, śledziła Amra bacznie okiem ten korowód straszliwych widm. Z obawy niedopatrzenia swoich, prawie się nie ruszyła a często zdawało się jej, że je spostrzega. Nie wątpiła, że one są między mieszkańcami tych wzgórz i że przyjdą, skoro wszyscy już obsłużeni będą.

Całkiem nisko, prawie poniżej wzgórza, była pieczara, która już nieraz zwróciła uwagę Amry swoim otworem, bo blisko niego leżał ogromny kamień. Słońce oświecało ją w czasie najgorętszych godzin dnia, musiała więc być niezamieszkaną. A jednak ku swemu zdziwieniu ujrzała wychodzące stamtąd dwie kobiety wzajemnie się podtrzymujące. Gdy tak patrzyła, zdało się jej, że zadrżały na widok wstrętnego zgromadzenia, do którego niestety same należały. Widok ten był więc dla nich widocznie nowym, nie było w tem nic nadzwyczajnego, a jednak serce poczciwej Amry poczęło bić tętnem przyspieszonym.

Dwie kobiety przystały chwilę u kamienia, potem zwolna, spokojnie ale nie bez obawy skierowały się ku źródłu, skąd ozwało się kilka ostrzegających głosów, na co one nie zdawały się zważać. Człowiek, strzegący źródła, podniósł kamień, aby je postraszyć. Zgromadzeni u studni, a nawet i trędowaci sami, wołali: precz nieczyste! nie ważcie się zbliżać, nieczyste!

— Oczywiście — myślała Amra — to jakieś, co nie znają zwyczajów trędowatych.

Wstała i poszła ku nim, niosąc kosz i dzban. Hałas u źródła ustał, a w zamian ktoś, śmiejąc się, rzekł:

— Jaka głupia, któż takie dobre pożywienie daje umarłym?

— I chciało się jej iść tak daleko! — rzekł inny — kazałbym im raczej przyjść do bram miasta po jałmużnę.

Amra głuchą była na te uwagi i szła za popędem swego serca. A jeśli się myliła! W miarę jak szła, wątpliwości rosły. Gdy nie więcej jak pięć metrów dzieliło ją od miejsca, na którym stały nie-szczęśliwe, zatrzymała się.

Toż to ma być jej ukochana pani, której rękę tak często wdzięcznymi okrywała pocałunkami? Jej pani, której szlachetną postać przechowywała w żywej pamięci! A to, toż ma być Tirza, którą piastowała, gdy była dziecieniem? Onażyby to być miała, owa śmiejąca się, łagodna i śpiewająca Tirza! Ona, światło wielkiego domu, błogosławieństwo jej starości! To ona? Czyż to być mogą jej pani i jej ukochane dziecię! Czy to one?

— Ależ to stare niewiasty! — rzekła do siebie. — Nie widziałam ich nigdy.

I odwróciła się.

— Amro! ... — rzekła jedna z trędowatych.

Egipteyanka na te słowa upuściła dzban i drżąc cała, spojrzała na nie.

— Kto mnie wołał? — spytała.

— Amro! ...

Zdziwione oczy sługi spoczęły na twarzy mówiącej.

— Kto wy jesteście? — krzyknęła, nie wierząc, aby to mogły być jej panie.

— Jesteśmy te, których szukasz.

Amra padła na kolana.

— O moja pani, moja pani! Niech będzie pochwalonym Bóg twój, Bóg, którego moim uznałam, niech będzie pochwalonym za to, iż mnie tu przywiódł.

Mówiąc te słowa, zbliżała się, czołgając na kolanach.

— Stój, Amro! nie zbliżaj się do nas — nieczyste, nieczyste!

Ostrzeżenie wystarczyło, Amra padła na twarz, łkając tak głośno, że ludzie u źródła słyszeli ją. Nagle podniosła się, pytając:

— O moja pani, a gdzie Tirza?

— Tu jestem, Amro.

Wyrazy te przypomniały Amrze jej obowiązki służby. Odsuwając włosy, co jej na twarz spadały, poszła i odkryła kosz, mówiąc:

— Oto chleb i mięso.

Chciała rozłożyć obrus na ziemi, ale pani rzekła:

— Nie czyni tego, obrzuciliby cię kamieniami, którzy stoją u źródła, a nam odmówiliby wody. Zostaw kosz, a dzban napełnij wodą i przynieś go nam. Zapasy zabierzemy do jaskini. Na dziś oddałaś nam wielką przysługę. Spiesz się.

Ludzie, którzy patrzeli na to, co się stało, pomogli słudze napełnić dzban, bo litość nad jej boleścią wzruszyła ich serca.

— Co to za jedne? — pytała jakaś kobieta.

— Wyświadczyły mi niegdyś wiele dobrego — odparła Amra.

Wziawszy dzban na ramię, szła ku nim spieszenie i byłaby w zapomnieniu całkiem się zbliżyła, gdyby ją nie wstrzymał okrzyk: „Nieczyste, strzeż się!“ Postawiła więc kosz i dzban, zatrzymując się opodal.

— Dzięki ci, Amro! — rzekła pani. — Jakże dobrą jesteś!

— Powiedz, o pani, ażali mogę co więcej dla was uczynić? — pytała Egipcjanka.

Ręka matki spoczęła na dzbanie, a pragnienie dokuczało jej, przecież wstrzymała się, mówiąc:

— Tak, wiem, że Juda wrócił w domowe progi. Przeszłej nocy widziałam go śpiącego na stopniach u bramy. Widziałam, gdy go zbudziłaś.

Amra załamała ręce.

— Ty, pani moja, byłaś tam i zdołałaś nie dać się poznać?

— Uczynić to, było to samo, co go zabić! Nigdy, o nigdy nie uścisknę go więcej! Nigdy nie dotknę ust jego! O Amro, Amro, wiem jak go miłujesz!

— Tak — odparła kobieta i padłszy na kolana, wybuchnęła płaczem. — Dla niego oddałabym życie z rozkoszą.

— Daj dowód tego, co mówisz.

— Jestem na wszystko gotowa.

— Nie waż się powiedzieć, gdzie jesteśmy i że nas widziałaś; tego żądam — nie więcej.

— Ależ on was szuka, przybył po to z daleka.

— Niechaj nas nie znajdzie, o wielki Boże! Nie może się stać takim, jakimi my jesteśmy. Słuchaj, Amro, usłuszysz nam codziennie, przynosząc tę odrobinę niezbędnego pożywienia. Zaprawdę — niedługo już, niedługo. Co rano i co wieczór przyjdiesz tu i... i... — głos drżał silną powstrzymywaną wołą — i będziesz nam opowiadała o nim, o nas zaś nie waż mu się wspominać. Słyszysz?

— Jakże to będzie ciężko słuchać, gdy o was mówić będzie. Widzieć całą jego miłość i nie móc powiedzieć, że żyjecie!

Alboż będziesz mogła mu powiedzieć, że nam dobrze?

Sługa spuściła głowę w milczeniu.

— Widzisz sama, że nie, dlatego milcz. Teraz idź, a wróc wieczorem. Będziemy czekały na ciebie. Bądź zdrowa!

— Ciężki wkładasz na mnie, pani, ciężar i nie wiem, czy go udźwignę — rzekła Amra i padła na twarz.

— Czy nie ciężiejby ci było ujrzeć go nieszczęśliwym jak my? — odparła matka, oddając Tirzy kosz. — Przyjdź wieczorem! — I poszła ku pieczarze

Amra klęczała, póki nie zniknęły; poczem zamyślona poszła ku domowi.

Wieczorem wróciła znowu, a odtąd co rano i wieczór przynosiła, co było najniezbędniejszego. Jaskinia, a raczej grobowiec, który obie kobiety zajmowały, był kamienny i opuszczony, jednak mniej smutny, niż cela więzienna, bo widziały przynajmniej słońce, niebo i gwiazdy.

Rozdział XXXII.

Rano w pierwszy dzień siódmego miesiąca, zwanego po hebrajsku Tisri, odpowiedniego naszemu Październikowi, wstał Ben-Hur ze swego posłania w gospodzie, niezadowolony i zniechęcony do całego świata.

Po przybyciu Mallucha nie tracono czasu na naradach, ale raczej zabrano się zaraz do czynu. Poszukiwania zaczął Malluch od twierdzy Antonia, gdzie się udał do komenderującego trybuna. Opo-

wiedział znane szczegóły z historii rodziny Hurów, przygodę Gratusa, przypisując wszystko, jak rzeczywiście było, przypadkowi. W końcu dodał, że szuka tej nieszczęśliwej rodziny i zamierza podać petycę do Cezara o zwrot należnych Hurom majątności i praw obywatelskich.

Taka petycja pociągałaby niezawodnie śledztwo za sobą, a o wynik tejże przyjaciele pokrzywdzonej rodziny bynajmniej się nie obawiali.

Trybun poinformował go o wszystkim, co sam wiedział, mianowicie o znalezieniu kobiet trędowatych w więzieniu, dał przeczytać zapiski, jakie poczynił z ich zeznań, co więcej, na żądanie Mallucha, pozwolił je odpisać.

Malluch pospieszył z temi smutnymi nowinami do Ben-Hura.

Próżnem byłoby silić się na opisanie wrażenia, jakie ta wieść wywarła na młodzieńcu. Nie ulżył on swej boleści ani łzami, ani głośną skargą, ogrom nieszczęścia był za wielki, by go wyrazami określić można. Całemi godzinami siedział w milczeniu, z twarzą bladą i bijącym sercem. Czasem tylko w przestankach, od chwili do chwili, usta jego otwierały się, jakby przemocą i wtedy wydzieraa się z nich skarga:



— Trędowate, trędowate! One, moja matka i siostra, trędowate! Chwilami rzucał nim gniew wściekły, potem przejmowała go litość nad nieszczęśliwymi, to znów owładało nim nienasycone pragnienie zemsty. Nakoniec zerwał się, wołając:

— Muszę iść do nich! Któż wie, ażali nie są blizkiemi śmierci!

— Gdzież ich szukać będziesz? — pytał Malluch.

— Wszak tylko w jednym miejscu być mogą.

Wierny towarzysz sprzeciwił się temu zamiarowi i wpłynął na swego pana przynajmniej o tyle, że bez jego porady nie przedsięwziął żadnego kroku. Poszli więc razem do bramy naprzeciw wzgórza „Dobrej rady“, — gdzie się od niepamiętnych czasów zbierali żebrzący trędowaci. Tam stali dzień cały, rozdając jałmużnę, pytając o dwie kobiety, ofiarując znaczne nagrody za ich odszukanie. Czynności te powtarzali przez ciąg piątego i szóstego miesiąca codziennie. Raz po raz przeszukiwano za ich staraniem wzgórza i miasto trędowatych, a czynili to ludzie, ze względu na wysokie nagrody, niebaczący na niebezpieczeństwo trądu.

Nie pominięto jaskini przy źródle, ale tu miłość matki i siostry najlepiej strzegła tajemnicy. Tak więc poszukiwania nie doprowadziły do niczego, aż wczoraj właśnie, pierwszego dnia siódmego miesiąca, rozeszła się wiadomość, że przed niedawnym czasem dwie trędowate kobiety zostały z rozkazu urzędu kamieniami wypędzone za bramę Rybią. Dalsze badanie i zestawienie okoliczności doprowadziły do smutnego przekonania, że temi nieszczęśliwymi były kobiety, których szukano. Gdzież się podziały? Cóż się z nimi stało? Odpowiedź na to pytanie nie była łatwą.

— Nie dość, że je trądem zarażono — powtarzał Juda z goryczą — ale wygnano je z rodzinnego miasta. Droga matka moja pewnie już nie żyje! Tirza nie żyje również, zablakały się na pustyni — i zostałem sam. I po co? Pókiż, o Boże, Panie mych ojców, pókiż Rzym trwać będzie?

Wszelkiej pozbawiony nadziei, dyszący zemstą, wyszedł na podwórze gospody, gdzie stał tłum ludzi, przybyłych w nocy. Śniadając, przysłuchiwał się gwarnym rozmowom. Szczególnie zajmowała go jedna gromadka, złożona z ludzi młodych, ruchliwych, silnych.

W ich całym zachowaniu się poznać było ludzi z prowincyi. Dowiedział się wnet Ben-Hur, że byli to Galilejczycy, którzy przybyli do świętego grodu w rozmaitych celach. Przyszły wódz przypatrywał się tym ludziom z wielkiem zajęciem, gdyż należeli do sfery, od której głównie mógł się spodziewać poparcia i pomocy w przyszłym wielkiem dziele.

Patrząc na nich, rozmyślał, czegoby nie mógł dokonać na czele wojska, złożonego z takich, lecz wyćwiczonych na sposób rzymski ludzi; myśl ta uniosła go i rozgrzała w nim duszę zapalem i pragnieniem czynu.

— Pocoście tu przybyli? — zapytał Galilejczyków.

W tej właśnie chwili, zanim zdążyli odpowiedzieć, wszedł szybko jakiś mężczyzna i zbliżywszy się do znajomej gromadki, rzekł żywo:

— Rabini i starsi z świątyni idą do Piłata. Chodźmy, połączmy się z nimi.

Otoczono go natychmiast.

— Do Piłata, a to po co?

— Odkryto spisek. Piłat chce zbudować nowy wodociąg za pieniądze ze skarbu świątyni.

— Co? za pieniądze ze świętego skarbu?

Powtarzali po tysiąc razy pytanie, a oczy ich błyskały gniewem.

— To jest Korban, skarb Jehowy! Niech spróbuje dotknąć się choć sykla! niech się ośmieli! — wołano groźnie.

— Chodźcie! — wołał posłaniec. — Pochód już jest za mostem, całe miasto tam spieszy. Może się na coś przydamy.... spieszcie się!

Galilejczycy jednym porwaniem pragnieniem bronięcia świętych skarbów, zrzucili długie, zawadzające im szaty, i w mgnieniu oka całe zgromadzenie stało z gołemi głowami, w krótkich spodnich tunikach bez rękawów. Takich sukien używali żniwiarze, wioślarze, pasący na wzgórzach trzody, lub zbierający wino. Stali w gotowości, a przyciągając pasów, wołali:

— Otośmy gotowi!

W tej chwili przystąpił do nich Ben-Hur, mówiąc z zapalem:

— Mężowie Galilejscy! Otom syn Judy, żali weźmiecie mnie z sobą?

— Może przyjsć do bójki... — odparli.

— W takim razie nie zemknę pierwszy!

Odpowiedź im się podobała, a posłaniec mówił dalej:

— Zdajesz się być dość silnym, więc chodź!

Ben-Hur zrzucił również wierzchnie suknie.

— Myślicie, że przyjdzie do bójkі? — rzekł spokojnie, przycięgając pasa?

— Tak.

— Z Nim?

— Ze strażą.

— Czy na straży stoją legionieści?

— Komuż, jeśli nie im mogliby Rzymianie straż powierzyć?

— Czemże walczyć będziecie?

Spojrzeli na niego, nie nie odpowiadając.

— Dobrze — mówił — i tak damy sobie radę, będziemy robić, co będzie w naszej mocy; powinniśmy jednakże mieć dowódcę, legionieści mają zawsze wodza i dlatego działają zgodnie.

Galilejczycy patrzeli ciekawie i zdało się, jakoby im ta myśl była nową.

— Przynajmniej trzymajmy się razem — rzekł — jestem gotów, a wy?

— Także, chodźmy!

Trzeba nam pamiętać, że gospoda była w Bezeta czyli w nowem mieście, i że, aby dojść do Pretorium, jak Rzymianie nazywali pałac Heroda na górze Syonu, trzeba było przejść ciasne i brudne zaułki, otaczające od północy i zachodu Świątynię. Uliczkami — jeśli je tak nazwać można — wiodącemi z północy na południe przeszli drogę, okrążyli wzgórek Azra i doszli do wieży Mariamne, skąd już prosta droga wiodła do bramy pałacu. Wśród drogi rosła gromadka, bo przyłączali się do niej i inni, oburzeni wieścią o zamierzonym świętokradztwie.

U bramy w Pretorium dowiedzieli się, że pochód rabinów i starszych świątyni co tylko tędy przeszedł; wielki i głośno lamentujący tłum ludu pozostał na zewnątrz.

Wejścia pilnował setnik z dobytym mieczem, w pełnej zbroi, stojąc u stóp pięknej marmurowej strażnicy, zaopatrzonej blankami

i piętrowymi krużgankami. Na takim właśnie krużganku stały dwa szeregi wojska, spoglądającego obojętnie na wrzaskliwy, dokoła gromadzący się tłum. Ich hełmy i tarcze pobłyskiwały w promieniach słonecznych rażącym światłem. Otwartemi podwojami brązowej bramy wchodziły całe gromady obywateli, podczas gdy dużo mniej wracało stamtąd.

— Co się tam dzieje? — zapytał jeden z Galilejczyków kogoś z wychodzących.

— Nie — odparł tenże — Rabin i stoją u bramy pałacu, pragnąc się dostać do Piłata. On się wzbrania wyjść, chociaż oświadczyli przez jednego z pośród siebie, iż nie ustąpią, póki wysłuchanymi nie będą. Czekają więc.

— Wejdźmy — rzekł Ben-Hur spokojnie, chociaż wiedział, czego zapewne nie spostrzegli jego towarzysze, że tu nietylko chodzi o nieporozumienie między przełożonymi świątyni a rządem, ale o zwycięstwo tych lub owych.

Poza bramą cały szereg drzew liściastych ocieniał liczne siedzenia, mimo to ludzie wchodzący i wychodzący wymijali umyślnie cień od drzew padający na czyste białe kamienie bruku, gdyż dziwaczne prawo rabinów nie dozwalało na jakąkolwiek zieloność wewnątrz murów Jeruzolimy. Twierdzono, że nawet najmędrszy z królów, pragnąc mieć ogród dla swej egipskiej narzeczonej, musiał go szukać poniżej łączących się dolin nad En-rogel.

Wśród drzew widać było front pałacu. Towarzysze Ben-Hura zwrócili się na prawo ku dużemu czworobokowi, na którego zachodniej stronie wznosiła się rezydencya namiestnika.

Wzburzony tłum zajął całą przestrzeń, a oczy wszystkich zwróciły się na zamknięte podwoje w obszernym umieszczone przedsionku. Przedsionek ten zajmowali legionieści. Tłum stanowił tak zbitą masę, że nowo przybyli nie mogli się mimo usiłowań naprzód precisnąć i musieli pozostać na uboczu, śledząc tylko z daleka, co dalej nastąpi. Najbliżej przedsionka, na czele tłumu, widać było wysokie turbany rabinów, których niecierpliwość udzielała się od czasu do czasu tłumowi. — Piłacie, wołali — jeśli chcesz być naszym namiestnikiem, ukaż się, wyjdź!

Jakiś człowiek z palającą od gniewu twarzą zdołał się naprzód wydostać i zawołał głośno: — Izrael nie tu nie znaczy, na tych świętych miejscach uważają nas za psów!

— Czy się wzbrania wyjść?

— Tak, już trzy razy odmówił.

— Cóż poczną rabini?

— Zapewne uczynią, jak w Cezarei — będą póty stać, póki ich nie wysłucha.

— Ażaliż ośmieli się naruszyć skarb? — spytał jeden z Galilejczyków.

— Czemużby nie? Alboż to Rzymianin nie zbezcześcił najświętszego miejsca? Alboż jest co świętego dla Rzymianina?

Minęła godzina, Piłat ani się ukazał, ani dał odpowiedź; rabini i tłum czekali dalej. Nadeszło południe a z niem deszcz; nie zmieniło to stanu rzeczy; tłum wzrastał z każdą chwilą i coraz stawał się groźniejszym. Krzyki brzmiały ciągle, a zewsząd wołano: „Wyjdz, wydź!” Słowa te brzmiały coraz gwałtowniej; dodawano do nich wyzwiska coraz to obelżywsze. Ben-Hur trzymał swych przyjaciół razem i przypuszczał, że duma Rzymianina ustąpi i że koniec sprawy już bliski. Mylił się, bo Piłat pragnął, aby mu lud dał sposobność zbrojnego wystąpienia.

Nareszcie nadeszło rozwiązanie. Naraz wśród tłumu słychać było wrzawę, bójkę, krzyki bólu i wściekłości, słowem gwałtowne zamieszanie. Rabini zbledli i z przerażeniem spoglądali wkoło siebie. Lud w głębi zgromadzony zaczął się cisnąć naprzód; ci, co byli w pośrodku, usiłowali się zeń wydostać, na krótką chwilę nacisk sił przeciwnych był straszliwy. Tysiąc głosów pytało naraz, co się dzieje? Lecz nikt nie dosłyszał odpowiedzi.

Ben-Hur nie tracił przytomności.

— Czy nie możesz dojrzeć, co się właściwie stało? — pytał jednego z Galilejczyków.

— Nie.

— Poczekaj, podniosę cię.

Mówiąc to, schwytał w pól człowieka i dźwignął go w górę.

— Cóż tam?

— Widzę — mówił podniesiony — kilku ludzi po izraelsku ubranych bije lud batami.

— Co to za jedni?

— Przebrani Rzymianie! Rzymianie z pewnością. A to machają batami jak cepami! Ha! oto przewrócili jednego rabina. — Biedny starzec! Nie oszczędzają te psy nikogo!

Ben-Hur posadził człowieka na ziemię.

— Mężowie Galilejscy! To podstęp Piłata. Jeśli mię zechcecie słuchać, pozbędziemy się tych batożników.

Właściwa Galilejczykom odwaga nie zawiodła; krzyknęli więc razem: Dobrze! dobrze! Słuchamy!

— Zawróćmy do bramy i stańmy pod drzewami a pokaże się, że, choć one wbrew prawa posadzone, przydadzą się na coś! Chodźmy! — zachęcał Ben-Hur.

Biegli co sił ku drzewom i wnet огоłocili je z gałęzi; silniejsi powyrywali je nawet z korzeniami. Tak uzbrojeni ruszyli do boju. Tłum uciekających przed batożnikami leciał na oślep ku bramie a z przed podwórza słychać było wrzask, zamieszanie, krzyk, jęki, przekleństwa.

— Na mur! — wołał Ben-Hur. — Skoczcie na mur! Pozwólcie ludziom wyjść!

Wspinając się na mur, uszli towarzysze Ben-Hura tłoku i powoli zbliżali się do przedsionka.

— Trzymajcie się razem! Za mną!

Chętnie uznali dowództwo Ben-Hura i byli mu posłuszni. Rzymianie pędzący lud, niepomалу się zdziwili, spotkawszy Galilejczyków uzbrojonych w drągi, które w ręku ludzi zwinnych stawały się istotnie niebezpiecznymi. Gdy się spotkali, zawrzała zacięta walka. Ben-Hur dokazywał cudów waleczności. Przewaga jego pobudzała do tem zacieklejszej walki jego towarzyszy; wnet też Rzymianie uciekli do przedsionka. Zapaleni Galilejczycy chcieli ich tam ścigać, ale roztropny wódz powstrzymał ich.

— Stójcie! — zawołał. — Setnik stoi tam ze strażą; uzbrojeni są w miecze i tarcze, próżna byłaby walka. Spełniliśmy naszą powinność, a teraz uchodźmy, póki droga do odwrotu otwarta.

Posłusznie poczęli się cofać, ale z wolna, bo zawadzały im stopy leżących współbraci: jedni jęczeli, drudzy błagali o pomoc, innych zmusiła śmierć do wiecznego milczenia. Między tymi nie wszyscy byli jednakże żydzi i to było pociechą obrońców nieszczęśliwego ludu.

Setnik lżył ich pogardliwemi słowami, ale Ben-Hur śmiał się i odpowiedział w swoim języku:

— Jeśliśmy żydowskimi psami, to wy rzymskimi szakalami. Poczekajcie tu na nas, zaraz wrócimy!

Galilejczycy uradowani, szli śmiejąc się za nim.

Poza bramą ujrzeni tłum, jakiego podobnego nie widział Ben-Hur nawet



w cyrku Antyocheńskim. Szczyty domów, ulice, wzgórza roiły się ludźmi modlącymi się i oczekującymi tych, którzy dotąd nie wrócili a może... nie wróca. Powietrze drgało krzykiem i przekleństwami.

Gromadka Galilejczyków przeszła przez bramę zewnętrzną furtką bez przeszkody, ale zaledwie ją minęła, ukazał się zelżony wpierw setnik z przedsionka, wołając na Ben-Hura:

— Ty zuchwalcze! Powiedz, żali jesteś Żydem, czy Rzymianinem?!

Ben-Hur odparł: Synem Judy jestem i urodziłem się w tem mieście. Czego chcesz ode mnie?

— Zostań i walcz!

— Pojedyńkiem?

— Jak chcesz!

Ben-Hur rozśmiał się wzgardliwie.

— O dzielny Rzymianinie! Godny synu rzymskiego Jowisza! Nie mam broni!

— Dam ci swoją, — odpowiedział setnik — a sam wezmę którego z żołnierzy.

Bliżej stojący słyszeli to i umilkli, wnet milczenie ogarnęło tłum cały, a Ben-Hurowi różne myśli snuły się po głowie. Co tylko w Antyocheńskim cyrku pobił Rzymianina w obliczu pysznego miasta i całego dalekiego Wschodu: miałożby mu być danem odnieść nowe zwycięstwo w oczach zgromadzonej Jerozolimy? Cożby to był za tryumf! co za zaszczyt dla niego! jaka korzyść dla nadejść mającego króla! Myśl ta była mu bodźcem, przystąpił więc do setnika i rzekł: Uczynię zadość twemu żądaniu, daj miecz i tarczę.

— A hełm i pancerz? — zapytał Rzymianin.

— Zostaw je sobie. Nie potrzebuję ich.

Broń wydano prędko, wnet i setnik był gotów.

W ciągu tych przygotowań żołnierze stojący w bramie prawie się nie ruszyli, lecz zaciekawieni czekali walki.

Wśród tłumu zaś, otaczającego walczących, rozlegały się pytania: — Co to za jeden? — I nikt nie dał odpowiedzi, bo nikt nie wiedział.

Wyższość Rzymian w sztuce wojennej polegała na trzech rzeczach, będących jej podstawą: w karności, w formowaniu legionów i w umie-

jętne użyciu krótkiego miecza. W walce nigdy nie uderzali nagle; od początku do końca szli naprzód — postępowali, posuwając się zwolna i cofali się również zwolna. Ben-Hur wiedział to wszystko. Gdy mieli zaczynać, rzekł:

— Powiedziałem, że synem Judy; ale nie rzekłem, że synem fechtmistrza gladyatora. Broń się!

Wymówiwszy te słowa, stanął w postawie zaczepnej; obaj zapasnicy przypatrywali się sobie przez chwilę poprzez tarcze, następnie Rzymianin pomknął naprzód i spróbował cięcia od dołu; Żyd rozśmiał się z niego. Dalej zamierzył się na głowę, Żyd usunął się na lewo, a jakkolwiek uderzenie było prędkie, on jeszcze szybciej uskoczył. Teraz pod podniesioną ręką przeciwnika wsunął Ben-Hur tarczę, podnosząc ją, dopóki ręka miecz dzierżąca nie została na jej wyższej części, — jeszcze jeden krok naprzód, w lewo, a cała prawa strona Rzymianina odsłoniła się. Błysk miecza... i setnik padł ciężko na piersi. Ben-Hur zwyciężył. Z nogą na plecach pokonanego, podniósł tarczę nad głowę, jako zwykli czynić gladyatorowie i skłonił się obojętnie żołnierzom u bramy.

Ludność zgromadzoną i patrzącą ogarnął szal podziwienia. Na najdalszych domach, nawet poza Ksystem, gdzie tylko słowo dolecieć mogło, powiewano chustkami, szalami i zawojami; uwielbienie dla zwycięzcy zamieniło się w zapal. Galilejczycy byliby ponieśli Ben-Hura na ramionach, gdyby był na to pozwolił.

Zanim się oddalił, zbliżył się do dowódcy straży, mówiąc: Towarzysz twój poległ śmiercią żołnierza! Zostawiam jego zwłoki, biorę miecz i tarczę, bo są moją własnością.

To rzekłszy, odszedł; a gdy się znacznie od Rzymian oddalili, rzekł do swych towarzyszy:

— Bracia, spełniliście dobrze waszą powinność. Musimy się rozłączyć, bo oto wnet zaczną was ścigać Rzymianie. Wieczorem spotkamy się przy gospodzie w Betanii. Wiele rzeczy ważnych, dotyczących izraelskiego ludu, pragnę wam opowiedzieć.

— Kimże jesteś? — pytali.

— Synem Judy — odparł krótko.

Tłum ciekawy obaczyć dowódcę i jego towarzyszy, otoczył ich wokoło, a Ben-Hur zapytał:

— Mamże was oczekiwać w Betanii?

— Przyjdziemy.

— Przynieścież mi na znak ten oto miecz i tarczę, abym was poznał.

Mówiąc te słowa, zmieszał się z tłumem i znikł z ich oczu.

Na rozkaz Piłata sprzątnięto rannych i martwe zwłoki. Wielka żałoba zapanowała między żydami; jedyną ulgą i pociechą stały się czyny nieznanego męża. Szukano go i wielbiono wszędzie, a słabnący duch narodu dźwignął się z upadku tem snadniej, że wnet po ulicach Dawidowej stolicy i w podwórzach świątyni poczęły krążyć na nowo cudowne legendy o Machabeuszach i bohaterach Judy. Tysiące przybyłych na uroczystości krzepiło ducha, tysiące szeptało:

— Maluczko, maluczko, bracia, a Izrael wróci do praw swoich. Miejmy cierpliwość i ufność w Panu.

W ten sposób otrzymał Ben-Hur przewagę w Galilei, torując sobie drogę do większych czynów w służbie przyszłego króla. O ile i z jakim skutkiem to osiągnął, zobaczymy.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Stósownie do umowy, zgromadzili się mężowie galilejscy w gospodarstwie w Betanii, skąd udał się Ben-Hur z swoimi towarzyszami do Galilei, gdzie go poprzedziła sława czynów na starym rynku jerozolimskim. Jeszcze w zimie zgromadzał i wyćwiczał trzy legiony żołnierzy na sposób rzymski. Byłby mógł uczynić i zebrać znacznie więcej ludzi, bo duch narodu wielce był ożywiony, ale obawiał się gromadzeniem większych mas ludzi zbudzić czujność Rzymu i Heroda. Poprzestał na razie na tych trzech legiach, dokładając wszelkich starań, aby je jak najlepiej wyćwiczyć i do systematycznej działalności przystosować. W tym celu zgromadził naczelników w okręgu Trachonitis, dla pokładów lawy mniej zaludnionym, i tam sam ich uczył robić broń, dziryt, miecz, jakoteż ruchów i zwrotów używanych

w kierowaniu legionem. Tak wyćwiczonych i przygotowanych żołnierzy rozesłał wódz po całym kraju, aby z kolei oni byli nauczycielami.

Wkrótce Galilea upodobała sobie w wojennem rzemiośle. Któż zdoła wypowiedzieć, ile cierpliwości i zręczności rozwinął Ben-Hur. Kto oceni jego zdolności i poświęcenie! A jednak bez tych przymiotów nikt wielkiego dzieła nie zdolen dokonać.

Nikt też nie sprostął młodemu wodzowi ani w pracy, ani w zaparciu się samego siebie. Nie zmniejszy to jednak jego zasługi, gdy przyznamy równie wielkie znaczenie pomocy Simonidesa, dostarczającego, czy to pieniędzy, czy broni, nie mówiąc już o Ilderimie, który wiernie stróżował na granicy, i dostarczał żywności... Gdy tak dzielnymi byli dowódcy, niemniejszym musiał być zapal podwładnych.

Galileą nazywano ziemię rozdzieloną między cztery pokolenia: Azer, Zabulon, Izachar i Neftali. Żyd w pobliżu świątyni urodzony gardził swymi współbraćmi z dalszych okolic, a nawet Talmud tak się wyraża: „Galijejczyk kocha sławę, Żyd pieniądze.“

Mieszkańcy Galilei o tyle nienawidzili Rzymian, o ile miłowali swą ojczyznę; nie więc dziwnego, że pierwsi zwykle podnosili sztandar powstania i ostatni go opuszczali. Sto pięćdziesiąt tysięcy galilejskiej młodzieży padło w ostatniej wojnie z Rzymem. W praktykach religijnych byli swobodni i wolnomyślni; nie unikając stosunków z poganami, nie zaniedbywali jednak przepisów Mojżesza i tłumnie przybywali do Jerozolimy na uroczystości. Wtedy rozpinali namioty i palili ogniska na wzgórzach, na podobieństwo wojennego obozu. Szczycili się pięknymi miastami jak Seforis i Tiberias, które Heród na sposób rzymski urządził, w czem mu mieszkańcy Galilei chętnie pomogli. Z resztą świata żyli w zgodzie, uważając wszystkich za współobywateli. Nie brakło też tej prowincyi wielkich ludzi i proroków, co się do chwały imienia hebrejskiego przyczynili, jak śpiewak „Pieśni nad pieśniami“ i prorok Hozeasz. Że wielkie wrażenie na taki naród żywy, dumny, odważny i pełen poświęcenia, wywrzeć musiała wieść o nowym królu, łatwo sobie wyobrazić można. Dość im było wiedzieć, że przyjdzie zburzyć i pokonać Rzym, aby szli pod chorągiew Ben-Hura; a cóż popiero, gdy się dowiedzieli, że przyjdzie rządzić światem i będzie potężniejszym od Cezara, wspaniałomyślniejszym od Salomona,

panowanie zaś jego trwać będzie wiecznie. Na takie wezwanie spieczyli wszyscy, oddając się duszą i ciałem sprawie. Gdy pytali Ben-Hura, skąd wie to wszystko, odwoływał się na proroków i opowiadał o Baltazarze, który w Antyochii oczekuje Mesyasza. To było dość dla sere gorących, którym stara tradycja o Mesyaszu równie była znana i drogą jak Imię Pana. Dusze ich drgały świętą radością na myśl, że nadzieje ich spełnią się wkrótce, bo oto Król nie tylko ma przyjść, ale jest już w bliskości.

Tak minęła zima, i nadeszła wiosna wraz z łagodnymi powiewami od morza. Czas ten zeszedł wodzowi na ciężkiej pracy i śmiało mógł powiedzieć: Niech przyhywa król, dość będzie zaprawdę, gdy powie, kędy chce tron postawić, starczy nam mieczy, aby mu go zdobyć.

Cały ten czas, znano go tylko pod imieniem syna Judy.

Pewnego wieczoru w Trachonitis siedział Ben-Hur wraz z kilku Galilejczykami u wejścia pieczary, którą zamieszkiwał.

Od pustyni nadjechał goniec arabski i oddał mu list. Otworzywszy zwój, czytał:

„Jerozolima IV Nisan.

„Powstał prorok, którego mienią Eliaszem. Długie lata przebył „na pustyni, a oto w naszych oczach urósł na proroka, bo świadczy „o nim mowa jego. Zapowiada przyjście większego od siebie, co ukaże „się w niewiele dni, a on Go czeka u wschodnich brzegów Jordanu. „Widziałem i słyszałem Go mówiącego. Ten, którego się spodziewa, nie „jest-li królem, którego oczekujesz? — Przybądź i osądź.

„Cała Jerozolima spieszy do proroka, a gdy spożyysz na tłumy, to „miejsce jego przebywania zda ci się jakoby Góra oliwna czasu „Wielkiejnocy.

Malluch.“

Twarz Ben-Hura zajaśniała radością.

— Przyjaciele! Oto wiadomość, na którą tak długo czekaliśmy: oto zjawił się przesłaniec Króla i oznajmia Go.

Przeczytał im list, a serca wszystkich napełniły się radością.

— Bądźcie w pogotowiu! — dodał. — Jutro rano udajcie się w drogę do domu; skoro tam staniecie, poślijcie po waszych podwładnych i każcie im być w pogotowiu. Ja zaś pójdę zobaczyć, czy król blizkim jest, i zdam wam sprawę.

Wszedłszy do pieczary, napisał listy do Ilderima i Simonidesa, opisując, co widział i donosząc o swej podróży do Jerozolimy. Listy wyprawił przez gońców, a gdy noc zapadła i zeszły gwiazdy, co mu drogę wskazywać miały, dosiadł konia i z przewodnikiem Arabem ruszył ku Jordanowi traktem między Damaszkiem i Rabbat Amon.

Przewodnik był pewny, Aldebaran szybki, to też około północy byli daleko poza krainą lawy i spieszyli ku południowi.

Życzeniem Ben-Hura było zboczyć przed świtem z drogi, aby odpocząć gdzie w zacisznym miejscu; tymczasem brzask poranny zastał go jeszcze w pustyni i zmusił do dalszej podróży. Przewodnik pocieszał go obietnicą doliny, otoczonej skałami, ze źródłem, drzewami morwowemi i paszą dla koni.

Jechał, rozmyślając nad cudownymi zdarzeniami, które wkrótce stać się miały rzeczywistością, o zmianach, jakie musiały nastąpić w sprawach ludzi i narodów. Wtem przewodnik, zawsze niezmiernie baczny, zwrócił uwagę jego, że za nimi w niedalekiej odległości ktoś jedzie. Wkoło nich ścieliła się pustynia falami piasku, co się od światła lekkim złociły odbłaskiem, zresztą nigdzie krzewu, ni zieloności. Po lewej stronie, w oddali, widać było długi łańcuch gór. Na takiej przestrzeni nie mogło ujść wzroku podróżnych.

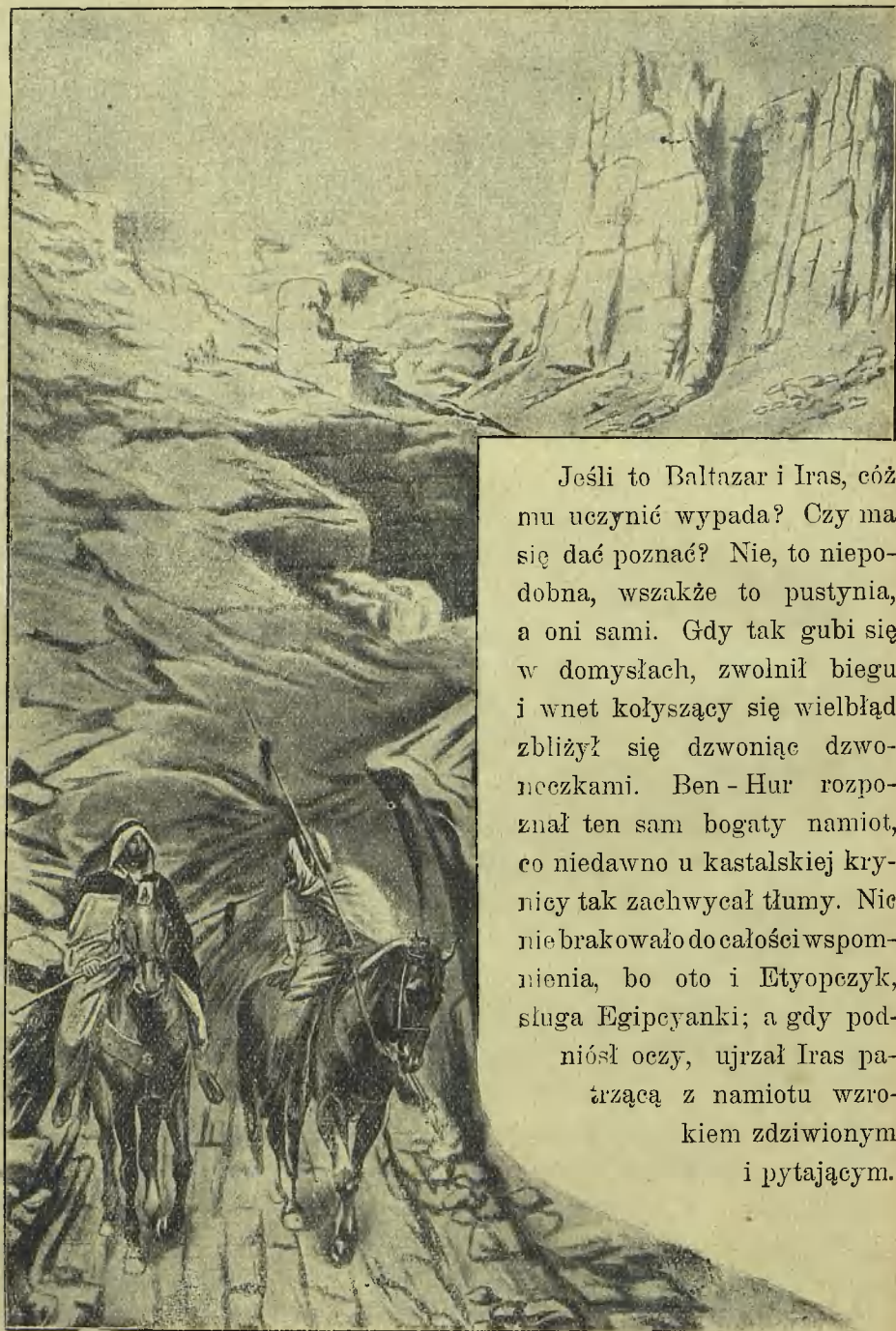
— To wielbłąd i jeźdźcy — rzekł przewodnik.

— Czy jest ich więcej? — zapytał Ben-Hur.

— Nie, tylko jeden wielbłąd i jeden człowiek konny, — to zapewne przewodnik.

Wkrótce już i Ben-Hur zobaczył białego wielbłąda, a ten przypomniał mu cudowne zwierzę, które Baitazara i Iras przyniosło do źródła w gaju Dafny.

Wszak trudnoby znaleźć drugie takie zwierzę. Myśl jego zwróciła się do pięknej Egipcjanki, a bieg konia mimowolnie stał się o tyle powolniejszym, że niebawem mógł rozpoznać zasłonięty baldachin i dwie w nim siedzące osoby.



Jeśli to Baltazar i Iras, cóż mu uczynić wypada? Czy ma się dać poznać? Nie, to niepodobna, wszakże to pustynia, a oni sami. Gdy tak gubi się w domysłach, zwolnił biegu i wnet kołyszący się wielbłąd zbliżył się dzwoniąc dzwoneczkami. Ben-Hur rozpoznał ten sam bogaty namiot, co niedawno u kastalskiej krynicy tak zachwycił tłumy. Nie brakowało do całości wspomnienia, bo oto i Etyopezyk, sługa Egipcjanki; a gdy podniósł oczy, ujrzał Iras parzącą z namiotu wzrokiem zdziwionym i pytającym.

— Błogosławieństwo prawdziwego Boga niech będzie z tobą! — rzekł Baltazar drżącym głosem.

— Pokój Pana niechaj towarzyszy tobie i twoim! — odparł Ben-Hur.

— Oczy moje osłabiły lata — rzekł Baltazar — ale przecież poznaję w tobie syna Hurów, znajomego gościa z namiotu Ilderima Dobrotliwego!

— A tyś Baltazar, mądry Egipcyanin, którego opowiadanie, tyżące w przyszłości rzeczy Świętych, ma związek z moją na tych miejscach obecnością. Powiedz, co ciebie tu sprowadza?

— Kto z Bogiem, ten nigdy nie jest samotnym ani opuszczonym, bo Bóg jest wszędzie — odparł Baltazar. — W odpowiedzi na twoje pytanie dodam, że za nami idzie karawana, udająca się na Jerozolimę do Aleksandryi, dokąd także podążam. Przyłączyłem się do owej karawany, lecz dziś, znudzony jej wolnym pochodem, gdyż ma eskortę rzymskiej kohorty, wstaliśmy wcześniej i puścili się naprzód. Rabusiów nie potrzebujemy się lękać, mając sygnet Ilderima a opieka Boga chroni od dzikich zwierząt.

Ben-Hur skłonił się i rzekł: Sygnet Ilderima zapewnia ci bezpieczeństwo na całej pustyni, a jakże chyżym musiałby być lew, któryby doścignął tego króla wielbłądów.

Mówiąc to, głaskał szyję wiernego zwierzęcia.

— Przecież — ozwała się Iras z wdzięcznym uśmiechem — przecież i jemu byłoby przyjemniej zakończyć post; wszak i królowie bywają głodni. Jeśliś, młodzieńcze, jest Ben-Hurem, o którym ojciec mój wspomniał, a ja we wdzięcznej przechowuję pamięci, to wskaż nam drogę do źródła, kędybyśmy spożyć mogli śniadanie.

Ben-Hur nie opóźnił się z odpowiedzią.

— Cierpię wraz z tobą, piękna Egipcyanko. Jeszcze chwilę cierpliwości, a będziemy u źródła, u którego pragniesz spoczynku; znajdziesz tam napój równie miły i chłodzący, jako u źródeł Kastalii, a teraz spieszmy po twojej woli.

Ben-Hur sunął naprzód wraz z przewodnikiem, bo jedną z nieprzyjemności jazdy wielbłądem jest konieczność przerwania rozmowy.

Po jakimś czasie spuściło się całe grono podróżnych do wilgotnego parowu, którym przewodnik sprowadził ich aż na dół. Dno

parowu było wilgotne od niedawnego deszczu, a ściany zrazu bardzo spadziste; zwolna parów się rozszerzał, a ze skalistych jego ścian spadały bystre potoki. Wreszcie, przeszedłszy wązki przesmyk, weszli podróżni w piękną dolinę, a tem piękniejszą dla tych, co dopiero opuścili krainę żółtego piasku. Dla nich ta zielona przystań miała urok odnalezionego raju! Białe wstęgi wijących się tu i owdzie potoków, niby siatka przejrzysta, tworzyły wyspy pełne świeżej zieloności. Kilka oleandrów zabłąkało się tu z doliny Jordanu, zdobiąc to ustronne miejsce przepychem swych kwiatów. Jedna, samotna palma królowała nad całym otoczeniem; podnóża jednak skał obrosły dzikim winem, w szczelinie zaś wyrosło drzewo morwowe osłaniając tak upragnione źródło. Do tej krynicy wiódł przewodnik podróżnych, nie zważając na pisk kuropatw i mniejszych świetniej upierzonych ptaszków, co przed nim pierzchały.

Woda tryskała ze szczeliny w skale; wyraźnie jednak otwór ten pogłębiła czyjaś ręka, zapewne też sama, co powyżej źródła wyźłobiła hebrajskimi literami słowo „Bóg“. Woda płynęła z szumem po głązach mchem obrosłych, tworząc poniżej niewielką sadzawkę, czystą jak kryształ. Z tego małego zbiornika wyrwał się potok, co długą wstęgą przepływał dolinę, orzeźwiając trawy i drzewa, póki nie wsiąknął w suchy i spragniony piasek sąsiedniej pustyni. Koło sadzawki znać było kilka wydeptanych ścieżek, zresztą całą przestrzeń pokrywała bujna trawa, którą przewodnik tak dawno obiecywał i której świeżość upewniała o zupełnem bezpieczeństwie tego ustronia. Konie puszczono na paszę, Etyopezyk pomógł zsiąść Baltazarowi z kłęzącego wielbłąda, a starzec zwróciwszy się ku Wschodowi, złożył ręce na piersi i gorąco się modlił.

— Przynieś kubek — rzekła niecierpliwie Iras, zwracając się do Etyopezyka.

Niewolnik przyniósł wnet z namiotu kryształowy kubek, poczem kobieta ozwała się do Ben-Hura:

— Usłużę ci.

Poszli razem ku źródłu, a gdy młodzieniec chciał dla niej zacerpnąć wody, nie pozwoliła na to... lecz sama napełniła kubek wodą, poczem go podała Ben-Hurowi.

Nie wypiję — rzekł zarumieniony. Zanim zdołał coś więcej powiedzieć, zbliżył się Baltazar:

— Wiele wdzięczności winniśmy ci, synu Hurów — rzekł poważnie. — Dolina ta piękna jest; trawa, drzewa, cień zapraszają do spoczynku, a źródło lśni jak poruszany dyament, sławiąc miłość Boga. Nie poprzestanę na samej podziękę; chodź, usiądź z nami i spróbuj naszego chleba.

— Pozwól, niechaj ci posłużę — rzekł Ben-Hur, napełniając kubek i podając go Baltazarowi, który wzniosł oczy z dziękczynieniem.



Niewolnik przyniósł obrusy. Obmywszy ręce, usiedli wschodnim sposobem pod tym samym namiotem, co przed laty służył mędrcom na pustyni. Spożywali w dobrej myśli przysmaki wyjęte z ładunków zawieszonych po bokach wielbłąda.

Namiot rozłożono u stóp drzewa w pobliżu szumiącego strumienia, cisza była w przyrodzie, liście nie drgały, czerwone pnie stały bez ruchu, a wszystko émiła perłowa mgła, niby zasłona rozścielona i wzywająca do spoczynku. Czasem tylko zabrzęczała pszczoła, lub zapiszczała kuropatwa, szukając swych piskląt. Uroczy spokój doliny, świeżość powietrza, piękność otoczenia i jakaś jakby świąteczna i uroczysta cisza wpłynęły snąć na umysł starca; głos jego, ruchy i cały sposób obejścia tełnęły łagodnością; ile zaś razy zwrócił oczy na młodzieńca rozmawiającego z Iras, znać w nich było odbłysek litości.

— Gdyśmy cię spotkali, synu Hura — rzekł przy końcu uczty — twarz twoja zdała mi się być zwróconą ku Jerozolinie. Mogę się spytać, czyli tam dotąd wiedzie cię droga?

— Tak jest, celem mej podróży jest święte miasto.

— Muszę szczerdzić sił moich i dlatego zapytuję cię, czy nie znasz jakiej krótszej drogi jak na Rabbath-Ammon?

— Jest krótsza, przez Gerasę na Rabbath Gilead, ale gorsza; jednak, co do mnie, to ją obieram.

— Pelen jestem niecierpliwości — rzekł Baltazar — bo od jakiegoś czasu nawiedzają mnie sny, a raczej jeden sen, który się często powtarza. Głos jakiś woła na mnie: Spiesz, wstawaj! Ten, którego od tak dawna oczekujesz, jest w bliskości.

— Myślisz, ojcze, o Tym, który się urodził Król żydowski? — pytał młodzieniec, patrząc ze zdziwieniem na Egipcyanina.

— Tak.

— Nie słyszałeś nic o Nim?

— Nie prócz głosu we śnie.

— Tymczasem są wiadomości, które cię ucieszą, jako mnie ucieszyły.

Mówiąc to, wyjął Ben-Hur z za sukni list Mallucha, a Egipcyanin wyciągnął po niego drżącą rękę. W miarę czytania wzruszenie jego

rosło, żyły na szyi krwią nabiegaly. Gdy skończył, wznosił dziękczynne oczy ku niebu i modlił się, ani pytając, ani wątpiąc.

— Jakże łaskawym jesteś dla mnie, o Panie! — mówił. — Pozwól, abym jeszcze mógł ujrzeć Zbawiciela, oddać Mu cześć, a potem sługa Twój odejdzie w pokoju!

Słowa, zachowanie, dziwna i uroczysta postać modlącego się wywarły na Ben-Hurze podniosłe wrażenie. Nigdy nie czuł Boga tak rzeczywistym i blizkim; była chwila, w której go czuł jakby obecnym. Wydał mu się to przyjacielem, którego dość prosić, aby wysłuchał; to ojcem kochającym swe dzieci zarówno, — ojcem tak Żydów jak pogan, ojcem, który czyni zadość prośbom wszystkich ludzi. Myśl, że ten Bóg zsyła dla świata Zbawiciela zamiast króla, ukazała się teraz młodzieńcowi w innem i zupełnie nowem świetle, tak jasno i wyraźnie, że zdawał się pojmować znaczenie nie tylko poselstwa, ale nawet naturę Bóstwa. Nie mógł więc powstrzymać się od zapytania:

— Czy i teraz, kiedy Król już jest, sądzisz zawsze, iż jest raczej Zbawicielem niż Królem?

Baltazar spojrzał nań poważnie, ze wzruszeniem, potem rzekł:

— O co właściwie pytasz mnie? Ducha, co był Gwiazdą i wiódł mnie niegdyś, nie widziałem od dnia, w którym cię spotkałem pod namiotem Ilderima; to jest, nim go widział, ani słyszał zmysłami memi. Wierzę mimo to, że głos słyszany we śnie pochodzi od Niego, innego objawienia nie mam!

— Pozwól, abym ci przypomniał ów spór, który między nami powstał — odezwał się Ben-Hur z głębokiem uszanowaniem. — Twierdziłeś wówczas, iż będzie Królem, ale nie takim jak Cezar; wierzyłeś również, że Jego władza będzie raczej duchową niż światową.

— Jest, jakoś rzekł — odparł Egipcjanin — i dziś wierzę tak samo. Jest różnica w naszym zapatrywaniu, ty oczekujesz króla według pojęcia ludzi, ja króla dusz.

Zatrzymał się jak człowiek, który nie dość jasno, nie dość wyraźnie myśl pewną może wyrazić.

— Pozwól, synu Hura, abym ci moją wiarę objaśnił, a może pojmiesz łatwiej, czemu ta Istota, ten Założyciel królestwa, którego pragnę i oczekuję, taki we mnie zapalał roznieca. Wyobrażam sobie,

że to Królestwo będzie najdoskonalszem dziełem, wyższem nad wszelkie ziemskie i cesarskie królestwa i władze.

Kiedy powstało pojęcie duszy, nie mogę ci powiedzieć, prawdopodobnie unieśli je pierwsi nasi rodzice z owego ogrodu, co był ich pierwszym mieszkaniem. Wiemy też wszyscy, że to pojęcie nigdy się całkowicie nie zatarło. Były narody, które je zatraciły; były chwile dziejowe, w których bladło, słabło; były inne, w których je otoczyły ciemności i mgły. Wtedy Pan w Swej niezmierzonej dobroci zsyłał nam nadzwyczajnych ludzi, by ożywili naszą wiarę i nadzieję.

Dlaczego każdy człowiek otrzymał duszę? Przypatrz się, synu Hura, i zastanów chwilę nad koniecznością istnienia duszy. Nie było nigdy czasu, w którymby ludzie myśleli, że dość się położyć, umrzeć i nie istnieć więcej; co ważniejsza, nigdy ludzie nie pragnęli takiego zakończenia swego bytu. Dalej, nie było nigdy człowieka, któryby nie marzył, nie obiecywał sobie jakiejś lepszej doli. Pomniki wszystkich narodów protestują przeciw nicestwu śmierci; posągi, napisy, dzieje, słowem — wszystko. Najpotężniejszy z naszych egipskich króli kazał wykuć w skale podobiznę swej postaci; dzień w dzień jeździł wraz z orszakiem oglądać, o ile postępuje dzieło. Nareszcie skończono je, a żaden pomnik, ludzką wykonany ręką, nie był tak trwały, wielki i niepodpadający zniszczeniu. Co więcej, olbrzymi kolos miał rysy i wyraz króla. Żaliż nie możemy przypuścić, iż ten potężny władca mógł wówczas powiedzieć: Niech przyjdzie śmierć! bo zaiste i za grobem żyć będę. — Życzenie to spełniło się, a pomnik stoi do dziś jako stał wówczas.

I jakimże jest to życie pozagrobowe, które sobie tak zapewnił? To tylko pamięć ludzka! Sława tak przemijająca, jak światło księżyca, co ten pomnik oświeca; historia wykuta w kamieniu i nie więcej. A z królem... cóż się stało z królem? W grobach królewskich jest zabalsamowane ciało, co niegdyś było jego ciałem. Nie jest to za prawdę obraz tak piękny, jak ten, co stoi w pustyni. Gdzież jednakże, synu Hura, jest król? Dwa tysiące lat temu, jak żył, tak jak ty i ja. Czyliż ostatnie jego technienie było jego końcem?

Gdybym na to pytanie śmiał odpowiedzieć twierdząco, obraziłbym Boga. Wierzę więc w życie po śmierci, będące dalszym cią-

giem naszego życia na ziemi, w życie rzeczywiste nietylko w pamięci śmiertelnych; słowem, otrzymujemy, gdy żyć zaczynamy, duszę nieśmiertelną. W tem jest konieczność rzeczy.

Ale na teraz zostawmy na uboczu to pojęcie o konieczności, a zastanówmy się raczej, jak myśl nieśmiertelności słodką jest pociechą temu, co żegna tę ziemię. Wobec niej, gdzież jest strach przed zgonem? Wszak zmienimy gorsze na lepsze; pogrzebanie zaś, to nasienie, z któ-



rego nowe wyrośnie życie. Patrz na mnie, wiek osłabił moje siły, jestem zmęczony, stary, znękany. Przypatrz się zniszczonej twarzy, posłuchaj ostrego i chrypliwego głosu, ileż szczęścia dla mnie w obietnicy, że gdy grób się otworzy, aby pokryć zniszczoną duszy mojej powłokę, otworzą się wnet niewidzialne podwoje świata, który jest pałacem Boga, otworzą się szeroko, aby przyjąć mnie, moją uwolnioną, nieśmiertelną duszę!

Czemuż nie jestem zdolny wypowiedzieć zachwyty duszy, która z doczesności przejdzie w wieczność! Nie waż się mówić mi, że tej

wieczności nie znam, bo tyle wiem, i to mi wystarcza, że mieć duszę, to mieć udział w boskich przymiotach, to stać się doskonałą istotą, która już nie popełni nic niegodnego, pył ziemskiej zmazy nie dotknie jej, lżejszą jest od powietrza, przezroczystsza niż światło, a życie jej — czystością.

Pocóż, wiedząc tyle, synu Hura, mam dalej z sobą czy z tobą wieść spór o resztę, o kształt duszy, jej mieszkanie, czy je i pije, czy ma skrzydła, a ubiera się w to lub owo? Zaiste? po co to czynić? czemu raczej nie wierzyć Bogu? Wszelkie piękno tego świata z Jego pochodzi ręki, świadcząc o doskonałości Jego samego. On jest twórcą wszelkiego kształtu, On stroi lilie, ubarwia różę, skrapia kwiaty rosą, jego dziełem jest harmonia w przyrodzie, bo On ją z tysiąca dźwięków złożył. Jednem słowem, On stworzył nasze życie doczesne i dał mu pewne warunki, które dla mnie są dostatecznym zadatkiem przyszłości, której oczekuję z zaufaniem dziecięcia; Jemu polecam mą duszę i jej życie po śmierci, gdyż On kocha mnie.

Tu zatrzymał się czeigodny starzec, pijąc podaną wpierw przez Ben-Hura wodę, a ręka, którą podnosił kubek do ust, drżała; Iras i młodzieniec dzielili jego uczucia w milezeniu. Światło zaczęło działać na umysł Izraelity, zaczynał lepiej pojmować, że królestwo czysto duchowe mogło być ważniejszym dla ludzkości niż ziemskie, a zesłanie Zbawiciela było stokroć godniejszym darem Boskiej ręki, niż gdyby dał ziemi najpotężniejszego króla.

— Mógłbym cię jeszcze zapytać — mówił Baltazar dalej — żali to życie tak krótkie i pełne utrapień, lepszem jest od życia doskonałego i wiecznego duszy? Zadaj sobie to pytanie i pomyśl nad niem, a mianowicie zapytaj, które z nich lepsze, choćby oba równie były smętne, czy życie, co trwa godzinę, czy to, co trwa rok. Idąc dalej, zwróć się do ostatecznego pytania: czemuż jest siedm lub ośm dziesiątek lat w porównaniu z wiecznością?

Rozmyślając w ten sposób, dojdiesz do zrozumienia tego rzeczywistego faktu, o którym chcę mówić i który mi się najsmutniejszym w swych skutkach wydaje. Faktem tym jest zupełne zapomnienie ludzkości o życiu duszy. Gdziekolwiek spotkasz filozofa, który mówić będzie o duszy i postawi prawo, które nie z wiarą nie mając współ-

nego, nie uzna duszy za odrębną od ciała istotę, a tak on sam jak i jego zwolennicy pozostaną w ciemnościach.

Wszelkie żyjące stworzenie ma umysł stosownie do swych potrzeb rozwinięty; zastanowiłżeś się kiedy nad tym szczegółem, że jeden tylko człowiek może obmyślić swą przyszłość? Wierzę, że Bóg dając nam tę zdolność, chciał wskazać, żeśmy do lepszego stworzeni życia, i właśnie nadzieja jest największą potrzebą naszego bytu, naszej natury. A jednak, jakże, niestety, upadła ludzkość! Żyją z dnia na dzień, jak gdyby teraźniejszość wszystkiem była i mówią: „niema życia po śmierci; zresztą, gdyby nawet było, gdy nie o niem nie wiemy, czegoż się troszczyć?“ To też, gdy śmierć ich zaskoczy, wołając: „chodź!“ nie posiedzą zaprawdę zagrobowej rozkoszy dla swej niegodziwości. Biada im, bo ostatnią szczęśliwością człowieka, to wieczne życie z Bogiem. Ah! czemuż, synu Hurów, mówić to muszę! Czemuż ludzie oddani ziemskiemu życiu, zapominają o niebieskiem i przyszłym i chcą być jako zwierzęta? Nakoniec, powiem ci jeszcze, a może zrozumiesz, co znaczy być zbawionym; powiem z całym przeświadczeniem, że nie dałbym jednej godziny życia wiecznego za tysiąc lat życia na ziemi.

Egiptyanin, mówiąc to, zdawał się zapominać o swem otoczeniu i oderwał się od wszystkiego, co ziemskie.

Życie na ziemi ma swoje zagadnienia — mówił po chwili odpoczynku — i są ludzie, co trawia dnie żywota swego nad ich rozwiązaniem, — czemuż są one wobec zagadnień późniejszych? Cóż się równać może ze znajomością Boga? Wnet dla mnie nie będzie tajemnic! Najsobtelniejsze i najstraszniejsze zostaną odsłonięte! Potęga, przed którą drżymy, puste miejsca napełnione ciemnością i nicością, co trwożą świat, przestaną być straszliwymi. Wszystkie przepaści będą otwartymi, napełni je Boska wiedza, ujrzę chwałę Boga, dotknę się wszelkich rozkoszy i odrodzę się w mej istności. Skoro godzina nadejdzie, powie Pan: Pójdź w moją służbę na zawsze! — Spełnią się me pragnienia, wszelkie marzenia i rozkosze życia tego nie zaważą ani tyle, co brzęk małych dzwoneczków.

Tu wstrzymał się Baltazar, jakby dla odpoczynku i jakby zapomniał o wszystkich.

— Daruj, synu Hurów — ciągnął dalej, pochylając głowę z powagą — daruj, żeś zbyt długo mówił. Chciałem cię pobu-

dzie do rozmyślania nad życiem duszy, nad warunkami tego życia, jego pięknnością i dostojnością. Radość, co takiej myśli towarzyszy, uniosła mnie i zapragnąłem choć nieudolnie odkryć powód mej wiary. Czemuż nie dano mi lepiej tego uczynić? Tak, synu Hurów, szukaj sam prawdy, zważ najpierw doskonałość istnienia, które nam po śmierci zgotowano; rozważ uczucia i postanowienia, które myśl ta wzbudzi w twem sercu. Rozważ je, mówię, gdyż będą one drzeniem twej własnej duszy, usiłującej cię naprowadzić na prawdziwą drogę. Rozważ, że życie po śmierci jest dlatego tak ciemne, aby usprawiedliwić nazwę, którą mu dajemy, zwąc je utraconem światłem. Tak, szukaj tego światła; a gdy je znajdziesz, ciesz się, synu Hurów, ciesz się, jak ja się raduję, choć jestem nieudolny. Wtedy bowiem, wtedy dopiero zrozumiesz, że większym będzie darem przyjście tego Zbawiciela dusz, niż zesłanie Króla. Wtedy Ten, na którego spotkanie dążymy, będzie w twych myślach przytomnym nie jako wojownik z mieczem, ani monarcha z koroną. A teraz pozwól, że zadam jeszcze jedno proste pytanie: Jakże Go poznamy? Jeśli dotąd myślisz, że będzie królem jak Heród, to będziesz oczekiwał człowieka odzianego w purpurę i z berłem w rękę. Innym jest Ten, którego z utęsknieniem oczekuję. Postać Jego skromna, podobna do innych ludzi we wszystkim, a znak, po którym Go poznam, nie będzie również nadzwyczajnym, ale wskaże mnie i całemu rodowi ludzkiemu drogę do żywota wiecznego, do żywota czystego, pięknego, żywota duszy!

Cisza panowała wokoło; przerwał ją po chwili Baltazar, mówiąc:

— Wstańmy i idźmy dalej. Słowa, które rzekłem, zbudziły niecierpliwość ujrzenia Tego, o którym zawsze myślę; a jeżeli zanadto was nagle, ciebie, synu Hurów, i ciebie, córko moja, daruje mi i wyrozumiecie mą tęsknotę.

Na znak starca, niewolnik przyniósł wino w bukłaku. Napiwszy się strzepnęli serwety i wstali. W czasie, kiedy niewolnik rozbierał namiot i pakował rzeczy, umyli ręce i wkrótce zabrali się w drogę ku głównemu traktowi. Wnet też dogonili karawanę i przyłączyli się do niej. Jednakże Baltazar począł się wolnym jej pochodem niecierpliwie i postanowił z towarzystwem swoim ruszyć naprzód.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Trzeciego dnia drogi, znajomi nam podróżni zatrzymali się w samo południe u rzeki Dżabok, gdzie już zastali ze stu lub więcej ludzi odpoczywających wraz ze zwierzętami. Zaledwie usiedli, zbliżył się do nich jeden z podróżnych z dzbanem wody i częstował ich.



Przyjęli i podziękowali za uprzejmość, ale nieznajomy przypatrując się wielbładowi, zagadnął: Wracam od Jordanu, gdzie wielu zebrało się ludzi z dalekich stron przybyłych, ale napróżnoby tam szukać równie pięknego zwierzęcia. Szlachetne to zwierzę; czy mogę zapytać, jakiej rasy?

Baltazar zaspokoił ciekawość podróżnego, poczem szukał kędyby spocząć; Ben-Hur, ciekawszy i żywszy pytał dalej: gdzie gromadzi się lud nad Jordanem?

— Pod Betabara.

— To odludne pustkowia — rzekł Ben-Hur — nie wiem co tam może przyciągać ludzi.

— Widzę — odparł nieznajomy — że z daleka jesteście, kiedy wam obca dobra nowina.

— Jaka nowina?

— Przybył człowiek z pustyni — święty to mąż — na ustach jego dziwne brzmią słowa, a głosi naukę, którą zachwyca wszystkich. Mieni się synem Zacharyaszowym i mówi, że jest wysłańcem Mesjasza.

Nawet Iras słuchała z zajęciem tej mowy.

— Mówią o tym Janie, że całe dzieciństwo przebył na pustyni, w jaskini koło Engadi, modląc się i żyjąc wstrzemięźliwiej od Eseńczyków. Ponieważ tłumy idą go słuchać, gdy każe, i ja tam poszedłem z innymi.

— Czy ci, których tu widzimy, byli z tobą?

— Wielu wraca stamtąd, wielu tam dotąd dąży.

— Czego ów mąż naucza?

— Głosi nową naukę, naukę, której nigdy nie słyszano w Izraelu — tak mówią wszyscy. — On zwie ją wezwaniem do pokuty i chrztu. Rabini nie wiedzą, co z nim począć, a cóż my wiedzieć możemy? Jedni pytali go, żali jest Chrystusem? inni, żali Eliaszem? On zaś wszystkim odpowiada: Jam głos wołającego na puszczy. Czyńcie prostemi ścieżki Pana.

Gdy nieznajomy miał się ku odejściu, towarzysze podróży wstrzymali go, a Baltazar rzekł: Cny mężu, powiedz nam, kędy znajdziemy kaznodzieję, a raczej, kędyś go zostawił?

— Tam, w pobliżu Betabara.

— Kimże może być ten kaznodzieja — mówił Ben-Hur do Iras — jeśli nie wysłannikiem naszego króla?

Baltazar wstał z błyszczącymi oczami, jakby nowe wstąpiło w niego życie.

— Spieszmy, nie czuję zmęczenia.

Wstali i spieszyli, aż nie zatrzymali się na nocleg na zachód od Ramath-Gilead.

— Jutro wstaniemy rychło, synu Hura — rzekł starzec, idąc na spoczynek. — Zbawiciel przyjsz może, a nas tam nie będzie.

Nazajutrz około trzeciej godziny, wyszli z wąwozu, który się ciągnie wzdłuż góry Gilead i znaleźli się na pustym stepie, na wschód od świętej rzeki. Po drugiej stronie ujrzeli górną część wzgórz jerozolimskich, porośłych drzewami palmowymi, ciągnących się aż do wzgórz Judei. Serce Ben-Hura zabiło żywiej, bo spostrzegł, że już są w pobliżu brodu.

— Ciesz się Baltazarze — rzekł — bo prawie już jesteśmy u celu.

Przewodnik przynaglał wielbłąda i wnet ujrzeli namioty, chaty i powiązane zwierzęta juczne; u rzeki po obu brzegach stało mnóstwo ludzi. To zgromadzenie znaczyło, że kaznodzieja mówi właśnie. Nasi podróżni pragnęli nie opuścić sposobności i pospieszali, o ile się dało. Niestety, zaledwo się zbliżyli, tłum słuchający zaczął się w różne rozpierzchać strony.

Czyliżby przybyli zapóźno?

— Stańmy tu — rzekł Ben-Hur do Baltazara, załamującego z rozpaczy ręce — może prorok tędy pójdzie.

Ludzie, którym danem było słyszeć kazanie, tak byli tem, co słyszeli, zajęci, że albo o tych wzniosłych rzeczach myśleli, lub o nich rozmawiali, nie zwracając bynajmniej uwagi na nowoprzybyłych. Setki ludzi minęły naszych znajomych obojętnie, którzy poczęli już wątpić, czy tym razem usłyszą lub ujrzą kaznodzieję, gdy nagle zobaczyli przed sobą idącego ku nim człowieka tak dziwnie wyglądającego, że na jego widok zapomnieli o wszystkim.

Postać ta zdawała się zrazu pospolitą, niezgrabną, nawet dziką. Bujne, w zgmatwanych kędziorach spadające włosy przysłaniały twarz wychudłą i żółtą jak pergamin. Oczy jego dziwnym pałały blaskiem. Suknia, z wielbłądziej sierści utkana, zwieszała się z lewego ramienia aż po kolana, odsłaniając ramię prawe. Pas z niewyprawnej skóry ugniatał mu biodra, a bosem nogami stapał po skalistym gruncie. Od pasa wisiał skórzany woreczek, w rękę trzymał sękaty kij, co mu służył do podpierania się. Ruchy jego były szybkie, pewne i dziwnie ostrożne, a raczej przezorne. Co chwilę odgarniał z czoła grube i twarde włosy, jakby mu przeszkadzały w widzeniu kogoś, kogo oczekiwał.

Piękna Egipczyanka przypatrywała się synowi puszczy ze zdziwieniem, jeśli nie ze wstrętem. Podnosząc zasłonę hondahu, rzekła do Ben-Hura, jadącego tuż na koniu:

— Czyżby to był wysłannik twojego króla?

— To Nazarejczyk — odparł tenże, nie podnosząc wzroku.

Prawdę rzekłszy, sam nie był od niej mniej rozczerzowanym. Znał on wprawdzie ascetycznych mieszkańców En-gadi, znał ich obojętność na światowe względy i stosunki. Wiedział, że zwykli robić śluby, odprawiać pokuty, dręczące ciało, i oddzielać się zupełnie od reszty ludzi, jakby zgoła innej byli natury. Wiedział zresztą i był przygotowany, iż ujrzy kaznodzieję, który sam siebie zwał „Głosem na puszczy“, spodziewał się jednak, że wysłaniec króla będzie nosił dla siebie jaki znak jego potęgi. Teraz patrząc na tę dziwaczną postać, przypominał sobie mimowolnie owe szeregi wytwornych dworaków w pałacach Cezara. Nie więc dziwnego, że zakłopotany, zmieszany, zawstydzony, zaledwie zdołał odpowiedzieć:

— To Nazarejczyk!

Całkiem innemi były uczucia Baltazara. On wiedział dobrze, że drogi boskie nie są drogami ludzkiemi, ani takimi, jakby je ludzie mieć chcieli. On widział Zbawiciela jako dziecię w żłobie położone, a wiara silna przygotowała jego umysł na pojęcie prostoty i ubóstwa obok boskości... Siedział więc starzec w milczeniu i jakby w zachwycie, ze złożonemi na piersiach rękami, a czasem tylko cichą modlitwą poruszały się wargi jego. Nie, on nie oczekiwał króla!

W chwili tak dla nowo przybyłych ważnej i tak w rozmaity sposób wzruszającej ich serca, opodal od nich nad rzeką siedział na kamieniu jakiś zamyślony człowiek, — może rozmyślał o zasłyszanej nauce. Teraz wstał i zdawał się dążyć ku Nazarejczykowi, który znów zbliżał się ku wielbładowi Baltazara.

Obaj, kaznodzieja i nieznajomy, szli ku sobie, a gdy z jakie dwadzieścia kroków ich rozdzielało, wtedy pierwszy zatrzymał się, odsunął ręką włosy z oczu a spojrzawszy na nieznajomego, wyciągnął ku niemu rękę, jakby dla zwrócenia nań uwagi obecnych. Idąc za tym ruchem, tłum począł się gromadzić na nowo, cichość zapa-

nowała, co widząc Nazarejczyk, zwolna podniósł łaskę, którą trzymał w ręku i wskazał nią zbliżającą się postać.

Wszyscy, którzy dotąd tylko słuchali, zwrócili oczy w wskazanym kierunku. Baltazar i Ben-Hur ulegli bezwiednie temu samemu natchnieniu i utkwili wzrok w nieznanym mężu. Obaj odnieśli silne wrażenie, ale każdy w innym stopniu i odmiennem znaczeniu.

Zbliżał się ku nim zwolna; wzrost jego średni, postawa szczupła i delikatna; ruchy spokojne, jak zwykle u tych, co się ważnemi zajmują myślami. W szczególnej harmonii z całym wzięciem tej nieznaney istoty było ubranie, składające się z szaty spodniej, do kostek sięgającej, o długich, obszernych rękawach, i z drugiej zwierzchniej sukni, zwanej talitem. Na lewem ramieniu niósł zawój, a czerwona opaska; służąca do przytrzymania zawoju na głowie, zwieszała się po boku. Prócz opaski, czyli zawiązki, i niebieskiej wężkiej obwódki u dołu talitu, całe ubranie było z płótna, pożółkłego od pyłu z drogi. Zdobił je jeszcze sznur z kutasami, stosownie do zwyczaju rabinów, prawem przepisanego, również niebieskiego koloru, oznaczającego godność rabina czyli nauczyciela. Zwykle sandały chroniły nogi, a nie miał ani pasa, ani worka, ani nawet laski.

Na te zewnętrzne odznaki patrzeli trzej widzowie przelotnie, o ile nie dotyczyły głowy i oblicza, mianowicie oblicza, co było niejako źródłem uroku, któremu mimowoli ulegali wszyscy.

Głowa zdawała się być otoczoną światłem pogodnego nieba; okrywały ją długie, w łagodnych kędziorach spadające włosy, przedzielone ponad czołem a mieniające się barwą orzechową ze złotawem odbłaskiem. Pod szerokiem czołem, ciemnymi otoczone brwiami, — świeciły oczy, duże, ciemno niebieskie, a długie rzęsy, jakie tylko u dzieci widzimy, nigdy u mężczyzn, dodawały spojrzeniu niewypowiedzianie łagodnego i tkliwego wyrazu. Czy rysy tego oblicza były greckie czy izraelskie, trudno rozstrzygnąć. To tylko pewna, że łagodność oczu, błądźliwość cery, odbłask włosów i miękka, falisto na piersi spadająca broda, dziwnie ludzkie przyciągały serca. Cała jego postać była przyjemna, wzbudzająca zaufanie i robiła wrażenie skończonej piękności.

Zwolna zbliżał się nieznajomy ku trzem znanym nam osobom. Ben-Hur konno, z włócznią w ręku, mógł być najpierw zwrócić uwagę

Króla; tymczasem zbliżający się patrzył w niebo, nie zdawał się spostrzegać ani jego, ani Egipcjanki, lecz gdy się zbliżał, wzrok Jego spoczął na Baltazarze.



Cichość panowała wokoło, przerywał ją jedynie Nazarejczyk, który z ręką wyciągniętą ku nadchodzącemu, zawołał uroczystym i donośnym głosem:

Oto Baranek boży, oto który gładzi grzech świata!*)

*) Św. Jan 1. 29.

Głos ten wstrzymał odchodzących; stanęli jak wryci i czekali, co nastąpi. Dziwne i niezrozumiałe wyrazy przejęły obecnych mimowolnym szacunkiem. Baltazara zaś wzruszyły do głębi. Starzec czuł to wyraźnie, że danem mu było ujrzeć raz jeszcze Zbawiciela świata. Niezlomna wiara, która go już tyle łaskami obdarzyła, zamieszkując w jego sercu, dała mu w tej chwili łaskę widzenia Tego, którego niedołężne oczy jego towarzyszy nie były godnymi podziwiać; słowem, widział i poznał tego, którego szukał. Byłże to cud? Wolno go nazwać zdolnością duszy, co wyrosła wśród innych okoliczności, a tem samem wniknęła w zaświatowe krainy; wolno przypuszczać, że zasłużył na taką nagrodę życiem przykładnie świętem, życiem za prawdę cudownem. Dość, że danem mu było oglądać ideał swej wiary w doskonałym kształcie, z obliczem, w wieku i ubraniu, jakie temu ideałowi odpowiadały. Co za szczęście, co za radość! do spełnienia wszelkich marzeń starca potrzeba tylko jeszcze wzajemnego spojrzenia i zrozumienia.

Jedno już się stało, bo wzrok nieznanego spoczął na sędziwym obliczu Mędrea, gdybyż jeszcze znalazło się drugie, coby zarazem było potwierdzeniem jego wiary. Życzeniu stało się zadość, bo właśnie, jakby dla upewnienia drżącego Egipcyanina, Nazarejczyk powtórzył okrzyk:

— Oto Baranek Boży, oto który gładzi grzechy świata!

Na te słowa padł Baltazar na kolana, nie potrzebując innego tłumaczenia. Nazarejczyk zdawał się to wiedzieć, bo odwrócił się do otaczających i mówił dalej: Tenci jest, o którym powiadał. Idzie za mną mąż, który stał się przede mną, i pierwszej był niż ja. A jam Go nie znał; ale iżby był objawion w Izraelu, dlatego ja przyszedł, chrzcząc wodą. Iżem widział ducha zstępującego jako gołębia z nieba i został na Nim. A jam go nie znał: ale który mię posłał chrześcić wodą, Ten mi powiedział: Na którego ujrzysz Ducha zstępującego i na nim zostającego, Ten jest, który chrześci Duchem świętym. A jam widział i dałem świadectwo, że Ten jest Syn Boży.*)

*) Św. Jan I. 30—31.

— To On! To On! — wołał Baltazar z zażwawionemi oczyma i padł w omdleniu.

Cały ten czas przypatrywał się Ben-Hur nieznanemu z całkiem innem uczuciem. Podziwiał delikatność i czystość rysów jego twarzy, zamyślony wyraz, czuły, pokorny i święty. Nie był w tej chwili zdolny pochwycić innej myśli, innego pytania, jak tylko: kto jest ten człowiek? Mesjasz, czy król? Nigdy dotąd nie widział człowieka, któryby mniej po królewsku wyglądał, jak oto ten. Czyż można, patrząc na tę spokojną, łagodną postać, myśleć o wojnie, o zdobyczach? Sama myśl o tem zdawałaby Mu się ubliżać! Pod wpływem tych myśli rzekł w swem sercu: tak, widzę dziś wyraźnie, że Baltazar miał słuszość, a Simonides był w błędzie. Człowiek ten nie przyszedł wznieść tronu Salomona, brak mu zdolności Heroda, a gdyby miał nawet być królem, to nie większego od państwa rzymskiego.

W tych myślach Ben-Hura nie było jeszcze postanowienia, były one raczej wrażeniami i nie przeszkadzały dalszemu przypatrywaniu się tak pięknej i cudownej bądź jak bądź postaci. Po chwili pamięć jego zbudziła się i prawie mimowoli pomyślał: Gdzieś, kiedyś widziałem to oblicze, ale gdzie? — Spojrzenie to, tak pełne litości i miłości, spoczywające teraz na Baltazarze, kiedyś spoczęło już i na nim. Zrazu mglisto, drżąc, wreszcie jasno, jakby odblask słońca, stanęła mu przed oczami owa chwila, gdy go straż rzymska wiodła przez Nazaret na galery; drgnął cały, a tajemny głos wołał mu w duszy: Oto ręce, co mnie dźwignęły, gdym ginął! — Tak, twarz ta, to jedna z tych, co mu towarzyszyła zawsze, co zawsze tkwiła mu w pamięci. Wzruszenie owładnęło nim i nie nie słyszał ze słów kaznodziei prócz tych ostatnich, cudownych wyrazów, które po wszechświecie brzmiały dotąd:

— Ten jest Syn Boży!

Ben-Hur zsiadł z konia, chcąc oddać cześć swemu dobroczyńcy; wtem zatrzymał go głos Egipcjanki, wołającej: pomóż, synu Hura, bo ojciec mój umiera!

Staął, spojrział wokoło i pospieszył na ratunek. Podała mu kubek, z którym pobiegł po wodę do rzeki, zostawiając niewolnikowi trud dźwignienia Baltazara i skłonienia wielbłąda, aby ukląkł.

Po jakimś czasie odzyskał Baltazar przytomność, a wyciągnawszy ręce przed siebie, pytał słabym głosem: Gdzie On?

— Kto? — zapytała Iras.

Twarz Baltazara świeciła błogością zaspokojonego życzenia, gdy mówił:

— On, Zbawiciel, Syn Boga, którego znów oglądałem.

— Czy i ty temu wierzysz? — pytała Iras Ben-Hura.

— Czas to pełen cudów, czekajmy! — odparł.

Dnia następnego słuchali znów kazania Chrzciciela, gdy nagle przerwał mąż puszczy tok swej mowy i zawołał, schylając głowę:

— Oto Baranek Boży!

Wszyscy spojrzeli w stronę wskazaną, a tam stała też sama co wczoraj postać. Gdy Ben-Hur patrzył na tę wiotką istotę, cudne oblicze, tętnące miłosierdziem i słodyczą, pełną smutku, pomyślał:

— Ma słuszość Baltazar, ale może nie myli się Simonides. Żali Zbawiciel nie mógłby być i królem?

Wśród tych myśli zapytał swego sąsiada: — Kto jest ten człowiek?

Zapytany rozśmiał się szyderczo i rzekł:

— To syn cieśli z Nazaret.

Rozdział XXXV.

— Estero, Estero! każ mi przynieść wody!

— Nie wołałżebyś wina, ojcze?

— Niech dadzą jedno i drugie.

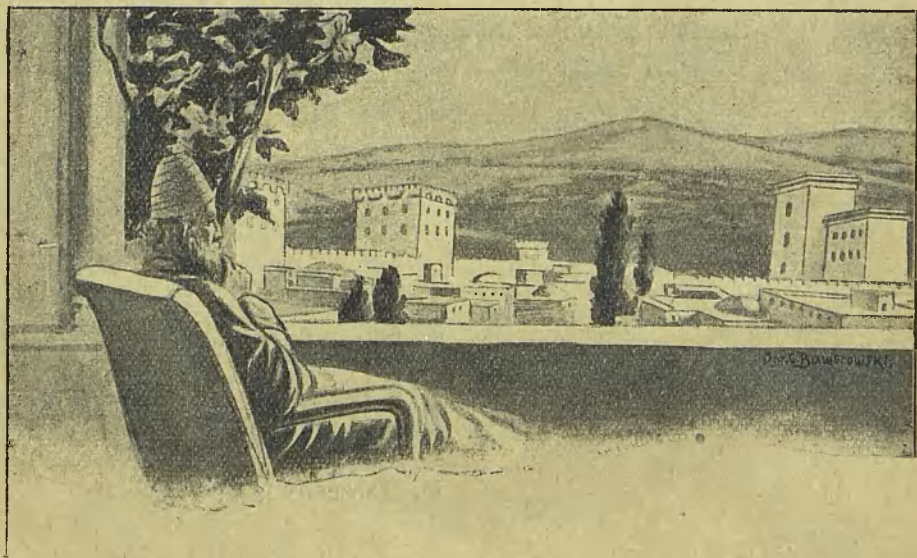
Działo się to w letnim domu na dachu pałacu Hurów w Jerozolimie. Stojąc ponad balustradą, patrzyła Estera na podwórze; wnet spełniła polecenie ojca, powierzając je stojącemu tamże słudze.

Tymczasem drugi sługa wszedł na dach i kłaniając się z szacunkiem, rzekł:

— Oto pismo dla pana — i oddał zwój płótnem obciągnięty i zapieczetowany.

Dla objaśnienia czytelnika dodajemy, że działo się to 21 Marca, prawie trzy lata od owej chwili, kiedy Chrzciciel dał świadectwo Synowi Bożemu w Betabera.

W przeciągu tego czasu Malluch odkupił od Pontskiego Pilata dom rodziny Hurów, na wyraźne żądanie Judy, który nie mógł dłużej



przenieść na siebie, aby gniazdo rodzinne stało pustką. Naturalnie, że cały gmach musiał ulec przebudowaniu, zmieniono drzwi, podwórza, schody, pokoje i dachy. Tak więc pałac przybrał nowe kształty, a nietylko, że nie zostało żadnych śladów owych tak zgubnych dla rodziny okoliczności, ale jeszcze urządzono go piękniej i zbytkowniej niż dawniej. Wszędzie znać było gust właściciela wykształcony pobytem w willi pod Misenum i w rzymskiej stolicy.

Nie trzeba z tego wnioskować, że Ben-Hur publicznie ogłosił się właścicielem, czas bowiem nie był jeszcze po temu.

Dotąd zajmował się pracami przygotowawczymi w Galilei, czekając zawsze na Nazarejczyka, który mu się codzień więcej zagadkową wydawał istotą. Cuda, niemal w obecności młodzieńca spełniane, budziły w jego sercu ciągłe wątpliwości, tak co do charakteru, jak posłannictwa tego, co miał być królem. Czasem dla wytehnienia przybywał tajemnie do świętego miasta i ojcowskiego domu, ale zawsze jako obcy i gość.

Odwiedziny te nie były tylko odpoczynkiem po pracy, Baltazar i Iras zajmowali bowiem jedno ze skrzydeł pałacu. Córa mędrca zawsze jeszcze trzymała go w więzach uczucia, co nie wolnem zdało się od czaru, podczas gdy Baltazar, coraz słabszy fizycznie, porywał go jak dawniej zapalem wymowy, ile razy mówiono o bóstwie Cudotwórcy, od tak dawna oczekiwanego.

Simonides i Estera przybyli przed kilku dniami z Antyochii; ciężka to była podróż dla kupca, bo przebył ją w lektyce, do dwóch umocowanej wielbłądów, te zaś niezawsze szły równo. Mimo przebytych trudów, zdawał się teraz nie posiadać z radości, że danem mu było ujrzeć raz jeszcze rodzinne strony. Zachwycał się widokiem z dachu i większą część dnia tam przepędzał w krześle podobnem do tego, co zostało w domu na wybrzeżu Orontesu. Lekki wietrzyk przynosił mu tu wonie wzgórz, które znał tak dobrze, oddychał niemi z całych piersi, przypatrując się biegowi słońca od wschodu do zachodu. Esterę miał przy boku, czuł się więc szczęśliwym i jakby w pobliżu nieba i tych miejsc, gdzie przebywała kiedyś nigdy niezapomniana pierwsza Estera, kochanie jego młodości, a z biegiem lat coraz droższa żona. Mimo tylu wspomnień nie zapominał spraw handlowych, codzień goniec przynosił raporty od Sanballata, który prowadził dom w Antyochii. Codzień wyjeżdżał drugi goniec z Jerozolimy i wiózł najdrobniejsze wskazówki, usuwające zachodzące wątpliwości, bo Simonides umiał przewidzieć wszelkie wypadki, prócz tych, które Wszechmocny zakrył przed oczami ludzi.

Gdy Estera, spełniwszy polecenie, wracała ku ojcu, promień słońca, padający ukośnie na błyszczącą posadzkę dachu, oświecił ją łagodnie i niepodobna było nie przyznać, że była piękną w rozkwicie kobietą. Wzrost jej był wprawdzie niewielki, ale kibić nader kształtna, główka

zgrabna, twarz o regularnych rysach i cerze różowej z wyrazem pełnym rozumu i odblaskiem poświęcającego się serca — jednym słowem, była to kobieta godna kochania, bo miłość była tłem jej życia.

Spojrzała na zwój, przystanęła i przypatrzyła się drugi raz dokładniej; krew uderzyła jej do twarzy, gdy spostrzegła pieczęć Ben-Hura i spiesznie odeszła w przeciwną stronę.

Simonides trzymał zawiniątko chwilę; obejrzawszy pieczęć, złamał ją i oddał pismo córce.

— Czytaj! — rzekł.

Patrzył na nią w tej chwili a wyraz niespokojności przebiegał się na jego twarzy.

— Widzę, Estero, że wiesz od kogo to pismo.

— Tak, od naszego pana.

Mimo nieśmiałości patrzyła mu w oczy szczerze.

— Kochasz go, Estero? — rzekł spokojnie.

— Tak.

— Pomyślałaś nad tem, co robisz?

— Chciałam o nim nie myśleć inaczej, mój ojcze, jak o panu, z którym wiążą mnie powinności, ale było to nad moje siły.

— Dobrą jesteś, dobrą jesteś, jako była matka twoja — rzekł, zapadając w myślach; po chwili dopiero wyrwał go z zamyślenia szelost rozwijanego pergaminu.

— Niech mi przebaczy Pan, iż złorzeczę Jego natchnieniu — ale miłość twa nie byłaby wzgardzona, gdybym był utrzymał w mem posiadaniu wszystko, — jako zresztą miałem do tego prawo — bo wielka jest siła pieniędzy.

— Gorzej byłoby dla mnie, gdyż nie będąc godną jego spojrzenia, nie miałabym na pocieszenie tej słusznej dumy, którą mnie twe postępowanie natchnęło. Mamże czytać?

— Wstrzymaj się — rzekł — pozwól, abym dla twego dobra powiedział nawet i to, co ci może być najboleśniejsem. Gdy razem dzwigniemy, lżejszym stanie się ciężar. Serce swoje oddał pewnej kobiecie!

— Wiem — odparła spokojnie.

— Usiedliła go Egipcyanka — mówił dalej — posiada przebiegłość swego narodu, jest piękną, chytrą i zalotną; serca nie ma wcale, jako nie mają go jej rodaczki. Córka, która urąga ojeu, napelni zgryzotą dni męża.

— Alboż tak czyni?

— Baltazar jest mądrym i chociaż poganin, dziwnych łask dostępuje od Pana; zapal jego wiary zaszczyt mu przynosi, córka zaś szydzi z niego. Słyszałem jak o nim mówiła wczoraj: „Błędy młodości się

przebacza, star-

com przystoi mą-

drość, ale gdy jej

pozbędą, niech

zstępują do gro-

bu.“ Okrutna to

mowa, godna

Rzymianki; sły-

sząc ją, mimo-

woli pomyśla-

łem, iż osłabie-

nie podobne

jak u Baltazara

przyjdzie kiedyś

i na mnie — kto

wie, czas ten mo-

że już blizkim.

— Ale ty, Estero,

nigdy słów podobnych nie po-

wiesz o mnie — nie,

nigdy nie rzeczesz: niech zstępuje do grobu.

Nie darmo matka twa była córą Judy.

Estera słuchała tych słów ze łzami, a upewniając go, rzekła:

— Jam mej matki dziecię.

— Tak, jesteś jej godną, boś dla mnie tem, czem świątynia

Salomonowi.

Po chwili milczenia położył rękę na jej ramieniu i rzekł:

— Gdy raz Egipcyankę pojmie za żonę, wnet pomyśli o tobie z żalem i tęsknotą, bo wtedy zrozumie, czego dziś nie widzi, że jest



tylko narzędziem w jej ręku. Ona marzy o wielkości, Rzym zaś jest celem tych marzeń; on jest dla niej synem duumwira Aryusza, nie Hura, księcia Jerozolimy.

Estera nie próbowała niewierzyć tym słowom, tem mniej zaprzeczyć; przeciwnie, czując iż są sprawiedliwe, zawołała:

— Ratuj go, ojcze! jeszcze nie zapóźno!

Kupiec uśmiechnął się z powątpiewaniem i rzekł:

— Tonącego można ocalić, ale zakochanego nie uratuje nikt i nigdy.

— Mój ojcze, masz wpływ nad nim. Zważ, że on sam na świecie. Ostrzeż go przed niebezpieczeństwem; powiedz mu, jaką jest.

— Być może, że zdołałbym go od niej odwrócić, czyż przez to zwróci się ku tobie? Nie! — tu przymknął powieki. — Jam sługa, jako byli pokoleniami całemi ojcowie moi, a przecież niemiałbym dość pokory, aby rzec: Patrz, panie, oto moja córka! Piękniejszą jest niż Egipcjanka i tkliwiej cię kocha. — Nato za wiele żyłem i za dużo miałem znaczenia. Słowa te spaliłyby mi język, odwieczne kamienie na wzgórzach odwróciłyby się ode mnie. Nie, jeszcze raz nie! Na Patryarchów, wołałbym raczej spocząć wraz z tobą tam, gdzie matka twoja śpi snem nieprzerwanym!

Rumieniec oblał twarz Estery.

— Nie myślałam, abyś mu to miał powiedzieć, mój ojcze. Jam się troszczyła o niego i jego szczęście, a nie o siebie. Gdym miała śmiałość pokochać go, chcę być godną jego szacunku, to jedno może moje zuchwalstwo uniewinić. Teraz pozwól, niech przeczytam pismo.

— Prawda, że należy przeczytać.

Zabrała się tem spieszniej do czytania, że chciała jak najprędzej urwać rozmowę tak drażliwą.

8. Nizan.

„Na gościńcu, co wiedzie z Galilei do Jerozolimy.

„Nazarejczyk przybywa. Z Nim, choć bez Jego wiedzy, prowadzę mój legion — drugi podąża w niewielkiej odległości. Uroczystości wielkanocne dają powód do zebrania, ujdziemy uwagi. Gdyśmy wyruszyli, mówił: „Idziemy do Jerozolimy, aby się wypełniło, co jest napisane przez proroki.“

„Oczekiwanie nasze blizkiem jest końca.

„Życzę ci pokoju, Simonidesie.

Ben-Hur.“

Przeczytawszy, oddała pismo ojcu, a łkanie ścisnęło jej gardło, bo i jakże mogło być inaczej, gdy w liście nie było słowa dla niej? Wszak tak łatwo było powiedzieć: „pokój twoim!“ Pierwszy raz w życiu uczuła zazdrość.

— Pisał to pan nasz ósmego dnia — mówił Simonides — ósmego, a dziś Estero, dziś?

— Dziewiąty — odparła.

— W tej chwili mogą już być w Betanii.

— Prawdopodobnie ujrzymy go dziś wieczór — dodała, zapominając urazy.

— Może, może jutro; wszak jutro święto przasnego chleba, może zechce je święcić z nami, a z nim może i Nazarejczyk. Zapewne ujrzymy ich obu.

Właśnie przyniesiono wodę i wino, Estera podawała je ojcu, gdy weszła na dach Egipcjanka.

Dziwna rzecz, nigdy się Izraelitce nie wydała tak piękną jak w tej chwili. Przejrzyste szaty osłaniały jej postać niby mgłą; czoło, szyja i ręce świeciły klejnotami tak cenionymi w jej ojczyźnie. Twarz jaśniała wyrazem zadowolenia, a szła pewnym, elastycznym krokiem, wolnym od wszelkiej niesmacznej przesady. Widok jej budził w Esterze lęk nieokreślony i pod tem wrażeniem zbliżyła się ku ojcu, jakby u niego szukając opieki.

— Pokój tobie, cny Simonidesie, i tobie, piękna Estero — rzekła Iras z lekkim ku ostatniej pochyleniem głowy. — Gdy na cię patrzę, zacny przyjacielu, jeśli mi wolno tak cię nazywać, przypominasz mi owych wspaniałych perskich kapłanów, co z końcem dnia spieszą na dachy świątyń, aby swe modły ku zachodzącemu wysłać słońcu. Jeśliś ciekaw poznać te obrzędy, zawołam ojca, on cię zdoła objaśnić, bo ród swój wie od Magów.

— Piękna Egipcjanko — odrzekł kupiec, kłaniając się z powagą — ojciec twój szanownym jest i z pewnością wzięłby mi za złe, gdy-

bym mu powiedział, że jego perska mądrość jest najmniejszą częścią jego wiedzy.

Usta Egipcjanki przebiegł wyraz niezadowolenia.

— Jeśli mam mówić równie uczenie, jak ty — rzekła — to muszę zauważyć, że przymiot mniej cenny każe się domyślać więcej cennego... Racz mi odpowiedzieć, który to cenniejszy przymiot uznajesz w moim ojcu.

Simonides zwrócił się do niej, mówiąc z powagą.

— Prawdziwa mądrość dąży do Boga; prawdziwą mądrością jest znajomość Boga; zaprawdę, nikt z pomiędzy znanych mi ludzi nie posiada tej mądrości w wyższym stopniu od Baltazara i nikt od niego lepiej nie umie jej wypowiedzieć ani słowami ani czynami.

Cheąc skończyć rozmowę, podniósł kubek do ust i pił.

Iras zwróciła się znów ku Esterze.

— Cóż dziwnego, że mąż, co posiada miliony i całe floty na morzach, nie rozumie co lubią i w czym się kochają kobiety. Usunąmy się na chwilę i tam przy murze porozmawiamy trochę.

Poszły ku balustradzie i stanęły na tem samem miejscu, skąd Ben-Hur rzucił był niegdyś dachówkę na Gratusa.

— Byłaś kiedy w Rzymie? — pytała Iras, bawiąc się swem naramiennikiem.

— Nie — odparła krótko Estera.

— I nie pragnęłabyś tam być kiedy?

— Nie.

— Ach! jakże życie twoje jest pustem.

Po tym wykrzykniku nastąpiło westchnienie tak litościwe, że nie mogło być czulszem, gdyby los równie ciężki był przypadł jej samej. Za chwilę wybuchła znów tak głośnym śmiechem, że mógł być słyszany na ulicy i mówiła: O ty święta prostoto!

— Drobne ptaszęta, co się gnieźdzą w uchu Sfinksa*) na piaskach pustyni, w pobliżu świętego grodu Memfis, równe ci świadomością.

*) Sfinks jest postacią wymarzoną: głowa człowieka, korpus lwa; u Egipcjan wyobrażenie słońca i króla. Sfinks, o którym tu mowa, to posąg na polu piramid w Memfis.

Widząc, że Estera się zmieszała, zmieniła ton mowy i rzekła poufale: Daruj mi, to żarty; wnet zagoję ranę niby pocałowaniem, bo ci powiem coś.. coś, czego bym nie powiedziała komu innemu.

I znów zaśmiała się, a śmiechem tem pokryła spojrzenie badawcze, które rzuciła na Esterę: Król przybywa! — Estera patrzyła ze zdziwieniem.

Nazarejczyk, tensam, o którym ojcowie nasi tyle sobie umieją opowiadać, ten sam, któ-



remu Ben-Hur służył tak wiernie i tak długo — tu głos jej zniżył się o kilka tonów — Nazarejczyk przybędzie jutro, on dziś...

Estera napróżno walczyła, aby zachować spokój; spuściła oczy, zdradziecki rumieniec pokrył jej twarz i czoło. Nie spostrzegła zwycięskiego uśmiechu, co niby promień oświecił twarz Egipcjanki.

— Oto jego obietnica.

Tu z zapasa wyjęła zwój pisma, mówiąc:

— Raduj się ze mną, przyjaciółko, on przybędzie tu dotąd dziś jeszcze! Nad brzegiem Tybru stoi dom prawdziwie królewski, który czeka na mnie, a który pani moja swoim nazywać może.

Odgłos szybkich kroków dał się słyszeć z ulicy, spojrzała poza balustradę, lecz się wnet cofnęła, wznosząc ręce nad głowę i mówiąc: Błogosławioną bądź Izydol^{*)} To Ben-Hur, a że się zjawił, gdy o nim myślała, to już wróżba nad wróżby! Nie byłoby chyba bogów, gdyby mnie zawieść miała! Spojrz na mnie, Estero, i pocałuj szczęśliwą.

Izraelitka spojrzała, a Iras spostrzegła policzki gorejące jak płomienie, oczy zaświeciły odblyskiem złości, o którąby jej nikt nie pomyślał, bo też dobroć jej na zbyt wielką wystawioną była próbę. Nie dość, że zabronionem jej było myśleć o człowieku tak gorąco kochanym, o którym zaledwie myśleć jej wolno jak w pół sennem marzeniu, jeszczeż trzeba, żeby rywka szczyciła się przed nią swem powodzeniem i żądała jej zaufania, mówiąc o swem szczęściu, które on dla niej obmyślił. O niej, córce niewolnika, nie wspomniał, podczas gdy szczęśliwa współzawodniczka może się chlubić listem, którego treść pozwala na rozmaite domysły. Tak, to było za wiele na jej biedne serce i dlatego nie dając żadanego pocałunku, spytała:

— Nie wiem, czy kochasz więcej jego, czy Rzym?

Egipcjanka cofnęła się, a zbliżając z dumą głowę ku twarzy Estery, zapytała nazwajem:

— Czemże jest on dla ciebie, Simonidesowa córko?

Izraelitka drżąc cała, zaczęła mówić: Jest moim...

Myśl, co jej teraz przeleciała przez głowę, wstrzymała dalsze słowa, a błędne rzekła:

^{*)} Izys, egipska bogini nieba.

— Jest przyjacielem mego ojca.

Język odmówił jej posłuszeństwa, nie przyznała się do niewolnictwa.

Iras zaśmiała się szyderezym śmiechem.

— To nie wiele — mówiła — na bogi egipskie, co sprzyjają kochającym się, zatrzymaj swe pocałunki, zatrzymaj, od ciebie dowiedziałem się, że mogę tu w Judei innych, stokroć cenniejszych oczekiwać pocałunków. Odwróciwszy się, dodała: — idę po nie... zostań w pokoju.

Estera powiodła za nią wzrokiem aż do schodów; gdy znikła, zakryła twarz dłońmi i wybuchła płaczem; łzy wstydu, tak długo powstrzymywane, spływały po jej pięknej twarzy. Mimowoli, jakby dla dodania siły wybuchowi namiętności, tak wstrętnej jej naturze, przyszły jej na myśl słowa ojca: miłość twoja nie byłaby bez nadziei, gdybym był zatrzymał wszystko, jako byłem w prawie.

Długo sercem jej miotała boleść, już wszystkie gwiazdy zeszły i świeciły ponad miastem i czarnymi liniami gór, a ona jeszcze się do tyle nie opanowała, by wrócić do letniego domu i zająć w milczeniu zwykle miejsce przy ojcu. Nareszcie przemogła się, poszła po rozkazy i wróciła do obowiązku, któremu poświęciła młodość, a może i całe życie. Co więcej, gdy namiętność przycichła, obowiązki zdały jej się jaśnieć jakąś świetną i uroczystą aureolą.

ROZDZIAŁ XXXVI.

W godzinę po opisanej scenie na dachu, zeszli się Baltazar, Simonides i Estera w wielkiej sali pałacu; wnet powiększyli ich grono Ben-Hur i Iras.

Poprzedzając swą towarzyszkę, wszedł Ben-Hur do pokoju i powitał najpierw Baltazara, skłonił się przed starcem, a zwróciwszy się do Simonidesa, spostrzegł Estere... i zawahał się.

W chwili, gdy ujrzał Estere, stanął zdziwiony widokiem tak pięknej kobiety; równocześnie głos wewnętrzny przypominał mu zła-

mane śluby i niespełnione obowiązki; tak, dość było chwili, by dawne myśli wróciły.

Stał z razu zdziwiony, wreszcie zapanował nad sobą, zbliżył się do Estery i rzekł: Pokój tobie, słodka Estero; pokój i tobie, Simonidesie, błogosławieństwo Pana niech będzie z tobą, bo oto byłeś dobrym ojcem temu, który ojca już nie miał.

Estera spuściła głowę w milczeniu, Simonides zaś rzekł:

— Witaj, synu Hurów, w domu ojców twoich; bądź pozdrowiony w domu twych ojców, siadaj i powiedz o twoich podróżach, pracach, a nadewszystko o cudownym Nazarejczyku. Powiedz nam, jakie są jego przymioty i kim jest... Mów swobodnie, bo żaliż kto w tym domu ma większe od ciebie prawa do swobody? Usiądź między nami, abyśmy wszyscy słyszeć mogli cię mówiącego.

Estera szybko przyniosła rzeźbione ozdobię krzesło i podała mu je.

— Dzięki ci — rzekł z wdzięcznością.

Usiadłszy, zwrócił się do mężczyzn.

— Przybyłem umyślnie wcześniej, aby wam o Nazarejczyku opowiedzieć.

Obaj słuchali w skupieniu ducha.

— Wiele dni towarzyszyłem Mu, strzegąc Jego czynów i kroków z jak największą troskliwością i bacznością; widziałem go wśród okoliczności, które słusznie uważanemi bywają za próby i doświadczenia, a świadczyć mogą o człowieku. Rozważając to wszystko, doszedłem do wniosku, że chociaż jest równym mnie człowiekiem, to jednak nie mniej przeświadczonym jestem, iż jest czemś więcej.

— Czem więcej? — pytał zdziwiony Simonides.

— Wytkómaczę wam to.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł ktoś do komnaty; Ben-Hur obrócił się ku wyjściu i wstał z otwartemi rękoma:

— Amro! droga, stara Amro! — wołał.

Zbliżyła się, wszyscy zaś obecni zapomnieli, jak była starą, czarną, pomarszczoną wobec radości, co z jej biła oblicza. Uklękła u nóg swego wychowanka, objęła kolana i całowała ręce, on odsunął siwe jej włosy z policzków i całował je, mówiąc: Dobra Amro, żaliż nie wiesz co o nich — ani słowa, ani znaku?

Pocziwa sługa wybuchiła
głośnym płaczem, będącym wymowną
odповідzią.

— Niech się dzieje wola Boża — rzekł
uroczyście; z dźwięku głosu zrozumieli słu-
chacze, że stracił wszelką nadzieję odnalezie-
nia swoich. W oczach błyszczały łzy, które
wstrzymywał, jak na męża przystało.

Po chwili milczenia, zdolawszy pokonać
wzruszenie, usiadł znowu i mówił: pójdź



Amro, usiądź podle nas, u nóg moich, gdyż mam wiele do opowiadania o nadzwyczajnym człowieku, który przyszedł na ten świat.

Pomna swego stanowiska Amra, odeszła dalej i przy ścianie ze złożonemi na kolanaech rękoma usiadła, ciesząc się widokiem swego pana. Ben-Hur zaś, pochyliwszy przed starcami głowę, mówił dalej:

— Lękam się odpowiedzieć wprost na twoje pytania o Nazarejczyku, wolę raczej mówić o tem, co widziałem i co czynił, aby was przygotować na jego przyjęcie, jutro bowiem przybywa do miasta, uda się do Świątyni, którą zwie domem ojca swojego. Tam, jak mówi, oznajmi sam siebie światu i dowiemy się przy kim słuszność, przy tobie, Baltazarze, czy przy tobie, Simonidesie?

Egipeyanin, słysząc tę mowę, złożył na piersiach drżące ręce i pytał skwapliwie: Gdzież mam pójść, aby Go ujrzeć?

— Będzie wielkie mnóstwo ludu i ścisk: najlepiej byłoby, gdybyście poszli na dach klasztorny, czyli ponad portyk Salomona.

— Czy będziesz mógł nam towarzyszyć?

— Nie — odparł Ben-Hur — muszę być z przyjaciółmi, mogę im być przydatnym w czasie procesyi.

— Procesyi — zawołał Simonides z radością — podróżuje więc z okazałością?

Ben-Hur, zrozumiałwszy myśli kupca, odparł:

— Przybywa z dwunastu ludźmi; są to po większej części rybacy, rolnicy, jeden nawet celnik, a wszyscy z pospólstwa. Podróżują pieszo, nie straszy ich zimno, wiatr, deszcz lub słońce. Gdybyś ich ujrział, jak się zatrzymują przy gościńcu, aby łamać chleb lub odpocząć, rzekłbyś, gromada pasterzy, wracających z targu, ale ani chwili nie miałbyś na myśli króla i jego orszaku. Za to, gdy zsunie zawój z głowy, by spojrzeć na kogo, lub strząsnąć pył podróży z głowy, pozna zaprawdę każdy, że on ich panem, władcą, nauczycielem i towarzyszem.

— Mądrość wasza jest wielką — mówił dalej Ben-Hur — wiecie więc, że główną żądzą, nieledwie drugą naszą naturą, jest pragnienie wszystko, zysków. Cóż powiecie o człowieku, który mógłby mieć bogactwa, który mógłby kamienie w złoto zamieniać, woli jednak żyć w ubóstwie?

— Grecy nazwaliby takiego męża filozofem — zauważyła Iras.

— Nie, córko — przerwał Baltazar — filozofowie nie mieli mocy robienia podobnych rzeczy.

— Skądże wiesz, że on taką siłę posiada?

— Widziałem — odparł Ben-Hur szybko — jak wodę zamieniał w wino.



— To dziwne, dziwne — rzekł Simonides — przecież dziwniejszem mi się zdaje, że woli żyć biednym, mogąc być bogatym. Jestże tak ubogim?

Nie posiada nic i nie zazdrości nikomu jego własności, co więcej, lituje się nad bogaczami. Lecz pomijając to na razie, powiedziecie mi raczej, co byście rzekli o człowieku, który zdołał rozmnożyć dwanaście bochenków chleba i dwie ryby, tak że tym małym zapasem nakarmił pięć tysięcy ludzi i zostały jeszcze pełne kosze ułomków. Widziałem to na własne oczy.

— Widziałeś? — zawołał Simonides.

— Co więcej wam powiem, jadłem chleb i ryby.

— Nie natem koniec — ciągnął rzecz swoją Ben-Hur — cóż byście rzekli o człowieku, mającym taki dar leczenia, że dość choremu dotknąć się kraju Jego szaty lub zdala, gdy przechodzi, zawołać o pomoc, aby być uzdrowionym? I tego czynu byłem naocznym świadkiem i to nie raz. Gdyśmy wracali drogą od Jerycha, dwaj ślepi błagali Go o pomoc: On dotknął ich oczu, a przejrżeli. Niebawem przyprowadzono paralytyka; spojrział i rzekł: Idź do domu twego — chory wstał i poszedł. Cóż wy na to?

Kupiec nie miał odpowiedzi.

— Żali sędzicie może, że to są omamienia i sztuki kuglarskie? Słyszałem i takich, dlatego pozwólcie, abym wam w odpowiedzi jeszcze większe przytoczył cuda. Znaście wszyscy tę straszną plagę ludzkości, ową chorobę nieuleczalną, bo jedna śmierć ją leczy — trąd.

Na te słowa Amra opuściła ręce; podniosła się na wpół, aby i słowa nie uronić.

— Cóżbyście rzekli — mówił z wzrastającym przejęciem — cóżbyście rzekli, widząc zdarzenie, które zaraz opowiem. Gdy byłem z Nazarejczykiem w Galilei, wyszedł do Niego trędowaty i rzekł:

— Panie, gdy zechcesz, będę oczyszczonym.

— Usłyszawszy te słowa mąż ów, dotknął ręką trędowatego i rzekł: Cheć, bądź oczyszczonym — a człowiek był zdrow, jak każdy z nas, była zaś nas wielka rzesza.

Tu Amra powstała, włosy odgarnęła z twarzy wyschłemi rękami, cała krew biedaczki zbiegła do serea i zaledwie mogła dosłuchać dalszego opowiadania.

— Potem — mówił dalej Ben-Hur — dziesięciu trędowatych przybyło naraz; ci, padłszy do nóg jego, wołali: Mistrzu, mistrzu, ulituj się nad nami! A On im odpowiedział: Idźcie, pokażcie się kapłanom, jako każe prawo, a nim tam zdążycie, będziecie uzdrowieni. — Sam to widziałem i słyszałem.

— I stało się, jako rzekł?

— Tak, wśród drogi opuściła ich niemoc i tylko łachmany przypominały nam ich chorobę.

— Nigdy rzeczy takich nie słyszano w Izraelu — mówił Simonides niskim, wzruszonym głosem.

Tymczasem Amra niepostrzeżona opuściła komnatę.

— Jakich uczuć, jakiego doznawałem wzruszenia, łatwo pojmiecie — opowiadał dalej Ben-Hur — ale wiercie mi, nie tu koniec moich wątpliwości i niepokoju. Jak wiecie, lud galilejski jestamiętny i prędko do czynu, po latach oczekiwania miecze paliły ich dłonie, serca i dusze rwały się do walki i działania, mówili więc: — za wolno czyni, nie daje się poznać, dozwól, abyśmy go zmusili do wystąpienia. Ja sam niecierpliwiłem się, myśląc, że jeżeli ma być królem, czemuż nie teraz? Wszak legiony i wszystko w pogotowiu? Uległem ich namowom i raz, gdy nauczał u morskiego wybrzeża, chcieliśmy go ukoronować. Wtedy znikł nam z oczu i ujrzelśmy Go, jako w czółnie odpływał na morze. Cóż rzekniesz na to, czeigodny Simonidesie? Wszystko, czego szalenie pragną inni ludzie: bogactwo, znaczenie, korona królewska, nawet miłość poddanych, niczem są dla Niego — niczem, rzeczami bez ceny i wartości. Cóż mówisz?

Zamyślił się Simonides, głowa opadła mu na piersi, — po chwili milczenia ozwał się: żyje Pan, żyją słowa proroków. Już czas w zieloności, jutro nam odpowie.

— Niech się stanie, jako rzekłeś — rzekł Baltazar z lekkim uśmiechem.

Ben-Hur powtórzył słowa starca: niechaj się stanie, potem dodał: — Nie sądzicie, abym już wszystko wypowiedział, gdym wspominał rzeczy, które acz wielkie, przecież każdy, choćby ich nie widział, uwierzyć może. Ale nie tu kres dziwów i powiem wam rzeczy nierównie trudniejsze do spełnienia, a dla człowieka iście niemo-

żliwe. Powiedźcie tylko, czy zdołał kto kiedy wydrzeć śmierci to, co już było jej łupem? Kto kiedy zdołał w umarłego nowe tehnąć życie? Kto?
— Jeden tylko Bóg — rzekł pobożnie Baltazar.
Ben-Hur skłonił się.



— O mądry Egipcyaninie! nie śmiem zaprzeczyć słowom twoim, bo zaiste, cóż moglibyście rzec, gdybyście widzieli człowieka, co pokonał dzieło śmierci, a tak spokojnie, jak to czyni matka, gdy budzi ze snu swe dziecko. Było to w Naim. Właśnie wchodziliśmy w bramę miasta: nagle wstrzymał nas wychodzący z niej orszak pogrzebowy. Nazarejczyk stanął, czekając by przeszli, gdy postrzegł wśród tłumu kobiet żałośnie zawodzącą, wdowę, której jedynaka chowano.

Stałem w pobliżu i widziałem twarz cudownego męża, litością zdjętą; ułaskiwił się jej, potem poszedł, dotknął zmarłego i rzekł do leżącego na nich w śmiertelnych szatach nieboszczyka: Młodzieńcze, tobie mówię wstań! — Jeszcze nie przebrzmiały słowa, a umarły już usiadł i począł mówić.

— Takie rzeczy Bóg tylko działać może — rzekł Baltazar do Simonidesa.

— Zważcie — dodał Ben-Hur — że mówię tylko to, czego sam byłem świadkiem wraz z mnóstwem ludu. W ostatniej naszej podróży tu do Jerozolimy, widziałem czyn podobny, ale jeszcze wspanialszy i potężniejszy. W Betanii żył człowiek nazwiskiem Łazarz, umarł i pochowano go; cztery dni leżał już w zamkniętym grobie, gdy przeprowadzono Nazarejczyka na miejsce. Kazał odwalić kamień, zamykający wejście do grobu, i ujrzelśmy wszyscy leżącego i związanego chustami człowieka, co więcej, zwłoki już się psuć zaczęły. Wielu ludzi stało wokoło i wszyscy słyszeliśmy jak, Nazarejczyk wielkim głosem zawołał: „Łazarzu, wyjdź!“ Próżnobył się silił opisać uczucia, jakich doznawałem, gdy człowiek wezwany wstał i wyszedł w śmiertelnych szatach. — Rozwiązać go i puścić, aby szedł. — A gdy rozwiązano całun i chusty, to krew płynęła w cieple wskrzeszonego i wiercie mi, przyjaciele moi, był takim, jak za życia przed chorobą, co go zabrała z tej ziemi. Odtąd żyje, można z nim rozmawiać, a jutro będziecie mogli go oglądać. Teraz, kiedy wam wszystko powiedziałem, zadaję wam raz jeszcze toż samo pytanie i żądam odpowiedzi, po którą przyszedłem. Pytanie to jest raczej powtórzeniem twojego własnego pytania, Simonidesie, bo pytam: Czemże więcej niż człowiekiem jest Ten, którego zowią Nazarejczykiem?

Słowa te wymówił z pewną uroczystością. Długo w noc roztrząsali trzej mężowie to pytanie. Simonides trwał przy swoim rozumieniu proroków; Ben-Hur przyznawał, że obaj starcy mają słuszość, bo Nazarejczyk jest Odkupicielem, jak go pojmował Baltazar, ale zarazem i Królem, którego oczekiwał Simonides.

— Jutro dowiemy się, pokój wam wszystkim. — Wyrzekłszy te słowa, odszedł Ben-Hur z powrotem do Betanii.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Pierwszą osobą, która nazajutrz wyszła z miasta, skoro otworzono bramy, była Amra z koszem w ręku. Strażnicy nie zadawali jej pytań, bo wychodziła zwykle, zanim słońce na niebie zeszło. Nie zwracała zresztą niczyjej uwagi, bo łatwo się było domyślić, że jest czyjaś wierna służą.

Szła drogą ku wschodniej dolinie, przecież wzrok chętnie zwracała na szczyt Góry oliwnej, gdzie widniały białe namioty przybyłych na święta. Było jeszcze tak wcześnie, że nikogo obcego, ktoby ją mógł zaczepić, nie spotkała. Doszła do Getsemane, koło grobów, gdzie się krzyżują drogi do Betanii i Siloa. Biedna, wiekiem pochyłona staruszka, potykała się często, czasami usiadłszy, odpoczywała, aby, zaczerpnąć sił, i po chwili znowu wstawała. Gdyby skały piętrzące się po drugiej stronie miały oczy, pewnieby zauważyły, że często spoglądała ku górze z obawą na jutrzeńkę, co zbyt wcześnie mrok rozpraszała; gdyby słyszeć i mówić mogły, pewnieby rzekły: „przyjaciółka nasza spieszy się dzisiaj, a te, które pragnie nakarmić, głodne być muszą.“

Gdy nareszcie doszła do Królewskich grodów i zobaczyła przed sobą miasto trędowatych, ciągnące się wzdłuż Hinonu, zwolniła kroku. Szła do swej pani, której jaskinia tak blizką była źródła En-rogel i ucieszyła się widząc, że mimo wczesnej pory, nieszczęśliwa kobieta siedziała już u wejścia, używając świeżego powietrza, podczas gdy Tirza jeszcze spała. Choroba w ciągu ostatnich trzech lat olbrzymie zrobiła postępy, wiedziała o nich wdowa Hura i dlatego okrywała się zawsze starannie; nawet Tirza rzadko kiedy widziała odsłonięte oblicze matki.

Tego poranku, wiedząc, że nie było w pobliżu nikogo, ktoby się strasznej mógł przerazić powierzchowności, zdjęła osłonę z głowy, by świeższem odetchnąć powietrzem. Mimo mroku, można już było ujrzeć, jak strasznemu zniszczeniu uległa jej postać. Włosy, białe jak śnieg, straciły wszelką miękkość i spadały na plecy jak zwoje srebrnych drutów. Powieki, usta, nozdrza, policzki — zniszczone, była to masa zepsutego ciała. Szyję pokrywały sine blizny. Jedna ręka, na sukni spoczywająca, była sucha jak u szkieletu, palce bez paznogci, a członki

albo nagie aż do kości, albo spuchnięte i czerwone. Sądząc z tak zezpeconej głowy, ręki i szyi, łatwo się domyślić można, w jakim stanie się znajdowało całe ciało i zrozumiemy także, dlaczego piękna niegdyś wdowa Hura tak długo mogła się ukrywać przed poszukiwaniami syna.

Zapytasz się może, czemu, tak straszne przechodząc katusze, nie skróci życia swego?

Bo zabrania tego święte przykazanie.

Może uśmiechnie się na to poganin, ale nie uczyni tego żaden syn, w którego duszy płonie żywym ogniem wiara.

Siedząc pogrążona w samotnych myślach, ujrzała nagle zbliżającą się ku sobie niewiastę, wstaje więc szybko, okrywa głowę i woła oschłym, chrypliwym głosem:

— Nieczyste! nieczyste!

Za chwilę Amra nie zważając na ostrzeżenie, już u nóg jej leży, cała miłość tej prostej kobiety, tak długo powstrzymywana, wybuchła w tej chwili; ze łzami całuje suknie swej pani. Ta chciała się wydrzeć jej pieczętom; nareszcie uległa mimowoli ich natarczywości.

— Cóżś uczyniła, Amro? — rzekła. — Żaliż takie nieposłuszeństwo chcesz nazwać miłością? Szalona, zgubiłaś siebie i jego — twego pana — już go nigdy nie zobaczysz! Jesteś już pod wyrokiem prawa, nie wolno ci wrócić do Jerozolimy. A cóż się z nami stanie? Któż nam przyniesie chleba? O szalona Amro! Jesteśmy wszystkie zgubione!

— Litości! — wołała Amra, wznosząc ręce ku niej.

— Czemuż, o czemu nie miałaś litości nad sobą, wtedy zaiste byłabyś i dla nas litościwszą. Teraz, dokądże się udamy? Niema dla nas żadnej pomocy. O wiarołomna sługo, żaliż gniew Pana nie dość na nas zaciężył?

Zbudzona wrzawą Tirza, ukazała się teraz, a widok jej był przerażający. Pióro wzdryga się przed opisem jej postaci. Na wpół odziana, bliznami okryta, prawie ślepa, z opuchłymi członkami, niezem nie przypominała owej istoty pełnej dziecinnego wdzięku, którąśmy poznali na dachu pałacu Hurów.

— Czy to Amra, matko?

Amra próbowała przyczłgać się do niej.

— Stoj Amro! — wołała matka rozkazująco. — Zakazuję ci dotykać się jej. Wstań i idź, póki cię nikt u źródła nie widział. Ale zapomniałam — to już zapóźno! musisz zostać i los nasz dzielić będziesz. Wstań, mówię!

Amra uklekała, mówiąc ze złożonemi rękoma:

— O dobra pani! Jam ani szalona, ani wiarołomna. Przynoszę dobre wieści.

— Od Judy? — pytała wdowa odsunawszy płótno z twarzy, ale Amra nie słyszała pytania.

— Ukazał się cudowny mąż — mówiła Amra — który może was uleczyć. Dość mu rzec słowo, aby chory był zdrowym; nawet umarły wraca do życia. Przychodzę, aby was do niego zaprowadzić.

— Biedna Amro! — rzekła litośnie Tirza.

— Nie — wołała Amra, rozumiejąc powątpiewanie zawarte w tych wyrazach. — Nie, nie, jam nie szalona, ale to co mówię, prawdą jest, jako żywie Pan, Pan Izraela, Bóg mój i wasz. Chodźcie ze mną, nie tracąc czasu. Dziś, może wkrótce przechodzić będzie ów mąż do miasta. Patrzcie, oto blisko dzień. Pożywcie się — i chodźmy.

Matka słuchała z najwyższem zajęciem. Zdaje się, że już poprzód słyszała o cudownym mężu, bo sława Jego brzmiała już wówczas po wszystkich zakątkach Judei.

— Kto On jest? — pytała.

— Nazarejczyk.

— Kto ci mówił o Nim?

— Juda.

— Juda? Czy jest w domu?

— Przybył wczoraj.

Wdowa chcąc serce zwoje do równowagi przywrócić, milczała chwilę.

— Czy Juda cię przysłał, abys nam to powiedziała? — spytała.

— Nie. On sądzi, że już nie żyjecie.

— Żył niegdyś prorok, który uzdrowił trędowatego — rzekła matka poważnie do Tirzy — władzę uczynienia tego otrzymał od Boga. Skądże syn mój wie, że mąż ten posiada taką władzę? — spytała, zwracając się do Amry.

— Szedł za Nim, słyszał trędownych, wzywających Go, i widział, jak odeszli zdrowi. Najpierw przybył jeden chory, potem dziesięciu, a wszyscy odeszli uzdrowieni.

Wdowa słuchała w milczeniu; wyschła jej ręka drżała od wzruszenia, widocznie walczyła z sobą. Nie pytała, jak to było, bo jej starczyło świadectwo syna; ale usiłowała zrozumieć potęgę, z której pomocą człowiek mógł takich dokonać rzeczy. Rzekła nareszcie do Tirzy:

— To chyba Mesyasz!

Nie rzekła tych słów obojętnie, ale jak ktoś, co nie wątpi, chociaż zwykł rzeczy sądzić rozsądnie. Jako niewiasta izraelska, oswojona obietnicami, które Bóg dał jej narodowi, i jako kobieta rozumna, gotową była cieszyć się choćby najmniejszym znakiem spełnienia tych obietnic.

— Był czas, kiedy Jerozolima i cała Judea brzmiały powieściami o Jego narodzeniu — pamiętam to dobrze i zaprawdę, w obecnej chwili mógł dobiedz wieku męskiego. Tak, to musi być On. Tak — rzekła do Amry — pójdziemy z tobą. Przynieś wodę, która jest w dzbanie i przygotuj jedzenie. Pokrzepiwszy siły, pójdziemy.

Nie wiele, wśród tak wielkiego wzruszenia, potrzebowały czasu na pokrzepienie się i wnet wszystkie trzy kobiety puściły się w drogę. Tirza podzielała wiarę matki, jedna przecież myśl trwożyła je. Z Betanii, jak mówiła Amra, miał przybyć, a z wioski tej do Jerozolimy wiodły trzy drogi — jedna przez szczyty Góry oliwnej, druga krajem tychże wzgórz, trzecia między szczytem a górą „Gniewu.“ Wszystkie trzy ścieżki nie były od siebie oddalone, jednak mogły go nie spotkać, gdyby inną nie tę, którą szły, obrał drogę.

Po kilku pytaniach spostrzegła matka, że Amra nie zna okolicy po drugiej stronie Cedronu, ani zamiarów Tego, którego pragnęły spotkać. Zrozumiała też, że Amra porówno z Tirzą spuszcza się na jej kierownictwo, pierwsza już ze względu na swe podrzędne stanowisko, druga z naturalnego uczucia uległości.

— Pójdziemy najpierw do Betfagi — rzekła do nich — tam, za łaską Bożą, dowiemy się, co nam czynić należy.

Szły więc wzgórzami ku Tofetowi i „Królewskim ogrodom“, a gdy weszły na gościniec, stanęły?

— Lękam się iść gościńcem — rzekła wdowa. — Trzymajmy się na uboczu. Dziś święto, wielkie tłumy ludu podążą do miasta, jeśli pójdziemy wprost przez górę „Obrazy“, unikniemy ich.

Tirza szła z trudnością; słysząc zamiar matki, przestraszyła się.

— Góra to bardzo stroma, moja matko, nie zdołam wejść.

— Pomnij, że idziemy po zdrowie i życie. Patrz, dziecię moje, jaki cudny dzień się zapowiada. Tam spieszą kobiety do źródła; gdybyśmy tu pozostały, gotowe nas ukamienować. Chodź, bądź odważną!

Temi słowy biedna matka, sama cierpiąca, usiłowała wzmocnić córkę. Amra, która dotąd nie ważyła się ich dotknąć, teraz, nie zważając już na nic, podeszła do Tirzy, a obejmując ją w pół, szepnęła jej w ucho: oprzej się na mnie, dziecię moje, jam silna, choć stara, a droga niedaleka. Chodź, tak — pójdziemy razem.

Góra, na którą się spinały, była istotnie stroma, nierówna, zasypana rumowiskami i gruzami starych budowli, pełna wyboi; gdy jednak nieszczęśliwe stanęły, aby odpocząć i spojrzeć na widok z północno-zachodniej strony — na świątynię, jej terasy, na Syon i jego wspaniałe wieże, rysujące się na tle niebos, uczuła matka budzące się na nowo pragnienie życia.

— Patrz, Tirzo — mówiła — patrz, jak złote płyty lśnią na „Bramie pięknej.“ Czy widzisz, jak się w nich odbijają promienie słońca? Pamiętasz, jak tam chodziliśmy? Pomyśl, jak błogo będzie chodzić tam znowu. Patrz, jak blisko dom nasz! Widzę go poza dachem Świątyni. Ach! jakże w tym starym domu witać nas będzie Juda nasz ukochany!

Nareszcie poczęły po drugiej stronie góry schodzić.

Mimo poświęcenia wiernej sługi, biedna Tirza jęczała z boleści, co krok uczyniła, to krzyk z nadmiaru bólu przeszywał serce matki i wiernej Amry. Gdy zeszły na dół padła biedna z sił wyczerpana i słabym rzekła głosem:

— Idź, matko, z Amrą; mnie tu zostawcie.

— Nie, nie mów tak, Tirzo. Czemżeby mi było zdrowie bez ciebie? Cóżbym powiedziała Judzie, gdyby pytał, gdzie cię zostawiłam?

— Powiedz mu wtedy matko, że go kochała.



Nieszczęśliwa matka pochyliła się nad córką i spojrzała bezwiednie wokoło, bo myśl uzdrowienia swego była nierozłączalną z uzdrowieniem córki. Postanowiła zaniechać dalszej drogi, zaczekać i zlecić wszystko opatrności Boskiej.

W tej chwili stanowczej ujrzała zbliżającego się szybko człowieka.

— Odwagi, Tirzo! Oto zbliża się ktoś, co nam może powie coś więcej o Nazarejczyku.

— Matko, zapominasz w twej dobroci, w jakim znajdujemy się stanie. Nieznajomy, który nadechodzi, wyminie nas, będzie nas przeklinał i rzuci na nas kamieniem.

— Zobaczymy.

Cóż innego mogła odpowiedzieć biedna matka, wszakże wiedziała, jak się obchodzą ludzie zdrowi z trędowatymi.

Droga u zakrętu, gdzie właśnie spoczywały znajome nam niewiasty, była raczej ścieżką niż gościńcem; idący nią przechodzień nie mógł ich wyminąć. Jakoż stało się, iż przyszedł tak blisko, że mógł usłyszeć zwykłe ostrzeżenie, do którego obowiązywało prawo każdego trędowatego. W tak strasznej chwili nie zapomniała wdowa Hura swego obowiązku i odkrywając również podług prawa głowę, zawołała:

— Nieczyste, nieczyste!

Jakież było jej zdziwienie, gdy człowiek nie zawahał się ani chwili i szedł prosto ku nim.

— Czego chcecie? — spytał, zatrzymując się w oddaleniu kilku stóp.

— Widzisz, kto jesteśmy, miej się na baczności! — rzekła matka z godnością.

— Kobieto, jam wysłaniec Tego, który jednym słowem uzdrawia takich jak ty. Nie lękam się.

— Nazarejczyka?

— Mesyasza — poprawił.

— Żaliż prawdą jest, że dziś przybywa do miasta?

— Jest teraz w Betfage.

— Którą drogą pójdziesz?

— Tędy.

Złożyła ręce do modlitwy i dziękczynne ku niebu wysłała spojrzenie.

— Kim miemasz, że On jest?

— Synem Bożym.

— Zostań więc tu niewiasto, albo, ponieważ towarzyszy mu wielka rzesza, stań tam u skały, co bieli się z daleka w cieniu drzew. Gdy będzie przechodzić, wezwij Go, wołaj śmiało i nie lękaj się, On cię usłyszy. Idę głosić Izraelowi, co się w mieście i poza miastem zgromadził, że się zbliża Mesyas, aby Mu zgotowali przyjęcie. A teraz pokój tobie i twoim! — To rzekłszy, oddalił się.

— Słyszałaś, Tirzo? Nazarejczyk idzie i wysłucha nas. Zbierz siły, jeszcze jeden krok, jeden tylko, moje dziecię, a będziemy u skały.

— Słowa te dodały Tirzy odwagi, ujęła ramię Amry i podniosła się z ziemi; gdy uszły parę kroków, wstrzymała ją Amra, mówiąc: Zaczekaj, bo oto człowiek ów wraca. — Czekwały chwilę; gdy się zbliżył, rzekł:

— Proszę cię, niewiasto, przyjmij ode mnie tę wodę; skorom odszedł, wspomniałem, że wnet słońce doskwierać pocznie, Chrystus zaś nie prędko tu przybędzie. Weźcie więc, woda wam się przydać może i wieście nadzieję. Gdy przyjdzie, wołajcie!

Mówiąc te słowa, ofiarował im tykwę wody, jaką zwykli brać w drogę podróżni, a nie stawił jej na ziemi, ale oddał im w ręce.

— Jesteś Żydem? — spytała zdziwiona tem postępowaniem matka.

— Jestem, ale co więcej, jestem uczniem Chrystusa, a On naucza słowem i przykładem czynić, jako ja wam uczyniłem. Świat znał od wieków wyraz „miłość“, ale nie rozumiał jego znaczenia. Powtarzam raz jeszcze: nie trwócie się! Pokój tobie i twoim.

Odszedł. One zaś zwolna posuwały się ku skale, którą im wskazał opodal drogi. Gdy doszły do upragnionego celu, spostrzegła matka z zadowoleniem, że przechodzący drogą mogą je snadnie ujrzeć i usłyszeć. W cieniu drzewa usiadły więc, a orzeźwiwszy się wodą z tykwy, czekały z wiarą i ufnością; Tirza zasnęła niebawem, obie starsze kobiety, aby jej nie budzić, milczały.

*) Tykwa, okrągły dzban, podobny formą do dyni.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Około trzeciej godziny poblizka droga poczęła się roić pielgrzymami idącymi do Betfagi i Betanii; koło czwartej wielki tłum ukazał się na szczycie Góry oliwnej. Całe tysiące się zbliżały, a dwie przypatrujące się kobiety spostrzegły ze zdziwieniem, iż każdy z idących niósł w ręku gałązkę palmową, świeżo zerwaną. Gdy tak siedzą i patrzą, gwar zbliżającego się tłumu od wschodu zwrócił ich uwagę w przeciwną stronę, a matka zbudziła Tirzę.

— Co to znaczy? — zapytała zbudzona na wpół jeszcze we śnie.

— On nadechodzi — odpowiedziała matka. — Ci oto idą z miasta naprzeciw Niemu; tamci, których słyszymy, to jego zwolennicy, przyjaciele, co Mu towarzyszą; prawdopodobnie, że się tu, w bliskości nas, spotkają.

— Boję się, aby tak nie było, bo wtenczas nie usłyszy naszego wołania.

Ta sama myśl nękała również starszą niewiastę. — Amro — pytała — gdy Juda mówił o uzdrowieniu dziesięciu trędowatych, jakimi słowy wzywali Nazarejczyka.

— Mówił, że wołali: „Panie, miej litość nad nami!“ albo „Mistrzu, ulituj się!“

— Tylko tyle?

— Nie nadto nie wspomniał.

— Zaprawdę, to wystarcza — pomyślała matka.

— Tak — mówiła Amra — Juda mówił, że widział, jak odeszli uzdrowieni.

Tymczasem ludzie, którzy szli ze wschodu, zbliżali się zwolna; a gdy idących na czele już można było rozpoznać, wzrok trędowatych padł na postać jadącą w pośrodku i otoczoną śpiewającymi i tańczącymi wkoło Niego z nadmiaru radości. Jadący miał odkrytą głowę i był w bieli. Skoro nadjechał, ujrzały twarz bladą, osłonioną ciemnoorzechowemi ze złotym odbłaskiem włosami, spadającemi na ramiona i rozdzielającemi się nad czołem.

Zdawał się nie podzielać hałaśliwej radości orszaku; ich podziw i uniesienie ani Go zachwycaly, ani wyrwały z głębokiej

zadumy, w której był pogrążony. Promienie słońca padały na Jego głowę, a oświecając rozwiane włosy, tworzyły jakby aureolę dookoła oblicza. Za Nim szło tak wielkie mnóstwo ludu, że końca przejrzeć nie było podobnem, a wszyscy śpiewali radośnie. Nikt nie oznajmił trędowatym, że to On idzie — cudowny Nazarejczyk! a przecież Go natychmiast odgadły.

— Oto On, Tirzo! — mówiła matka. — Jest tu w pobliżu, chodź, dziecko. — Mówiąc to, padła na kolana u stóp białej skały.

Córka i sługa znalazły się wnet przy niej. W tejże chwili ci, co dążyli ku Niemu z miasta, zatrzymali się, a powiewając gałązkami palm, śpiewali.

— Hosanna Synowi Dawidowemu! Błogosławiony, który idzie w Imię Pana!

Cała rzesza, która Go otaczała, i ta, która szła ku niemu, podniosła okrzyki, a powietrze drgało, odbijając echem do grzmotu podobnem o skały i wzgórze. Nic dziwnego, że głos trędowatych ginał w ogólnym zgiełku jak świątobliwy wróbel.

Chwila spotkania już się zbliża, minie chyżo a z nią sposobność tak bardzo przez nieszczęśliwe oczekiwana.

— Chodźmy bliżej, dziecko, stąd nie usłyszysz nas! — mówiła matka.

Wstała i uszła kilka kroków naprzód; z wniesionymi w górę rękoma wołała głosem chrypliwym i ostrym. Lud ujrzał ją, ujrzał jej straszną twarz i zatrzymał się. Ostateczna nędza ludzka wywiera prawie zawsze równie potężne wrażenie jak majestat w purpurze i złocie. Tirza została za nią i padła opodal, nie mogąc iść dalej.

— Trędowate, trędowate!

— Kamieniem je.

— Przeklął je Pan! Zabijcie je!

Podobne okrzyki zmieszały się z okrzykami hosanny, co nieustannie brzmiały. Ci, co byli w pobliżu jadącego i obcując z Nim czas dłuższy, znali jego sposób myślenia i serce pełne litości, tych oczy do Niego tylko były zwrócone i milczeli. Gdy się zbliżył i ona ujrzała to oblicze spokojne, pełne litości, nadzwyczaj piękne, z wy-

razem nieokreślonej łagodności i uczucia. — Stała jakby w podziw i dopiero po upływie pewnej chwili zdołała zawołać:

— Mistrzu i Panie! widzisz, jak nędzne jesteśmy; możesz nas oczyścić. — Miej litość nad nami, zmiłuj się!

— Żali wierzysz, iż mogę to uczynić? — zapytał.

— Jesteś przepowiedzianym przez proroki, jesteś Mesyaszem!

— Niewiasto — rzekł — wielką jest twoja wiara, niechaj ci się stanie, jako chcesz!

Zdawaćby się mogło, że zapomniał o tłumie, który mu towarzyszył, przystanął chwilę, chwilę tylko, i odjechał.

Jakże słodko odbiło się w sercu Jego błogosławieństwo i wdzięczność tej, co wołała z nim:

„Chwała Bogu na wysokości, chwała! Po trzykroć błogosławionym Syn, którego nam dał.“

Zaledwo postąpił kilka kroków, oba orszaki: ten, który siedł z miasta i ten, który siedł z Betfagi, otoczyły go, powiewając palmami i wznosząc radosne okrzyki: hosanna! I tak znikł z oczu trędowatych.

Spiesznie nakrywszy głowę, pobieгла matka do córki, a obejmując ją, wołała: Córko, mam obietnicę, dotrzyma jej, bo jest Mesyaszem! Otośmy ocalone! — Obie klęczały pogrążone w modlitwie, póki procesya nie przeszła i nie znikła za górą.

W miarę, jak gwar cichnął i cisza zalegała te ustronne miejsca cud spełniać się zaczynał. Najpierw dotknięte chorobą uczuły jakiegoś odświeżenia krwi w sercu, potem prędsze i silniejsze jej krążenie, które napełniało ich uciśnione ciało słodkim uczuciem uzdrowienia bez boleści. Każda czuła, że choroba ją opuszcza, siły się wzmacniają i wracają do pierwotnego stanu. Wnet, jakby dla dokonania oczyszczenia, technienie ożywcze przeszło z ciała do duszy, która zadrgała nadzwyczajnym zapalem. I zdała im się ta siła, uzupełniająca cudowne przeobrażenie, niby czarodziejskim nektarem, działającym szybko i szczęśliwie.

A jednak silniejszą niż napój była władza uzdrawiająca i oczyszczająca, bo wzniosła ich dusze ku niebu, napełniając je dziękczynieniem

Świadkiem tego przeobrażenia — gdyż tak raczej nazwać należy uzdrowienie trędowatych — był jeszcze ktoś prócz Amry. Jak

wiemy, szedł Ben-Hur ze zwykłą sobie wytrwałością za Nazarejczykiem, towarzysząc mu we wszystkich wędrówkach i podróżach; a jeśli przypomnimy sobie jego ostatnie postanowienie, to nie zdziwimy się wcale, gdy go ujrzymy wśród rzeszy towarzyszącej wjazdowi. Był on



tuż przy drodze, gdy trędowata kobieta ukazała się wśród tłumu, słyszał jej prośby i widział straszne oblicze. Również nie uszła jego uwagi odpowiedź Nazarejczyka, a choć przypadki tego rodzaju były wówczas dość liczne, przecież jeszcze nie oswoił się z nimi do tyle, by nie wzbudzały w nim podziwu.

Ze każdy taki nowy dowód siły i potęgi Nazarejczyka budził na nowo w sercu wodza wszelkie sprzeczne myśli, dotyczące się misji tajemniczego człowieka, jest rzeczą całkiem naturalną. Te na nowo budzące się myśli wstrzymały Ben-Hura na miejscu, wysunął się z orszaku i usiadł na kamieniu, czekając, aż cały pochód przejdzie.

Tak siedząc, pozdrawiał przechodzących znajomych Galilejczyków, co pod długimi sukniami ukrywali krótkie miecze. Po chwili zbliżył się opalony Arab, prowadzący dwa konie, lecz Ben-Hur dał mu znak, aby się zatrzymał, mówiąc:

— Zatrzymaj się tutaj, wnet ruszę do miasta, a Aldebaran musi mi oddać przysługę.

Mówiąc to, głaskał konia, który był właśnie w chwili rozwoju swej siły i piękności, lecz widząc, że uzdrowione kobiety zatrzymały się opodal, zwrócił ku nim oczy.

Były mu te kobiety całkiem nieznane, zajmowały go więc jedynie jako okazy, które mu miały pomódz do rozwiązania tajemnicy, tak dawno gnębiącej jego niepewny umysł. Nagle spojrzał na osobę, stojącą u białej skały i zakrywającą twarz rękoma.

— Na Boga, czyżby to była Amra? — rzekł sam do siebie.

Z tą myślą minął matkę i siostrę, nie poznawszy ich, i stanął przed sługą.

— Amro! — rzekł — Amro! co tu robisz?

Pobiegła ku niemu, padła na kolana, a łkając, nie zdołała wymówić słowa z bojaźni i radości.

— O panie, panie! jakże dobrym jest Bóg twój i mój.

Trudną do określenia jest siła współczucia, która sprawia, że bierzemy udział w próbach i doświadczeniach, co szamocą dolą drugich. Ona to zespala nas z nimi, że ich cierpienia i radość stają się naszymi. Tak i Amra, choć twarz zakryła rękoma, choć trędowate nie rzekły i słowa, dzieliła ich uczucia. Jej zachowanie, słowa, wszystko to pozwoliło odgadnąć Ben-Hurowi jakby przeczuciem, że jej obecność łączy się z obecnością kobiet, które właśnie co minął. Czuł, że jest między nimi jakiś związek, obrócił się ku nim w chwili, gdy powstały z ziemi. Tu — serce jego stanęło, jakby wrósł w ziemię — oniemiał z przerażenia.

Kobieta, którą ujrzał przed Nazarejczykiem, stała z rękoma złożonemi i oczyma wzniesionemi ku Niebu. Samo przeobrażenie już było dostateczną niespodzianką, przecież powód jego wzruszenia, jakże był inny! Czyż mógł się mylić? Nigdy nie zdarzyło mu się widzieć kogoś podobniejszego do matki, takiej, jaką była w chwili, gdy mu ją Rzymianie wydarli. Jedna tylko zachodziła różnica, — włosy jej przypruszała siwizna, przypominając minione lata, których cud zatrzeć nie potrzebował. Kogoż widzi obok niej? — Wszak to Tirza,



piękna, rozwinięta, ale prawie ta sama, co z nim stała nad balustradą w owym dniu pamiętnym przygodą Gratusa. Sądził, że nie żyją, z czasem przyzwyczaił się do tej myśli, opłakiwał je, ale w snach i marzeniach nie miały już wyraźnego kształtu. Zaledwie swym oczom wierząc, położył rękę na głowie sługi i spytał drżącym głosem:

— Amro, Amro, moją to matka? Tirza to?... Powiedz, czy mnie wzrok nie myli?

— Mów do nich, panie mój, mów do nich! — rzekła.

Nie czekał już dłużej, pobiegł z wyciągniętymi rękoma, wołając: Matko, matko! Tirzo! Oto jestem

Słyszały jego wołanie, biegnąc ku niemu z okrzykiem! Nagle

stała matka, w chwili gdy z ust jej dobyło się słodkie imię: — Juda, synu! — i dodała dawną przestrogę: „cofnij się, bo nieczyste! nieczyste!“

Nie był to wyraz przyzwyczajeniem wywołany, raczej płynący z obawy macierzyńskiej miłości. W swoje uzdrowienie wierzyła najzupełniej, ale bała się, czy w szatach nie ukrywa się zaraza. Myśl ta daleką była od serca syna. Nikt nie byłby go powstrzymał, i za chwilę wszyscy troje, tak długo rozłączeni, padli sobie w objęcia.

Pierwsza ocknęła matka, mówiąc:

— Niech nas nie kała niewdzięczność; wśród szczęścia pomnijmy o Tym, który nam je darował i złożmy podziękę Jemu, któremu tyle zawdzięczamy!

Upadli wszyscy wraz z Amrą na kolana, a modlitwa matki była jako psalm dziękczynny. Tirza z głębokiem przejęciem powtarzała każdy wyraz, czynił to i Ben-Hur, ale nie z tak czystym umysłem i nie z taką wiarą. Wstawszy, zapytał:

— W Nazaret, kędy się urodził, mienią Go ludzie synem cieśli. Kimże jest?

Oczy matki spoczęły na synu z dawną tklivością, i odparła mu, jak to uczyniła przed chwilą na pytanie Nazarejczyka:

— Mesyaszem.

— Skądże Jego moc?

— Skąd? — Żali nie widzisz, jaki z niej robi użytek? Czy widziałeś, aby kiedykolwiek robił co złego?

— Nie.

— Oto dowód, że siła i moc Jego od Boga jest!

Nie łatwo to pozbyć się wszystkich nadziei, dla których się od lat pracowało i które się w duszy pieściło; a chociaż przyznawał, że próżność tego świata niczem jest dla Chrystusa, pragnienie chwały nie pozwalało mu poddać się. Chciał wierzyć w Chrystusa podług siebie, jak to tylu ludzi robi po wsze czasy, mimo, że stokroć byłoby lepiej, gdybyśmy podług Chrystusa, a nie podług siebie wierzyli.

Matka pierwsza pomyślała o obowiązkach życia codziennego, pytając:

— Cóż dalej czynić mamy? Dokąd pójdziemy, synu mój?

Ben-Hur, napomniany temi słowy, jał się przypatrywać ich postaciom i zauważył, że znikły wszelkie ślady trądu, a ciało ich było podobne ciału zdrowego dziecięcia, jako niegdyś ciało Naamanowe — słowem, wróciły do dawnego stanu. Widząc Juda, że szata Tirzy nie dobrze okrywa jej wdzięki, zdjął swój płaszcz, a osłoniwszy nim Tirzę, rzekł z uśmiechem:

— Weź go! Jeśli wpierv oko patrzącego obrażała twoja choroba, to niechaj teraz wzrok ciekawych nie obraża ciebie.

Ruchem tym odkrył miecz u boku.

— Żali żyjemy czasu wojny? — spytała trwożnie matka.

— Nie.

— Czemuż więc nosisz broń?

— Broń ta może być potrzebną w obronie Nazarejczyka.

Ben-Hur nie rzekł całej prawdy, ale i nie ukrywał nic.

— Cóż, ma nieprzyjaciół... kto oni?

— Niestety, matko, nie są to sami Rzymianie!

— Nie jestże synem Izraela i żali czyni co przeciw pokojowi?

— Nikt inny, jak On, może być zwany mężem pokoju; ale w przekonaniu Rabinów i nauczycieli winien jest wielkiej zbrodni.

— Jakiej?

— Nową głosi naukę, a stosownie do jej zasad, i poganin równy jest Żydowi i godzien wszelkich łask nieba.



— Matka milczała i poszli w cień drzew u skały. • Powstrzymując niecierpliwość zabrania ich do domu i ciekawości słuchania dziejów strasznej przeszłości, przypomniawszy im Ben-Hur sam, potrzebę zastosowania się do prawa obowiązującego w podobnym wypadku. Kończąc swe rozporządzenia, kazał Arabowi zaprowadzić konie do bramy przy Betesda i tam na niego czekać. Jakże innym był powrót niewiast do miasta! Szły razem z ukochanym Judą, szły prędko, swobodnie, wolne od wszelkich obaw. Stąpawszy u wejścia nowego grobowca w pobliżu grobu Absalona i tuż przy Cedronie, ujrzały że pusty i zajęły go, podczas gdy Ben-Hur udał się do miasta, aby wszystko przygotować do nowego życia.

Wkrótce wrócił i zbudował dwa namioty w pobliżu „Ogrodów królewskich“ i urządził je jak najwygodniej, gdyż obydwie kobiety musiały tam pozostać, dopóki kapłan nie sprawdzi ich oczyszczenia.

Przebywając z trędowatymi, spełniając swe względem nich obowiązki, stał się Ben-Hur, stosownie do brzmienia prawa, równie nieczystym, wskutek czego nie mógł brać udziału w zbliżających się uroczystościach. Nie mógł wejść nawet w najodleglejsze podwórze świątyni. Zmuszonym więc był niejako pozostać ze swemi ukochanymi w namiocie. Był to jednak miły przymus, gdyż wiele miał do słuchania i wiele do opowiadania.

Dzieje takie, jak ich, tylu lat przebytych wśród cierpień, tylu bolesnych doświadczeń, nie da się opowiedzieć w krótkości. To też opowiadały powoli, a on słuchał cierpliwie, walecząc o spokój, równowagę, ile razy uczucia poczęły go unosić. Nic dziwnego, że pod wpływem tych opowiadań nienawiść do Rzymu i Rzymian dosięgła najwyższego punktu. Pragnienie zemsty porywało go, gorycz napełniała duszę jego, chciałby biedz, bić, mordować, mścić się za wszystkie krzywdy. Raz zdało mu się, że najlepiejby było zebrać Galilejczyków, wywołać powstanie i rozbijać po drogach. Innym razem myślał już o morzu, — choć drżał na myśl o niem. Widział w duchu rzymskie statki naladowane bogactwami, które możnaby łupić. Były to wszystko mrzonki, ale gdy je rozważył, pokój brał nad niemi górę. Każde usiłowanie użycia nowych środków przypomniawszy mu dawne postanowienia i widział wyraźnie, że tylko połączenie całego Izraela

w jedną całość i walka z Rzymem wywołać mogą zmiany i posłużyć jego zemście. Tak wszelkie rozmyślania, wszelkie badania, wszelkie nadzieje kończyły się tam, gdzie się zaczęły... na Nazarejczyku i Jego celach.

— W dziwnych chwilach nadzwyczajnego uniesienia zdawało się twórcy tych wspaniałych planów, że słyszy Nazarejczyka mówiącego: Słuchaj, Izraelu! Jam jest obiecany przez Pana, Ten, który się urodził — Król Żydowski. Przyszedłem do Swej własności jako jest przez proroki przepowiedziane. Powstań Izraelu jako jeden mąż, a zwyciężysz i podbijesz świat!

Były to słowa układu Ben-Hura i gdyby je był wypowiedział Nazarejczyk, tłum poszedłby był za nim niewątpliwie.

W zapale, co go popychał do dzieła, po światowemu pojętego, zapomniał Ben-Hur o podwójnej naturze męża, który miał te szyki sprawować. Nie powstało mu w myśli, że natura boska może przeważać ludzką. W tym cudzie, o którym jego matka i siostra najdoskonalwsze miały wyobrażenie, widział i odróżniał tylko potęgę, co zdolna zbudować tron Izraela na rumowiskach państwa rzymskiego, zmienić świat i całą ludzkość, stwarzając jedną kochającą się rodzinę. Czyżby dzieło tak przeprowadzone i tak pojęte nie było powołaniem godnem Syna Bożego? Czyżby to nie było dziełem odkupienia? Gdyby nawet nie zważać na polityczne następstwa, ileżby stąd spadło chwały na Niego, jako na człowieka! Nie, zaiste, nie znalazłby śmiertelnika, któryby takim powołaniem śmiał wzgardzić.

Tymczasem wzdłuż Cedronu i w stronę Bezety, zwłaszcza wzdłuż drogi ku branie Damasceńskiej, rosły w oczach namioty i szałas, co miały być tymczasowem schronieniem pielgrzymów ciągle jeszcze przybywających na Wielkanoc. Ile razy Ben-Hur wyszedł przypatrzeć się i porozmawiać z cudzoziemcami, tyle razy wracał do swoich namiotów zdziwiony liczbą i rozmaitością napływającego ludu. Później przekonał się, że każda część świata ma wśród tych tłumów swoich przedstawicieli. I tak wszystkie miasta obu wybrzeży Morza Śródziemnego, aż po słupy Zachodu, dalej grody rozsiadłe nad rzekami dalekich Indyi, a nawet ziemie północnej Europy.

Gdy chodząc wśród namiotów, słyszał jako mówili różnymi językami, niepodobnymi do starego Hebrajczyków języka i wiedział, że wszyscy



przybyli w jednym celu obchodzenia uroczystego święta, powstawała w jego umyśle dziwnie fantastyczna myśl. Czyżby źle zrozumiał zamiary Nazarejczyka? Któż wie, żali on nie czekał cierpliwie na pozór, tą cierpliwością pokrywał przygotowania i tym sposobem właśnie

dał poznać wielkie zdolności godne tak wielkiego zadania? Bo czy nie była obecna chwila daleko odpowiedniejszą niż nad jeziorem Genezaret, gdzie Mu Galilejczycy chcieli włożyć koronę na głowę? Wtedy jego stronnictwo liczyło z jakie kilka tysięcy, dziś na Jego wezwanie odpowiadałyby miliony. Któżby ich policzyć zdołał? Snując swoje przypuszczenie do ostatecznego rozwiązania, obracał się Ben-Hur wśród świetnych nadziei i przyszedł do przekonania, że ten spokojny człowiek pod łagodną powierzchownością i dziwnego zaparcia samego siebie, ukrywał subtelny umysł polityczny i zdolności wodza.

Wśród tych zajęć i myśli nawiedzali go często ludzie krępi, o ciemnych włosach i brodach, a bez zawoi na głowach; rozmawiał z nimi długo i tajemniczo, gdy zaś matka pytała Ben-Hura, kimby byli, odpowiadał:

— Moi dobrzy przyjaciele z Galilei.

Oni donosili mu o postępowaniach Nazarejczyka i planach Jego nieprzyjaciół — tak Rabinów, jak Rzymian.

Że życie tego męża było w niebezpieczeństwie, wiedział, ale nie przypuszczał, aby mieli odwagę targnąć się na nie w czasie świąt. Zdawało mu się, że to życie zanadto już było otoczone sławą i popularnością, a w części sądził, że sam najbliższy mu towarzyszący orszak nie dopuści niebezpieczeństwa, nadewszystko zaś pewność jego polegała na cudównej władzy Chrystusa. Po ludzku rozumując, nie mógł pojąć, aby ktoś, posiadający taką władzę nad życiem i śmiercią, władzę której tak często używał dla dobra innych, nie użył jej dla siebie.

Wszystkie te wypadki zdarzyły się między 21. a 25. Marca podług naszej rachuby. Wieczorem ostatniego dnia (25) nie zdołał już Ben-Hur utrzymać się w namiocie i postanowił udać się do miasta, obiecując wnet wrócić.

Koń był wypoczęty, mknął więc rażno, nikt go nie widział, ulice były puste.

Wjechał do Jerozolimy północną bramą, do miasta pełnego chwały, jakim było przed zburzeniem.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Ben-Hur zostawił konia przed gospodą, z której przed trzydziestu laty wyjechali trzej Mędrcy do Betleem. Arabowi towarzy-



szącemu poruczył pieczę nad Aldebaranem, sam zaś pospieszył do rodzinnego domu i jego wielkiej komnaty. Najpierw pytał o Mallucha, a nie znalazłszy Go w domu, pragnął pozdrowić swoich przyjaciół: kupca i Egipcjanina. I to mu się nie udało, bo obaj kazali się zanieść do miasta na uroczystość. O Baltazarze mówiono, że jest słaby i wzruszony.

Gdy Ben-Hur dowiadywał się

o Baltazara, w drzwiach poruszyła się zasłona i weszła Iras. Stała na samym środku komnaty, gdzie światło lamp siedmioramiennego świecznika najsilniej padało.

Sługa oddalił się, zostawiając ich samych.

Wśród wzruszeń i zdarzeń dni ostatnich, poświęcał Ben-Hur Egipcjance ledwie myśl przelotną, jaką się przeznacza przyjemności,

co może poczekać, być odłożoną na czas sposobniejszy. Teraz, gdy ujrzał tę piękną kobietę, wpływ jej odżył z całą siłą.

Do obecnej chwili używała ona wszelkich sposobów, aby go usidlić; obecnie nie mogłaby nikogo obojętniej przyjąć. Stała spokojna i zimna jak posąg, tylko głowę przechyliła wstecz.

Tak niejako odporne zajmwszy stanowisko, przemówiła pierwsza:

— W sam czas przybywasz, synu Hurów — rzekła głosem zimnym — bo właśnie chcę ci podziękować za gościnność, pojutrze mogłoby być zapóźno.

Ben-Hur skłonił się lekko, nie spuszczać z niej oczu.

— Słyszałam, że grający w kości zwykli po skończonej grze przeliczać wzajemnie swe tabliczki i podsumowywać liczby — wychodzi im to na dobre, bo potem czynią libacje i wieńczą zwyciężcę. Myśmy również grali — trwało to wiele dni i nocy — teraz gdy gra skończona, czas zobaczyć, komu się wieniec należy?

Ben-Hur przezorny jak zwykle, odparł lekko: Mężczyzna powinien kobiecie zawsze pozwolić wolną wolę.

— Powiedz mi — mówiła, zwracając ku niemu głowę z wyrazem ironii — powiedz mi, książę Jerozolimy, gdzie jest Ów syn cieśli z Nazaret, a zarazem Syn Boży, po którym tak wielu spodziewałeś się rzeczy.

Ben-Hur poruszył niecierpliwie ręką i odpowiedział: Nie jestem przecież jego stróżem.

Piękna twarz pochyliła się jeszcze bliżej.

— Czy zburzył Rzym?

Ben-Hur podniósł rękę, w ruchu tym był już odcień gniewu.

— Gdzież Jego stolica? — pytała, — Żaliż nie ujrzę Jego tronu i lwów ze spiżu, co go strzegą? A Jego pałac? — wskrzeszał umarłych, to zaiste trudniej, niż zbudować dom ze złota? Jednem skinieniem, wymówieniem jednego słówka, wszak może zbudować równie wspinały gmach, jako sławny, prastary Karnak!

Teraz zrozumiał już jej grę; a że pytania były obrażające, całe zachowanie znamionowało niechęć, nabrał nieufności, stał się przezorniejszym i rzekł z odcieniem dobrego humoru: Któż wie, któż

zgodnie co będzie, poczekaj jeszcze, jeszcze dzień, lub tydzień, może ujrzysz pałac i lwy.

Nie zważając na przerwę, mówiła dalej:

— Dziwi mnie twe przebranie, wszak nie jest ono szatą odpowiednią dla namiestnika Indyi lub jakiegokolwiek wicekróla. Widziałem raz satrapę Teheranu, nosił turban z jedwabiu, a szatę ze złotej tkaniny; rękojeść jego miecza świeciła klejnotami i myślałam zaprawdę, że Oziris użyczył mu wspaniałości słońca. Widząc cię w tak skromnem przybraniu, lękam się, że nie otrzymałeś królestwa, które z tobą dzielić miałam!...

— Córa mego czeigodnego i mądrego gościa uprzejmiejszą jest niż sama przypuszcza, bo przekonuje mię, że w pięknym ciele może mieszkać serce pełne goryczy.

Ben-Hur mówił grzecznie, Iras zaś, pobawiwszy się chwilę naszejnikiem z monet, mówiła dalej: Jak na Żyda, mądrym jesteś, synu Hura. Wiesz, widziałam tu wjazd twego wymarzonego Cezara do Jerozolimy. Mówiłeś nam, że dnia tego ogłosi się królem Żydów u stopni Świątyni, poszłam więc naprzeciw, widziałam uroczysty pochód prowadzący Go, gdy schodził z góry. Słyszałam śpiewy i wołanie „hosanna!“ Widziałam, jak powiewano mu palmami; wyglądało to wspaniale. Ale gdy szukałam tam między tłumem postaci po królewsku wyglądającej, cóżem ujrzała? Czy jeźdźca w purpurze, czy wóz lśniący od złota, czy rycerza z tarczą, czy choćby uzbrojoną włóczniami kohortę? Napróżno! — Pragnęłam ujrzeć bodaj księcia Jerozolimy na czele swych Galilejczyków.

— Tu rzuciła na słuchającego spojrzenie pełne pogardy, potem zaśmiała się szyderczo, jak gdyby na wspomnienie takiego obrazu, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Zamiast Sesostrysa wracającego z tryumfem, lub Cezara w zbroi, cóżem ujrzała — ha, ha, ha! ujrzałam mężczyznę z twarzą i włosami kobiety, jadącego na źrebięciu oślicy i płaczącego. Toż to król! Toż to syn Boży! Odkupiciel świata! Ha, ha, ha!

Mimo, że Ben-Hur umiał panować nad sobą, była chwila, w której o mało nie dał się unieść gniewowi.

— Nie myśl jednak, książę Jerozolimy, abym tak łatwo dała za wygraną, pozostałam na miejscu — mówiła dalej, zanim zdołał się opamiętać. — Nie śmiałam się bynajmniej, lecz pomyślałam sobie: — Czekaj, w Świątyni ukaże się jak przystało na bohatera, co cały świat ma zdobyć! Widziałam dalej jak wchodził w bramę Shushan i w podwórzu niewiast. Prócz mnie ileż ludzi czekało tak samo jak ja z zapartym oddechem na ogłoszenie, ileż tysięcy w portykach, podwórzach, w klasztorach i na stopniach z trzech stron Świątyni — tysiące tysięcy, co mówię, miliony! Wszystko czekało. I o dziwo! ha, ha, ha, już zdało mi się, że słyszę trzask upadającego Rzymu. Ha, ha, ha, klęę się na duszę Salomona, twój Król wszechwładny nie ogłosił swej królewskiej władzy, choć Świątynia zdawała się drzeć odgłosem Alleluja! co wydierał się z piersi Jego dzieci! a i Rzym stoi, jak stał!

Ani wywody Baltazara, ani cuda Chrystusa, które widział własnymi oczami, nie podziały na niego tak, jak słowa stojącej przed nim kobiety. Łuska spadły mu z oczu, — posłannictwo Nazarejczyka nie było politycznem; człowiek zwykły nie oparł by się takiemu hołdowi jaki Jemu złożono.

— Córkó Baltazara — rzekł z godnością — jeśli gramy jeszcze, to weź wieniec, godło zwycięstwa — przyznaję ci go chętnie. Teraz porozumiemy się. Że masz wytknięty cel, nie wątpię, wymień go, proszę, a odpowiem ci. Potem idźmy każde w swoją drogę i zapomnijmy, żeśmy się kiedy spotkali. Mów, słucham dalej, ale uważaj, abyś za daleko nie zaszła!

Patrzyła na niego przez chwilę, jakby się namyslała, co czynić — może ważyła siłę swej potęgi, potem rzekła zimno: Możesz odejść — idź!

— Pokój tobie — odpowiedział i zwrócił się do odejścia. Gdy był u drzwi, zawołała:

Jeszcze słowo!

Staął i obejrzał się:

— Zważ wszystko, co wiem o tobie.

— O najpiękniejsza z Egipcyanek — mówił, zwracając się, coś albowiem wiesz o mnie?

Patrzyła jakby nieprzytomnie.

— Ty, synu Hura, jesteś więcej Rzymianinem niż którykolwiek z twych rodaków.

— Jestem tak mało do mych współbraci podobny? — zapytał obojętnie.

— Wszak wszyscy bohaterzy są Rzymianami — dodała grzeczniej.

— Spodziewam się, że dlatego powiesz mi, co więcej jest ci o mnie wiadomem.

— Podobieństwo to dużo dla mnie znaczy i za nie gotowałam cię uratować.

— Mnie uratować?! To dziwne!... Od czego, przed czym?

Głos jej stał się cichy i słodki; tylko gwałtowny ruch małej, w jedwabny trzewik obutej nóżki przypominał, że trzeba się mieć na baczności.

— Znałam Żyda, zbiegłego galernika, który zabił człowieka w pałacu Iderne... — zaczęła wolno.

Ben-Hur słuchał zdziwiony.

— Ten sam Żyd zabił rzymskiego żołnierza tu w Jerozolimie; ten sam Żyd ma trzy legiony złożone z Galilejczyków, gotowych do pochwylenia mieczy przeciw namiestnikowi rzymskiemu. Szeik Ilderim jest jednym z jego stronników.

Tu przysunęła się bliżej i mówiła dalej, prawie szeptem.

— Żyłeś w Rzymie... przypuśćmy, że powtórzę to komuś, kogo znasz... Ha! — błędniejesz?

Cofnął się z wyrazem, który łatwo wyobrazić sobie możemy na twarzy człowieka, co mniemał, że bawi się z swawolnym kotkiem, tymczasem trafił na tygrysa. Ona zaś mówiła dalej.

— Znają cię w przysionkach pałacu cesarskiego i znasz Sejanusa. Przypuść, proszę, że mu się to powie i poprze dowodami w rękę — choćby i bez dowodów — dość będzie, gdy usłyszy, że ten Żyd jest najbogatszym człowiekiem Wschodu, ba, raczej całego państwa. Jak mniemasz, czy ryby Tybru miały kiedy lepszą ucztę? — A jakież igrzyska byłyby w cyrku! Wielką sztuką rzymskiej polityki jest bawić Rzymian, drugą sztuką — mieć czym bawić, a byłże kiedy artysta, coby w sztukach dorównał Sejanusowi?

Ben-Hur starał się zachować spokój.

Pragnąc ci zrobić przyjemność, piękna córo Egiptu, uznaję twą przebiegłość, co więcej, czuję się w twej mocy. Wiem, że względu na

mnie mieć nie będziesz, — mógłbym cię zabić, ale jesteś kobietą i pod moim dachem.. Przedę mną, na moje przyjęcie, otwarta pustynia, a zaprawdę, choć Rzym umie ścigać ludzi, tam mnie nie dosięgnie lub długo szukać może. Piaszczyste morze w swych głębiach chowa tysiące włóczy i dzielnych sere, a i niepokonani dotąd Partowie nie zaniedbują sposobności dokuczenia swym prześladowcom. Wśród sieci, w które, z pokorą wyznaję, sam się uwikłać dałem, mam prawo żądać od ciebie odpowiedzi na jedno pytanie — tę odpowiedź winną mi jesteś i pytam cię, od kogo wiesz te rzeczy o mnie? Niech wiem w ucieczce, czy niewoli, niech wiem nawet przy skonaniu, kogo mam przekląć! Niech mi przekleństwo, które zostawię, zdrajcy będzie poćiechą, jako przekleństwo człowieka, który w życiu niczego prócz niedoli nie zaznał! Teraz raz jeszcze powtarzam: Kto ci powiedział to, co wiesz o mnie?

Nie wiedzieć czy szczerze, czy nie — dość, że twarz Egipcjanki zajaśniała współczuciem.

— Są w mej ojczyźnie, o synu Hura — rzekła — ludzie, którzy tworzą obrazy z różnokolorowych muszli, zbieranych na morskich wybrzeżach po burzy. Te muszle pocięte w kawałki, układają na taflach z marmuru. Czy ci to porównanie nie daje wskazówki? Dość będzie, gdy powiem, że od jednego zebrałam pełną dłońią główne okoliczności, od drugiego garść drobnych szczegółów, co wszystko złożyłam w całość i byłam szczęśliwą, jak nią może być kobieta, która ma w swem ręku mienie i życie człowieka, z którym — tu zatrzymała się, tupiąc nogą i odwracając się, jakby dla ukrycia nagłego wzruszenia; poczem z wyrazem pełnym ciężkiego postanowienia dokończyła zdania — z którym nie wie, co zrobić.

— Nie mogę na tem poprzestać — rzekł Ben-Hur niewzruszony jej zuchwalstwem — to nie dosyć. Jutro możesz postanowić, co ze mną zrobić, a ja dziś umrzeć mogę.

— To prawda — dodała szybko z pewną przesadą, — zresztą mogę ci powiedzieć: coś wiem od szejka Ilderima, gdy wraz z moim ojcem mieszkał w jaskini na pustyni. Nocą tam spokojnie, ściany namiotu cienkie i łatwo przez nie słyszeć mogą ptaki i chrząszcze, co latają w przestworzu.

Śmiała się z swego zakończenia i mówiła znowu:

— Inne materyały, niby odłamki muszli, przydatne do całości, mam od...

Od kogo?

— Od syna Hura.



— I nikt więcej nie dostarczył ci treści?

— Nikt — odparła.

Hur odetchnął i rzekł swobodnie:

— Przyjm me podziękowanie. Nie dobrze kazać czekać Sejanusowi. Pustynia umie strzedz tego, co raz pochwycei. Pokój tobie Egipcjanko!

Dotąd stał z odkrytą głową, teraz wziął zawój, co mu się zwieszało z ramienia i wkładając go, miał się ku odejściu. Ale ona wstrzymała go, a w zapale wyciągnęła nawet rękę ku niemu.

— Zostań — rzekła.

Spojrzał na nią, ale nie ujął dłoni, choć blaskiem klejnotów wabiła, bo poznał z jej obejścia, że główny powód tej dziwnej sceny dopiero teraz na jaw wyjdzie.

— Zostań i nie przerywaj; gdy się dowiesz, synu Hura, że wiem, dlaczego szlachetny Aryusz zrobił cię swym dziedzicem. Na Izis! na wszystkie bogi Egiptu, przysięgam ci, że drzę, gdy myślę o tobie, tak walecznym i szlachetnym, i widzę w ręku dostojnika, który nie zna, co to wyrzut sumienia. Część twej młodości upłynęła w wielkiej stolicy, czemuż będzie dla ciebie pustynia jako przeciwieństwo dawnego życia? Zważ, jak ja to czynię, bo wierzaś mi, żał mi cię, żał! Więc zrób, co chcę, a uratuję cię, klnę się na naszą świętą Izydę! — Słowa prośby wymówiła tak miękko i poważnie, zresztą tak była piękną, że niepodobna było się całkiem oprzeć urokowi.

— Ja wierzę ci prawie — odparł Ben-Hur głosem pełnym wahania, przecież niskim i niewyraźnym. Nie umiał się jej przeciwieć a jednak podejrzewał ją.

— Doskonałe szczęście może kobieta znaleźć tylko w miłości, ale najwyższe zwycięstwo męża polega na pokonaniu samego siebie, o to pokonanie, o to zwycięstwo, o to szczęście — ja dziś chcę błagać ciebie, książę!

Mówiła te słowa szybko i z wielkiem ożywieniem; zaprawdę nigdy nie wydała mu się tak piękną, ani tak czarującą.

— W dzieciństwie twojem miałeś przyjaciela. Klótnia rozdzieliła was na zawsze — jesteście sobie wrogami. Zrobił ci krzywdę. Po wielu latach spotkałeś go w cyrku w Antyochii.

— Messala...

— Tak, Messala. Tyś jego wierzycielem. Zapomnij przeszłości, przyjmij go jak przyjaciela, wróć majątek, który stracił w zakładzie, ratuj go. Cóż sześć talentów dla ciebie? To drobnostka, nawet nie tyle, co pączek spadający z krzewu pełnego liści. A dla niego... ach, on kaleka! Jeśli go spotkasz kiedy, już tylko z ziemi ku tobie wznosić

będzie oczy. O synu Hurów, szlachetny książę! dla Rzymianina, jego pochodzenia, nędza gorsza od śmierci! Ratuń go, panie, od nędzy. Niechaj nie żebrze, o panie!

Jeśli szybkość, z jaką mówiła, była przebiegłością obliczoną na to, aby mu nie dać czasu do namysłu, to myliła się, nie pamiętając, że są przekonania, co się nie liczą z myślami. Jemu zdało się, gdy nareszcie wstrzymała potok słów i czekała na odpowiedź, że z poza jej ramienia widzi Messalę, a wyraz twarzy Rzymianina nie nosił śladów nędzy, tem mniej nie miał nic przyjacielskiego; widniała w nim też sama patrycyuszowska ironia i duma, równie oburzająca jak dawniej.

— Messali nie dam nic. Postanowienie moje jest niezmiennie — postępuję jako Rzymianin przeciw Rzymianinowi! Ale powiedz, czy to on — czy to Messala przysłał cię do mnie z tą prośbą?

— On jest szlachetny i ma cię za wielkodusznego.

Tu Ben-Hur położył rękę na ramieniu kobiety.

— Kiedy go znasz tak dobrze, piękna Egipcjanko, powiedz mi, proszę, czy zrobiłby dla mnie to, czego ode mnie żądasz? Odpowiedz, zaklinam cię na Izis! Odpowiedz, jeśli kochasz prawdę!

W dotknięciu ręki, w spojrzeniu oczu tkwiło naleganie, prawie rozkaz.

— Oh! — zaczęła — on jest...

— Rzymianinem, chciałaś powiedzieć, myśląc, że kiedym Żydem, to inną jest miara naszych wzajemnych powinności; ja dlatego, że Żyd, mam mu darować wygraną, bo on Rzymianin. Jeśli masz jeszcze co do powiedzenia, córko Baltazara, to mów prędko, prędko; bo na Boga Izraela, gdy się krew we mnie rozgrzeje, zapomnę, żeś kobietą i piękną! Zaprawdę, mogę ujrzeć tylko szpiega, co tem dla mnie wstrętniejszy, że jego panem Rzymianin! Mów więc, co masz mówić!

Odrzuciła jego rękę, stanęła w świetle i z niepohamowaną złością w oczach i głosie wołała:

— Ty, co pijesz drożdże, a jesz strączki! Ty mogłeś przypuścić kiedy, że cię kochać będę, gdy pierwszą ujrzała Messalę? Tyś z tych, co zrodzeni, by jemu służyć! On żądał tylko sześć talentów, ale nie ja, ja ci mówię, musisz do sześciu dołożyć dwadzieścia — czy sły-

szysz? — Dasz dwadzieścia! Tak, tak, musisz zapłacić za to, żeś bez jego pozwolenia mój mały pocałował palec. I to wechodzi w rachunek, żeś szła z tobą, udając uczucie, chociaż czyniłam to w jego służbie. Słuchaj dalej, jeśli jutro o dziewiątej ten kupiec, co jest zarządcą twoich pieniędzy, nie będzie miał rozkazu wypłaty dwudziestu sześciu talentów Messali — pamiętaj, że tyle! — jeśli nie, to będziesz miał do czynienia z Sejanusem. Radzę ci, bądź roztropnym i bywaj zdrow!

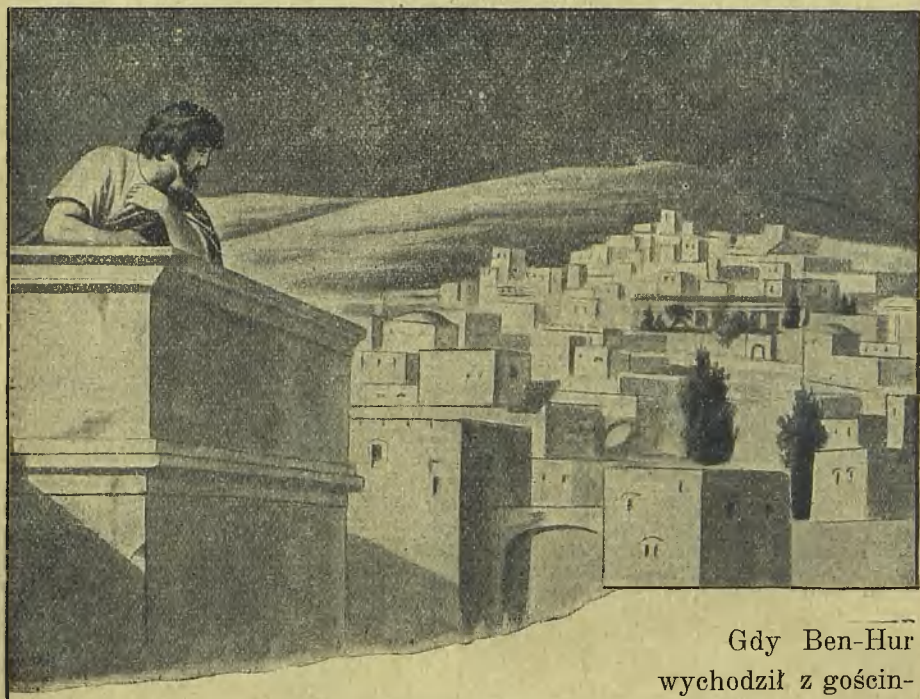
Szła ku drzwiom, lecz zastąpił jej drogę.

— Iście, stary Egipt żyje w tobie — rzekł. — Jeśli ujrzysz Messalę jutro, czy pojutrze, tu, czy w Rzymie, powiedz mu... tak, powiedz mu, że mam napowrót wszystko, co miałem, wszystko, czego mnie pozbawił, nawet te sześć talentów. Powiedz mu, że przeżyłem galery, na które mnie wysłał i raduję się jego nędzą i niesławą; powiedz mu, że niemoc ciała, której ja byłem sprawcą, jest przekleństwem Boga Izraela, zesłanem na niego za to, że uciśkał słabe i niemocne; powiedz mu, że moja matka i siostra, które zamknął w więzieniu Antonii, by tam były łupem trądu i śmierci, żyją i są zdrowe, dzięki mocy tego Nazarejczyka, z którego się nagrawasz i którym gardzisz; powiedz mu, że na dopełnienie mego szczęścia są mi zwrócone, i że żyć będę otoczony ich miłością, ta zaś stokroć zastąpi mi te podłe namiętności, któreś ty we mnie wzbuodziła; powiedz mu, przewrotna istoto, dla swego i jego spokoju, że gdy Sejanus zechce mnie ograbić, nie znajdzie nic, bo dziedzictwo po duumwirze sprzedane wraz z wilą pod Misenum a pieniądze za nie, nie do pochwycenia, bo zmienione na inną monetę. Wiedz dalej, że domy, towary, okręty i karawany, którymi zarządza Simonides i książęce gromadzi zyski, są uprawnione listem bezpieczeństwa z podpisem Cezara. Niech wie Messala, że go mądra głowa kupca z Antyochii uprzedziła, a Sejanus był tak rozsądny, że wołał coś otrzymać drogą daru, niż wielki zysk zebrany krwią i krzywdą. W końcu powiedz mu, że gdyby rzeczy stały inaczej i cały majątek był w mem ręku, jeszcze potrafiłbym się obronić i znalazł drogę, aby on nic nie dostał — bo darowałbym mienie moje Cesarowi! Tego, Egipczyanko, nauczyłem się w Rzymie! Powiesz mu jeszcze, że nie posyłam mu przekleństwa w słowach, ale jako uosobienie mej niewygasłej nienawiści

daję mu kogoś, co jest zbiorem wszelkich przekleństw i złorzeczeń. Gdy spojrzysz na ciebie, córo Baltazara, a ty mu to poselstwo powtórzysz, jego rzymska przebiegłość odgadnie, co myślę. Idź — teraz i ja odchodzę.

Przeprowadził ją do drzwi i z ceremonialną grzecznością przytrzymał kotarę, póki nie przeszła progu.

— Pokój jej — rzekł, gdy znikła.



Gdy Ben-Hur
wychodził z gościn-

nej komnaty, szedł z głową spuszczoną na piersi, dziwując się, że człowiek z połamanymi krzyżami może jeszcze mieć tak zdradne zamiary i tak zgrabne narzędzia.

Pycha młodzieńca wiele ucierpiała, gdy spojrzawszy wstecz, przypomniał sobie, że nigdy nie posądzał Egipcjanki o związki z Messalą i że przez pare lat szedł ślepo za nią, oddając na jej łaskę i niełaskę siebie, swoich przyjaciół, a co najgorsza — wielki cel, któremu się miał poświęcić. Ciężkie nie do zniesienia było upokorzenie Ben-Hura, i mówił do siebie: „nie oburzała się na Rzymianina, gdy jej o mało nie przejechał u kastalskiej krynicy!“ Rozważając to wszystko, tarł

ręce ze zakłopotaniem, a w końcu dodał: i tajemnicze wezwanie do pałacu Iderne przestaje być tajemnicą.

Chwała Bogu, że mnie ta kobieta bardziej nie usidliła! Widzę wyraźnie, że jej nie kochałem wcale.

Zdało mu się na razie, jakby się zbył ciężaru i lżejszem sercem wyszedł na terasę; znalazłszy się w miejscu, z którego jedne schody wiodły na dół, a drugie na dach, obrał drugie, i stanął na najwyższym stopniu.

— Byłżeby Baltazar uczestnikiem zdrady? Nie, w jego wieku rzadko się spotyka obłudę; nie, on jest mężem czeigodnym.

Z tem wewnętrznem przekonaniem spojrział wokoło. Księżyc świecił w pełni, a jednak niebiosy, gorzały luną palących się ognisk na ulicach i otwartych podwórzach miasta. Powietrze brzmiało choralnymi śpiewami prastarych psalmów Izraela, pełnych żalosnej i płaczliwej melodyi. Z rozkoszą słuchał ich Ben-Hur, niezliczone głosy zdawały się mówić: — Słuchaj, synu Judy, jako czcimy Pana i Boga, dowodząc zarazem miłości dla tej ojczyzny, którą nam dał. Czemuż o Panie, nie zesłesz Gedeona, Dawida lub Machabeusza, bo otośmy gotowi.

Był on w wyjątkowem usposobieniu, a w takich chwilach umysł zdolny jest sobie wytworzyć najnieprawdopodobniejsze fantazy, to też powyższe słowa były niejako wstępem, po którym ujrzał oblicze Nazarejczyka.

I dziwna rzecz! Oblicze to w łzach skapane, pełne niewieściej słodyczy, widział tuż przed sobą, gdy przechodził dach, idąc ku balustradzie z północnej strony. W wyrazie tej twarzy nie było nic wojennego, przeciwnie opromieniał ją majestat niebios, co w ciszy wieczoru patrzy na wszystko ze spokojem niezem niezmaconym. Zjawisko to przywiodło wszystko na pamięć i znów zapytał: Kimże On jest?

Machinalnie spojrział Ben-Hur poprzez balustradę na dół w ulicę, a potem zwrócił się ku letniemu domowi.

— Niech czynią, co chcą. Niech się odważą na najgorsze i najniebezpieczniejsze rzeczy — rzekł idąc zwolna — nie przebaczę nigdy Rzymianinowi, nie podzielię się z nim, ani nie porzucę miasta ojców moich. Raczej zwołam Galilejczyków i stoczę bitwę. Nasze bohaterские czyny zgromadzą do jedności pokolenia, a Ten, co dał niegdyś

Mojżesza, da i teraz wodza, jeśli by mnie zabrakło. Gdyby nie chciał ich wieść Nazarejczyk, to pewnie nie brak jeszcze takich, co pragną śmierci za wolność.



Dom letni mało był oświetlony, gdy Ben-Hur zbliżył się, zajrzał do wnętrza. Cień padał na podłogę od kolumn podpierających namiot, a spojrzawszy wewnątrz, ujrzał krzesło Simonidesowe ustawione w miejscu, z którego najlepiej było widać plac targowy. — Zaczny

maż wrócił — pomyślał — pomówię z nim, jeśli nie śpi i zbliżał się ostrożnie do krzesła. Gdy się pochylił przez poręcz, ujrzał Estere wsuniętą w krzesło i w śnie pogrążoną. Włosy rozwiane spadały jej na twarz, oddychała wolno, lecz nierówno — raz nawet, zdało mu się, że westchnęła i załkała. Może westchnienie — może samotność, w jakiej ją znalazł, nasunęło mu myśl, że sen jej, to wypoczynek po cierpieniu, a nie po pracy. Natura zsyła dzieciom taką ulgę, Estera zaś była dla niego zawsze dzieckiem.

Położył rękę na poręczy krzesła i myślał:

— Nie zbudzę jej. Cóżbym jej powiedział... nie, prócz tego chyba, że ją kocham... Tak, jest córką Judy i w niczem niepodobną do Egipcjanki, tam próżność — tu prawda, tam pycha — tu obowiązek, tam samolubstwo — tu poświęcenie. Pocóż mam pytać, żali ją kocham, raczej drzę, czy ona mnie kocha? — Jednak od początku okazywała mi przyjaźń. Pomnę owego wieczora w Antyochii, gdy stojąc na terrace, tak mnie rzewnie prosiła, bym nie zaczepiał Rzymu i dopytywała o wilę pod Missenum i życie, które tam pędzić można. Aby jej dać poznać, iż rozumiem jej myśli i uczucia, pocałowałem ją. Czy też pamięta to pocałowanie? Może zapomniała, — ja nie... i kocham ją... Nikt jeszcze nie wie, że odzyskałem moich. Egipcjance wzdrygałem się to powiedzieć, ale ona, ta maleńka, ucieszy się wraz ze mną, przyjmie je z miłością i usłuży sercem i ręką. Dla matki mojej będzie córką; w Tirzy znajdzie siostrę. Zbudzę ją i powiem... nie, jeszcze nie.... niech wpierw przepadnie czarodziejka Egiptu! Poczekam na lepszą chwilę, a ty śnij słodko, piękna Estero, dziecie obowiązku, córo Judy!

— I wyszedł równie cicho, jak wszedł.

Rozdział XL.

Na ulicach świętego grodu roilo się od ludzi. Jedni szli w tamtą stronę, drudzy wracali, inni znów, i tych było najwięcej, gromadzili się u ognisk, gdzie pieczono mięso, śpiewano i rozmawiano. Zapach pieczystego, palmowego i cedrowego drzewa, napełnia powietrze, a że to chwila, w której wszyscy Izraelici są sobie braćmi, to i gościnność

nie ma granic. Ben-Hura pozdrawiano co kroku i zapraszano do ognisk. On jednak dziękował uprzejmie, bo spieszył, by dosiąść konia i wrócić do namiotów nad Cedronem.

By tam stanąć, trzeba mu było skrzyżować drogę, co się wkrótce stać miała widownią najsmutniejszego w chrześcijaństwie zdarzenia. I na tej drodze uroczystości właśnie dochodziły najwyższego punktu, bo oto patrząc w górę ulicy, dojrzał Ben-Hur poza ogniskami, rząd zapalonych pochodni; gdziekolwiek pochód zbliżał się do gromady świętujących, milkły śpiewy i uciszały się wrzawy. Zdziwienie patrzącego wzrosło, gdy dostrzegł wśród dymu i płomieni świecące tarcze i końce włóczni, zdradzające obecność rzymskich żołnierzy. Co oni tu mają do czynienia, rzymscy legionieści, wśród świątecznej procesji żydowskiej? Było to coś tak niesłychanego, że zgoła nikt nie mógł pojąć znaczenia tego wypadku.

Chociaż księżyc świecił jasno i rozniecono na ulicach ogień, kilku z orszaku niosło zaświecone latarnie. Wyobrażając sobie, że pochód ten miał jakiś osobny cel, postanowił Ben-Hur stanąć tak blisko, aby rozpoznać wszystkich w orszaku. Podobnie i latarnie niosła służba uzbrojona w maczugi i ostro okute kije. Przyświecali oni starannie, bo w pochodzie szli starsi kapłani, rabini z długimi brodami, gęstymi brwiami i sępimi nosami, potykając się nieraz po nierównym bruku. Idący tak uroczyście i wspaniale, to wszechwładni skrybowie w radzie Kaifasza i Hanny. Dokąd podążali? Nie do świątyni, bo do niej droga z Syonu, skąd prawdopodobnie wychodzili, wiodła na Xystus. Jeśli to procesja na cześć Pana, pocóż żołnierze?

W jaskrawem tem świetle zwróciły uwagę Ben-Hura trzy postacie idące razem; szły one na czele, służba zaś, niosąca latarnie, szczególniej niemi się zajmowała. Pierwszego, co szedł po lewej stronie z kraju, poznał z łatwością, był to dowódzca straży, której powierzona była świątynia. Drugi, po prawej, to kapłan równie wszystkim znany; za to człowieka, idącego w pośrodku, nikt nie znał. Szedł on, opierając się na swych towarzyszach, głowę spuścił na piersi i zdawało się, jakby chciał ukryć oblicze. Wyglądał jak więzień jeszcze nieoprzytomniały ze strachu, którym go nabawiła chwila schwywania, lub zbrodzień prowadzony na tortury, lub śmierć. Wiedli go dy-

gnitarze, otaczano go staranną uwagą, wszystko to dawało poznać, że musi on być albo głównym powodem poruszającym pochód, albo jest z nim w jakiś sposób złączonym — może to świadek lub przewodnik? Gdyby Ben-Hur wiedział, kim był ów człowiek, to reszty mógłby się snadnie domyślić. Chcąc więc koniecznie zobaczyć, przybliżył się odważnie do kapłana po prawej stronie i szedł z nim po równi. Wtem nieznajomy podniósł trochę głowę, światło latarni padło na twarz bladą, zmienioną, przerażoną; broda potargana, oczy zapadnięte, patrzyły niepewno i z rozpaczą. Przebywając ciągle w bliskości Nazarejczyka, znał Ben-Hur wszystkich jego uczniów również dobrze jak samego Mistrza; na widok zmienionej twarzy prowadzonego zawołał:

— Iskaryota!

Zawołany zwrócił się, oczy jego padły na Judę, a usta zdały się poruszać, jakby chciał mówić; kapłan widząc to, uprzedził go i rzekł do Ben-Hura groźnym głosem: Coś za jeden? Idź stąd! — Juda ustąpił na chwilę, ale przy pierwszej sposobności wmięszał się znów w pochód. Tak idąc, przeszedł zaludnioną część miasta między wzgórzem Bezeta a fortecą Antonii, potem minął sadzawkę Betesda i Bramę Owiec. Wszędzie mnóstwo było ludzi świętujących, a ci chętnie przyłączali się do pochodu, nie wiedząc wcale, dokąd dąży. U bramy łączyły się dwie drogi, jedna z nich szła na północ, druga do Betanii. Zanim Ben-Hur zdołał się zastanowić, czy iść dalej, lub którą obrać drogę, już go wepchnięto w ciasny wąwóz, a on jeszcze nie domyślał się poco i dokąd zdążają.

Wzdłuż wąwozu i na moście, panował wielki zgiełk, gdyż gromada, z której się składał pochód, urosła w tłuszcę, która idąc, tłukła o kamienie kijami i maczugami. Jeszcze parę stajañ, a pochód zwrócił się na lewo ku gajowi oliwnemu, którego kamienne ogrodzenie widne było z daleka. Ben-Hur wiedział, że to było miejsce ustronne i puste, prócz kilku starych, spróchniałych drzew oliwnych i kamiennego ocembrowania, co służyło do wyciskania oliwy, jak to zwyczajem w tym kraju, nie było nic więcej. Dziwiło to Ben-Hura i ważył w myśli, co tych ludzi o tak późnej porze w tak ustronne sprowadza miejsce, gdy nagle stanęli wszyscy. Na przedzie słychać było wrzawę zmieszanych głosów, mimowoli jakieś drżenie opanowywało wszystkich,

szybko cofano się wstecz, a jedni przez drugich padali. Żołnierze z trudnością utrzymywali porządek.

Nareszcie zdołał się Ben-Hur przebić przez tłum i wydostać na-przód do wrót, bez kołowrotu, które wiodły do gaju i stamtąd przypa-trzył się temu, co się działo.

U wejścia stał człowiek biało



ubrany, z odkrytą głową i skrzyżowanymi na piersiach rękoma — była to postać szczupła z długimi włosami i wąską twarzą, iście obraz najzupełniejszego poddania i oczekiwania.

Był to Nazarejczyk!

Za Nim, u wrót, stali uczniowie wzruszeni; On, przeciwnie, był jakby uosobieniem spokoju. Światło pochodni padało na Jego wzniosłą postać czerwonym blaskiem, nadając włosom odcień rudawy; oczy patrzyły smutno, wyraz ich był pełen łagodności i litości.

Przed tą postacią, pełną spokojnego majestatu, stał motłoch milczący — przerażony — gotów za jednym znakiem rozsypać się i uciec. Ben-Hur objął okiem Jego, tłuszcę, Judasza, i odgadł wszystko bo.... tu był zdrajca, a tam zdradzony — ci zaś, co tu stoją z maczugami i kijmi, to motłoch i rzymscy żołnierze, — przyszli, aby go pojmać.

Nigdy nie może rzec człowiek, co uczyni, zanim nań przyjdzie czas próby. Oto nadarzyła się sposobność, na którą Ben-Hur czekał lata całe; człowiek, dla którego bezpieczeństwa poświęcił się, życie tak dla niego drogie było w niebezpieczeństwie, a on cóż czynił? Stał nieruchomy. Takie to bywają sprzeczności w ludzkiej naturze! Zre-sztą mamyż wyznać? Tak jest, niestety, nie zapomniiał on jeszcze obrazu Chrystusa, jak mu Go przedstawiła Egipcjanka, i miał żal do Niego za opuszczenie sposobności pochwycenia w Swe ręce władzy. Dalej oddziaływał na niego spokój, z jakim ten tajemniczy Mąż stał przed tłumem i wstrzymywał go; spokój ten uspakajał Ben-Hura, widział w Nim tę moc, jaką mógł rozporządzać. Wprawdzie zalecał On niegdyś w swych naukach pokój, dobrą wolę, miłość i uległość, miałżeby tę naukę w życie wprowadzić? Czuł Ben-Hur, że On Panem życia i śmierci, rozporządzał niem podług swej woli, jakże w tej chwili użyje tej siły? Będzie się bronił? I jak? Wszak słowo — myśl — byłyby wystarczające.

Ben-Hur wiedział i wierzył, że użyje tej zadziwiającej siły w jakikolwiek sposób i z tą wiarą czekał cudu. Zawsze jeszcze mierzył Nazarejczyka podług siebie — miarą ludzką.

Nagle ponad zgiełk i wrzawę wzniosł się czysty głos Chrystusa:

— Kogo szukacie?

— Jezusa Nazareńskiego.

— Jam ci jest.

— Na te proste słowa, wymówione bez gniewu ni strachu, napastnicy cofnęli się kilka kroków wstecz, mniej zuchwali padli na

ziemię. W tej chwili, może już byłoby się skończyło i tłuszcza odeszłaby spokojnie, lecz Judasz przystąpił do Niego i rzekł:

— Bądź pozdrowion, Mistrzu.

Mówiąc to, pocałował Go.

— Judaszu — rzekł spokojnie Nazarejczyk — pocałowaniem wydawasz syna człowieczego. Po co tu przyszedłeś!

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, rzekł Mistrz do zgrai:



— Kogo szukacie?

— Jezusa Nazareńskiego.

— Powiedziałem wam, iżem Ja jest. Jeżeli tedy mnie szukacie, dopuścież tedy tym odejść.

Na to wezwanie zbliżyli się rabini, równocześnie z nimi postąpiło ku Niemu kilku uczniów, za którymi się właśnie ujmował. Jeden z nich, chcąc przeszkodzić zamiarowi pochwycenia Go, uciał ucho słudze książęcia kapłanów, ale nie obronił tem Mistrza. Cóż na to Ben-Hur? On, ów wyćwiczony żołnierz i wódz, stał spokojnie! Podczas, gdy przygotowywano sznury, którymi Go związać miano, Naza-

rejezyk czynił miłosierdzie. Czyn ten nie był najcudowniejszem z cudów, ale największym jako dowód przebaczenia, przechodzącego ludzkie pojęcie.

— Zaniechaj tego — rzekł bowiem do ucznia, który użył miecza, a dotknąwszy ucha zranionego, uzdrowił je.

Widząc to, dziwili się zarówno przyjaciele i nieprzyjaciele. Jedni temu, że mógł uzdrowić, drudzy — że chciał.

— Chyba nie pozwoli im się związać — myślał Ben-Hur.

Tymczasem Chrystus mówił dalej do ucznia:

— Włóż twój miecz do pochwy. Izali kielicha, który mi dał Ojciec, pić nie będę? A odwróciwszy się do napastników, rzekł:

— Jakoby na zbójcę wyszliście z mieczami i kijmi. Gdy na każdy dzień bywałem z wami w kościele, nie ściągnęliście rąk na mnie, ale ta jest godzina wasza i moc ciemności.

Słyszając to żołnierze, nabrali odwagi i otoczyli Go, a gdy Ben-Hur obejrzał się za uczniami, nie było ich.

Tłok około opuszczonego człowieka wzrastał się; jedni krzyczeli, łajali, inni wiazali ręce i nogi, bieгаяc i tłoczacy się. Poprzez ich głowy, pomiędzy pochodnie, wśród dymu, czasem przez szpary tworzące się między ruchliwymi ludźmi, zdołał Ben-Hur zobaczyć więźnia. Nigdy nikt nie wzbudził w jego sercu takiej litości, jak Ten opuszczony i zapomniany! A przecież człowiek ten mógł zwyciężyć swych nieprzyjaciół jednym technieniem, ale nie chciał. Cóż to był za kielich, który mu ojciec dał do wypicia? Kimże ten Ojciec, któremu syn tak posłuszny? Tajemnice na tajemnice — wciąż się mnożące.

Tłum, wiodący więźnia, zawracał teraz do miasta, żołnierze szli na czele. Ben-Hur stawał się niespokojnym, — nie był z siebie zadowolonym. Tam, gdzie pochodnie, w samym środku tłumu siedł Nazarejezyk; nagle w umyśle Judy błysnęła nowa myśl. Postanowił zobaczyć Go i zadać mu jedno pytanie.

Zrzucając wierzchnie ubranie i zawój z głowy, cisnął je poza ogrodzenie Oliwnego gaju i puścił się za orszakim, który wnet dopędził. Przepychając się przez tłok, dotarł nareszcie do człowieka, trzymającego końce sznurów, co kępowały więźnia.

Nazarejczyk siedł wolno z spuszczoną głową, związanymi w tył rękoma; włosy spadały mu na twarz, przystawał często; zdawał się zapominać o całym otoczeniu. Kilka kroków przed Nim szli starsi kapłani, rozmawiając i spoglądając poza siebie.

Gdy już prawie wszyscy byli blisko mostu przed wąwozem, Ben-Hur śmiało pochwycił za sznur, który trzymał sługa i stanął przy Nim.

— Mistrzu, Mistrzu! — mówił prędko wprost w ucho Nazarej-



czykowi. — Czy słyszysz, Mistrzu?... rzeknij słowo... tylko słowo... Powiedz mi...

Tu pachołek, któremu był sznur odebrał, ujął Ben-Hura za rękę.

— Powiedz mi — mówił mimo to — żalił się z nimi dobrowolnie?

Tymczasem otaczający już go spostrzegli i ktoś gniewnie zapytał: — Coś za jeden?

— O Mistrzu! — mówił szybko ostrym z obawy głosem: Jam Twój przyjaciel i zwolennik; powiedz, przyjmieszże pomoc, gdy z nią pospieszę?

Ani nań spojrział, ani zdawał się go poznawać, przecież to współczucie, co się budzi w ludzkim sercu na widok cierpienia, zda-

wało się opuszczać Ben-Hura, bo przychodziły mu myśli: Zostaw Go, opuścili Go przyjaciele, świat się Go zaparł, żegna ludzi z goryczą, idzie sam nie wie gdzie i nie dba o to. Zostaw Go!

Kilkadziesiąt rąk usiłowało pochwycić natręta, że wszystkich stron krzyczano: On do nich należy. Łapcie go — bijcie — zabijcie! — Silnym ruchem, sobie właściwym, wyprostował się Ben-Hur, obrócił ręką tego, co mu sznur wydierał, strącił silnem ramieniem ręce, co go chwytaly, pozostawiając w nich strzepy odzienia i tak nagi zdołał ujsć w ciemnościach wąwozu.

Zawrócił w stronę muru po odzienie i zawój i wrócił do miasta, potem do gospody, skąd wzięwszy konia, wrócił do namiotów „Królewskich grobów.“

W drodze poprzysiągł sobie, że nazajutrz odszuka Nazarejczyka, nie wiedząc, że Mesyasza, którego opuścił, zawiedziono wprost na posłuchanie do domu Annasza.

Próżno szukał Ben-Hur spoczynku, bijące serce nie dopuszczało snu na oczy i widział jasno, że jego odbudowanie królestwa Judy było snem — na jawie.

Stał na przełomie życia.

ROZDZIAŁ XII.

Dnia następnego, około godziny drugiej, przybyło dwóch ludzi do namiotu Ben-Hura, zsiadli z koni i pytali o niego. Ben-Hur nie wstał jeszcze, ale kazał ich wpuścić.

— Pokój wam, bracia — rzekł, bo byli to jego zaufani Galilejczycy.

— Spocznijcie!

— Nie — rzekł starszy — niepodobna nam siedzieć i odpoczywać, jeśli chcemy ocalić Nazarejczyka. Wstań, synu Hura, i chodź z nami, gdyż wyrok ogłoszony i drzewo krzyża już na Golgocie.

Ben-Hur zdumiał.

— Krzyż! — To jedno słowo zdołał wymówić.

— Wczoraj go wzięli i pytali, dziś o wschodzie zaprowadzono go do Piłata. Rzymianin po dwakroć oświadczył, że w Nim żadnej

nie znajduje winy. W końcu umył ręce, mówiąc: Nie jestem winien krwi Tego sprawiedliwego, róbcie co chcecie — a oni odpowiedzieli...

— Kto odpowiedział?

— Oni — kapłani i lud. — Krew Jego na nas i na syny nasze!

— Święty ojcze Abrahamie! — zakrzyknął Ben-Hur — Rzymianin miłościwszym jest dla Izraelity, niż Jego własni rodacy! A gdyby On był rzeczywiście Synem Bożym, któż zdoła zmyć krew za nas i nasze dzieci? Nie, nie możemy na to pozwolić, czas do walki.

Twarz mu zajaśniała postanowieniem i złożył ręce.

— Konie, a prędko! — wołał na Araba. — Powiedz Amrze, niech mi da świeże suknie i przyniesie miecz. Czas ponieść śmierć dla Izraela! Poczekajcie na mnie przed namiotami, wnet przyjdę.

Zjadł suchar, wypił kubek wina, a za chwilę był już w drodze.

— Gdzie pójdziesz najpierw? — spytał Galilejczyk.

— Zebrać legiony.

— Niestety! — rzekł człowiek podnosząc ręce.

— Dlaczego natomiast?

— Panie — mówił zawstydzony — panie, ja i ci przyjaciele moi, oto wszystko, co ci wiernem pozostało. Inni poszli za kapłanami.

— Dlaczego?

— Aby go zabić!

— Kogo?

— Nazarejczyka!

Ben-Hur spojrział po nich jakby obłąkanym wzrokiem, w duszy słyszał znowu pytanie, ubiegłej zaskłyszane nocy: Izali kielicha, który mi dał Ojciec, pić nie będę? — Potem brzmiały mu w uszach jego własne pytania: powiedz, przyjmiesz pomoc, gdy z nią pośpieszę? — Po tych wspomnieniach, pomyślał w głębi swej duszy: nie, tej śmierci nie nie odwróci. Człowiek ten szedł ku niej z całą świadomością od samego początku wystąpienia; siłę, którą posiada, daje Mu mocniejszy od Niego, któż jeśli nie Pan? Gdy on dobrowolnie idzie za wolą mocniejszego, cóż ja dla Niego uczynić mogę? — Wraz z powyższem rozmyśleniem dręczył go upadek planu, opartego na wierności Galilejczyków, ich rozsypka udaremniała wszelką akcję, gdyby takową chciał przedsięwziąć. Jakże to dziwne, że

się to wszystko właśnie tego zdarzyło poranku. Ten zbieg okoliczności nappełnił serce Ben-Hura lękiem i trwogą nieokreśloną. Począł pytać sam siebie, czy jego zamysły, praca, rozdawanie pieniędzy nie były grzesznem współubieganiem się z wolą Najwyższego? Wśród tych zwątpień i walk dosiadł konia i ujawszy lejce, rzekł: Chodźmy bracia! — ale w duszy jego było wszystko niejasne i mgliste. Zdało się, że zdolność szybkiego postanowienia, tak potrzebna każdemu bohaterowi wśród rozstrzygających okoliczności, zamarła w duszy Ben-Hura.

— Spieszmy, bracia, na Golgotę!

Całe tłumy szły ku południu, wszystkie ulice z północy roily się ludźmi, całe miasto było w ruchu.

Słyszac, że mogą spotkać procesyę, wiodącą Skazanego w pobliżu białych wież Heroda, postanowili trzej przyjaciele tam się z pochodem połączyć. Tymczasem w dolinie, poniżej stawu Hezekia, niepodobna było przecisnąć się przez tłumy, musieli więc zsiąść z koni i zatrzymać się na rogu jednego z domów przydrożnych.

Stali już pół godziny, godzinę, a tłumom nie było końca. Widać tam było można Żydów z Libii, z Egiptu, ze wszystkich krain Wschodu i Zachodu, z wysp mórz, wszystkie sekty Judei, wszystkie pokolenia Izraela i najrozmaitsze inne narodowości. Ludzie ci postępowali pieszo, konno, na wielbłądach, w lektykach i na noszach, w szatach wielce rozmaitych, ale rysy ich miały zawsze tę samą wspólność, odznaczającą wówczas, jak dziś synów Izraela, mimo zmienności klimatu i sposobu życia, mimo że mówili nawet rozmaitymi językami. Wszyscy spieszyli się, pehali, a wszystko dlaczego? — Aby zobaczyć biednego Nazarejczyka, uznanego za złoczyńcę, mającego umrzeć wśród złoczyńców.

Wśród tego wezbranego tłumu, byli i nie żydzi, którzy żydów nawiedzili — Grecy, Rzymianie, Arabi, Syryjczycy, Egipcyanie, Indowie. Przypatrując się temu różnorodnemu tłumowi, snadnie pomysleć było można, że świat cały zgromadził się, aby był obecnym przy ukrzyżowaniu.

Mimo takiej liczby narodu pochod postępował w dziwnie złowrogiem milczeniu, czasem tylko dały się słyszeć: tentent koni, uderze-

nie podków o kamienie bruku, czasem jakieś w oddali wołanie, i to wszystko! Na każdej twarzy za to wyczytać było można gorączkowość, z jaką oczekuje się jakiego strasznego wypadku lub nieszczęścia. Te spostrzeżenia naprowadziły Ben-Hura na myśl, że ten na-

pływ cudzoziemców
na uroczystości wiel-
kanocne nie był może
przypadkowym, —
może to nie sami
nieprzyjaciele?
Niepodobna



przypuszczać, aby ich zgromadziła śmierć biednego Nazarejczyka, może to więc jego przyjaciele i zwolennicy.

Nareszcie w kierunku wież posłyszał Ben-Hur najpierw niewyraźne z powodu oddalenia krzyki.

— Słuchajcie, idą — rzekł jeden z jego przyjaciół.

Ci, co szli, wstrzymali się, stanęli nasłuchując, w miarę jednak, jak uszu ich dochodził zgiełk, szli dalej spiesźnie, jakby uciekając przed krzykiem.

Wrzawa zbliżała się z każdą chwilą, powietrze drgało od krzyków i nawoływań, w tem Ben-Hur ujrzał służbę Simonidesa, zbliżającą się i niosącą swego pana; obok szła Estera, za nimi dźwigano zasłoniętą lektykę.

— Pokój tobie, Simonidesie, i tobie, Estero — rzekł Ben-Hur, spotykając ich. — Jeśli spieszycie na Golgotę, to zaczekajcie, aż przejdzie procesya, — pójdziemy razem; tu na rogu możemy przystanąć.

— Mów z Baltazarem, jego wola moją wola — odparł kupiec, jakby w głębokiem zamyśleniu. — Niosą go w lektyce.

Ben-Hur szybko odsunął zasłonę i ujrzał Egipcyanina, leżącego z twarzą tak żółtą, że raczej na umarłego, niż na żywego wyglądał. Gdy mu Ben-Hur plan swój wyłożył, pytał z cicha:

— Mów, czy ujrzymy Go?

— Myślisz o Nazarejezyku? Tak, musi przejść o kilka kroków od nas.

— O Panie! — wołał starzec z zapalem — Pozwól, o Panie, jeszcze raz! Jakiegoż doczekałem dnia! Straszny on będzie dla całego świata!

Tak więc znajomi nasi stanęli na rogu ulicy i czekali w milczeniu, strzegąc się mówić wśród ogólnej niepewności przekonań i uczuć. Baltazar opuścił lektykę i stał oparty na słudze, Estera i Ben-Hur dotrzymywali towarzystwa Simonidesowi.

Tymczasem tłumy szły nieprzerwanie, może liczniejsze niż przedtem, krzyki, nawoływania chrypliwe coraz się zbliżały, powietrze drgało, a ziemia jęczeć się zdawała. Nareszcie nadszedł pochód.

— Patrzcie — rzekł Ben-Hur z goryczą — teraz, to idzie cała Jerozolima.

Straż przednią pochodu stanowiła armia uliczników, krzyczących i naigrawających się wołaniem:

— Król żydowski! Ustępujcie, róbcie miejsce, bo oto Król żydowski!

Simonides przypatrywał się ich podskokom i harcům, podobnym do chmury letnich owadów i rzekł poważnie: gdy ci obejmą swe dziedzictwo, biada Salamonowemu miastu!



Dalej szła rota żołnierzy w pełnem uzbrojeniu, świecąca zbrojami, obojętnie, zimno, miarowym krokiem.

Za nimi szedł Nazarejczyk!

Zdawał się być blizkim śmierci — co kilka kroków chwiał się i mało nie upadał. Szata zwierzechnia podarta i poplamiona opadała z ramion na spodnią bez szwu tunikę. Bose nogi krwią znaczyły ka-

mienie. Na szyi niósł tablicę drewnianą z napisem. Korona z cierni raniła głowę ostrymi kolcami, a krew z ran płynęła po twarzy i szyi. Długie splątane włosy krwią przesiąkły, skóra zaś, co gdzie niegdzie wśród plam krwi przeglądała, miała białosć nadprzyrodzonego zjawiska. Ręce powrozem związane, trzymał przed Sobą. Gdzieś, jeszcze wśród miasta padł był pod ciężarem krzyża, który Mu nieść, według zwyczaju, aż na miejsce ukrzyżowania kazano; teraz wieśniak jakiś pomagał Mu dźwigać ten ciężar nad siły. Tuż przy Nim szło czterech żołnierzy, co Go chronili od tłumu; mimo to od czasu do czasu przedzierali się poprzez nich najgorsi z napastników, bijąc ofiarę swego zaślepienia kijmi, plwając w twarz i najgrawając się Jego boleści. Mimo to wszystko więzień nie wydał żadnego głosu, ni skargi, ni jęku, ni prośby; zdawał się nie nie widzieć i na nie nie patrzeć. Gdy siedł około domu, co zasłaniał Ben-Hura i jego przyjaciół głęboką litością zdjętych, Estera z płaczem rzuciła się na piersi ojca, który mimo swego hartu zadrżał do głębi duszy. Baltazar padł na twarz nie wymówiwszy słowa, Ben-Hur zaś powtarzał nieustannie: mój Boże! mój Boże! — Wtedy, czy Nazarejczyk odgadł ich uczucia, czy odczuł ból ich sere, dość, że zwrócił twarz ku nim, spojrzał na każde z osobna, spojrzenie zaś to stało się najdroższą pamiątką ich życia, skarbem przechowywanym i pielęgnowanym. W spojrzeniu tych gasnących oczu było błogosławieństwo wymowne, choć mileżące, pełne miłości drugich, a zapomnienia o Sobie.

Na ten widok zapytał Simonides: Gdzie są legiony, synu Hura?

— Annasz wie o nich najlepiej.

— Czyliżby się przeniewierzyli?

— Wszyscy, prócz tych dwóch.

— A więc wszystko stracone i Ten Sprawiedliwy umrzeć musi!

— Tu twarz kupca skureczyła się boleśnie, a głowa opadła jakby bezwładnie na piersi. Podzielając zabiegi Ben-Hura, dzielił też i rozcieranie na widok zniweczonych nadziei.

Za Nazarejczykiem postępowało dwóch ludzi niosących krzyż.

— Co to za jedni? — zapytał Ben-Hur Galilejczyków.

— Złoczyńcy, co wraz z Nim śmierć poniosą?

Gdy ci minęli, zbliżyła się postać wysoka uwieńczona mitrą, cała w złotogłowi i z godłami arcykapłana. Straż Świątyni zasłaniała go wokoło, poza nim zwolna postępował Sanhedrin i szeregi Lewitów w długich, białych, powłóczystych sukniach, nakrytych zwierzeznymi, różnobarwnymi płaszczami, w bogate ułożonych zwoje.

— To zieć Annasza — rzekł cicho Ben-Hur.

— Tak, widzę, to Kaifasz — odparł Simonides przypatrując się tej wspaniałej procesyi. Po chwili rzekł z głębokim smutkiem: — widzę, co więcej, przekonany jestem w głębi duszy, że Ten, co tam idzie z deszczułką na szyi, jest Tym, czem Go napis głosi: tak, to Król żydowski. Zważ tylko, czyżby złoczyńca mógł mieć tak wspaniałe orszak! Patrz i podziwiał! Żaliż nie towarzyszą mu narody całe — żaliż to nie Jeruzalem i Izrael? A tu! wszak to efod,*) niebieskie szaty z oszyciami, a tam arcykapłan z purpurowemi jabłkami granatu i srebrnymi dzwoneczkami! Nie zbywa żadnego zaszczytu, i zaprawdę nie widzieliśmy tych wszystkich godeł od chwili, w której Judea spieszyła na powitanie Wielkiego Macedończyka. Czyż te zaszczyty i godła nie nieznaczą? Żali nie są dowodem, że Ten, którego wiodą, to Król żydowski! O gdybym mógł wstać i iść za nim!

Ben-Hur słuchał słów tych ze zdziwieniem wielkiem; Simonides zaś, jakby czując, że się dał unieść uczuciom, rzekł niecierpliwie:

— Pomów z Baltazarem i spieszymy za Nim. Upadek Jerozolimy zbliża się.

Tu zauważyła Estera:

— Patrzcie, oto widzę płaczące niewiasty. Któż one?

I rzeczywiście we wskazanym kierunku ujrzeni cztery płaczące niewiasty; jedna z nich opierała się na ramieniu mężczyzny, podobnego do Nazarejczyka. Objasniając Esterę, rzekł Ben-Hur:

— Ten człowiek, to ukochany uczeń Mistrza; ta, którą widzie, to Jego matka, a towarzyszą Jej przywiązane kobiety galilejskie.

*) Efod, ubiór arcykapłana żydowskiego, tkany ze złota i różnokolorowej wełny; na ramionach znajdowały się dwie tabliczki z onyksu (rodzaj agatu), na których były dwanaście pokoleń Izraela.



Estera zakłamanymi oczyma patrzyła za płaczącymi, póki nie zniknęli w tłumie.

— Chodźmy, chodźmy — wołał Simonides, skoro Baltazar usiadł w lektyce.

Ben-Hur stał pogrążony w głębokiej zadumie, zdawał się nie słyszeć wrzawy. Pochód ten dziki i zwierzęcy przywiódł mu przed oczy Nazarejczyka.

Jakże był łagodnym i miłosierdnym dla tych, co cierpieli! A dla niego, nie byłże najłaskawszym! Ileż długów wdzięczności wiąże

Go z Tą ofiarą podłego młochu! Nagle odczuł ową straszną

chwilę, gdy chłopcem szedł pod strażą rzymskich siepaczy na śmierć prawie rów-

nie okropną jak ukrzyżowanie, któż mu wtedy podał napój chłodzący, kto spojrział tem spojrzeniem, co mu dodało otuchy i wiary w przyszłość? Kto -- żali nie On? I wydało mu się, że te oczy

pytają go teraz: napoiłem cię spragnionego, a ty coś uczynił? — Nie dość na tem, bo oto nowym obdarzył go cudem w niedzielę palmową... Za tyle dobrodziejstw jakże on, Ben-Hur, zdołał się odwdziżyć? Niestety, musiał sam siebie oskarżyć. Tak, za prawdę, nie uczynił zadość swym obowiązkom, nie dopilnował Galilejczyków, nie trzymał ich w pogotowiu, bo oto chwila sposobna do walki, a ich niema! Gdyby ich mieć teraz, możnaby wpaść między tłumy, uwolnić Nazarejczyka, czyn ten stałby się zaprawdę hasłem zwołującym Izraela do boju za wolność. Oto sposobność, jak nigdy, lecz minuty uciekają, a gdy je straci!... Boże, Boże Abrahama! żaliż jeszcze nie da się co uczynić?

Gdy tak walczy z myślami, zwróciła jego uwagę gromadka Galilejczyków, w jednym mgnieniu oka zrównał się z nimi i rzekł:

— Za mną, muszę się z wami rozmówić!

— Ludzie zawsze jeszcze jemu posłuszni, poszli za nim, a gdy stanęli pod osłoną domu, mówił:

— Wraz ze mną chwyciliście za miecze i zgodziliście się razem walczyć za wolność i króla, który nadchodził. I dziś macie miecze, a oto i czas do walki. Spieszcie połączyć się z braćmi i powiedzcie im, aby co do jednego stanęli u krzyża, na którym ma być umęczonym Nazarejczyk. Spieszcie, albo raczej wstrzymajcie się chwilę, abym wam oznajmił, że Nazarejczyk to wasz król, a wraz z Nim umiera wolność!

Patrzeli na mówiącego z uszanowaniem, ale nie ruszyli się z miejsca. Wtedy znecierpliwiony wódz zapytał ostro:

— Czy słyszycie mój rozkaz?

— Synu Judy — odparł jeden z nich, gdyż pod tem tylko nazwiskiem znali go. — Synu Judy, mylisz się, ty jesteś w błędzie, a nie my, lub nasi bracia. Nazarejczyk nie jest królem, ani umysł Jego jest królewskim. Wszak przywiedliśmy Go do Jerozolimy, wstąpił w mury świątyni i cóż uczynił? Oto zawiódł nas, wzgardził tronem Dawida. Nie, nie jest on królem, ani chce go Galilea. Nie nie zmieni Jego losu, — niechaj umiera. Ale ty, synu Judy, masz miecz, a i my nosimy miecze, gotowiśmy je dobyć, byleś nas wiódł do

wolności. Wolności pragnie Galilea, choćby za to zginąć, jeśli nam to przyrzeczesz, zastaniesz nas u krzyża.

* * *

I nadeszła chwila stanowcza dla Ben-Hura. Gdyby był uczynił zadość żądaniu i jedno wyrzekł słowo, inną byłaby historia ludzkości... ludzką, a nie Boską kierowana ręką, coś, co się nigdy nie zdarzyło, ani nigdy zdarzyć nie może.

Zmieszał się ów wódz nieustraszony, sam nie wiedząc dlaczego; później przypisywał to ubezwładnienie Nazarejczykowi, bo po Jego powrocie do życia, zrozumiał, że do wiary w zmartwychpowstanie, która jest podstawą chrześcijaństwa, potrzeba było, aby umarł. Po chwili odzyskał przytomność, ale nie siłę i sprężystość woli, stał bezradny i niemy, zakrył twarz rękoma, drżąc od walki wewnętrznej, która go popychała do czynu wbrew potężnej władzy, ubezwładniającej jego wolę.

— Chodź, czekamy na ciebie — powiedział Simonides po raz czwarty.

Ruszył się machinalnie za wezwaniem i szedł już za krzesłem i lektyką. Estera towarzyszyła mu. Szedł, ulegając tajemniczej władzy, jako szli niegdyś Baltazar i jego towarzysze.

ROZDZIAŁ XLII.

Ben-Hur wiódł na miejsce ukrzyżowania Baltazara, Simonidesa, Esterę i dwóch Galilejczyków. Kiedy stanął na przodzie, nie wiedział jakim sposobem zdołał się przez wzburzone tłumy przedostać; nie wiedział również, jaką teraz szli drogą, ani ile im to czasu zabrało. Szedł jakby nieprzytomny, nie słyszał, nie widział, ani myślał, dokąd idzie, ja jednak przyszedł. W stanie, w jakim się znajdował, nie mógł się zdobyć na żaden czyn, wola jego zmalala i stał się jako dziecko niedołążne? Postanowienia Boże są dla nas ludzi zawsze niepojęte, niemniej i środki, którymi Bóg te postanowienia przeprowadza i nam do wierzenia podaje.

Ben-Hur stanął z towarzystwem swoim. W tejże chwili, jak gdyby się ocucił, widział i rozpoznawał wszystko, co się dzieje z zupełną dokładnością.

Szczyt Golgoty był nieco przyplaszczony, piaszczysty, bez żadnej roślinności; gdzieś niegdzieś sterczały nędzne łodygi hyzopu. Miejsce, które wybrano na ukrzyżowanie, znajdowało się na najwyższym punkcie góry, podobne do czaszki. Dokoła utworzył się żywy mur z zbitych widzów, wstrzymywany od miejsca egzekucyi przez szpaler rzymskich żołnierzy, którymi dowodził setnik. Ben-Hur dotarł aż do szpaleru żołnierzy i tu stanął twarzą zwrócony na północ-zachód.

Wzgórze to zwało się w starym armaickim języku Golgotą —



w łacińskim je nazywano Kalwaryą, co znaczyło czaszka. Patrząc wokoło, nie ujrzeć ani pędzi wolnej ziemi, ni skały, ni zieleni, tylko tłumy, nieprzeliczone tłumy, tysiące — setki tysięcy narodu.

Trzy miliony serc biło obojętnie dla mających być ukrzyżowanych łotrów — ile z nateżoną uwagą oczekiwało, co się stanie z Nazarejczykiem — jedni byli pełni obawy, inni ciekawości, inni zaś nienawiści, gdy tymczasem Jego serce obejmowało wszystkich bez wyjątku miłością Boską i dla nich śmierć poniesie.

Na wzgórzu stał dumnie w wspaniałym stroju arcycapłan. Postać jego górowała ponad wszystkich.

Na szczycie, jeszcze wyżej, stał widziany od wszystkich Nazarejczyk, milezący, cierpliwy, pokorny. Jakiś żołdak dał mu na urągowisko w rękę trzeinę, aby wyobrażała berło i dokończyła królewskiego stroju. Widok ten wywołał dokoła śmiechy, żarty i naigrawania. Gdyby to był tylko człowiek, jużby w sercu jego wygasła wszelka miłość dla swych współbliźnich.

Oczy wszystkich zwrócone były na Nazarejczyka; w umyśle Ben-Hura zachodziła wielka zmiana, czy płynęła z litości, czy miała źródło w innem uczuciu? Dość, że zaczynał pojmować, iż jest coś wzniosłego nad wszelkie dobra świata, coś, co może dać słabemu człowiekowi siłę zniesienia udręczeń tak duszy jak, ciała; co więcej, to coś mogło wzbudzić nawet pragnienie śmierci. Cóżby to było? — pytał sam siebie i przyszło mu na myśl, że to może owe życie duszy, które głosił Baltazar i zaczął je jaśniej pojmować, a w tem świetle rozumiał, że powołaniem Nazarejczyka było zaprowadzenie tych, co Go kochali, poza świat, do Królestwa, które Jego i ich czekało. Równocześnie z tą myślą zdało mu się, że gdzieś w powietrzu, czy w chmurach, brzmiały wyrazy tyle razy z ust Jego słyszane:

— Jam Zmartwychwstanie i Żywot.

Słowa te dźwięczały ciągle, przybrały kształt, nabrały jasności i nowego znaczenia. Ludzie zwykli powtarzać pytanie, gdy pragną lepiej ująć i utrwalić odpowiedź, tak czynił Ben-Hur, patrząc na postać, stojącą na wzgórzu.

Kto jest Zmartwychwstaniem i Żywotem?

— Jam jest, zdawała się mówić postać — mówić dla niego samego i natychmiast poczuł w swem sercu pokój, jakiego nigdy nie zaznał — pokój, który jest końcem wątpliwości i tajemnic, początkiem miłości i jasnego zrozumienia.

Z tego usposobienia, pełnego cudnych marzeń, wyrwały Ben-Hura nowe odgłosy i uderzenia młotów. Wtedy ujrzał na szczycie wzgórza to, czego nie był dotąd w swem zamyśleniu zauważył, ludzi i żołnierzy, przygotowujących krzyże. Doły na wbicie tych krzyży były już gotowe, a teraz przytwierdzano poprzeczne belki.

— Każ się ludziom spieszyć — rzekł areykapłan do setnika, a wskazując na Nazarejczyka, dodał, — musi umrzeć przed zachodem

słońca i być pogrzebanym, aby ziemia nie została skalana. Tak nakazuje prawo.

Jeden z żołnierzy, litościwszy od innych, zbliżył się do Nazarejczyka i podał Mu napój, którego tenże nie przyjął; drugi z żołnierzy zdjął Mu z szyi kartkę z napisem i przybił ją do krzyża — na czem skończyły się przygotowania. — Krzyże są gotowe! — rzekł setnik do arcykapłana.

— Niech bluźnierca pierwszy umiera — powiedział. — Kiedy jest Synem Bożym, niech sam siebie zbawi... zobaczymy...

Tłum, który dotąd patrzył z niecierpliwością na przygotowania, i cały ten czas domagał się ukrzyżowania, w tej chwili umilkł nagle. Zbliżała się chwila, najstraszniejsza — przybijania skazanych do krzyża.

Skoro żołnierze ujeli Nazarejczyka, dreszcz przeszedł widzów, najokrutniejsi zadrżeli. Wielu mniemało, że powietrze się oziębiło. Tak tłumaczono sobie mróz, co przechodził po ciele.

— Jakaż okropna cisza! — mówiła Estera, obejmując ojca za szyję; ten zaś przypominając sobie własne tortury, przysunął jej twarz do piersi i mówił z drżeniem:

— Nie patrz, Estero, nie patrz; zdaje mi się, że gdy to widzę, winni i niewinni pospółu przeklętymi będą.

Baltazar padł na kolana.

— Synu Hura — mówił Simonides coraz więcej wzruszony. — Synu Hura, Jeżeli Jehowa miłośnie nie wyciągnie Swej ręki, Izrael stracony, a i my z nim.

Ben-Hur odparł uspakajająco: Śniłem, czy widziałem, dość, że wiem, dlaczego tak się stać musi: taką jest Boga i Nazarejczyka wola. Czyńmy więc, jak to czyni Egipcyanin, bądźmy spokojni i módlmy się.

Gdy podniósł oczy ku wzgórzu, znów usłyszał te same słowa:

— Jam jest Zmartwychwstanie i Zywot.

We czci i pokorze skłonił głowę, jakby nadśłuchując.

Tymczasem na szczycie postępowało dzieło. Straż zdjęła suknie z Nazarejczyka i stał obnażony pod milionem spojrzeń, na całym ciele było znać krwawe pręgi od odebranych dziś rano plag. Położono Go bez litości na krzyżu, najpierw rozciągnięto ręce na poprzecznej belce,

gwoździe były ostre, kilka chwil starczyło, aby przebić dłonie. Ale jeszcze nie koniec, trzeba było spłaszczyć kolana, płasko rozciągnąć stopy na drzewie, poczem założono jedną nogę na drugą i jednym gwoździem przytwierdzono obie. Głuchy odgłos przybijania rozległ



się daleko; wszyscy drżeli na sam widok spadającego młota. Ofiara złości ludzkiej nie wydała ni jęku boleści, ni skargi; głuche panowało milczenie, nie pozwalające wrogom tryumfować, ani zwolennikom rozpaczać lub bronić.

— W którą stronę chcesz, aby patrzył? — zapytał surowy żołdak.

— Zwróćcie mu twarz ku Świątyni — odparł areykapłan — niech umierając, patrzy na święty przybytek, który znieważył.

Żołnierze pochwycili krzyż i zanieśli na miejsce przeznaczenia. Tam go spuścili w dół. Ciało Nazarejczyka zawisło między niebem a ziemią; całym ciężarem opadło i wisiało tylko na skrwawionych rękach. Mimo strasznej męczarni nie wydał jęku, ani skargi — a usta Jego wymówiły prośbę, świadczącą o Jego boskości:

— Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią.

W tej chwili krzyż, widniejąc na tle nieba, panował ponad otoczeniem, mnóstwo zgromadzonego ludu powitało go okrzykiem radości, a wszyscy bliżej stojący i umiejący czytać, głośno odczytywali napis nad głową Nazarejczyka, podając treść jego drugim, tak że wzgórza całe brzmiały szyderczym okrzykiem:

— Bądź pozdrowion, Królu żydowski! Cześć Tobie, królu żydowski!

Areykapłan, zrozumiałwszy treść napisu, sprzeciwiał się jego umieszczeniu, ale napróżno, więc utytułowany i uznany król patrzył gasnącemi oczyma na spokojny u stóp rozłożony gród, co go tak zdradziło haniebnie.

Słońce szybko dochodziło południa, wzgórza świeciły blaskiem, góry kapały się w purpurowem świetle. Miasto, jego Świątynia, pałace, wieże, szczyty, odbijały jego jasne promienie. Nagle zaczęło się ściemniać, jak gdyby wieczór zapadał; gdy jednak ciemności, się wzmagaly, nie uszło to uwagi zgromadzonych. Umilkły śmiechy i krzyki, ludzie nie wierząc swym własnym oczom, patrzeli jedni na drugich ciekawie; widząc na swych twarzach zdziwienie, patrzeli znów w niebo ku słońcu, potem na znikające w ciemnościach wzgórza i okolice. Nakoniec każdy zwracał znów wzrok na pagórek, na którym się scena odgrywała straszna, a potem po sobie, blednąc pod grozą strasznego zjawiska.

— Ależ to chmura zakryła słońce i wnet przejdzie — mówił uspakajająco Simonides do przestraszonej Estery. — Zresztą może to mgła, ale i ta rychło się rozprószy.

Ben-Hur inaczej myślał.

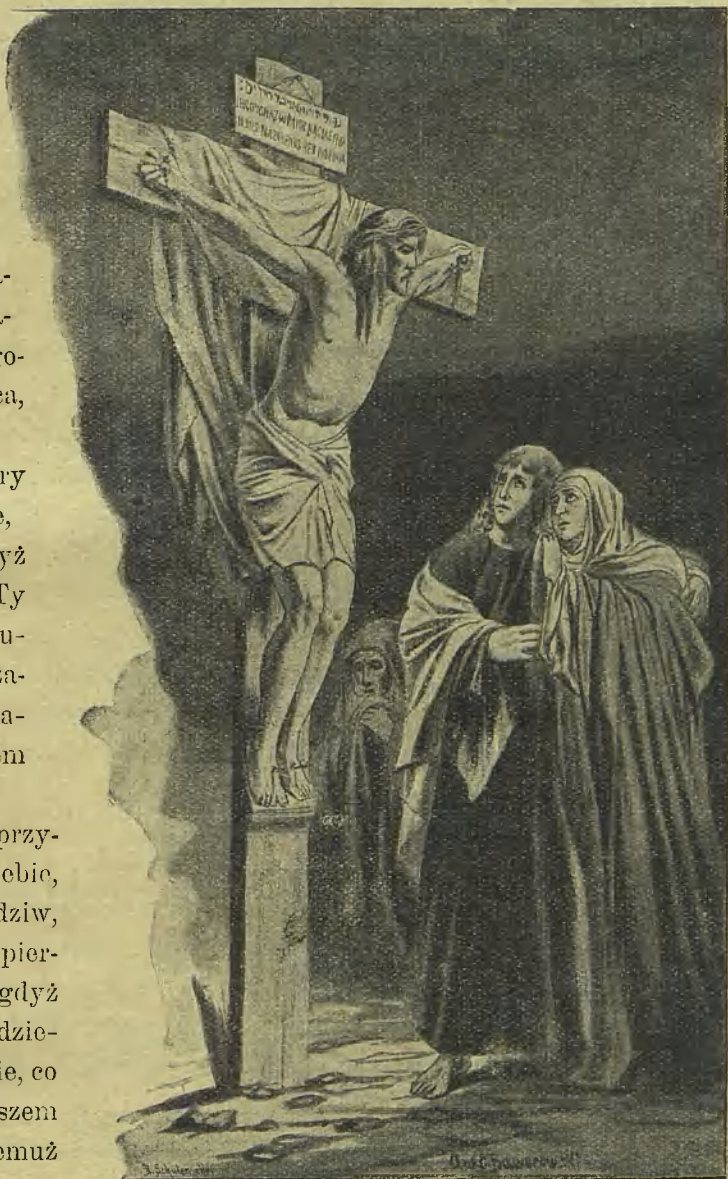
— Ani to mgła, ani chmura — mówił — ale żywe duchy proroków i świętych, co z miłosierdza dla siebie i przyrody zasłaniają

słońce, by nie patrzyło na taką zgrozę. Zaprawdę, mówię tobie, Simonidesie, iż Ten ukrzyżowany jest Synem Boga.

Zdziwienie padło na kupca, gdy słyszał te słowa; Ben-Hur zaś zbliżył się do klęczącego Baltazara i kładąc rękę na ramieniu czcigodnego starca, rzekł:

— O mądry Egipcyaninie, słuchaj, gdyż przyznaje, że Ty tylko miałaś słuszość, bo Nazarejczyk jest zaprawdę Synem Boga!

Baltazar przyciągnął go do siebie, mówiąc: Nie dziw, że Go poznał pierw od Ciebie, gdyż Go widziałem dziecięciem w żłobie, co Mu był pierwszym posłaniem. Czemuż jednak danem mi było dożyć tego strasznego dnia, czemu nie umarłem wraz z bratem Jakże szczęśliwi Melchior i Gaspar!



— Uspokój się — mówił Ben-Hur — niezawodnie są oni tu w pobliżu. — I oto mrok stawał się ciemnością, która się coraz wzmacniała; mimo to nie zaprzestano dalszej roboty na wzgórzu. Już obu złoczyńców jednego po drugim na krzyż przybito i krzyże wpuszczono w wykopane ku temu doły, poczem straż się usunęła, a przystęp do wzgórza i krzyżów był wolny.

Tłum rzucił się niby fala przybyszająca, co jeden odszedł, drugi już zajął jego miejsce i znów go wyparto — wśród tego pełno śmiechu i naigrawania z Nazarejczyka:

— Ha! ha! — wołali żołnierze, — jeśliś królem żydowskim, ratuj sam siebie.

— Ej! — mówił arcykapłan — jeśli teraz zejdziesz, uwierzymy w Niego.

Inni wstrząsając głowami, mówili: Może zburzyć świątynię i odbudować ją w trzech dniach, a siebie nie może wyratować.

Nikt nie zastanowił się nad Nazarejczykiem, nikomu nie wyrządził krzywdy, większa część po raz pierwszy w tej go widziała go-dzinie, przecież obrzucano Go złorzeczeniami, a litowano się nad złoczyńcami — bo taką bywa siła uprzedzenia.

Ta noc z nieba zesłana przerażała Estere i wielu innych. — Chodźmy do domu! błagała po wiele razy, dodając:

— Żaliż nie widzicie gniewu Bożego? Jakież okropności zdarzyć się jeszcze mogą! Lękam się.

Simonides nie zwracał uwagi na prośby córki, mówił mało, ale był bardzo wzruszony.

Widząc, że po pierwszej godzinie tłum znacznie się zmniejszył na samem wzgórzu, Simonides wraz z swoimi postanowił się zbliżyć do krzyża. Ben-Hur wspierał Baltazara, który zwolna począł wstępować... Z tego nowego miejsca mniej wyraźnie widzieli Nazarejczyka, wydał im się ciemną postacią, zawieszoną w przestrzeni, ale za to mogli Go lepiej słyszeć. Z razu słyszeli tylko stłumione westchnienia dowodzące większej wytrzymałości od towarzyszy, których jęki i wrzaski wypełniały każdą przerwę w ogólnym zgiełku.

I druga z kolei godzina od ukrzyżowania minęła, a były to godziny obelg, naigrawań, szyderstw i straszego konania. W ciągu

tego czasu raz jeden przemówił, gdy kilka kobiet uklękło pod krzyżem i wśród nich poznał matkę i ukochanego ucznia. — Niewiasto — rzekł podniesionym głosem — oto syn twój! — A do ucznia: oto matka twoja.

Nadeszła wreszcie trzecia godzina, tłum oblegał jeszcze ciągle wzgórze, trzymała go tam mimo ciemności jakaś niepojęta siła; wogóle jednak zdawał się spokojniejszym, choć słychać było głosy nawołujących się wśród ciemności. Do krzyża jednak zbliżali się w milczeniu, nawet straż, która tak niedawno rzucała losy o suknię Ukrzyżowanego, stała teraz w cichości i rozmyślaniu wraz z dowódcą i więcej na krzyż, niż na tłum zwracała uwagi. Każde westchnienie lub pochylenie głowy nie uszło ich bacności, najdziwniejsza jednak zmiana w areykapłanie i jego orszaku, wśród którego było kilku, którzy brali udział w śledztwie i przesłuchaniu dzisiejszej nocy. Przez cały czas pochodu i ukrzyżowania zachowywali wspaniałą spokój, ale gdy ciemności zaległy ziemię, stracili swą pewność. Byli wśród nich uczeni w astronomii i obeznani ze zjawiskami przyrody tak wówczas strasznymi dla tłumu; im porządek świata od pradziadów dobrze był znanym, poczynili nawet wielce znaczące odkrycia, a służba zaś w Świątyni wspierała ich umiejętność. Gdy słońce émić się zaczęło, obstąpili astronomowie areykapłana, radząc nad tem zjawiskiem. — Nie może to być zaćmienie, bo jest właśnie pełnia! — Gdy nikt na to nie znalazł odpowiedzi, ciemności trwały dalej i nikt ich wyjaśnić nie mógł, zaczęli przypuszczać, iż są w związku z Nazarejczykiem. Myśl ta przeraziła ich niewymownie, a stojąc poza szeregami żołnierzy, słyszeli każde słowo Nazarejczyka i z najwyższą obawą liczyli jego westchnienia, szepcąc z przerażeniem: Człowiek ten jest Mesyaszem — biada nam!

Ben-Hurem nie szarpały już wątpliwości, spokój panował w jego umyśle i sercu, modlił się tylko gorąco o przyspieszenie końca. Drogim przedmiotem jego myśli był Simonides, znał dobrze jego usposobienie i czuł, że się waha na progu wiary. Widział tę niepospolitą głowę w uroczystem zamyśleniu, schyloną lub wznoszącą się ku słońcu, jakby je pytając o przyczynę ciemności. Żał mu nareszcie było Estery, która tuliła się do ojca, tłumiąc bojaźń, aby nie przezywać mu wątku myśli, w których był pogrążony. Uspakajał ją od

czasu do czasu, mówiąc: Nie lękaj się, ale patrz wraz ze mną, bo za prawdę możesz żyć dwa razy tak długo jak ja, a nie ujrzysz nie tak ważnego dla ludzkości, jako ta sprawa; zresztą czekajmy na objawienia, wszak mogą być jeszcze. Zostańmy do końca.

Trzecia godzina dochodziła połowy, aliści kilku nędzarzy, wyrzutków społeczeństwa, zamieszkujących jaskinie i stare groby w pobliżu miasta, stanęło u stóp krzyża, mówiąc:

— Oto nasz nowy Król żydowski!

Inni wołali wśród śmiechu i naigrawań:

— Uzdrów nas! uzdrów, Królu żydowski!

Gdy nie było odpowiedzi, zbliżyli się jeszcze więcej:

— Jeśliś jest Królem żydowskim, lub synem Boga, zejź! — mowili głośno.

Wtedy jeden ze złoczyńców zaprzestał jęczeć i wołał urągając:

— Jeśliś jest Chrystusem, pomóż nam i Sobie.

Lud śmiejąc się, przyklaskiwał bluźnierstwom; tymczasem drugi łotr odrzekł pierwszemu:

— Żaliż nie boisz się Boga? My cierpimy zasłużenie, ale Ten sprawiedliwy czemuż zawinił, że Go potępiono? A myć wždy sprawiedliwie, bo godną zapłatę za uczynki nasze ponosimy, lecz tennic złego nie uczynił.

Słowa te zdziwiły otaczających; jakież zaś było ich przerażenie, gdy tenże sam łotr wśród ciszy, co zaległa wokoło, zwrócił się do nie Nazarejczyka, mówiąc błagalnie:

— Panie, pomnij na mnie, gdy przyjdiesz do królestwa Twego.

Zdumiał się na te słowa Simonides. „Gdy przyjdiesz do królestwa Twego“ — wyrazy te odpowiadały na jego wątpliwości i rozmowy z Baltazarem.

— Słyszałeś? — pytał Ben-Hur. — Oto ten złoczyńca poświadczają, że królestwo Jego nie jest z tego świata, gdy do innego idzie; to się zgadza z tem, co ja we śnie widziałem.

— Cicho — odrzekł Simonides, głosem więcej niż kiedykolwiek stanowczym — cicho, proszę cię, bo mógłbym niedosłyszeć odpowiedzi Nazarejczyka.

Jakoż równocześnie od krzyża dał się słyszeć głos dziwnie słodki i dźwięczny.

— Zaprawdę mówię tobie: dziś ze Mną będziesz w raju.

Simonides czekał słów dalszych w milczeniu, a gdy nie zakłócało ciszy, złożył ręce mówiąc:

— Dosyć, dosyć, o Panie! Ciemności ducha mego rozprószyły się, patrzę jak Baltazar, oczyma wiary.

Nareszcie znalazła zapłatę wierność zanego sługi, bo choć połamane jego ciało nigdy już zdrowem nie będzie, choć pamięć tych strasznych boleści nie zatrze się nigdy wraz z wspomnieniem ciężkich lat, to nowe życie otworzyło się przed nim — życie, które się zowie rajem. Tam znajdzie królestwo, o którym marzył i króla, którego tak gorąco oczekiwał. Wobec tej pewności spokój zapanował w jego duszy.

A tam w pobliżu krzyża rozpacz i przerażenie. Przewrotni i chytry kazuiści *) w trudnem byli położeniu, bo oto Nazarejczyk, którego na śmierć skazali za to, że głosi się Mesyaszem, powtórzył to stanowczej, niż kiedykolwiek wobec majestatu śmierci i tłumu, obiecując raj złoczyńcy! To okropne! Drżeli z przerażenia, a arcykapłan mimo swej pychy, czuł obawę i lęk. I nie dziwnego! Skądże człowiek czerpie zaufanie, jeśli nie z prawdy? A cóż prawda, jeśli nie Bóg? W tej chwili omal, że nie uciekli.

Oddech Ukrzyżowanego stawał się trudniejszym, westchnienia coraz to głębsze i rzadsze. Tylko trzy godziny na krzyżu i już kona!

Wiadomość ta obiegła tłumy i wnet wiedzieli ją wszyscy.

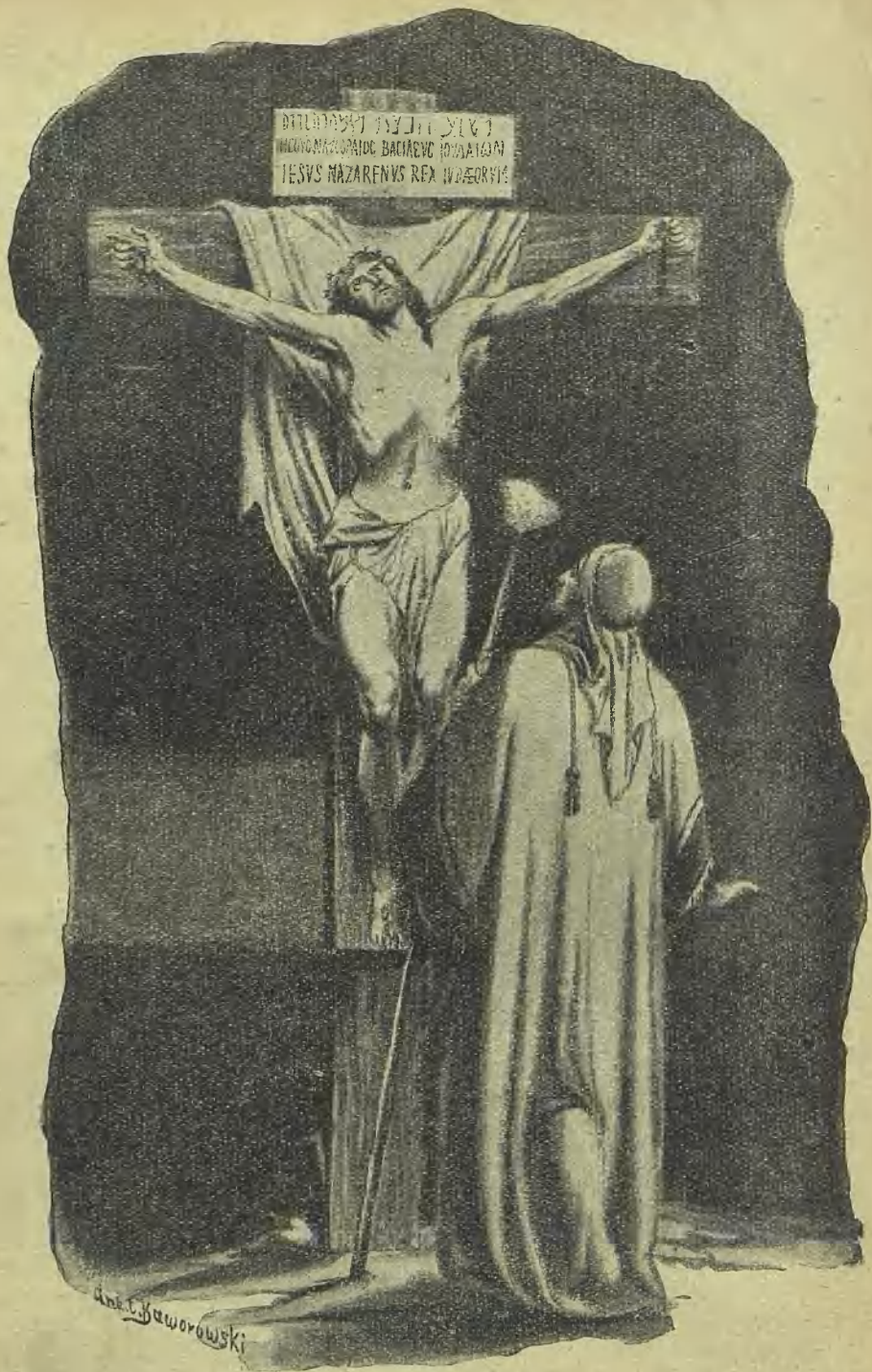
Ucichły gwary; złowroga cisza zaległa w powietrzu, czyniąc je dusznem i parnem wśród strasznej ciemności. Można było zapomnieć, że na wzgórzach stały tysiące ludu, oczekując czegoś strasznego — taka panowała cisza!

Wtem od krzyża ponad tłumy dał się słyszeć krzyk boleści, jeśli nie skargi i wyrzutu:

— Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?

Głos ten przeraził wszystkich, a w szczególności wzruszył jednego. Żołnierze przynieśli byli dla siebie wino i wodę w kadzi, stawiając ją niedaleko od Ben-Hura. Umoczywszy w płynie, co już

*) Kazuistyka, nauka o przypadkach, trudnych zagadnieniach sumienia. Kazuiści, trudzący się tą nauką.



Ben-Hur przed krzyżem.

był raczej octem, gąbkę do długiego kija przymocowaną, można było odwilżyć język cierpiącego. Ben-Hur przypomniał sobie studnię w Nazaret, ów napój, co go pokrzepił na całe życie, i uległszy popędowi serca, zmaczał gąbkę i zbliżył się do krzyża.

— Co czynisz? Nie czyn tego! — wołano zewsząd, a choć głosy były pełne złości, nie dał się Ben-Hur odstraszyć i przyłożył gąbkę do ust Nazarejczyka.

Zapóźno, zapóźno!

Oblicze, na które w tej chwili patrzył Ben-Hur, jaśniało dziwnem światłem, choć całe krwią i pyłem ziemi pokryte, oczy rozwarły się szeroko, jakby utkwione w jakiś przedmiot niewidzialny i oddalony, usta wpółotwarte, wymówiły z wyrazem zadowolenia, ulgi, zwycięstwa, wielką odniesionego ofiarą:

— Wypełniło się!

Oto jak bohater poświęcenia obchodził zwycięstwo i tryumf! Wnet oczy zagasły, głowa opadła na piersi. Ben-Hur sądził, że już walka skończona, ale dusza, co już rozpoczęła swój zwycięski pochód ku niebu, zdobyła się jeszcze na ostatnie wysilenie, a wszyscy otaczający usłyszeli słowa, wymówione serdecznym głosem, jakby do kogoś będącego w bliskości:

— Ojczy, w ręce Twoje oddaję ducha mego!

Ostatnie drgnienie wstrząsnęło ciałem, krzyk trwogi rozdarł powietrze i posłannictwo skończyło się wraz z życiem.

Pomnij, czytelniku, że z miłości pękło serce Twego Zbawiciela!

Gdy Ben-Hur wrócił do swych przyjaciół, rzekł z prostotą:

— Skończyło się, nie żyje!

Z niepojętą szybkością wieść ta obiegła tłumy, nikt nie śmiał wyrzec jej głośno, szeptem biegła od wzgórza do wzgórza, a zawierała jeden wyraz: — umarł! umarł! — i nie więcej. Stało się zadość życzeniom tłumów; czemuż zamiast się cieszyć, stoją w niemem przerażeniu? Czyżby krew Jegó do nich przyległa? Stoją tak chwilę, poglądając po sobie, jakby szukając śladów tej krwi, w tem ziemia wśród straszego łoskotu drzeć poczęła, ludzie w trwodze opierali się jedni na drugich, bezwiednie chwytając się wzajemnie. Chwila, a tracą świadomość wszystkiego; nagle ustąpiła ciemność i cudne

słońce Wehodu oświeciło smugą trzy drżące od wstrząśnień ziemi krzyże! Każdy z obecnych objął spojrzeniem trzy krzyże, przecież najwidoczniejszym, najwyraźniejszym był krzyż środkowy, jakby całym ciężarem przygniatał ziemię, a rósł coraz wyżej



w niebiosa. Wobec grozy tego krzyża, każdy, co się naigrawał z Nazarejczyka, każdy, co śmiał Go uderzyć, każdy, co wołał; ukrzyżuj Go; — każdy, co Go prowadził na śmierć okrutną i pragnął w głębi serca tej śmierci, czuł się jakby sam jeden winowajcą w tłumie. A takich ilu było? Jeden przeciw dziesięciu. Cóż więc czynią? Biada

im! strach pędzi i zda im się, że uciekać muszą, gdyż niebo groźne, a ziemia z pod stóp się usuwa. Uciekają, biegną, wyteżając wszystkie siły, popłoch rośnie z każdą chwilą, spieszą konno, na wielbłądach, wozami i pieszo. A z nimi pędzi trwoga, a ziemia zda się ściągąć okrutników, co krew niewinną przelali, bo drży złowrogo, wywracając ich i wstrzymując straszliwym grzmotem, co łono gór przezdiera i pod ich stopami ściele przepaście. Tłuszcza morderców trwóży się i w nagłej skrusze bijąc się w piersi, krzyczy z bojaźni, że krew Sprawiedliwego padła na nich. Mieszkańcy świętego grobu i cudzoziemcy, kapłani i świeccy, żebracy, Saduceusze, Faryzeusze, pędzą, padają na ziemię, wikłają się jedni z drugimi, a wśród ogólnego przerażenia, wzywają Boskiej pomocy. Napróżno! Biada im! Ziemia straszliwym hukiem odpowiada im gniewnie, nie odróżniając nikogo. Jakież wśród tego los arcykapłana? Okropność spustoszenia, co sieje grozę i przerażenie, nie zważa na godności, ani odróżnia władzę od braci; oto padł pyszny Annasz w pył ziemi jako inni, odpadają hafty i ozdoby jego szat, srebrne dzwonki nabite ziemią nie wydają głosu, usta nawet pełne pyłu, nie zdolne wymówić słowa. On i naród jego pospołu jednemu ulegli losowi. Krew Nazarejczyka spadła na nich!

Gdy nowy promień słońca oświecił miejsce Ukrzyżowania, u stóp krzyża stała Matka Nazarejczyka, ukochany Jego uczeń, wierne niewiasty z Galilei, setnik wraz z żołnierzami i Ben-Hur ze swoimi. Ci nie brali udziału w ucieczce, bo myśli ich nie były na ziemi.

— Usiądź tu — rzekł Ben-Hur do Estery, wskazując jej miejsce u nóg ojca. — Zasłoń oczy i nie patrz w górę, a zaufaj Panu i duchowi Tego Sprawiedliwego, który niewinnie śmierć poniósł.

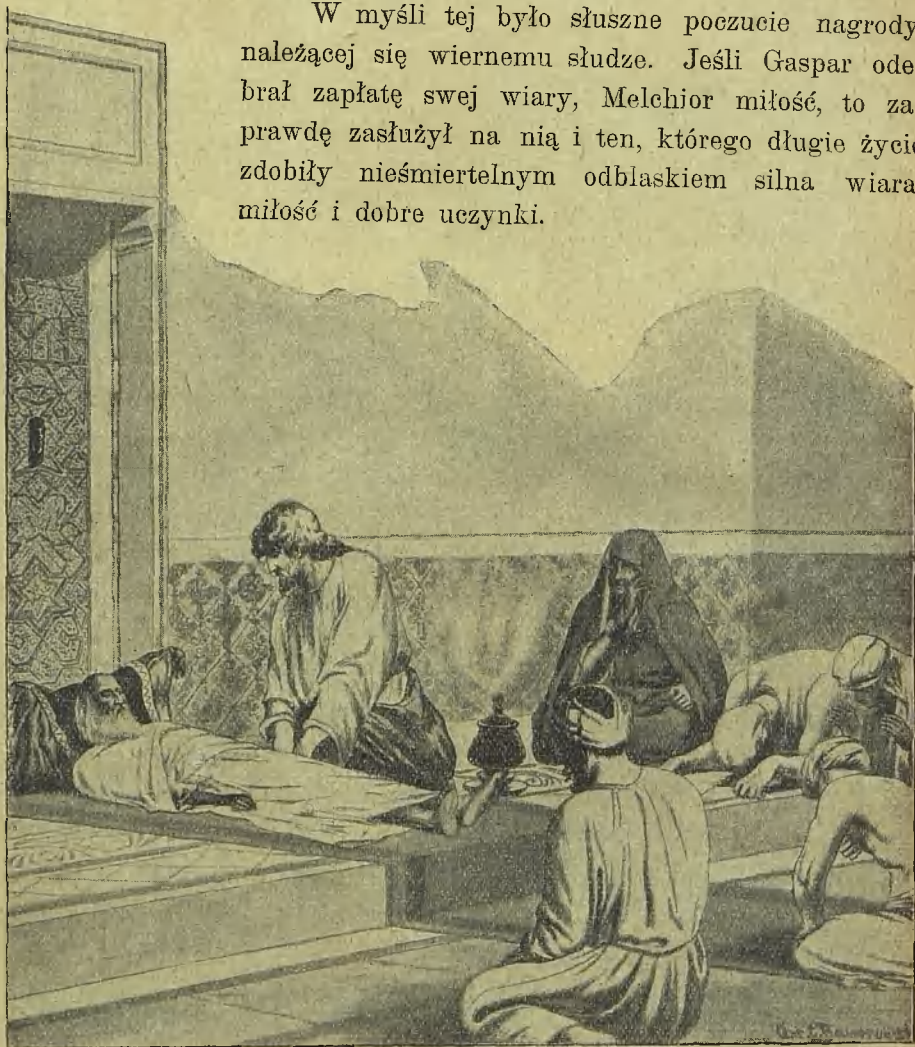
— Winniśmy Go oddać zwać Chrystusem, — rzekł uroczyście Simonides.

— Niech się stanie, jako rzekłeś — odparł Ben-Hur.

Nowe wstrząśnienie ziemi zatrzęsło pagórką, złoczyńcy na krzyżach podnieśli stasliwy wrzask, a Ben-Hur choć hukiem ziemi ogłuszony, spojrzawszy w stronę Baltazara i ujrzawszy, że starzec leży na ziemi. Pospieszył ku niemu, wołając go, ale wołał napróżno, bo czcigodny mąż nie należał już do żyjących. Teraz przypomniał sobie Juda, że w odpowiedzi na ostatnie słowa Zbawiciela, słyszał jakiś okrzyk.

Wtedy nie zastanowił się nad tem, z czyjej on wydarł się piersi, teraz słusznie wierzył, że duch Egipcyanina towarzyszył Panu w chwili, gdy swe rajske Królestwo odbierał w posiadanie.

W myśli tej było słuszne poczucie nagrody, należącej się wiernemu słudze. Jeśli Gaspar odebrał zapłatę swej wiary, Melchior miłość, to za prawdę zasłużył na nią i ten, którego długie życie zdobyły nieśmiertelnym odblaskiem silna wiara, miłość i dobre uczynki.



Słudzy Baltazara uciekli w popłochu i dopiero, gdy się wszystko uspokoiło, zanieśli obaj Galilejczycy zwłoki jego w lektyce do miasta.

Smutny to był orszak, co w owym dniu, na zawsze pamiętnym, wstępował w południową bramę pałacu Hurów przy blasku zachodzącego słońca. Prawie równocześnie zdjęto ciało Mesjasza z krzyża.

Zwłoki Baltazarowe zaniesiono do gościnnej komnaty, służba płacząc otoczyła jego łoże, bo był kochany od wszystkich, gdy jednak ujrzeli twarz zmarłego, jakby uśmiechniętą i rozpromienioną, otarli łzy, mówiąc:

— Zaprawdę, błogo mu jest, — szczęśliwszym dla niego wieczór, niż poranek dnia dzisiejszego.

Nie chciał Ben-Hur powierzyć słudze obowiązku zawiadomienia Iras o losie jej ojca; poszedł więc po nią sam, aby ją przyprowadzić do zwłok starca.

Idąc, wyobrażał sobie jej rozpacz, gdy się dowie, że została sama na świecie; wobec tej myśli gotów był jej przebaczyć i litować się nad nią. Przypomniawszy sobie, że dotąd nie pytał, czemu jej z nimi nie było i gdzie się mogła znajdować; wyrzucał sobie to zapomnienie, szczególnież wobec tej strasznej wieści, której był wysłańcem.

Doszedłszy do jej komnat, uchylił zasłony, co stanowiła wejście, nie odebrał odpowiedzi na swe wołanie, chociaż słyszał odgłos otwieranych dalszych drzwi. Powtórzywszy wołanie, podniósł zasłonę i wszedł do pustej komnaty, stamtąd poszedł jej szukać na dachu, a nie znalazłszy, pytał służbę. Nikt w ciągu dnia nie widział pięknej Egipcjanki, a po dalszem, próżnem poszukiwaniu, wrócił Ben-Hur do gościnnej komnaty, gdzie u zwłok starca zajął miejsce nieobecnej córki. Wtedy to patrząc na uśpione snem wiecznym oblicze starca, myślał, jak miłosiernym dla swego starego sługi był Chrystus. U bram Królestwa ustają boleści tego żywota, choćby się nawet z braku miłości rodziły.

Po odbytem pogrzebie i po upływie dziesięciu dni, prawem przepisanych, sprowadził Ben-Hur matkę i Tirzę do domu; od owego dnia pod tym dachem wymawiano z czcią należną najdroższe sercu ludzkiemu imiona:

Bóg Ojciec i Chrystus Syn.

DOKOŃCZENIE.

Pięć lat minęło od Ukrzyżowania. Estera, żona Ben-Hura, siedziała w jednej z komnat pięknej willi pod Misenum. Było to południe; gorące słońce Włoch rzucało promienie na róże i winnice ogrodu.

Wszystko, co otaczało Estere, było rzymskie, prócz jej ubrania — zachowała bowiem strój izraelski. Tirza igrała z dwojgiem pięknych dzieci na rozciągniętej u stóp Estery lwiej skórze; dość było im się przypatrzeć, aby odgadnąć, czyje to dzieci.

Czas obchodził się z urodą córy Simonidesa wspaniałomyślnie, dziś była piękniejszą niż kiedy — odkąd stała się panią wili i osiągnęła szczyt marzeń.

Gdy patrzymy na ten obraz świętości ogniska domowego, wchodzi służebny i rzecze:

— W atrium jest kobieta, która pragnie mówić z panią.

— Niech wejdzie.

Nieznajoma ukazała się; Estera wstała na jej spotkanie, chciała przemówić, zawahała się chwilę, a potem cofając się, rzekła:

— Niegdyś znałam cię ... Jesteś ...

— Iras, Baltazarowa córka.

Zdziwiła się Estera jej śmiałości, niemniej kazała podać jej ławeczkę.

— Nie mam zamiaru odpoczywać — rzekła Iras chłodno — odchodzę zaraz.

Przypatrywały się sobie wzajemnie. Wiemy już, że Estera była piękną kobietą, szczęśliwą żoną i matką. Wspaniała postać Egipcjanki zachowała coś z swego wdzięku, ale twarz jej zmieniła się, oczy straciły blask i życie, rumieńce znikły. Usta z wyrazem cynizmu i pewnego okrucieństwa wraz z ogólnem znieedbaniem, zrobiły ją przedwcześnie starą. Ubranie ani staranne ani czyste, sandały pyłem okryte, wszystko mówiło, że ciężkie przechodziła koleje.

— Twojeż to są dzieci?

Estera spojrzała na nie z uśmiechem matczyńskim.

— Nie chcesz się pobawić z nimi?

— Przestraszyłabym je — odparła Iras, przysuwając się do drżącej Estery. — Nie lękaj się — dodała. — Powiedz mężowi ode mnie, że nieprzyjaciół jego nie żyje, że go własną zabiłam ręką, mszcząc się niedoli, w jaką mnie pogrążył.

— Jego nieprzyjaciela ... zabiłaś?

— Tak, Messalę — powiedz mu, że za złe, które jemu wyrządzić chciałam, spadła na mnie kara tak ciężka, że on sam ulitowałby się mej nędzy.

Oczy Estery zalały się łzami i chciała ją pocieszać.

— Nie chcę ni łez, ni litości; powiedz mu jeszcze, że zrozumiałam, niestety, za późno, iż Rzymianin może się stać potworem. Bądź zdrowa.

Mówiąc to, opuściła komnatę.

Estera wybiegła za nią
wołając:



— Zostań, proszę, zaczekaj na mego męża; on nie chowa urazy do ciebie i szukał cię wszędzie. Zostań, będziemy ci przyjaciółmi — myśmy chrześciance.

Ale Iras odmówiła.

— Zostaw mnie — rzekła — jestem, czem być chciałam, wnet się wszystko skończy...



— Nie masz — pytała dalej Estera — jakiego życzenia, którebyś spełnić mogła?

Egipcjanka łagodniała za każdym jej słowem, coś niby uśmiech zabłąkało się na jej ustach i jakoś dziwnie spójrzała na dzieci.

— Pragnęłabym czegoś — rzekła.

Estera ścisnęła jej wzrok i szybko odparła:

— Uczyń, jako pragniesz.

Iras zbliżyła się do dzieci, uklękła na lwiej skórze i okrywała je pocałunkami. Wstając zwolna, patrzyła na nie z uczuciem, potem

opuściła komnatę bez słowa pożegnania. Szła szybko i cicho, a znikła, zanim się Estera spostrzegła.

Gdy to opowiedziano Ben-Hurowi, przekonał się, że jego domysły były prawdziwe i że Iras opuściła ojca dla Messali. Wiedząc, że jest nieszczęśliwą, szukał jej wszędzie, ale napróżno, odtąd ani ją widziano, ani o niej słyszano. Niebieskie fale morza, co tak rozkosznie wdzięczą się do słońca, miewają swe tajemnice. Gdyby mowa dana im była, możeby umiały powiedzieć o losie Egipcjanki.

.

Simonides doczekał się późnej starości, dopiero w dziesiątym roku panowania Nerona zwinął handel tak długo prowadzony w Antyochii; do ostatka zachował dobre serce i dobrze mu się wiodło.

Pewnego wieczora wyżej wymienionego roku, siedział Ben-Hur wraz z swoją rodziną na dachu owego znanego nam tak dobrze składu towarów w Antyochii i ścigał wzrokiem ostatnie, jeszcze nie sprzedane okręta, co się kołysały na falach Orontesu. W ciągu tylu lat, od dnia Ukrzyżowania po dziś, ileż łask otrzymał! a i jedną ciężką boleść, która dotknęła tę szczęsną rodzinę, jeszcze ozłociła wiarę w Zmartwychwstanie, bo gdy matka Hura musiała odejść do ojców, nie żalowali jej, jak to czynią poganie, co nie mają nadziei.

Okręt, stojący u wybrzeża, przywiódł był świeżo wieść o rozpoczętem prześladowaniu Nerona w Rzymie; właśnie rozmawiali o tem, gdy wszedł Malluch, zawsze jeszcze w ich służbie będący i wręczył Ben-Hurowi paczkę.

— Kto to przyniósł? — pytał tenże po odczytaniu.

— Arab.

— Gdzież jest?

— Słuchajcie — rzekł Ben-Hur do Simonidesa, czytając:

„Ja Ilderim, syn Ilderima Dobrotliwego, szejik mego pokolenia, do Judy, syna Hura,

„Dowiedz się, przyjacielu ojca mego, jako cię miłował ojciec mój, skoro przeczytasz załączone pismo. Jego wola moją jest, co on dał, twojem jest. Cokolwiek zabrali mu Partowie w straszliwej bitwie, w której mu śmierć zadali, odebrałem wraz z tym pergaminowym

zwojem i całym pokoleniem owej Miry, co tyle gwiazd była matką.
Pokój tobie i twoim. Ten głos z pustyni jest głosem

Szeika Ilderima.“

Następnie rozwinął Ben Hur zwój żółtkłego jak liść morwowy



papyrusu, a czyni to z wielką ostrożnością, by nie uszkodzić pisma, i przeczytał, co następuje:

„Ilderim, Dobrotliwym zwany, do syna, który po nim nastąpi.

„Posiędziesz wszystko, co posiadam w dniu, w którym obejmiesz dziedzictwo, prócz posiadłości zwanej Gajem Palmowym, podle Antyochii; tę otrzyma Ben-Hur, który nam tyle przysporzył sławy zwycięstwem w cyrku. Gaj ten będzie jego i jego rodziny po wsze czasy. Nie czyn' wstydu ojcowi swemu.

Szeik Ilderim Dobrotliwy.“

— Co rzeczesz na to? — pytał Ben-Hur Simonidesa.

Estera odczytała raz jeszcze papiery, Simonides długo myślał, nareszcie rzekł:

— Dobrym i łaskawym był Pan dla ciebie tych ostatnich lat, żaliż nie byłaby pora rozporządzić majątkiem, codziennie wzrastającym?

— Dawno już postanowiłem, że część majątku oddam na służbę Dawcy wszelkiego dobra. Pytam cię tylko, jak to mam uczynić, by stąd urosła chwała Najwyższego!

— Wiem, iż wiele uczyniłeś dla Kościoła w Antyochii. Teraz równocześnie z wspnianym darem Szeika przychodzi wieść o prześladowaniu w Rzymie. Żaliż to nie jest zrządzeniem Opatrzności i czy nie nowe otwiera się pole działania? Trzeba, aby światło wiary nie zagasło w stolicy.

— Cóż mam czynić, aby je podnieść?

— Słuchaj! dwie są rzeczy, które sami szanują Rzymianie — wiem tylko o dwóch — mianowicie czczą popioły swych zmarłych i miejsca ich pogrzebu. Nie wolno ci wznieść świątyni ku czci Pana na ziemi, zbuduj ją pod ziemią i chowaj tam, chroniąc je od zbezczeszczenia zwłoki tych, co umierają w wierze Zmartwychpowstania.

Mowa ta wzruszyła Ben-Hura.

— Wielką jest myśl twoja i nie zwlekam jej wykonać — okręt, co przywiózł te wieści, zabierze mnie jutro do Rzymu. Zwracając się do Mallucha, dodał: Bądź w pogotowiu, bo i ty pojedziesz — niechaj zładują okręt.

— Uczynisz dobrze — rzekł uroczyście Simonides.

— A ty, Estero, jaką jest myśl twoja?

Zacna niewiasta położyła rękę na ramieniu Hura, mówiąc:

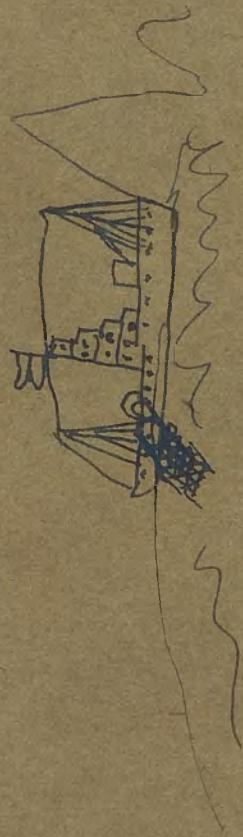
— Tak najlepiej zdołasz podobać się Chrystusowi, pozwól, drogi mężu, abym ci mogła towarzyszyć i pomagać.

Jeśli kto z was, czytelnicy moi, zwiedzać będzie Rzym i zajdzie do katakomb świętego Kaliksta, co starsze są od katakomb świętego Sebastjana, zobaczy, co się stało z majątkiem Ben-Hura i wdzięcznemu spomni go sercem.

Z tych miejsc pogrzebania wzniosło się Chrześcijaństwo i zburzyło pogański Rzym.







505

Spojda
Franciszek

BEN:

HUR

500 ✓

49J338/270/89

Id: 00300000167414



II 555958

II